

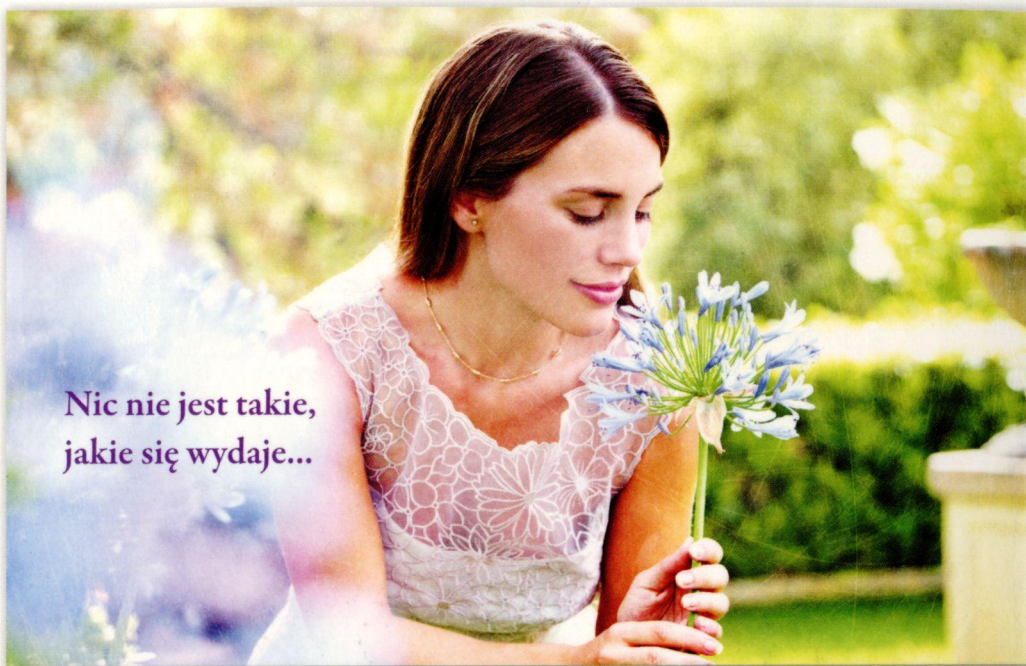
Paullina Simons

PIEŚŃ O PORANKU

Doskonałe małżeństwo, zniewalająca namiętność,
niemożliwy wybór



Świat Książki



Nic nie jest takie,
jakie się wydaje...

Larissa Stark ma cudownego męża, piękne dzieci i dom, który uwielbia. Ale czasami, gdy posiada się wszystko, przestaje to wystarczać. Przypadkowe spotkanie z młodszym nieznanym mężczyzną odmienia jej idylliczne życie. Larissa zadaje sobie pytanie, czy to, w co do tej pory wierzyła, jest prawdą oraz zastanawia się nad tym, co wydawało się nie do pomyślenia. Ale jeśli odważy się na niemożliwy krok, czym stanie się jej życie? Obojętnie jakiego dokona wyboru, ktoś zostanie zdradzony...

Po części kryminał, po części romans, po części dramat rodzinny – jednym słowem idealna książka.

„DAILY MAIL”

www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-7799-740-6



9 788377 997406

Nr 90087388
Cena 39,90 zł

Paullina Simons urodziła się w Leningradzie, wychowała w Stanach Zjednoczonych. Jest autorką bestsellerowej sagi o losach Tatiany i Aleksandra (*Jeździec Miedziany*, *Tatiana i Aleksander*, *Ogród Letni*) oraz powieści *Jedenaście godzin*, *Dziewczyna na Times Square*, *Droga do raję*.

Paulina Simons

PIEŚŃ O PORANKU

Z angielskiego przełożyła
Katarzyna Malita




Świat Książki

Dlatego to nie poddajemy się zwątpieniu, chociaż bowiem niszczy nas człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień (...) wpatrujemy się nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie.

Drugi List do Koryntian 4, 16-18*

* Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, wydanie trzecie poprawione, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.

PROLOG

Piątkowy wieczór (prawie) jak każdy inny

- To niemal wyłącznie pustynie i wyschnięte koryta strumieni - mówił Doug, relacjonując Jaredowi upalne przeżycia w australijskim buszu - ale kiedy deszcz pada w odległości pięciuset mil, nagle w wyschniętych jeziorach, na ich słonych dnach pojawia się woda głęboka na dwadzieścia stóp. Taki potop nie zdarza się jednak często. A poza tym szybko wyparowuje. Jediną stałą rzeczą jest ziemia, sucha i wypalona.

- Hmm - mruknął Jared, niecierpliwie stukając palcami w blat biurka. Chciał dalej rozmawiać o zmianie miotacza drużyny Yankees, ale Doug wrócił niedawno z wyprawy do australijskiego buszu i od tygodni nalegał, by Jared wysłuchał wszystkiego.

Jared miał za sobą pracowite popołudnie spędzone na spotkaniach dotyczących kapitalizacji przed długim weekendem Dnia Pamięci, a o wpół do czwartej jego asystentka Sheila przekazała mu wiadomość, że dzwoniła Emily i chce, żeby natychmiast do niej oddzwonił. Miał zamiar zaraz to zrobić, ale musiał porozmawiać z Tokio o możliwym bankructwie jednego z ich oddziałów, potem z Hongkongiem, a na koniec, jak zwykle w piątek, pogawędzić z Dougiem. Wreszcie za piętnaście piąta telefon zadzwonił jeszcze raz.

- T a t o !

- Przepraszam, Em. Jestem zawałony robotą. Co się dzieje? - Skinął na Douga, żeby nie wychodził, chciał jeszcze coś dodać o fatalnych perspektywach miotaczy w parszywym sezonie Yankees.

- Dzieje się to - powiedziała z naciskiem Emily - że mam dziś o piątej mecz siatkówki, a mamy nie ma w domu i nie może mnie zawieźć.

- Kiedy jest ten mecz? - Jared nadal trzymał w powietrzu rękę z wyciągniętym palcem wskazującym.

- Za piętnaście minut - sprecyzowała Emily, najwyraźniej przez zaciśnięte zęby. - Czy wspominałam, że mama nie może mnie zawieźć?

- A gdzie ona jest? - Jared machał do Douga, żeby zaczekał.

- Tato? Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nie wiem, gdzie ona jest. Dzwonię do ciebie od wpół do czwartej!

- Mama na pewno zaraz wróci. Czy jest z nią Michelangelo?

- Tak myślałam, ale Tara przed chwilą przyprowadziła go do domu.

- Jaka Tara?

Emily wzięła głęboki oddech.

- Nasza sąsiadka, mieszka dwa domy dalej. Od siedmiu lat.

- A, tak.

- Michelangelo był się pobawić u Jen i Jess. Teraz wszyscy jesteśmy w domu z wyjątkiem mamy. Nie wiem, czy już o tym wspominałam, ale za piętnaście minut mam MECZ!

Uniesiony palec Jareda nadal mówił Dougowi: „chwileczkę”.

- Zadzwoń do niej na komórkę.

- Myślisz, że nie dzwoniłam już pięć tysięcy razy, zanim zadzwoniłam do ciebie? Aż w końcu Asher znalazł telefon dzwoniący na toaletce w sypialni.

- Nie zabrała komórki? - Jared opuścił palec i wbił wzrok w biurko zamiast w siedzącego swobodnie Douga Granta.

- Zgadza się.

- Jak daleko mogła pojechać? - zastanawiał się Jared. - Wiesz, że mama nigdy nie nosi ze sobą gotówki.

- Tato!

- W porządku. - Pokręcił głową. - Zaraz wychodzę. Będę w domu za pół godziny.

- Tato! Muszę tam być za piętnaście minut!

- Zadzwoń do koleżanki z drużyny. Nie może cię zawieźć inna mama?

- Inna mama?

- To poczekaj w domu. Nie mogę się tam teleportować, Emily. Albo poczekasz na mnie, albo zadzwoń do kogoś innego. - Jared nie znał imienia żadnej koleżanki swojej córki. - Mama na pewno zaraz wróci.

- Skąd? Oba jej samochody stoją na podjeździe! - Emily ze zdwojoną siłą przycisnęła guzik „talk” na bezprzewodowym telefonie.

Jared wstał.

- Przepraszam, Douglas. Dokończymy innym razem.

- Wszystko w porządku?

- T a k . - Westchnął. - Melodramat. Nastolatki. Wszystko musi się dziać w ich czasie. - Odsunął gazety i schował laptopa do skórzanej torby, razem z trzema rocznymi raportami, na wypadek gdyby miał w domu czas popracować podczas trzech wolnych dni. - Larissa nie wróciła do domu, żeby zawieźć Emily na mecz, więc mamy poważny kryzys.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy moje maluchy staną się zwa-riowanymi nastolatkami - powiedział Doug, który miał dwie małe córki.

- Nie chcę, żebyś miał ostatnie słowo. Bez odpowiednich zmianików już po Yankees. Kiedy przyjedziecie w poniedziałek na grilla, wyjaśnię ci to dokładnie. Możesz przywieźć deser. - Jared uśmiechnął się od ucha do ucha. - I kostiumy kąpielowe dla Kate i dziewczynek. Podgrzewamy basen.

- Z przyjemnością, stary - powiedział Doug z lekkim australijskim akcentem. - Wiesz, że nic nie sprawia mi większej przyjemności niż uświadamianie ci, że mylisz się co do Yankees. Starzeją się! Mają za dużo kontuzji! Nie potrafią uderzać! Ale nic z tego nie będzie. Wyjeżdżamy z żoną na weekend. To nasza piąta rocznica. - Doug uniósł brwi. - Do Atlantic City.

- Świetnie. - Jared skinął głową. - Bawcie się dobrze. Tylko trzymaj się z dala od stolików.

- Nie martw się, Kate będzie miała na mnie oko. Nie znosi hazardu. Będzie super, jeśli dostanę godzinę na blackjacka. A tak przy okazji, zauważyłem, że Jan, nasza biedna zastępczyni sekretarza, ostatnio czuje się znacznie lepiej. Co jej powiedziałaś? Wygląda na to, że codziennie jest trzeźwa.

Jared wzruszył ramionami. Ostatnią udaną rozmowę odbył z Jan przed wieloma miesiącami. Ale nie mógł teraz o tym rozmawiać, musiał pędzić.

Uścisnęli sobie dłonie i życzyli miłego weekendu. Jared powiedział, że zobaczą się we wtorkowy rano.

Po czterdziestu pięciu pełnych frustracji minutach Jared wszedł do domu. Emily nie pojechała na mecz i siedziała zapłakana przy stole w kuchni. Asher oglądał telewizję w salonie na dole, a Michelangelo kolorował coś na podłodze obok psa. Kiedy Jared przyjrzał się lepiej, zauważył, że jego młodszy syn nie koloruje obok psa, lecz psa. Zabrał mu flamastry (czy można je zmyć?) i poklepał Emily po plecach.

Odsunęła się gwałtownie jak dziki koń.

- Nie dotykaj mnie! Gdzie jest mama?

- Nie wiem - odparł Jared. - W tej chwili wróciłem. Nie wściekaj się na mnie. Bardzo mi przykro, że nie zdążyłaś na mecz.

- Powinieneś do mnie oddzwonić, tato. Tyle razy do ciebie dzwoniłam.

- Byłem w pracy. Zajęty. - Jared poczuł ukłucie winy. Rzeczywiście był w pracy i przez większość czasu był zajęty, ale tak naprawdę mógł się do niej odezwać godzinę wcześniej. To Larissa zajmowała się sprawami domowymi, on nigdy nie musiał się nimi przejmować.

Zadzwoił do Maggie.

- Nie ma jej u mnie - powiedziała. - Nie widziałam jej od wtorku. Może jest z Bo? Albo z Evelyn? Zadzwoń do mojego męża. Pracuje dziś do późna. Bada materializm, nieśmiertelność czy coś takiego. Również w piątkowy wieczór - dodała lekko drwiącym tonem. - Może jest w teatrze. Premiera *Świętej Joanny* jest w przyszłym tygodniu. Mają próby codziennie.

- Materializm i nieśmiertelność, czy to nie to samo? - zażartował Jared i odłożył słuchawkę.

- Nie widziałem twojej żony, stary - powiedział Ezra, gdy Jared się do niego dodzwonił. - Nie przyszła dzisiaj na próbę. Co jest niepokojące, bo nie tylko mamy w przyszłym tygodniu premierę, ale zagraliśmy dziś całość bez epilogu, czego sobie wyraźnie życzyła, i nie przyszła tego zobaczyć. Co się mogło stać?

- Dzwoniła?

- Nie. Może wyjechała.

- Tak, z kimś, kto ma samochód.

- Dziwne - powiedział Ezra. - Dwa dni temu jadłem z nią lunch i choć wyglądała super, zauważyłem, że strasznie schudła.

- Tak sądzisz? - Jared stracił zainteresowanie rozmową. - Stale zaprzecz.

- Jasne. Stale pyta: „Komu wierzysz, mnie czy swoim kłamliwym oczom?”. - Ezra jęknął. - Posłuchaj, Lar i Maggie jadą jutro po piwo na poniedziałkową imprezę, ale my nadal jesteśmy umówieni na wieczór?

- Jasne, czemu nie. Ale najpierw muszę ją znaleźć.

- Chyba wyparowała - zaśmiał się Ezra. - Rozpłynęła się na naszych oczach.

- Do jutra stary. Nie mogła przecież aż tyle schudnąć.

Jared zadzwonił do Bo, która rozmawiała z Larissą przed tygodniem.

W końcu dodzwonił się do Evelyn.

- Kapię naraz piątkę dzieci - powiedziała. - Nie mogę ich na długo zostawić. Co się dzieje?

Nie miała żadnych wieści od Larissy od czasu jej kolacji urodzinowej przed miesiącem. To zaskoczyło Jareda. Larissa zawsze była w bliskich kontaktach z Evelyn, przyjaciółką z college'u.

Szósta godzina przeszła w siódmą.

Dzieci były głodne. Jared zamówił pizzę i siedział z nimi w kuchni, gdy jąły. Z jakiegoś powodu sam nie miał apetytu. Wreszcie poszedł na górę, żeby się przebrać, włożył szorty i podkoszulek, otworzył łazienkę, potem garderobę. Wszystko było starannie poukładane. Na

łóżku, nadal w workach z pralni, leżało siedem jego białych koszul; z paragonu wynikało, że odebrała je rano. W domu panowała cisza. Raz jeszcze zajrzał do szafy Larissy. Ku własnemu zdziwieniu otworzył też jej kasetkę z biżuterią. Czego szukał? Miała wiele pięknych drobiazgów. Pokręcił się po sypialni. Łóżko było starannie zaścielone, wygładzone po szpitalnemu, ubrania wisały w szafie, buty leżały w pudełkach, książki stały na półkach. Znalazł też brylantowe kolczyki, które dał jej na piętnastą rocznicę ślubu. Uwielbiała je i zakładała na każde większe wyjście. Wszystko było na miejscu.

Wszystko z wyjątkiem Larissy.

CZEŚĆ I

KAMIENIARZ

*Jakże niewiele z tego, czym się serca ludzkie frasują,
Królowie i prawa uleczyć mogą albo powodują.*

Samuel Johnson

* Przekład Joanna Malita.

1

Co przywożą pociągi

Pewnego słonecznego popołudnia, kiedy opadły już wszystkie liście i ziemia zamarzła, punktualnie za kwadrans pierwsza przy betonowym peronie dworca kolejowego w Summit zatrzymał się lśniący stalowo-niebieski pociąg, otworzyły się drzwi i wysiadła grupka pasażerów.

Tory kolejowe biegną przez Summit, wijąc się niczym rzeka Passaic. Budynek stacji wzniesiony z cegły jest dobrze utrzymany przez dobrze sytuowanych ludzi w dobrze sytuowanym mieście. Bilety kupuje się w małym biurze, którego parapety zdobią czerwone kwiaty, gdzie zza szyby i grubych okularów patrzy kobieta, która chciała odejść na emeryturę przed dziesięcioma laty i która z powagą sprzedaje ci bilet w jedną stronę do Venice lub powrotny do Piermont, gdy chcesz odwiedzić samotną matkę.

Trzeba pokonać czterdzieści betonowych stopni, by wejść na peron, przy którym zatrzymuje się pociąg i na kilka minut otwiera drzwi. Ani pociągu, ani torów nie widać z drogi. Najwyraźniej taki był zamysł projektantów. Być może mieli na uwadze, by w mieście liczącym dwadzieścia tysięcy mieszkańców co dwadzieścia minut nie zamierał ruch. Innym powodem mogło być to, że tory kolejowe, w przeciwieństwie do rzeki, nie zostały uznane przez architektów i inżynierów za dość estetyczne i celowo ukryto je za ulicą, by były niewidoczne dla miasta, z wyjątkiem małego czarno-białego znaku RR przy Maple Street, wskazującego kierunek. Można było przeżyć całe życie w Summit w stanie

New Jersey i nawet nie wiedzieć, że znajduje się tam stacja kolejowa, z której odjeżdżają i na którą przyjeżdżają ludzie.

A jednak ludzie przyjeżdżali, codziennie i tego dnia również.

Dziś z pociągu wysiedli sympatyczna kobieta z wózkiem dziecięcym, dwiema torbami i małą dziewczynką, ciągnąca walizkę na kółkach starsza pani, na którą w napięciu czekał siwy, poważny mąż, jakby zaniepokojony jej przyjazdem, i młody chłopak ze zniszczoną torbą, w skórzanej kurtce i czapeczce baseballowej.

Ruszył peronem, stukając podkutymi butami, rozejrzał się, zmrużył oczy, zsunął okulary słoneczne i zagwizdał na konduktora, by ten otworzył ogromny przedział bagażowy, z którego następnie wyprowadził motocykl.

- Niezła maszyna - powiedział konduktor, zasuważąc drzwi. - Jak ogier. Ale dlaczego pan go przewoził, skoro mógł nim pan jechać?

- Ukradliby go w pięć sekund. - Chłopak uśmiechnął się. - A mnie by obrabowali i zabili. - Uśmiechał się krzywo, miał zmierzwiene włosy i kilkuniedniowy zarost.

- Z czego by pana obrabowali? - mruknął konduktor. - Skoro już zabraliby panu motocykl, czego jeszcze mogliby chcieć?

- Musieliby mnie zabić, żeby zabrać mi motocykl.

- A c h tak. - Konduktor wzruszył ramionami. - Ale myślałem, że jedzie pan do Maplewood.

- Bo jadę. To nie tutaj?

- Nie. Jest pan w Summit. Nie słyszał pan, jak wołałem?

- N i e . Spałem. Cholera. - Chłopak uśmiechnął się niespecjalnie zmartwiony. - Jak daleko stąd do Maplewood?

- Sześć mil. Chce pan wsiąść z powrotem?

Chłopak pokręcił głową.

- A l b o dwie minuty na tym, jeśli jeździ pan szybko - rzekł konduktor z zazdrością i dotknął daszka czapki. - Wsiadać!

Pociąg powoli odjechał.

Motocyklista został na peronie, wdychając mroźne powietrze. Jedną rękę oparł na motocyklu, torbę położył między nogami. Był głodny. Chciało mu się pić. Postanowił pojeździć po mieście przez kilka minut,

coś zjeść, odpocząć, a potem ruszyć do Maplewood. Byłoby lepiej, gdyby przyjechał wiosną, jak planował. Ale niech tam. *Losie, wszyscy przed tobą klękają.*

Na ulicę dostał się winda. Kiedy pojeździł po sennym cichym Summit i nie znalazł żadnego miejsca, w którym chciałby się zatrzymać, poszukał ulicy, gdzie mógłby się trochę rozpędzić. Było naprawdę zimno, zdecydowanie zbyt zimno jak dla niego, ale cieszył się, że jest wolny. Miał ochotę na kanapkę. Na Route 124 w kilka sekund rozpędził się do siedemdziesięciu mil, zanim światło zmieniło się na czerwone, i już był poza Summit, w innym pozbawionym drzew mieście. „Witamy w Madison”. Zobaczył duży supermarket, pusty parking. „Wielkie otwarcie”, głosiła tablica. „Apteka dla zmotoryzowanych, Starbucks, codziennie świeże sushi”. To jest to, pomyślał. Porcja surowego tuńczyka nie będzie tak dobra jak tuńczyk z Maui, ale wystarczy. Porcja, może dwie, pięć minut na sodełku w słońcu na pustym parkingu. Zbyt długo siedział w pociągach. Potrzebował powietrza.

2

Che

Nigdy nie jesteśmy sami ani przez chwilę. Czasem duma każe nam się oszukiwać, że tak jest. Jednak Che ponad wszystko pragnęła dziecka. Żeby już nigdy nie zaznać samotności. Liczyła, że dzięki urodzeniu dziecka rozpocznie nowe życie, ale wyglądało na to, że nigdy do tego nie dojdzie. I nie chodziło wcale o zegar biologiczny. Problemem był partner.

Na południowych przedmieściach Manili, na gęsto zaludnionym przesmyku pomiędzy dwiema zatokami z ciepłą wodą na skraju pola ryżowego w Paranaque niedaleko Moonwalk, w krytej strzechą chacie stojącej pośród tysiąca podobnych chat, pod koniec długiego popołudnia, kiedy liście palm ociekały wodą z monsunowego deszczu, który

zalał chaty i błotniste drogi i sprawił, że wyjście z domu stanowiło problem, przy oknie i lustrze siedziała przy biurku drobniutka Filipinka ubrana w turystyczne buty, wojskowe kalesony i różowy szalik. Miała pomalowane na czerwono usta, liczne tatuaże, a czarne włosy z siwymi pasemkami upięta wysoko. Trzymając w palcach papierosa, z którego sypał się popiół, pisała list.

Kochana Larisso!

Moja jedyna prawdziwa przyjaciółko, proszę przyjedź odwiedzić swoją starą najlepszą przyjaciółkę Che. Nauczę Cię, jak robić pudding ryżowy i paszteciki. Poczęstuję Cię świetnym tanim winem. Przedstawię Ci ojca Emilia i Lorenza, jeśli nadal będziemy razem, Boże dopomóż. Nie mogę uwierzyć, że ostatni raz widziałam Cię, jeszcze zanim zaszłaś w ciążę. Podoba mi się ostatnie zdjęcie, które mi przestałaś, choć uważam, że nie masz racji. Twój synek wcale nie wygląda jak aniołek. Ma szelmowski błysk w oku. Wygląda, jakby rządził w domu. A aniołowie nie wyglądają jak władcy. Coś o tym wiem. Lorenzo też tak wygląda, a na pewno niejest aniołem.

Che nie wspomniała, że do napisania tego podszytego lekkim niepokojem, choć pozornie niewinnego listu skłoniły ją wydarzenia minionej nocy. Obudziła się ze straszliwego koszmaru, w którym zobaczyła, jak Larissa w żółtej sukience powoli odchodzi, a ona biegnie za nią, wołając Larisso, Larisso... Wreszcie zdyszana dogoniła jasnawłosą przyjaciółkę i chwyciła ją za ramię. Larissa odwróciła się. Jej twarz była pobladła i pomarszczona jak u nieżywego ptaka nielota. Che krzyknęła, a wtedy Larissa przemówiła, nie swoim głosem, lecz głosem zmarłej obcej osoby.

- Che, a jeśli wszystko w twoim życiu zamieniło się w popiół?

Che mogła tylko potrząsnąć głową.

- Wszystko - powtórzyła Larissa. - Każda dobra rzecz, każda straszna po prostu spłonęły do cna?

Nie - powiedziała bezgłośnie Che.

- Jeśli nic już nie zostało?

To niemożliwe, chciała powiedzieć Che. Zawsze coś zostaje. Wyciągnęła rękę. Jak zwykle.

Ale Larissa, która przypominała w dotyku miękki, wilgotny piasek, rozsypała się i zamieniła w kupkę czarnych trocin.

Che krzyknęła - we śnie, najawie. Długo nie mogła zasnąć i dlatego dziś była wykończona. Nic w poprzednim liście Larissy nie wskazywało, że jej życie nie jest jak zwykle radosne. Sen zupełnie do tego nie pasował. Ale Che nie mogła o nim zapomnieć.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich młody smagły Filipińczyk z ręką opartą na biodrze. Podobnie jak ona miał na sobie zarówno eleganckie ubrania, jak i łańchmany. Otaczała go aura dzikości.

- Co robisz? - zapytał. - Spóźnimy się. Zaczynamy za pół godziny.

- Zaraz przyjdę - odparła Che, przenosząc wzrok z jego zamyślonej twarzy na biały papier w różyczki. Dziś przypadało Święto Objawienia, więc protestowali. Jako zawodowi protestujący wychodzili na ulice w każde ważne święto i każdy wolny dzień, podczas każdej międzynarodowej wizyty i w reakcji na najdrobniejszy szczegół polityki rządu, na każdą zmianę w politycznym klimacie, a nawet na zachowanie status quo. Zatrudniała ich firma wynajmująca protestujących. Kiedy tylko organizowano demonstrację, która potrzebowała większej liczby uczestników, malowali transparenty, a potem maszerowali ulicami i krzyczeli. „Nigdy więcej wojny!”, „Rozdział kościoła i państwa!”, „Precz z amerykańskimi bazami!”, „Nigdy więcej krwi za ropę!”, „Zielono dziś i każdego dnia!”, „Precz z futrami!”, „Wojna to zło!”, „Łamanie pikiet to zło!”, „Precz z nowymi podatkami!”.

Che otrzymywała za to skromną zapłatę. Ale też niewiele potrzebowała. Kiedy były jej potrzebne dodatkowe fundusze, pracowała dla ojca Emilia. Zakonnice hodowały owoce i warzywa, a ona sprzedawała je rankami na targu w Paranaque, wykrzykując: „Brzoskwinie! Dojrzałe, pyszne! Gruszki! Świeże sukulenty! Pomidory, prosto z krzaka! Świeże mango!”. Che świetnie krzyczała, dojrzała i prosto z krzaka, zawsze świeża.

Amiga, dziękuję za karton słoików nutelli, który mi przysłałaś. Nie ma w niej nic organicznego, prawda? Wystarczy mi na długo. Jak cia-

steczka oreo. Najbardziej tęsknię za Tobą i nutellą. Możesz mi przesłać w pudełku kawałek siebie? Przepraszam, że list jest taki krótki. Za pół godziny zaczynamy demonstrację „Bóg umarł!”. Lorenzo już czeka.

Kiedy napisała jego imię, *Lorenzo*, przebiegła przez nią fala gorąca, od środka mózgu przez płuca, serce i tułów, do miejsca, z którego rodzą się dzieci, innym ludziom, ale oczywiście nie jej.

- C h e !

Jakże był uroczy, gdy ją wołał. Nie używał jej imienia, Claire, które brzmiałoby zbyt konwencjonalnie, lecz Che, nonkonformistycznego skrótu jej nazwiska Cherengue.

- J u ż idę. Tylko... - zamyśliła się. - Jeszcze jedno słowo. Jedno zdanie, Lorenzo. Poczekaj. - W końcu jak długo na ciebie czekałam? Bardzo długo, prawda?

Może przyjedziesz pewnego dnia. Wiem, że trudno Ci zostawić dzieci. Możesz im powiedzieć, że to w słusznej sprawie. Wiedzą, jak bardzo ich mama lubi beznadziejne sprawy, im bardziej beznadziejne, tym lepiej.

Nie martw się o mnie. Wiesz, że mam zwariowaną pracę, ale te doniesienia o niebezpieczeństwie i przemocy to tylko plotki. Podobnie jak ty wiodę życie, jakie sobie wybrałam (no, prawie). Mała demonstracja przeciwko Bogu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Bóg mi wybaczy, prawda? On wie, co noszę w sercu. Wszelkim tygodniu poszłam na demonstrację prowojenną. A działacze antywojenni nas podpalili. Naprawdę podpalili. Wylali na ulicę benzynę i zapalili zapałkę. Ale nic mi się nie stało, nie mam ani zadrapania. Dobry Jezu. To nie praca, to Lorenzo mnie podnieca. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, nie musząc myśleć o tym całym g...! W szkole średniej miałyśmy obsesję na tym punkcie. Jak to się stało, że ty masz męża i troje dzieci, a ja nadal mam obsesję? Żyjesz długo i szczęśliwie, Larisso, a czy dla mnie sprawa jest już beznadziejna?

- Już idę, Lorenzo!

Che wybiegła z sypialni. Ależ te dzwony biją! Jak można ich nie słyszeć? Biją tak głośno jak dzwony Notre Dame. Dzwony zbliżającego się niemacierzyństwa.

3

Maggie i Ezra

- Nie sądzisz, Maggie - powiedział Ezra, gdy DeSwannowie przygotowywali się rankiem do nowego dnia - że to dążenie do nieśmiertelności jest trochę kompulsywne? Nieposkromione? Trochę jak choroba umysłowa? Myślisz, że Larissa się tym przejmuje?

Powiedział to, gdy Maggie poinformowała go, że na dodatek do swoich licznych zainteresowań postanowiła się zapisać na zajęcia plastyczne.

- O czym ty mówisz, Ezra? Nie chodzi o nieśmiertelność, lecz o zabawę. - Prychnęła. - Żeby umiała nauczyć moje dzieci malować. - Nie chodziło jej wcale o własnego syna, który miał piętnaście lat, lecz o przedszkolaki, które uczyła rankami trzy razy w tygodniu w przykościelnej szkółce.

Ezra pokręcił głową.

- Dzięki Bogu, że próbujesz zniszczyć dzieci innych ludzi. Larissa nie zwraca sobie głowy tęsknotą za tym, co niemożliwe.

- Skąd wiesz? Powiedziałaś chyba, że wszyscy pragniemy niemożliwego? Zdecyduj się. - Przeczesała wilgotne kręcone włosy.

Ezra nadal walczył z muszką.

- To, co ja robię, jest o wiele bardziej zabawne - powiedział. - Czytam. Próbuję zrozumieć, jak działa wszechświat. - Nie dalej jak w zeszłym tygodniu został szefem wydziału anglistyki w Pingry, prywatnej szkole w Short Hills, gdy poprzedni szef przeszedł w końcu na emeryturę w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat.

- Jesteś najbardziej nieszczęśliwym sukinsynem, jakiego znam - powiedziała Maggie. - Dlaczego u licha miałabym chcieć być taka jak ty?

- Kiedy już zrozumiem, będę szczęśliwy.

- Powiedz mi, profesorze mądralo, czy całe to czytanie przyniosło ci coś dobrego? Jesteś już szczęśliwy?

- Kto to może wiedzieć? Czym w ogóle jest szczęście?

Maggie się roześmiała.

- Widzisz, w przeciwieństwie do ciebie już wierzę w moją nieśmiertelność. Chcę tylko, żeby ciało trochę się zabawiło. Wolisz, żebym miała czy żebym wzięła sobie kochanka?

Ezra spojrział na nią rozbawiony.

- Moim zdaniem to fałszywy wybór, pani DeSwann - powiedział. - Ale dość już. Oczywiście rób, co chcesz. - Zmienił temat. - Wiedziałaś, że gdyby w atomie wodoru znajdował się jeden ładunek ujemny mniej, nie istniałoby nic, co znamy? Ani my, ani wszechświat, ani galaktyki, nic.

- Uhm - mruknęła Maggie, poprawiając kołnierzyk jego koszuli; było dopiero wpół do ósmej rano, a on już wyglądał nieporządnie. Jego brązowe koszule nigdy nie pasowały do ciemnoszarych marynarek i często nosił rdzawe lub zielone spodnie, które nie pasowały do niczego. Był tak bardzo ekscentryczny, że nie mogła uwierzyć, że są razem. Jednak Larissa perwersyjnie go uwielbiała i uważała, że Maggie dobrze wyszła za mąż, więc chyba warto było go przy sobie trzymać. A może Larissa uważała, że to Ezra dobrze się ożenił?

- Nawiasem mówiąc - powiedział Ezra - muszę porozmawiać z Larissą o bardzo ważnej sprawie.

- Dla ciebie każda drobnostka jest bardzo ważna.

- T a k . Ale to... - Zbył ją machnięciem ręki. - Denise odchodzi na urlop macierzyński tuż po premierze *Otella*. I nie będziemy mieć nikogo, kto mógłby wyreżyserować naszą sztukę na wiosnę. Mam nadzieję, że Larissa będzie zainteresowana.

- Nie wiem. Kiedyś może tak. Teraz nie wiem.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Myślałam, że będzie zachwycona. Wydaje mi się, że na to czekała.
- Wydaje ci się, że czekała? - Maggie zaśmiała się lekko.
- Poza tym już ją poleciłem dyrektorowi.
- Nie rozmawiając z nią wcześniej? - Karcąco poklepała męża po głowie.

- Teatr jest jej życiem.

- Był.

- Nie wiesz wszystkiego, Margaret. Grubo się mylisz - powiedział, ale wyglądał na skołowanego, jakby odmowa Larissy była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. - Na pewno się zgodzi. I będzie świetna.

- W porównaniu z Denise świetny byłby nawet nasz kot. To była straszna katastrofa. Powinna reżyserować *Tragedię „Posejdona”*. - Maggie potrząsnęła głową i coś sobie przypomniała. - Skoro już mowa o katastrofach, mamy dziś przyjęcie z lodami. Tyle tylko, że trójka moich dzieci jest uczulona na masło orzechowe i wczoraj dostałam liściki z zapytaniem, czy lody waniliowe robione są z oleju arachidowego. Odwróć się do mnie. - Poprawiła ogniście czerwoną muszkę, do której Ezra włożył koszulę w kolorze czerwonego wina i zielone spodnie.

- Rodzice zadają niewłaściwe pytania - powiedział donośnie.

- Oczywiście! - zaśmiała się Maggie i pocałowała go w policzek. - Jeśli lody waniliowe miałyby jeden elektron mniej, nie byłoby nas tutaj, prawda? Nie powinni więc pytać o olej arachidowy. Chodzi przecież o istnienie czegoś tak pysznego jak lody waniliowe.

- Ach - oburzył się Ezra. - Szydzisz ze mnie. - Spojrzał na nią z błyskiem w oku.

- Nie szydę. Żartuję.

- Możesz ich zupełnie zbić z tropu stwierdzeniem, że lody waniliowe robi się nie z oleju arachidowego, lecz z masła orzechowego. - Wybuchnęła śmiechem. - Powiedz im też, że jeśli bogowie nie zwracają na nas uwagi, możemy odpłacić im tym samym. Jeśli nieśmiertelność to bzdura, mamy o jedno zmartwienie mniej. Maluj, nie maluj. Czytaj, nie czytaj. Reżyseruj sztuki na wiosnę. Lody waniliowe, masło orzechowe. Wszystko w porządku, skarbie. Rób, co chcesz, nie myśląc o konsekwencjach. Powiedz to swoim zaniepokojonym matkom. Ja też to po-

wiem Larissie. Nauczyłem się tego od Epikura. Idziemy. Już jesteśmy spóźnieni.

- Jak zwykle. Powinieneś podziękować Bogu, że zdecydowałam się na malowanie, a nie na grę na pianinie - powiedziała Maggie, biorąc torebkę i ruszając na dół. - Pam w nagły i niewyjaśniony sposób zapragnęła uczyć się grać na pianinie w wieku czterdziestu pięciu lat. Kosztowało to jej męża trzydzieści tysięcy dolarów (na razie) za instrument, który nie rani jej delikatnych uszu. Ale Ezra, oświeć mnie proszę... - Maggie wsiadła do ich starego subaru i przekręciła kluczyk w stacyjce, podczas gdy mąż pochylił się do okna, by pocałować ją na pożegnanie. - Jeśli mimo wszystko nie jesteśmy bogom obojętni?

4

Jared

Jared wszedł do biura, gdzie jak zwykle powitał go kryzys. Niby czemu miałoby być inaczej? Był przecież poniedziałek. We środy i czwartki, a nawet we wtorki nie było żadnych kryzysów. Jedyne tuż przed weekendem, by trochę zatruć atmosferę, i tuż po, by do wszystkich dotarło, że nikt nie chce wracać do pracy. W ten szczególnie poniedziałek Jan stawiła się na porannym zebraniu, pachnąc bynajmniej nie podwójną latte.

Fakt, że Jan o dziewiątej trzydzieści w poniedziałek okazała się niezdolna do pracy, to jedno, ale Jared musiał prowadzić zebranie analityków, na którym stawiła się nie tylko Jan, ale i piętnaście trzeźwych osób. A Jan, agresywna, nietaktowna i głośna, przekrzykiwała pozostałych.

Po szybko przerwany zebraniu Jared wezwał ją do swojego biura. Jego gabinet w głównej siedzibie firmy w Newark szczylił się wspaniałym widokiem na Nowy Jork z ogromnych okien od podłogi do sufitu. Niestety widok zawsze znajdował się za jego plecami i Jared pozwalał

sobie podziwiać imponującą panoramę Wielkiego Jabłka tylko wtedy, gdy dzwonił do Larissy. Odwracał wówczas fotel i gawędził z nią, marząc o niedzielnym brunchu w hotelu Plaza, o skrzypku i pianinie grających nokturny Chopina. Sama myśl o muzyce sączącej się do jego uszu sprawiała, że miał ochotę na ostrygi i gofry. Potrząsnął głową, by uwolnić się od muzyki i żony.

- Jan - zaczął. - Nie zamierzam cię oskarżać, więc nie będziesz musiała niczemu zaprzeczać. Już raz to przerabialiśmy i firma wykazała się wielką wyrozumiałością. Dwa razy zapłaciła za terapię odwykową, trzy razy cię ostrzegła i cztery razy dała ci czas na próbę. Nie muszę ci przypominać, że ten czwarty raz trwa. Co oznacza, że jeśli przyłapią cię na picu w pracy jeszcze raz, zostaniesz natychmiast zwolniona. Nie będzie żadnych ostrzeżeń, spotkań ani terapii.

- Ale ja nie piję w pracy - zaprotestowała Jan. - Nie wiem, o czym mówisz.

Była samotną matką dwóch synów, kobietą po trzydziestce, prawie dobrze ubraną, jeśli nie dostrzegało się postrzępionych brzegów niestarannie wsuniętej za pasek bluzki, rozpiętego paseczka przy bucie, nieumytych rano włosów. Przedstawiała dość żałosny widok, jej oddech śmierdział w jego eleganckim biurze, a jednak twierdziła, że nie pije w pracy.

- O nic cię nie oskarżam - powiedział Jared. - Ale jeśli ja to czuję, czują to także inni, w tym Larry Fredoso, dyrektor zarządzający. Jeśli ja widzę, że nie zachowujesz się normalnie w poniedziałek rano, inni też to widzą.

Patrzyli na siebie bez wrogości, z rezygnacją.

Jared zniżył głos.

- Ja to czuję.

- Nie jadłam dziś rano żadnych węglowodanów - powiedziała nagle Jan. - Dlatego mam nieświeży oddech.

- Twój oddech nie jest nieświeży! Śmierdzi wódka.

- To na pewno coldrex - mruknęła. - Ostatnio nie czułam się dobrze. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Rzeczywiście nie czuła się dobrze. Była spięta, podenerwowana,

głośna, wysilała się, żeby cokolwiek usłyszeć i zrozumieć, wychodziła dużo wcześniej bez słowa wytłumaczenia.

- Znaków jest wiele - powiedział Jared. - Nie będzie więcej szans. - Zawiesił głos. - Chcę ci pomóc utrzymać pracę. Dla twoich dzieci. Na kim jeszcze mogą polegać? Mają tylko ciebie.

- Zgadza się - warknęła. - Mają tylko mnie.

- Dlatego odpowiedzialność jest znacznie większa, nie mniejsza, gdyż spoczywa wyłącznie na twoich barkach.

Jan mruknęła coś, czego nie dosłyszał, co zabrzmiało mniej więcej jak zbyt wiele odpowiedzialności na jej słabych barkach, a potem zapytała, czy ma odejść. Nie wiedział, co ma na myśli. Odejść na zawsze? Czy tylko wyjść z jego biura? Odwrócił się do okna, by nie widzieć, jak wychodzi. Siedział tak kilka minut, po czym zadzwonił do domu. Chciał porozmawiać z matką swoich dzieci.

Telefon dzwonił i dzwonił.

5

Żona Jareda

Nie chcę czuć ani bólu, ani przerażenia, pomyślała, opierając dłonie na zimnej szybie. To imperatyw mojej egzystencji: ani, ani.

W dniu, w którym skończyło się życie Larissy, ona nawet o tym nie wiedziała. W tym dniu miała na sobie spodnie od dresu. Nie żadne eleganckie, welurowe z atłasowymi wstawkami, może z małą aplikacją w kształcie serduszka w okolicy pośladków, obszytą srebrną nitką i wysadzaną małymi kryształkami, która sprawia, że pupa mężatki wygląda jak pośladki młodej dziewczyny: dziewczęco, a nie matronowato. Nie. Miała na sobie szare spodnie, które powinna była wyrzucić dziesięć lat temu, postrzępione na dole, workowate, wytarte, kupione w college'u, gdzie albo nosi się spodnie od dresu, albo jest się nagim i uprawia seks.

Dwa miesiące temu, przed Świętem Dziękczynienia, padał śnieg. Lodowata wata spadała z nieba, rujnując jej plany rowerowej przejażdżki, spaceru, pieszej wyprawy do sklepu. Zimowe płaszcze były schowane głęboko na strychu razem z rękawiczkami, czapkami i zimowymi kaloszami.

Ale suka była szczęśliwa. Galopowała jak uradowana bestia, trzymając w zębach pluszowego kota Emily, zabłoconego i podartego.

Śnieg w listopadzie. Nie wróżyło to dobrze zimie w położonym w głębi łądu Summit. To była jedna z wad mieszkania tutaj. Czasami z nieba spadał lód i trwało to aż do końca marca. Nowojorczycy mieli szczęście - mieszkali bliżej wody. Woda łagodziła wszystko.

A kiedy mieszkała z mężem w niedalekim Hoboken, z dwójką małych dzieci, starym samochodem bez tłumika i jedną niewielką wypłatą, nie padało? Śnieg walił, jakby mieszkali w dziewiątym kręgu piekła. I nie mieli pieniędzy. Śnieg nie pada tylko na zamożnych, Larisso, mruknęła pod nosem, kuśtykając do składziku po pudła na książki. I w zasadzie lepiej tkwić na polu golfowym w bufoniastym Summit niż w czynszówce w Hoboken. Wykorzystała aplikator do taśmy klejącej Jareda, by zamknąć pół tuzina pudeł z książkami, a potem pokuśtykała do półek w sypialni, spoglądając w okna.

Przycisnęła twarz do zamrożonej szyby, stojąc tyłem do cichego domu. Codziennie z nieba spadała jakaś odmiana marznącego deszczu. Wczoraj pocięła i wszystko zamieniło się w breję, a dziś powiał lodowaty wiatr, temperatura spadła do minus sześciu stopni, zamieniając ulice w lodowisko. Ufryzowana blondynka w wiadomościach o szóstej przewidywała, że odczuwalna temperatura spadnie do minus dwunastu stopni. Nie najlepiej dla mokrych twarzy. A twarz Larissy za każdym razem, gdy wychodziła z domu, była mokra, bo z jakiegoś powodu, gdy tylko chłodne słońce sięgało jej oczu, zaczynała płakać.

* * *

Dzieci z trudem zwlekały się z łóżek. Tak było niemal każdego ranka. O siódmej Jared był już na nogach, golił się, brał prysznic

i pełen energii nucił coś pod nosem. Taki radosny. Do diabła z nim. Larissa otworzyła drzwi do sypialni dzieci, kazała im wstawać, zeszła na dół, wyjęła miski na płatki śniadaniowe, wypuściła psa, który wypadł na zimno pełen radosnego oczekiwania, co przyniesie dzień. Wszyscy powinni być psami. Ale dzieci Larissy, zwykle spektakularnie mało spostrzegawcze, narzekały, że za oknem jest ponuro i zimno, i nie chciały wyjść z ciepłych łóżek. Larissa prawie pozwoliła im zostać w domu. Jeden dzień, co za różnica? Co ich ominie? Masa atomowa magnezu? Podział władzy? Będą miały szczęście, jeśli uda im się tego nauczyć. Asher przez całą siódmą klasę uczył się historii Ameryki i nie przeczytał ani słowa z konstytucji. Ani słowa. Nie potrafił powiedzieć, co to takiego skała Plymouth ani pielgrzymi. Albo „Mayflower”.

Ach tak. Emily miała konkurs wiedzy o nauce, Asher projekt z gliny związany ze starożytnym Egiptem, a Michelangelo ukochane zajęcia plastyczne. W końcu przekonała ich, żeby wstali, marząc o tym, by zakopać się w pościeli, gdy wyjdą do szkoły.

Czy wszystko byłoby inaczej, gdyby pozwoliła dzieciom przeczekać w domu paskudny dzień? Nawet niezbadane atomy poruszające się po swoich ścieżkach we wszechświecie od czasu do czasu w niewyjaśniony i dowolny sposób zbaczają z toru. Czy pozwolenie dzieciom, by zostały w domu, byłoby przerwaniem ścieżki atomu? A może było nim wysłanie ich do szkoły? Nikt nie mógł tego wiedzieć.

Przez następne czterdzieści minut w domu rozbrzmiewała litania próśb. „Asher, zabierz okulary z łazienki”. „Em, nie zapomnij o wionlonczeli”. „Michelangelo, wypij mleko”. „Asher, uczesz się”. „Em, nie wiem, gdzie są twoje buty. Pewnie tam, gdzie je zostawiłaś”. „Michelangelo, wypij mleko. Musimy już iść”. „Asher, zabierz piramidę. Tak, tę rzecz, nad którą pracowaliśmy przez cały weekend”. Nazwali go Asher, bo znaczyło to „szczęśliwy”. Łagodny chłopak wyglądał zupełnie jak matka, wysoki i szczupły, o spokojnym spojrzeniu.

- Asher, zjedz jogurt.
- Nie znoszę jogurtu, mam. Jest obrzydliwy.
- Od kiedy? Kiedyś go uwielbiałeś.

- Tak, i ssałem kciuk. Wszystko się zmienia, mamó.

- Nie, nie możesz zjeść ciastka. Weź sosjabłkowy. Emily, włóż inną parę butów. Masz przecież jedną czy dwie. - Emily była podobna do ojca, ale miała okrągłą twarz i loki. - Michelangelo! Dokończ płatki. - Złamali zasadę i poczęli najmłodszego syna z tajemniczą grzywą kręconych jasnych włosów i najgorszym charakterem z możliwych. - Riot! Przestań skakać!

Jareda już dawno nie było. Dwoje starszych dzieci biegło przez wiatr długą wąską ulicą, by złapać szkolny autobus na rogu Bellevue i Summit. Był to trzyminutowy olimpijski sprint, na który zostawiali sobie dokładnie dziewięćdziesiąt sekund. Jak powiedziała wcześniej, wyjście do szkoły było cudem, może wcale nie takim małym. Larissa pokuśtykała podjazdem, za nią tupał Michelangelo z plecakiem na książki, lecz bez szalika i rękawiczek (z powodu ich braku zostanie uznana za złą matkę w poczekalni dla rodziców, do której nie zaglądała). Podwoziła go półtorej mili do Lincoln, zaparkowała i szła, kulejąc, z jego zimną dłonią w swojej.

Strażnik na przejściu dla pieszych zapytał ją jak noga.

- Już lepiej?

- Tak, dziękuję - odparła, choć wcale tak nie było.

Szczęście w nieszczęściu, że to była lewa noga, bo inaczej nie mogłaby prowadzić.

Michelangelo spóźnił się tylko dziesięć minut.

- O, dzień dobry, Michael. Miło, że wpadłeś - powiedział przechodzący dyrektor, a chłopczyk odwrócił się, uśmiechnął szelmowsko do bladej machającej ręką matki i popędził korytarzem, mimo że nie wolno tam było biegać.

Właśnie wtedy, w godzinach pomiędzy przysięgą na wierność sztandarowi, na którą się spóźnili, a popołudniowymi zakupami, Larissa stała ze świeżo sklejonymi pudłami na książki niedaleko okien, przy których robiła makijaż. Po czterech tygodniach noga nadal ją bolała, gdy zbyt długo się na niej opierała. Okna sypialni znajdowały się od frontu i za wysokimi pozbawionymi liści dębami widziały wzgórze pola golfowego, a za nimi autostradę i centrum handlowe. Jakże to praktyczne:

piękno i użyteczność, natura i dzieło człowieka. Larissa oparła dłoń na zimnej szybie, by poczuć życie na zewnątrz.

Odchodząc od okna, spojrzała na książki. Stały świeżo odkurzone, błyskając grzbietami. Ernestina była taka dokładna. Przez trzy godziny razem ze swoją ekipą pucowała dom do czysta. *Muy limpio*. Książki nigdy nie były zakurzone. Nigdy nie widniała na nich ani jedna plamka.

Nie miały też oślich uszu.

Larissa miała w domu czterdzieści półek z książkami, nie licząc tych należących do dzieci i męża. Jedna na każdy rok jej życia. Na dwudziestu czterech znajdowały się książki, które już przeczytała. Pozostałe szesnaście...

Cztery półki w sypialni mieściły książki, które zamierzała przeczytać. W końcu musiała podzielić je na kategorie, stworzyć hierarchię ważności, niczym kasty w Indiach, żeby lepiej się zorientować, w jakim porządku ich *nie* czytać. Była więc sekcja literatury faktu, podzielona na wspomnienia, tematy ogólne, religię i filozofię. Sekcja komercyjnej beletrystyki, której wystarczy na następne dwa lata. I jeszcze sekcja poważnej beletrystyki w twardych okładkach, której nie zamierzała czytać przez następne trzy lata. Minęło już cztery czy pięć lat od chwili, gdy dotknęła którejś z książek na tych półkach. Kupowała książki i katalogowała je jak sprawna bibliotekarka, w nadziei, że kiedyś znajdzie czas. Dom był nieskazitelnie czysty, dzieci w szkole, mąż wychodził dziś na kolację, miał czyste białe koszule, każdy projekt będzie zrealizowany na czas, w każdej szufladzie panował porządek. Jak uda jej się znaleźć czas, by otworzyć *Sto lat samotności*, wydanie krytyczne *Lolity*, *Pieśń kata*?

Na plus Larissy trzeba jeszcze zapisać, że w domu nie było szuflad z „różnościami”. Łóżko było zaścielone jak prezydenckie łożo w apartamencie w hotelu R i t z - Carlton. Wszystkie pięć łożek. Jak marzenie.

Książki straciły już nadzieję, że zostaną przeczytane. Jared, który uważał, że jest bardzo zabawny, nazwał je „lista nielektur”. Jedyne, które próbowała czytać, to te dostarczane w pudełku UPS do czerwonych frontowych drzwi. Dziękowała Dominikowi, kurierowi, spoglądała nad jego głową na pole golfowe za wąską ulicą i dębami, na wypieleg-

nowane trawniki przypominające dolinę, a potem zatrząskiwiała drzwiami, otwierała kartonowe pudło i sprawnie wyjmowała jego zawartość, tak by nie zakłócić porządku. Najpierw kładła książkę po swojej stronie łóżka, gdzie miała niewielkie szanse, by zwrócić na siebie uwagę. Jeśli spadła z łóżka na bieżnię domową, jej szanse poważnie malały, ponieważ na kołowym roku nowo przybyłe książki przykrywały magazyny plotkarskie, „People” i „Entertainment Weekly” (ten drugi krył jednak w sobie mnóstwo słów), zużyte płatki kosmetyczne i brudne staniki, koszule i skarpetki, kardigany, często kolczyki, czasami słuchawki, trzy pary, i wydrukowane z internem bzdury dotyczące ostatniej ważnej imprezy. Udawała, że może je przeczytać, leżąc pod kołdrą Ralphi Laurena. Jej strona łóżka była jedynym miejscem w domu, w którym panował chaos.

Dziś więc Larissa zdecydowanie zajęła się ostatnim nieuporządkowanym elementem swojego uporządkowanego życia. Książka po książce, półka po półce przesuwiała się od góry do dołu i wkładała książki do pudeł, które przekazała Sklepowi Charytatywnemu Świętego Pawła w Summit.

Czytała *Władcę much* Williama Goldinga? Dzięki książkom mogę stać się kimś innym, pomyślała. Nie potrzebowała o tym czytać, *Władcę much* miała w domu codziennie. Czytając książki, chciała znaleźć się jak najdalej od samej siebie.

Strach przed lataniem Eriki Jong? Nie, za dużo seksu. To tylko ją rozwścieczy, niepotrzebnie rozpali.

Birdsong Sebastaina Faulksa? Miłość! Pierwsza wojna światowa! Nic nie wiedziała o tej drugiej - idealnie. Była trochę za bardzo oddalona w czasie. Niechętnie wrzuciła książkę do pudła, wspominając z ukłuciem żalu, że przede wszystkim dlatego ją kupiła - żeby poczytać o czymś, o czym nic nie wiedziała.

Lonesome Dove? Zbyt teksańska. Kiedyś chciała ją przeczytać. Ale kiedyś chciała przeczytać wszystko.

Pani Dalloway Virginii Woolf? Zaraz, tę czytała! Skąd się tu wzięła? Tak, była niemal pewna, że ją czytała. Była w niej jedna linijka, do której stale wracała. Czytała ją raz po raz, aż wbiła się jej w pamięć.

Ale dzisiaj, kiedy siedziała na podłodze i przerzucała kartki, nie potrafiła sobie przypomnieć, nawet czego dotyczyła ta linijka, nie mówiąc już o słowach. Pamiętała tylko, że miała znaczenie, a teraz nie mogła sobie przypomnieć ani jednego słowa. Zdegustowana wrzuciła książkę do pudła, a potem kciukiem pamięci przesunęła po *Jestem legendą* Richarda Mathesona. Jared uwielbiał tę książkę, gdy był młody (młodszy).

Zadzwonił telefon, nie odebrała. Zadzwonił dzwonek do drzwi. Dwóch mężczyzn przywiozło zmywarkę do naczyń. Musiała zostawić na wpół ukończone zajęcie i siedzieć przy instalatorze Chrisie i jego milczącym towarzysz, którzy potrzęsali głowami na widok jej szafek kuchennych i powiedzieli, że zmywarka nie wejdzie na miejsce bez oderwania kawałka podłogi.

- A l e jesteście specjalistami od wszystkiego - powiedział z uśmiechem potężny Chris. - Znamy się na robocie.

Uśmiechnęła się blado.

Nie chciała dziś wychodzić. Pokuśtykała do piwnicy i otworzyła zamrażarkę, by sprawdzić, czy nie znajdzie tam zapomnianego kawałka mięsa, który mogłaby rozmrozić. Może zjedzą dziś wieczór coś wegetariańskiego, na przykład fettuccine Alfredo. Z kawałkami bekonu. To znaczy prawie wegetariańskiego, jeśli nie liczyć wędzonej wieprzowiny. Mogłaby zamaskować brakjedzenia chlebem czosnkowym, ale nie miała chleba. Ani czosnku. Ani bekonu.

Dziewięcioprogramowa zmywarka z nierdzewnej stali ze specjalnym cyklem płukania i podgrzewanym suszeniem przyjechała w południe. Kiedy monterzy wyszli - nie zniszczywszy podłogi - była prawie pierwsza. Planowała wziąć przed wyjściem prysznic, ale teraz nie miała na to czasu. Musiała odebrać Michelangela ze szkoły za dwadzieścia trzecia. Poza tym, żeby mogła wziąć prysznic, Jared musiał owijać jej nogę w gipsie plastikową torbą. Nie sądziła, by proszenie Chrisa i jego kumpla, speców od wszystkiego, żeby pomogli nagiej kobiecie ze złamaną nogą wejść do kabiny, było rewelacyjnym pomysłem. Nie kwalifikowało się też jako wszystko, od czego byli specami.

Choć prawdę mówiąc, gdyby miała wybór, wolałaby wziąć prysznic

w asyście dwóch nieogolonych obcych mężczyzn niż wejść do supermarketu King's nieumyta i nieumalowana.

6

Stary dobry targ King's

Dzieci i mąż muszą coś zjeść. Dzieci! Co z dziećmi? King's był oblężony. Wydawało się, że cała populacja Summit postanowiła zaatakować malutki parking za supermarketem; dwadzieścia tysięcy samochodów próbowało się zmieścić na dwustu miejscach. Tylko ona potrafiła to dokładnie obliczyć. Siedziała przez trzy sekundy, czekając, by skręcić w prawo w betonowe szaleństwo, gdzie każdy cadillac escalade trąbił na każdego range rovera, każda kobieta przez opuszczoną szybę wrzeszczała na drugą: „Wyjeżdża pani?”.

Larissa wyłączyła migacz i zmieniła zdanie. Znajdzie inny supermarket. Wyobraziła sobie, jak powalają na ziemię szalona dama w furtze jeżdżąca zielonym hummerem.

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, dokąd jechać, bo zawsze robiła zakupy w King's przy Main Street. Znajdował się siedem minut drogi od jej domu, dwie pary świateł i skręt w prawo, i mogła tam znaleźć wszystko, czego potrzebowała. Brak związanych z zakupami kłopotów był bardzo ważny. Larissa zawsze się starała, by jej życie było wolne od wszelkich kłopotów, dlatego też gips na nodze kładł się na nim cieniem. Czy złamana noga była atomem, który wypadł z kursu?

Postanowiła pojechać Main Street do Madison, następnego małego miasteczka, by tam znaleźć supermarket. To tylko trzynaście minut drogi.

W zeszłym tygodniu podczas lunchu w Neiman's Café Maggie zapylała:

- Gdybyś mogła być jakąkolwiek osobą na świecie, kim byś była?

Larissa odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Na zawsze czy tylko na jakiś czas?

- Czy to ważne?

- Tak - odparła Larissa. - Bo jeśli tylko na jakiś czas, to chciałabym być setką różnych osób. Jeśli na zawsze, to nikim. Nie chciałabym żyć na zawsze życiem innej osoby.

Resztę radosnego lunchu spędziły na zastanawianiu się, kim chciałby zostać. Kimś innym niż my, postanowiła Larissa, bo chciałyby sprawdzić, jak to jest żyć życiem możliwie najdalszym od swojego, a Maggie z szelmowskim błyskiem w oku powiedziała:

- Larisso, ty przecież żyjesz życiem jak najdalszym od swojego.

Maggie miała rację. Summit już było życiem innej osoby, myślała Larissa, jadąc powoli. W poszukiwaniu supermarketu gapiła się na małe sklepiki w dzielnicy biznesowej. Mogłaby bez trudu stać się zawodowym protestującym jak Che, mogłaby pojechać na Filipiny. Larissa bardzo oddaliła się od siebie samej. Może dlatego nie czytała.

Och, te wymówki. Było ich tyle co kropli deszczu.

Zapytała Jareda, czy chciałby być kimś innym, a on bez wahania odparł, że Robertem Neville'em w *Jestem legendą*. Larissa pomyślała, że to bardzo dziwne.

- Zupełnie sam na świecie - wyjaśnił Jared - próbuje jakoś przetrwać w nadziei, że uda mu się dożyć następnego dnia, bo złe rzeczy, które chcą ci wysać duszę, pojawiają się nocą. Chciałbym być łowcą wampirów. I nosić srebro w kieszeni. Tylko przez jeden dzień. - A potem odtańczył w sypialni szalony taniec w samej bieliźnie.

Po lewej stronie Larissa wypatrzyła tablicę „Wielkie otwarcie” przy Super Stop&Shop. Uśmiechnęła się (bo Asher nazywał tę sieć Duper Shop&Stop) i włączyła migacz, czekając cierpliwie, aż przejadą samochody z drugiej strony.

Parking był duży i pusty. Zaparkowała przy iglakach w donicach. Przez wyrwę w płocie zobaczyła mały cmentarz. Wysokie granitowe nagrobki były rozmieszczone bezładnie na podmokłym gruncie, czarne na białym. Kiedy wyjmowała kluczki ze stacyjki, brała torebkę i wysiadła z lśniącego cadillaca escalade, przypomniała sobie! Nie cały, nie

sens, ale samo sedno cytatu z *Pani Dalloway*. Coś o czwartku, piątku i sobocie, a potem: „...że życie musi się skończyć! Nikt nie będzie wiedział, jak ona bardzo je kochała”*.

7

Cmentarzyska

Potrzebowała tylko kilku rzeczy, dlaczego więc trzydzieści minut później nadal snuła się po sklepie? Dziś po szkole Asher ma wizytę u ortodonta i lekcję gitary. A Emily lekcję wiolonczeli i śpiewu. Jak mogła pozwolić, by ostatnie kilka minut popołudnia zostało wessane pomiędzy półki z mąką tortową, przyprawy cajun i nowe kości dla Riot, ser mozzarella i nowy jogurt probiotyczny, bez którego najwyraźniej nie mogła żyć? Pracowały tylko trzy kasjerki, jedna akurat zaczynała albo kończyła przerwę, czyli była okropnie powolna. Larissa czuła, że puchnie jej kostka. Nie mogła się nawet zmusić, by uśmiechnąć się do mającej problemy z czasem kasjerki, która wyglądała na dwanaście lat i sama niewiele się uśmiechała.

- Chce pani dokonać wypłaty?
- Słucham? - rzuciła Larissa przez zaciśnięte zęby.
- Czy chce pani dokonać wypłaty?
- Nie, dziękuję. - Chciałabym odzyskać trzydzieści minut mojego życia, może to pani załatwić?

Pełne pięćdziesiąt minut po przejściu przez automatyczne drzwi Stop&Shop wyszła przez nie, opierając się o wózek z zakupami. Było zimno, miała rozpiętą kurtkę, a przykrótki dres - choć pasował idealnie do gipsu - odsłaniał jej drugą kostkę. Zapomniała o szaliku i rękawiczkach. Co by się stało, gdybym przyłożyła wilgotny język do metalowej

* Virginia Woolf, *Pani Dalloway*, tłum. Krystyna Tarnowska.

rączki wózka, pomyślała, popychając go wolno przez parking. A gdyby przymarzył? Robiły to z Che, gdy były dziećmi. Wizja siebie samej - prawie czterdziestoletniej, kulejącej, przemarzniętej do szpiku kości, w rozpiętej kurtce, za cienkiej bluzce, z sześcioma siatkami pełnymi zakupów w mroźny styczniowy dzień z językiem przymarzniętym do metalowej rączki - doprowadziła Larissę do śmiechu.

Z kurzymi łapkami, które pozostały jako wspomnienie tego śmiechu, przeszła obok młodego chłopaka, który siedział na lśniącem motocyklu i wkładał kask. Cały był motocyklem. Brązowa skórzana kurtka, dżinsy, czarne buty. Kask był metalicznie srebrny, nie pasował do pomarańczowo-czarnego motocykla. Chłopak uśmiechnął się do niej.

- Co jest takie zabawne? - zapytał.

Larissa rozejrzała się w poszukiwaniu samochodu. Zmieszana swoimi idiotycznymi myślami i mdłym uśmiechem, próbowała pokryć to wzruszeniem ramion i grymasem mówiącym „Och, nic takiego”, który przeszedł w uprzejme skinienie głowy.

- Bardzo jest pani dzielna - powiedział chłopak - chodząc tak z nogą w gipsie. Mogę pomóc?

- Nie, dam sobie radę. - Odwróciła oczy, bo zwykle starała się unikać przedłużonego kontaktu wzrokowego z obcymi mężczyznami, zwłaszcza na motorach, w dżinsach, wysokich butach i lśniących kaskach. - A le dziękuję.

Zsiadł z motoru i podszedł do niej.

- Jak długo w gipsie?

- Prawie cztery tygodnie.

- Złamała pani nogę w okolicy Bożego Narodzenia? - Zagwizdał. - A to pech. Jak to się stało? Na nartach?

- Na nartach? Nie. Nie jeżdżę na nartach. Ja tylko... to głupie. - Nadal na niego nie patrzyła, ale zwolniła kroku. Nie zatrzymała się, tylko zwolniła. - To kostka. Potknęłam się, wychodząc od fryzjera.

Wybuchnął śmiechem.

- Potknęła się pani, wychodząc od fryzjera? Śmieszne.

- Wtedy tak nie uważałam.

- Ma pani rację... Ale można się z tego pośmiać.

- Naprawdę? - odparła niezobowiązująco, marząc, by pochuchać w zmarznięte dłonie. - Nie dlatego... - Przed oczami znów stanęła jej wizja języka przymarzniętego do metalowej rączki wózka. Boże! Zatrzymała się.

- Zauważyłem jedną rzecz dotyczącą kobiet - zaczął zabawnie oficjalnym tonem. - Jest oparta na latach bacznej obserwacji...

- Latach! - mruknęła Larissa, zwracając uwagę, jak bardzo jest młody. - Czyżby?

Zaśmiał się swobodnie.

- Tak. Dorastałem z matką, babką i dwiema starszymi siostrami. Jak więc mówiłem, po latach obserwacji doszedłem do wniosku, że kobiety bardzo dbają o włosy.

Larissa zapomniała na moment, jak bardzo jest jej zimno.

- Niemożliwe.

Chłopak nie dał się podpuścić.

- Nawet w supermarkecie w parszywe poniedziałkowe popołudnie włosy kobiet są zadbane znacznie bardziej niż jakkolwiek inny element ich wyglądu. - Mówił o tym, jakby czytał poezję, jakby to była jego filozofia życiowa, a Larissa chciała tylko zapiąć kurtkę, żeby nie zauważył wystrzępionego dresu. Mówił o włosach tak, jak Ezra opowiadał o metafizycznej rzeczywistości duszy.

- Są zawsze czyste - ciągnął chłopak - wystylizowane z użyciem pianki albo żelu. Kobiety *myślą* o włosach. Żadna nie wychodzi w pustym domu spod prysznica i po prostu nie wyciera ich ręcznikiem.

- Co pan powiedział? - Zmrużyła oczy. W pustym domu? - Pan też nie?

Jego włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Zdjął kask, żeby pokazać jej dziwaczną głowę, a jego rzadkie brązowoblond włosy powiewały we wszystkich kierunkach.

- Ja jestem wyjątkiem - odparł wesoło. - Ale kobiety myślą o włosach bardziej niż o czymkolwiek innym, zgodzi się pani ze mną, prawda?

- Nie zgadzam się.

- Nie? Nie myśli pani, co w nie wpiąć, jak je podkreślić, zageścić,

ułożyć, nadać im kształt? Jak je upiąć, zapleść? - Wskazał starszą kobietę popychającą wózek obok nich w mroźnym powietrzu. - Proszę spojrzeć. Narzuciła zamiast płaszcza dywanik z baraniej skóry, na nogach ma trzewiki męża, ale jej włosy są nieskazitelnie ułożone i lśniące! Zero makijażu, ale włosy są idealne. Wygląda jak wilkołak.

Wilkołak? Larissa patrzyła na niego, zastanawiając się, w którym miejscu powinna się obrazić, a w którym roześmiać. Miał takie wesołe oczy. Najwyraźniej był przekonany, że jest bardzo mądry.

- To nie była krytyka - zapewnił ją - lecz komplement. Włosy rządzą światem.

Dobra, pobawi się trochę w ten lodowaty poniedziałek. Czemu nie?

- Włosy i buty.

- Tak jest! - zgodził się ochoczo. - Na wszystko pośrodku nie ma sensu marnować ani czasu, ani pieniędzy.

To była prawda. Czy kogokolwiek obchodziło, że wydała dwadzieścia siedem dolarów na maszczę Chanel zamiast sześciu na Maybelline?

Nie odezwała się, mrużyła tylko oczy w słońcu. Chłopak włożył kask. W ciągu kilku sekund milczenia myśli Larissy błądziły pomiędzy włosami i butami, maszczą i džinsami. Między paskami i naszyjnikami dostrzegła jeszcze jedną rzecz, którą zauważali zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Pewnie trzecią po włosach i butach.

Rowek między piersiami.

- Zdradzę pani mały sekret - powiedział chłopak. - Mężczyźni nigdy nie patrzą na buty.

- Niektórzy mężczyźni.

- Na pewno nie hetero.

Roześmiała się.

- Więc nie buty, lecz włosy?

- Tak. Na włosy patrzymy.

I na piersi. Miała nadzieję, że w blasku słońca chłopak nie zauważy wyrazu jej oczu. Milczał jednak - w ten charakterystyczny sposób, w jaki ludzie milczą, gdy myślą o czymś, czego nie mogą powiedzieć.

- Biżuteria? - szukała innych rzeczy.

- Jeśli błyszczą, uwodzi, to tak.

Uwodzi! Teraz ona milczała w ten charakterystyczny sposób, w jaki ludzie milczą, gdy myślą o czymś, czego nie mogą powiedzieć.

Pochylił się w jej stronę. Larissa odsunęła się i popchnęła wózek.

- Miłego dnia!

- Na pewno nie potrzebuje pani pomocy? - Zbliżył się i położył rękę na wózku. Czy wolno mu było to zrobić? Czy to nie było tak, jakby położył dłoń na brzuchu ciężarnej kobiety? Czy to nie było wbrew jakiejś głupiej zakupowej etykietce? - Pomogę pani włożyć do samochodu zgrzewkę coli. Daleko pani stoi?

- Nie, nie. - To była reakcja na chęć pomocy, nie na pytanie o odległość.

Nie słuchał jej jednak i już popychał wózek, a ona szła powoli obok niego. Zanim znalazła odpowiedni guzik na pilocie do samochodu, przebiegła jej przez głowę myśl: Czy on nie jest groźny? A jeśli jest jednym z tych... Nie wiem. Czyż nie nasłuchiwała się o nich? O mężczyznach, którzy porywali dziewczyny z parkingów?

I co z nimi robili?

Ale on nie był mężczyzną.

A ona nie była dziewczyną.

Wyglądał dość egzotycznie, z lekko skośnymi oczami i wysoko zarzawanymi kośćmi policzkowymi. Jednocześnie słodko i niechlujnie. Zresztą kto by ją porwał z parkingu? I - co ważniejsze - po co?

I jeszcze ważniejsze - jak by się poczuła, będąc porwaną?

I czy to było pytanie retoryczne?

Jak to się stało, że te wszystkie myśli, wrażenia, obawy, niepokoje, reakcje przebiegały jej przez głowę w ułamku sekundy, jak sen, który zdaje się trwać godzinami, ale tak naprawdę mija tylko kilka sekund, zanim zadzwoni budzik? Po co tyle myśleć?

I czy *to* było pytanie retoryczne?

Podniosła klapę bagażnika, a on gwizdnął i powiedział:

- Niezła fura. Wypasiona.

Jakby mógł to wiedzieć.

załadował zakupy do luksusowego pojazdu w dwadzieścia sekund. Zatrząskując klapę, uśmiechnął się.

- Teraz wszystko w porządku?

- Oczywiście.

Wcześniej też było w porządku, ale nie chciała tego powiedzieć. Zabrzmiałoby niegrzecznie.

Zaczął iść powoli w stronę motocykla.

- Miłego dnia. I proszę się trzymać z dala od fryzjerów - poradził. - Wcale ich pani nie potrzebuje.

Kiedy Larissa dojechała do domu, zostawiła zakupy w samochodzie razem z torebką, wpadła do środka przez tylne drzwi i szybko pokiwała do dużego lustra w holu.

Przyjrzała się swojemu odbiciu. Była ubrana w zieloną parkę, szare spodnie od dresu kupione w college'u i podarty brązowy podkoszulek. Na twarzy nie miała ani śladu makijażu, a niemyte od wczoraj włosy nie widziały szczotki od dwóch godzin. Usta spierzchnięte od mrozu, a policzki lekko zaróżowione i pokryte plamami.

O co mu mogło chodzić? Stała przed lustrem przez długą chwilę, po czym nagle otrząsnęła się i wybiegła z domu jak Quasimodo, by odebrać ze szkoły najmłodsze dziecko.

8

Dziewięćdziesiąt dziewięć czerwonych balonów

Michelangelo robił wyklejanki do szkoły, chrupał cheerios, serowe sznurki i ciasteczko, popijając wszystko mlekiem i poprawiając miseczką owoców, a Larissa kręciła się po kuchni i zaglądała do zamrażarki, uświadomiwszy sobie zbyt późno, że jednak nie kupiła mięsa. Teraz szukała mielonej wołowiny, którą mogłaby szybko rozmrozić i zrobić zapiekanekę lub tartę. Może mogłaby zostawić Michelangela z dwójką starszych dzieci, powinny wrócić do domu lada chwila...

I wróciły. Trzasnęły tylne drzwi, na podłogę poleciały plecaki i buty. Dzieci wpadły do kuchni, otworzyły lodówkę i...

- W tym domu nie ma nic do jedzenia - powiedziała Emily, zatraskując drzwi. - Mamo, musimy iść. W zeszłym tygodniu prawie spóźniłam się na lekcję i nie chcę się znowu prawie spóźnić.

- W porządku, kochanie - odparła Larissa. - Pospieszę się z obiadem, żebyś znów się prawie nie spóźniła.

Najpierw lekcja wiolonczeli. Potem karate Michelangela i gitara Ashera. Poniedziałki zawsze były zwariowane.

- W przyszłym tygodniu zaczynają się treningi na bieżni - zawołał Asher. - Zapiszę się.

- Przed czy po karate? Przed próbą orkiestry czy po?

- Z jednym i drugim, mamo.

- Przed wizytą u ortodonta o piątej dziś po południu czy po?

- Z wizytą, mamo.

Ezra zadzwonił, gdy nie było jej w domu, powiedział, że musi z nią porozmawiać, a kiedy oddzwoniła, jego z kolei nie było i Maggie bardzo tajemniczo oświadczyła, że Ezra rozmawia z nią w sobotę przy kolacji.

Kiedy do domu wrócił Jared, spojrzął na nią i rzucił żartem:

- Ale ż kochanie, nie musisz się dla mnie tak odstawiać.

Jej twarz bez makijażu i brak uśmiechu nie powstrzymały go jednak przed pocałunkiem, połaskotaniem jej, przed zjedzeniem zapiekanki z wołowiną, wyniesieniem śmieci, przygotowaniu plakatu o walce z chuligaństwem dla Ashera i od spojrzenia na osiem zaklejonych pudeł stojących przy ścianie sypialni.

- No proszę - powiedział. - Co ty tu wyprawiałaś? Dlatego przez cały dzień nie odbierałaś telefonu?

A potem zapadła noc i zasnęli wszyscy z wyjątkiem Larissy, która siedziała w łóżku z magazynem „People” na kolanach, patrząc na spokojnie śpiącego męża, łowcę wampirów. W jej głowie wirowała karuzela słów: „Życie musi się skończyć! Nikt nie będzie wiedział, jak ona bardzo je kochała”.

1

Rzeczy, które widać

Życie zewnętrzne przez większość czasu było jedynym życiem, jakie znała Larissa. Wyszła za mąż za mężczyznę, w którym zakochała się w college'u. Kochała go, bo jej przyjaciele byli albo zaćpanymi hipi-sami jak Che, albo wielosylabowymi molami książkowymi jak Ezra, a Jared stanowił niezwykle połączenie obojga i na dodatek świetnie grał w baseball. Oczarował ją tym połączeniem sportowca i mózgowca. Nosił czapeczki baseballowe i okulary w czarnych oprawkach *i* grał jako miotacz, dopóki nie poddało się jego ramię. Ponieważ nie mógł żyć bez baseballu, pracował jako nauczyciel angielskiego i trener Małej Ligi. Potem zdaniem Ezry sprzedał się kompletnie i zdobył tytuł MBA zamiast planowanego od dawna tytułu doktora literatury amerykańskiej. Różnica pomiędzy tymi dwoma tytułami oznaczała jednak, że Larissa i Jared nie byli stale spółkani w przeciwieństwie do Ezry i Maggie.

Kupili obszerny szary dom w stylu kolonialnej farmy przy Bellevue Avenue na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na pole golfowe; dom z rodzaju tych, o których się marzy, z dwunastoma szczytami w dachu i dużymi białymi oknami, przysłanianymi przez czarne żaluzjowe okiennice. Przy ścieżkach stało trzydzieści glinianych donic z kwiatami kwitnącymi latem i zimą - bratkami, niecierpkami i poinsencją.

Larissa i Jared mieli panoramiczne telewizory i najnowszy sprzęt stereo. W pokoju gier stały stoły do bilardu i ping-ponga, stół do gry w hokeja, a w ogrodzie znajdowały się podgrzewany basen i jacuzzi.

Ich szafy zaprojektowali dwaj specjaliści od organizowania zawartości szaf (niezły opis obowiązków zawodowych), a trzy razy do roku zjawiał się człowiek porządkujący dokumenty, by zaprowadzić ład w ich papierach. Jared płacił rachunki. Jeździł lexusem SUV, Larissa cadillakiem escalade. W kuchni mieli urządzenia z nierdzewnej stali i granitowe blaty, w łazienkach marmury, w pokojach parkiet, a dyskretne oświetlenie domu można było automatycznie przyciemnić. Sześćdziesiąt okien, które trzeba było profesjonalnie myć cztery razy do roku, okalały ramy z pomalowanego na biało drewna pasującego do gzymsów.

Larissa mieszkała o milę od Main Street w Summit i pięć minut jazdy od luksusowej galerii handlowej w Short Hills, gdzie swoje sklepy mieli Saks, Bloomingdale's, Nordstrom, Neiman Marcus i Macy's. Galeria szczyliła się parkingiem z obsługą, sushi i pysznym cappuccino, szklanym dachem i każdym sklepem, w którym warto robić zakupy.

Kiedy dzieci były małe, poświęcała im cały czas, teraz podrosły i wymagały mniej zachodu. Emily w wieku jedenastu lat była idealnym dzieckiem, biorącym udział w mistrzostwach siatkówki i stanowym konkursie gry na wiolonczeli, lecz teraz, jako prawie czternastolatka, przejawiała trzy z pięciu oznak opętania przez szatana. Wpadała w szal z byle powodu. Nie można jej było niczego powiedzieć, by nie zinterpretowała tego opacznie i nie wybuchnęła płaczem. Obrażała się śmiertelnie o wszystko. Nie zgadzała ze wszystkim. Stała się tak przewidywalna, że ostatnio prośby Larissy były dokładnie przeciwne do efektu, jaki zamierzała osiągnąć.

- Włóż kurtkę, jest bardzo zimno.
- Mamo, nie jest wcale tak zimno.
- Em, nie wkładaj dziś kurtki, ma być ciepło.
- Żartujesz sobie ze mnie? Chcesz, żebym zamarzła na śmierć?

Michelangelo zaczął przejawiać talent artystyczny. Jego nauczycielka plastyki w pierwszej klasie napisała: „Sądzę, że jest bardzo obiecujący”. Narysował osła złożonego z geometrycznych kształtów, nawet ogon. Kandinsky w wykonaniu sześciolatka. A może to tylko jego imię sprawiało, że rodzice dopatrywali się w nim talentu? Che myliła się co do niego. Może i nie był aniołem, z upartą naturą i uporczywym dąże-

niem do własnych celów, ale na pewno jak anioł wyglądał, z aureolą złotych, kręconych włosów i słodką buzią.

Nikt nie miał pewności, co porabia Asher. Dzisiaj grał na gitarze, wczoraj ćwiczył karate, jutro będzie biegał. Asher płynął z nurtem każdego dnia, a kiedy trzeba było podjąć noworoczne postanowienia, jako jedyny nie potrafił niczego zapisać, ponieważ mawiał: „Nie chcę niczego zmieniać. Moje życie jest idealne”. To on miesiąc temu w wieku prawie trzynastu lat odmówił sporządzenia listy prezentów gwiazdkowych, bo jak ujął wesoło: „Naprawdę nie chcę zbyt wiele”. Pragnął tylko jednej rzeczy: elektrycznego miniskutera. Gdyby Larissa i Jared potrafili go zdobyć, kupiliby go we wszystkich dostępnych kolorach: czarnym, cytrynowym, liliowym i różowym. Proszę, kochanie, nie mogliśmy się zdecydować na kolor, przyjmij więc wszystkie cztery, wesołych świąt, kochanie. W żyłach Ashera płynęła krew aniołów. Powinien nosić imię Angel.

Jared utrzymywał, że Asher jest podobny do Larissy z wyglądu i temperamentu. Larissa wiedziała jednak, że tylko z wyglądu. Emily z kolei nie chciała w żaden sposób przypominać matki, zrobiła więc trwałą i ufarbowała włosy na niebiesko. Larissa zwykle wyglądała nieskazitelnie, Emily postawiła sobie za punkt honoru, by naśladować ortodoksyjny grunge z Seattle. Larissa nie grała na żadnym instrumencie, Emily grała na wiolonczeli. Larissa uwielbiała teatr, Emily go nie zносиła. Larissa oburzała się, patrząc na Emily, ale w towarzystwie znajomych zachowywała obojętność. Jeśli to jest bunt, pogodzę się z tym, mówiła. Wolę oglądać niebieskie włosy niż wnuki.

Żałowała, że Che nie zna jej dzieci. Bardzo za nią tęskniła. Dorastały razem w Piermont, znały się od czasu, gdy miały trzy czy cztery lata. Larissa uwielbiała matkę Che, zabawną drobną panią, która paliła jak smok i rewelacyjnie gotowała. Zawsze były bez grosza, ale pani Che-rengue znalazła pieniądze, by wysłać ciało ojca Che do Manili. Matka i córka poleciały na Filipiny na pogrzeb. **Piętnaście** lat temu. Larissa była na początku ciąży z Emily. Przez wiele lat była załamana i pogrążona w rozpacz. Jak mogłaś mnie zostawić, Che? Co z naszym równoległym życiem? Co z widywaniami się codziennie? Co z naszą przyjaźnią?

Che została jednak w Manili („Czuję się tu trochę jak w domu, Lar, cóż mogę powiedzieć?”), a potem jej matka zachorowała i umarła. Larissa płakała przez kilka miesięcy. Jej matka, Barbara Connelly, powiedziała: „Mam nadzieję, że będziesz tak rozpaczać, kiedy ja wyciągnę nogi”. Uwaga ta pozostała znacząco bez komentarza.

Che poznała Lorenza przed śmiercią matki. Mieszkała teraz w Paranaque, bez matki, wynajmowała się do demonstracji i czekała, by Lorenzo się oświadczył i zrobił jej dziecko, niekoniecznie w tej kolejności.

Che przyszła do niej pewnego ranka. Mam kłopoty, Lar, wielkie kłopoty. Larissa była w ostatniej klasie, Che w przedostatniej. Miały siedemnaście i szesnaście lat, wkraczały w dorosłość. Jestem w ciąży.

Nie. Jesteś pewna?

Jak najbardziej.

Proszę, nie. Jesteś pewna?

Absolutnie. Spóźniam się dwa tygodnie. A nigdy się nie spóźniam. Co teraz zrobić?

Nie martw się. Zajmiemy się tym. Cokolwiek się wydarzy.

Nic nie rozumiesz.

Rozumiem. Jest źle. Ale będzie w porządku.

Lar, to najgorsza rzecz, jaka mogła mi się przydarzyć. Szczерze. Co powiem matce? Zabije mnie.

Nie. Twoja matka? Nigdy. Jest kochana. I dlaczego miałabyś jej mówić?

Och, Larisso. Moja rodzina to nie twoja. Ja mówię mamie wszystko.

Tego nie możesz powiedzieć. Zwłaszcza tego.

No to co zrobić? W końcu i tak się dowie.

Dlaczego? Mówię poważnie. Pójdziemy do poradni planowania rodziny. Pomogą nam. Zobaczysz. Twoja mama nie musi nic wiedzieć.

Poradnia planowania rodziny kosztuje.

Nie martw się. Ja... pomogę ci. Ale będziemy tam musiały pojechać szybko. Zrobić test.

Test? A potem co? Nie mogę mieć... Nie mogę tego zrobić. Nie rozumiesz? Nie jestem taka jak ty. Jestem katoliczką. Nie mogę tego zrobić.

*No to co zamierzasz? Będiesz katoliczką czy będziesz mądra?
Dlaczego nie mogę być taka i taka?
Wybieraj, Che.
Nie mogę. Wiem tylko, że nie mogę urodzić tego dziecka. Ale też nie
mogę go nie urodzić.
To właśnie mówię. Zdobędę pieniądze.
Jak myślisz, ile to będzie kosztować?
Ponad trzysta dolarów.
Che wybuchnęła płaczem. Skąd wezmę tyle pieniędzy?
Dam ci. Mam tyle. Zaoszczędziłam.
Jak ci je oddam?
Nie przejmuj się tym.
Jakim cudem zaoszczędziłaś tyle kasy?
Po troszku. Dolar po dolarze. Zajęło mi to cztery lata.
Och, Larisso.
W porządku. Po to są. Nie wiedziałam, na co oszczędzam. Ale wie-
działam, że na coś się przydadzą.
Nie mogę wziąć twoich pieniędzy.
Żeby się uratować?
Uratować na krótki czas, a potem smażyć się w piekle przez całą
wieczność.
Che, nie będziesz się smażyć w piekle. Kto ci to powiedział? Larissa
przyglądała się przyjaciółce. Nie wiedziałam, że poszliście z Maurym
na całość, powiedziała w końcu.
Che nie patrzyła na Larissę. Nie poszliśmy. Na widok zaskoczenia
na jej twarzy wzruszyła lekko ramionami. W zeszłym miesiącu, podczas
przerwy wiosennej, pamiętasz Nuña?
Nie. Nie pamiętam Nuna!
Ja też nie. To nie było nic poważnego. Zabawa na kilka godzin.
Maury był chłopakiem Che, ukochanym ze szkoły średniej. W przy-
szłym tygodniu wybierali się na bal pierwszego roku. A jednak się stało.
Och.
Wiem. Mówiłam ci, że to nic dobrego.
Nie możesz powiedzieć o tym mamie. Nigdy.*

Dowie się.

Nie.

Bóg się dowie, powiedziała Che i ukryła twarz w dłoniach, siedząc na schodach cichego domu Larissy w Piermont. Już pół godziny temu były spóźnione do szkoły. Był słoneczny ranek.

Wszystko będzie dobrze, powiedziała Larissa. Poradzisz sobie. Zobaczysz. Nie możesz mieć dziecka w wieku szesnastu lat. To najważniejsze. Będziesz miała dość czasu, żeby urodzić dziecko. Mamy przecież wielkie plany po szkole średniej, po college'u. Będziemy podróżować po świecie. Zamieszkamy w Rzymie i będziemy uczyć angielskiego. A potem pojedziemy do Grecji. Zostaniemy przewodniczkami we Francji, pamiętasz?

Pamiętam. Che zwinęła się jednak w kłębek obok plecaka leżącego na betonowych stopniach. Sama wyglądała jak plecak, ciemna, drobna, skulona. Larissa usiadła obok niej i poklepała ją po plecach. Jak Che mogła być tak nieostrożna, wiedząc, co to oznacza? Jak mogła się nie zabezpieczyć? Poszły do szkoły. Larissa niosła książki i śmiała się na korytarzu, udając, że wszystko jest jak zawsze. Tylko blada twarz Che przy szajkach podczas przerw przypominała jej, że nic nie jest jak zawsze.

Później zaczęły studia na Uniwersytecie Nowojorskim, gdzie Larissa studiowała teatr, poznała Ezrę, Evelyn i Jareda, podczas gdy Che, bez określonego kierunku studiów, poświęcała się wielkim krucjatom ratowania puszczyka plamistego i wielorybów, a potem jej ojciec zmarł na atak serca i Che wyjechała ze Stanów na dobre. Nigdy nie dotarły do Rzymu ani do Grecji i nie zostały przewodniczkami we Francji.

Teraz bez Che Larissa jadała we wtorki lunch w mieście z Maggie i dwa razy w miesiącu z Bo, która pracowała w Metropolitan Museum, a raz w miesiącu we czwartek jeździła do Hoboken, by spotkać się z Evelyn, którą kochała i której zazdrościła. Od czasu do czasu spacerowała ulicą z Tarą, która choć była mężatką z dwójką dzieci, zawsze wydawała się samotna. Larissa szła, a Tara mówiła i obu to bardzo pasowało. W piątki, po manikiurze i regulacji brwi, na które chodziła ze swoją młodą przyjaciółką Fran Finkelstein, Larissa pisała do Che

krótki list przypominający wpis do pamiętnika, ostrożnie trzymając pióro, by nie zniszczyć świeżo pomalowanych paznokci. Opowiedziała Che o Maggie i Ezrze, o Evelyn i jej piątce dzieci, o Bo, jej matce hipochondryczce i chłopaku nierobie. Bo pracowała jako jedyna w tym domu i ostatnimi czasy doprowadzało ją to do szału. Che była daleko i lubiła dostawać wieści z domu.

Kiedy przychodziła poczta, Larissa przerzucała katalogi i magazyny, stojąc przy wyspie w kuchni. Nie czytała już na siedząco. Nie miała czasu. Zawsze było coś do zrobienia. Telefon nie przestawał dzwonić. Evelyn pytała, co sądzi o nowej książce Marilynne Robinson (której Larissa nie czytała, ale udawała, że się jej podobała, bo Evelyn była bardzo mądra i onieśmielała Larissę).

Evelyn i Malcolm nie oglądali w Hoboken telewizji. Nie mieli nawet telewizora! Mieli dwie kanapy, fotel i kominek. I długi niski stolik, na którym stawiali filiżanki z herbatą i kieliszki z winem i kładli książki, które czytali. Kiedy Larissa i Jared przyjeżdżali z wizytą, rozmawiali tylko o książkach. Larissa często stawiała Evelyn za wzór Jaredowi, który mówił:

- Myślisz, że nie mają telewizora, bo mieszkają w Hoboken? My też mieszkaliśmy w Hoboken i mieliśmy.

I:

- Co chcesz zrobić, Lar, chcesz się pozbyć telewizora? Zaproponuj to, a ja się zgodzę.

Evelyn uczyła dzieci w domu. Trudno było pojąć, że znajdowała na to czas.

- Co chcesz zrobić, Lar? - powiedział Jared. - Chcesz uczyć dzieci w domu? Zaproponuj to, a ja się zgodzę.

- Jesteś niemożliwy, gdy stajesz się taki zadufany w sobie - odparła Larissa.

Zazdrościła Evelyn zdolności, które nawet nie wiedziała, jak zacząć zdobywać. Mogła tylko dbać o to, by dom sprawnie funkcjonował. Dom Evelyn był znacznie mniej zadbany, ale za to uczyła dzieci! A jej doba też miała dwadzieścia cztery godziny. Jak to się działo, że miała czas, by uczyć dzieci i czytać Marilynne Robinson?

- Nigdy nie włączamy telewizora.
- Wiem. Ale masz pięcioro dzieci.
- W końcu kiedyś idą spać. - Kiedy Evelyn się uśmiechała, Larissa od razu czuła się lepiej. Uśmiech Evelyn rozjaśniał świat.

Latem większość mieszkańców stanu New Jersey wynajmowała domek nad oceanem. Ale Larissa i Jared nie chcieli postępować jak wszyscy. Kupili domek nad jeziorem w samym środku rolniczej Pensylwanii, położony w lesie o dwie i pół godziny jazdy od większego miasta, nad Lingertots Pond. Larissa spędzała tam z dziećmi lato. Kiedy Michelangelo nauczył się mówić, nazwał to miejsce Lillypond i tak już zostało. Jared przyjeżdżał we czwartek wieczorem i zostawał do niedzieli. Pod koniec sierpnia wybierali się na rodzinne wakacje, w zeszłym roku oglądali Mount Rushmore, rok wcześniej odwiedzili Kalifornię i Disneyland. Wędrowali i mieszkali na kempingach. Łowili ryby i wspinali się na skały. Pojechali na wybrzeże Maine i w Góry Skaliste, do Wielkiego Kanionu i Key West. Na rocznicę ślubu w czerwcu zeszłego roku Jared zabrał Larissę do Las Vegas. A wszystko to w ciągu sześciu lat od narodzin Michelangela. Wcześniej nie mieli pieniędzy i nigdzie nie jeździli. Chłopiec mówił, że przyniósł rodzinie szczęście. A ponieważ mieszkali przy ulicy w kształcie podkowy, szczerze w to wierzyli.

Przed zamążpójściem Larissy jej rodzina składała się z trzech dużo starszych braci, bardzo ambitnych i odnoszących sukcesy. Byli wiceprezesami, dyrektorami sprzedaży i rektorami szkół. Wściekle z sobą współzawodniczyli, ale Larissa nie miała z kim rywalizować. Nie przekroczyła ani nie zawiodła niczyich oczekiwań. Niczego od niej nie oczekiwano. Jej rodzice bezwarunkowo wspierali ją we wszystkich szalonych planach. Gra na skrzypcach? Jasne. Faza punk rocka z plakatami Sida Viciousa na ścianach i tymczasowymi tatuażami, które wyglądały jak prawdziwe? Oczywiście! W wieku dwudziestu lat, gdy poznała Jareda, we włosach miała różowe pasemka. W intymnych chwilach Jared nadal nazywał ją swoją gorącą różową dziewczyną. Uznała to za bardzo seksowne, gdy przepuszczała wspomnienia przez pulsujące miejsce gdzieś w głębi siebie.

Kiedy nic innego nie zaprzętało jej głowy, myślała o teatrze. „Gdybym mógł kogo prośbami chcieć wzruszyć, Wtedy by prośby wzruszyły mnie zdołały. Ale ja stały jak gwiazda polarna”*. Rozpacz Marka Antoniusza z powodu zdrady Cezara wryła się jej głęboko w serce. „Bo Brutus mężem przecież jest szanownym. I tamci wszyscy są szanowni ludzie”**. Przy myciu naczyń recytowała scenę śmierci Desdemony. „Zabij mnie jutro, oszczędź mnie dziś tylko. Chcesz się opierać? Tylko pół godziny”***. Dlatego malowała dekoracje dla wydziału wiedzy o teatrze w Pingry. Żeby kilka razy w tygodniu usłyszeć głosy wykrzykujące tekst o miłości: „Twarda-li dla cię, bądź i dla niej **twardy!**”****

Była troskliwa, spokojna, nie narzekała, lubiła biżuterię i sprzęty kuchenne, dlatego łatwo było jej coś kupić. W przeciwieństwie do jej przyjaciółki Maggie, która choć miała wiele cnót, to kupowanie dla niej prezentu było koszmarem.

Taka była Larissa Stark. Stała jak Gwiazda Polarna.

2

Otello

W sobotni wieczór Larissa przyrządziła dzbanek margarity z triple sec, cointreau i grand marnier i tak zaopatrzeni grali we czwórkę w Skrupuły, grę, która rzucała wyzwanie pojęciu tego, co słuszne, grę moralnych dylematów, której wszyscy uwielbiali nienawidzić, a której zagadki i niejasności bardzo pomagał spłukiwać mocny alkohol.

- Nie chcę w to grać - oznajmił Jared. - Mam ochotę głupio się

* William Szekspir, *Juliusz Cezar*, tłum. Józef Paszkowski.

** William Szekspir, *Juliusz Cezar*, tłum. Józef Paszkowski.

*** William Szekspir, *Otello*, tłum. Józef Paszkowski.

**** William Szekspir, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski.

pośmiać. Nie chcę zagłębiać się w moją złożoną psychikę ani niczyją inną, jeśli już o tym mowa. Dlaczego nie możemy jak inni pogadać o transferach w baseballu?

Przeglętosowali go. Dzieci pozostały czyste i grzeczne (poza trzema jękami i tupaniem nogą Emily, i milczeniem nachmurzonego nastoletniego Dylana, syna Maggie i Ezry), nic się nie rozbiło ani nie przypaliło. Larissa, nadal z nogą w gipsie, miała na sobie zielony obcisły sweter i dopasowane czarne spodnie, włosy upięła luźno na czubku głowy i nałożyła zwodniczo lekki makijaż. Podała ser brie w puszystym cieście, paprykarz z kurczaka z makaronem papardelle, sałatkę z bekonem polaną sosem własnej roboty, a na deser domową babkę z rumem. Pili czerwone wino, poprawiając od czasu do czasu kieliszkami tequili reposado, a na koniec margaritą. W tle Glenn Gould grał Bacha jak tylko on potrafi, jego sześć partit (a szczególnie BMV 830) zapisało się w duszy Larissy tak wyraźnie, że mogłaby je sama zagrać, gdyby miała pianino i potrafiła grać. We wszystkich kominkach płonął ogień, a kiedy dzieci pobiegły do pokoju gier, by pograć w ping-ponga i gry planszowe dla dorosłych, dorośli mogli swobodnie porozmawiać. Cały dom lśnił, a na zewnątrz śniegowy puch opadał lekko na wysokie nagie dęby i zamarzniętą ziemię.

Pojawiło się pytanie, które w grze w Skrupuły pada bardzo często. Larissa uważała, że jest to jedyne pytanie zadawane w tej grze. „Widzisz, jak żona twojego najlepszego przyjaciela całuje się z innym mężczyzną. Mówisz mu?”. Kiedy ostatni raz grali z Evelyn i Malcolmem i pojawiło się to pytanie, Evelyn powiedziała Larissie, że potem nie rozmawiali z Malcolmem przez cztery dni.

Kiedy ostatni raz grali z Bo i Jonnym, jego nonszalancka odpowiedź na to głupie pytanie („Oczywiście, że nie mówię. Taki jest kodeks face-tów”) tak rozwścieczyła Bo, że musieli zrobić sobie przerwę w związku. Co było bardzo trudne, zważywszy na to, że mieszkali nadal w mieszkaniu należącym do Jonny'ego.

Gdy wylosowano tę kartę i odczytano pytanie, Ezra i Maggie wybuchnęły śmiechem, Larissa jęknęła, a Jared oznajmił:

- Wiecie, co teraz będę robił? Za każdym razem będę odpowiadał

inaczej, żeby doprowadzić was do szału, i może następnym razem zagrozi wam w Ryzyko.

- Co to znaczy „teraz”? - zapytała Maggie. - Przecież zawsze to robisz.

- Jared - Larissa zwróciła się do męża - po prostu odpowiedz na to głupie pytanie.

- Nie. Podtekst jest wyraźny. Nie rozwalajcie małżeństw, nie wywołujcie podziałów w rodzinie, nie niszczone przyjaźni, wyjawiając coś totalnie niestosownego. To opinia facetów, którzy wymyślili tę grę.

Larissa popijała drinka, a sól na brzegu kieliszka rozkosznie łagodziła smak limonki.

- Jared ma rację. Powinniśmy zwracać uwagę na reguły. Poza tym - dodała - wydaje mi się, że pomijamy najważniejszy fakt. Jak to się dzieje, że jedyną osobą, która nie ma kłopotów, jest zdradzająca. Mówimy o przyjacielach, sekretach, zobowiązaniach wobec przyjaźni. A co z zobowiązaniami wobec małżeństwa?

- Zgoda, ale to zbyt oczywiste - odparł Jared. - Dlatego nie uwzględniono tego w pytaniach. To nie jest nawet dylemat etyczny.

- A jednak pytanie pozostaje - powiedział Ezra. - Pytanie jedno z wielu - dodał z naciskiem - na które Larissa nie chce odpowiedzieć. Robi to dziś wieczór bardzo często. Nie odpowiada na pytania.

- Uspokój się, Ezra - zaprotestowała. - Wypij jeszcze jednego drinka.

- Jesteś relatywistką czy zwolenniczką absolutyzmu, Larisso? - zapytała Maggie.

- To zależy - odparła Larissa, a wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem. Ona też się roześmiała, choć nie bardzo wiedziała, co jest takie zabawne.

- Dobrze, panienko, która zrobiła zdecydowanie zbyt mocną margaritę - zwrócił się Ezra do Larissy pracownicę wyciskającej limonkę do resztki jego drinka. - Czy możemy przez chwilę porozmawiać o interesach? Nie unikaj mnie.

Larissa wyciągnęła kartę.

- Zagrajmy lepiej w „Wymyślmy pytanie do Skrupułów”.

- Dobra, ale najpierw zapytam.

Larissa miała za sobą dwie margarity i sześć partit Bacha. Uśmiechnęła się bez lęku, unosząc kieliszek w toaście.

- Zgoda, Ezra. Jak brzmi twoje pytanie?

- Po premierze *Otella* Denise wybiera się na urlop macierzyński. To już w przyszłym miesiącu.

Powiedział tylko tyle, zabrzmiało to jak zagadka.

- Czy to część gry w wymyślanie pytania? - chciała wiedzieć Larissa.

- Denise idzie na urlop macierzyński. Ale ma do dziecka ambiwalentny stosunek, bo skończyła czterdzieści cztery lata i nigdy dotąd nie rodziła. Wierzę, że jej odczucia są uzasadnione. Nie wydaje się typem macierzyńskim.

- Pytasz, czy powinnam ją odwieść od zamiaru posiadania dziecka i przekonać, by nadal zajmowała się reżyserowaniem?

- Larisso.

- Tak, Ezra?

- Przestań udawać głupią.

- Jak mogłabym być głupia?

Uwielbiała sobotnie wieczory z przyjaciółmi. Byli sobie tak bliscy.

- Dlaczego mam ci to dwa razy powtarzać? Wiesz dobrze, że chcę, żebyś została nowym reżyserem teatru w Pingry.

Siadając, Larissa zachwiała się. Wymieniła z Jaredem krótkie, lecz pachnące konfliktem spojrzenie.

Zajmowała się tłem. Malowała dekoracje, co w jakiś sposób definiowało również jej rolę w domu. A od czasu do czasu, gdy pracowała, podczas prób *Otella* słyszała w interpretacji szesnastolatka jakiś niuans, który zwracał jej uwagę. Odchrząkiwała wówczas i mówiła cicho, lecz tak, by wenecki Maur mógł ją usłyszeć:

- Spróbuj jeszcze raz, Linus, ale tym razem postaw akcent na *musi*: „Musi jednakże umrzeć, bo tak samo zwiodłaby innych jeszcze”*.

Farbę, której używała do malowania dekoracji, trzeba było roz-

* William Szekspir, *Otello*, tłum. Józef Paszkowski.

cieńczać terpentyną, co czasami wywoływało u niej straszny, rozkoszny ból głowy, ponieważ w sekrecie uwielbiała ten zapach, mimo że przez niego cierpiała, i słuchała jeszcze uważniej ostatniego aktu, mieszając czarną i białą farbę, by uzyskać burzową szarość. Czekwała, aż trochę się rozpuści, by mogła pomalować ściany za łóżkiem Desdemony, na którym prosto po treningu pływackim leżała piętnastoletnia syrena Tiffany z Chatham, nadal z aparatem ortodontycznym na zębach, lecz z torebką Coach, czekając na swojego ukochanego w osobie Linusa z Summit w butach Birkenstock, by przekonał się o tym, co nie do pomyślenia.

Za to też umrzesz.

Za to, żem kochała?

Przebóg! Dlaczego tak przygryzasz wargi?

Jakaś myśl krwawa wstrząsa tobą całym.

Groźne to znaki, ale mam nadzieję,

Że nie mnie grożą.*

- Masz zamiar mi odpowiedzieć? - dopytywał się Ezra.

- Tak. - Larissa ujęła kolejną kartę gry w Skrupuły. - Ezra, zjadłbyś miskę żywych świerszczy za czterdzieści tysięcy dolarów?

* * *

- Lar - zaczął Jared - jeśli chcesz, powinnaś przyjąć tę propozycję.

- Czego niby chcę? - odparła niewinnie. Rozbierali się w sypialni.

- Daj spokój. Mówię poważnie.

Ona jednak wypięła za dużo na poważne rozmowy. Padła na łóżko w czarnym staniku i majtkach, z rozpuszczonymi włosami, z na wpół zamkniętymi umalowanymi oczami. Podciągając nogę w gipsie, skinęła palcem na Jareda, a on upadł na nią w ubraniu, ponieważ też za dużo wypięł.

- Damy sobie radę z dzieciakami - mruknął, całując ją. - Weź tę pracę. Ezra będzie zachwycony.

* William Szekspir, *Otello*, tłum. Józef Paszkowski.

- Co takiego? Mam przyjąć tę pracę, żeby uszczęśliwić Ezrę? - Objęła go ramionami.

- Nie. Żeby uszczęśliwić siebie. - Przytulili się do siebie ukołysani rytmem małżeńskiej sobotniej nocy, po której w niedzielny poranek nie trzeba się nigdzie ruszać.

- Jestem szczęśliwa - odparła. - Nie martw się o mnie.

- Wiem, jak bardzo kochałaś reżyserię.

- Tak. - Nie otwierała oczu. Prawdziwe niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu, jedyna kwestia, na którą warto odpowiedzieć, dylemat nurtujący każde ludzkie serce: Jakie życie jest dla mnie najlepsze?

Niebawem Larissa zaśnie. Poczwała, że powoli odpływa, mimo rosnącego podniecenia z powodu bliskości leżącego na niej męża, zapachu jego zaprawionego alkoholem oddechu, jego warg na jej ustach i szyi.

- Pomyślę o tym - powiedziała trochę na odczepnego, by zakończyć rozmowę. „Pomyślę o tym” oznaczało, że postara się już nigdy nie poświęcić temu ani jednej myśli. Jęknęła teatralnie. Jared zapomniał o teatrze, a jej dokładnie o to chodziło.

3

Alejka 12

Kilka dni później, po zdjęciu, gipsu Larissa przeszła o lasce do swojego samochodu jak w piosence Uriah Heep, jak jej babka, która zmarła w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Pojechała do Pingry i skończyła malować na czarno tło śmierci Desdemony, odwiedziła bibliotekę, skąd wypożyczyła kilka książek o Abrahamie Lincolnie do szkolnego referatu Ashera, a potem zajrzała do sklepu Nee Dell's, żeby sprawdzić, czy mają jakieś nowe buty (nie mieli), i do Panera Bakery w Madison, gdzie zjadła bagietkę z papryką i mozzarellą i rosół z kury z makaro-

nem. Po lunchu miała jeszcze godzinę do odebrania Michelangela ze szkoły. Tego dnia, jak zresztą każdego innego, czas odmierzany był planem zajęć jej dzieci. Kiedy była mała, razem z Che marzyła tylko, by się uwolnić od szkoły; nie uświadamiała sobie, że nigdy się od niej nie uwolni, że ranki, popołudnia i wieczory, zadania domowe, wypracowania, projekty i referaty, notatki od nauczycieli, plany zajęć, podpisy na testach, robienie lunchu do szkoły, opieka podczas szkolnych wycieczek, egzaminy i ołówki nr 2, linijki i cyrkle, papier kancelaryjny, zebrania rodziców nie zajmą wyłącznie dwunastu lat jej życia. Jasne, kiedyś się skończą, ale wtedy zatrzyma się całe życie. Larissa będzie miała ponad pięćdziesiąt lat, kiedy ostatnie dziecko opuści szkołę średnią, i skąd wiadomo, że wtedy wszystko skończy się na dobre? Może jej córka wróci do domu jako samotna matka, zamieszka w pokoju na górze i nagle znów pojawią się zabawy z przyjaciółmi, przedszkole i pierwsza klasa, a sześćdziesięcioletnia Larissa będzie odbierać wnuki ze szkoły i nadal spoglądać na zegarek, obliczając, że zostały jej jeszcze dwie godziny, godzina, trzydzieści minut.

Jak Ezra mógł nie pojmować, że ona nie może zająć się teatrem? Co robiły matki pracujące poza domem? Czy ich ciała również pochylały się lekko, jakby dzwonił jakiś perwersyjny wewnętrzny budzik - jest w pół do trzeciej. Trzecia, przyjeżdża autobus szkolny. Codziennie. Co roku. Czy podnosiły głowy znad biurka i przyjmowały do wiadomości fakt, że kiedy one siedzą w biurze, ich dzieci wysiadają ze szkolnego autobusu i wracają do domu, w którym nie ma matki?

Larissa nie chciała, by jej życie wyglądało inaczej. Nie zapłaciłaby nikomu, by opiekował się jej dziećmi, podczas gdy ona odbywałaby próby sztuki z dziećmi, których matki pracowały.

Dzisiaj miała godzinę. Nie wystarczy, by wybrać, opracować, obsadzić i wyreżyserować sztukę na wiosnę. Było straszliwie zimno. Pojechała do Stop&Shop, bo musiała kupić proszek do prania. Jared potrzebował chusteczek higienicznych do biura i karmelków, Asher podkładki do plakatu i kleju, a Michelangelo kredek (oczywiście). Emily musiała mieć własny szampon, bo używany przez resztę rodziny Pantene dla

niej się nie nadawał. Larissa znów zaparkowała przy cmentarzu i szybko uciekła z zimna.

Była zaprogramowana jak matka. Każda minuta jej życia miała cel.

Każda z wyjątkiem jednej króciutkiej po lunchu w Panera i przed odebraniem Michelangela.

* * *

Kupowała proszek do prania w alejce 12, kiedy nagle usłyszała jego głos.

- Hej, co pani tu robi - powiedział niczym narrator komentujący fabułę - w alejce z proszkami do prania?

Popychał wózek, w którym miał tylko trzy pojemniki z sushi i prażone migdały. Podniosła wzrok znad wózka na niego.

- Hmm... Kupuję proszek? - Dlaczego uśmiechał się, jakby to było zabawne? - Rodzinny zapas się wyczerpał. - Udało się. Wspomniła o rodzinie.

Larissa nie próbowała niczego ukrywać. Niczego nie próbowała. Naprawdę robiła zakupy dla rodziny. Właśnie skończyła lunch w Panera w dole ulicy. Lubiła tę knajpkę. Dlaczego miałyby się tłumaczyć?

- Jak pani kostka?

- Dobrze - odparła. - Zdjęli mi gips.

- Widzę. Lepiej się pani czuje?

- Nie bardzo.

Stała niezręcznie obok płynu do płukania. W alejce unosił się delikatny zapach lawendy. Powinna kupić teraz trochę jedzenia.

Na wszelki wypadek wzięła jednak płyn do płukania, ponieważ stała tuż obok niego. Dwie duże butelki, żeby nie musiała szybko wracać do alejki 12 i żeby pokazać mu, że ma rodzinę, która potrzebuje gigantycznych ilości płynu do płukania, ponieważ ona jest dobrą matką i zmiękcza pranie. Chłopak podjechał wózkiem do jej alejki. Miał na sobie przetarte dżinsy, brązowe buty, brązową skórzaną kurtkę i włosy w nieładzie. Wyglądał na niedożywionego w ten typowy dla młodych

chłopaków sposób, kiedy wydaje się, że nie mogą utyc bez względu na to, ile jedzą.

- Jeździ pan w taką pogodę? - zapytała. - To szaleństwo.

- Totalne. Nie jestem do tego przyzwyczajony. - Pokazała na plamy na twarzy. - Osmalił mnie wiatr.

Matka zawsze ją uczyła, by była uprzejma, więc Larissa odparła, że nic nie widać. Ale skąd on pochodził, że nie był do tego przyzwyczajony? Jedna zima w New Jersey i już było wiadomo, czego się można spodziewać. Nie zapytała.

Kiedy skręciła w alejkę 13 z mrożonkami i pieczywem, poszedł za nią. Nie potrzebowała żadnych mrożonek. Ale i tak kupiła. Puree ziemniaczane z cebulą, brokuły i lody. I pizzę, którą zjedzą dziś na kolację. Stanęli w kolejce, on za nią. Na zewnątrz w ostrym słońcu zapytał, gdzie zaparkowała, i oboje zauważyli, że jej samochód stoi blisko jego motoru.

- Tak jak ja - powiedział - nie chce pani zapomnieć, gdzie zostawiła swój środek transportu. - Dłońmi bez rękawiczek ujął torby z sushi.

- Nie wyobrażam sobie, że można zapomnieć, gdzie zaparkowała się coś takiego - powiedziała Larissa, wskazując motor. - Nie bardzo się znam na motocyklach. - Była dumna z tego niewinnego stwierdzenia. - A le jest ładny.

Wyglądał na rozbawionego.

- Ma pani rację. To bardzo ładny motor. Ducati sportclassic.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się; nie potrafiła nawet udać, że jest pod wrażeniem.

- Kupił pan nowy?

- Nie. Jest bardzo drogi. To motor mojego staruszka. Odziedziczyłem go po jego śmierci.

- Och. - Przyjrzała mu się uważniej. - Przykro mi.

- Dzięki. Ale proszę spojrzeć na motor. - Uniósł brwi i uśmiechnął się, może lekko ironicznie. A może trochę smutno. Ale może i nie.

Znów pomógł jej załadować zakupy: ciężki proszek, płyn do płukania, dwanaście butelek dietetycznej coca-coli.

- Ktoś u pani w domu pije dużo bąbelków - zauważył. - Cały ten dwutlenek węgla fatalnie wpływa na trawienie.

- Jak to?

- Tak. Cykl Krebsa poważnie zwalnia. Dwutlenek węgla łączy się z enzymem, który przyswaja tlen. Paskudna sprawa, jeśli próbuje się schudnąć. Co, nie wiedziała pani?

- Nie - odparła powoli, marszcząc brwi. - A pan skąd to wie?

- Miałem biologię w dziewiątej klasie. - Uśmiechnął się. - Ale pani wcale nie musi chudnąć. Do zobaczenia. Niech pani trzyma się ciepło.

- Pan też.

Chciała go zapytać, jak ma na imię, ale nie odważyła się. Biologia w dziewiątej klasie!

Kiedy tylko Larissa wróciła do domu, zadzwoniła Bo.

- Moje życie powoli się rozpada - oświadczyła. - Powiedziała mi dzisiaj, że traci wzrok. Zapytałam: „Mamo, próbowałaś nosić te nowe okulary? Leżą na szafce przy łóżku”. O Boże! Wychodzę dziś wcześniej z pracy, żeby zabrać ją do okulisty. Mogę najpierw przyjechać do ciebie?

- Jasne - odparła Larissa. Lubiła Bo, która była stateczna, atrakcyjna i elegancka w ruchach, ale najbardziej lubiła w niej to, że mogła się ukryć w otaczającej ją pełnej wdzięku mgiełce egocentryzmu.

4

„Nawilżaj głowę balsamem”

- Odmawiasz udzielenia mi odpowiedzi? - zapytał z niedowierzaniem Ezra, gdy osaczył ją w kuchni pod koniec stycznia.

Ciasteczka owsiane z czekoladą spalą się na pewno, jeśli natychmiast nie wyjmie ich z pieca.

- Ezra, przepraszam. - Rękami w kuchennych rękawicach Larissa otworzyła piekarnik. Cholera. Dwie minuty za długo.

Westchnął.

- Myślałem, że się zastanowisz.

- Zastanawiałam się. - Z brzękiem wyjęła metalową podstawkę, by wystudzić ciastka.

- No to zastanów się jeszcze trochę. Zastanawiaj się, dopóki nie udzielisz mi odpowiedzi, którą chcę usłyszeć.

Śmiejąc się, zaczęła przekładać ciasteczka z blachy na podstawkę.

- Nie mogę. Nie mam czasu.

- Co ty u diabła wygadujesz? Codziennie od ósmej do drugiej masz wolny czas, który możesz poświęcić na poszukiwanie teatralnej doskonałości.

- Tylko w twoim ograniczonym, jednowymiarowym świecie - odparła Larissa - nie mam nic do roboty od ósmej do drugiej.

- Lar - zaczął Jared, nalewając drinki. Zawsze był gotów wtrącić się do rozmowy - powiedz naszym przyjaciołom, ile czasu zajmuje ci przygotowanie się do wyjścia z domu.

Larissa milczała!

- No ile? - dopytywał się Ezra. - Pół godziny?

- Pół godziny? - zawołał Jared, unosząc brwi. - Powiedz mu, Lar. Po pieczeni wołowej i ryżu z kukurydzą, kiedy najedzeni siedzieli wygodnie przy stole, Larissa w końcu powiedziała.

Czy to brzmiało nierozsądnie?

Mycie zębów itd.	5 minut
Prysznic	15 minut
Wycieranie się	5 minut
Wycieranie drobnych części ciała, np. uszu	5 minut
Wcieranie balsamu	10 minut
Makijaż	20 minut
Ubieranie się	10 minut
Włosy	30 minut

Biżuteria	5 minut
Inne, np. buty, torebka	10 minut
Razem:	1 godzina 55 minut

- I to wszystko bez ociągania się, parzenia kawy lub robienia czegokolwiek dla dzieci - dokończyła.

- Czy to jakiś żart?

- Nie widzę w tym nic zabawnego.

- Jared, i ty na to wszystko pozwalasz? - wyjąkał Ezra.

- Na nic nie pozwalam, to po prostu tyle trwa. - Jared spojrzał na Larisę.

- A le mnie zajmuje to piętnaście minut!

- Ezra - zaczęła spokojnie Larissa - widziałam, że potrafisz spędzić w łazience więcej czasu, kiedy masz towarzystwo.

Ezra odwrócił się do Maggie.

- Ile mi to zabiera?

- Piętnaście minut - odparła.

- Golę się, pięć minut, przysznic, pięć minut, ubieram, kolejne pięć.

Koniec.

- Zgoda. Ale co z tego? Co twoje sprawy mają wspólnego z moimi?

- Nie zawsze taka byłaś! W college'u na pewno nie!

- W college'u, Ezra? Całymi tygodniami chodziliśmy w jednej parze džinsów! Byliśmy hipisami kochającymi teatr. Byliśmy dumni z tego, że się nie myjemy. Wiele się zmieniło.

- Najwyraźniej.

Tego sobotniego wieczoru wszyscy próbowali przekonać Larisę, żeby sprawniej zorganizowała zabiegi upiększające i w ten sposób wygospodarowała czas, by zostać reżyserem w Pingry.

- Dlaczego musisz smarować się balsamem?

- Chcesz, żebym miała suchą skórę, Ezra? Łuszczyła się jak wąż?

- Niewiele się na tym znam, ale na pewno nie będziesz się łuszczyć.

- Na pewno będę. Mój mąż lubi dotykać gładkiej skóry.

Wszystkie lekko wstawione oczy zwróciły się na męża.

- Rzeczywiście lubię gładką skórę - przyznał lekko zażenowany, a splątane szarobrązowe włosy opadły mu na czoło. Wyciągnął rękę, by pogładzić Larissę po policzku.

- Może włosy same ci wyschną? - zasugerował Ezra. - Zaoszczędzisz trzydzieści minut.

- Wyglądałabym okropnie. - Larissa przypomniała sobie nagle wywód młodego motocyklisty o kobietach i włosach i poczuła się nieswojo we własnym domu na wspomnienie wesołej rozmowy z nieznanym na parkingu.

- To niemożliwe - zaprotestowała Maggie. - Zawsze wyglądasz pięknie. Twoje włosy są teraz śliczne.

- Zajął mi to czterdzieści pięć minut. Trzydzieści, żeby je wysuszyć, i piętnaście, żeby upiąć kok, który wygląda na lekko zmierzwiony. - Larissa z wdziękiem odeszła od tematu włosów. - Dlaczego chcecie, żebym była sucha i zaniedbana?

- Bo chcę, żebyś wyreżyserowała sztukę na wiosnę - wyjaśnił Ezra. - Dlaczego poświęcasz pięć minut na wybór biżuterii? Nie jest ci chyba potrzebna, kiedy jedziesz do supermarketu?

- Bardziej tam niż gdzie indziej - odparła. - Najwyraźniej nigdy nie byłeś w supermarkecie. Wiesz, ile razy słyszę: Podoba mi się pani naszyjnik, kolczyki, bransoletka?

- No ile? - zapytał Jared, szturchając ją lekko.

Uszczypnęła go w ramię i mówiła dalej.

- Ile razy słyszę pytanie, gdzie kupiłam taki piękny naszyjnik, odpowiadam, że u Jean. Tego chcesz, Ezra? Zrobić ze mnie bezguście i wyrolować Jean z Summit? Poza tym - ciągnęła spokojnie - biżuterię kupuje mi Jared. Chcesz, żebym nie nosiła jego pięknych podarunków? Ładna by była ze mnie żona.

- Nie nosisz wszystkiego, co ci kupuję - powiedział Jared, puszczając do niej oko.

- Przestań - szepnęła bezgłośnie i odpowiedziała mu mrugnięciem. Był w końcu sobotni wieczór i Larissa miała w sobie sporą ilość Erosa w płynie.

Rozwodzili się nad tym przez resztę wieczoru. W jej obecnym zewnętrznym życiu badano detale lakieru do włosów: czy powinna spryskiwać włosy raz czy dwa razy i dlaczego stosuje krem nawilżający *i* podkład, podczas gdy w innym, minionym życiu pewnego wieczoru razem z Maggie, Ezra, Evelyn i Malcolmem, a nawet z ukochanym Jaredem przez godzinę i pięćdziesiąt pięć minut zastanawiali się, dlaczego Psalm 23 brzmi tak niezrównanie w wersji króla Jakuba, a już mniej w następnych, choć (możliwe) wierniejszych oryginałowi wersjach.

Jedna wersja brzmiała: „Nawilżasz mi głowę balsamem”, zamiast: „Namaszczasz mi głowę olejkami”.

- Nawilżasz? Kto to mówi? To brzmi... Sama nie wiem - powiedziała wtedy Larissa z obrzydzeniem, którego nie potrafiła ukryć. - Lekko seksualnie.

Ezra zachichotał, poprawiając czerwony blezer w szkocką kratę.

- W oryginale hebrajskim to słowo nie miało sakramentalnych podtekstów - wyjaśnił. - Całość brzmiała: „Smarujesz z przyjemnością”.

- Smarujesz mi głowę z przyjemnością? - powiedziała z niedowierzaniem Larissa. - To lepsze niż „namaszczasz”?

- Jasne, że nie - zgodził się Ezra. - Dlatego używamy „nawilżasz”.

Larissa mogła teraz konkludować, że wszystkie filozoficzne dyskusje, dawne i obecne, sprowadzają się w końcu do balsamu.

- Namaszczałam moje ciało olejkami - powiedziała teraz do Ezry i Maggie.

- Co o?

Miło było tak siedzieć i gawędzić. Przyczyniały się do tego rozkosze ukryte w jej zamrażarce, ogromna pralka i zabawni, gadatliwi przyjaciele. Dopiero kiedy stanęła przed półką z książkami i przeciągnęła palcem po grzbietach nieprzeczytanych wspomnień i komedii, zanim zapakowała je do pudeł, kiedy Ezra usłyszał jej odmowę na magiczną propozycję życia na scenie, przeszło jej przez myśl, że choć wygląda tak szykownie w swoich świetnych ciuchach, być może nie ma czasu na czytanie książek i wyreżyserowanie *Otella* dlatego, że godzinę i pięćdziesiąt pięć minut poświęca na nawilżanie głowy balsamem.

Między przyjaciółkami z dzieciństwa

Lariso, wyglądasz super, chodźmy już.

Jeszcze tylko jedna warstwa mascary, Che.

Naprawdę, chodźmy już. Mama nie pozwoli mi z tobą iść, jak zobaczy, że tak mocno się umalowałam.

To twój bal. Pozwoli.

No już, wystarczy. Siedzisz przed lustrem od godziny.

Wcale nie. I chodzi o bal!

Wiem. Ale wszystko nas ominie, jeśli się nie pospieszysz. Jeszcze nawet nie jesteś ubrana.

Che... dlaczego nie chcesz porozmawiać o tamtym?

Przypnij bukiet do sukienki i idziemy.

Najpierw muszę włożyć sukienkę.

No to włóż.

Che...

Lariso, nie chcę rozmawiać o tamtym.

Ale musimy coś zrobić.

Mam nadzieję, że po prostu zniknie.

Tak samo z siebie?

Z Bożą pomocą.

Och, Che.

Wiem. Ale nie mogę się tego pozbyć.

Nie jesteś sama. Pomogę ci. Jestem przy tobie. Pojadę z tobą.

Nie jestem gotowa.

Dlaczego nie chcesz przynajmniej zrobić testu?

Bo wtedy będę musiała się tym zająć.

Nie można czekać zbyt długo...

Ajakie to ma znaczenie?

Bo do trzynastego tygodnia kosztuje trzysta dolców, a po trzynastym sześćset.

Skąd wiesz? Che spojrzała na przyjaciółkę, mrużąc oczy.

Larissa wzruszyła ramionami, stojąc przed lustrem w czarnym staniuku i szpilkach. Jej młode nogi wyglądały jak nieprawdopodobnie długie trzciny.

Sprawdziłam.

Dlaczego więcej kosztuje?

Nie wiem.

Tego nie sprawdziłaś? Che zawiesiła głos. Może dlatego, że trzeba więcej wyskrobać?

Che... daj spokój.

Dobra. Jak już mówiłam, nie będziemy o tym rozmawiać. Idziemy na bal. Jesteś w końcu gotowa?

Che... nie bój się. Jestem przy tobie. Zawsze będę.

Larisso, w tym nie możesz mi pomóc.

Mogę. Ipomogę.

Nie. Nie rozumiesz? Nie mogę zrobić tego, co wiem, że muszę zrobić. Muszę, ale nie mogę. Niezły pasztet, co? Wystarczy tej szminki. Wyglądasz jak dziwka w biały dzień. Wytrzym to, zanim wejdzie mama. Chcesz, żeby cię lubiła, prawda? Ubieraj się.

Nie możesz urodzić tego dziecka, Che.

Csss.

Nie możesz.

Nie mogę zrobić wielu rzeczy.

Chcesz mojej rady?

Nie. Wiem, co powiesz. Ale nie jesteś mną. Nie jesteś córką mojej matki. Jesteś córką swojej.

Nie powiemy nic twojej mamie.

Nadal pozostanę jej córką. I Filipinką. Katoliczką. Nadal pozostanę tym, kim jestem. Powiem jej czy nie powiem, to niczego nie zmieni. Nie zmieni prawdy, Larisso, obojętne, czy będzie to kosztować trzysta dolarów, czy sześć tysięcy.

Tyle tylko, że nie mam sześciu tysięcy dolarów. Mam trzysta pięćdziesiąt.

No i dobrze. Nie będę ich potrzebować.

Och, Che.

Che znów się rozplakała, w błękitnej jedwabnej sukience z przypiętym do niej bukietkiem orchidei, z wodoodporną mascarą na rzęsach i z naruszonym przez łzy podkładem. Zadzwoił dzwonek do drzwi, a jej matka krzyknęła, że przyszedli po nie młodzi panowie.

Mamo, przestań krzyczeć. Niejestem głucha.

Proszę cię. Zrób test.

I co to da?

Chodźmy do poradni planowania rodziny, jak zamierzałyśmy.

I co to da?

Porozmawiasz z kimś.

Po co?

No to co zamierzasz? Urodzić to dziecko?

Nie mogę go urodzić.

No właśnie.

Tego drugiego też nie mogę zrobić.

Jak to wytłumaczysz Maury'emu?

Nie mogę tego wytłumaczyć.

No właśnie.

Idziesz na dół w staniku czy wreszcie coś na siebie włożysz? Che wytarła twarz, starła róż i podkład z mokrych policzków, wyprostowała się, próbowała uśmiechnąć.

Ile tygodni się spóźniasz?

Osiem, wyszeptwała przerażona Che prosto w zamierające serce Larissy.

* * *

Kochana Che!

Dlaczego zwróciłaś przekaz, który Ci wysłałam? Daj spokój, to jak bon podarunkowy na urodziny. Wysłałabym Ci coś innego, ale nie wiem,

czego potrzebujesz poza nutellą. Poza tym ile nutelli można zjeść? Proszę. Wysyłam przekaz jeszcze raz, sto lat, wesołych świąt. Przyjmij. Proszę.

Dlaczego się o mnie martwisz? To ja powinnam martwić się o Ciebie. Tutaj wszystko w porządku. Jak zwykle. Nie ma nic do opisywania. Jestem zadowolona. Niczego mi nie brak. Tutaj temperatura jak zwykle jest uzależniona od klimatu, więc dlaczego się niepokoisz?

Larissa przestała pisać. Nie potrafiła ująć w słowa swoich uczuć. Pomiędzy polem golfowym a galerią handlową biegła autostrada numer dwadzieścia cztery. Pole golfowe - piękno. Galeria - luksus. Ale pomiędzy nimi sto dwadzieścia stóp betonu i śmigające samochody.

Dokąd jechały? Jeśli na wschód, to do Nowego Jorku. Ale na zachód? Do Pensylwanii? Może do Ohio odwiedzić krewnych? Albo gdzieś dalej? Kansas? Kolorado? Kalifornia? A potem dokąd? Słuchała pędzących samochodów, jadących coraz szybciej, wyjeżdżających z New Jersey, jadących dalej, jeszcze dalej i znikających.

Za każdym razem, kiedy Larissa otwierała frontowe drzwi, kiedy wsiadała do swojego escalade'a w kolorze kości słoniowej, szła podjazdem, by wyjąć pocztę ze skrzynki, otwierała okno albo zatrzymywała się na chwilę, by podziwiać widok ze swojej posiadłości, słyszała tylko pędzące jak szalone samochody.

Che, wiem, że pomyślisz, że zwariowałam, ale choć jestem przekonana, że musiało Ci nieźle odbić, skoro zajęłaś się tym protestowaniem, czasami zastanawiam się, jak to jest być Tobą. Życ Twoim życiem. Jak to jest martwić się o Lorenza, spać do późna, jeśli ma się na to ochotę, albo wstawać wcześniej, żyć według własnego planu? Jestem zafascynowana Twoimi listami. Ludzie potrafią być tacy perwersyjni, prawda?

Czasami zastanawiam się, jak Twój dzień dzieli się na godziny.

Wiesz, że bardzo chciałabym do Ciebie przyjechać. Ale Michelangelo nie może się beze mnie obejść. Reszta na pewno tak. Zwłaszcza Emily. Robi się nieznośna. Hormony wychodzą jej ustami. Kiedy coś do mnie mówi, stoi z ręką opartą na biodrze, jak czajnik. Pamiętasz, że

byłyśmy takie same dla naszych matek? Bardzo za Tobą tęsknię. Kiedy tylko myślę o Tobie, wyobrażam nas sobie wyłącznie jako dzieci. Ty jedyne znasz mnie z tamtych czasów.

* * *

Kochana Larisso!

Postanowiłam zatrzymać Twój świąteczny prezent. Bardzo dziękuję. Chcę zrobić sobie manikiur i kupić nowe adidasy, ale chyba zapłacę zaległy czynsz za trzy miesiące, jeśli nie robi Ci to różnicy.

Chcesz wiedzieć, jak wygląda mój dzień? Opowiem Ci o wczorajszym. Możesz go potem pomnożyć przez trzysta sześćdziesiąt pięć i będziesz miała pełny obraz.

Obudziłam się o siódmej, bo targ otwierają o ósmej i musiałam zabrać kosze z owocami od ojca Emilia. Dotarłam do niego o wpół do ósmej, ale kazał mi najpierw iść na mszę. Nie mam nic przeciwko temu, ale kłóciliśmy się z Lorenzem tak straszliwie, że moim zdaniem nie zastugiwałam na komunię po tym, co wykrzykiwałam. Jednak kiedy powiedziałam o tym ojcu, odparł, że przemawia przeze mnie duma. Powiedział: „Powstrzymujesz się od przyjęcia Boskiego sakramentu, bo uważasz, że nie jesteś doskonała? To kiedy twoim zdaniem będziesz, żeby przyjąć Eucharystię?”. Poszłam więc na mszę i poczułam się trochę lepiej. Potem zaniostałam na targ trzynaście koszy, jeden po drugim, pełnych mango, pomidorów i gruszek, i sprzedawałam owoce do południa. Zarobiłam tysiąc peso, a kiedy wróciłam do domu, Lorenzo jeszcze spał! Wiesz, jesteśmy zupełnie bez grosza, on musi jeździć rikszą w Manili, czego nienawidzi, więc włóczy się i pije ze swoimi kumplami, a potem śpi do południa. I jak już mówiłam, zalegamy z czynszem za trzy miesiące i żyjemy z dnia na dzień.

Kłóciliśmy się do pierwszej, ale potem miło godzili do drugiej. Lorenzo zgłodniał, więc poszliśmy do San Augustin i zjedliśmy lunch z ojcem Emiliem i jego sierotami za darmo, a potem zrobiliśmy w misji odbitki ulotek, bo ojciec Emilio pozwala mi korzystać z koparki. Potem

poszliśmy na plac Ratuszowy w Manili i rozdawaliśmy ulotki na połączonym wiecu policji i Filipińskiego Stowarzyszenia Motocyklistów zorganizowanym dla poparcia naszego obecnego prezydenta. Wyobraź sobie: my na wspólnym wiecu z policją! Wszystko zakończyło się spokojnie o wpół do siódmej. Spotkaliśmy się z kilkoma przyjaciółmi i poszliśmy pić, ale ja wyszłam, bo nie miałam ochoty przesiadywać z jego kumplami nieudacznikami, a poza tym okres spóźniał mi się trzy dni i chciałam zrobić test ciążowy. Kosztował mnie siedemset pięćdziesiąt peso. Był negatywny. Zrobiłam go o dziewiątej wieczorem, a potem płatałam aż do jedenastej, kiedy wrócił Lorenzo, zbyt pijany, by przejąć się tym, że nie będziemy mieli dziecka, ale wpadł w szal na wieść, że wydałam siedemset pięćdziesiąt peso na głupi test. Pomyśleć, że dawno temu unikałam testu jak zarazy, a teraz wydaję pieniądze, których nie mam, żeby robić go parę razy w ciągu miesiąca, tak na wszelki wypadek.

Pokłóciliśmy się znowu i tym razem dobrze po północy sąsiedzi wezwali policję, bo robiło się paskudnie. Policjanci, z którymi byliśmy na wiecu, chcieli aresztować Lorenza, ale powiedziałam, żeby tego nie robili. Kiedy odjechali, ja też wyszłam z domu i poszłam spać do jednego z pokoi w sierocińcu. Ojciec Emilio stale mi powtarza, że mogę z nim zamieszkać. Nie ma dość pomocy, by zajmować się dziećmi. Ale powiedziałam mu, że przebywając w towarzystwie tak wielu niechcianych dzieci, tylko poczułabym się gorzej, jeśli to w ogóle możliwe, bo tak bardzo pragnę mieć dziecko i nie mogę. Lorenzo przyszedł po mnie o trzeciej. Leżeliśmy razem w łóżku i uprawialiśmy seks pod Bożym okiem w San Augustin. Ciekawe, czy ojciec Emilio będzie nadal myślał, że jestem godna przyjmować komunię. Chciałam go sprawdzić, więc przyszłam do niego rano i opowiedziałam o minionej nocy. Wiesz, co powiedział? „Bóg nigdy się od ciebie nie odwraca. Pragnie twojego serca, Che. Twojego i Lorenza”.

Chyba dam sobie spokój z tym ojcem Emiliem.

Tak wyglądał mój dzień.

Co o tym myślisz?

Chcesz się zamienić?

6

Drobniaki

- Mamo, jeśli wzięlibyście z tatą rozwód, to my zdecydowalibyśmy, z kim chcemy zostać - oświadczył Asher przy śniadaniu.

- Nie - odparła Larissa. - Decyzję podjęliby rodzice.

- Rozwodzicie się? - zapytał Michelangelo, nie przestając jeść płatków.

- Nie, kolego. Jedz szybko. Musimy pędzić.

- Ja zamieszkałbym z tobą - powiedział Asher. - Mniej krzyczysz.

- Żartujesz sobie? - zaprotestowała Emily. - Mama potrafi się wściec. Nie, powinniśmy zamieszkać z tatą.

Michelangelo objął matkę w talii.

- Nie rozwodzicie się z tatą, prawda? - Nadal męczył rozmiękłe płatki.

- Nie, skarbie - zapewniła go Larissa, przesuwając palcami przez splecione jasne loki.

- Mamo - nie dawał za wygraną Asher - gdybyście oboje z tatą umarli, na przykład jutro, to z kim byśmy zamieszkali? Z wujkiem Jimmym? - Brat Larissy, Jimmy, mieszkał w Detroit.

- U wujka nie ma dość miejsca - wyjaśniła Larissa, wkładając do papierowej torebki precelki i sok dla Michelangela. - Poza tym nie zna się na dzieciach. Może u babci? - zaproponowała, kręcąc jednocześnie przecząco głową.

- Chyba tak. - Asher się zamyślił. - Może na Florydzie z dziadkiem?

- Teraz musimy iść do szkoły, ot co - powiedziała Larissa.

- Tak! - wykrzyknął Michelangelo. - Chcę jechać do dziadka. - Uwielbiał ojca Jareda bardziej niż kogokolwiek na świecie. Jego portrety na wózku golfowym wisiły w całym domu.

- Ale jak się tam dostaniemy? Nie mamy pieniędzy na bilet lotni-

czy. - Asher odwrócił się do matki. - Mamo, możesz mi dać pieniądze za wszystkie te bony, które dostałem na gwiazdkę? To w sumie jakieś dwieście dolarów. Będę mógł kupić bilet.

- A co ze mną? - zajączał Michelangelo. - Nie mam dwustu dolarów.

- Poszukamy w domu drobniaków - powiedział Asher. - Zaczniemy od zaraz. Uzbieramy na bilet do czasu, kiedy umrą.

- Może zaczniecie szukać drobniaków po szkole? - zaproponowała Larissa.

- Spóźnimy się na autobus - powiedziała Emily. - Idziemy, Ash. Mamo, nie mogę znaleźć adidasów. Mam dziś gimnastykę.

Nie mogła ich znaleźć przez dziesięć minut. Spóźnili się na autobus. Emily musiała pożyczyć buty od matki, a kiedy podniosła plecak, by zarzucić go na plecy, oczom wszystkich ukazały się adidas, idealnie pod nim schowane. Zirytowana Larissa odwozła ich wszystkich do szkoły.

- Trochę mniej dyskusji o mojej śmierci i wszyscy bylibyśmy bardziej punktualni.

- Nie sądzę, mamo - odparł Asher. - Nie wydaje mi się, żeby to miało ze sobą coś wspólnego.

- Idź do szkoły. Naucz się czegoś.

Michelangelo spóźnił się na klasówkę z ortografii. Asher zapomniał klarnetu i okularów. Emily „zapomniała” kurtki, choć było dwadzieścia stopni mrozu.

Aby poprawić sobie humor po poranku, Larissa spędziła wczesne popołudnie, spacerując z Maggie po galerii. Nie uważała tego jednak za skuteczną metodę spalania kalorii, gdyż szły jak zwykle spokojnym krokiem pań w średnim wieku.

- Wiesz, Ezra jest wstrząśnięty, że nie padłaś mu do stóp w podzięcie za ofertę pracy.

Przyglądały się obojętnie wystawom.

- Wiem. Ale on już nic nie rozumie.

- Mówi, że się zmieniłaś.

- N i e zmieniłam się. Jestem dokładnie taka sama jak zawsze. To

moje życie się zmieniło. Nie mogę sobie tak po prostu bimbać i podjąć się tak odpowiedzialnego zadania.

- Mówi, że robiłaś to w Hoboken, gdy dzieci były małe.

- Wierz lub nie, ale wymagały mniej uwagi! A i ja byłam o trzynaście lat młodsza. Nadal towarzyszyła mi niedorzeczna nadzieja, że scena będzie moim życiem. Ale to się już skończyło. Nie mogę uczyć się tekstu, gryźć ołówków, odbywać prób przez telefon i użerać się z rodzicami i uczniami. To mnie wykończy. Tak jak wcześniej. Nie mam dość czasu, żeby być szoferem. Dzieci potrzebują mnie do dwudziestu różnych spraw po południu. Mam męża, który pracuje dwanaście godzin i lubi dostawać gorącą kolację. Co go obchodzi, że żona zagłębi się w detale prób do spektaklu. Albo będzie się zastanawiać, którą scenę wyciąć. Kto zagra Desdemonę? On chce dostać swój stek. I ja to rozumiem. Ale ja przecież jestem do dyspozycji. Ezra wie, że nie mogę bez tego żyć. Maluję dekoracje, szyję kostiumy, podrzucam tekst. Szczerze, to mi zupełnie wystarcza. - Odwróciła się do wystawy flagowego sklepu Tumi.

Kupiły rzeczy, których nie potrzebowały: staniki i bluzy z kapturem. Dały sobie wcisnąć piling z Morza Martwego - za siedemdziesiąt dolarów!

- Na pewno zrobili go ze zwojów znad Morza Martwego - powiedziała Maggie.

Zastanawiały się właśnie, czy zjeść lunch w California Pizza Kitchen, czy w ich ulubionej Neiman's Cafe, gdzie podawali najpyszniejsze ciasto drożdżowe z cynamonem i masłem truskawkowym, kiedy Larissa zauważyła, że w ich stronę zbliża się chłopak od ducati ze Stop&Shop z kolegą. Rozmawiali, cicho się śmiali; rzucili im jedynie przelotne uprzejme spojrzenie, lecz kiedy je mijali, chłopak dotknął daszka czapeczki i lekko skinął głową Larissie, rozciągając usta niby w nieznacznym, lecz ukazującym białe zęby uśmiechu.

Larissa wstrzymała oddech i szybko odwróciła wzrok od jego twarzy; przeniosła go na wypłowiałe podarte dzinsy i zniszczone buty. Jego kolega prezentował się znacznie lepiej w wyprasowanych niebieskich dockersach i białej koszuli.

- Kto to był? - zapytała z roztargnieniem Maggie, gdy ich minęły, a Larissa, wychwyciwszy jej roztargniony ton, postanowiła udąć, że nie słyszała. Sztuczki tej nauczyła się od swoich dzieci. Zignorowała pytanie w nadziei, że zawiśnie na chwilę w powietrzu i zniknie.

- Lar! Kto to był?

Tym razem się nie udało.

- Nie mam pojęcia. Musiał mnie wziąć za kogoś innego.

- Daj spokój.

- T a k .

- Nie ma mowy.

- Jest.

- Może witał się z tobą.

- Larisso!

- Dobra, żartuję. Nie znasz go?

- Larisso!

- Ja też nie. Co mogę ci powiedzieć?

- Chodzi do szkoły z Emily?

- Z Emily? Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała Larissa niemal obronnym tonem.

- Co się tak naburmuszyłaś? Skądś musi cię znać.

- I kto tu jest naburmuszony? Ale dlaczego akurat Emily? Nie chodzi z nią do szkoły. To jakaś pomyłka. Poza tym jest za stary, żeby znać kogoś podobnego do Emily.

- Nie powiedziałam „podobnego”. Chodziło mi konkretnie o nią.

- To głupie. No, na co się decydujemy? Na Neimana?

Szły wolno dalej.

- Lepiej uważaj - powiedziała Larissa - bo powiem Ezzre, że przez dwadzieścia minut szczotkowałeś włosy, zanim Manuel przyprowadził nam samochód na parking u Saksa.

- Po pierwsze - zaczęła szybko Maggie, skłaniając zmierzwioną rudą głowę w stronę Larissy - wiesz doskonale, że Ezry wcale by nie obeszło, gdybyśmy z Manuelem uprawiali seks na pieska na parkingu. Można o nim powiedzieć wszystko, ale na pewno nie jest Otellem. Po drugie, to nie był wcale Manuel, tylko Esteban. Manuel ma dziś wolny

dzień. Po trzecie, nigdy nie szczotkuje włosów. Gdybyś miała kręcone, dobrze byś o tym wiedziała. Biedny Michelangelo. Jakże musi cierpieć, jeśli sądzisz, że jego włosy można wyszczotkować. I po czwarte, Manuel mówi do mnie *vaya con Dios* za każdym razem, kiedy przyprawdza mi samochód. To mężczyzna, który zasługuje na szczególną uwagę.

- Czy Ezra o tym wie?

- Ezra uwielbia moich małych przyjaciół.

Dlaczego Larissa skłamała?

Dlaczego musiała to zrobić?

Zarumieniona w środku i na zewnątrz, szła dalej, tłumiąc w sobie pragnienie, by się odwrócić. Z jakiegoś powodu czuła, że on też mógłby to zrobić. Całe to zamieszanie przyprawiło ją o gęsią skórę, zupełnie jakby mrówki chodziły jej po skórze. Co więcej, mrówki chodziły tam i z powrotem, okrążając pytanie, a może podkreślając odpowiedź? Dlaczego Larissa musiała okłamać Maggie w takiej drobnostce? Dlaczego nie powiedziała: „Pomógł mi wpakować zakupy do samochodu. Złitował się nad kobietą ze złamaną nogą”? A jednak ukryła to. Ukryła siebie. Ukryła jego. Czemu?

Podczas lunchu rozmawiały o Bo, o jej poważnych problemach nie do rozwiązania (rozmawiały z radością, bo nie były to ich problemy) i o nowym zamiłowaniu Maggie do malowania („Jesteś dobra, Mags?”. „Okropna. Ale mam totalnego fioła”) i o braku zrozumienia Ezry dla jej pasji.

- Z całym tym swoim zamiłowaniem do książek, potrafi być bardzo ograniczony - zgodziła się Larissa. - Nie zapomnij mu powiedzieć - dodała - że powinien sobie odświeżyć Księgę Koheleta. - Nie bez przyczyny była nauczycielką dramatu. - „Bo w wielkiej mądrości - wiele utrapienia, a kto przysparza wiedzy - pomnaża cierpienie”.

* * *

- Znalazłam nowy supermarket - powiedziała rano Larissa do Jareda. - Stop&Shop w Madison. Częstują próbkami jedzenia w całym sklepie, mają świetne mięso i świeże owoce.

- Próbki jedzenia, wspaniale - odparł, całując ją. - Cieszę się. Wiem, jak bardzo lubisz supermarkety. Pojeżdź kupić nam coś dobrego.

- No proszę.

Pojechała na zakupy z pełną aprobatą męża.

Ziemia była twarda, trawa spała zimowym snem. Larissa opatuliła się kaszmirowym rdzawoczerwonym dressem firmy Juicy, uczesała starannie i pojechała do Stop&Shop. Zanim wyszła, nałożyła warstwę kremu, bo kto przy zdrowych zmysłach wyszedłby w mroźny styczniowy dzień bez ochrony na twarzy? Nie była już tak młoda jak kiedyś. Musiała chronić skórę. Nałożyła też warstwę podkładu. Potem odrobinę różu, bo zimą wyglądała tak blado. Trochę mascary, żeby nie czuć się nijako. Mascara, jak maska dla oczu. Szminka, by rozjaśnić zimowe usta. Dezodorant był absolutną koniecznością. Podobnie jak perfumy. Kiedy Jared wracał do domu, zapach nadal utrzymywał się na skórze i Jared mówił, że ładnie pachnie. Przed wyjściem do supermarketu spryskała się Virgin Island Water firmy Creed dla Jareda, żeby mógł się do niej wieczorem przytulić i powiedzieć, że pachnie jak letni kokos i limonka.

Najpierw produkty spożywcze, herbata, cukier, dietetyczne napoje gazowane (znowu!). To dla męża. Ona sama przestała je pić - nie chciała spowalniać metabolizmu. Wciąż z lekko pulsującą kostką, kupiła całego kurczaka, mieloną połówkę wołową, obrzuciła pełnym odrazą spojrzeniem wątróbkę cielęcą i ruszyła w stronę alejki z artykułami higienicznymi.

- Pomóc pani? - rozległ się za nią głos.

Stał obok niej z uśmiechem, podnosząc wzrok na duże opakowanie papierowych ręczników, które próbowała zdjąć z górnej półki.

- Bardzo proszę. - Odpowiedziała mu lekkim uśmiechem. - Dobrze jest być wysokim.

- Pani nic w tej materii nie brakuje. - Zdjął ręczniki jedną ręką. - Nie jest pani tylko dość wysoka.

Jak na kobietę była wysoka. Metr siedemdziesiąt na bosaka. On miał dziś na sobie czarną skórzaną kurtkę, lotniczy szalik, znów przetarte dżinsy, stare buty. Uśmiechał się promiennie, jakby myślał o czymś dowcipnym do powiedzenia.

- Co pani robiła tamtego dnia w galerii? - zapytał. - Powiedziałem „cześć”, nie poznała mnie pani?

To miało być dowcipne?

- Zakupy. A co pan tam robił? - Zignorowała drugą część pytania, na którą nie mogła odpowiedzieć.

- Snułem się z moim kumplem Gilem. Twierdzi, że muszę sobie kupić nowe ciuchy, jeśli mam się spodobać moim nowym szefom. Więc niechętnie kupiłem białą koszulę.

- Ach tak. - Czy powinna zapytać? Właściwie czemu nie. Gawędzili tylko swobodnie w supermarkecie. Wzięła do ręki opakowanie żarówek. - Gdzie pan pracuje? - Miała nadzieję, że nie odpowie: „W cukierni Baskin-Robbins”.

Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

- U dealera Jaguara w dole ulicy. Ale to po południu. Przez dwa dni w tygodniu mam inną pracę.

- T a k ?

- U Johna Cortese w Summit. Jestem kamieniarzem.

- Kamieniarzem... - Zastanowiła się chwilę. Brzmiało solidnie.

- Świetnie sobie radzę z nieregularnym wapieniem blue stone - powiedział. - I z kostką brukową. Tak naprawdę z każdym kamieniem. Nie trzeba czegoś zrobić u pani w domu?

- Nie. Ale dziękuję.

- Może patio? Murki w ogrodzie? Podjazd?

- Dzięki, ale wszystko już mamy.

- Oszczędzam kasę - wyjaśnił, wzruszając ramionami jak dzieciak. - Dlatego mam dwie prace. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Marzę, żeby rozkręcić własny interes.

Oszczędzał! Był odpowiedzialny. Miał marzenia! Był ambitny. Miał konkretne umiejętności! Ciężko pracował. I nie chodził do szkoły.

Pracował w kamieniu? To mogło tłumaczyć jego szczupłe, umięśnione ciało. Żarówki o mało co nie wypadły jej z rąk i nie rozbiły się.

W głowie kołatało jej jedno pytanie: Czy prowadzi się prace murarskie w styczniu? Dzisiaj było minus dwadzieścia stopni, a wiatr jeszcze

potęgował uczucie zimna. Czy w styczniu układano kostkę brukową w Short Hills?

Ale w ogóle po co się nad tym zastanawiała? Żeby udowodnić sobie, że chłopak kłamie? Że tak naprawdę jest menedżerem funduszy hedgingowych i nie chce, żeby o tym wiedziała? A może jest uczniem ostatniej klasy szkoły średniej i też chce to przed nią ukryć. Może powinna zabrać go do domu, dać szklankę mleka i ciasteczka, a potem wysłać do salonu na dole, żeby pograł z Asherem w gry wideo.

- Macie dużo zamówień zimą?

- Raczej nie - przyznał. - Do lata pracuję na pół etatu. Przede wszystkim jestem u dealera. - Uśmiechnął się. Był taki przyjazny, uroczy. Nieszkodliwy. Świetnie radziłby sobie, pakując zakupy w Stop-&Shop. A potem pomógłby jej zanieść torby do samochodu.

- Musi być pani zadowolona, że zdjęła już gips - powiedział. - Proszę pomyśleć, ilu wypadków udałoby się uniknąć, gdyby tylko kobiety trzymały się z dala od fryzjerów. A mężowie zaoszczędziliby mnóstwo pieniędzy.

- Zgoda - odparła - ale my miałybyśmy odrosty i byłybyśmy brzydkie.

- Pani nie. - Urwał, jakby chciał zobaczyć rumieniec na jej skórze mężatki. - Pani włosy wyglądają jak naturalne - dodał.

- Tak, to najlepszy naturalny kolor, jaki można mieć za pieniądze.

- Wart każdej złamanej kości - powiedział, unosząc palce w stronę ronda niewidzialnego kapelusza. - Chce pani kupić nowy samochód? Bo w przyszłym tygodniu dostaniemy piękne modele.

- Jaguara? - Larissa pokręciła głową z niedowierzaniem. - Raczej nie.

- Na pewno? - Uśmiechał się.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Przyszło jej do głowy, że stoją tu stanowczo za długo, nie ruszają się, nie robiąc zakupów. Ich wózki dotykały się, jakby były połączone. Tył jego wózka dotykał przodu jej.

- Napędza pan interes w supermarkecie? - zapytała. - W alejce z produktami spożywczymi? Najpierw kamieniarstwo, teraz jaguary?

- Przede wszystkim stoimy przy plastikach i papierze i nie wiem, o co pani chodzi. Tylko pytam. Prowadzimy luźną rozmowę.

- Samochodu też nie zamierzamy kupować. Ale dziękuję.

- Jeśli zmieni pani zdanie i przyjdzie, proszę zapytać o mnie. To moja wizytówka. - Z dumą wyjął z kieszeni plik kartoników i podał jej jeden. Naprawdę napędzał interes!

Wzięła ostrożnie wizytówkę i spojrzała na nazwisko. „Kai Passani. Przedstawiciel handlowy”.

- Kay? - Nigdy wcześniej nie słyszała takiego imienia. - Co to za imię?

- Moje. I nie wymawia się Kej, tylko Kaj. Rymuje się z maj.

- Oczywiście. Wiedziałam - zająknęła się.

Szybko się nad nią zlitował.

- Hawajskie.

- Passani to hawajskie nazwisko?

- Francuskie. Mój starszy brat był Francuzem. I Wietnamczykiem.

To tłumaczyło jego uderzający, niepasujący do New Jersey wygląd.

- Pana matka jest Hawajką?

- Mieszkaliśmy na Hawajach. To to samo? Mama pochodzi chyba z Kanady.

- Mieszkał pan na Hawajach? Szczęściarz z pana.

- Nic podobnego. Odkąd zacząłem rączkować, miałem świadomość, że utknąłem na skalistej wyspie. - Na wpół wzruszył ramionami, na wpół zadrzał. - Cieszę się, że stamtąd wyjechałem. - Wyglądał tak obojętnie, gdy opowiadał o tym niezwykłym miejscu. Zauważyła, że jednak był egzotyczny, choć na pierwszy rzut oka wyglądał niemal zwyczajnie. Bezpiecznie przyjazny, młody, po prostu dzieciak z motocyklem, w dżinsach, ciężkich butach, z dziwacznymi włosami, nieszczególnie zadbany, trochę nie na miejscu w jej części świata. Miał serdeczny uśmiech, swobodny sposób bycia. Ale było w nim coś jeszcze poza roztańczonymi oczami i prostymi plecami. Szczególny sposób, w jaki skupiał uwagę na pozornie luźnej pogawędce z Larissą.

- Cieszy się pan, że znalazł się w Jersey? - Obdarzyła go swoim najbardziej sceptycznym spojrzeniem.

- Szczególnie w Jersey. - Zacisnął powieki. Wsunął niesforne włosy pod czapkę. - Pokochałem je dzięki Bruce'owi Springsteenowi. A jak pani ma na imię?

- Larissa. I jestem mężatką.

- Hmm - odparł, kiwając z aprobatą głową. - Wygląda pani jak Larissa.

Nie uścisnęli sobie dłoni, on nie wyciągnął ręki, jakby czytał podręcznik dobrych manier i wiedział, że młody mężczyzna nie wyciąga ręki do mężatki, jeśli ona nie zrobi tego pierwsza. A Larissa, która czytała te podręczniki, ani przez sekundę nie miała takiego zamiaru. W podręcznikach radzono, by pomachać ręką lub powiedzieć „cześć”, gdy przedstawiano ci dzieci.

- Naprawdę? - Jak wygląda Larissa?

- Tak. Jest w tym imieniu coś eleganckiego i kobiecego. Jak proste włosy.

Zajrzała do swojego wózka. Jego niski głos stale płatał jej figle. Z tą barwą i akcentem to nie był głos dziecka. Nie wiedziała, co ma teraz zrobić. Co za niezręczność!

Postanowiła go ominąć, kółka wózka lekko zazgrzytały i kiedy przechodziła obok niego, a jej ramię znalazło się przy jego piersi, usłyszała wyraźnie, jak wciąga powietrze. Dlaczego to zrobił?

- Czy to pani? - zapytał. - Kokos i limonka?

Nie podniosła wzroku znad papierowych ręczników.

- Chyba tak. Zapach lata.

- Tak. Jak drink. Z parasolką. - Uśmiechnął się i skinął głową. - Ładny.

Larissa nie chciała z niego żartować i pytać, czy może już oficjalnie pić.

- Jaki interes ma pan zamiar rozwinąć?

Szedł obok niej w stronę chusteczek higienicznych.

- Chcę oprowadzać wycieczki.

- Gdzie, w Nowym Jorku?

- N i e , tutaj.

- W Jersey?

- Jasne.
- W Summit?
- Czemu nie? Na początek kupię taki otwarty autobus z lat trzydziestych. Pokażę ludziom galerię w Short Hills, to niezła atrakcja. Spędzimy tam cały dzień. Potem Great Swamps. Niezła przygoda, zwłaszcza gdy leje. Potem odwiedzimy zaśnieżone doliny i stoki narciarskie. Fabryki. Outlety. Płatną autostradę Jersey Turnpike. Park rozrywki. Zobaczymy Atlantyck. Tu jest mnóstwo do oglądania. A skończymy w Atlantic City, grając w blackjacka. Ale najpierw każę sobie zapłacić.

Larissa nie mogła się powstrzymać i roześmiała się. On zawtórował.

- Żartuje pan, prawda?

- Nie, mówię poważnie. - Jego oczy promieniały radością.

- Muszę już iść. Przepraszam.

Odsunął wózek i pozwolił jej przejść, tym razem na dobre.

- Do zobaczenia, pani Larisso.

A ona, nie patrząc na niego, mocno popchnęła wózek i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę mleka i miodu.

7

Znudzony Ezra

Larisso, powiedziałam mamie.

Co?!

Musiałam. Odchodziłam od zmysłów.

Powiedziałas mamie? Dlaczego?

Potrzebowałam pomocy.

Powiedziałam, że ci pomogę.

Potrzebowałam innej pomocy, Larisso. Potrzebowałam rady.

Radziłam ci.

Potrzebowałam... innej rady. Jesteś moją jedyną przyjaciółką. Jesteś dla mnie jak siostra. Kocham cię. Ale mnie nie słuchasz.

Och, na litość boską. Dlaczego powiedziałaś akurat mamie?

Bo ty pewnych rzeczy nie rozumiesz.

O czym ty mówisz? Rozumiem wszystko.

Nie.

Che, po prostu nie chcesz mnie słuchać. To nie znaczy, że ja nie rozumiem.

Znaczy. Nie chcę cię słuchać, bo nie rozumiesz.

Che, masz szesnaście lat i nadal chodzisz do szkoły średniej.

Wiem.

Myślisz, że nie wiem, jakie to trudne?

Chyba nie wiesz. Wydaje mi się, że zrobiłabyś to co trzeba i nie spędziłoby ci to snu z powiek.

Bo wiedziałabym, że trzeba to zrobić!

Ja też wiem. Ale nie mogę. Ty możesz. Ja nie.

Cholera jasna! Co powiedziała twoja mama? Nawet nie potrafię sobie wyobrazić.

Płakała. Potem się modliła. Przez jakieś trzy godziny. Potem jeszcze płakała. Nie chciała ze mną rozmawiać, dopóki nie poszłyśmy do kościoła. Potem nadal nie chciała ze mną gadać. Tylko płakała. Powiedziałam: Wiem, co czujesz, mamo.

Teraz Larissa siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, rozciągnięta na biurku w swoim pokoju.

Mama powiedziała, że nie może uwierzyć, że okazałam się tak nieostrożna.

Ja też to mówiłam.

Wiem. Obie macie rację. Ale to mi niewiele pomaga.

Czy powiedziała coś, co ci pomogło?

Powiedziała, że nie miała pojęcia, że tak się zachowuję, gdy wychodzę z domu. Myślała, że jestem porządna. Była bardzo zmartwiona. Jak mogłam tak spać sobie życie, powtarzała.

Ja też to mówiłam. Ale jak ci to pomogło?

Uderzyła się pięścią w pierś. Ty to zrobiłaś? Powiedziałam do niej: Mamo, o co się tak martwisz? Tu chodzi o mnie, o moje plany. Powinnaś pomyśleć o tym przedtem, a nie potem, odparła.

W porządku, mamo, popełniłam błąd. Byłam głupia. Czy teraz mogę być mądra?

Już za późno na mądrość, odparła. Teraz jest czas na działanie. Che spuściła głowę. Mój tato pracuje na pół etatu. Mama powiedziała, że przejdzie na wcześniejszą emeryturę i zajmie się dzieckiem, dopóki nie skończę szkoły.

Che, nie. Wielkie nieba! Nie. Czy ty się wcale nie liczysz? Co z tobą? Powiedziała, że mogę pójść do college'u i zostawić dziecko u nich. Pomogą mi.

Ale nigdy nie będziesz wolna, powiedziała pełna obaw i pustki w środku Larissa.

Mama powiedziała: życie jest wredne, Claire. Powinnaś pomyśleć o tym wcześniej. Teraz jest już za późno.

Nigdy nie jest za późno. I na tym polega piękno życia. Popełniasz mały błąd i trzysta dolarów później wszystko nadal może wrócić do punktu wyjścia.

Che zwiesiła głowę.

Nie jest za późno!

Moja mama nawet nie chce słyszeć o tamtym.

Dlaczego musiałaś powiedzieć mamie?

Gdyby to przydarzyło się tobie, nie powiedziałabyś?

Nigdy, odparła Larissa. I kto mówi, że mi się nie przydarzyło?

Teraz Che patrzyła na przyjaciółkę z otwartymi ustami.

Żartowałam. Ale nawet gdyby tak było, nigdy nie powiedziałabym mamie.

Patrzyły na siebie. Musisz bardziej się nad tym zastanowić. Pomyśl o swoim życiu. Bo to twoje życie, nie twojej mamy, nie taty. Twoje. Masz tylko jedno. Czy tego właśnie chcesz?

Nie, odparła Che.

Masz szesnaście lat! To był błąd. Wszyscy popełniają błędy. Raz masz szansę to naprawić.

Kto tak powiedział?
Och, daj spokój.
Dziecko nie będzie miało szansy.
Ale ty tak. Będzie jak przedtem. Nic się nie zmieni.
Larisso, daj spokój, przecież w to nie wierzysz.
Całym sercem.
Cały wszechświat będzie inny, powiedziała Che.
Nie. A ty będziesz miała przed sobą całe życie, żeby urodzić drugie dziecko. Proszę.
Che nie spuszczała wzroku z Larissy.
Nie sądzisz, że to złe? Że muszę poświęcić dziecko, żeby żyć, jak mi się podoba?
Będziesz miała inne dziecko!
Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Larisso.

- Ezra - zwróciła się Larissa do przyjaciela w sobotni wieczór - czemu co tydzień wałkujemy te same pytania dotyczące niezgłębionego funkcjonowania wszechświata pozbawionego dna? Czy naprawdę próbujemy to rozwikłać? A może twoim zdaniem jesteśmy znudzeni?

Dlaczego w jej głosie pobrzmiwała nadzieja? Czy naprawdę chciała, żeby Ezra był znudzony? Ezra, który miał opinię na każdy temat, mógł toczyć debatę o tym, co dobre, a co złe, z samym diabłem, potrafił rozmawiać z inżynierem o mostach, z naukowcem o mechanice kwantowej, ekonomiści w rozmowie z nim musieli bronić marginesu kurczących się zasobów, a Ayn Rand swojego obiektywizmu, chrześcijaństwo wiary w Trójcę Świętą i sformułowań, które doprowadziły do wielkiej schizmy. Był lingwistą, uczonym, uwielbiał filmy i semiotykę. Wiedział, czym różni się komunizm, socjalizm i kolektywizm, i potrafił ci zadać piętnaście pytań dotyczących teorii ewolucji, na które za nic nie umiałeś odpowiedzieć. Mógł z pamięci recytować Konstytucję Stanów Zjednoczonych, znał *Deklarację niepodległości* i większość sonetów Szekspira. *Na pamięć*. Jego ulubionymi poetami byli Dante

i Donne („To dlatego, że nie wyszedł poza literę D”, podsumował go Jared). Uważał, że *Raj utracony* jest najwybitniejszym dziełem literackim napisanym w języku angielskim. Płynnie mówił po francusku. Nikt nie potrafił go przegadać. Oglądał filmy takie jak *Pi* i twierdził, że to jego ulubiony film wszech czasów. Ale powiedział też, że jego ulubionym filmem wszech czasów jest *Wieczór kawalerski*. Larissa uwielbiała Ezrę. Wymykał się wszelkim klasyfikacjom.

Czy mógł być znudzony?

Teraz wyglądał na lekko rozbawionego.

- Tak - odparł wesoło.

- Ezra, przestań - powiedziała Maggie, odkładając kostki z literami. - Wcale nie jesteś znudzony. Tylko męczysz. Przestań. Twoja kolej. Przegrywasz, kochanie. Jesteś ostatni w scrabble'u, Profesorze Znudzony. Masz osiemdziesiąt punktów, a twoja niedouczona żona i jej miłująca teatr, choć pozbawiona ambicji przyjaciółka mają odpowiednio sto dwadzieścia i sto trzystaście. Twoja kolej, wielki rozmówco.

Ezra położył litery na planszy. Ułożył słowo *colloquy*, konwersacja. Bingo, plus pięćdziesiąt punktów za Q na potrójnie liczonym polu. Nie był już ostatni. Rozdrażniona Maggie prychnęła pogardliwie. Spoglądając kątem oka na roześmianą Larissę, Ezra włożył rękę do woreczka z literami.

- Myślmy tylko o sobie, Larisso - powiedział. - To rodzi nudę. I nieszczęście. Stajemy się jak rekiny, musimy stale się ruszać albo umieramy.

- Ale - wtrąciła Larissa - w zeszłym tygodniu powiedziałaś mnie, Evelyn i Malcolmowi, że musimy bardziej myśleć o sobie, pamiętasz?

Ezra wyciągnął blanka i Maggie się roześmiała.

- Mówiłam ci, Lar, on jest sofistą - powiedziała. - Broni tylko tej pozycji, na której się nie znajdujesz tego konkretnego wieczoru. Nie słuchaj niczego, co on mówi, kochana.

- Nie wyobrażam sobie, bym mógł coś takiego powiedzieć - zaprotestował obronnym tonem Ezra. - Chyba się przesłyszeliście. Jesteśmy wypchani sobą po dziurki w nosie.

- W zeszłym tygodniu twierdziłeś, że wcale siebie nie znamy!

- Tak? I czemu stoi to w sprzeczności z tym, co powiedziałem dzisiaj?

- Ja siebie znam - najeżyła się Larissa.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- To opisz siebie w pięciu zdaniach.

- Zgoda. Jestem matką. Jestem żoną. Maluję dekoracje. Jestem dobrą kucharką. Kocham książki. - Ostatnie zdanie wypowiedziała z lekkim zażenowaniem.

Ezra roześmiał się.

- Nie, Larisso. Nie chodzi o to, kim jesteś. Tylko jaka jesteś.

Już mniej pewnie odparła:

- Jestem porządna. Zorganizowana. Skrupulatna.

- Trzy różne słowa na określenie tej samej nudnej cechy.

- Troszczyć się o dzieci. I o męża. Wszystko planuję. - Zastanowiła się. - Jestem dobrze ubrana.

Skinął głową.

- Jeszcze jedna. Ale postaraj się.

Larissa nadal się zastanawiała. To nie było sprawiedliwe. Trudno opisać siebie w pięciu zdaniach.

- Powiedziałaś przecież, że znasz siebie lepiej niż cokolwiek innego - przypomniał jej Ezra. - Dlaczego to ma być takie trudne? Pomyśl o pięciu najważniejszych rzeczach, które cię określają. Potrafisz powiedzieć pięć rzeczy o lwie, prawda? Albo o szympansie?

Spędzała dni na smarowaniu czerwoną farbą dekoracji do szkolnych sztuk. Larissa, Jackson Pollock szkolnych produkcji *Facetów i laleczek*. Teatr się nie załapał. Jak to możliwe? Dzieci też nie. Miłość. Tęsknota. Zadowolenie. Nic z tych rzeczy.

- Pozbądź się jednej z tych porządnickich cech - powiedział Ezra - a będziesz miała więcej czasu na malowanie.

Ale Larissa czuła, że nadal nie dotrze do sedna. Sedna tego, czym była.

Zachwycony Ezra klasnął w dłoń.

- Łatwiej jest po dziesięciu minutach badań rozmawiać o metaboli-

zmie anabolicznym niż wypowiedać się zdecydowanie o sobie samym, mimo że mamy z sobą do czynienia przez całe cholerne życie. Najwyraźniej za mało myślisz o sobie, Larisso - dokończył, wyciągając rękę z pustym kieliszkiem po margaricie. - Wydaje ci się, że jesteś znudzona, bo twoja szklanka jest pełna po brzegi - powiedział. - A gdyby tak się przewróciła i opróżniła, a ty byś nawet o tym nie wiedziała?

8

Prezent urodzinowy

Pewnego wieczoru po kolacji Jared uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział do Larissy:

- Wiesz, czyje urodziny się zbliżają?
- Co się tak uśmiechasz? Odwołuję wszystkie urodziny w tym roku.
- Wręcz przeciwnie. Musimy świętować, jakbyśmy mieli po dwadzieścia lat.

- To musimy zacząć bardzo wcześnie. - Stukała widelcem w pusty talerz. - Zасыpiasz przed dziesiątą. Zawsze zasypiałeś przed dziesiątą, gdy miałeś dwadzieścia lat?

- Prawdę mówiąc, tak. Znasz mnie od dwudziestu lat, ale nie wiem, czy zauważyłaś, że jestem skowronkiem. Ale poważnie. Chcesz usłyszeć, jaki prezent chcę kupić dla pewnej bardzo dobrej żony?

- Której wypowiedzi o odwołaniu urodzin nie zrozumiałaś?

Dzieci rozproszyły się po domu, choć nie w ciszy i nie daleko, a mąż i żona mieli kilka cennych chwil tylko dla siebie.

Jared patrzył na nią z pytaniem „Skończyłaś?” w oczach. Uśmiechnęła się.

- Nic z tego nie potrzebuję. Mam już wszystko.
- Ezra powiedział nam już, co o tym myśli - wykrzyknął radośnie Jared. - Wolałby, żebyśmy nie mieli nic, jak w college'u. Więc

co można kupić kobiecie, która ma wszystko i która niedługo będzie bardzo młodą czterdziestką?

- Brylanty?

- Nie, już masz. Myślałem raczej o... - zaczął pełnym dramatyzmu tonem - ...nowym samochodzie.

Patrzyła na niego oniemiała.

- Nowym co?

- Nowym samochodzie! Jakimś odjazdowym. Sportowym. Dwuosobowym. Nie takim typowym dla mamuski. Typowym dla Larissy. - Rozpromienił się. - BMW? Merc?

- Jaguar...? - zasugerowała blade.

- No cóż... myślałem o czymś solidniejszym, niemieckim.

- Jak volkswagen?

- Nie! Solidny, ale odjazdowy. Ale jasne, jaguar może być, jeśli tylko chcesz.

- Myślałam o tych robionych w Wielkiej Brytanii. - Nie przyszło jej do głowy nic innego, co mogłaby powiedzieć.

- N i c z tego. Dawno sprzedali je fabryce Forda w Michigan. Drogie. Ale to dobry pomysł. - Skinął głową z aprobatą. - Mają bardzo ładne sportowe modele. I niedużo tracą na wartości. Przy Main Street w Madison otworzyli nowy salon. Może pojedziesz tam w przyszłym tygodniu, sprawdzisz, czy coś ci się podoba, a na końcu zjawię się ja i dopnę sprawę za pomocą książeczki czekowej? - Proste włosy Jareda były zmierzwiłone, wyglądał zdrowo i radośnie nadal ubrany w ciemnoszary garnitur. Zadowolony z siebie pochylił się i pocałował ją. - Ale wybierz coś ładnego. Seksownego.

- Tyle tylko, że mając dwadzieścia lat, jeździliśmy na zardzewiałych rowerach, nie w jaguarach - powiedziała Larissa, wstając od stołu z brudnym talerzem, sztućcami, filiżanką i brudną serwetką. - Na tym polega cała ironia. Kiedy jesteś młody i chcesz jeździć na supermotorze, nie możesz sobie na niego pozwolić, a kiedy już cię na niego stać, wyglądasz na nim śmiesznie.

Dzieci grały w bilard w salonie na dole, nawet sześcioletni Michelangelo. Larissa miała nadzieję, że nie przebije starszego brata kijem.

- Jestem bardzo zadowolona z mojego escalade'a - ciągnęła. - To wyrzucanie pieniędzy. Naprawdę. Nie potrzebuję nowego samochodu.
- Jak najbardziej. I nie psuj zabawy. Co jeszcze mógłbym ci kupić?
- Wakacje? Może na Hawajach?
- Hmm. Hawaje to niezły pomysł. Ale wiesz, z dziećmi... musieliśmy pojechać na wakacje po wakacjach. Poza tym - dodał szybko - wakacje kończą się po siedmiu dniach. A jaguara będziesz miała na zawsze.

* * *

Na tym skupiło się teraz wewnętrzne życie Larissy - na przekonywaniu samej siebie, by nie iść do salonu Jaguara. Nie chciała nowego samochodu. Byłaby zadowolona z BMW. Jared powiedział jej jednak, że w opinii Douga Granta jaguar będzie lepszy niż jakikolwiek inny samochód, może z wyjątkiem porsche.

- To Doug jest teraz ekspertem od samochodów? - Rozpromieniła się. - Ale porsche byłoby super.

- Odpada. Za drogie.

- N i e jestem pewna opinii Douga. Zapytam Ezrę.

- Ezrę! - Jared poluzował krawat. - Zamierzasz pytać faceta, który jeździ dwunastoletnim subaru kombi z klapą, która się nie otwiera, jaki jego zdaniem luksusowy samochód powinnaś kupić?

- Ezra jest bardzo mądry. Chyba nie zaprzeczysz?

- W sprawie samochodów jest idiotą!

Aby udowodnić swoją tezę, zadzwonił do Ezry mimo głośnych protestów Larissy, że kolacja stygnie na stole.

- Ez, to ja. Moja żona chce wiedzieć, jaki sportowy samochód twoim zdaniem powinienem jej kupić na urodziny.

Larissa gwałtownie przewracała oczami, podczas gdy Jared kiwał głową do słuchawki.

- No właśnie. Też tak uważam. Dzięki, stary. Do zobaczenia w sobotę. - Odłożył słuchawkę. - Chcesz wiedzieć, co powiedział?

- Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak mało mnie to obchodzi.

Jared się roześmiał.

- A l e chciałaś go zapytać! Powiedział mi. Chcesz usłyszeć?

- Nagle jakoś mi przeszło.

W piątek Larissa zapytała Fran, swoją przyjaciółkę po dwudziestce, z którą spotykała się tylko w salonie pielęgnacji paznokci. Finklestein lubiła się otaczać pięknymi przedmiotami, choć była recepcjonistką w agencji prasowej działającej w śródmieściu i nie miała pieniędzy. Dziewczyna była singielką, kochała modę i nie pasowała do innych przyjaciółek Larissy. Jej wolny stan i młodość oszałamiały Larissę; była dla niej niezgłębiona niczym demokracja dla republikanina. Tym razem przy latte olśniewająca Fran rozwiązała fałszywy dylemat Larissy, udzielając jej brutalnej rady. Każdy sportowy samochód się nada. Wybierz ten, który sprawi ci największą przyjemność.

Zawsze praktyczna Maggie próbowała ją w ogóle odwieść od idei posiadania nowego samochodu. Nie podzielała rosnącej obojętności Ezry do całej sprawy. Oszczędna Maggie uważała taki zakup za niepotrzebną ekstrawagancję.

Larissa nie mogła porozmawiać z Bo o czymś tak trywialnym, gdyż Bo mieszkała w mieszkaniu z dwiema sypialniami ze stukniętą matką i pisującym do gazet jako wolny strzelec Jonnym, który szukał stałego zatrudnienia od trzech lat. Bo spędzała dni na szóstym piętrze Met, snując się wśród kwiatowych dekoracji z RPA i marząc o innym życiu. Rozmawianie z Bo o jaguarach było równie absurdalne jak z Michel-angelem, który na widok przyniesionej przez ojca broszury zapytał:

- O, jaki ładny niebieski samochód bez dachu, mamusiu. Ale jak upchniesz tam całą rodzinę?

* * *

Che przez dwa dni nie przychodziła do szkoły. Nie odbierała też telefonu. Larissa poszła do niej po szkole. Miała lekcje tylko rano; niedługo rozdanie świadectw, lato, potem college! Jednak jej marzenia o zbliżającej się dorosłości zbladły ostatnio w konfrontacji z koszmarem przeżywanym przez Che.

Matka Che wpuściła ją do środka, oschła, obojętna. To było do niej niepodobne. Matka Che uwielbiała Larissę. Jest na górze, powiedziała tylko.

Che leżała na łóżku twarzą w dół.

Dlaczego twoja mama jest na mnie wściekła?

Nie jest wściekła.

Dlaczego patrzy na mnie spod oka? Larissa zastanowiła się przez chwilę. Och, nie. Powiedziałaś jej, że cię namawiałam, żebyś pozbyła się dziecka?

Che skinęła głową.

Wielkie dzięki, przyjaciółko.

Zapytała mnie. Co radzi ci Larissa? No to jej powiedziałam.

Ale co się stało? Larissa przysiadła na brzegu łóżka i pogładziła Che po wstrząsanych drżeniem plecach. Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Nie jestem już w ciąży, powiedziała Che martwym głosem.

Serce Larissy podskoczyło, uleciało prosto w letnie niebo. Och, Che, to najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Che nie podzielała jej radości.

Skąd wiesz?

Krwawię.

To nigdy nie byłaś w ciąży? Mówiłam ci, powinnaś była zrobić test.

Che podniosła się z łóżka z opuchniętą twarzą i zaczerwienionymi oczami. Nie rozumiesz?, powiedziała. Znam swoje ciało. Spóźniałam się dziesięć tygodni. Myślisz, że to normalne? A teraz krwawię, jakby rozcięto mi wnętrzności. Ukryła twarz w dłoniach.

Larissa poklepała ją po ramieniu, próbowała uspokoić. To dobrze. Tak jest o wiele lepiej. Nie musisz podejmować najtrudniejszej decyzji. To cudowny dzień.

Zupełnie jakby sam Bóg interweniował, powiedziała Che.

Chyba tak. Miałaś szczęście. Dostałaś drugą szansę. Teraz możesz żyć jak należy, potraktować to jako nauzkę, postępować w przyszłości inaczej. Nie rozumiem, dlaczego tak się martwisz.

A jeśli Bóg, jak moja mama, był mną rozczarowany? Tak właśnie

się czuję. Powiedział: *Nie jesteś gotowa, by zostać matką. Nie jesteś gotowa na to dziecko.*

To szczerą prawdą.

W tej wypływającej ze mnie krwi czuję jego rozczarowanie.

To głupie. On ci pomógł. Wziął sprawy w swoje ręce. Och, gdyby za każdym razem to było takie proste! Jakie cudne byłoby życie.

Che jednak była niepocieszona. Sama to na siebie ściągnęłam. Powinnam ponieść konsekwencje.

O włos uniknęłaś strasznej przyszłości. Jak możesz się martwić?

Dziecko nie jest straszne.

W wieku szesnastu lat? Daj spokój. Umyj się. Chodźmy do miasta, powłóczymy się. Powiedziałam paru osobom, że spotkamy się w lodziarni Jerry'ego.

Larissa położyła się na łóżku obok Che. No, przyjaciółko, szepnęła, obejmując ramieniem wstrząsane łkaniem ciało Che. Nie ma się już czym martwić. Jesteśmy złotymi dziewczynami. Teraz już wszystko będzie dobrze, każda najdrobniejsza rzecz.

* * *

W liście do Che Larissa wspomniała o jaguarze w postscriptum, pomijając prawdziwy powód swojego zdenerwowania.

Che szybko odpisała.

Larisso, po co tyle zamieszania z powodu takiego drobiazgu? Czuję, że jest coś, czego nie chcesz mi powiedzieć. Wspominać o samochodzie w zwykłym liście? To przecież tylko samochód. Nie napisałaś mi do końca, dlaczego Bo nie wyrzuci Jonny'ego albo sama się nie wyprowadzi. Od kiedy tak bardzo cię obchodzi, czym jeździsz? Kupuj albo nie kupuj. Ja w przyszłym roku też skończę czterdzieści lat. Ty przejmujesz się samochodem, a moja matka nie doczekała się wnuków. Niedługo to ja nie doczekam się dziecka. Wysyłam ci ostatnie zdjęcie Lorenza. Powiedz mi, czy Twoim zdaniem jest tego wart. Przyślij mi zdjęcie jaguara. Powiem ci, czy jest tego wart.

Larissa czytała gazety i tygodniki, by być na bieżąco, ale zagłębianie się w ostatnich wydarzeniach tylko potęgowało jej niepokój. Wiadomości sprowadzały się do tego, że wszystko zmierza do piekła i wymyka się spod kontroli.

Napisała o tym do Che. W gazetach czytała o chorobach psychicznych, bezdomności, rabunkach, strzelaninach, czasami opisywanych ze szczegółami. Ataki rekinów, plaga trującego bluszczu, wściekliczna. Siedemdziesięcioletnie kobiety rodzące dzieci, odcięte głowy porzucone przed pokojami redakcji informacyjnych. Zamachy bombowe i zagrożenie dla pokoju. Czy pokój na świecie jest tylko iluzją?, pytała Larissa Che. Czy jaguar da mi iluzję pokoju?

- To filozoficzne pytanie - odparł Ezra, gdy nadal czekała na odpowiedź Che. - A powinno brzmieć: Czy jaguar da ci coś namacalnego? Czy kieruje tobą pragnienie posiadania czegoś, czego nie masz? Jeśli tak, co to jest? A jeśli to dostaniesz, poczujesz się usatysfakcjonowana czy będziesz chciała czegoś innego? Czy kieruje tobą dążenie do czegoś, czy sam przedmiot?

- A może chodzi o to - wtrącił Jared - że samochód jest odlotowy i wszyscy będą się za nią w nim oglądać?

- I tak się oglądają - powiedziała Maggie, patrząc z podziwem na Larisę w dżinsach i czerwonym jedwabnym topie ze sporym dekoltem i pasującą do niego czerwoną szminką na ustach.

- Rzadko - odparła Larissa i kryjąc zażenowanie, odwróciła się do Ezry.

- Wiem, Larisso, że czytałaś Koheleta tylko dlatego, że musiałaś, bo chciałaś zaliczyć kurs filozofii w college'u - powiedział Ezra. - To nie to samo co zrozumieć Koheleta, ale mimo wszystko dobrze ci zrobi, jeśli przypomnisz sobie teraz, co powiedział.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

- Wszystko to marność - powiedział. - Kupować, nie kupować. Jeść, robić zakupy, wynajmować kobiety, by sprzątały dom, nie sprzątać w ogóle. Wszystko jest utrapieniem dla ducha z wyjątkiem związku z Bogiem. Wszystko to marność.

- No to mamy kupować jaguara czy nie? - zapytał Jared.

Che odpisała.

Larisso!

Oto twoja prawdziwa odpowiedź, której udzielił mi ojciec Emilio, gdy go zapytałam. „Będziecie słyszeć o wojnach i o pogłoskach wojennych; uważajcie, nie trwóźcie się tym. To musi się stać, ale to jeszcze nie koniec.

Powstanie bowiem naród przeciwko narodowi i królestwo przeciw królestwu. Będzie głód i zaraza, a miejscami trzęsienie ziemi.

Lecz to wszystko jest dopiero początkiem boleści. Wzmoże się nieprawość, oziębnie miłość wielu”.

Miłość Lorenza staje się oziębła, Larisso. Aja nadal nie mam dziecka. Przez wszystkie te lata żyję w biedzie i wcale nie chodzi mi o pieniądze. Jestem tak daleka od tego, czego pragnę.

Proszę, nie oddalaj się od swoich pragnień.

Pragnę dziecka bardziej niż czegokolwiek. Rozpaczliwie marzę o małej dziewczynce, żebym mogła ją wychowywać, by popełniała te wszystkie błędy co ja, tylko zaczęła wcześniej.

Jesteś cudowną osobą. Nie doprowadzasz nikogo do szału jak Lorenzo. Kup sobie samochód.

Czy byłoby milej mieć jaguara niż żyć wśród niezrealizowanych pragnień, których się nie nazywa?

Ale jeśli wiedziałabyś, że samochód doprowadzi cię do nędzy i ubóstwa, rzeczy, o których Che mówi, pisze, co czuje i czym żyje? Co byś wtedy zrobiła?

Ale nie wiesz.

Agdybyś wiedziała?

Ale nie wiesz.

Agdybyś wiedziała?

Ale... nie wiesz.

A... gdybyś wiedziała?

Cała ta sprawa lekko zawstydziła Larissę. Wyrzuciła nawet wizytówkę od Kaia, czego wstydziła się najbardziej. Jakie to było śmieszne. Ona sama była śmieszna.

Ale co teraz?

Co ma włożyć na wizytę w salonie Jaguara? Nie mogła przecież iść w dresie. Ale też nie mogła tam iść zbyt wystrójona.

Nie mogła tam iść.

Sednem sprawy był odwieczny porządek moralny, azteckie złoto zakopane jak skarb na wzgórzach Meksyku. Czy istniało coś takiego, a Larissa odwracała się do tego plecami?

Kai Passani. Kiedy pierwszy raz wypowiedziała na głos jego nazwisko, zaczerwieniła się, jakby zaklęła w obecności dzieci. Patrząc w powiększające lustro, przyglądała się zarumienionej twarzy, zaszklonym oczom.

Jego imię było hawajskie. Kai. Sprawdziła je. W języku hawajskim oznaczało ocean. Ocean bez dna?

Och, co się z nią dzieje!

Passani. „Z rejonu szampanii we Francji. Legenda głosi, że mnich, który odkrył musujące wino, biegł do innego benedyktyna, krzycząc: *J'ai goûté des étoiles!* Czuję smak gwiazd”.

Kai Passani.

* * *

Aby obronić się przed jaguarem, Larissa myślała tylko o Guccim. Guccim, Chanel, Zanottim, Diorze. Kupiła sobie okulary do czytania, które zastąpiły potrzebę czytania. Teraz potrzebowała tylko inkrustowanych kryształami Swarovskiego okularów Versace; nie musiała już czytać *Życia* Elii Kazana. Okulary do czytania miały tylko spoczywać na jej nosie niczym piękne klejnoty. Burberry nie Brontë. Gucci nie Dante. Chanel nie Charlotte. Prada nie Pound.

Idąc do biblioteki (z dziećmi), wkładała buty Libretto. Galeria hand-

lowa wymagała innego stroju, podobnie jak supermarket, dlatego też nie lubiła łączyć wypraw, bo okazywało się, że jest nieestosownie ubrana przynajmniej na jedną z nich. Latem w galerii nosiła sukienki Betsey Johnson i sandały Marca Jacobsa. Zimą obcisłe dżinsy Marciano i buty na płaskich obcasach (im niższy obcas, tym droższy but, jak w kontrataku).

Zimowe koncerty dzieci? Futro i buty na bardzo wysokich obcasach. Mecze? Czapeczki z daszkiem, dżinsy i afektowane designerskie swetry.

Kupowanie jedzenia wymagało jedynie minispódnic i kowbojek, najchętniej marki Frye.

I suszyła włosy. Do diabła z Kaiem. Zostawiała je długie, proste, jak hipiska, tworząc iluzję niezobowiązującego szyku. Robiła w nich pasemka, tworząc iluzję, że rozjaśniło je słońce. Nakładała delikatny makijaż, który wyglądał, jakby wcale nie była umalowana, jakby dopiero co wstała z łóżka i wsiadła do samochodu. Ubierała się stosownie do każdej okazji. Tylko raz pewnego dnia wyszła z domu w dresie i z nogą w gipsie.

Pytanie było jedno, naprawdę głębokie, wymagające odpowiedzi: co włożyć na wizytę w salonie Jaguara, gdzie miała obejrzeć sportowy samochód, którego nie potrzebowała i nie chciała, i gdzie będą na nią patrzeć roztańczone oczy obszarpanego dzieciaka jeżdżącego na motocyklu?

Ezra powiedziała, że to fałszywy wybór. Nie chodziło o to, co ma na siebie włożyć.

- To nie ma nic wspólnego z samochodem - powtarzała. - Liczy się to, co samochód sobą reprezentuje. On mówi tobie i przy okazji całemu światu, jakie miejsce zajmujesz w życiu. Ot co. Przebyłaś daleką drogę od wchodzenia po schodach na piąte piętro. Ale czy jest to daleka droga w górę czy w dół? - Ezra zawiesił głos dla większego efektu. - Za każdym razem, gdy pojedziesz do supermarketu, chcesz wiedzieć, jak daleko jesteś od Hoboken? Czy chcesz, żeby inni też to wiedzieli? Jak mówi Walker Percy, żyjemy w obłąkanym wieku, bardziej obłąkanym niż zwykle, ponieważ mimo wielkiego rozwoju

nauki i technologii człowiek nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest ani dokąd zmierza. Tłamsimy w duszach pytania dotyczące sensu naszego życia i życia w ogóle. Prawdziwe pytanie brzmi, Larisso: Czy ten samochód pomoże ci odkryć, kim jesteś i dokąd zmierzasz?

Jechać czy nie jechać?

ROZDZIAŁ TRZECI

1

0-60 w 4,9 sekundy

- Pani Stark! - wykrzyknął rozpromieniony Kai w białej koszuli i krawacie. - Jak miło, że pani wpadła. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

Larissa weszła do środka piętnaście minut wcześniej i poprosiła recepcjonistkę o sprzedawcę do pomocy. Recepcjonistka, rozszczebiotana młoda dziewczyna o imieniu Crystal, próbowała polecić jej Gary'ego, lecz Larissa odparła, że szuka Kaia. Dowiedziała się, że Kai jest dziś bardzo zajęty. Gary jest znakomity i o wiele bardziej doświadczony, pomoże jej z przyjemnością. Larissa zmarszczyła brwi. Włożyła na siebie za dużo czy za mało? Poza brązową zamszową kurtkę miała dzinsy, buty Frye na wysokich obcasach i prosty rudy sweter. Lekki makijaż (20 minut), niedbale uczesane włosy (40 minut).

- Jeśli dzisiaj nie może, umówię się na inny dzień. - Mówiąc to, rozglądała się po eleganckim, urządzonym w kremowej tonacji salonie. O jedenastej w poniedziałek nie było tu nikogo z wyjątkiem sprzedawców, recepcjonistki i pracowników biura. Była jedyną klientką. Crystal powiedziała, że Kai ma wolne w poniedziałki, więc nawet miało go nie być w pracy, a jutro jest zajęty przez cały dzień.

- Raczej nie będzie miał czasu, by właściwie się panią zająć, pani...

- Stark. Larissa Stark. Proszę mu powiedzieć, że tutaj jestem, a jeśli jest zbyt zajęty, skieruje mnie do kogoś innego.

Crystal, której skończyły się wymówki (co jest do diabła?), zadzwoniła na wewnętrzny numer Kaia, który po trzech sekundach stanął przed nią cały rozpromieniony.

Uścisnęła nawet lekko jej dłoń, wbrew zaleceniom etykiety, gdyż w obecności innych ludzi łatwo było być uprzejmym. Wyciągnęła dłoń pierwszy. Była szorstka i ciepła, zaś jej - zadbana i chłodna, ze świeżo pomalowanymi na różowo paznokciami.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o waszych sportowych modelach - powiedziała z udaną, podobnie jak jej fryzura, swobodą. - Nie mam na razie zamiaru kupować. Chcę się tylko rozejrzeć.

- Oczywiście. Nikt nie przychodzi tutaj z zamiarem natychmiastowego zakupu.

- Recepcjonistka Crystal - ciągnęła ze spokojem - powiedziała mi, że dziś nie jest najlepszy dla pana dzień. Mogę przyjść kiedy indziej.

- Nie, dziś jest idealnie - powiedział, rzucając pytające spojrzenie zdenerwowanej Crystal. - Zostaję tak długo, jak trzeba, by zająć się moimi klientami. Dobrze o tym wiesz, Crystal. Proszę za mną. - Przewadził Larissę, położywszy dłoń na jej okrytych zamszem plecach.

Pokazał jej dwa modele, sedana i białe coupé. Żaden jej się nie podobał.

- To cena? - zapytała zdumiona na widok naklejki.

Rzucił jej spojrzenie pod tytułem „A ile pani zdaniem kosztuje jaguar?”, włożył skózaną kurtkę i wyszli na smagany wiatrem parking, by obejrzeć stojące tam modele. Znalazła mały sportowy, który jej zdaniem wyglądał nieźle.

- Wiedziałem, że pani wybierze właśnie ten.

- Wcale go nie wybrałam. Kolor mi się nie podoba. - Lakier był w kolorze indygo metalik.

- Możemy pani zaoferować rabat przy kolorze, który pani nie odpowiada, albo za pełną cenę ściągnąć z fabryki model w wybranym kolorze.

- Rabat od czegoś, czego nie chcę? - Uśmiechnęła się. - Kai, stawia pan twarde warunki.

- Dzięki. To moja specjalność. Nie może pani odmówić. - Odpo-

wiedział jej uśmiechem. Dziś prezentował się elegancko z wąskim czarnym krawatem, w białej koszuli i wyprasowanych dżinsach. Niesforne przydługie włosy zaczesał do tyłu z żelem i wyglądał bardzo porządnie. I sprawiał wrażenie starszego.

- Zadbał pan dziś o siebie - powiedziała.

- Tamta wersja to mój kostium motocyklowy. - Roześmiał się. - Ten służy do wyciągania pieniędzy od klientów.

- Ma pan rację, w tym celu koszula musi być wyprasowana.

- Nawet dżinsy.

Chciała zapytać, kto prasuje mu dżinsy, ale oczywiście tego nie zrobiła. Obeszła samochód, sunąc dłonią po masce, by wyczuć jego linie i dotykać zimnego szkła. Zbyt zimnego. Włożyła rękawiczki.

- Co jest w nim takiego specjalnego?

- To sportowy kabriolet XKR specjalnie doładowany. Nasz najdroższy model.

- Naprawdę? - Przyjrzała się z nieco większym zainteresowaniem. - A co jest w nim takiego wyjątkowego? Na pewno nie kolor.

Podał jej kluczyki i otworzył drzwi kierowcy.

- Proszę wsiąść i się przekonać.

- Ja prowadzę?

- Mógłbym ja, ale po co? Ja go nie kupuję.

- Ja też nie. - Usiadła za kierownicą. Samochód pachniał nowością i skórą. - Jak się nazywa kolor wnętrza? Ładne połączenie.

- Prawda? Skóra jest w kolorze karmelowym. A akcenty na desce rozdzielczej to burl.

- Burl? A cóż to za kolor? - Dotknęła palcami gładkiej powierzchni przypominającej deseń w cętki.

- Taki.

Wyjechała ostrożnie na Main Street. Jechała dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- Ładnie się zachowuje w ruchu ulicznym - powiedziała po długiej chwili. - Zatrzymuje się na czerwonym świetle. Kierunkowskazy działają. Dźwignia przechodzi z pozycji „park” na „drive” jak po maśle.

Kai spojrzął na nią.

- Nabija się pani z mojej techniki sprzedaży, której jeszcze nie miałem okazji zaprezentować.

- Nie nabijam się. To wszystko prawda. Nie mówię tego z ironią.

- A l e się pani nabija.

- Nie nabijam się. Tylko powątpiewam. Co ma w sobie takiego, że jest wart rocznej pensji?

- Czteryście dwadzieścia koni mechanicznych. Powiem pani coś. Proszę skrócić w lewo przy college'u i jechać, aż dotrze pani na otwartą drogę. Glenside Avenue biegnie wokół Watchung Reservation do Deserted Village. Zobaczymy, co ten maluch potrafi.

- Pięknie hamuje.

- Wystarczy.

- I pasy bezpieczeństwa działają. Nie, jest rewelacyjny. Najlepszy, jak pan mówi. Najwyraźniej model z najwyższej półki.

- Nie zauważyła pani, jak wszyscy na Main Street na panią patrzają?

- Myśli pan, że chodzi o samochód? - Zaśmiała się. - Są pod wrażeniem, że jaguar stał pięć minut na czerwonym świetle?

- Może podziwiali kierowcę. Proszę tutaj skrócić w lewo i jechać prosto przez miłą.

- Och! Jak pięknie jedzie prosto!

Milczeli. Powstrzymała się, by nie spojrzeć na swoje oczy w lusterku wstecznym i zobaczyć, jak wygląda po tym, jak powiedział, że ludzie się za nią oglądają. Nie skomentowała też, że on siedzi taki wyprostowany, niemal z buddyjskim spokojem, z plecami tworzącymi idealną linię prostą przy oparciu fotela.

- Ten model ma czterysta dwadzieścia koni mechanicznych, dołączony silnik o pojemności cztery i dwie dziesiąte litra. Wie pani, co to znaczy?

- Nie...

- Trudno sobie wyobrazić taką moc. Jest jak rakietka.

- Chce pan, żebym zademonstrowała jego rakietowe możliwości na Glenside?

- To pusta droga. A dopóki pani tego nie zrobi, nie przestanie pani rzucać uszczypliwych uwag.

- I tak nie przestanę.

Glenside, która biegła długą prostą linią wzdłuż rezerwatu dzikiej przyrody, była pusta. Nie dochodziły do niej żadne główne ulice, nie było zjazdów do centrów handlowych, stacji benzynowych, małych miasteczek. Po obu stronach ciągnęły się lasy. Świeciło słońce.

- Nie za daleko - powiedziała Larissa, naciskając pedał gazu. Samochód skoczył do przodu.

- Jak daleko pani zechce.

Jechali przez czterdzieści minut. Może czterdzieści pięć.

- I co pani sądzi? - Uśmiechał się do niej szeroko, gdy zwolniła, by wjechać na autostradę. *Zwolniła*, by wjechać na autostradę.

- Sympatyczny - odparła niezobowiązująco.

- Proszę nie udawać. Samochód jest niesamowity - powiedział. - Lekko się go prowadzi. Ma supermoc.

Przyspieszyła, wyprzedzając mercedesa 550SL na prawym pasie.

- Zgadza się.

- XKR osiąga sześćdziesiąt mil w cztery i dziewięć dziesiątych sekundy.

Uszczypliwość zniknęła. Rakiety nie były tak szybkie. Kai miał rację. Samochód był niesamowity. Jeszcze nigdy czymś takim nie jeździła.

- Taka moc może nie być pani potrzebna - powiedział, gdy zacisnęła dłonie w skórzanych rękawiczkach na kierownicy obleczonej skórą.

- Kosztuje więcej niż regularny model XK. To też świetny samochód, trzysta koni mechanicznych i być może to pani wystarczy. Czy wspominałem, że mniej kosztuje?

- Nieżył z pana sprzedawca. - Przyspieszyła do osiemdziesięciu mil. Potem dziewięćdziesięciu.

- Proszę zwolnić, to nie Glenside. Chyba nie chce pani dostać mandatu - powiedział. - Wiem coś o tym. Złapałem już dwa.

Zwolniła niechętnie.

- Jak szybko pan jechał?
- Sto dwadzieścia. Gliniarze nie byli zachwyceni. Trafiłem za to do sądu. Mandat kosztował mnie tygodniową pensję.

Zwolniła jeszcze trochę.

- Chyba ma pan rację. Nie jest mi potrzebna aż taka moc.
- No może - zawiesił głos. - Choć przydaje się, żeby dojechać do autostrady. Nigdy nie musi się pani martwić.

- To miłe - odparła. - Lubię nie mieć zmartwień. Ale nigdy nie jeżdżę autostradą. Czy naprawdę potrzebny mi jest kabriolet z doładowanym silnikiem, żeby jeździć do Stop&Shop?

- Jasne.

Kiedy dojeżdżali do parkingu przed salonem, Larissa ze zdumieniem odkryła, że jest po pierwszej.

- Muszę pędzić - powiedziała. - Ale podoba mi się. I to bardzo.

- Tak myślałem - odparł tylko.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Zadzwoń do niego? On zadzwoni do niej? Czy ma wypełnić formularze ze wszystkimi danymi? Ucisnąć mu dłoń? Zapytać, jak to dokończyć, a może powiedzieć, że porozmawia z mężem i zadzwoni za kilka dni? Co miała zrobić?

- Umieram z głodu - powiedział Kai. - Proszę pojechać do Stop & Shop. Kupię nam sushi.

- W Stop&Shop sprzedają jadalne sushi? - zapytała zaskoczona.

- Nie jest złe. Świeże. Sushi master mnie zna i robi dla mnie rewelacyjne rainbow maki. Lubi pani sushi?

Nie chciała powiedzieć, że nigdy go nie jadła. Zawahała się.

- No, proszę. Kupimy dla pani maki z tuńczykiem. Lubi pani awokado i ogórek? Ostre przyprawy?

- Mam problem z surową rybą - odparła. - Wystarczy ją tylko trochę podsmażyć, a zjem na pewno.

Roześmiał się.

- Udaje dziś pani komika?

Zaparkowała i przeszli razem przez automatyczne drzwi, ona pierwsza. Tak jak powinno być, pomyślała. *Wiek przed pięknem*. Na tyłach sklepu poznała Alę, przyjaznego grubego łysego Japończyka z mocnym

akcentem i gęstą kozią bródką. Nic a nic go nie rozumiała, ale z Kaiem porozumiewali się sekretnym językiem. Kai poprosił go o coś specjalnego, a Al skinął głową i uśmiechnął się.

- Sushi jest tutaj zaskakująco dobre - powiedział Kai, gdy czekali na zamówienie. - Wystarczająco dobre dla chłopaka z Maui, który jadł sushi, zanim zaczął pić mleko.

Pobiegła, by kupić połówkę wołową na kolację.

Kai zapłacił za sushi, wyszli ze sklepu i wsiedli do jaguara, gdzie podkreślił ogrzewanie i włączył radio.

- N i e mogę uwierzyć, że nigdy nie jadła pani sushi - powiedział, otwierając jej plastikowy pojemnik. - Lubi pani wasabi?

- Może lubiłabym, gdybym wiedziała, co to jest.

- A sos sojowy? Wie pani, co to jest?

- I kto tu udaje komika?

Przyglądała mu się sceptycznie, gdy pałeczkami rozsmarował trochę zielonej pasty na kawałku sushi. Jak to się u diabła nazywa? Potem zgrabnie podniósł go pałeczkami i...

Sushi nie jadło się widelcem. A nie mógł jej podać pałeczek. Kiedy już się zdecydowali podjąć akcję, nie mieli wyjścia, musieli ją doprowadzić do końca; dobrze, że był taki swobodny. Podsunął jej pałeczki z kawałkiem sushi, ona pochyliła się i wzięła całą porcję do ust.

- I jak? - zapytał podekscytowany. - Co pani myśli?

Oczy zaszczyły jej łzami.

- Co to jest? Poszło mi prosto do nosa.

Roześmiał się.

- To wasabi. Japoński chrzan. Dobry?

- Jasne. - Przełknęła. - Jeśli ktoś lubi jeść maść VapoRub, to jak najbardziej.

Podał jej plastikową tacę, a ona położyła kropelkę, nie łyżeczkę, wasabi na kawałku sushi. Było odrobinę lepiej. Nie mogła uwierzyć, że je surową rybę. Przeżyła czterdzieści lat i nigdy tego nie robiła. A teraz nagle w jaguarze, i to pałeczkami.

- Na Maui - zaczął Kai, jedząc ze smakiem i popijając coca-colą - było takie miejsce niedaleko naszego mieszkania, gdzie facet łowił rano

tuńczyki, a dwie godziny później robił dla mnie sushi. Było niesamowite. Żywiłem się tuńczykiem rano, w południe i wieczorem. Pewnego dnia Charlie, właściciel knajpki, zaproponował, żebym popłynął z nim na ryby. Byłem podekscytowany jak diabli do czasu, gdy o świcie wypłynęliśmy jego łodzią i zobaczyłem, jak wielkie są tuńczyki. **Mamma mia!** Myślałem, że to małe rybki, które spokojnie mieszczą się do puszeki. - Roześmiał się. - A były wielkie jak wieloryby! Trzy razy większe od łodzi. Powiedziałem: „Charlie, ty draniu, oszukałeś mnie”. Śmiał się tak bardzo, że aż się posikał. Nie złapałem ani jednego, bałem się ich, chciałem spieprzać jak najdalej, przepraszam za język.

- Jeśli spodziewasz się planktonu, a dostajesz wieloryba, to może zrobić wrażenie.

- A l e smakuje pani?

- N i e jest złe.

- Niedaleko w Madison jest takie miejsce, gdzie robią świetne sushi. Kraby, łosoś, tuńczyk, awokado, ogórek i ostry sos. Niesamowite.

- Na pewno. - Z przejęciem próbowała podnieść pałeczkami do ust duży kawałek.

- Jeśli kupi pani samochód, zaproszę tam panią na lunch jako podziękowanie. Będzie pani zachwycona.

- Jest pan bardzo miły. Ale podziękowanie jest zbyteczne.

Siedzieli naprzeciwko cmentarza i jedli sushi z plastikowych pojemników przy włączonym silniku, a z głośników płynął głos Niny Simone śpiewającej **If He Changed My Name**.

- Mam nadzieję, że nie kupiła pani lodów - powiedział, gdy skończyli jeść.

- Dziś nie. Tylko mięso.

Cholera, jedli stek wczoraj. Wyjechała z parkingu. Znajdowali się o minutę od salonu. Musiała się spieszyć. Było już po drugiej i Michelangelo wychodził za pół godziny.

- Więc podoba się pani samochód?

Wjechała na parking, zatrzymała się przed salonem i wrzuciła jałowy bieg.

- Bardzo. Ale muszę już iść.

- Proszę wrócić jutro - powiedział. - Pracuję rano. Pokażę pani dwa pozostałe modele. Okręt flagowy naszej linii, XJR.

- Czy flagowy jest kabrioletem?

- Nie. To sedan.

Larissa zasznurowała usta. Sedany były dobre dla pań w średnim wieku.

Uśmiechnął się.

- W porządku. Dla pani tylko poczwórna chromowana rura wydechowa.

Poczwórna rura wydechowa? Co Jared o tym pomyśli?

- Podgrzewane skórzane siedzenia mogłyby się przydać.

- Oczywiście. A skóra jest specjalnie selekcyonowana.

- Czy mogłabym chcieć jakiś inny model, panie Passani?

- No właśnie. - Wziął szarą papierową torbę z pustymi pojemnikami po sushi. - Ale nie dlatego kupuje się jaguara, panno Stark.

- Nie. Kupuje się go dla spoilera w kolorze ciała i dla czterech chromowanych rur wydechowych. I pani, nie panna.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zjrzy więc pani jutro?

Z jakiegoś powodu nie wysiadał.

- Kai, naprawdę muszę pędzić. Muszę odebrać syna ze szkoły.

Nadal się nie ruszał.

Spojrzała na niego. On na nią.

- Samochód jeszcze nie należy do pani, *pani* Stark - powiedział, starając się powstrzymać lekko kpiący uśmiezek. - Chce pani, żebym ją odprowadził do jej pojazdu?

- O Boże! - Larissa wyłączyła silnik. - Przepraszam.

Idiotka.

- Prawie jakby już był pani, co?

Wysiedli oboje.

Odprowadził ją do escalade'a, lekko uściśnął jej dłoń.

- Prawie jakby już była pani jego właścicielką.

* * *

Larissa wróciła następnego ranka. Na jej widok Kai uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie mogła się powstrzymać. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Nie chcę oglądać innego samochodu - powiedziała. - Proszę mi pokazać inne kolory tego, którym jeździłam wczoraj. Oprócz burl.

Kai zrobił jej kawę i rozmawiali przy jego biurku, mając widok na resztę salonu. Siedzieli tak przez godzinę, gawędząc o luksusowych pakietach i opcjach systemu dźwiękowego, o składanym dachu, błotnikach, lśniącej desce rozdzielczej w kolorze orzechowym burl. Zauważyła leżący na biurku podniszczony egzemplarz książki: *Cierpienia młodego Wertera*.

Akurat ta?

- Czyta pan to?

Skinał głową.

- Drugi raz. Werter jest tak zrozpaczony i tak straszliwie użala się nad sobą. Uwielbiam to.

- Usycha z tęsknoty. To właśnie dzieje się z ludźmi, którzy usychają z tęsknoty.

- Usycha i użala się nad sobą - powiedział Kai. - To bardzo atrakcyjne cechy u mężczyzny. - Zaczął mówić głosem wyższym o oktawę. - Och, dlaczego moje największe szczęście zamieniło się w największy ból? Faj.

- Mmm. - Larissa powstrzymywała uśmiech. Kai najwyraźniej sądził, że jest mądry i zabawny. - To jakim cudem wszystkie dziewczęta uważają go za największego bohatera romantycznego?

- Które? Na pewno nie dziewczyna, za którą on usycha z tęsknoty. A w prawdziwym życiu dziewczęta nie zbliżyłyby się do niego na milę. Nie znoszą jękołów.

- Być może ma pan rację - odparła. - W innym przypadku nie mielibyśmy cierpień Wertera. - Odwróciła wzrok. Czytał. Dlaczego zrobiło to na niej wrażenie? Nie chciała jednak, żeby to dostrzegł; mogłoby uznać, że traktuje go protekcyjnie. Ale czytać *Wertera!* Powieść o młodym człowieku, który zakochuje się w mężatce i zabija się, gdy uświadamia sobie, że nigdy nie będzie jej miał. Krew popłynęła aż do jej koniuszków palców. Zarumieniły się!

- Lubi pan czytać? - zapytała powoli i natychmiast gorzko pożałowała, że pozbyła się ośmiu pudeł nieprzeczytanych książek.

- Tak, pochłaniam książki. O wiele lepiej, gdy nie czyta się ich jako lektur, nie sądzi pani? Nienawidziłem wszystkiego, co czytałem w szkole. A teraz nie potrafię się zniechęcić do książki. W każdej znajduję coś, co mi się podoba.

- Ma pan jakąś ulubioną?

- Nie. Teraz czytam literaturę niemiecką. Skończyłem *Blaszany bębenek*, potem *Fausta*, teraz to.

Larissa milczała.

- Chce pani jeszcze raz przejechać się samochodem? Chciałbym, żeby była pani pewna. - Kai okręcił na palcu kółko z kluczykiem.

- Jestem pewna. No dobrze, jeszcze jeden raz - dodała po chwili.

Potem zjedli sushi przy cmentarzu.

Wieczorem znalazła swój stary egzemplarz *Wertera* i ponownie przeczytała powieść za jednym niespokojnym podejściem (dlaczego on to czyta?), a następnego dnia poszła do księgarni i kupiła egzemplarze książek, które niedawno oddała; spieszyła się, by ustawić je wszystkie na półkach, zanim Jared wróci do domu i skomentuje dość dziwny zwyczaj pozbywania się książek w jednym tygodniu i kupowania tych samych tytułów w następnym.

* * *

W sobotnie popołudnie pojechała do salonu z Jaredem. Panował tam większy ruch niż w ciągu tygodnia.

Jared i Kai uścisnęli sobie dłonie. Kai wydawał się wyższy, nawet jeśli tylko dzięki szczupłej sylwetce. A może przez motocyklowe buty. *Werter* zniknął zastąpiony przez *Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla*. Larissa uparcie wpatrywała się w biurko, w ramię Jareda, jego brodę, w okna, we wszystko, byle nie w dwóch mężczyzn stojących bardzo blisko siebie przy biurku Kaia.

- Ach - powiedział Jared, wskazując książkę. - Feliks Krull, hochsztapler. Czytałem to dawno temu. Jak się panu podoba?

- Niezła - odparł Kai. - Dowcipna. Podobają mi się zwłaszcza porównania Feliksa do Hermesa, tutaj oczywiście jako boga złodziei.

- Tak. - Jared wpatrywał się w Kaia, Larissa w biurko. - Jak kierownictwo zapatruje się na to, że czyta pan w salonie książkę o bogu złodziei?

- Na szczęście dla mnie - odparł Kai z powagą i lekkim skinieniem głowy - kierownictwo nie jest na bieżąco z ostatnimi dziełami Tomasza Mana. W innym przypadku ma pan rację, mógłbym mieć poważne kłopoty. - Zdjął kluczyki z haczyka na ścianie. - Idziemy?

Podczas gdy Jared testował z Kaiem dwuosobowy kabriolet, Larissa siedziała w boksie i wpatrzona w *Feliksa Krulla* myślała o Werterze i jego poetyckich tęsknotach. Myślała też o tym, jak bardzo wstrząśnięty był Krull, gdy odkrył, że w większości rzeczy, z którymi miał kontakt, rzeczywistość była iluzją, a iluzja - rzeczywistością. Na ziemi leżał śnieg, pewnie nie pojedą daleko. Za ślisko na szybką jazdę. Czy Kai zabierze Jareda do Glenside? Zastanawiała się, o czym będą rozmawiać. Czy Kai będzie się starał być zabawny, jak w rozmowie z nią?

Wrócili po dziesięciu minutach.

- Podoba mi się ten samochód - powiedział Jared. - Uwielbiam go. Zerwała się z miejsca podniecona. Kai przeszedł za biurko, by odebrać telefon. Jared odciągnął ją do salonu.

- Ale nie jestem pewny tego sprzedawcy - szepnął. - Nie próbował cię naciągnąć?

- Nie, skądże - odparła zaskoczona. - Dlaczego tak sądzisz?

- Nie wiem. Coś w nim wyczuwam.

- To sprzedawca - powiedziała. - Oni tym właśnie się zajmują. Próbują nam wcisnąć coś, czego nie chcemy, za cenę, której nie chcemy zapłacić.

Kiedy się jej przyglądał, dodała szybko, nie rozumiejąc, co chciał powiedzieć, albo nie chcąc zrozumieć:

- Bardzo chcę mieć ten samochód, naprawdę. Ale jest trochę drogi, co?

- Zapomnij o tym. Jeśli taki z niego świetny sprzedawca, to pozwól, że zapytam, dlaczego nie odezwał się do mnie ani słowem?

- Kiedy ktoś nic nie mówi...

- A n i jednego słowa. Sylaby.

Larissa przygryzła wargę.

- Chodzi ci o to, że nie wspomniał o rewolucyjnej aluminiowej konstrukcji karoserii?

- O dziwo nie. A mógł. Jeśli próbuje sprzedać tę cholerną rzecz. - Jared zbliżył się. - Możemy iść gdzie indziej. Nie musimy kupować tutaj. - Obejrzał się przez ramię na Kaia siedzącego za biurkiem.

Larissa postukała Jareda w ramię, by zwrócić jego uwagę.

- Możemy. Ale po co? Podoba mi się ten samochód. Może porozmawiamy z Chadem, facetem od finansów? Jest Irlandczykiem. Sprawdźmy, czy cyferki się dodają.

- Och, czy te dwie rzeczy to synonim dobrego wyczucia w interesach? Irlandczyk i finanse?

Stali na środku salonu, rozmawiając przyciszonymi małżeńskimi głosami. Jared nie był dziś ubrany jak człowiek sukcesu; w soboty zawsze nosił wygodne dzinsy i bluzy. Nie ogolił się, miał zmierzwione włosy. Larissa żałowała, że nie wygląda bardziej oficjalnie. Negocjacje mogłyby się okazać łatwiejsze. Nie chciała, żeby go oszukali.

- Jeśli chcesz, możemy iść gdzie indziej - powiedziała zrezygnowanym tonem.

- Chcesz?

Dlaczego był tak pełen nadziei?

- Posłuchaj, od początku mówiłam, że nie chcę tego samochodu. To ty nalegałeś. A teraz, kiedy znalazłam model, który mi się podoba, chcesz się wycofać. Po co mnie przez to ciągniesz? Kup mi naszyjnik albo coś w tym stylu. Zaproś mnie na kolację.

Położył dłoń na jej ramieniu. Przyciągnął ją do siebie.

- Masz rację - powiedział. - Przemawia przeze mnie mój chory rozsądek.

- Odrobina zdrowego wystarczy.

- Nawet nie wiem, co to jest.

- Chodzi ci o coś, co powiedział?

- N i e ! Mówiłem ci już. Chodzi o to, czego nie powiedział. Zachowywał się tak, jakby wcale nie musiał mnie przekonywać do zakupu.

- I dlatego uważasz, że chce cię oszukać?
- To dlaczego siedział w tym samochodzie, jakby transakcja była już dopięta?

- Nie wiem.

- Rewolucyjna konstrukcja, jasna cholera. Dobra, spróbuję z nim porozmawiać. Może nie mówi po angielsku? Ale nie, przecież zasypał mnie opowieściami o tym Feliksie Krullu. Hermes, bóg złodziei. Co za arogancja - prychnął. - Poczekaj chwilę, dobrze?

- Chcesz, żebym z tobą poszła? Udzieliła ci moralnego wsparcia? Ścisnęła ją za ramię.

- Zajmę się nim po swojemu. Wracam za pięć minut.

Jared podszedł do biurka Kaia, podczas gdy Larissa usiadła w śnieżno-białym sedanie stojącym w salonie i niespokojnie bawiła się włącznikami. Tym razem obaj rozmawiali. Kai był niezwykle opanowany, żadnego kręcenia się, wiercenia, żadnych zbędnych ruchów, nie bębnił nawet ołówkiem w blat biurka. Wydawało się jej, że upłynęło nie pięć minut, a czterdzieści pięć. Kai wstał, wyszedł, wrócił.

- Larisso - zawołał wreszcie Jared. - O jakim kolorze myślałaś?

Zatrzasnęła białe drzwi i po miękkim dywanie w kolorze kawy cappuccino podeszła do metalowego biurka Kaia. Podobał jej się sterylny wystrój salonu. Samochody lśniły, zero brudu, oleju, żadnych spalin, wyziewów, czarnego dymu. Tylko lśniąca surowa stal.

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła. - Zastanawiałam się nad zielonym. Także porcelanowym.

- Nie podobał ci się niebieski indygo na parkingu? On mówi, że może dać nam rabat.

Nie podobało się jej, że Jared powiedział „on” w odniesieniu do mężczyzny, który siedział naprzeciwko niego. Doradzająca w sprawach etykiety Emily Post uznałaby to za dość niegrzeczne. I nie pasowało do Jareda, najłagodniejszego z mężczyzn. Larissa zmusiła się do wysiłku, by nie spojrzeć na Kaia. Nie chciała uznać nieuprzejmości męża ani faktu, że już wcześniej rozmawiali o kolorze. Bo to zakładałoby, że gawędzili z Kaiem dość swobodnie, może nawet zjedli razem surową rybę, siedząc w zaparkowanym samochodzie i słuchając Niny Simone.

- Raczej nie chcę niebieskiego - powiedziała, zaciskając usta.

Kai i Jared pochylili się nad biurkiem, przyglądając się kolorom w broszurze. Stanęła nad nimi.

- Może zimowe złoto? - zapytał Kai.

- Właśnie miałem to zasugerować - powiedziała Jared. - Zimowe złoto pasuje do twojego kolorytu, Larisso.

Pochyliła się, by lepiej się przyjrzeć. Kolor był nieco ciemniejszy niż porcelanowy. Bardziej przypominał metaliczny popiół. Pasował do koloru jej włosów. Złoto i szarobrazowy połączone w alchemii.

- Dobrze - zgodziła się.

Nie wiedziała, na czym to polega, ale to był fakt - Kai nie traktował Jareda równie przyjaźnie jak ją. Jared z kolei był spięty i zimny i Larissa nie wiedziała, co jest przyczyną, a co skutkiem: czy spięty Jared jest odpowiedzią na milczącego Kaia, czy odwrotnie, a może działo się to jednocześnie. Wiedziała tylko, że obaj zachowują się w nietypowy dla siebie sposób. Co z kolei kazało jej się zastanowić, czy ona nie postępuje podobnie. Czy była bardziej milcząca? Jared zdecydowanie miał się na baczności. Z perspektywy czasu kupno samochodu okazało się złym pomysłem.

- Będzie pan się musiał bardziej postarać z tą ceną - powiedział szywno Jared.

- Przeliczyłem ją już trzy razy. Próbuję przedstawić panu najlepszą ofertę. Pańskiej żonie samochód się podoba.

- Tu nie chodzi o odczucia mojej żony. Chodzi o najlepszą cenę dla klienta.

- W porządku. Porozmawiam z Chadem jeszcze raz.

- Nie. - Jared wstał. - Gdzie jest ten Chad? Sam z nim porozmawiam.

- Bardzo proszę - odparł chłodno Kai, również wstając. - Zaprowadzę pana do niego. - Wyszedł zza biurka. - Idzie pani? - rzucił do Larissy.

- Idzie pani? - przedrzeźniał go szeptem Jared, szturchając ją w plecy.

Jared przez ponad godzinę negocjował warunki z Chadem, a Laris-

sa siedziała i gotowała się na krzesło obok. Dzieci były same w domu przez cały dzień. Całą sobotę. Nie będzie miała dość czasu, by przygotować kolację przed przyjściem Ezry, Maggie i Dylana. Emily musi być wściekła. Nigdy nie lubiła robić za niańkę, zawsze wisała na telefonie albo siedziała przed komputerem. Lubiła brać pieniądze, ale nie znosiła samej pracy. Biedny Michelangelo, słodki chłopiec pozostawiony z kapryśną Emily. Powinien z nim zostać Dylan. Był o wiele miłszy. Albo nawet Asher, gdyby nie był tak roztargniony i gotowy zapomnieć, że ma w domu młodszego brata.

- Larisso?

- Przepraszam.

Nie słuchała. Przez półprywatne przepierzenia spoglądała na biurka, krzesła, dopasowaną białą koszulę, wyprasowane dżinsy, dłoń na telefonie, plecy odwrócone do salonu, przygładzone szalone włosy.

- Chad chce wiedzieć, czy jesteś zainteresowana poszerzonym pakietem technologicznym.

- C z y m ?

- Systemem nawigacji.

- Nie, dziękuję.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. - Nie chciała myśleć o tym ani przez minutę. Wyłączyła się, ale po kilku chwilach coś w rozmowie dwóch mężczyzn przykuło jej uwagę. Jared pytał Chada o Kaia.

- Dobrze sobie radzi? - Jared niżył głos. - Wydaje się, że jest zbyt młody, by sprzedawać samochody tego kalibru.

- Tak wszyscy myśleliśmy - odparł Chad, również niżając głos. - Jest nowy. Nadal na okresie próbnym. Ale jest bez zarzutu. Punktualny, ciężko pracuje, nigdy nie ma z nim problemów. I został sprzedawcą miesiąca w obu miesiącach, odkąd tu pracuje.

- A l e pracuje dopiero od dwóch miesięcy!

- No właśnie. Następny po nim sprzedał jeden samochód. Kai siedem.

- Siedem? - Jared zagwizdał. - Siedem w sumie?

- Nie. W ciągu jednego miesiąca. Pański będzie ósmy.

- Nie...

- Osiem w tym miesiącu, pięć w poprzednim. To ponad milion dolarów dochodu dla salonu.

- No proszę. - Jared obejrzał się nad samochodami na Kaia z wyrazem zaskoczenia i niechętnego szacunku, zupełnie jakby z jakiegoś powodu Jared nie chciał, by Kai odnosił sukcesy jako sprzedawca. - Na czym polega jego sekret? Jak on to robi?

- Nikt nie wie. Jest samotnikiem, nie nawiązuje kontaktów. Może ma świetną ostatnią ofertę? - Chad uśmiechnął się przyjaźnie do Larissy. - Jak zamknął transakcję z panią?

Larissa wzruszyła ramionami.

- Pokazał mi piękny samochód. Całkowicie mnie przekonał. Co w tym takiego trudnego?

- Rzeczywiście pomaga nam fakt, że samochody są piękne. - Chad wskazał mężczyznę w średnim wieku za ladą biura. - Ale Gary, nasz starszy sprzedawca, jest z nami dwadzieścia lat, czyli tyle, ile Kai chodzi po świecie, i sprzedaje te same samochody. A jednak nie potrafi go przebić.

O Boże, ma dwadzieścia lat!

- To pewnie młodość - powiedział Jared.

Larissa spuściła wzrok na splecione na kolanach palce. Tym razem ich koniuszki nie zarumieniły się, lecz zupełnie pobladły.

- Pewnie tak. - Chad pochylił się w ich stronę. - Wiecie, co myślę? Kai po prostu nie uznaje odmowy. Jeśli widzi potencjalnego klienta, nie odpuszcza. Ale też nie traci czasu na tych, którzy tylko oglądają. Może na tym polega jego dar. Potrafi natychmiast odróżnić kupujących od oglądających.

Teraz to Jared wzruszył ramionami.

- Wyglądało trochę tak, jakby kręcił. Jakby próbował mnie naciągnąć.

- Proszę mi uwierzyć, że tak nie było. Sam pan widział. Kai potrafi świetnie domknąć transakcję.

- Wiem. Cena była dobra. Z tymi wszystkimi opcjami i pakietami, bałem się, że nas bajeruje. - Zakrawało to na ironię, bo jak można

kogoś zabajerować, nie odzywając się ani słowem? - Ale w cenniku Kelley Blue Book przeczytałem, że cena jest dobra. Jestem zadowolony. - Odprężony Jared uśmiechnął się do Larissy.

- To wspomniały samochód, kochanie - odparła, spoglądając na zegarek i zmuszając się do szerokiego uśmiechu. - Która żona nie chciałaby dostać jaguara kabrioletu o mocy czterystu dwudziestu koni?

Podpisali wszystkie niezbędne formularze: warunki zamówienia określające wysokość zaliczki, prowizji, podatku i koszty dostarczenia. Przed wyjściem Jared uściśnął dłoń Chada. Nie odszukał Kaia, nie zechciał uściśnąć jego dłoni. Wychodząc, nawet nie skinął głową w jego stronę.

2

Zimowe złoto

Bilety na *Otella* wyprzedano na wszystkie trzy przedstawienia. W sobotni wieczór razem z dziećmi siedzieli w drugim rzędzie, podziwiali aktorów, starannie wypowiadany tekst, piękne dekoracje. Michelangelo powiedział matce, że namalowała wspomniała scenę śmierci.

W czasie przerwy Jared pochylił się w stronę siedzącej obok Larissy.

- Wiem, że Szekspir uważał małżeństwo Otella i Desdemony za dobre - powiedział. - Szlachetne, przyzwoite i tak dalej. Ale czy nie byłoby zabawnie, gdyby Desdemona rzeczywiście przespała się z Kasjem?

- Tato ma rację. Ta sztuka nie jest odpowiednia dla dzieci, mam - oświadczyła Emily, przechylając się przez Michelangela. - Nie powinnaś go była zabierać.

- Nie powinna zabierać ciebie - oburzył się Michelangelo, odpychając siostrę.

- Może Emily ma rację - powiedział Jared. - Ta sztuka nie jest odpowiednia ani dla dorosłych, ani dla dzieci.

- Co to by była za tragedia, gdyby Desdemona została sprawiedliwie zamordowana? - zapytała Larissa. - Takie rzeczy mówi Leroy, kiedy chce zmienić tekst i „poprawić” słowa Szekspira.

- Kim u diabła jest Leroy?

- No wiesz. - Machnęła ręką. - Stoi z tekstem po drugiej stronie Freda.

- A kim u diabła jest Fred?

- Kochanie, opowiadałam ci o Fredzie. - Westchnęła. - Nigdy mnie nie słuchasz. To ten wkurzający niedoszły szef wydziału teatru obok niedoszonego reżysera.

- Musisz wyrażać się jaśniej, Lar. - Jared ze śmiechem objął ją ramieniem. - Dlaczego to nadal nie może być tragedia? - Pocałowała ją w skroń. - Kochać, zostać zdradzonym. To nie jest tragiczne?

- Nie dla Szekspira. To łatwe do przewidzenia.

Asher nachylił się przez ojca.

- Kiedy to się skończy? Naprawdę muszę wracać do domu.

- Skończy się, kiedy wszyscy zginą, synu. Wtedy będziesz wiedział, że to naprawdę koniec. - Jared odwrócił się do Larissy. - Jaką sztukę wystawicie na wiosnę?

- Nikt jeszcze nie zdecydował - powiedziała Larissa, gdy uniosła się kurtyna. - Ku rozpaczy Ezry Leroy uważa, że to on podejmie decyzję.

- Hmm. **Ty** powinnaś być reżyserem. Możesz jeździć na próby swoim małym złotym jaguarem. Jest taki seksowny. Kiedy go dostarczą?

- Nie wiem. Za dwa tygodnie?

- Powiedział, że do ciebie zadzwoni, kiedy będzie można odebrać samochód?

- Nie powiedział.

- Zakładam, że ktoś zadzwoni.

- Zwykle dzwoni sprzedawca.

- No to chyba zadzwoni.

- A jeszcze nie dzwonił?

- Nie. A skąd to wiesz? Bo nie jeżdżę małym złotym jaguarem?

- Chyba tak. Boże, był taki pretensjonalny - szepnął Jared. - Czyta *Feliksa Krulla*. Za kogo on się uważa?

- O kim mówisz? - zapytała z udanym znużeniem, zdumiona niewytłumaczoną wrogością Jareda do Kaia z powodu jego stoickiego milczenia podczas ich dziesięciominutowej przejażdżki.

Rozpoczął się akt trzeci. Wchodzi Kasjo i kilku muzykantów.

„Zagrajcie co krótkiego na dzień dobry dla generała, zapłacę wam trudy”*.

* * *

Pod koniec lutego dostarczono jaguara. Tak doniosła okazja zasługiwała, by Jared wziął dzień wolny, ale był zajęty restrukturyzowaniem departamentu kierującego instrumentami emerytalnymi i nie mógł sobie na to pozwolić. Larissa musiała zaczekać, ale pojechała po południu, by obejrzeć samochód.

- Zimowe złoto jest ładne, prawda? - powiedział rozpromieniony Kai na widok rozpromienionej Larissy, która najpierw oparła na masce obie dłonie, a potem całe przedramiona. Był wspaniały. Chciała się na nim położyć. Chciała spać w jego wnętrzu.

- Z pewnością lepsze niż niebieski - powiedziała z wyraźnym smutkiem, żałując, że nie może w tej sekundzie odjechać nim z parkingu. Zamiast tego zdecydowała się na tuńczyka i ryż w cadillacu z Kaiem od trzynastej dwadzieścia pięć do trzynastej czterdzieści pięć.

Po kolacji Jared zawiózł Larissę do salonu, gdzie podpisali dokumenty na tablice rejestracyjne i tymczasową rejestrację, wymieniono kluczyki i ujawniono kody do otwierania drzwi bez kluczyka. Samochód był tak rewelacyjny, że Jared nawet ucisnął dłoń Kaia! Larissa raz po raz mruzczała podziękowania. Za tyle rzeczy powinna być wdzięczna. Jaguar zbliżył Jareda i Kaia! Może zostaną przyjaciółmi.

* William Szekspir, *Orello*, tłum. Józef Paszkowski.

Może Kai zjawi się u nich latem, wyłoży nową kostką ścieżkę od garażu do frontowych drzwi, a potem wypije w kuchni szklankę świeżo zrobionej zmrożonej lemoniady.

- Więc wszystko zostało wybaczone, kochanie? - powiedziała cicho i żartobliwie do Jareda, gdy Kai wszedł do środka po drugi komplet kluczyków. Sytuacja zmieniła się tak diametralnie, że mogła nawet żartować!

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł. I dodał głośniejszym głosem, gdy wrócił Kai: - Kolor jest fantastyczny. Idealny dla Larissy.

Kai się zgodził; zimowe złoto było idealne.

Pokazał jej, jak opuszczać dach, jak automatycznie ustawiać siedzenia, jak automatycznie sterować klimatyzacją, włączać sprzęt i jak działają przyciski menu. Spędzili w samochodzie czterdzieści minut; Kai cierpliwie wszystko tłumaczył, a Jared siedział w swoim lexusie, bębniąc palcami w kierownicę.

- Jesteś gotowa? - zapytał, gdy w końcu wysiadł i podszedł do okna jaguara. - Robi się późno.

- Jeszcze parę minut, kochanie - odparła. - Muszę się dowiedzieć, kiedy korzystać z trzeciego biegu. - Spojrzała wesoło na Jareda. - Jeśli chcesz, możesz wrócić do domu. Przyjadę za tobą za jakieś pięć minut.

Jared powiódł spojrzeniem od Kaia do Larissy i z powrotem.

- Jeśli to naprawdę tylko pięć minut, poczekam.

W końcu opuścili parking, Larissa podekscytowana jak chłopczyk, który dostał na gwiazdkę kolejkę. Jechała Main Street jaguarem w kolorze zimowego złota dwadzieścia mil na godzinę, a jadący za nią lexusem Jared trąbił, żeby przyspieszyła. Nie opuściła dachu, bo padał marznący deszcz. Kiedy dotarła do domu i wjechała do garażu, wyjęła rolkę papierowych ręczników i zaczęła wycierać samochód. Jared wybuchnął śmiechem.

- Dzieci chcą się przejechać. Lepiej trzymaj te ręczniki pod ręką.

Ponieważ samochód był dwuosobowy, musiała zabierać je po kolei, lecz Michelangelo wcisnął się na wąziutkie siedzenie z tyłu i pojechał zarówno z Emily, jak i z Asherem.

- Mamo, to najfajniejszy samochód, jaki kiedykolwiek widziałem -

oświadczył Asher. - Chcę, żebyś wozila mnie nim co tydzień na lekcje gitary.

- Zgoda, ale będziemy musieli znaleźć drugą mamę z drugim samochodem, żeby wozila pozostałą dwójkę na ich zajęcia - odparła Larissa. - Wszyscy się do niego nie zmieścimy.

Jared od razu się wtrącił.

- To nie jest samochód mamy. To samochód Larissy, rozumiemy się? Mama będzie was wozic escalade'em. Jaguarem jeździ Larissa. Kapujecie?

W sobotni wieczór wprosilili się do Maggie i Ezry, żeby Larissa mogła pojechać jaguarem. Nawet niewzruszony Ezra był pod wrażeniem.

- Szczęśliwa? - zapytał, obchodząc jaguara, poklepując bagażnik i okna.

- Szczęśliwa i zachwycona. Ale uważaj. Porysujesz go obrączką.

- Dlaczego miałbym porysować twój samochód obrączką? - zapytał, cofając dłonie. - Czy jaguar dostarczył ci wszystkich odpowiedzi?

- Daj mu czas, Ezra. Mam go dopiero od dwóch dni.

- A co z teatrem, Larisso? Myślisz o tym znacznie dłużej niż dwa dni. Chyba zaofერuję tę pracę Leroyowi.

- Nie strasz mnie Leroyem. Jeśli chcesz, zaproponuj mu tę pracę. - Zawiesiła głos. - Jest porządnym facetem i samotnym ojcem. Nie pozwól, by jego brak teatralnych kompetencji stanął ci na drodze.

- Chodź do środka. - Odciaęnęła ją od jaguara. - Napompuję cię alkoholem i terroryzuję opowieściami o Leroyu. Pamiętaj, jak postanowił zmienić zakończenie *Hamleta!* Jego zdaniem Hamlet nie powinien na końcu zginąć, lecz uznać swoje błędy i uzyskać odkupienie dzięki pompatycznemu samopoznaniu.

- Ezra!

- A pocałunek Desdemony i Otella i pogodzenie się w ostatniej scenie? Julia budząca się w samą porę, by chwycić Romea za rękę?

- Wystarczy.

- Cezar żyje!

- Ezra!

- Lud wybaczył Antoniuszowi i Kleopatrze ich dekadencję!
 - Wychodzimy.
 - Iwan Iljicz czuje się lepiej!
 - To jakim cudem opowiadanie nosi tytuł *Śmierć Iwana Iljicza?* - rzuciła rozdrażniona Larissa.
 - O to właśnie mi chodzi. Tylko ty możesz nas wybawić od Leroya.
 - Powiedziałam nie.
 - Wejź do środka i pij, aż powiesz tak.
 - Tak właśnie dorobiła się trójki dzieci - zapiszczał Jared, odciągając opierającą się Larissę od jaguara.
- Chciała tylko przejechać się nim pustą drogą.
Ale nie sama.

* * *

Po pierwszym spotkaniu w samochodzie przy sushi powstał iluzoryczny świat, w którym Larissa mogła przesiadywać z Kaiem, najpierw w kremowym cadillacu, teraz w jaguarze zaparkowanym w biały dzień przy drucianym płocie oddzielającym parking od cmentarza, gdzie nie patrząc na siebie, jedli surowe ryby i owoce morza.

Jego niedorzecznie młody wiek początkowo ją martwił, ale niemal natychmiast świadomość, że Kai nie wchodzi w młoda dorosłość, lecz znajduje się na końcu okresu dojrzewania i na samym początku reszty swojego życia, wyzwoliła ją od trosk. Zamartwianie się, czy to przyzwoite, ustąpiło miejsca wesołym pogaduszkom, radości, a serce wyzwoliło się od poczucia winy. Ponieważ za nic nie mogła uznać, że są mężczyzną i kobietą, między którymi mogłoby dojść do zbliżenia (on miał w końcu dwadzieścia lat), zjedzenie z nim szybkiego lunchu nie budziło niepokoju. Był to tylko sposób spędzenia kilku minut po południu, to wszystko, i Larissa więcej się nad tym nie zastanawiała. Nie potrzebowała żadnych dodatkowych uzasadnień. Kiedy przypominała sobie, jak tygodniami zastanawiała się, czy pojechać do salonu obejrzeć samochód, była zażenowana swoją głupotą. Jakież to było przesadne! Dziwne, że zamartwiała się takimi błahostkami. Iluzja przeciw rze-

czywistości. Rzeczywistość wyglądała tak, że on był chłopcem, który dopiero co skończył szkołę średnią i musiał zjeść lunch po południu. Ona była dorosłą kobietą z trójką dzieci i zakręconym życiem, która też musiała zjeść lunch. Koniec historii. Hurra!

Siedzieli w jaguarze, wiatr rozwiewał jej włosy i rozrzucał serwetki, a odgłosy ulicy brzmiały jak ścieżka dźwiękowa jej życia. Policyjne syreny, klaksony, parkujące i włączające się do ruchu samochody, pisk opon, podczas gdy oni siedzieli przodem do nagrobków rozrzuconych na podmokłym gruncie wśród nagich drzew, na których jeszcze nie pojawiały się pączki. Temperatura rosła i w połowie marca sięgnęła dziewiętnastu stopni! Larissa nie włożyła płaszcza; miała na sobie narzuconą na bluzkę dżinsową kurtkę i dżinsy. To właśnie nosiła popołudniami swojego życia. Dżinsy. Bo dżinsy nosili młodzi.

Opuścili szyby, Larissa włączyła odtwarzacz CD, słuchali The Doors i Minnie Riperton. Zauważyła, że Kai zna na pamięć niektóre wiersze Morrisona. Zaskoczyło ją to. Ale często to robił - mówił rzeczy, które ją zaskakiwały.

- Hmm. Robi wrażenie - rzuciła, gdy powiedziała, że na wielkiej autostradzie pełno jest poszukujących i odchodzących.

- Jim Morrison czy ja? - zamrugał wesoło.

Nie miała gotowej odpowiedzi, a on na nią nie czekał.

- Znam sporo wierszy Morrisona. Na pewnym etapie życia czytałem tylko *Amerykańską noc*. *Wonderland Avenue* była kiedyś moją ulubioną książką.

- Kiedyś?

- Tak... Nie interesuje mnie już tak bardzo heroinowa kultura. - Włożył pusty plastikowy pojemnik do papierowej torby i nie chciał powiedzieć nic więcej. - Ale to nadal jest dobra książka. Czytałaś?

- N i e .

- Napisał ją Danny Sugerman - powiedział.

Następnego dnia przyniósł jej podniszczony egzemplarz.

- Możesz ją pożyczyć. Ale uważaj, to pierwsze wydanie.

- N i e powinieneś mi go pożyczać. Na pewno gdzieś je zostawię.

- Na przykład gdzie?

Wzięła książkę.

- Chciałeś być jak Morrison?

- Nie. Na Hawajach jesteśmy łagodniejsi. A Morrison to ostry rock. Posłuchaj tylko jego tekstów, jego głosu. Wolałem muzykę Mahalo, riffy na ukulele, wyspiarskie śpiewy.

Nie wiedziała. Chciała jeszcze posłuchać o poezji Morrisona.

- Podobało mi się, że chciał poszerzać granice swojej rzeczywistości - powiedział Kai. - Poszerzać poza wszelkie ograniczenia, by odnaleźć sacrum. Wiesz, jak to możliwe?

Nie była pewna, ale chciała usłyszeć więcej słów Morrisona wypływających z ust Kaia.

3

Nieustanna zmiana

Larissa wiedziała, że może wpaść w tarapaty, kiedy Maggie chciała umówić się z nią na lunch w przyszłym tygodniu, a ona skłamała. Naprawdę skłamała. Powiedziała, że jest zajęta. Ma wizytę u lekarza, bla, bla, nie da rady. Maggie zapytała, jak długo potrwa wizyta, i zaproponowała, że mogą się spotkać tuż po niej, lecz Larissa pospieszyła z wyjaśnieniem, że gabinet mieści się w Morristoryn, a ten lekarz zawsze ma opóźnienie. Maggie za nic jednak nie chciała odpuścić i umówiły się na środę między dwunastą a drugą. Larissa nie wiedziała, co powiedzieć Kaiowi, bo informacja, że jest jutro zajęta, zabrzmiałaby śmiesznie! Jednak gdyby nie powiedziała nic, mogłoby to oznaczać - oznaczałoby - że on będzie na nią czekał. Nie mogła tak po prostu się nie zjawić.

Co powiedziałyby Emily Post na temat etykiety w takiej sytuacji?

*Droga Abby!**

Mam następujący problem. Codziennie przez czterdzieści minut siedzę w samochodzie z młodym mężczyzną, który nie jest moim mężem, i jemy razem lunch. Rozmawiamy o najbardziej trywialnych rzeczach, prawie się nie znamy, ale robimy to niemal codziennie. A jutro nie mogę. Nie wiem, czy wypada mi powiedzieć, że nie będę mogła przyjechać. Nie chcę, by wyglądało na to, że traktuję to jako zobowiązanie lub jestem mu winna wyjaśnienie, bo tak nie jest. A jednak wydaje mi się, że będzie dziwnie, jeśli się nie zjawię.

* * *

Droga Abby!

Wczoraj po południu młody mężczyzna, który nie jest moim mężem, przytrzymał dla mnie drzwi samochodu, który mi sprzedał, a kiedy wsiadałam, wciągnęłam powietrze, by poczuć jego zapach.

Pytanie: czy powinnam teraz zacząć wąchać przypadkowych mężczyzn na ulicach mojego sennego miasteczka, by udowodnić sobie, że to było chwilowe zaćmienie i że czasami kobiety w pewnym wieku robią coś takiego? Wąchają obcych mężczyzn?

* * *

Larissa jadła tuńczyka z ogórkiem, a Kai rainbow roll z węgorem i łososiem. Jego włosy wyglądały dziś wyjątkowo niesforne - zakrywały mu większą część twarzy.

- Kamieniarstwo to harówka - mówił. - Ale latem uwielbiam być przez cały dzień na świeżym powietrzu. Sprzedawanie jaguarów to dla mnie dużo cięższa praca.

- To rzuć ją.

* „Droga Abby” - nazwa kolumny z poradami założonej w 1956 r. przez Pauline Phillips piszącą pod pseudonimem Abigail Van Buren (przyp. tłum.).

- Głupio byłoby zrezygnować z pracy, w której zarabiam tyle kasy. - Machnął ręką w powietrzu. - E tam. Wszystko jest ciężkie. Na swój sposób.

Larissa pomyślała o swoim dniu, o lunchu z sushi, malowaniu dekoracji, lodach i odrabianiu lekcji, o zakupach i powolności. Jakies pieczenie, zakupy, jakieś prace w domu. Czy to też było ciężkie? Na swój sposób?

Przygryzła wargę i nic nie powiedziała, spoglądając na jego spękane młode dłonie, w których trzymał pałeczki. Słuchała utworu grupy Yes płynącego z radia; cicho, lecz wyraźnie sączyła się serenada o *nieustannej* zmianie... świat w ich dłoniach, księżyc, gwiazdy, nadsiadająca katastrofa spoglądająca na nich z góry, myśli biegną do kwietnia, lata. Co zrobić? To tylko chłopiec, którego widzę, iluzja przed moimi oczami...

- Co się stało z twoim ojcem?

Kai lekko zeszytniał. Odwrócił się do niej z bladym uśmiechem.

- Nie chcę rozmawiać o moim ojcu. Nie byliśmy sobie bliscy... Ojciec lubił się włóczyć. Codziennie martwię się, że ktoś wejdzie do salonu i powie, że jest moim przyrodnim bratem. Mój staruszek wpakował się w jakieś gówno i mama wychowywała nas z babcią. Zniknęła, a jakiś czas potem usłyszałem, że trafił do więzienia za posiadanie narkotyków. Niedawno znów się pojawił. Byłem jego jedynym synem.

Larissa milczała.

- Potem znów zniknął, jak w magicznej sztuczce. Mama mówiła, że pewnie wrócił do swoich dwóch żon i trzech kochanek. Ale dowiedzieliśmy się, że leży chory w szpitalu. Potem umarł. Zostawił mi motor. Bardzo go kocham.

- Przykro mi, że ojciec zachorował - powiedziała.

- To nic. Ludzie chorują. Mamy ciała, które nie są idealne. Nic nie jest idealne. Nawet nasze dusze.

Święta prawda. Ale mimo wszystko.

- Poszedłeś się z nim zobaczyć przed jego śmiercią?

Kai zaśmiał się krótko, wypuścił powietrze.

- Jak na osobę, która nie chce o tym mówić, mówię całkiem sporo. -

Wypił łyk coca-coli. - Poszliśmy z siostrami do szpitala. Poszła z nami nawet mama. - Zamilkła na chwilę. - Katolicka zakonnica, która robiła obchód, oprócz Biblii nosiła ze sobą gitarę. Kiedy weszła do pokoju mojego taty, usiadła z nami i zapytała, czy chciałby czegoś posłuchać. Nie mógł już mówić, co chwilę tracił przytomność, ale Melissa, moja starsza siostra, powiedziała, że kiedy dorastała, jego ulubioną piosenką była *King of the Road*. Znasz ją? Roger Miller.

Larissa pokręciła głową.

Kai zaśpiewał fragment, kołysząc głową na boki. Melodia była urzekająca, wesoła. „Za dwie godziny machania miotłą można wynająć pokój na jedną noc...” - urwał i mówił dalej:

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak śpiewał i grał na gitarze, nawet Roger Miller. To było niewiarygodne. A mój tato, choć nie mógł mówić i lekarze twierdzili, że nie słyszy, nie widzi i już niczego nie rozumie, leżał spokojnie i mogłem przysiąc, że jego wilgotne oczy poruszały się do rytmu piosenki. Moja siostra uznała, że zwariowałem. Ale słyszał każde słowo. Zakonnica powiedziała mi na osobności, że ostatnią rzeczą, jaką człowiek traci, jest słuch, umierający słyszą wszystko; wiedziałem, że ona ma rację. Zapytałem ją, czy wie, dokąd zmierza mój ojciec, bo nie był dobrym człowiekiem, a już na pewno nie był dobrym ojcem, co wywarło na mnie ogromny wpływ, gdy byłem młodszy, bo praktycznie nie miałem ojca. Wiesz, co mi powiedziała?

Oczy zaszczyły jej łzami i zadrżała.

- N i e .

- Powiedziała: „Twierdzisz, że nie był dobry, ale spójrz, siedzą przy nim wszystkie dzieci, także jego była żona, twoja matka. Jesteś na niego zły za to, jak ją potraktował, ale przyszlście tu oboje. Niektórzy ludzie umierają w zupełnej samotności, na koniec nie ma przy nich dzieci, przyjaciół, nikogo. Może więc twój ojciec wcale nie był taki zły”.

Po krótkiej chwili Larissa wzięła głęboki oddech.

- Spójrz, która godzina - powiedziała. Było po drugiej. Siedzieli w samochodzie ponad godzinę.

* * *

Następny dzień. Tak teraz żyła. Pora lunchu, od pierwszej do drugiej od poniedziałku do piątku. Gospodynie domowe i motocykliści, kobiety i mężczyźni, matki i synowie, aktorzy i wokaliści, sprzedawcy, kamieniarze, kupujący i grzesznicy, lunch od pierwszej do drugiej, zapraszamy wszystkich.

- Gdzie jest teraz twoja mama, siostry?

- Nadal na Hawajach.

- Och. - Dlaczego to ją uszczęśliwiło? Że jest tutaj sam, bez rodziny. - A co w ogóle robisz w New Jersey? To daleko, by szukać pracy w salonie samochodowym.

- Tak. Ale mój kumpel przeprowadził się tu z Maui. Przyjechałem za nim.

- Ten twój kolega z galerii, Gil?

- Tak. I jego współlokator. Studiują w Rutgers, mieszkają w Maplewood. Początkowo miałem z nimi zamieszkać, dopóki nie znajdę pracy, ale znalazłem ją od razu, więc mam swoją metę.

- Gdzie? - Nie chciała, by zabrzmiało to tak piskliwie. Ale tak się czuła.

- Kilka przecznic stąd - odparł spokojnie. Zawsze był taki spokojny. - Mogę chodzić piechotą do pracy.

- Maplewood to miłe miasto - powiedziała Larissa. Nie wydawało się jednak odpowiednie dla studentów. Bardziej dla rodzin. Jak Summit. - Twoim przyjaciołom podoba się tam?

Kai odchrząknął.

- Niestety, mój kumpel Gil został aresztowany, gdy handlował narkotykami w kampusie. Przez jakiś czas nie można go więc brać pod uwagę.

- Jak długo?

- Trzy do siedmiu lat. Z możliwością zwolnienia warunkowego po osiemnastu miesiącach.

- Jezu. Trzy do siedmiu lat to surowa kara.

- Wydaje mi się, że to nie pierwsze jego przestępstwo.

- Och.

- Jakoś musiał opłacać chesne. Rodzice rozwiedli się i nie było funduszy, a jednak... no, wiesz jak to jest.

Na samą myśl o tym, jak jest, Larissa się zarumieniła, bo Kai powiedział:

- Czy czujesz się nieswojo? Przez te narkotyki? To nie moja broszka.
- Nie, ja tylko... źle przełknęłam jedzenie.

Jego wiek miał być wyzwoleniem! Rzeczą, która wszystko ułatwia, sprawia, że wszystko idzie gładko jak po maśle. Zupełnie jakby siedziała z jednym ze swoich studentów dramatu i gawędziła w podmuchach lekkiego wiatru. Dlaczego myśl o jego przyjaciółach sprzedających narkotyki, by opłacić chesne, sprawiła, że poczuła się tak źle? Czy dlatego że jej własne studenckie doświadczenia z narkotykami i szalonymi protestującymi przyjaciółmi miały miejsce dwadzieścia lat temu? Całe jego życie temu.

- Madison to świetne małe miasteczko - powiedział Kai. - Nie sądzisz?

Nie była pewna.

- Jak Hawaje?

- Nie. Przez Hawaje przewija się za dużo ludzi. Turystów. Nic nie jest tam stałe. To porządne stabilne życie jest takie dziwne. Takie egzotyczne.

- *To* życie jest egzotyczne? - powtórzyła bezbarwnym tonem. O czym on mówi?

- Szczerze, trudno byłoby znaleźć miasteczko tak urocze i miłe jak Madison. Co nie znaczy, że chcę tu zostać na zawsze. Chcę zwiedzić świat. Ale osiedlić się? Założyć rodzinę? Nie ma lepszego miejsca. Uwierz mi.

- Skoro tak mówisz. Ale wcale nie jest egzotyczne. Po prostu nie jest. Jest zbyt normalne, by mogło być egzotyczne.

- Widzisz, dla mnie normalne znaczy egzotyczne.

- Wiesz, co jest egzotyczne? Filipiny. Moja najlepsza przyjaciółka mieszka niedaleko Manili, stale mnie prosi, żebym ją odwiedziła.

- To dlaczego tam nie pojedziesz?

- Nie mogę tak po prostu spakować się i pojechać.

- Czemu nie?

- Co zrobi moja rodzina?
- Jakoś sobie da radę przez parę tygodni.
- Chyba nie.
- Jedź. Byłaś gdzieś sama?

Larissa tak naprawdę bała się jechać. Nie wiedziała, jak to powiedzieć. Bała się malarii, dengi, brudnej wody. Opowieści Che, która pisała, że nie może się napić nieprzegotowanej wody, zawsze napełniały ją przerażeniem. Dlatego dzieci nie mogły z nią pojechać. Bała się o ich bezpieczeństwo. I o swoje, choć nie wyznałaby tego Kaiowi, który nie wyglądał na strachliwego osobnika. Jeździł przecież szybkim jak demon motocyklem i miał kumpli w więzieniu. Poza tym jej najlepsza przyjaciółka mieszkała w Manili i cierpiała wyłącznie z braku dziecka, więc może wszystkie niebezpieczeństwa zrodziły się w głowie Larissy? Ale też większość życia toczyła się w jej głowie. Co nie sprawiało, że było mniej realne.

Pora się zbierać.

Najwyższa.

Najwyższa.

Najwyższa.

Dlaczego jeszcze siedziała? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że spędziła z nim kilka miłych chwil, a potem wszystko się skończyło. To zresztą dobry sposób, by opisać wiele rzeczy, które się robiło, a które nie były związane z obowiązkami lub pracą. Przez kilka miłych chwil Maggie malowała, Emily grała w siatkówkę, Evelyn popijała wino i czytała książki, Tara spacerowała i narzekała. Jared grał w koszykówkę z Asherem na podjeździe od frontu. Ezra czytał tomy o egzystencjalnym materializmie. Larissa marzyła o miłych chwilach związanych z wiosenną sztuką wystawianą w szkole średniej: ***Niczego tak nie kocham na świecie jak ciebie; czy to nie dziwne?*** Z tym wyjątkiem, że żadna z tych rzeczy nie wymagała, by otworzyć drzwi, na których napisano dużymi czerwonymi literami: NIEBEZPIECZEŃSTWO: PRĄD ELEKTRYCZNY. WCHODZISZ NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ.

4

Czekając na Godota

- Nie zajmujesz się już teatrem?

- Dlaczego tak twierdzisz? Zajmuję się. Tylko... - Urwała. - Zajmuję się. - Tylko nie tak jak dawniej. - Byłam reżyserem w prywatnej szkole w Hoboken przez wiele lat.

Jęknął.

- No co ty. Wiele lat?

Och, dlaczego musiała powiedzieć *wiele*. Od kiedy znenawidzona duma wygrywała z rozdmuchaną próżnością? Wolałaby być młoda i pozbawiona talentu niż imponować mu wieloletnim doświadczeniem dyrektora wydziału teatru w szkole, w której on mógł się stawić na przesłuchania do spektaklu.

- Kiedyś byłam członkiem trupy teatralnej o nazwie The Great Swamp Revue. Byliśmy znakomici. - Zachęcona jego śmiechem zapytała: - Interesujesz się teatrem?

- Nie. Zawsze wolałem muzykę.

- Naprawdę? - Zanotować w pamięci: mniej mówić o sobie i teatrze. Nie ma nic nudniejszego niż kobieta pławiąca się w zwodniczej chwale minionych dni, przekonana, że jest środkiem wszechświata.

- Nie wierzysz mi?

- Ależ wierzę. Na czym grasz?

- Po trochu na wszystkim. Na gitarze. Harmonijce. Perkusji. Na Hawajach każdy chłopak gra na ukulele, więc ja też grałem. Czemu nie zajmujesz się już teatrem? Nie masz czasu?

Skinęła głową, rzeczywiście nie miała czasu.

- Ostatnio z trudem znajduję czas na malowanie dekoracji.

- Zamieniłaś reżyserię na scenografię?

- Mniej stresujące - odparła niemal bez mrugnięcia okiem.

Uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że dzieci to ogromny stres.
Właśnie wtedy wszystko stało się fikcją. Po prostu fikcją.
- Hej - rzucił nagle. - Jeździłaś kiedyś na dwóch kółkach?
- Na rowerze? - *Rowerze przeznaczonym dla dwojga.* - Jasne, każdy jeździł. Wiele razy. A ty?

Wybuchnął śmiechem.

- Żartujesz sobie?

Nie wiedziała. Nie wiedziała, czy żartuje.

Wskazał palcem ducati.

- Przyjechałem dziś motorem. Chcesz się przejechać?

Larissa nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak wytrącona z równowagi. Nie patrząc na niego, odchrząkując i szukając słów, odparła:

- Dziękuję, ale może innym razem. Jest chyba za zimno. Tak, jest zdecydowanie za zimno. Wietrznie. Nie wiem, jak to robisz, na motorze musi być znacznie zimniej. I ten wiatr, zupełnie jak szkwał. - Z pałającymi policzkami zaczęła wkładać zmięte serwetki do papierowej torby.
- Maggie, moja przyjaciółka - wyrzuciła w końcu z siebie - zaprasza mnie jutro na lunch.

- Ta z galerii, z kręconymi włosami? - Kai otworzył drzwi, wysiadł i pochylił się do środka. - Bawcie się dobrze. - Uśmiechał się do niej, jego małe brązowe oczy tańczyły, a wiatr rozwiewał dziwaczne włosy; otaczała go aura chłopięcej słodczy, młodzieńczej dumy, niewinnej radości, kiedy powiedział: - Nic nie może się równać z szybką jazdą na motorze. Na pewno nie chcesz się przejechać?

Pokręciła milcząco głową.

Próbowała pomyśleć o czymś, co mogłoby się równać z szybką jazdą na ducati z wiatrem rozwiewającym włosy, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

* * *

W czwartek Kai nie zjawił się w Stop&Shop. Minęła pierwsza, w pół do drugiej. Larissa kupiła papierowe ręczniki i płatki, pochodziła po alejkach, zapłaciła i do drugiej siedziała w samochodzie.

W piątek też go nie było. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Jedno było pewne - przez cały weekend starała się o tym nie myśleć. Każdą świadomą minutę poświęcała, by trzymać się od tego jak najdalej.

Pocztą przysły arkusze ocen. Nie były dobre. Emily radziła sobie nieźle, lecz Asher miał fatalne wyniki z angielskiego, a Michelangelo nie znał ortografii. Larissa udawała, że się tym zajmuje, a w sobotni wieczór pojechali z Jaredem do Maggie i Ezry na kolację i gry. Jedyną osobą, która zauważyła, że coś się z nią dzieje, był Ezra. Rzucił w powietrze:

- Larjak zwykle zamknęła się w swoim własnym świecie. O czym myślisz? Oświeć nas.

- Nic mi nie jest. O co ci chodzi?

- Zastanawiasz się nad przyjęciem pracy? Bo Leroy chce wystawić wiosną *Czekając na Godota*. Chyba się zastrzeżę.

- To dobra sztuka. I dobry wybór - odparła.

- Nihilistyczna dwuosobowa sztuka? Na wiosnę? - krzyknął rozgniewany Ezra.

Nieco się ożywiła.

- Wcale nie jest straszna. Tylko niemożliwa. Postaw mu się, powiedz, że nie może tego zrobić.

- Co się z tobą dzieje? Dlaczego twierdzisz, że to dobry pomysł?

- Jak tam wizyta u lekarza? - zapytała Maggie. - Zapomniałam zapytać w środę.

- Jaka wizyta?

- No właśnie, jaka wizyta? - zapytał Jared. Tasował karty i próbował nauczyć ich grać w blackjacka, bo na weekend Dnia Pamięci planowali wypad do Atlantic City. Ale nic z tego nie wychodziło. Byli molami książkowymi, nie matematykami.

- Była u lekarza we wtorek - powiedziała Maggie.

- Naprawdę? - Jared spojrzał na nią. - Byłaś?

- Nic mi nie jest. To tylko dermatolog.

- Oooch! - sapnęła Maggie. - Dermatolog. Lar wstrzykuje sobie botoks! Nic dziwnego, że wygląda jak młoda dziewczyna.

- Naprawdę? - zapytała cicho Larissa.

- Nie dziwię się, że stale mnie pytałaś, czy wyglądasz młodo. Teraz znam twój sekret. Ile ten lekarz bierze?

- Żaden botoks, Maggie - odparła. - Tylko rutynowa kontrola pieprzyków i znamion.

Rozmowa o tym ciągnęła się w nieskończoność. Pieprzyki i rak, jak powinny wyglądać, w co się przekształcały, jakie były oznaki niebezpieczeństwa, gdzie się pojawiały, nagłe, a jednak nieuniknione złe wiadomości, które się otrzymywało (to oczywiście Ezra!), i jak się zachowywało po ich otrzymaniu. Nikt nie chciał już grać w karty. Wszyscy znali kogoś, kto miał czerniaka na plecach, komórki podstawne na twarzy lub raka skóry na ramionach.

Ironia tej rozmowy nie przeszła niezauważona przez Jareda, który w samochodzie w drodze powrotnej do domu powiedział:

- Nie uważasz, że to dziwne, że tak długo rozmawialiśmy o pieprzykach?

- Nie, dlaczego? Ty tak uważasz?

Zakaszła.

- Oboje wiemy, że nie masz na sobie ani jednej plamki, żadnego pieprzyka, nawet blizny z dzieciństwa! - Zaśmiał się cicho. - Rozpływasz się nad nieistniejącymi pieprzykami. Jesteś zabawna. Dlaczego okłamałaś Maggie?

Zaśmiała się z zażenowaniem. Na czerwonym świetle pochylił się i pocałował ją.

- Jesteś taka zabawna. Dlaczego jej nie powiesz, że nie zawsze masz ochotę na towarzystwo? Powiedz, że czytasz. To nawet nie będzie kłamstwo. Ostatnimi czasy rzeczywiście sporo czytasz.

- Rzeczywiście. - Utkwiła wzrok w drodze przed nimi.

Minęła sobota i niedziela, a w poniedziałek pojechała jaguarem do Stop&Shop.

Kaia nie było. Nie było go w poniedziałek, dzień wolny od pracy, kiedy zawsze się zjawiał i razem robili zakupy na cały tydzień.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. W poniedziałek czekała pół godziny, we wtorek dziesięć minut, a w środę rano spojrzała na swoje odbicie

w lustrze w holu: na proste rozjaśnione włosy, rozsądne brązowe oczy, długie ręce, szczupłe palce, na zgrabną sylwetkę wypracowaną podczas spacerów i ćwiczeń jogi, wszystko było nadal szczupłe i proporcjonalne. Pomyślała o manikiurze z Fran, o spędzeniu dnia w mieście z Emily, tylko we dwie. Myślała o zorganizowaniu zbiórki funduszy na wiosenne przedstawienie, o zaplanowaniu wyjazdu na Hawaje w sierpniu i o tym, czy powinni przedłużyć o jeden dzień wypad do Atlantic City podczas weekendu Dnia Pamięci.

Pomyślała, by napisać do Che i powiedzieć jej, że od dwóch miesięcy jada kinilaw; rozważyła też, czy nie powinna spakować zimowych swetrów i wyjąć letnich koszul. Tak naprawdę jednak powtarzała sobie w duchu, że już nigdy, przenigdy nie pojedzie do Stop&Shop i węzeł, który nosiła zaciśnięty w środku, na krótką chwilę rozluźniał się i zwiślał swobodnie jak sznurki. Wolny od wszystkiego.

Wróci do King's. To prawda, że jest tam tłoczno, alejki są wąskie, a parking malutki, ale nie ma już przecież złamanej nogi. Aby uczcić podjęcie decyzji, przez trzydzieści minut biegała na bieżni, oglądając talk-show, potem wzięła prysznic, posprzątała sypialnię, ubrała się, zaparzyła kawę i siedziała w kuchni przez pół godziny, planując kolację i wakacje, z egzemplarzem *Straconych zachodów miłości* otwartym na stronie z tekstem: „Krew w młodych żyłach mniej wrząca się toczy, niż gdy poważne serce miłość pali”*. A w jej głowie brutalne słowa wirowały jak biało-czerwone spiralne cukierki na choinkę. Co ty tu robisz? Czego chcesz? Muzyki? Możemy ci zagrać. Ale ty chcesz więcej. Chcesz czegoś nowego. Pragniesz ekstazy.

Zerwała się od wyspy, wsiadła do auta i pojechała do Stop & Shop.

Nie było go tam.

Tym razem Larissa czekała godzinę, jakby chciała się pożegnać. Siedziała na parkingu wychodzącym na cmentarz, jedząc sushi i słuchając Cheta Bakera, który śpiewał *These Foolish Things*, myślała o wiośnie i o tym, czy potrzebuje nowych butów, może nowych sandałów. Dziew-

* William Szekspir, *Stracone zachody miłości*, tłum. Leon Ulrich.

czynna zawsze potrzebowała nowych sandałów na wiosnę. O drugiej pojechała odebrać Michelangela i siedziała na parkingu przed szkołą syna. Tak blisko końca, początku. Tak blisko środka, który zakładał, że tyle samo kryje się przed, ile zostało z tyłu. A jednak blisko absolutnie niczego.

5

Nawigacja

W czwartek Larissa zadzwoniła do salonu Jaguara, by umówić się na wizytę w serwisie.

- Ma pani samochód już trzy miesiące? - zapytał podejrzliwie Brian, szef serwisu.

- Hmm, nie - zająknęła się. - Ale wydaje mi się, że poziom oleju jest niski.

- Czy świeci się lampka kontrolna?

- Nie, ale samochód wydaje dziwne odgłosy przy większej prędkości, trochę grzechocze.

- Przy jakiej prędkości?

- Nie wiem. Siedemdziesiąt mil?

- Hmm. No dobrze. Proszę przyjechać jutro, sprawdzimy.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, czy mogą sprawdzić, że nigdy nie wyjechała samochodem na autostradę, niejechała szybciej niż pięćdziesiąt mil na godzinę, a wszystko w samochodzie chodziło gładko jak po maśle. Jak wysoko na liście okropnych rzeczy, których nie powinno się robić, znajdowała się ofiara z samej siebie składana przez okłamywanie pracowników serwisu?

W piątek przyjechała samochodem do warsztatu. Szukała wzrokiem bursztynowego motocykla Kaia, lecz nigdzie go nie widziała. Brian, wysoki, chudy mężczyzna z rzadkimi tłustymi włosami, pokręcił głową.

- Mamy straszny ruch przed weekendem - powiedział. - Trzeba było przyjechać wcześniej. Mówiłem, żeby była pani przed ósmą, a teraz jest prawie dziesiąta. Może go pani zostawić do poniedziałku?

Nie mieć samochodu na weekend? Musiałyby powiedzieć Jaredowi, że coś jest z jaguarem nie tak, a on znał się na samochodach, mógł się zdenerwować, przyjechać albo zadzwonić. Mógł zażądać innego samochodu. Może nawet zerwać umowę. Tyle pytań. Za dużo.

- Nie - odparła. - Nie mogę go zostawić, wyjeżdżamy. Bardzo proszę, możecie spróbować zrobić to dzisiaj?

- Nie wiem, panienko. - Uwielbiała, gdy zwracano się do niej „panienko” - do żony i matki.

Próbowała go przekonać głosem, którym zwykle zwracała się do dzieci.

- Proszę. Może to nic takiego. Zwykła zmiana oleju.

Brian spojrzął na monitor.

- Nowiutki samochód, dostarczony z fabryki przed czterema tygodniami. To chyba nie olej. Kto go pani sprzedał? Kai?

Tego właśnie potrzebowała, podpowiedzi.

- Tak. Jest tutaj? Może będzie mógł nam pomóc?

- Nie ma go. Poza tym nie jest mechanikiem.

- Tak, ale mam do niego techniczne pytanie. Zgubiłam kartę z kodem do otwierania samochodu bez kluczyka.

- Mogę ją pani załatwić. Będę musiał zadzwonić do fabryki.

- I jeszcze - ciągnęła - chciałam sprawdzić, czy może mi zamówić nawigację.

- Nawigację? Naprawdę? Też mogę to dla pani załatwić. Jego i tak nie ma.

- Będzie w poniedziałek?

- Nie wiem. - Brian, nie patrząc na nią, wklepywał zamówienie w komputer. - Miał pogrzeb czy coś takiego. Chyba musiał polecieć na Hawaje. Nie wiemy, czy wróci. Odszedł nagle.

Pogrzeb!

- Proszę się nie martwić. Pomogę pani. - Uśmiechnął się szeroko. -

Kai tylko sprzedaje samochody. Ja zajmuję się serwisem po sprzedaży. Proszę tutaj podpisać. Zadzwońię do pani po południu. Trzeba panią podwieźć?

- Tak, proszę.

- Hmm. Zobaczmy. - Brian przez pager skontaktował się z Garym, drugim sprzedawcą, który zawiózł Larissę do domu. Po drodze prawie nie rozmawiali. Z wyjątkiem słów, które same spłynęły z ust Larissy.

- Co się stało z moim sprzedawcą?

- Z Kaiem? Nikt nie wie. Wziął urlop z powodów osobistych. Menedżer zapytał go, kiedy wróci, a on odparł, że nie wie.

- A wróci?

- Po tym, jak odszedł, raczej nie.

- Opróżnił biurko?

- Nigdy tam nic nie miał. - Gary wzruszył ramionami. - Dziwny facet. Ale bardzo dobry sprzedawca, muszę mu to oddać. Bardzo dobry. - Uśmiechnął się. - Panie go lubiły.

- Naprawdę?

- Tak. Kiedy chciał, potrafił włączyć ten swój urok.

- Hmm - mruknęła, patrząc przed siebie na Springfield Avenue. Lubiła kanapki z grillowanym serem w Summit Diner. Może uda się jej po nie wrócić. - Jakoś go nie doświadczyłam. Mój mąż też nie. Proszę skrócić w następną w prawo do Summit.

Gary się roześmiał.

- To prawda, mężowie nigdy nie widzieli w nim nic szczególnego.

Co miała teraz zrobić? Kiedy ją wysadził, popędziła do szkoły Michelangela; miała dziś po południu czytać dzieciom i zupełnie o tym zapomniała.

Oczywiście samochód był w porządku.

- Nic nie mogę znaleźć, panienko - powiedział Brian, gdy zadzwonił jakiś czas potem. - Przyjedzie pani po niego? - Pomyślała, czy nie poprosić Maggie, żeby ją zawiozła do salonu, ale nie chciała, by dotarło do Jareda, że coś mogło być nie tak z samochodem. Gary przyjechał

po nią i po Michelangela i Larissa musiała zapłacić Brianowi sto trzydzieści dolarów za nic.

Zabrała potem Michelangela na lody do Ricka. Chłopiec zamówił pyszne o smaku gumy do żucia, a ona czekoladowe; siedzieli przy stoliku na zewnątrz, lizali lody i rozmawiali. Dzień był słoneczny i wietrzny, temperatura sięgała osiemnastu stopni. Michelangelo opowiadał o *Jumanji*, książce, którą mama wybrała do czytania w jego klasie. Nie rozumiał, dlaczego tyle dzieci się bało, bo on wcale się nie bał i oglądał film jakieś trzydzieści jeden razy.

- Bo jesteś bardzo dzielnym chłopcem - powiedziała Larissa, jedząc lody czekoladowe, choć miała zaciśnięte zęby, ściśnięte gardło.

On może nie wrócić. W tym stwierdzeniu kryła się nagłość, której nie była gotowa przyjąć. Larissa objęła ramieniem syna oblizującego palce i patrzyła na niego przez chwilę. Na jego niebieskie spodnie kapały topiące się lody o smaku gumy do żucia. Kai nie zostawiłby motoru. Tego była pewna. Nie zostawiłby swojego ducati sport-classic.

A jeśli go nie zostawił?

Z jednej strony takie cudowne wyzwolenie.

Z drugiej strony pustka, która pachniała śmiercią.

* * *

W poniedziałek rano spotkała się z Maggie na szybką kawę przed zebraniem w sprawie sztuki. Rozmawiały o Dylanie, który koniecznie chciał dostać na urodziny perkusję, a Maggie, zwykle spełniająca jego kaprysy, tym razem była przerażona.

- Perkusja, Larisso. Rozumiesz?

Rozumiała. Perkusja była głośna.

- Nikt inny nie wytrzyma w tym domu.

- Przecież nikogo innego nie ma.

- Ezra lubi czytać w ciszy.

- Szczerze mówiąc, odrobina czytania mniej... może perkusja jest dokładnie tym, czego potrzebujesz.

- Nie żartuj, to nie jest zabawne.

- Wszystko będzie dobrze. Zainstaluj Dylana w piwnicy.

- Całe nasze życie koncentruje się w piwnicy! Tam stoi stół bilardowy. Air hockey. Moja bieżnia. Wiem, że nigdy na niej nie biegam, ale stoi. Moja pralka i suszarka.

- No to nie kupuj perkusji.

- Ale on mówi, że nie może bez niej żyć.

- Mówimy tak o wielu rzeczach.

- On nie.

- No to co? Nauczy się nie móc żyć bez czegoś innego.

- Ha, ha.

- Poważnie, odwróć jego uwagę. Kiedy Michelangelo chce lizaka trzy minuty przed obiadem, nie ustępuję. Daję mu kredkę.

- Mam nadzieję, że twoje dziecko jej nie liże. Ale jak długo można oszukiwać sześciolatka? Niedługo odkryje, że kredka nie jest zbyt smacznym substytutem. Dylan ma szesnaście lat. Nie tak łatwo go przekonać.

- Łatwo? Znasz Michelangela, prawda? - Larissa wstała. - Zaproponuj Dylanowi coś innego. Muszę już iść. Mam twórcze spotkanie z twoim mężem i Leroyem.

Maggie się zaśmiała.

- Rzeczywiście. *Czekając na Godota*. Ezra traktuje to jak szekspirowską tragedię.

- A nie jest?

Larissa miała na sobie dzinsy, dzinsową kurtkę, biały podkoszulek i bandankę na włosach.

- Kto cię potraktuje poważnie na tym spotkaniu? - powiedziała Maggie. - Wyglądasz na dwanaście lat.

Dlaczego się rozpromieniła? Było już na to za późno.

6

Wiele hałasu o nic

Zniecierpliwiony Ezra odciągnął ją na bok w chwili, gdy weszła na szkolny korytarz.

- Muszę z tobą porozmawiać.
- Co się dzieje?
- Nie tutaj. W moim gabinecie.
- N i e .

- Nie możemy iść do mojego gabinetu?

- To odpowiedź na każde pytanie, które chcesz mi w nim zadać.

Przeszli szybko korytarzem i weszli do wygodnego, pełnego książek gabinetu. Miło być szefem wydziału.

Usiadła na krześle dla gości.

- Co jest?

- Już cię nie proszę. Błagam. Musisz nas uratować.

- Ezra, powtarzałam ci to tysiąc razy. Zastanawiałam się nad tym. Rozmawiałam z Jaredem. Z tobą. Z Maggie. Z Bo. Pisałam o tym do Che.

- Jak się miewa nasza zawodowa protestująca?

- Nie jest w ciąży. Nie będę już dłużej o tym gadać.

- Ale mnie wysłuchasz?

- Ezra, masz Leroya. Co jest z nim nie tak? - Uśmiechnęła się znacząco. - Poza tym, że chce wystawić wiosną dwuosobową sztukę?

- Powiedział, że wolałby się tym nie zajmować - wyznał Ezra. - Jego dzieciak zaważył matkę.

- Chcesz, żebym ja się tym zajęła i żeby moje dzieci zaważyły matkę? Moje dziecko już zaważyło angielski!

- Mają świadectwa z wyróżnieniem!

- Nie Asher. I nie Michelangelo. Przez cały dzień robi wyklejanki. A nie zajdzie się na nich w życiu daleko.

- Przyrowadź go. Przyrowadź ich obu. Będę im udzielał korepetycji.

- Będiesz uczył Michelangela. - Larissa spojrzała z niedowierzaniem na swoje dłonie. - Czego? Uporu? Rzeźby?

- Zapłacimy ci.

- Jared haruje przez cały tydzień. Nie możemy oboje zostawić dzieci.

- Nie zostawisz ich. Badania pokazały, że to korzystne dla rozwoju dzieci, kiedy ich rodzice odnoszą sukcesy w czymś innym poza opieką nad nimi.

Larissa spojrzała na niego uważnie.

- Wymyśliłeś to?

- T a k .

Zaśmiała się.

- Ez, co mam zrobić, gdy Emily ma lekcję wiolonczeli w Chatham, Asher trening biegowy w Maplewood, a ja spędzam popołudnia w Short Hills, reżyserując **Godota!** Nie przemyślałeś tego dokładnie.

- Jak najbardziej. Będziemy odbywać próby w soboty. I proszę, tylko nie **Godota**.

Milczała. Potraktował to jako wahanie.

- To tylko dwa-trzy miesiące. Sztuka ma premierę w czerwcu. Jeśli nie będziesz chciała pracować dalej jesienią, znajdziemy kogoś innego. Obiecuję. Wróci Denise.

- Denise urodzi dziecko i wróci?

Ezra poprawił czerwony krawat i opadające na nos okulary i spojrzął na nią rozpromieniony.

- Umowa stoi?

Pokręciła głową.

- Ez, pamiętasz, jak rodzice nienawidzili mnie w Hudson School?

- Uwielbiali cię. Ale odrobina dyplomacji w Pingry cię nie zabije.

- Albo sztuka, albo dyplomacja.

Ezra niemal klasnął w dłonie.

- Więc jesteśmy umówieni? Przesłuchania zaplanowałem na przyszły tydzień.

- Jakim cudem? Jeszcze nie wybraliśmy sztuki! A może powinni-

śmy się trzymać straszliwej propozycji Leroya? „Za chwilę wszystko zniknie i znów zostaniemy sami w tej próżni”*. Czyż to nie inspirująca myśl na wiosnę? - Uśmiechnęła się.

Ta możliwość oderwania się... była idealna. Propozycja nadeszła w samą porę. Przystanie myśleć o różnych rzeczach, wróci na właściwą ścieżkę.

- Lar - zaczął Ezra, pomagając jej wstać z krzesła - chodźmy obwieścić dobrą wiadomość i wybierzmy sztukę. Postaraj się wymyślić coś odpowiedniego.

- Ile mam czasu?

Ezra spojrział na zegarek.

- Możesz myśleć, gdy będziemy szli korytarzem? - Pociągnął ją za łokieć. - Pospiesz się. Spotkanie zaczęło się piętnaście minut temu.

- Jak mogło się zacząć? Nie ma nas tam!

- No chodź - powiedział, wypychając ją na zewnątrz. - Będziesz się martwić po drodze.

- Od kiedy zostałeś szefem wydziału, stałeś się bardzo wymagający. - Wyjęła z torebki szminkę. - Wolałam, gdy byłeś roztargniony i bujałeś w obłokach. - Bez lusterka pomalowała usta beżoworóżową pomadką.

- Nie mamy dwóch godzin, Larisso - powiedział, obserwując ją.

Nie chciała, by wiedział, że jest mu wdzięczna. Wolała, żeby myślał, że marudzi. Bo jak mogła wytłumaczyć swoją nagłą radość?

Choć była mu bardzo wdzięczna za tę odmianę, codzienny stres i wymagania związane z teatrem wzbudziły w niej niepokój, gdy pędziła zalanym słońcem korytarzem.

- A jeśli sobie nie poradzę? Jeśli to mnie przerośnie?

- Będiesz bajeczna. Nie chcemy kogoś, kto nigdy nie dociera do celu. Ty zawsze to robisz, Larisso. Docierasz do miejsc, gdzie inni się nawet nie zapuszczają. Dlatego potrzebujemy właśnie ciebie.

- I na dodatek stoisz pod ścianą.

- To też.

* Samuel Beckett, *Czekając na Godota*, tłum. Antoni Libera.

Zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami sali konferencyjnej. Zanim weszli, otaksował ją spojrzeniem.

- Dlaczego akurat dzisiaj ubrałaś się, jakbyś miała jeździć na gokartach?

- Bo myślałam, że zatrudnisz mnie jako scenografa. - Otworzyła drzwi. - Tak właśnie ubierają się malarze.

* * *

W sali konferencyjnej podniesiony na duchu czarną kawą i poczuciem własnej ważności Leroy, choć zrezygnował z wielce pożądanego stanowiska reżysera, najwyraźniej się z tym nie pogodził. Kiedy już wszyscy usiedli i dostali wodę do picia, rozdał całej ósemce egzemplarze *Godota* i rozpoczął długie kazanie nieprzerwane żadnymi znakami przestankowymi, w którym dowodził, że jest to największa sztuka tego i każdego stulecia.

Larissa wyczuwała u kilku siedzących przy stole osób wątpliwości, czy scenografka ma odpowiednie kwalifikacje, by zostać reżyserem, i to pomimo ogłoszonej przez podekscytowanego Ezrę listy jej osiągnięć: dyplom z wiedzy o teatrze i angielskiego na Uniwersytecie Nowojorskim, praca w teatrze letnim (Great Swamp Revue i Jersey Footlight Players), reżyser uznanego wydziału teatralnego w Hudson School. Larissa widziała, że nie zrobiło to wrażenia ani na Leroyu, ani na Fredzie, asystencie Ezry.

- Leroy - zaczęła poważnym głosem, opierając dłonie na blacie stołu. - Doceniam twoją rekomendację i wszyscy zgadzamy się co do wielkiej wartości *Godota*, ale potrzebny nam inny kierunek. Coś lżejszego. Myślałam o komedii Szekspira.

Leroy nie miał zamiaru się poddawać.

- *Godot* to komedia.

- Tragikomedia. I z całym szacunkiem, nie nadaje się na wiosnę. Aura posępnego egzystencjalizmu i dwóch aktorów na pustej scenie z jednym powykręcany drzewem nie jest radosnym przeżyciem, jakie większość dzieci i rodziców kojarzy z wiosennym przedstawieniem.

Myślę o czymś z większą obsadą. Trochę zabawniejszym, mniej przepełnionym smutkiem i bólem. - Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Nie odpowiedział uśmiechem. Z kolei Ezra uśmiechał się wyłącznie do niej.

Przez następne *półtorej godziny* Larissa, Ezra, Fred, Leroy, Sheila Meade, Vanessa (asystentka Sheili), Vincent (asystent Leroya) i David, sufler, rozważali inne możliwości. Leroy wszystkie odrzucał. *Jak wam się podoba* nie było dość zabawne („Z pewnością nie tak zabawne jak *Godot*”), *Sen nocy letniej* miał za dużo pogmatwanych dialogów, a *Wiele hałasu o nic* było za długie („Z drugiej strony *Godot* jest znakomity, zabawny, zwodniczo krótki i łatwo go wystawić i wyreżyserować”).

Larissa milczała. Ezra musiał ją zmobilizować.

- Jesteś reżyserem, Larisso. Co ty sądzisz?

- Wybór sztuki to wspólne zadanie - oznajmił wyniośle Leroy.

- Zgoda, ale reżyser ma ostatnie słowo - zauważył Ezra. - Lar, co powiesz?

- Wszyscy musimy wyrazić zgodę, żeby potem wspierać projekt - rzucił Leroy, a siedzący obok niego Vincent skinął głową.

Larissa zorientowała się nagle, że jest prawie pierwsza! Musiała iść. Świadoma, że ma coraz mniej czasu, milczała w napięciu. Musiała natychmiast wsiąść do samochodu i odjechać.

Chwileczkę. Czy nie miała zapomnieć o Stop&Shop? Czy to nie było celem tego wszystkiego? Czyż nie uwolniła się od ograniczeń parkingu? Miała przyjąć posadę reżysera, wszystko wyprostować i wrócić na właściwe tory.

Gdyby wyszła teraz, z trudem zdążyłaby tam na pierwszą.

Poczuła na sobie wzrok czterestu par oczu, jakby oczekiwały, że podejmie decyzję, a już na pewno przemówi.

- No dobrze, oto moje zdanie - powiedziała. Czas się kończył. - *Jak wam się podoba* powinno się wystawiać na zewnątrz - oznajmiła. - Możemy wystawić sztukę we wnętrzu, ale efekt nie będzie tak dobry, a na zewnątrz nie mamy możliwości. - Starła się, by w jej głosie nie zabrzmiał pośpiech lub zniecierpliwienie. - Proponuję *Komedię pomy-*

tek. Akcja toczy się w ciągu jednego dnia, poważne tematy, takie jak śmierć przez powieszenie i niewolnictwo, zostały zepchnięte na dalszy plan, a cała akcja związana jest bardziej ze światem zewnętrznym niż wnętrzem bohaterów, co sprawia, że próby i samo wystawienie sztuki będą znacznie łatwiejsze. - Zamilkła, czekając, by się z nią zgodzili. Z tłumionych prychnięć Leroya wywnioskowała, że nie jest wielkim fanem *Komedii pomyłek*. Sheila powiedziała, że woli wystawić *Jak wam się podoba*. Dwudziestosześcioletnia Vanessa, która próbowała swoich sił w teatrze, zanim poświęci się karierze w świecie mody, zgodziła się z szefową. Vincent zgodził się ze swoim szefem. Jako młody chłopak malował z nią dekoracje, więc zdumiał ją ten sztylet wbity w plecy, podczas gdy Fred, który pracował z Ezrą, uważał, że jest mądrzejszy od wszystkich (w tym od swojego szefa), i dlatego musiał mieć zawsze zdanie przeciwne do wszystkich, by udowodnić swoją intelektualną wyższość. David, sufler, uważał, że skoro czyta tekst z uczniami, ma odpowiednie kwalifikacje, by podejmować decyzje dotyczące sceny. Ezra jak zwykle był speszony i unikał jednoznacznej odpowiedzi.

A, co tam. Jeszcze w college'u, w Hoboken, teatr był całym życiem Larissy. Kiedy stała na scenie, czuła w sobie moc! Ale to było ponad dziesięć lat temu. Dionizos nie był już jej bogiem. Oczywiście, jeśli pozwoliło mu się uwieść, sprawiał, że stawałeś się wielki. Ale zawarty z nim pakt przypominał los Fausta. I choć Larissa przyjęła propozycję Ezry, zrobiła to ze swoich powodów i nie miała zamiaru puszczać się z Dionizosem w tan. Już jej na tym tak bardzo nie zależało.

- Dlaczego nie *Burza*? - zasugerował kwaśno Leroy.
- Może *Poskromienie złośnicy*? - wtrącił Fred.

Ach, więc z tymi swoimi muszkami i francuskimi beretami jest nieszczęśliwy w małżeństwie, pomyślała Larissa. Z całą pewnością wygładał na nieszczęśliwego z jakiegoś powodu.

- *Burza* jest za długa - odparła Larissa.
- I co z tego?
- Leroy, przed chwilą zachwycałeś się, że *Godot* jest taki krótki. Teraz nie obchodzi cię, jak długa jest proponowana sztuka. Co więcej - ciągnęła spokojnie - *Burza* jest skomplikowana, trudna do nauczania

się na pamięć i wystawienia. - Odwróciła się do Freda. - A co do **Po-skromienia**, wystawiliśmy je jesienią trzy lata temu.

- Chyba nie.

A właśnie że tak!

- Malowałam dekoracje, więc wiem. Vinnie powinien pamiętać. - Spojrzała na niego ze złością. - Malował ze mną. Pamiętasz, Vinnie?

Zmieszany Vincent lekko skinął głową, mając nadzieję, że Leroy i Fred nie zauważą, że się z nią zgadza!

Larissa wymieniła zniecierpliwione spojrzenie z Ezrą, niechętnie interweniującym obserwatorem.

- Fred, nie rozumiem, o co tu chodzi. Co jest nie tak z **Komedią pomyłek**?

- A co jest nie tak z **Wiele hałasu o nic**? - odparował. - Tej sztuki nie wystawialiśmy trzy lata temu, prawda?

- Nadal uważam, że **Burza** to świetny pomysł - wtrącił Leroy. - Jak zapewne wiesz, to nie jest tragedia.

- Wiem - rzuciła Larissa. - Naprawdę chcesz ją wystawić?

- Powiedzmy, że tak.

- Czy mogę cię zapytać, dlaczego tak uparłeś się na **Burzę**? Nadal trzymam w rękach sztukę, przy której się upierałeś godzinę temu.

- Jeśli nie mogę mieć tej, którą naprawdę chcę...

Vinnie, Sheila i Fred skinęli ochoczo głowami.

W końcu odezwał się Ezra.

- Co myślimy o **Wiele hałasu**?

Leroy najpierw spojrzał na Larissę, jakby chciał wy badać jej reakcję. Potem powiedział:

- Podoba mi się. To dobry wybór.

- A co ty sądzisz, Lar?

Teraz przemówił!

- Czy jest odpowiednia dla piętnastolatków? - odparła Larissa. - Z jednej strony mamy **Komedię pomyłek**, sto dwadzieścia dwie strony, lekką, nieskomplikowaną psychologicznie, łatwą do wystawienia, świetną na wiosnę. Z drugiej **Wiele hałasu o nic** opowiadającą o zdra-

dzie, wstydzie, upokorzeniu, niewierności, śmierci, w sumie jeden krok od tragedii.

- Dlatego jest tak pełna treści i wartościowa - powiedział Leroy.

- Według ciebie, Larisso, każdą komedię Szekspira tylko krok dzieli od tragedii - oświadczył Fred.

- Tak jest nie tylko u Szekspira - mruknęła Larissa.

- No dobrze, to co w takim razie powiecie o *Śnie nocy letniej*? - wtrącił Ezra, gdy sytuacja stawała się nie do wytrzymania (Stawała się?).

- *Sen nocy letniej* - powtórzyła powoli Larissa, ukrywając (z trudem) rosnącą irytację - opowiada o usychających z tęsknoty miłosnych trójkątach. Jest zbyt dorosła dla piętnastolatek. Ale... - Nie musiała nawet patrzeć na zegarek. Wiedziała, że jest pierwsza. Wstając, zdjęła z oparcia krzesła dzinsową torbę.

- Wychodzisz? - zapytał Ezra. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Owszem. Ale znasz moją opinię. Omówcie wszystko między sobą. Jutro powiesz mi, co zdecydowaliście.

- N i e powinniśmy dziś po południu wybrać obsady? - zapytał David, sufler, zawsze myślący do przodu.

- Najpierw wybierzcie sztukę.

- Larisso... - To Ezra.

- Naprawdę muszę już iść. Szczerze, jest mi dokładnie obojętne. Jest koniec marca, premierę przewidziano na czerwiec, co daje po przesłuchaniach niecałe osiem tygodni na próby. Czyli niewiele. Cokolwiek postanowicie, dostosuję się.

Ezra odprowadził ją do podwójnych drzwi.

- Lar, co ty wyprawiasz? - zapytał cicho. - Uważają, że wypadasz jak burza.

- Naprawdę? - Poklepała go po rękawie. - Bądź dla nich miły, jak tylko ty potrafisz.

- Musimy podjąć decyzję!

- Ja jestem reżyserem czy ty? A może Fred? A może Leroy chce reżyserować zza kulisy. Słyszałam, że marzy o wystawieniu pewnej

sztuki - dodała z dziarskim uśmiechem, bardzo z siebie zadowolona. Machnęła mu przed nosem egzemplarzem *Godota*.

- Przestań.

- Mam cię. Powiem ci, jak to będzie wyglądać. - Oparła wypię-
lęgowaną dłoń na klamce, gotowa popchnąć drzwi i uciec. - Jeśli
chcesz, żebym była reżyserem, to ja mam ostatnie słowo. Tak to działa.
Jaką sztukę wybierzemy, kogo w niej obsadzimy, jak ją wystawimy, co
z niej wytnę. To ja decyduję. - Skinęła głową w stronę Freda i Leroya. -
Nie życzę sobie żadnych adwokatów diabła na jaskółce.

- W porządku. Decyduj.

- Zamierzam cię torturować i dać ci to, czego chcesz. *Wiele hałasu
o nic*. Zdrada, wstyd, upokorzenie. Wiosną. Do zobaczenia. - Posłała
mu żartobliwego całusa i pobiegła korytarzem w butach Frye. Biegła.
Z Pingry do Stop&Shop było trochę ponad pięć mil, czyli dwanaście
minut, jeśli trafi na zielone światła i nie będzie ruchu. Nie trafiła, a ruch
był spory. Mimo to dotarła na miejsce w dziewięć minut.

Nie było go.

Co prawda było dwadzieścia po pierwszej i równie dobrze mógł już
przyjechać i odjechać, ale potem minęła pierwsza trzydzieści i czter-
dzieści, a jego nadal nie było. Larissa kupiła steki na kolację, ziemniaki,
mrożoną kukurydzę, masło orzechowe - pierwsza pięćdziesiąt - płatki,
kawę, cukier, herbatę, suchą karmę dla psa - pierwsza pięćdziesiąt pięć -
a potem niechętnie stanęła w kolejce do kasy obsługującej klientów
z małą ilością zakupów i słuchała, jak gruba skwaszona kobieta (może
żona Freda?) za nią mówi:

- Wygląda na to, że ma pani więcej niż dwanaście artykułów, moja
droga.

- Dobra, pobawmy się - odparła Larissa. Normalnie nie dałaby się
w to wciągnąć, ale teraz niewielkie otarcie zamieniło się w wielką ranę. -
Policzmy razem. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem,
dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście - no proszę! Dokładnie dwa-

naście. - Rzuciła zakłopotanej kobiecie lodowate spojrzenie. - Chyba że chce pani liczyć kawałki steku pojedynczo. Ale wtedy trzeba będzie policzyć pojedynczo pani babeczki i co się wtedy stanie?

Kobieta mruknęła coś o tablicy z napisem DWANAŚCIE LUB MNIEJ.

- Mam dokładnie dwanaście. Widzi pani? - Odchrząkując głośno, wykladała zakupy na taśmę.

- Chce pani dokonać wypłaty?

- Nie - warknęła Larissa do kasjerki. - Proszę tylko paragon.

Nadal kipiąc gniewem, zapakowała zakupy do torby, zapłaciła i nie patrząc za siebie, z pełną pogardą satysfakcją wypchnęła wózek na zewnątrz. Była już prawie przy samochodzie, gdy jakiś głos za nią powiedział:

- Ale jej pokazałaś.

Okręciła się jak tornado i zobaczyła przed sobą Kaia, zmęczonego i bladego, nieogolonego, zmalretowanego i smutnego, który trzymał kubek z kawą i brązową papierową torbę.

- Cześć - powiedziała z bijącym mocno sercem, a głos lekko jej zdrzął. Cholera! Larissa znieawidziła tę starą jędzę jeszcze bardziej za to, że zmusiła ją, by okazała się paskudna, gdy on był w pobliżu. - Wszystko w porządku? - Co jeszcze mogła powiedzieć? - Nie widziałam cię od jakiegoś czasu.

- Tak... musiałem... - Pochylił głowę. - Wiem - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Masz chwilę, żeby coś przegryźć?

Było siedem po drugiej. Miała dokładnie siedem minut, żeby coś przegryźć, a potem trzydzieści procent szans, że spóźni się tylko pięć minut, by odebrać Michelangela. Żałowała, że raz, choć *raz...*

- Poczekaj - powiedziała. - Zadzwońię do znajomej. - Wybrała numer Donny, której dzieci chodziły do szkoły pieszo, żeby zatrzymała Michelangela na dziesięć minut, bo jest „troszkę” spóźniona. Choć przez cały rok zamieniły niewiele więcej niż dwa słowa, Donna potraktowała ją bardzo miło. Razem ze swoimi dziećmi wybierała się na plac zabaw i zapytała, czy może zabrać Michelangela.

- Będzie zachwycony. Bardzo ci dziękuję. Jestem ci winna przysługę...

Odwróciła się do Kaia. Stała osłupiała na parkingu, a jej steki w słońcu New Jersey za piętnaście minut osiągną temperaturę pokojową i po powrocie do domu będzie je mogła wyrzucić.

- Jadłeś już? - zapytał, pokazując torbę. - Możemy się podzielić moim sushi.

- Dziękuję. Nie jestem głodna. - Nie mogła się przyznać, że umiera z głodu. To byłoby niestosowne. Jakby nie mogła zapanować nad apetytem. Stała przed nim idealnie opanowana, tak samo jak zachowywała się w obecności wszystkich, nie wyłączając suflera i Leroya.

Mogli tylko wsiąść do jej samochodu.

- Wszystko w porządku? - zapytała, włączając silnik i patrząc na nagrobki. Zastanowiła się, czy przybyło kilka nowych? Mogła przysiąc, że było ich więcej niż w zeszłym tygodniu.

- Tak - odparł krótko. Po chwili ciszy, która zabrzmiała dla Larissy, jakby ktoś przestał grać na pianinie, bo nie wiedział, jaka jest następna nuta, Kai mówił dalej: - Wiesz, nic nie jest w porządku, ale naprawdę nie mogę o tym mówić, więc...

- Rozumiem. - Chciała mu powiedzieć, że Brian i Gary wspominali o pogrzebie, ale nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego zajrzała do salonu, gdy go tam nie było, i rozmawiała o nim nie z jednym, ale z dwoma pracownikami. Milczała, ponieważ też nie wiedziała, jaka powinna być następna nuta.

- Ale w pracy wszystko dobrze?

- Chyba tak. W poniedziałek mam wolne - powiedział i wypił łyk kawy, potem następny. Wpatrywał się w otwarty i nietknięty pojemnik z sushi.

Kto umarł? Jego matka? Wyglądał tak blado, że to mogła być matka. Przyjaciół? Wspominał, że musiał wyjechać z Hawajów z różnych powodów. Czy to mogło mieć z tym coś wspólnego? Larissa była trochę ciekawa, trochę zatroskana, lecz przede wszystkim czuła bezwstydną ulgę, że wrócił. Pogrzeb na Hawajach przypominał długi okres suszy z dala od jej stawu chłodnej wody.

- Jaka tu była pogoda?

To się nazywa luźna rozmowa.

- Całkiem niezła - odparła. - Trochę było chłodno. Padało przez cały weekend. A na Hawajach?

- Jak zwykle. Nigdy się nie zmienia. Dwadzieścia siedem stopni. Słonecznie. Po południu wietrznie.

- Brzmi fantastycznie.

- Chyba tak.

Och, teraz nie chciał gawędzić nawet o pogodzie. Siedzieli w milczeniu. Z głośników płynęła cicha muzyka. Alice Cooper, The Ramones.

„Mogłabym zaprzeczyć okrutnej powieści, którą jej własny potwierdził rumieniec?”*. Leonato mówi to do brata Franciszka w *Wiele hałasu*. Miłość zwyciężyła wszystko, pomimo najlepszych intencji. Jaka to będzie lekcja dla jej młodych podopiecznych. Musiała iść. Nie chciała, żeby Michelangelo się martwił.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jest mi przykro. - Tak naprawdę chciała go dotknąć.

- Z jakiego powodu?

Milczała. On też milczał. Potem jęknął cicho z tłumionego bólu.

- Larissa - powiedział. Wypowiedział jej imię tak, że zabrzmiało jak świergot jaskółek latem, jakby coś głębokiego spłynęło z jego ust.

Imię było pieszczotą. *Larissa*, pieścił ją jej własnym imieniem. To, co mówił potem, nie miało znaczenia.

- To nie jest tak, że nie chcę ci powiedzieć. Ale uwierz mi, że ta historia jest gorsza i bardziej żałosna, niż możesz sobie wyobrazić, i będziesz czuła tylko litość. Dlatego nie chcę nic mówić, bo nie chcę, żebyś się nade mną litowała. Potrafisz to zrozumieć? - Nie odwracał wzroku. - Wyglądałoby na to, że próbuję tobą manipulować, wykorzystując tragedię. A nie chcę tego robić.

- Rozumiem. Nie przejmuj się. Tylko... uważaj na siebie.

- W końcu może ci powiem.

- W końcu? Czemu nie teraz?, powiedział przedsiębiorca pogrzebowy.

Kai rzucił jej półuśmiech.

* Wszystkie cytaty z *Wiele hałasu o nic* Williama Szekspira w tłumaczeniu Leona Ulricha.

- Zabawne. Ale nigdy nie będę miał ochoty, żeby ci powiedzieć. - Wyglądał okropnie.

- Czy ma to coś wspólnego z twoim wyjazdem z Hawajów?

- Wszystko. - Wziął pustą puszkę, niezjedzone sushi, otworzył drzwi. - Miło było znów cię zobaczyć.

- Ciebie też.

To zdecydowanie przekraczało granice zwyczajowej uprzejmości! - pomyślała Larissa, jadąc odebrać Michelangela. Jej zaciśnięte na kierownicy palce drżały.

Nawigacja i wyjaśnienia

Następnego ranka o wpół do dziesiątej zadzwonił telefon. Larissa szykowała się do wyjazdu do Pingry i nie bardzo chciała odebrać, ale na telefonie wyświetliła się informacja „salon Jaguara w Madison”. Szybko podniosła słuchawkę.

- Larissa? - powiedział Kai. Znowu!

- Tak, słucham. - Krew zaczęła jej krążyć szybciej w żyłach, gdy zadzwonił do niej do domu, zupełnie jakby włamał się do środka.

- Brian powiedział mi przed chwilą, że dostarczono twoją nawigację - powiedział lekko rozbawionym głosem. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie wiedziałem, że potrzebna ci nawigacja.

- Myślałam, że nie - odparła. - Ale okazało się, że jak najbardziej.

- Pamiętasz, że próbowałem ci ją sprzedać?

- Tak. Ale wtedy nie wiedziałam, że będzie mi potrzebna.

- Rozumiem. Kiedy możesz przyjechać, żebyśmy mogli ją zainstalować?

- A kiedy wam pasuje? - Musiała zamówić dwadzieścia pięć eg-

zemplarzy sztuki i napisać ogłoszenie o przesłuchaniach. To zajmie jej trochę czasu, prawdopodobnie cały ranek.

- Teraz byłoby dobrze.

- Teraz?

Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd została reżyserem, a już sztuka poważnie krzyżowała jej plany! Nie powinna była przyjmować tej posady. Cholera. Zadzwoni do Ezry, będzie bardzo miła, poprosi Sheilę, żeby zamówiła książki, a ogłoszenie napisze po południu. To tylko jeden dzień.

- Dobrze - powiedziała do Kaia spokojnym głosem. - Przyjadę.

- Za pół godziny?

Po dwudziestu ośmiu minutach była już w salonie. Podjechała od tyłu, weszła przez drzwi prowadzące do serwisu, wypełniła formularze, podpisała się na przerywanej linii, podała kartę kredytową (co powie Jared, gdy się dowie, że za dwa tysiące dziewięćset dolarów kupiła nawigację, której nie potrzebowała?) i wzięła paragon.

- Będzie gotowa dziś po południu - oznajmił Brian. - Chce pani, żeby jeden z moich chłopaków odwiózł ją do domu?

- Nie, dziękuję. Dziś sobie poradzę - odparła krótko, a wyraz jej twarzy był równie obojętny jak ton głosu. Uśmiechnęła się.

Brian nawet na nią nie spojrział. Lubiła się ukrywać za uprzejmymi słowami. Wszystko takie gładkie, normalne, zrównoważone, nie ma tu nic do oglądania, tylko przechodziłam, jak wszystkie żony, które oddają samochód do warsztatu. Przeszła przez salon, uśmiechnęła się do facetów z biura, którzy siedzieli beczynnie, nie zwróciła szczególnej uwagi na Crystal, pyską recepcjonistkę, i skierowała się w stronę biurka Kaia, przy którym on spoglądał w monitor komputera, pił kawę i rozmawiał przez telefon. Na jej widok skinął głową i wskazał krzesło przed biurkiem. Przysiadła na brzeżku i czekała. Rozmawiał jeszcze przez pięć minut, szukając samochodu dla potencjalnego klienta. Telefon dzwonił do niego jeszcze sześć razy. Recepcjonistka podeszła, by szepnąć, że ma kolejną rozmowę, lecz pokazał jej na migi, żeby zapisała wiadomość. Kiedy odłożył słuchawkę, spojrział na Larissę.

- Jak się miewasz?

- Dobrze. A ty?
- Jestem strasznie zajęty. Przywiozłaś samochód?
- Tak. Brian powiedział, że będzie gotowy dziś po południu.
- Na pewno.
- Jeśli jesteś zbyt zajęty, Brian powiedział, że jeden z jego chłopaków może mnie podrzucić do domu...

Kai pokręcił głową.

- Ja jestem jednym z jego chłopaków. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jesteś gotowa? - Dziś był mniej błady. Wziął kluczyki. - Wracam za dziesięć minut - zawołał w stronę ekipy biurowej, która patrzyła na nich w sposób, który Larissie zdecydowanie się nie podobał.

- Nie chodzi o ciebie - powiedział Kai. - Uwielbiają wszystko mi utrudniać. - Wyprowadził ją na zewnątrz i przeszli za róg budynku. - Zaparkowałem tutaj. Stale mi wypominają, że nigdy nie podwożę chłopaków do domu.

- To prawda?

Na zewnątrz było ciepło i słonecznie, co zapowiadało dobrą wiosnę. Ducati stał zaparkowany przy białym budynku.

- Być może - odparł, wzruszając ramionami. - Przyznaję, że nieczęsto siedzą za mną na motorze mężczyźni.

Spojrzała na motocykl. Kai na nią.

- Jedziemy motorem?

- To jedyne kółka, jakie mam. - Otaksował ją spojrzeniem. Miała na sobie dżinsy, wysokie buty i skórzaną kurtkę. Była ubrana jak najbardziej odpowiednio. Wskoczył na siodełko pierwszy i podał jej swój kask. - Weź. Mam tylko jeden.

Był dla niej zbyt luźny i nie mogła mocniej zaciągnąć paska pod brodą. Kai musiał zsiść, żeby pomóc jej się z nim uporać. Poprawił kask dwiema rękami i wsunął jej palce pod brodę, by zapiąć sprzączkę. Jego twarz tuż obok jej podbródka była gładko ogolona, uśmiechnięta, przyjazna. Oddech pachniał kawą.

- Zniszczysz fryzurę - powiedział. - Ale to ci nie przeszkadza, prawda? Nie dbasz o włosy.

- Bardzo śmieszne.

Usiadł z powrotem na motocyklu.

- Wskakuj i trzymaj się - powiedziała. - To najważniejsze.
- Wskakiwanie czy trzymanie?
- Trzymanie.

Wsiadła jak na konia, przerzucając najpierw jedną nogę, drugą oparła na podpórce. Nigdy nie siedziała ani na koniu, ani na motocyklu. Chciała zapytać Kaia, czego ma się trzymać, bo do wyboru miała tylko kierującego i jego brązową skórzaną kurtkę. Chwyliła ją po obu stronach. Jej kolana przylegały do jego nóg w dzinsach. To było dziwne, zbyt bliskie, niewłaściwe. Nigdy nie wsiadłaby na motor Gary'ego albo Briana z jego tłustymi włosami.

- Musisz się mocno trzymać - krzyknął Kai, włączając silnik. - Kiedy dodam gazu, polecisz, jeśli nie chwycisz mnie mocniej.

- To nie dodawaj gazu, dobrze? Jedź bardzo wolno.

Wyjechał na Main Street i ruszył ostro przed siebie.

- Wolniej! - pisnęła, a wiatr rozwiewał jej włosy pod kaskiem. Nie była pewna, czy Kai ją słyszy.

- Jeśli będę jechał wolniej - odkrzyknął - stracimy równowagę i spadniemy.

- Boże, dlaczego to przypomina odrzutowiec? - powiedziała, gdy zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Dobra. Koniec z demonem prędkości. Zsiądziemy i będę prowadził motor aż do twojego domu. - Podkręcił obroty silnika. - Powiedz mi jeszcze raz, gdzie mieszkasz.

Prowadziła go najlepiej, jak umiała, pochylając się nad jego ramieniem. Czuła zapach jego skórzanej kurtki. Nie chciała, by jechał przez Summit, gdzie znali ją właściciele Summit Diner i Ricky's Candy, gdzie wszyscy pracownicy stacji benzynowej, sprzedawcy słodyczy, lodziarze, sprzedawcy butów i pracownicy pralni chemicznej mogli jej pomachać, gdy siedziała na siodełku ducati sportclassic, więc poprowadziła go naokoło, drogą numer dwadzieścia cztery, omijając miasto. Nie robiła niczego złego, a jednak nie chciała jechać przez Summit w jego kasku na głowie. Bo dobro i zło nie różniły się wyglądem. Wyglądały dokładnie tak samo. Młody mężczyzna w skórzanej kurtce i dzinsach

pędził na ognistym ducati przez małe miasteczko, powoli okrywające się zielenią, a długowłosa kobieta w pewnym wieku, mężatka, matka trójki dzieci, przysłała członkini Ligi Kobiet stanu New Jersey, siedziała okrakiem na jego motocyklu, obejmując go w pasie, z twarzą znajdującą się blisko jego pleców, jego kurtki.

Na otwartej drodze przyspieszył. Z trudem łapała oddech. Przez chwilę patrzyła na siebie jakby z błękitnego nieba i widziała siebie tak, jak widzą ją ptaki, gdy z powiewającymi włosami mknęła z młodym mężczyzną w stronę pachnącego kwietnia. Poczucie prędkości, z trudem łapano oddech, niebezpieczeństwo, radość, strach zmieszany z wiosną i słońcem, wielkie uniesienie sprawiły, że przegapiła skręt do Summit i po mili lub trzech musiała go szturchnąć, żeby zawrócił. Kolejny porywający moment za jego plecami.

Wreszcie skręcił w Bellevue, biegnącą w dół łagodnego zbocza, i Larissa znów zobaczyła siebie taką, jaką była, a nie taką, jaką pragnęła być, ponieważ Kai skręcił w podjazd przed jej szarym domem z czarnymi okiennicami.

- Wszystko w porządku? - Zatrzymał się za jej escalade'em.

Zsiadła z motoru i zdjęła kask.

- Jasne - odparła z twarzą zarumienioną od prędkości i wiatru.

Biorąc od niej kask, uśmiechnął się zaraźliwie.

- Nic nie może się z tym równać, prawda? Może kiedyś zabiorę cię za miasto, w okolice rezerwatu Watchung i Deserted Village. Jak zrobiliśmy z twoim jaguarem. Tam mogę zostawić trochę gumy na asfalcie. Ducati to przede wszystkim silnik.

- Problem z tobą polega na tym, że uważasz to za zaletę.

Roześmiał się.

- Zadzwoń do ciebie, gdy założą nawigację.

- Jeśli nie będzie mnie w domu, zostaw wiadomość.

- Chcesz, żebym zadzwonił na komórkę?

- Och... - zająknęła się. - Jasne. - I tak po prostu podała mu numer.

Stała tyłem do domu, ale widziała, jak Kai obrzuca go spojrzeniem od góry do dołu, wysokie drzewa, hebanowe okiennice, jego ogrom i rozmach, jak chłonie wszystko, szarą farbę i czerwone tulipany ros-

nące wzdłuż brukowanej alejki, wypielegnowane opadające trawniki, ozdobne lampy.

- A więc tutaj mieszkasz. - Gwizdnął. - No, no!

- Dzięki. Nie zawsze tak było.

- Wyobrażam sobie. Trzeba zarabiać niezłą kasę, żeby mieszkać w czymś takim.

Zgodziła się w milczeniu.

- Czym zajmuje się twój mąż?

- Jest dyrektorem finansowym Prudential Securities.

Kai znów gwizdnął.

- Musi być dumny, że tu mieszka.

Raz jeszcze skinęła głową w milczeniu.

- Mówi, że opuści ten dom tylko wtedy, gdy wyniosą go nogami do przodu.

Kai mrugnął z aprobatą.

- A ty?

Zapadła krótka chwila milczenia.

- Ja oczywiście też - powiedziała szybko. - Gdzie można się stąd wynieść?

- A co ważniejsze, dlaczego miałoby się ochotę wynieść? - Kai wsiadł na motor, podkręcił obroty. - Posłuchaj, jak tu cicho. Mój motocykl brzmi jak samolot, gdy echo odbija się od pola golfowego. Hej, to twoja galeria za autostradą? - Roześmiał się lekko. - Urocze. Można oglądać, co chce się kupić, zza lśniących czystością okien. - Na pożegnanie uniósł dłoń w rękawiczce. - Zadzwoń, kiedy samochód będzie gotowy.

W ciszy swojego życia w Bellevue Larissa usłyszała ryk jego motoru na Summit Avenue, kiedy wchodziła do pustego domu. Potem usiadła w kuchni i czekała. Nie, nie czekała... po prostu siedziała w swoim domu, czystym, wymuskany, przy wyspie, z kubkiem kawy w dłoniach i próbowała zobaczyć odbicie swojej twarzy w czarnym granicie, lecz widziała tylko czterdziestoletnią kobietę na motorze. Powinna wpuścić Riot z ogrodu. Powinna włączyć komputer i ułożyć ogłoszenie o przesłuchaniach. Powinna zadzwonić do Ezry. Powinna wsiąść do escalade'a i pojechać do Pingry zamówić książki. Powinna...

Zadzwonił telefon. Maggie pytała, czy ma ochotę na lunch. Zgodziła się natychmiast. Wszystko, byle tylko przestać myśleć. Spotkała się z Maggie na parkingu Neimana.

- Dziś nie jaguarem? - Maggie ufarbowała kręcone włosy na ciemnorudo. Ostatnio była przygnębiona, lecz teraz wyglądała świetnie; nałożyła nawet lekki makijaż.

- Nie, dzieci mają zajęcia po południu - odparła Larissa, popychając lekko przyjaciółkę. - Chodź, umieram z głodu.

- Słyszałam, że prosisz się o kłopoty - powiedziała Maggie z ironią, gdy siadały przy stoliku przykrytym obrusem w kratę.

- Co masz na myśli? - Dlaczego jej głos zabrzmiał tak piskliwie? Neiman's Cafe była pusta, tylko one dwie i siedmiu kelnerów.

- Ezra powiedział, że naraziłaś się Leroyowi i Fredowi. Dobra robota.

Uspokój się, Larisso.

- Dlaczego w końcu się zgodziłaś?

- Bo twój mąż błagał mnie prawie na kolanach. Nie wiedział, jak inaczej powstrzymać Leroya.

- Nikt nie potrafi powstrzymać Leroya.

- Dzięki Bogu równania różniczkowe są za trudne dla dziesięciolatka. - Larissa zamówiła zupę z kabaczką i sałatkę Waldorf z grillowanym kurczakiem. Podczas gdy Maggie zamawiała firmowy wybór przekąsek, Larissa ukradkiem zajrzała do torebki, by sprawdzić, czy telefon nie jest wyciszony.

- Naprawdę zamierzasz wystawić *Wiele hałasu o nic?* - Maggie pokręciła głową.

- Tak. Postanowiłam pójść na kompromis. Bo najwyraźniej to ja muszę to zrobić. Chciałam wystawić lekką *Komedię pomyłek*. Ale nie. Siedem głosów sprzeciwu. Upierali się przy czymś innym. No i dobrze. Mają, co chcieli.

- A le Ezra powiedział, że Leroy i Fred nie chcą już *Wiele hałasu*.

Larissa roześmiała się rozkosznie.

- Już nie chcą? Tak podejrzewałam. To dlaczego ją zaproponowali?

- Żeby coś udowodnić.

Kelner przyniósł im grzanki. Od razu zabrały się do jedzenia.

- Wiedziałam - rzuciła Larissa. - Całe to zamieszanie tylko po to, by postawić na swoim. No, ale teraz jest za późno. Wielka szkoda. Wystawimy *Wiele hałasu*.

Przez resztę lunchu rozmawiały o Bo, której chłopak, Jonny, był coraz bliżej znalezienia upragnionej pracy, i o Ezrze, który był tak przepracowany, mając trzy wykłady, kierując wydziałem angielskiego i nadzorując prace wydziału teatru, że parę dni temu zapomniał, jak ma na imię jego jedyny syn.

- Na p r a w d ę zapomniał. Patrzył tępo na Dylana, jakby nie mógł pojąć, dlaczego ten stuknięty perkusista przesiaduje u niego w domu.

Kiedy płacili, zadzwoniła komórka Larissy. Na ekranie wyświetlił się napis „Passani, K”.

- Słucham?

Dzwonił z komórki, a nie z pracy?

- Cześć. Tu Kai.

- Cześć. - Zwalczyła impuls, by odwrócić się od Maggie, żeby przyjaciółka nie mogła podczas rozmowy patrzeć na jej twarz.

- Samochód jest gotowy. Możesz go odebrać? Wiem, że niedługo skończą się lekcje w szkole.

- Dobrze... wezmę syna ze sobą. - Skinęła głową Maggie, by po dała jej paragon do podpisania, zostawiła napiwek, wzięła jej kartę kredytową, zamknęła jej torebkę. Wstała. Odsunęła krzesło, cały czas rozmawiając przez telefon.

- Posłuchaj, może ja odstawię samochód, a wy potem mnie podrzucicie? Będzie dobrze?

- T a k .

Co innego mogła zrobić? Nie może przecież zostawić samochodu w serwisie na noc. Co powie Jaredowi? - Wiesz, jednak zostawię go na noc. Odbiorę go jutro. Dzieci mają... zajęcia po południu.

- Na pewno? Nie będzie ci potrzebny?

- Mam vana.

- No to dobrze. Przywiozę go rano?

Już miała się zgodzić - Maggie obserwowała ją i słuchała wszyst-

kiego! Przypomniała sobie jednak, że odpuściła dziś teatr i nie mogła się znów nie pojawić.

- Rano mam zajęcia. W południe?

Umówili się, że przywiezie samochód w południe do niej do domu. Przez telefon miał świetny głos. Jasne. Jakże mogło być inaczej.

Larissa zakończyła połączenie bez słowa. Spojrzenie Maggie nie pozwoliło jej wypowiedzieć pustych grzecznościowych formułek.

- Kto to był?

- Salon Jaguara. - Jak miło i obojętnie! - Zainstalowali mi nawigację.

- A po co ci nawigacja? Dokąd chcesz jechać? Nie możesz trafić do galerii?

- Ale ż dziś jesteś dowcipna.

Przeszły do wyjścia po czarno-białych płytkach.

- Nie powiedziałaś mi, że samochód jest w warsztacie.

- Bo jest. Nic się z nim nie stało.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o nawigacji, kiedy zapytałam, dlaczego nie przyjechałaś jaguarem?

Larissa przyspieszyła kroku. Jeśli nie potrafiła odpowiedzieć na pytania Maggie, jak uda jej się stawić czoło Jaredowi?

* * *

- Co kupiłaś? - zapytał Jared przy kolacji, odkładając widelec. Ten gest sygnalizował zwiększone zainteresowanie rozmową.

Larissa wzruszyła ramionami - najbardziej nonszalancko, jak potrafiła.

- Samochód miał być w nią wyposażony. Nam trafił się model bez nawigacji. Ale powinien ją mieć.

Jared milczał przez chwilę.

- Larisso, nie chodzi o to, w co samochód powinien być wyposażony, ani o to, czy jest ci to potrzebne.

- No to o co? - zapytała obojętnie z błąkającym się na ustach uśmiechem.

- O to, że wydałaś trzy tysiące dolarów z naszych pieniędzy, nawet przelotnie o tym wcześniej nie wspomniawszy.

- Wiem. I przepraszam. Szczerze, to był błąd z mojej strony. Kupno nawigacji to był impuls. Pojechałam coś sprawdzić w serwisie i zamówiłam ją na miejscu, nawet nie pytając Briana, ile kosztuje. Myślałam, że tylko kilkaset dolarów. Kiedy już ją zainstalowali i zapłaciłam, uwierz mi, byłam wstrząśnięta ceną równie mocno jak ty. Ale skoro powiedziałam A...

- To A kosztowało cię trzy tysiące dolarów.

- Wiem.

- Masz paragon?

- Tak. W torebce. Chcesz go zobaczyć?

- Nie, jest mi potrzebny do rachunków. - Patrzył na nią, nie mrugając powiekami. - Od kogo ją kupiłaś?

- Słucham?

- U kogo zamówiłaś nawigację?

- Mówiłam ci, że u Briana.

- A kto to taki?

- Pracuje w serwisie na tyłach salonu.

- Nie u Chada? - Zawiesił głos. - Ani nie u Kaia?

- Nawet nie weszłam do salonu, kochanie. Naprawdę bardzo przepraszam. - Uśmiechnęła się słodko. - Jared, wiem, że to ogromny wydatek, ale dokładnie rzecz ujmując, jaka jest różnica pomiędzy taką jednorazową kwotą a kupowaniem czterech czy pięciu par butów, co robię cały czas, nie konsultując się z tobą przez telefon? Nie przerywam ci zebrań, mówiąc: „Skarbie, widziałam niesamowitą parę guccich, masz coś przeciwko temu?”.

Trzeba oddać Jaredowi sprawiedliwość, że długo się nad tym zastanawiał.

- Różnica - powiedział w końcu - polega na sumie. Jest zdecydowanie za wysoka. Wydaje się nadzwyczajna.

Miał rację. Było dokładnie tak, jak powiedział. Nadzwyczajnie.

* * *

Larissa pojechała rankiem do Pingry, by razem z Sheilą i Leroyem linijka po linijce przystosować *Wiele hałasu* do potrzeb szkolnego przedstawienia. Przygryzając ołówkę, stale obserwowała czas: dziesięta, jedenasta, prawie dwunasta.

- Muszę pędzić - powiedziała w końcu.

- A le nie jesteśmy gotowi!

- Możecie skończyć? Macie kilka bardzo dobrych pomysłów. Tylko kilka uwag: Sheila, nie wycinaj zbyt wielu kwestii Don Pedra, w końcu to on jest sumieniem tej sztuki. Leroy, to samo dotyczy Benedyka, który jest głównym bohaterem. Nawet w komedii to bardzo ważna rola.

- Czy wyciąłem coś, czego nie chciałaś? - zapytał Leroy, wyczuwając naganę.

- Myślę, że powinieneś zatrzymać kwestię Benedyka „Więc serca niech własnym mówią językiem” - powiedziała z uśmiechem, odliczając czas, kiedy będzie mogła wybiec z sali. - Poza tym radzisz sobie doskonale. Do zobaczenia jutro. - Mój radosny dzień nie jest dość długi, pomimo tego, co mówi Szekspir, pomyślała, szukając pociechy w matematyce; pięć i dwie dziesiąte mili w dwanaście cudownych minut.

Było kilka minut po rześkim i wietrznym marcowym południu, kiedy znalazła jaguara na podjeździe, lecz nigdzie nie było widać Kaia. Czy już pojechał? Zobaczyła otwartą furtkę przy garażu i kiedy obeszła dom, ujrzała Kaia goniącego Riot po całym podwórku.

- Szczekał na mnie - powiedział zdyszany Kai, podbiegając do niej. - Pogłaskałem go, ale najwyraźniej co innego chodziło mu po głowie. Nie jest zbyt groźny, prawda?

- Nie. To suka - odparła. - Łagodna jak baranek. Zaprowadziłaby cię prosto do rodzinnego srebra, gdybyśmy je mieli.

- No co ty - powiedział. Żartowały z niej nawet jego bieluteńkie zęby. - Musicie mieć. W takim domu? Jak się wabi?

- Riot. Podobnie jak ty myśleliśmy, że to pies.

Riot waliła łbem w kolana Kaia, trzymając w pysku metrowy kij. Kai wyjął kij, rzucił go daleko i pognał za nią po podwórku, krzycząc:

- Riot! Oddaj! Oddaj!

To była ulubiona zabawa Riot. Udawała, że przynosi kij, a potem człówek gonił ją, żeby go odzyskać. Mogła się tak bawić cały dzień. Skąd Kai o tym wiedział? Patrząc, jak biega za jej psem po podwórku niczym beztroskie dziecko, Larissa poczuła dziwny ciężar, jakby nowe liście na drzewach oplatały jej serce.

- Chcesz lemoniady? - Czy w ogóle ją miała?

- Może wody z lodem?

Zostawiła go z Riot i weszła do kuchni. Kiedy nalewała wodę do szklanki, obserwowała go przez okno. W jego ruchach było tyle młodszej radości.

Wszedł do środka zaczerwieniony i spocony.

- Co zrobię z koszulą? Wyglądam, jakbym się tarzał po trawie.

Wziął od niej szklankę, wypił zawartość do dna i zaczął gryźć lód.

- Nigdy nie mieliśmy psa - powiedział. - Mieszkaliśmy w mieszkaniu, a tam trudno trzymać psa. Ale uwielbiam je.

- Najwyraźniej one też lubią twoje towarzystwo. - Riot stała na tylnych łapach przy kuchennych drzwiach, drapiąc przednimi w siatkę, jakby chciała powiedzieć: „Wyłaż, mięczaku”.

- Cudnajest. - Kai bębnił palcami w blat, rozglądając się po kuchni.

Larissa stała w cichym domu wśród białych szafek i czarnych granitowych blatów i patrzyła, jak twarz Kaia powoli przybiera zawodowy wyraz. Zwykle był bardzo opanowany, teraz nagle dyszał. Było w tym coś bezbronno, bardzo ludzkiego.

- Nawigacja wygląda świetnie. Widziałaś?

- Nie, przyszłam prosto na podwórko.

- Chcesz, żebym ci pokazał, jak działa?

- Jasne.

- To chodź. Bo zaraz muszę wracać. Mam spotkanie o pierwszej. Która jest?

- Dwunasta trzydzieści.

- Muszę pędzić. Zwykle nie umawiam się w okolicy lunchu, ale to pewniak, owdowiały sześćdziesięciolatek chce kupić jaguara dla swojej trzydziestoletniej przyjaciółki.

- Czy to nie lekka przesada?

Kai uśmiechnął się szelmowsko.

- Jak inaczej uda mu się zaciągnąć ją do łóżka?

Po południu Larissa stanęła przed lustrem w holu i spoglądała surowo na swoją twarz, oczy, a pozostawione w bagażniku jaguara lody topiły się w plastikowych torbach. Ten drobiazg mogą w końcu zauważyć spostrzegawczy najmłodszy członekowie jej rodziny, którzy bardzo lubili lody. Mamo, mogą zapytać, dlaczego lody zawsze smakuja, jakby się stopiły, a potem znów zostały zamrożone? Dlaczego przywozisz do domu roztopione lody? Jak długo jedzie się z King's, mamo? Przecież to tylko cztery minuty. Czy lody topią się tak szybko? Co robisz ze swoimi popołudniami, że musisz stać przed lustrem, podczas gdy nasze ukochane lody zamieniają się w gęstą śmietaną?

Kiedy lody roztopiały się w jaguarze, Larissa nie zrobiła jednej rzeczy - nie napisała do Che. *Kochana Che, pomóż mi*. Jak mam się uwolnić od tej okropnej rzeczy, w którą się wikkam, rzeczy jeszcze straszniejszej przez ukrytą w niej prawdę - nawet nie piszę do Ciebie tak zwanego listu z prośbą o instrukcję, jak się uwolnić. Racjonalizuję ją jak absolwentka college'u, lekko ironizująca dorosła osoba, która potrafi rozumować. Jak u licha może mi pomóc Che? Przecież nie potrafi nawet pomóc sobie samej z Lorenzem. To właśnie sobie powtarzam. Ale prawdziwym powodem, dla którego nie piszę, jest to, że nie chcę, i to jest jeszcze gorsze niż siedzenie w samochodzie, niż świadomość mojego bezwstydnego ja. Wiem, że pragnę tylko, żeby szybciej nadeszła pierwsza, bym mogła zobaczyć jego twarz, usłyszeć jego śmiech, radosny głos opowiadający mi nawet nie wiem o czym - o kamieniarstwie? Luksusowych samochodach? Pogrzebach? Nie wiem. Nie obchodzi mnie. Prawie nie słucham. Najważniejsze jest to, że siedzę obok niego. Zapach skóry, mydła Dial i dżinsu pozostający w moim samochodzie - zapach jego: dwudziestoletniego, wolnego, bez zobowiązań, dzieci. Kiedy na niego patrzę, nie znajduję się w środku mojego życia, lecz na samym początku, należę do Great Swamp Revue i podróżuję po New Jersey w poszukiwaniu sceny, żartu, przedstawienia, czegoś realnego w świecie iluzji, a może iluzji w realnym świecie? Znów jestem częścią The Jersey Footlight Players, odgrywającą niezły spektakl na

scenie, którą jest fotel kierowcy mojego jaguara w kolorze zimowego złota. Dlatego właśnie nie napisałam do ciebie od lutego. Boję się, że w moich pustych słowach odnajdziesz głęboką prawdę o tym, co się ze mną dzieje. Odsuwam się od ciebie, zbliżając się jednocześnie do czarnej otchłani, w której jest on, powoli uświadamiając sobie, że on jest jedyną rzeczą, której pragnę.

8

Przesłuchania dla ochroniarzy

W ciągu następnych paru dni Jared nie zdołał do końca pojąć sensu zakupu nawigacji i w sobotni wieczór, kiedy usiedli z przyjaciółmi do kolacji, znów o nim wspomniął.

Maggie natychmiast wykrzyknęła:

- Jared! Właśnie to jej powiedziałam! Wytłumacz się, Larisso, przyjaciółom i mężowi. Przecież to nie ma sensu.

- Po co ci potrzebna nawigacja, Lar? - zapytał Ezra.

- To. Był. Impuls. - Rzuciła mężowi spojrzenie, które miało mu powiedzieć, że jeśli zapragnie dziś w nocy kobiety, musi sobie poszukać innej.

- Rozumiem - odparł Ezra. - Ale to tak jakbyś słuchała scenicznych wskazówek kogoś innego. To niepodobne do ciebie.

- Może gram inną postać.

Tej sobotniej nocy, zamiast uprawiać seks, pokłócili się z Jaredem. Larissa była zła, że wprowadził ją w zakłopotanie.

- W zakłopotanie? Ciebie? No to pozwól, że zapytam, jak twoim zdaniem się czułem, gdy Ezra powiedział do mnie przed kolacją: „Stary, nie mogę uwierzyć, że twoja żona zgodziła się wyreżyserować sztukę na wiosnę”.

- I co z tego? To cię wprowadziło w zakłopotanie?

- Nie! - krzyknął. Jared nigdy nie krzyczał. - Ale to, że mi o tym nie powiedziałaś.

Dlaczego była zaskoczona? Zupełnie jakby nie zdawała sobie sprawy, że mu nie powiedziała.

- To się po prostu stało. Nie ukrywałam tego przed tobą. Stało się dwa dni temu. Trzy.

- Stało się w poniedziałek, dzisiaj jest sobota - i to późny wieczór - a to jest pierwsza rozmowa, którą prowadzimy na ten temat.

- Jeśli nazywasz to rozmową.

- To więcej słów, niż zamieniliśmy przez cały tydzień!

- K i l k a dni!

- Przestań, Larisso. Wiem, kiedy ktoś wciska mi kit.

- W poniedziałek wróciłeś do domu późno, we wtorek Emily miała wiolonczelę, w środę już nie wiem. Nie ukrywałam tego. - Zająknęła się lekko, lecz zaraz odzyskała równowagę.

- Wypadło ci z głowy?

- Tak. Wypadło. I o co cały ten krzyk?

- Cały krzyk? Przez dwa ostatnie miesiące był to jedyny temat wazszych rozmów z Ezrą.

- Daj spokój, nie jedyny...

- Ezra nie oznajmił mi tego w sposób, jakby to było coś nowego. Rzucił tylko: „Czyż to nie wspaniale, że Larissa się zdecydowała?”. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Zapomniałam!

- Zapomniałaś? Tak samo jak zapomniałaś mi powiedzieć o nawigacji?

- Och, przestań. Po prostu przestań. Nie powiedziałaś ci, bo pomyślałam, że się zdenerwujesz. Postanowiliśmy, że nie przyjmę tej pracy, a potem zmieniłam zdanie.

- O co więc naprawdę chodzi? Wypadło ci z głowy czy nie powiedziałaś mi celowo? Mieszają ci się te kiepskie wymówki.

Wzięła głęboki oddech, po czym wypuściła powietrze, jakby przygotowywała się do wyjścia na scenę.

- Jesteś zdenerwowany.

- A ty bystra. Dlaczego najpierw ze mną o tym nie porozmawiałaś?
- Powiedziałaś mi, żebym się zgodziła, jeśli chcę! Pamiętasz? To twoje słowa. Zgódź się, jeśli chcesz. A teraz nagle muszę do ciebie dzwonić w poniedziałek, żeby to omówić.
- Mogłaś mi powiedzieć w poniedziałek wieczorem.
- N i e ! Leroy miał ogłosić przesłuchania do **Godota**. Sytuacja była wyjątkowa.
- Co to ma wspólnego z poniedziałkowym wieczorem?
- Trzeba było podjąć natychmiastowe działanie.
- Działanie, tak. Ale natychmiastowa tajemnica?
- Och, na miłość boską! Co cię bardziej denerwuje, Jared? Że się zgodziłam czy że ci nie powiedziałam?
- Tyle rzeczy, że nie potrafię ich wszystkich nazwać.
- Od której chciałbyś zacząć?
- Od żadnej, Larisso. Od żadnej, do cholery. - A chwilę później dodał: - Dlaczego utrzymywałaś to przede mną w sekrecie?
- W jakim sekrecie? To ja ci powiedziałam!
- Nie o sztuce.
- Nie - zgodziła się. - Ale o nawigacji.
- Teraz zaczynamy analizować sekrety?
- O Boże!
- Przecież nie mogłaś utrzymać nawigacji w tajemnicy.
- Nie miałam takiego zamiaru!
- Twój samochód - ciągnął Jared - nie stał w garażu, kiedy wróciłem do domu. Musiałaś to jakoś wytłumaczyć. A teraz będziesz spędzać cały czas w Pingry. Co zamierzasz zrobić z naszymi dziećmi?
- Nie popadaj w melodramatyzm. Mam Sheilę, Leroya, Freda, Ezrę. Mam suflera. Wszystko będzie dobrze.
- Świetnie. Wiesz, jak trafić do Pingry. Masz przecież nawigację.

* * *

Jared był skonfundowany przez całą niedzielę. Czuł, jakby brakowało jakiegoś kawałka układanki, ale nie wiedział którego. Nie wie-

dział nawet, że istniała jakaś układanka! A teraz nagle zaczęło brakować w niej kawałków. Czy właśnie to nie dawało mu spokoju w całej tkaninie życia? Nie obchodziło go, że Larissa zgodziła się reżyserować sztukę. Jeśli wszystko się ułoży, nie ma sprawy. I naprawdę nie dbał o nową nawigację, choć oczywiście nie uważał, że to były dobrze wydane pieniądze. Ale jeśli chciała ją mieć, to powinna. Nie, nurtowało go coś innego, coś wydawało mu się nie tak. Czy to coś związanego z Larissą, coś z jej butami? Nie. Dżinsami? Nie. Umalowaną twarzą, wystylizowanymi włosami? Jej uśmiechem, szczegółami pośpiesznie przygotowanej kolacji, rysunkiem Michelangela, który leżał na podłodze przedpokoju, zamiast wisieć na lodówce? Coś było nie tak... jak żyletka w owocowej żelce.

Ale w poniedziałek wyniki finansowe drugiego kwartału w Prudential spadły o dwanaście procent i Jared spędził cały dzień, przeglądając budżety poszczególnych działów po tym, jak otrzymali polecenie, by obniżyć koszty właśnie o dwanaście procent. Wprowadzenie oszczędności wymagało jego bezpośredniego zaangażowania w rozpatrywanie dochodów, wydatków i wypłat dla pracowników i zaabsorbowało każdą komórkę jego mózgu. Zastanawianie się nad tajemnicą, jaką było jego skomplikowane, acz udane małżeństwo z Larissą, też wymagało strategii i planowania. Nie mógł się tym zająć, przez cały tydzień opracowywał projekty i programy mające obniżyć koszty operacyjne firmy obracającej miliardami dolarów. Analizowanie przepływu gotówki i wyszukiwanie przynoszących najniższe dochody inwestycji zajmowało mu cały czas i wszystkie jego zasoby myślowe. Minał tydzień.

Drugi tydzień przebiegał pod hasłem zabezpieczeń przed audytem. Wraz ze zbliżającym się terminem składania deklaracji podatkowych zostawał w pracy do siódmej i ósmej, by wcielić w życie plany, które miały sprawić, że audyt Departamentu Skarbu nie będzie przerażający, lecz mile widziany. Z zadowoleniem przyjmował przerzucenie środków firmy do innych operacji w New Jersey, które zamaskowały poważne obciążenia podatkowe. To było spore przedsięwzięcie. A nikt nie znał przepisów finansowych stanu New Jersey lepiej od Jareda. Firma była od niego uzależniona, a on jej nie zawiedzie. Kiedy zażegnano kryzys

w pracy - głównie dzięki niemu - i zapanowano nad kosztami, raz jeszcze spróbował odnaleźć robaka, który go dręczył, ale przekonał się, że ten zniknął. A w domu Larissa była taka jak dawniej - miła, uśmiechnięta, gotowała z zapałem, dzieci były ubrane, zadania odrobione, prace domowe, telewizja, wszystko szło gładko. To było tylko odchylenie od normy, powiedział sobie w duchu Jared, kiedy Larissa raz jeszcze przeprosiła go za to, że zapomniała mu powiedzieć o sztuce i o tej głupiej nawigacji. Był zdenerwowany z powodu innych rzeczy i wyżył się na niej. Pełen wyrzutów sumienia kupił jej na urodziny czwartego kwietnia wyjątkowo piękny naszyjnik z białego złota z jej imieniem z małych brylancików.

- Czy to oznacza, że musimy oddać samochód? - zapytała. - Bo ściśle rzecz ujmując, już dałeś mi prezent urodzinowy.

Trzy tygodnie później w piękny sobotni wieczór pod koniec kwietnia zawiózł ją jaguarem na nieco spóźnioną kolację urodzinową w Nowym Jorku. Spotkali się tam z Maggie, Ezrą, Evelyn, Malcolmem, Bo i Jonnym. Zarezerwowali okrągły stół na środku Union Square Café niczym rycerze króla Artura. Był to hałaśliwy wesoły wieczór i nie przypominałby spotkania starych przyjaciół, gdyby nie doszło do gorącej kłótni na jakiś temat. Tym razem chodziło o altruizm. Lecz zanim doszło do dyskusji, Ezra oznajmił, że Larissa rewelacyjnie sobie radzi z **Wiele hałasu o nic**. Jared raz jeszcze poczuł wyrzuty sumienia. On na nią wrzeszczał, a dzieci w domu i szkole ją uwielbiały. Zanotował sobie w pamięci, żeby być dla niej miłszym i dać jej trochę luzu. Jaka jest piękna w tym brylantowym naszyjniku, z młodą rozjaśnioną twarzą, kiedy śmieje się z jakiegoś głupstwa, które powiedział Ezra albo Malcolm, cytując Szekspira, z długimi lśniącościami włosami przypominającymi jedwab. Cała jest lśniąca i jedwabista. Z pewnością nie wyglądała na czterdzieści lat, gdy jej melodyjny miękki alt wyśpiewywał kontrapunkt dla melodii rozsądnego apodyktycznego tenoru Ezry.

- Naprawdę chcesz być altruistką? - pytał Ezra. - Nie wierzysz, że masz prawo do istnienia dla własnego dobra, dla samego tylko istnienia? Twoja własna egzystencja okaże się czegoś warta tylko wtedy, gdy staniesz się czymś niewolnikiem? Dlaczego wszystko sprowadza

się do samopoświęcenia? Nie jesteś zwierzęciem, Larisso, dlaczego zachowujesz się jak ofiara całopalna? I dlaczego podejrzewam, że jesteś tylko adwokatem diabła? Nie uśmiechaj się. Wiem, że mam rację. A co z tobą? Nie masz żadnych wewnętrznych wartości? Żadnych typowych dla ciebie?

Do dyskusji wtrącił się Malcolm. Uwielbiał się wtrącać. Nosił wasy, które podkrecał, a ten gest doskonale do tego pasował.

- Ezra - powiedział, kręcąc brązowym wąsem, co rozbawiło Larissę siedzącą po drugiej stronie stołu. - Opowiadasz bzdury.

- N i e !

- Poczekaj. - Malcolm odsunął rękę od twarzy, by gestem uspokoić rozemocjonowanego Ezrę. - Musisz pomagać innym ludziom. Żyjemy w społeczności, a ta z kolei sprawia, że tworzymy cywilizację.

- Och, daj spokój. Społeczność to tylko sposób, by ludzie mogli cię osądzać. Czy liczy się, czego innego dokonałeś? Mogłeś wymyślić radio. Koło. Facet, który spędza całe dni na obserwacji królików, myślisz, że robi to dla cywilizacji? Albo ten, który siedzi w ciemnym pokoju, rozpaczając za utraconym dzieckiem, i pisze gorzki traktat o przypadkowości początków życia, zmieniając bieg cywilizacji. Dlaczego nie kazali mu pracować w garkuchni? Człowiek myślał, że materia organiczna może wyrastać z nieorganicznych rzeczy! Czy go osądzamy? Cywilizacja zawsze posuwała się do przodu na plecach i dzięki potowi tych, którzy uznali, że ich wewnętrzne potrzeby dorównują wartością potrzebom społeczności. A nawet je przewyższają.

- Dlaczego nie można mieć obu? - wtrąciła Maggie.

- To odpowiedź typowa dla kobiety - odparł Ezra, patrząc czule na żonę.

- Dlaczego nie można mieć żadnej? - zapytała Larissa.

Ezra się roześmiał.

- To odpowiedź godna romantyzmu - odparł. - Taka jesteś?

- Kobieta może robić obie te rzeczy - nie ustępowała Maggie.

- Nie może! - wykrzyknął Ezra. - U zarania dziejów kobieta podjęła decyzję, że poświęcenie się dla większego dobra jest ważniejsze od jej własnych interesów. Wiesz, że to prawda, z powodów biologicznych,

socjologicznych. Dlatego kobiet nie można znaleźć nigdzie w pobliżu rozwoju cywilizacji. Kobiety bronią status quo. Gniazda. Potomstwa. Kobiety oddały się temu celowi.

- Jednak bez kobiet wszelkie życie przestałoby istnieć.

- Nie mówię, że nie macie swojej misji, Mary-Margaret - odparł z powagą Ezra.

- Kobiety dokonały wyboru, by zajmować się swoim potomstwem! - powiedziała Maggie. - Bo to służy najwyższemu dobru ludzkości. Żeby dranie takie jak ty mogły przez cały czas czytać idiotyczne książki i bawić się próbkami. - Maggie zaliczyła punkt u obu kobiet siedzących przy stole.

- Zgoda - powiedział z rozbawieniem Ezra. - To służy dobru ludzkości. Ale co z dobrem kobiet?

- Służy także ich dobru, Ezra - odezwała się Evelyn. - Rozmawiałyśmy o tym z Larissą przed kilkoma dniami, prawda?

- Zgadza się.

- Dla kobiet zbawieniem jest rodzenie dzieci - powiedziała z uśmiechem Evelyn, a Larissa skinęła głową.

- No właśnie - odparł Ezra. - Ale wiesz, dlaczego mogą zostać zbawione? Bo ktoś inny poluje i gromadzi. Ktoś musi wstawać rano, wlec się do pracy, użerać się z ludźmi, których nie lubi, robić bzdurne rzeczy, odpowiadać głupim szefom, wykonywać nudne telefony, chodzić na durne zebrania. Zgadza się, Jared?

- Wiem, że uwielbiasz szydzić z tego, co robię, profesorze - odparł Jared - ale kieruję finansami firmy, której globalne aktywa wynoszą czterysta osiemdziesiąt pięć miliardów dolarów.

Malcolm gwizdnął. Evelyn była pod wrażeniem. Maggie rzuciła mężowi spojrzenie mówiące: „Mam cię!”. Bo spojrzała ze złością na Jonny'ego, jakby chciała powiedzieć: „Dlaczego nie potrafisz znaleźć jakiejś cholernej pracy, nawet na zmywaku?”. Tylko Larissa bawiła się parasolką w kieliszku z sangrią i nie podniosła wzroku.

- Mamy trzydzieści pięć tysięcy pracowników - ciągnął Jared. - To mnóstwo mężczyzn i kobiet, którym płacę, żeby mogli polować i gromadzić dla swoich rodzin. Nie wspominam nawet o oferowanych przez

nas instrumentach finansowych, dzięki którym nauczyciel angielskiego taki jak ty może posłać Dylana do college'u. To musi być coś warte, nie sądzisz, Ezra?

- I jest - zgodził się. - Bo dzięki temu twoja żona jest w domu. Larissa piecze ciasta, które pięknie pachną i wybornie smakują. Zajmuje się twoim potomstwem, którego większość, jak zakładam, kochasz, bo nie wali w bębny o drugiej nad ranem. Larisso, powiedz nam, zajmowanie się rzeczami, które kochasz, jest harówką?

- Nie - odparła, starannie mieszając drinka.

- Ezra, przed chwilą argumentowałeś - zaczęła Maggie - że kobieta jest bardziej żalosnym stworzeniem od mężczyzny, bo żyje, by służyć innym. Jednak przeciwstawiasz jej mężczyznę, który również służy, tyle tylko, że służy tym, których nie kocha. Kto więc ma lepsze życie?

- Bez wątpienia kobieta - odparł Ezra i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Głosy i emocje się uspokoiły, Jared nalał wszystkim czerwone wino, muzyka nad głowami przeszła w delikatny reggae jazz. Jared spojrział na Larissę siedzącą po jego prawej stronie z uśmiechem zastygłym na porcelanowej twarzy, oczami zaszklonymi od... drinka? Nagle odezwała się zupełnie bez związku:

- „Możemy to zrobić na słonecznej podłodze... Turlać się, krzycząc z radości, upojeni winą naszego szaleństwa”.

Ezra i Malcolm spojrzeli na nią w osłupieniu, lecz Jonny wpadł w zachwyt, że Lar cytuje z pamięci Morrisona, bo miał bzika na punkcie muzyki i wiedział wszystko. Evelyn odpowiedziała cytatem z Chestertona, a potem z Waltera Percy'ego. Rozmawiali o smutku życia, może o pustce życia tylko dla siebie, a może o tym, czym jest bycie pracującym mężczyzną, pracującą kobietą, rodzicami... Nagle mały robak, którego Jared szukał, wypełznął ze swojego ukrycia po plecach Jima Morrisona, ciągnąc ze sobą nawigację, sztukę i związane z nimi sekrety. Jared znał Larissę od dwudziestu lat i nigdy dotąd nie cytowała Morrisona. Nigdy. A tego wieczoru, *voilà*, całe zdanie, niczym sprośny limeryk, prosto z ust Króla Jaszczura. Czy istniał jakiś związek między The Doors i Szekspirem? Nie mógł jednak zapytać, bo właściwa

chwila przeminęła. Kelner przyniósł tort, to przecież były jej urodziny - nie chciał wyjść na gburę. W samochodzie Larissa spała, bo za dużo wypita, a Jared prowadził z włączonym radiem i oczywiście co w nim usłyszała? „Z naszych starannie obmyślanych planów koniec, z wszystkiego, co ważne, koniec...”.

* * *

- Nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyś cytowała Morrisona - powiedział do niej w łóżku. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Czytam *Wonderland Avenue* - odparła, leżąc do niego plecami. - Wspomnienia Danny'ego Sugermana. Powinieneś przeczytać, to fascynująca książka.

- Nie czytam o Morrisonie. Nie jestem jego fanem. Nie ma za grosz umiaru.

- On? Nie.

- Wszystko jest takie piękne i liryczne - ciągnął Jared. - Pisze poezje, rymuje, łączy śmierć i biodra, Meksyk i burze. Co to oznacza? Że nie ma żadnej filozofii, na której mogłabyś powiesić swój meksykański kapelusz. Jest tylko utalentowanym ćpunem, pretensjonalnie powierzchownym.

- Wcale nie jest pretensjonalny... O czym ty mówisz?

- Kto przeczyta poezje Jima Morrisona i powie: „Stary, to gównie zmieniło bieg mojego życia?”. Nie ma w tym za grosz sensu. Pisze o niczym. Ale w przeciwieństwie do Seinfelda nie jest ani trochę zabawny.

Larissa milczała, nadal odwrócona tyłem do niego.

- A wiesz dlaczego? Bo tam nic nie ma. To puste słowa. A na koniec zostaje tylko podsycane narkotykami szaleństwo.

- Ja go lubię - odparła. - Dlaczego wszystko musi być głębokie? Dlaczego po prostu nie może być?

- Zgodę, ale co to znaczy?

- Dlaczego musi coś znaczyć?

- Jeśli nic nie znaczy, to po co to pisać?

- Po co robić cokolwiek?

- Dobre pytanie. Morrison sam powiedział, że chce tylko, żeby śmierć się od niego odpięprzyła. - Uśmiechnął się znacząco. - I jak na tym wyszedł?

Larissa nie znalazła odpowiedzi.

W poniedziałek rano Jared pogrążył się w funduszach, kontaktach emerytalnych, paskudnej sprawie związanej z rentą i prawie niewypłacalnym agentem handlu nieruchomości w Hoboken. Nie miał czasu myśleć o winie jej szaleństwa.

Nie chodziło o to, by przeczytał *Wonderland Avenue*. Jedynymi rzeczami, które czytał przez ostatnie osiem lat, były *Ogólnie przyjęte zasady księgowości*, doroczne raporty o firmach znajdujących się w pięćsetce magazynu „Fortune” i slajdy prezentacji do zabezpieczeń przed audytem. Uważnie analizując relacje pomiędzy regulacjami, atrybutami jakości i dywersyfikacją, Jared był pewny, że uda mu się odsunąć od siebie to okropne wydarzenie - audyt podatkowy: niemile widziane wtrącanie się osób trzecich do twoich prywatnych interesów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Szczęśliwa wina

Larissa stała przyciśnięta do twardej białej ściany z uniesionymi rękami chyba oplecionymi wokół jego szyi, a może rozłożonymi na ścianie, jak ona sama, dyszała, wyrzucając z siebie gorące powietrze w zdumieniu i zapamiętaniu. On jedną dłonią ujął jej twarz i całował ją, a drugą przesuwał po jej sukience, ramionach, biodrach; unióśł jej sukienkę, wsunął pod nią dłoń; Larissa nie wiedziała, czy wypuściła powietrze, bo zamknął jej usta swoimi, i straciła głowę, wszystko się zatraciło poza tą dłonią pod sukienką, jego dłonią przyciśniętą do jej ciała. Chciała podnieść ręce, lecz nie w geście poddania, może by powiedzieć: poczekaj, za szybko, nie dość szybko, powiedzieć: muszę już iść, nie, jeszcze nie, jak się odsunąć od jego ust? Nie mogła się odkleić od jego ust i rozłożonej dłoni pod zwiewną wiosenną sukienką, więc kiedy jęknęła, jęknęła prosto w jego usta, z trudem trzymając się na nogach, ściskając go mocno, gdy dyszał równie mocno jak ona. *Och, Larisso*, szepnął, dotykając jej; podtrzymywał ją swoim ciałem, by nie upadła, przyciskał do ściany z językiem w jej rozedrganych ustach, jego niestrudzone palce prowadziły ją do spełnienia tak nieoczekiwanego i intensywnego, że osunęła się na drewnianą podłogę. Uklęknał obok niej, gładząc ją kojąco po udzie, choć nie było dla niej ukojenia.

- O mój Boże, Larisso - szepnął. - Chodź do łóżka.

Kai, muszę iść, szepnęła bezgłośnie z oczami zamkniętymi ze wsty-

du i pożądanía. Nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Która godzina?

- Proszę. Tylko na chwilę.

Czas był niczym amortyzator - niepokój, że jej spóźnienie w szkole syna może wywołać w świecie alarm, który rozpaczliwie pragnęła wyłączyć. Amortyzator: urządzenie niwelujące drgania. Jego dłonie próbowały działać jak amortyzatory, naciskając na jej nogi. Lecz ona dalej była cała rozedrgana.

- Przecież nie chcesz iść - szepnęła, klęcząc na podłodze obok niej, z ustami przy jej szyi, na ramieniu.

Jest druga.

Spojrzał na zegarek.

- Druga piętnaście.

- Kai! - Podnosiła się z podłogi na miękkich kolanach, z roztopionymi wnętrzościami, nie patrzyła na niego, nie mogła, gdy próbowała się zebrać w sobie, wygładzić sukienkę, wziąć torebkę i kluczyki, które spadły na podłogę, szminkę.

- Szkoda, że musisz iść - powiedział.

Był czwartek.

- Wiem. - Przytrzymała się jego nagiego ramienia, którym w niezgłębiony sposób ją obejmował.

Przyciągnął ją znów do siebie i zamknął w uścisku.

- Co zrobimy? - jęknęła. - Nie mogę... Potrzebuję...

- Wiem. Ale muszę już iść. Proszę...

- Larisso... - szepnęła w blasku dnia, zabrzmiało to jak piosenka. Pocałował ją.

Bołące nerwy jak wykręcający się przewód pod napięciem, bołące wnętrze pełne ognia i tęsknoty, nieokiełznane oślepiające pragnienie, by zostać - jedynie taki drobiazg jak czekające dziecko mógł zmusić kobietę, by odsunęła się od mężczyzny, który tak ją rozpalał, z ustami, które budziły pożądanie, który całym ciałem błagał ją, by została.

- Jutro będę pracował w Chatham do południa przy układaniu kostki, ale będę w Jaguarze o drugiej.

- Ustalam obsadę w czasie lunchu.

- To zadzwonię, że jestem chory - powiedział, ściskając ją mocno dłońmi w talii. - Przyjedź rano. Przyjedź - szepnął. - Obiecujesz?

Zeszła po schodach, trzynaście drewnianych stopni w dół, wsiadła do jaguara i wycofała, starając się nie patrzeć na niego, gdy stał w otwartych drzwiach.

2

Taniec, który ulży sercom

Larissa wiedziała, że w filmach zaraz po takiej scenie nie ma nic. Zeszła po schodach, odjechała, a reżyser krzyknął: Cięcie!

Cięcie i co? Następnego dnia, następnego oddechu, dłonie na jej nagim ciele, leży na jego białym łóżku, cięcie i przejście na następne popołudnie. Ale to nie był film. To było jej życie. Nie można było przejść do następnej sceny.

Trzymając kierownicę obiema dłońmi, w obawie, że spowoduje wypadek, wyjątkowo ostrożnie przejechała pięć mil do szkoły syna i zaparkowała w chwili, gdy nauczyciele pierwszych klas wyprowadzali swoich podopiecznych. Zmierzwiała synowi włosy, przywitała się z trzema innymi matkami, w tym z Donną, i zmusiła się, by porozmawiać z nią dziesięć minut, choć jej opuchnięte usta nie pamiętały angielskiego, a jej uszy nie rozumiały ani jednego słowa wypowiedzanego przez Donnę. Jednak w głębi jej umysłu pojawiła się już myśl: Może mi być potrzebna. Pewnego dnia mogę się spóźnić, mogę jej potrzebować... Kiedy o tym myślała i zmuszała się do uśmiechu, kiwania głową, Michelangelo, który poważny stał obok niej, jedząc owoce, pociągnął ją za rękę i powiedział:

- Mamo, nie myśl, że nie zauważyłem. Dziś o mało co znów się nie spóźniłaś.

- Ależ skąd, synku. „Prawie” nie oznacza spóźnienia.

- Wiem. Ale prawie się spóźniłaś - powiedział nieporuszony i pełen dezaprobaty. - Ostatnio często prawie się spóźniasz.

Donna, sympatyczna, z twarzą bez makijażu, uśmiechnęła się znacząco, unosząc brwi, i rzuciła jakiś żart - w jej przekonaniu dowcipny - na temat możliwych powodów spóźnienia Larissy, która od razu zorientowała się, że nie będzie mogła wykorzystać Donny do opieki nad swoim zdecydowanie zbyt przemądrzałym synem. Nie zostali na placu zabaw, lecz wrócili do domu, gdzie mieli jeszcze godzinę do przyjazdu autobusu Emily. Larissa posadziła Michelangelo przed telewizorem w sypialni i niechętnie wzięła prysznic. Nie chciała tego robić, bo wiedziała, że prysznic zmyje zapach jej rozedrgania, a jednak musiała się wykapać.

Kiedy wyszła z łazienki, rozciągnięty na łożku Michelangelo zatrzymał film na Cartoon Network.

- Mamo, dlaczego kąpałaś się w środku dnia?

- Bo musiałam. - Taka była prawda.

- A le dlaczego? Co takiego robiłaś?

- Nic. Dużo się nabiegałam i spociałam. A co ty robiłeś? - Zaczęła wycierać włosy.

- Dziwne, mamo. Naprawdę dziwaczne. - Odwrócił się do telewizora i wcisnął „play”.

Larissa spojrzała na zegarek. Piętnaście po trzeciej. Co u licha ma teraz robić? Jak minie ten dzień? Nie potrafiła sobie wyobrazić, że w ciągu następnych sześćdziesięciu sekund nic się nie rozpadnie.

O trzeciej trzydzieści pięć wróciła Emily, zjadła garść winogron i jogurt, pobiegła na górę, przebrała się, zbiegła na dół, chwyciła wionlonczelę i powiedziała: „Idziemy”. Michelangelo niechętnie musiał pojechać z nimi. Był zachwycony, że mógł leżeć na łożku rodziców. Taka gratka nie trafiała mu się codziennie po szkole. Kiedy Larissa odwiozła Emily na próbę w stanowej szkole muzycznej New Jersey, poczekała na Ashera, który przyszedł na parking, powiedział, że biegnie dziś dziesięć mil, i poprosił, żeby przyjechała po niego punktualnie o piątej.

Gdy wrócili z Michelangelem do domu, zadzwoniła Maggie. Larissa rozmawiała z nią przez pięć sekund.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Maggie. - W ogóle mnie słuchasz?
- Przepraszam, Michelangelo mnie ciągnie. Muszę kończyć, Maggie, mamy zadanie do odrobienia.

Odłożyła słuchawkę.

- Hej, kolego - zawołała do salonu na dole. - Wyłącz telewizor, zajmujemy się ortografią.

O wpół do piątej pojechali odebrać Emily, a potem zabijali czas w samochodzie, słuchając muzyki równo do piątej, kiedy od strony boiska za szkołą przyszedł cały mokry i spocony Asher.

- Mamusia też się dziś spociła - powiedział Michelangelo, gdy brat wsiadł do samochodu. - Musiała wziąć prysznic.

- Dzięki, kolego, że opowiadasz wszystkim o moim dniu - powiedziała Larissa. Była pewna, że Jared też usłyszy o jej nieplanowanym prysznicu.

Kiedy dotarli do domu, było dwadzieścia po piątej i Larissa zaczęła przygotowywać na kolację stek z frytkami. Dwadzieścia po szóstej wrócił Jared.

- Pachniesz czystością - powiedział, gdy ją pocałował.

- To dlatego, że mama brała dziś prysznic. - Michelangelo rzucił się ojcu w ramiona.

- Na prawdę? - Jared przyglądał się jej speszony, wychylając się zza głowy syna.

- Chciałam być czysta i pachnąca dla ciebie, kochanie - odparła z błyskiem w oku, a Jared natychmiast postawił Michelangela na podłodze i wyprowadził go z kuchni.

- Chodź tutaj, niegrzeczna dziewczynko - powiedział, kiwając na nią palcem.

Jednak steki skwierczały na patelni i trzeba je było przewrócić, źle nastawione frytki zaczęły się przypalać, a brokuły nie chciały się gotować. Dzięki temu udało się uniknąć nieplanowanego seksu po nieplanowanym prysznicu.

Jedli, rozmawiając o biegach, wiolonczeli, teście z ortografii, hiszpańskich słówkach, znaczeniu prądu zmiennego, planach nowej galerii handlowej w odległym o zaledwie dwadzieścia mil Orange County,

możliwości zapisania się na zajęcia z teatru dla dorosłych w Drew. Kiedy Larissa spojrzała na zegarek, było piętnaście po siódmej i miała przed sobą jeszcze wieczór, noc i rano.

Zaproponowała, że posprząta po kolacji sama bez Jareda.

- Idź, przebierz się i usiądź wygodnie. Masz za sobą długi dzień. No idź.

Pocałował ją z wdzięcznością i zostawił samą z bałaganem w kuchni. Dzieci grały na instrumentach, odrabiały zadania, walczyły o prawo do oglądania telewizji, a w kuchennym radiu Steve Marley śpiewał: „Hej, baby, hej, baby...”. Zadzwoiła Bo, by zaprosić ich na kolację w sobotę wieczorem.

Kiedy Jared zszedł na dół, powiedział, że w sobotę wieczorem jest umówiony z klientami z Kalifornii i nie może iść do Bo.

- To okres rozliczeń podatkowych i przyjeżdżają ludzie z całego kraju. Przepraszam. Umów się z Bo na inny termin, dobrze? Nie, sam do niej zadzwonię. I tak muszę zaplanować twoje urodziny. Czy kolacja w mieście pod koniec kwietnia będzie w porządku? Wiesz, że teraz jestem zawałony robotą. Wszystko przez te podatki.

- Oczywiście, kochanie. Jak będzie najlepiej dla ciebie. Pójdziemy na kolację, gdy nie będziesz taki zajęty.

Wyszedł z kuchni, by potwierdzić z Bo plany urodzinowe w Union Square Café, a kiedy wrócił, spojrzął zdumiony na blat.

- Lar, umyłaś... wszystkie naczynia po kolacji?

Nawet nie zauważyła. Zamiast je spłukać i wstawić do zmywarki, umyła je wszystkie ręcznie i wytarła.

- Ogarnęła mnie nostalgia za dawnymi czasami - wyjaśniła z lekkim uśmiechem. - W Hoboken. Kiedy nie mieliśmy zmywarki. To w sumie było miłe. Odprężające.

- Nagle jest miłe i odprężające. A wtedy nazywałaś to piekłem.

- Co mogłam wtedy wiedzieć o niebie i piekle, Jared? - odparła, rozglądając się za czymś, w co mogłaby wytrzeć ręce.

- Mówiłem ci, że mama jest dziwna - powiedział Michelangelo, wieszając się na ojcu. - Chodź, chcę ci pokazać nowy cios karate.

Jared odparł, że nie może się doczekać, i wyszli.

Larissa skończyła czyścić blaty i zrobiła listę zakupów na jutro. Kiedy skończyła wszystkie prace, spojrzała na zegarek. Minuta po ósmej!

Powoli minęła kolejna pełna udręki godzina, w czasie której zrobiła Michelangelowi kąpiel z fioletowymi bąbelkami. Jakimś cudem o wpół do dziesiątej dzieci były w swoich pokojach, mały spał, starsze czytały. Larissa zaparzyła sobie filiżankę herbaty, powoli przeszła z kuchni do salonu i przysiadła na oparciu kanapy. Kiedy ten dzień wreszcie się skończy? Kiedy zacznie się następny?

Jared wyszedł ze swojego gabinetu.

- Przepraszam, mam tyle pracy.
- W porządku, kochanie. Wiem, że to okres podatkowy.
- Chcesz coś robić?

Usiedli na kanapie. Światła były przygaszone w całym domu, żaluzje zaciągnięte. Riot gryzła coś, co Larissa miała nadzieję było jej zabawką, a nie jej skórzanym sandałkiem. Oglądali *Mexican*. Larissa nie zarejestrowała ani jednej klatki filmu. Jared zasnął po dwudziestu minutach. Nie budziła go, lecz przykryła i kiedy spał, siedziała obok, wpatrując się w ekran telewizora, oczami duszy raz po raz oglądając siebie przygwożdżoną do ściany, a potem osuwającą się na drewnianą podłogę.

Piętnaście po jedenastej.

Jedenasta trzydzieści dwie.

Dziewięć po dwunastej.

Kai zapomniał portfela. Larissa musiała zapłacić za sushi, ale oczywiście nie miała nic przeciwko temu. Kiedy skończyli jeść, zapytał, czy mogłaby go podrzucić, żeby wziął portfel i motor.

Jasne. Nie ma problemu. Żadnego.

Skręt z Main w Cross, potem w lewo w Kings, w prawo w ulicę o nazwie Samson, a potem w ułożoną w kształt kwadratu drogę o nazwie Albright Circle, jedną z najstarszych ulic w okolicy, która otaczała domy mieszkalne i znajdowała się o przecznicy od torów kolejowych biegnących przez Madison. Poprosił, żeby zatrzymała się na podjeździe wielkości podwórka na tyłach starego dwupiętrowego domu z desek po-

malowanych na żółto. Podjazd przypominał parking; wysypany żwirem mógł pomieścić wesele mafijnej rodziny. Stał na nim garaż, w którym - jak się domyśliła - Kai trzymał motocykl. Miała rację: otworzył drzwi i wyprowadził ducati. Na trawie obok zauważyła dwa samochody stojące na ceglanych i ciężarówkę ze spaloną kabiną.

- Syn gospodyni chyba coś z nimi robi - wyjaśnił Kai. Z kaskiem w dłoni opuścił podpórkę. - Albo je naprawia i sprzedaje, albo to on je niszczy. Do dziś tego nie odkryłem.

- Poznałeś go?

- O, tak. - Uśmiechnął się szeroko. - Mówię ci, obie możliwości wchodzi w grę. - Skierował się w stronę żółtego domu i długich pomalowanych na biało schodów prowadzących na werandę.

- Miło tu - powiedziała, idąc powoli za nim po żwirowanym podejździe. - Cicho. - Kai miał dziś na sobie jasne dżinsy, czarną koszulę i ciemnoszarą sportową kurtkę. Szedł długimi pewnymi krokami, lecz czasami podskakiwał jak nastolatek.

- Tak, cicho, tyle tylko, że co dwanaście minut cały dom drży, gdy przejeżdża pociąg i gwizdże. Co dwanaście minut. Wystarczy, żeby doprowadzić do szału. - Podrzucił kask i złapał go jak piłkę do koszykówki. - Wejdz na chwilę. Mieszkam na samej górze. Masz ochotę na szklankę wody?

- Jasne.

Weszli po schodach.

- Ale podoba mi się tu - powiedział. - Starsza pani zostawia mnie w spokoju, mieszka od frontu. Na dole mieszkał drugi lokator, ale się wyprowadził; może to był jej syn, więc albo się wyprowadził, albo... - Kai spojrzał na nią, unosząc brwi - ...go zabrali.

- Powinieneś być pisarzem. Ponoś cię wyobraźnia.

- Prawda? - Dotarli na werandę. - W każdym razie pozwala mi grać i zbytnio nie narzeka. Może dlatego że jest głucha. Za każdym razem kiedy coś do niej mówię, odpowiada: „Tak, słonko”. „Zapłacę czynsz tygodnie później, proszę pani. Tak, słonko”. „Odprawię czarną mszę na podwórku. Tak, słonko”.

Roześmiała się.

Otworzył drzwi.

- Wejdz - powiedział. - Mam nadzieję, że jest posprzątane.

Weszła za nim ostrożnie.

- Piękny dziś dzień - powiedział, biorąc portfel ze stolika w przedpokoju. - Chcesz się przejechać? - Uśmiechnął się. - Zabiorę cię do Glenside. No, co ty na to? Na piętnaście minut. Znajdę drugi kask. Mam w szafie zapasowy.

- Na zapasową głowę? - mruknęła. - Nie kłam. Jeśli zgubisz swój kask, to moim zdaniem raczej nie będziesz szukał zapasowego w szafie, bo go nie znajdziesz.

Roześmiał się i przeszedł przez pokój do lodówki.

- To znaczy tak czy nie?

Stała w otwartych drzwiach w niewielkim przedpokoju prowadzącym do dużego jasnego pokoju na ostatnim piętrze. Wyglądał na przerobiony strych z łamanym sufitem i pobielonymi belkami dachowymi. Opierając dłoń na klamce, widziała trzy ściany studia, czwarta była ukryta przed jej wzrokiem. Nie miał zbyt wiele mebli, ale książki leżały w równych stosach wokół jednej pełnej po brzegi biblioteczki. Naprzeciwko telewizora obok okna i lodówki stała miękka kanapa, a przed nią niewielki okrągły stolik. Wyobraziła sobie, jak je rano płatki, wyglądając przez okno. Oparte o kanapę stały dwie niebieskie gitary: elektryczna i akustyczna. Obok nich leżały dwa ukulele, a przy ścianie stały dwa wzmacniacze. Zobaczyła też wieżę, ale nigdzie nie było komputera.

Na łóżku leżała biała pościel, szara narzuta, dwie poduszki i jedna duża kwadratowa pozwalająca oprzeć się o ścianę, gdy Kai chciał poczytać, bo łóżko nie miało zagłówek. Obok stała nocna szafka, a na niej lampka i cztery książki i jeszcze jedno ukulele oparte o łóżko. Podłoga ze zwykłych desek była czysta, a przy stoliku leżał mały dywanik. W pokoju znajdowały się cztery wysokie okna: dwa po obu stronach łóżka i dwa obok części kuchennej. Wnętrze było zalane słońcem. Na białych ścianach przy telewizorze wisiały dwa plakaty z Jimem Morrisonem.

- I co z tą przejażdżką? - Stał przed nią ze szklanką wody.

Musiała się zmusić, by puścić klamkę. Biorąc szklankę, wskazała na zwiewną sukienkę.

- N i e wydaje mi się, żeby przejażdżka na motocyklu była dziś odpowiednia.

Spojrzał na brzeg sukienki, na jej nogi. Nadal stał bardzo blisko.

- Dlaczego tak sądzisz? Kobieta w sukience wygląda na motocyklu idealnie. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Może z męskiej perspektywy.

- No właśnie. Ujmujesz sukienkę - powoli opuścił rękę i zebrał materiał - potem trochę podnosisz i... zawijasz... - Knykcie jego dłoni otarły się o jej nagie udo. Podniósł rozszerzone oczy na jej usta. - Wsuwasz ją... między nogi - powiedział bardzo powoli. Szklanka z wodą w jej dłoni zadrżała. Wyjął ją z jej ręki i odstawił. Nadal stali przy otwartych drzwiach! Odciągnął ją, zatrzasnął drzwi, wciąż ściskając w dłoni brzeg sukienki, a wolną ręką otoczył jej plecy.

- O mój Boże - szepnęła tuż przed tym, jak ją pocałował.

O mój Boże, jęknęła teraz, leżąc przykryta w łóżku. Dzień wszystkich się skończył, lecz jej nie. Jared obudził się już dawno, wszedł na górę i rzucił się na łóżko.

Dwunasta trzydzieści.

Trzymała w dłoniach tekst *Wiele hałasu o nic*, udając, że rozumie, co czyta.

BEATRYKS: „Tak, kocham cię całym sercem, że mi nie zostało serca do wyznania”.

BENEDYK: „Każ mi, żebym co zrobił dla twojej miłości”.

Próbowała czytać. Skupić się. W domu panowała cisza. Jared chrapał. Larissa nawet wymawiała bezgłośnie słowa, by lepiej się skoncentrować.

Jak to się stało? W jednej chwili siedziała w samochodzie, w następnej parkowała przed schodami prowadzącymi na werandę przed jego mieszkaniem, a jeszcze w następnej stała przyciśnięta do ściany w jego studiu, z dłońmi rozpląszczonymi na ścianie, jakby chciała powstrzymać egzekucję. Zasłoń mi oczy. Zasłoń mi oczy. Odwróć mnie. Stań za mną, żebym nie widziała. Przyciśnij mi twarz do ściany i przytrzymaj za nadgarstki, zanim mnie pocałujesz, zanim mnie zabijesz.

Minuta po pierwszej.

Co teraz zrobi?

Jak zaśnie, by noc minęła szybciej?

Cztery po drugiej.

Piekły ją oczy. Dwadzieścia minut wcześniej zgasiła światło, myśląc, że chce jej się spać, ale leżała bezsennie w ciemności, co było dużo gorsze niż siedzieć i udawać, że czyta. Zerwała się i zapaliła światło. Zacisnęła dłonie na książce.

Szesnaście po trzeciej. Niemal nieprzytomna, uświadomiła sobie, że przez całe popołudnie, wieczór, bezsenłą noc nie dopuściła do siebie myśli i nie pozwoliła, by ta myśl zaciemniła jej osąd sytuacji: Co ja teraz zrobię?

W jej umyśle nie pojawił się nawet cień tego pytania. Nie doznała olśnienia, nie stała na parapecie i nie patrzyła w dół, nie zastanawiała się, nie roztrząsała, nie chwyciła się nadziei, że coś ją ocali. Zostało tylko powolne odliczanie bezlitosnych minut do chwili, gdy znów będzie mogła go zobaczyć. Nie chciała, by coś ją ocaliło. Nie mogła się już cofnąć, na to było za późno. Nie mogła pozwolić, by tak ją całowano, dotykano, a potem potraktować płonące serce chłodnym dotykiem rozsądku. Płonęła w środku i na zewnątrz i żadne wiadro lodowatej logiki nie było w stanie ugasić tego pożaru, nie mogło zwyciężyć z nią w walce, nie o to, by ją ocalić, lecz zniszczyć. Pragnęła tylko jednej rzeczy i każda synapsa jej ciała domagała się tylko jednego. Nie istniało dobro ani zło, tylko pożądanie, środek i cel, początek i koniec, jego własna kara, jego własna nagroda, jego własny rozsądek i uzasadnienie. Jego własne wszystko.

* * *

Trzydzieści po szóstej zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki.

- Za wcześniej - jęknął Jared.

- Nie, już czas. Zawsze się spóźniamy. Chcę ze wszystkim zdążyć. - Szybko umyła zęby, w przyspieszonym tempie ubrała się, wyszczotkowała włosy, zaparzyła kawę, przygotowała miseczki na płatki,

wypuściła Riot, ustawiła plecaki przy drzwiach razem z neseserem Jareda. Nie chciała, by cokolwiek ją zatrzymało. O siódmej obudziła dzieci.

Jared wyszedł o wpół do ósmej, dziękując jej za kawę.

- Bardzo proszę, kochanie, do usług - odparła, jakby stała za ladą, i obdarzyła go uśmiechem rodem ze Starbucksa. - Miłego dnia.

Spojrzał na nią zmieszany z kubkiem termicznym w dłoni.

- Wzajemnie. Miłej pracy nad sztuką.

- „Dobrze, dobrze, a teraz jesteśmy przyjaciółmi” - rzuciła do niego zza wyspy, cytując Benedyka. - „Teraz, przed ślubem, do tańca, abyśmy ulżyli naszym sercom”.

- Zwykle „do zobaczenia” wystarczy - powiedział Jared, wychodząc z kuchni. - Ale ciekawe, że ominęłaś słowa, które kończą tę linijkę, mówiące, w czym jeszcze powinien ulżyć małżeński taniec.

- Bądź zdrów! - zawołała za nim. - „Do tańca, abyśmy ulżyli naszym sercom i żon naszych piętom”.

- Tak lepiej - krzyknął, zanim zatrzęsły się drzwi.

Asher jechał do szkoły autobusem, lecz Emily trzeba było zawieźć na próbę orkiestry. Larissa zapakowała Michelangela wcześniej niż zwykle, podwiozła Emily, podwiozła syna dziesięć minut przed dzwonkiem („Mamo, nigdy nie widziałem szkoły tak wcześnie! Dobra robota”) i dziesięć po ósmej była z powrotem w domu.

Z bijącym sercem zastanawiała się, co na siebie włożyć, co zrobić ze swoim ciałem, jakimi perfumami się skropić, w końcu zdecydowała się na ten sam lekko piżmowy zapach co wczoraj, Moon Sparkle Escady. Prawie wyszła z domu bez bielizny. Nie zapomniała. Celowo. Prawie. Ale to było zbyt bezwstydne. A jeśli dojdzie do wypadku? Jak wytłumaczy lekarzom w izbie przyjęć i Jaredowi, który przyjedzie, by trwać przy jej boku, że nie włożyła bielizny, by pojechać do supermarketu?

Powiedział jej, żeby przyjechała rano. Co dla niego oznaczało rano? Jedenasta? Wpół do dwunastej? Piętnaście po dziesiątej?

Przypomniała sobie, niemal za późno, choć siedziała długo w noc i studiowała Szekspira, że ma dziś przesłuchania. Przeklinała przez dziesięć minut, rzucając się po domu, próbując znaleźć jakieś wyjście.

Jeśli zadzwoni i powie, że nie może przyjść, Ezra wypapla o tym Maggie, która na pewno wspomni o tym w czasie weekendu podczas luźnej rozmowy. Poinformuje Jareda, że nasza kochana Larissa była zbyt zajęta o dziesiątej rano, by przyjechać i zorganizować przesłuchania dla setki dzieciaków. Mogłaby powiedzieć, że pojechała na zakupy; dzieciom były potrzebne ubrania. Co było zresztą zgodne z prawdą: nie miały szortów, sandałów. Ale to z kolei zrodziłoby pytanie, dlaczego po zakupach nadal ich nie mają.

Nie miała wyjścia, pojechała do Pingry. Dwadzieścia po dziewiątej stała na scenie, pocieszając się, że Kai prawdopodobnie śpi i nie należy budzić śpiącego mężczyzny. Był nocnym markiem? A może skowronkiem? Czy kamieniarze wcześniej wstają? Spóźnienie miało też swoje zalety; po co ma wiedzieć, że chciała do niego pędzić jak nakręcona uczennica na pierwszej potańcówce.

Oczywiście w sali teatralnej dwadzieścia po dziewiątej nie było nikogo. Przesłuchania miały się rozpocząć dopiero o dziesiątej podczas przerwy w zajęciach.

Wyjęła książki, ustawiła szklanki z wodą, mały stolik i krzesło na scenie, sprawdziła godzinę: dwadzieścia sześć po dziewiątej (!!!), a potem, by zająć czymś niespokojne ręce, zaczęła malować tło do miłosnych zmagania Claudia i Hery.

Przebrała się w stary szary kombinezon, który znalazła na zapleczu, otworzyła i zamieszała farbę, wyjęła pędzle. Miała nadzieję, że jak zawsze zagubi się w kolorach, że prawa półkula mózgu pospieszy jej na ratunek, pożyteczna jak hipnoza. Jednak nie dzisiaj. Dziś nie znalazła ulgi dzięki płaszczyźnie o wymiarach cztery na pięć metrów, która powoli stawała się złotobrazowa i czerwona.

Trzydzieści po dziesiątej przebrała się w kwiecistą spódnicę i zwiewną bluzkę, przesunęła szminką po wargach, łatwiej powiedzieć niż zrobić, gdy wargi drżą, i wróciła do sali teatralnej, gdzie czekali na nią Leroy i Sheila razem z dziesiątką uczniów gotowych czytać tekst.

Z kamienną twarzą siedziała na krześle obok Leroya i za każdym razem, gdy pytał, jak jej się podoba ta czy tamta osoba, odpowiadała, że nie jest zła, i udawała, że robi notatki, a tak naprawdę pisała raz po

raz imię kandydata bądź kandydatki. Angela, Angela, Angela, Alison, Alison, Alison. Która godzina? O Boże, dwie po jedenastej. Wendy, Ginger, Kate, Josh i Michael. Josh Josh Michael Michael. A teraz? Piętnaście po jedenastej. Musiała iść. Zaraz. Zerwała się z krzesła.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Leroy. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Wiem. Mam coś pilnego do załatwienia. Możecie skończyć beze mnie? Ty i Sheila.

- Z przyjemnością - odparł. - Ale jeśli ich nie przesłuchasz, jak skompletujesz obsadę?

- Wrócimy do najlepszych. Róbcie notatki, poproście, żeby wrócili w poniedziałek. - Przypomniała sobie, że Kai w poniedziałek ma wolne. - Może we wtorek, dobrze? Wtorek o dziesiątej. To da nam czas, żeby przesłuchać wszystkich, którzy chcą spróbować swoich sił. Mamy do obsadzenia dwadzieścia ról - powiedziała do Leroya, biorąc torebkę - więc bądźcie czujni. Sheila, ostatnia linijka w akcie piątym w scenie pierwszej brzmi: „Skąd jej znajomość z takim rozpustnikiem?”. W tym kontekście rozpustnik to człowiek bezwartościowy, a nie to, co będą ci sugerować dzieci. Nie pozwól im szydzić i zmieniać znaczenia, dobrze? Musisz być stanowcza. Bo będą tobą poniewierać.

- Wiem.

- Wiem, że wiesz, ale niecałe pięć minut temu Michael źle to zaakcentował, a ty go nie poprawiłaś ani nie kazałaś mu tego przeczytać jak należy. O to właśnie mi chodzi. Musicie zwracać uwagę na takie rzeczy.

Sheila zarumieniła się i zmieszała.

- Nie zdawałam sobie sprawy...

- Wiem. Ale od teraz bądź czujna. To jest Szekspir, nie MTV. Ty też, Leroy. Pomóż Sheili. Gdzie jest David? Może sprawdzać tekst, żeby nam pomóc.

- Jest dziś chory.

- Ach tak. No to może jutro. Do zobaczenia.

Wybiegła w blask słońca i jedenaście minut później przejechała przez tory kolejowe, koła jaguara zachrząściły na żwirowanym podjeździe, wbiegła na schody i pięścią zastukała w jego białe drzwi. Zanim jej knykie dotknęły ich drugi raz, drzwi otworzyły się i stanął w nich

uśmiechnięty Kai. Był ubrany w luźne dzinsy bez paska i wyblakły niebieski podkoszulek na ramiączkach. Był niesamowicie chudy, w sposób typowy dla młodych ciał, które są w nieustannym ruchu. Tylko ramiona miał mocno umięśnione. Jego zaczesane do tyłu włosy były jeszcze wilgotne. Był taki promieniejący, nie do odparcia, taki nowy.

- Gdzie byłaś? - zapytał, przyciągając ją do siebie za nadgarstek i zamykając za nią drzwi.

- Powiedziałeś rano. - Upuściła torebkę. - Nie określiłeś godziny. Nie chciałam cię budzić. - Dlaczego była taka opanowana?

- Nie miałaś szans - odparł z uśmiechem. - Czekam na ciebie od wpół do dziewiątej.

- Tak wcześnie?

- Zadzwoniłem do szkoły podstawowej Lincoln i dowiedziałem się, że lekcje zaczynają się pięć po ósmej. Zaparzyłem nam kawy. - Pokazał na kuchenkę. - Pewnie już się przypaliła.

Milczała, stojąc niezgrabnie.

- Mam zaparzyć świeżą?

Jedno z okien przy łóżku było uchylone i wiatr kołysał firankami. Jak długo może tak stać, w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, unikając jego wzroku?

- Jeśli chcesz - odparła.

Ujął jej dłonie w swoje.

- Wiesz, czego chcę? Ciebie - szepnął, przyciągając ją do siebie.

Nogi ugięły się pod nią, gdy ją pocałował.

- Pięknie pachniesz - szepnął. - Co to jest? Niesamowity zapach....

Chciała mu powiedzieć, ale zapomniała. Nazwa perfum wyleciała jej z głowy.

On już oddychał ciężko, stracił opanowanie, mocował się z guzikami jej bluzki, zamkiem od spódnicy. Chciała mu powiedzieć, żeby nie zawracał sobie nim głowy, po prostu uniósł spódnicę. Zrzuciła buty i kiedy całowali się na stojąco spleceni ramionami, próbowała go chłonać przez dzinsy, przez niebieski podkoszulek, który w końcu zrzucił, bez tchu patrząc na jej rozpiętą bluzkę, przezroczysty biały stanik i twardniejące sutki.

- O Boże - powiedział, przyciągając ją do siebie. Zdjął jej bluzkę i odszukał zapięcie stanika. - Larisso, pragnę... - urwał, by się opanować. - Pragnę poczuć twoje nagie sutki na mojej piersi, ale nie mogę. Tego właśnie pragnę, ale nie mogę tego mieć. - Zostawił ją w staniku, w rozpiętej, lecz nie opuszczonej spódnicy. - Przepraszam - powiedział, ciągnąc ją w stronę łóżka. - Nie mogę nawet otworzyć oczu. Nie mogę patrzeć na ciebie naga. Nawet nie potrafię sobie ciebie nagiej wyobrazić, dobrze?

- Dobrze - jęknęła, patrząc, jak rozpina levisy. Siedziała przed nim na łóżku i już miała mu zsunąć spodnie i bokserki, kiedy odsunął jej ręce.

- Nie, nie - zaprotestował. - Nie żartuję. Nie możesz mnie dotknąć. - Ciałem popchnął ją na łóżko i wspiął się na nią.

- Nie mogę cię dotknąć, ty też nie możesz mnie dotknąć, nie możesz mnie rozebrać.

Objęła ramionami jego nagie plecy.

- Co więc możemy zrobić? - Jego podniecenie było tak wyraźne, tak jawne, że jęknęła, wypowiadając te zwykłe słowa.

Ocierał się o nią w pożądaniu i bezwstydzie, chciała leżeć pod jego ciężarem w pożądaniu i bezwstydzie; kiedy dyszeli, znikwały wspomnienia, nieszczęścia i małżeństwo, była pijana nieokiełznaną młodością, nie tonęła, lecz znikwała pod wodą, chwytając powietrze.

Kai nie mógł wydusić ani słowa.

- W porządku - szepnęła, delikatnie głaszcząc go po ramionach, po plecach, otwierając usta pod dotykiem jego rozgrzanych warg. - Jest w porządku.

- Nie jest - powiedział. Lekko rozpiął dżinsy, wreszcie bez pytania zadarł jej spódnice; nie zdjął jej bielizny, tylko odsunął na bok i odychając płytko prosto w jej usta z zamkniętymi oczami, odnalazł ją, wbił się i zanim zdążyła chwycić go za plecy i wciągnąć powietrze... skończyło się.

- Mówiłem ci - szepnął po kilku chwilach zdyszanej ciszy. Patrzył na nią z bliska ze skruszonym, lecz zadowolonym uśmiechem. - Tak się cieszę, że tu jesteś - powiedział i pocałował ją. - Bałem się, że bę-

dziesz miała straszliwe wątpliwości, a ja przez resztę życia będę chodził z sinymi jajami.

- To raczej mało prawdopodobne - odparła cicho.

- Że ty nie przyjdiesz? Czy moje sine jaja?

Roześmiała się. W jego mieszkaniu było jasno, nawet przy zaciągniętych żaluzjach. Nie można się było nigdzie ukryć. Światło wpadało do środka przez szczeliny.

Kai był opalony w sposób, w jaki są opaleni ludzie stale żyjący na słońcu - jego skóra zmieniła kolor, nie była już biała. Jego tors nie był owłosiony, wyglądał, jakby dopiero zapuszczał tam włoski. Przesunęła długimi palcami z pomalowanymi paznokciami od piersi po płaski brzuch.

Przerwa trwała pięć minut? Dziesięć? Miał dość czasu, by przynieść jej szklankę letniej wody i wrzucić do niej kilka kostek lodu. Rozebrał ją i zostawił nagą na łóżku.

- Boże, wiedziałem, że będziesz piękna - szepnął. - Wiedziałem to od chwili, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz.

- Naprawdę?

- Tak. - Uśmiechnął się i przesunął palcami po jej udach. - Pod tą wielką kurtką, luźnymi swetrami, ukryta pod tą maską rozsądku, którą przybierasz, jakbyś nie chciała sobie zwracać głowy światem, wiedziałem, że tam kryje się słodcy i gorąca kobieta.

Usiadł na niej okrakiem i ssał jej sutki, całował ją, mówił, jak bardzo mu przykro, że ma tylko jedno usta i nie może całować jej całej naraz. Odparła, że też jest jej przykro, bo na pewno by się jej to spodobało.

A on wybuchnął śmiechem.

Próbowała ukryć swój zachwyt. Wygięła plecy w łuk i rozchyliła nogi.

- Chodź tutaj, Kai - powiedziała, rozkładając ramiona. - Chodź do mnie.

Wspiął się na nią, podpierając się na muskularnych rękach.

- Nie wiem, od czego zacząć, żeby ci sprawić przyjemność, żebyś była szczęśliwa - szepnął. - Jestem śmieszny.

- Nie. Jesteś w porządku. Ale ja potrzebuję jednej rzeczy. - Ujęła go

w dłoń, bezskutecznie próbując nie jęknąć, bezskutecznie próbowała nie dyszeć, bezskutecznie próbowała nie pokazać mu, jak bardzo ją podnieca, gdy trzyma go w dłoni. Z twarzą tuż przy jej twarzy szukał w niej znaczenia.

Co? Co?, powtarzał. Lubisz mnie dotykać? Dlaczego? Powiedz mi dlaczego.

Teraz ona nie mogła wydusić słowa. Nie była przygotowana na taki atak, na wszędobylskie dłonie, na usta szukające jej ust, język liżący jej piersi, *zaczekaj, zaczekaj*, powtarzała, próbując go przytrzymać, pieścić, utrzymać go jeszcze przez chwilę w zaskoczonych czułych dłoniach, *poczekaj, poczekaj*, a on pytał, *na co?*, wchodząc w nią głębiej i głębiej.

O Boże, naprawdę, poczekaj.

Na co, Larisso?

Nie była przygotowana na potężny blask jego niepowstrzymanej młodości, jak blask reflektorów, i wstydziła się, że jęczy tak nieoponowanie. Kiedy zaczęła szczytować, błagała go, żeby przestał, lecz nie słuchał i szczytowała raz po raz.

Już więcej nie mogę, powtarzała.

Jasne, że możesz, odpowiadał.

Już nie mogę, szeptała, leżąc pod nim na łóżku. *Naprawdę nie mogę* - na plecach, na brzuchu, na czworakach, rozciągnięta, z odrzuconym kocem, tylko prześcieradło na materacu przy ścianie, ramiona wyciągnięte nad głową, szukające oparcia. Nie było nawet zagłówek, którego mogłaby się desperacko chwycić. Bardzo się starała nie wydawać z siebie głośnych dźwięków, okna były uchylone, ale chciała krzyżeć, nie mogę uwierzyć, co się dzieje, nie mogę uwierzyć, że to jest takie fantastyczne, cudowne.

Już dość, dość, błagała cicho. *Kai, przestań, proszę, już dość...*

Jeszcze, jeszcze, błagała. *Kai, nie przestawaj, proszę, jeszcze.*

Była cała mokra, on też ociekał potem w wielkim spektaklu ogromnego wysiłku.

Pomóż mi, proszę, o Boże, pomóż mi. Kiedy dojdziesz?

Chcesz, żebym doszedł?

Jeśli tego szybko nie zrobisz, nie będę mogła stąd wyjść.

Larissa, szepnął, a ona szczytowała, zanim dokończył pytanie, *na prawdę chcesz stąd wyjść?*

Zawsze był piękny, lecz nagi zapierał dech w piersiach. Larissa nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś ujrzy nagiego dwudziestolatka z erekcją. To była wielka przyjemność i przywilej. Nie było w nim nic miękkiego z wyjątkiem ust. Był smukły jak trzcina, ramiona, które dźwigały kamienie, były silne na muskularnym ciele, nie na ciele osiłka z siłowni. To ciało, które zarabiało na życie na świeżym powietrzu w gorącym pyle, mieszając zaprawę. Nie miał niczego za dużo, z wyjątkiem młodości. Był przepięknym mężczyzną.

Jego młodość stała się nią. Jakże mogło być inaczej, gdy miała przed sobą ogromny ogień pazernego chłopca, który natychmiast osiągał erekcję, wystarczyło nacisnąć guzik i *voilà*, maksymalna objętość w ciągu kilku sekund? Nie było startu, po prostu unosił się jak rakieta. Larissa od dawna nie żyła w takim dorastającym płomieniu. Osiemnaście lat po ślubie, a wcześniej młoda i nieostrożna, paradowała ze swoją nowo odnaną seksualną wolnością po kampusie - to nie było to samo co zakochanie, prawda?

Nie było.

Nic nie było takie jak to.

Była zakochana w Jaredzie, choć w geograficznym pejzażu jej serca tamta miłość wydawała się tak odległą jak Nowe Hebrydy od Summit. Nowe Hebrydy? No właśnie. Jak wyspa w Mikronezji.

- Nic nie może być tak cholernie dobre.

Nie mogła uwierzyć, że to ona wypowiedziała te słowa.

Płakała.

Nie płacz. Szczytuj. Ale nie płacz.

Dlaczego nie mogę robić jednego i drugiego, Kai?

Smakował miętową gumą do żucia, czarną kawą, pomyślała przełotnie o papierosach. Czym smakowała ona? Czy on jej to powie? Nie mogła teraz zadawać żadnych pytań; była pogrążona w momencie odpowiedzi.

Bała się, że kiedy to się skończy - i się skończyło - przygnębia ją

wspomnienia. Ale tak się nie stało. Przesuwała palcami po jego wilgotnym brzuchu. Nisko po lewej stronie miał długą bliznę. *Skąd ją masz?*

To? No cóż... brałem udział w diabelskim wyścigu. Spadłem z motoru.

Diabelskim wyścigu?

Tak. Jedzie się na motocyklu w ciemności z wyłączonymi światłami. Wpadłem na wulkaniczne zbocze.

Byłeś ranny?

Tak. Poważnie. Mówił ciszej. Była ze mną dziewczyna. Ona też została ranna.

Teraz jest z nią dobrze?

Cisza. Zależy, jak zdefiniujesz dobrze.

Jest z nią dobrze według każdej definicji?

Odpowiedź chyba brzmi: nie. Ale wyszła z wypadku żywa. A to już chyba coś.

Wyczuła, że nie chce o tym mówić. Pochyliła się i dotknęła ustami jego brzucha, blizny.

Po ponad dwóch godzinach wielkiej gali, kiedy czas przechodził w wieczność i wydawało się to takie absurdalne i poniżające, musiała iść. Czowała jego dłonie na udach, miękkie wargi na nagim brzuchu, zostawiła swoje dłonie na jego plecach, uklękła na łóżku. *Nie odchodź, szepnął, ja jeszcze...*

Chcesz powiedzieć, że jest jeszcze coś, czego nie zrobiłeś? Larissa o mało co nie została.

- W poniedziałek mam wolne - powiedział, gdy się ubierała. - Będę tu czekał na ciebie cały dzień. Przyjdź, kiedy będziesz mogła. Kiedykolwiek. Tylko przyjdź.

Zapięła bluzkę, wsunęła sandały na stopy, wygładziła włosy, wzięła torebkę i kluczyki. Czy czegoś zapomniała?

- W ten poniedziałek?

Chciała powiedzieć i nie mogła: *Nie mogę się doczekać, kiedy znów cię zobaczę. Nie wytrzymam. Nie mogę czekać.*

Chwytał ją za biodra, wtulił usta między piersi. Mocno przytulił.

- W każdy poniedziałek.

3

Cała reszta zniknie

W poniedziałek:

Prysznic	7 minut
Wycieranie się	2 minuty + schnięcie
Balsam	2 minuty
Włosy	1 minutę zawinięte w ręcznik plus 1 minuta na żel
Makijaż	5 minut na maskarę
Ubieranie się	5 minut
Różne	5 minut
Razem	28 minut

Larissa dotarła do Albright Circle przed dziewiątą. Drzwi jego mieszkania otworzyły się, gdy tylko zaparkowała jaguara na podjeździe. Wciągnął ją do środka, zatrzasnął drzwi i przycisnął ją do nich.

- Dzień dobry - powiedział, przekrzywiając głowę, całując ją mocno. Pocałował ją w szyję, wpatrując się oczarowany w jej zakłopotane oczy. - Kupiłem croissanty i bajgle. Kupiłem też jajka. Nie wiedziałem, co lubisz jeść na śniadanie.

Milczała. Nie ufała swojemu głosowi. Oczy same się jej zamykały, gdy znów poczuła go przy sobie. On jednak uśmiechał się tak radośnie, nadal trzymając ją przy drzwiach, błędząc dłońmi po jej ciele.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał ochryple. - Powiedz prawdę.
- Trochę - odparła łamiącym się głosem.
- Myślałaś o mnie?
- Trochę.
- A o czym myślałaś? - Jego dłonie znajdowały się już pod jej spódnicą, pomiędzy udami, na pośladkach.

- O tym i o tamtym.

- Co to jest *to...*

Albo tamto...

Nadal stali przy drzwiach! Kluczyki od jaguara spadły na podłogę, bała się, że sama się na nią osunie.

- Masz ochotę na croissanty? - Rozpiął jej bluzkę, szukał zapięcia stanika.

- Jest z przodu

- Bardzo wygodnie. - Jednym ruchem rozpiął stanik, z którego wypłynęły piersi z sutkami wciąż obolałymi po piątku, proszącymi o jeszcze. Przycisnęła pięści do drzwi, ze wszystkich sił starając się nie jęczeć.

Kai dyszał, rozszerzone źrenice odcinały się mocno od białek oczu, sunął po jej ciele wilgotnymi ustami.

- Chodź ze mną - powiedział, ciągnąc ją delikatnie za sutki. Zadrżała. - Dzisiaj przyszedłeś wcześniej. Nie jak w piątek. - Uśmiechał się od ucha do ucha. - Dlaczego przyszedłeś dziś tak miło wcześniej, Larisso?

Kai, daj spokój, nie doprowadzaj mnie do szaleństwa.

Czemu nie? Wziął ją na ręce, zaniósł na łóżko, położył i zaraz na nią opadł. To ty doprowadzasz mnie do szaleństwa.

W jednej chwili byli nadzy.

Kai, chcę...

Wiem, czego chcesz. Jego dłonie były pełne jej ciała. Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka wilgotna. Chyba oszaleję. Ale teraz kiedy wiem, że mogę ci to dać, chcę najpierw zrobić coś innego.

Ujęła go w dłonie z jękiem i pochyliła się, by wziąć go w usta.

Nie, nie. To znaczy tak, tak. Ale później.

Chcę teraz.

Wiem. Ale teraz, kiedy wiem, że mogę ci to dać, chcę najpierw zrobić coś innego.

Wsunął pod nią poduszki, by unieść jej biodra. Uklęknął między jej rozłożonymi nogami. Patrzył na nią, potem podniósł wzrok, by spojrzeć jej w oczy, oddychał ciężko, kręcąc głową ze zdumienia. Larissa

wiedziała, że nawet nie musi jej dotykać. Jeden gorący oddech z jego ust i będzie skończona.

Każda dziewczyna jest inna. Powiesz mi, co lubisz?

Dobrze.

Powiesz mi, co uwielbiasz?

Dobrze.

Chcę, zaczął, zniżając głowę, całując ją delikatnie, dotykając ją łagodnie palcami, żebyś szczytowała w moich ustach. Możesz mi powiedzieć, jak to zrobić?

Jeśli jeszcze pamiętam, pomyślała, lecz nie powiedziała tego. Od dawna już tak nie szczytowała.

Okazało się, że pamięta.

A on okazał się bardzo pojętnym uczniem. *Wyobraź sobie, co chciałbyś, żebyś ja zrobiła tobie*, szepnęła, ściskając prześcieradło, jego dziką głowę, włosy. *I rób to, ale znacznie łagodniej. Nie, łagodniej, Kai... proszę.*

Dobrze. Dobrze. Dobrze.

A mój język?

Też jest dobrze. Bardzo dobrze.

A moje palce?

Też dobrze.

Palce wszędzie?

Och, Boże, pomóż mi...

To znaczy tak czy nie, Larisso...?

Po tym nie było już więcej instrukcji, tylko prąd przesywający szczupłe ciało Larissy, aż do drugiej piętnaście, kiedy Kai był cały zlany potem, jakby przebiegł maraton, a ona musiała pędnąć.

Tamto drugie życie stopiło się jak lód na słońcu. Z zamarznętej bryły zaczęły spływać krople wody i zanim się zorientowała, rozlały się w kałużę, a wiosenne słońce grzało dalej. Ziemia wyschła - nie został żaden ślad, że jeszcze zimą w tym miejscu stał dom, był mąż, dzieci,

codzienne obowiązki, śniadania, zakupy, przyjaciele, teatr, który był jej największą namiętnością. W miejscu, z którego wyparowało jej życie, nie pozostała nawet wilgotna plama.

Jednak Larissa została. I nadal musiała wstawać rano, budzić dzieci, zbierać ich plecaki i wieźć do szkoły, potem brać ręczniki i kostiumy kąpielowe na lekcje pływania; musiała przygotowywać im lunch i prać ich przepocone rzeczy, nadal musiała odbierać Michelangela ze szkoły. Codziennie. Balkon do przedstawienia *Wiele hałasu o nic* był o siedem centymetrów za niski dla mierzącego metr osiemdziesiąt Trevora, który grał Benedyka i uderzał głową w górną belkę za każdym razem, gdy wychodził, by zaśpiewać: „Bożek miłości... zna mnie...”. Balkon trzeba było rozebrać i zbudować od nowa; kolejne opóźnienie i kłopot dla Larissy. Była jeszcze Maggie. Larissa nadal musiała wozić Emily do przyjaciółek i na lekcje muzyki, nadal musiała robić zakupy, myśleć o kolacji, musiała wracać do domu, siekać cebulę i marynować mięso, robić napoje i pomagać Asherowi uczyć się hiszpańskich słówek, a Michelangelowi - dodawać. Musiała wyjmować naczynia ze zmywarki, myć łapy Riot i tankować paliwo do escalade'a i jaguara. Nadal musiała się uśmiechać do Jareda, gdy wracał do domu, siedzieć z nim przy stole i słuchać, jak opowiada o niemożliwych do osiągnięcia celach obniżenia kosztów operacyjnych bez zwalniania ludzi, by w magiczny sposób zwiększyć dochód, musiała pilnować dzieci i sprzątać. Nadal musiała się rozbierać i kłaść obok Jareda, a w weekendy musiała się kłaść pod nim. W soboty po trzygodzinnej próbie w Pingry i pomalowaniu zapadni dla Piekła i Duchów na odpowiedni odcień szarości nadal musiała spędzać dzień z rodziną, a niedługo pojedą do Lillypond w Pensylwanii oddalonej o kilka godzin jazdy i nie wiedziała, jak to zniesie. Przechodziła przez swoje życie jak lunatyczka z bezsensownym, lecz permanentnym uśmiechem. To musiała być ta sama twarz, którą zewnątrz Larissa od lat prezentowała światu, bo teraz, kiedy jej wewnętrzna geografia uległa całkowitej zmianie, nikt niczego nie zauważył.

* * *

Był jednak jeden wyjątek. Poruszała się szybciej. Pędziła po korytarzach i schodach. Szybko wybierała numery telefonów, bębniła niecierpliwymi palcami i stukała długopisami, wypakowywała zakupy z prędkością światła. Podawała kolację i sprzątała, zanim Jared zdążył zdjąć krawat. Dzieci leżały w łóżkach punktualnie o dziewiątej trzydzieści i wychodziły z domu przed ósmą. Brała prysznic w pięć minut, nauczyła się to robić - *musiała*. Nie namaszczała już głowy przez dwie godziny. Jej namaszczenie czekało na nią przy Albright Circle. Biegła z parkingu do szkoły i przez korytarze; raz przyłapał ją na tym Ezra i krzyknął do jej pleców: „Hej! Nie wolno biegać po korytarzach! Chcesz, żebym cię zapisał?”. Kilka dni później powiedział do Jareda, że jego żona skakała dziś po szkole.

- I co ty na to? Dosłownie skakała.

- Skakała? - zapytał Jared, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. - Skakała z radości?

- Nie wiem. Tylko mówię. To było dziwne.

- I co zrobiłeś?

- Powiedziałem, żeby przestała.

- Dobry ruch. A ona?

Ona, która siedziała obok przy własnym stole i nalewała margarite wszystkim poza sobą (znacznie ograniczyła picie w towarzystwie - nie chciała tracić nad sobą kontroli), odparła:

- Nie zapisano mnie od czasu szkoły średniej.

- No właśnie. Ale też od czasu szkoły średniej nie podskakiwałaś.

- O co chodzi z tym skakaniem? - dopytywała się Maggie.

- Twój mąż jak zwykle używa wymyślnych wyrażeń, by ubarwić prawdę. Spóźniłam się na próbę i biegłam. Ale - dodała - cieszę się, że zima już się skończyła. Lubię, jak jest ciepło.

Nosiła wiosenne sukienki, dżinsowe spódnice, jedwabne bluzki, potem kładła się z nim w białym łóżku, a zwiewne firanki rozsiewały w całym pokoju wiosnę, wilgotny i ciepły kwiecień, suchy i rozśpiewany maj.

Kai pomiędzy krótkimi momentami oczekiwania na powrót do jej ciała zalewał ją żarem swojej duszy. Siedząc obok niej na łóżku i uderzając w struny ukulele, śpiewał jej piosenkę, którą ledwie znała, prawie

nie słyszała, a jednak śpiewał ją tak, jakby ją sam napisał, i to specjalnie dla niej.

*Piękna marzycielko, obudź się dla mnie
Światło gwiazd i krople rosy czekają na ciebie...
Piękna marzycielko, królowo mej pieśni,
Słuchaj, gdy uwodzę cię cichą melodią...*

Leżeli na wznak, licząc palce u rąk i nóg, licząc minuty i błogosławieństwa. Całował ją między łopatkami i szeptał pożądliwie prosto w jej plecy, a ona próbowała słuchać, lecz ciało odmawiało współpracy i wyginało się, by go odnaleźć.

- Powiedz mi, kiedy pierwszy raz zapragnąłeś pójść ze mną do łóżka - powiedziała, odwracając się, by położyć mu się na piersi. Splotła swoje palce z jego. Tik-tak - szeptał zegar na szafce przy łóżku.

- Hmm... - Uduwał, że się namyśla, wpatrując się w sufit. - Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że to było... na parkingu przy supermarkecie.

Potrząsnęła nim, połaskotała.

- Bądź poważny.

- Naprawdę.

- Kai, nie mam całego dnia.

- Nie żartuję. No dobra, skoro mnie zmuszasz... To było pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem.

- C o ?

- Oczywiście.

- To nie może być prawda.

- Dlaczego? Jasne, że jest. Nic nie wiesz o kobietach i mężczyznach? - Silił się na poważny i rozsądny ton. - Cśśś. Wszyscy faceci, nie tylko ja, ale wszyscy, a kiedy mówię wszyscy, naprawdę chodzi mi o każdego faceta, którego spotykasz, w ciągu pierwszych pięciu minut wiedzą, czy chcą się przespać z kobietą. Muszę oddać ci należny honor, więc dodam, że ja chyba wiedziałem po pierwszych dziesięciu sekundach.

- Daj spokój!

- To prawda. Ale zazwyczaj? Pięć minut, góra. Nie potrzebujemy do tego dochodzić. Wszystko jest już z góry ustalone. Nie musimy zaglądać w głąb siebie i dumać: „Jest dobrą przyjaciółką, ale czy podoba mi się w *ten* sposób?”. Wiemy od razu. Albo chcemy cię zobaczyć nago, albo nie.

- Jakież to romantyczne.

- Romantyczne? To ty zadałaś to prozaiczne pytanie. A ty kiedy zapragnęłaś pójść ze mną do łóżka? - prychnął. - Ja nie jestem romantyczny.

- Już dobrze.

- No... kiedy się zorientowałaś, że chcesz się ze mną przespać?

- Nadal się zastanawiam, czy chcę, kochasiu.

- Oczywiście. Przecież jesteś kobietą. - Pochylił się nisko nad jej piersiami, opuchniętymi sutkami. Ujął je w dłonie, zaczął pieścić. - Czy mogę coś zrobić, by pomóc ci podjąć decyzję? Bo nie wiem, czy dam radę dłużej czekać.

Jęknęła.

- Wiesz, co mam? Ognistego ducati, mała - powiedział, obsypując jej ciało pocałunkami. - Osiąga prędkość stu czterdziestu mil na godzinę i nie zatrzyma się, dopóki nie skończy mu się paliwo po tym, jak zrobi ci pewne rzeczy, z których sześć na pewno jest w stanie New Jersey nielegalnych. Decyzja: Tak?

- Boże, tak. Proszę, o tak.

4

Jałowy tydzień Jareda i Larissy

Nie śpiewam do dziewczyny z wyobraźni, śpiewał jej Kai.

Ale ja nią jestem, szepnęła Larissa. Jestem dziewczyną z wyobraźni. Kiedy jestem tutaj, jest tak, jak chciałabym, żeby było, i żałuję, że nie jest. To nie jestem prawdziwa ja.

Nieprawda. Jesteś właśnie taka.

Nie. To ty taki jesteś. Jestem taka tylko dzięki tobie.

Ale Larisso, mój zachwyty nie jest dziełem wyobraźni. Pamiętasz, jak grałaś na scenie, że jedziesz na motocyklu? To tylko blade odbicie tego, czym jest prawdziwa jazda na ducati. To samo jest tutaj. Moja radość jest prawdziwa. A moja radość to ty.

Nigdy nie znałem nikogo takiego jak ty. Nikogo, kto kocha jak ty, kto szcztuje jak ty. Nikogo, kto mnie tak dotyka. Nikogo, kto tak chce być przeze mnie dotykany. Po prostu nie rozumiem, jak możesz taka istnieć. Czy w wieku czterdziestu lat wszystkie kobiety są takie?

Nie. Tylko ja. Czy wszyscy młodzi mężczyźni są tacy w wieku dwudziestu lat?

Tak, mniej więcej.

Nie chodziło o to, że mu nie wierzyła. Chodziło o to, że wypowiedał te słowa przyciśnięty do pełnych miękkich piersi, nagiego brzucha, z oplecionymi wokół niego białymi nogami, z utkwionymi w niego pełnymi uwielbienia oczami, z ustami, które płakały, z piersią przyciśniętą do serca, które łkało z ekstazy. To tylko można było powiedzieć w takich chwilach. I tylko to mówili.

Był to dla niej oddech w ciągu całego dnia. Pozostałe dwadzieścia trzy godziny spędzała, dbając o to, by mogła go zaczerpnąć, by wypełniał jej płuca i duszę.

Pilnowała, by zjawiać się wszędzie nawet nie punktualnie, ale kilka minut przed czasem. Kiedy Michelangelo odrabiał lekcje przy wyspie w kuchni, odpowiadała na wszystkie telefony, których nie odebrała w ciągu dnia. Umawiała się na próby sztuki w soboty, we wtorki podczas lunchu i w środowe popołudnia i dbała o to, by zawsze się na nich stawiać. Jeździła do Pingry codziennie o dziesiątej i pomagała w budowaniu dekoracji, nadzorowała ich wznoszenie i malowanie, jeździła do sklepu Sherwin-Williams i sama kupowała farby. Osobiście przemaalowała kolumny, przerobiła miejsce odkrycia pod balkonem i pojechała do sklepu z zasłonami, by wybrać kurtynę. Przewodniczyła każdej dyskusji dotyczącej kostiumów i pamiętała, by przed wyjazdem ze szkoły wpaść na kawę do gabinetu Ezry i omówić postępy w pracy.

Uprowadzając telefony od Tary z propozycją pójścia na spacer, dzwoniła do niej sama w godzinach, kiedy wiedziała, że na pewno nie będzie jej w domu. „Taro, kochanie, zaraz muszę pędzić do szkoły, ale może chcesz iść teraz na spacer?”. Nagrywała się na sekretarkę, a potem Tara oddzwaniała i nagrywała się na sekretarkę Larissy. „Dzięki wielkie, że zadzwoniłaś i zaprosiłaś mnie na spacer. Szkoda, że nie było mnie w domu. Musiałam odwiedzić Jenny do przedszkola. Może jutro?”.

W domu jeszcze bardziej przykładała się do swoich obowiązków. Aby ułatwić sobie życie, kupowała gotowe ciasto na brownie i ciasteczka w proszku. Ale codziennie wczesnym wieczorem z gorącego piekarnika unosił się słodki zapach, kiedy polewała kurczaka cytrynową marynatą. Pomagała Asherowi z trójwymiarowymi rysunkami i rozmawiała z Emily o tym, jak ważne jest, by ubrać się odpowiednio na przesłuchanie do stanowej orkiestry. Cała reszta dnia przebiegała jak w zegarku, by tylko nadal mogła sobie pozwolić na chwilę chaosu. Zupełnie jakby mówiła: „Spójrzcie, jaka jestem dobra. Robię wszystko, co powinnam, jestem w tym świetna. Żongluję, utrzymując wszystkie piłeczki w powietrzu, nie mieszam białego prania z kolorami, nie wylewam wybielacza na suche ręczniki. Nie zostawiam już lodów w bagażniku i nie uczę się tekstu do złej sztuki. Pachnę świeżo i jestem szczęśliwa, moje dzieci są zadbane, dbam o ich potrzeby i o Jareda, nie zapominam o nim. Pamiętam, by słuchać, jak przyjaciele opowiadają o swoich problemach. I za to, że jestem taka dobra, dostaję jedną niewielką rzecz dla siebie. Która na nic nie wpływa. Tylko na sposób, w jaki odbieram swoje życie. To rzecz, która sprawia, że cała reszta jest warta zachodu. Nie ma w tym nic złego, prawda?”.

Nie mogła zrobić tylko jednego i otaczająca ją cisza krzyczała głośniejsz niż zgiełk towarzyszący wszystkim innym poczynaniom.

Nie mogła napisać do Che.

- Zamknij oczy.
- Dlaczego?

- Nie pytaj, tylko zamknij.

Kai wyszedł po nią na żwirowany podjazd i niecierpliwie czekał, aż wyłączy silnik.

- Nie chcę. Boję się.

- No to się bój - zniżył głos do ochrypłego szeptu. - Nawet bardzo. Ale zamknij oczy.

- N i e .

Pocałował ją. Na podjeździe, na oczach wszystkich, pochylił się i pocałował, gdy stała oparta o samochód, uśmiechnięty, szczęśliwy, trzymając ją za rękę.

- Mam dla ciebie prezent na górze.

Podniosła wzrok na okna.

- Co to jest?

- Niespodzianka. Po co tyle gadania? Zamknij oczy, a za dziesięć sekund zobaczysz.

- Czy to szczeniak?

- Nie. - Zakrył jej twarz dłonią. W końcu zamknęła oczy i pozwoliła mu się prowadzić przez podwórko do schodów.

- Łódka?

- Łódka? Ostrożnie, przytrzymaj się poręczy.

- Czy to... telewizor?

- Potrzebny ci telewizor, Larisso?

- A może... para butów?

- Tak. Bo uwielbiam kupować buty.

- C z y to...?

- No, idź. Jeszcze tylko dwa stopnie. Zaraz zobaczysz.

- Będę zadowolona?

- Podejrzewam, że dasz mi to odczuć za pięć sekund. Nie otwieraj oczu. Jesteśmy prawie w środku. To bardzo ważne, żebyś nie otwierała oczu. Inaczej zepsujesz niespodziankę.

- Czy prezent jest częścią niespodzianki, czy też ona się w nim kryje?

- Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Może jedno i drugie? - Nie ufając jej, znów zakrył jej oczy dłonią i poprowadził przez próg do środka. Sunęli powoli po drewnianej podłodze.

- Czy doprowadzi mnie do łóż? -
- Sama mi powiesz. - Uderzyła łydkami o łóżko. - Połóż się, nie otwierając oczu.

- Gdzie się mam położyć?

- Na łóżku.

Położyła się.

- Tak całkiem. Z nogami.

Wyciągnęła się swobodnie. Położył się na niej, miażdżąc swoim ciężarem. Całował ją w szyję, w usta. Objęła go za szyję.

- Nie - powiedział. - Sięgnij rękami za głowę.

- Czemu? Nie będę mogła cię dotykać.

- Wyciągnij ręce, Larisso.

Spełniła jego polecenie i...

Mosiężne barierki!

Otworzyła oczy i odchyliła głowę.

- Kupiłeś mi zagłówek? - Był wysoki, zaokrąglony, w kształcie dzwonnka do sań z grubymi mosiężnymi prętami.

Kai patrzył na nią rozpromieniony.

- Kupiłem ci zagłówek. I oparcie dla nóg też. Na wszelki wypadek. - Roześmiał się i uniośł brwi. - I co o tym myślisz? Podoba ci się?

- Och, Kai...

- Jesteś zadowolona? Duże mosiężne łóżko?

- Och...

- Czy doprowadza cię to do łóż?

- Och...

- Chwyć się, mała - szepnął. - I mocno trzymaj.

* * *

Jak to jest, gdy żyje się w oszustwie? Każdy gest, duży czy mały, każde słowo, ważne bądź nie, każda myśl, każdy oddech jest efektem manipulacji. Przez dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu trzeba zachować czujność. Nic nie może umknąć twojej uwadze.

Bała się zapachu Kaia w swoim samochodzie. A jeśli ktoś widział

ją na siodełku jego motoru, niczym piracką flagę z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, pędzącą z rozwianymi włosami do Deserted Village? A jeśli kupiła coś w miejscu, w którym nie powinna być? Jeśli kupiła coś, czego nie powinna, na przykład przezroczysty stanik, którego Jared nigdy nie widział, czarne jedwabne stringi, które potrafiły doprowadzić mężczyznę do szaleństwa? A jeśli zaczęła przybierać na wadze po sushi jedzonym stale w łóżku Kaia, po lodach z jego zamrażarki i cukrze w dwóch kubkach kawy ze śmietanką, którą z nim piła? A jeśli zostawiła na podłodze w samochodzie paragon po zakupie sushi, paperek z gumy, której nie żuła, cukierek, którego nie jadła? Jeśli płyta w samochodowym odtwarzaczu była jedną z tych, których nigdy nie słuchała?

A jeśli - i było to przerażające jeśli - Jared otworzyłby rachunek od ginekologa, przyjrzał mu się dokładniej niż zwykle i zobaczył, że oprócz zwykłej konsultacji, badania krwi i cytologii znajduje się tam również kwota za sześciomiesięczny zapas pigułek antykoncepcyjnych? Jak by mu wytłumaczyła, że nagle w wieku czterdziestu lat postanowiła znów zacząć zażywać pigułki, jakby była napaloną studentką college'u bez chłopaka? Po co zamężne kobiety, które od siedemnastu lat nie przyjmowały pigułek, miałyby do nich wracać? Ostatni raz brała pigułki przed urodzeniem Emily. Teraz trzymała różowy krążek z dwudziestoma ośmioma przyjaciółkami kobiety ukryty głęboko w szufladzie z kosmetykami, w niebieskim jedwabnym woreczku ze szczotką do zamszu.

Czy można się ukryć? Czy ktoś nie obserwuje? Na szczęście nikt tego nie robił i można było utrzymywać dawną fasadę, choć wszystkie rzeczy, które składały się na ciebie, zniknęły, a zastąpiło je inne serce, które biło i pompowało krew dla kogoś innego.

Na scenie teatralnej Larissa uśmiechała się i udzielała wskazówek.

- Nie, nie, Trevor - mówiła. - Kiedy jako Benedyk słuchasz, jak Don Pedro mówi do ciebie „Jak to mam tłumaczyć, że tak marcową minę ma twarz twoja, tak pełna chłodu, chmur i niepogody?“, nie możesz żuć gumy, uśmiechać się i strzelać oczami do Lynnette stojącej w rogu. Postaraj się, Trevor, postaraj się z całych sił, przyjąć marcową

twarz. Inaczej nie będziesz wiarygodny dla publiczności. Wiesz, jak przybrać na twarz lodowaty wyraz? O tak.

Kiedy dzwoniła Evelyn, Larissa kiwała głową, trzymając słuchawkę, i mówiła: „Lunch? Jasne, kiedy? Och nie, wtedy nie mogę. Zadzwonię do ciebie”. Kiedy dzwoniła Maggie, mówiła: „Mags, muszę pędzić, mogę do ciebie oddzwonić?”. Che pisała: *Wiem, że dzieje się coś strasznego w Twoim życiu, bo tak długo się nie odzywałaś, a w swoim ostatnim liście byłaś tak daleka, jakbyś mieszkała na Księżycu, i tak zimna. Czy to nadal ma związek z samochodem?*

Emily nauczyła się grać cantabile na wiolonczeli i po kolacji oparła instrument o ramię w salonie na dole i grała dla rodziny, a Larissa uśmiechała się i kiwała głową, choć tak naprawdę przebywała cztery i dwie dziesiąte mili i dwanaście minut jazdy od domu.

* * *

Pomagała jej rutyna dnia codziennego, jakby pracowała nad wystawieniem sztuki. W ciągu tygodnia praca Jareda, dzieci, biuro, telewizja, sprzątanie oznaczały, że o północy Jaredowi wystarczał pocałunek i krótka pieszczota, co Larissa z radością mu dawała. Oboje mieli przy tym zamknięte oczy. We czwartek jego pieszczoty stawały się bardziej żarliwe, lecz tylko lekko, dzieci się spóźniały, on sam się spóźniał, pędzili, biegali, wkładał garnitur, szukał neserera, myśląc już o czekającym go dniu, a to oznaczało, że Larissa nie musiała się martwić aż do weekendu, a podczas weekendu, to prawda, musiała wspinać się na wyżyny swoich artystycznych możliwości i grać rolę, musiała okazywać uprzejmość i ciepło, oddawać uczucia, musiała leżeć i oddawać się pieszczotom Jareda i wszystko to posłusznie wykonywała, ponieważ zależało jej tylko na tym, by ochronić jedyną rzecz, która miała dla niej znaczenie. Gdyby miała skrupuły co do Kaia, wątpliwości, może wyrzuty sumienia, jej godna Oscara rola byłaby trudniejsza, ale ponieważ niczego takiego nie doświadczała, ten sam silny instynkt samozachowawczy, który kazał jej zrywać się z łóżka Kaia i jechać do szkoły po najmłodsze dziecko, kazał jej też leżeć w swoim własnym

łóżku podczas weekendów i otwierać ramiona dla męża, jakby chciała powiedzieć: „Weź to ode mnie. Daję ci to z radością, lecz tę najcenniejszą część siebie, całą resztę mnie zachowuję dla kogoś innego”.

5

Modlitwa Kaia

Pod koniec kwietnia wystroiła się w sobotni wieczór w czarne szpilki z otwartymi noskami i oszałamiającą wyszywaną cekinami granatową sukienkę, by pojechać do miasta na spóźnioną kolację urodzinową. Sukienka kończyła się tuż nad kolanami, a gładkie, wydepilowane włoskiem szczupłe nogi okrywały czarne pończochy. Pomalowała paznokcie na czerwono, na usta nałożyła pasującą do nich odcieniem szminkę. Ozdobą stroju były brylanty i rubiny od Jareda na nadgarstku i szyi i zniewalający dekolt. Siedziała w ciemnym jaguarze, obejmując się ramionami, a Jared opowiadał o pracy i o tym, jak trudno było zarezerwować stół dla dziesięciu osób w Union Square Cafe. Zauważył też, że pięknie wygląda, i zapytał, czy dobrze się czuje. Bo była taka milcząca. Odparła, że nie jest milcząca, tylko pełna oczekiwania. Przyprawione wieczornym gwarem światła Manhattanu migotały zielenią, zanim wjechali do Lincoln Tunnel, przejechawszy przez Hoboken. Larissa nie modliła się, ale teraz usłyszała w głowie modlitwę Kaia.

- Larisso, czy jest jakiś sposób, żebyśmy mogli wyjść wieczorem? Proszę.

- Nie, Kai.

- Nie mogę mieć cię na noc? Spać z tobą? Budzić się u twojego boku?

- Nie, Kai.

- Wyjedziemy na jedną noc. Zabiorę cię do pięknego hotelu. Gdzie tylko zechcesz.

- N i e , Kai.
- Larisso, możemy pójść do Samurai Sushi, tej nowej knajpki, którą otworzyli w Maplewood?
- N i e , Kai.
- Czy mogę poznać twoje dzieci?
- Nie, Kai.
- Czy mogę spędzić z tobą dzień w mieście? Ty i ja, przez jeden dzień, w mieście marzeń, nie w Summit? Możemy pojeździć Circle Line.
- Nie, Kai.
- Chodźmy potańczyć.
- Nie, Kai.
- Larisso, czy jest choć jedna rzecz, którą możesz ze mną zrobić? - Rozsunął jej nagie nogi, teraz tak elegancko złożone.
- Tak, Kai.
- Nie chcesz się ze mną widywać poza tym mieszkaniem. Nie chcesz zjeść ze mną lunchu w Panera, lodów u Ricky'ego, nie chcesz zjeść ze mną kolacji, nie chcesz ze mną spać. Czy jest coś, co ze mną zrobisz, Larisso, czy może jesteś tylko dziewczyną z mojej wyobraźni?
- Tak, Kai.

6

Nadzór elektroniczny

Kto wymyślił telefon komórkowy? Kto uznał, że to dobry pomysł? Czasem okazywał się rozwiązaniem idealnym, ale od strony czysto praktycznej komórka równie dobrze mogła być Jaredem siedzącym w kieszeni Larissy. Telefon dzwonił zawsze. Ukrywanie się za hasłem „nie ma zasięgu” wystarczyło tylko na jakiś czas.

- Gdzie się podziewasz, bo za każdym razem, gdy dzwonię, jesteś poza zasięgiem? - pytał Jared.

Dzwonił w porze lunchu. Rano i po południu był zajęty, ale między dwunastą a drugą chciał z nią porozmawiać. Problem polegał na tym, że dokładnie między dwunastą a drugą Larissa nie mogła odebrać telefonu od Jareda.

- Byłam w galerii - odparła.
- Codziennie w tym tygodniu? Co kupiłaś?
- Nic. Tylko oglądałam wystawy. Szukałam inspiracji na wiosnę.

Musiała jednak być dostępna. W ten bądź inny sposób. Zaczęła dzwonić do Jareda za dziesięć dwunasta, pędząc z Pingry do Madison. Cześć, kochanie. Jak się masz? Jaki ci minął ranek? Zawsze rozmawiali podczas lunchu. Jaki sensowny powód mogła podać teraz, że nie odbiera jego telefonów? Co robi? Jasne, czasami mogła jeść lunch z Maggie albo z Evelyn w Hoboken. Ale jak często? I czy była tak zajęta rozmową z przyjaciółkami, że nie mogła odebrać telefonu od męża? A ponieważ tak naprawdę nie chodziła z Maggie na lunch, ile czasu upłynie, zanim oboje się zorientują? Czy mogła wciągnąć Maggie w sieć oszustwa? Czy mogła jej zaufać? Nie, w żadnym wszechświecie, w jakim żyła. Może Che. Che nie grała w Skrupuły z ich paczką. Była lojalna tylko w stosunku do Larissy. Ale Che nie mieszkała w New Jersey. Przyjaźń z Bo była w sumie dość luźna. Spotykały się w Met, rozmawiały o zewnętrznych aspektach życia, czego obie potrzebowały, choć ostatnio jakby mniej. Z Fran malowały paznokcie. Jej życie nie zostanie podzielone na dwudziestominutowe błagania o oszustwo. Evelyn? Jej mała, kochająca książki i ucząca dzieci w domu Evelyn? Czy zrozumiałyby?

- Larisso, masz ochotę na lunch? - zadzwoniła z pytaniem Maggie.
 - Jasne. Kiedy ci pasuje?
 - Każdy dzień w tym tygodniu. Poniedziałek.
- Poniedziałek był najgorszy.
- Ten poniedziałek nie bardzo mi odpowiada. Może wtorek?
 - Pracuję.
- Larissa wiedziała.
- Środa? Nie, nie mogę. Planuję pojechać do miasta na lunch z Bo.
- To akurat było zgodne z prawdą z naciskiem na „planuję”. Nie za-

mierzała jechać. To mogło być niezłe wyjście: wykorzystywać jedne zmyślane plany, by wypłatać się z innych.

- Czwartek?

- Świetnie. Niech będzie czwartek.

Jednak we czwartek Larissa zadzwoniła; nie z komórki, lecz telefonu domowego.

- Przepraszam, Mags, ale strasznie boli mnie głowa. Może przełożymy na inny dzień?

W piątek Larissa udawała, że umówiła się z Fran na manikiur jak niegdyś. Tyle tylko, że teraz sama dbała o paznokcie, a ponieważ nikt nie znał Fran, nikt nie wiedział, że się z nią nie spotyka.

W poniedziałki Larissa spędzała nie jedną, lecz pięć godzin w łóżku Kaia, a słońce powoli przesuwało się z jednego okna do drugiego. W poniedziałki nie potrzebowała komórki. W poniedziałki leżała naga i przez pięć godzin przyjmowała hołdy i słuchała serenad boga słońca.

Pewnej niedzieli Kai do niej zadzwonił.

- Tęsknię za tobą - powiedział. - Co robisz?

Pracowała w ogrodzie z dłońmi w rękawiczkach, kiedy poczuła w kieszeni szortów wibrującą komórkę. Przygotowywała grządki na kwiaty i pracując poza domem, mogła sobie pozwolić, by o nim marzyć, choć pozornie nadal była obecna w swoim życiu.

- Niewiele - odparła. - A ty?

- Tęsknię za tobą i tyle.

- Kai... - zniżyła głos do lekko ochrypłego szeptu. - Mamy całe jutro.

- Nie mogę się doczekać. Nie możesz się wyrwać na godzinkę?

Nie możesz się wyrwać na godzinkę? Była to najbardziej seksowna rzecz, jaką powiedziano do niej w życiu. To oznaczało, że będzie działał bardzo szybko i sprawnie. Oznaczało, że nie może sobie bez niej poradzić, szybko załatwi z nią sprawę, a potem ją puści. Oznaczało, że potrzebował jej tylko do jednej rzeczy. Odparła, że nie, i zakończyła połączenie, ale potem nie mogła sobie znaleźć miejsca, nie mogła pracować w ogrodzie, kopać, pielić, czując przeszywający ból w miejscach, o których starała się nie myśleć. Oplotła się ramionami i weszła

do domu, by się przebrać i powiedzieć Jaredowi, że ma ochotę na grilla. Musi pojechać do sklepu, żeby kupić mieloną wołowinę i skrzydełka z kurczaka.

- Nie mamy nic w domu? Nawet w zamrażarce? No dobrze. Rozpalę grilla. Nie zapomnij o ziemniakach i kukurydzy. I o stekach, ale z kością, dobrze?

Zadzwoiła do Kaia z komórki, pędząc ku drodze stanowej numer sto dwadzieścia cztery.

- Jadę.

- Czekam. Nie masz nic pod spódnicą?

Nie, Kai.

- Absolutnie nic?

Tak.

Cudem było, że nie rozbiła samochodu.

Czekał na nią w otwartych drzwiach na szczycie schodów.

Nawet nie wiedziała, czy zamknęli drzwi, zanim znalazł się w niej.

Od zera do stu czterdziestu, prawie bez oddechu, na maksymalnym przyspieszeniu, pełnym pragnienia, pożądania, potrzeby, na opuszczonych drogach, z wyjącem coraz głośniejszym silnikiem, szybciej, szybciej.

Jednak... kiedy miał nad sobą pełną kontrolę i chciał ją dręczyć, przytrzymywał jej nogi, przyciskał do łóżka i poruszał się wolno i płytko; stawał nad nią, by mógł oglądać ją i siebie, i robił to, przekraczając wszelkie granice przyzwoitości, obyczajności i zdrowego rozsądku, aż Larissa mogła go tylko błagać, żeby ją pieprzył, aż osiągnie szczyt, i dopiero wtedy ją puszczał.

To właśnie zrobił jej dzisiaj. Po czterdziestu pięciu minutach wyswobodziła się z jego nagich ramion i powlokła na dół po schodach.

Przebiegła przez Stop&Shop, kupiła skrzydełka kurczaka, ziemniaki, steki z kością. Zapomniała o serze i bekonie. Zapomniała o napojach, o coca-coli, o brownie. Nie miała listy, upuściła ją na podłogę w mieszkaniu Kaia.

- Chce pani dokonać wypłaty?

- Tak, proszę. Sto dolarów.

- Pięćdziesiąt maksimum. Wystarczy?

- Musi, prawda?

Zanim dotarła do domu, znów do niej zadzwonił.

- Kai, przestań, wpakujemy się w kłopoty.

- Ja już mam kłopoty, mała. Jestem w okropnym położeniu.

- K a i .

- Dobra, przestanę. Chciałem tylko powiedzieć, że miałem dla ciebie kwiaty. Kupiłem.

Zauważyła je w wazonie na stole.

- Nie potrzebuję kwiatów.

- Potrzebujesz. Całych pól. W poniedziałek?

- W poniedziałek.

Kiedy tylko zakończyła połączenie, usunęła wszystkie wiadomości od niego.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, że może usuwać, co zechce, wiadomości, krótkie SMS-y: „co robisz?”, „co knujesz?”, „tęsknię za tobą”, „zadzwoń do mnie”.

Może je usuwać do upojenia. Może poświęcić na to cały dzień. Problem polegał na tym, że Jared miał dostęp do bilingów w internecie przez cały czas; płacił wszystkie rachunki, w tym za komórkę, bo był księgowym nie tylko w Prudential, lecz również w jej życiu. Lista rozmów była dostępna od ręki, już w chwili ich prowadzenia, jak saksofon grający bum - bum - B U M . Musiał tylko zalogować się na ich konto, a jeśli w tej chwili dzwoniła lub dzwoniło do niej, wystarczyło, żeby przycisnąć klawisz „odśwież” w ich domowym biurze, i widział wszystko. Jego żona kupowała produkty na rodzinnego grilla i rozmawiała przez telefon z lokalnym numerem przez minutę i dwadzieścia osiem sekund. Dudnił już nie saksofon, lecz jej niespokojne serce. Nakryje ją, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zwolniła. Co ma robić? Nic. Miała nadzieję, że jest zbyt zajęty zabawą na trawniku, żeby pójść do biura. Nie mogła nawet wysłać Kaiowi SMS-a, żeby więcej do niej nie pisał. Och!

Kiedy wróciła do domu, Jared grał z Michelangeloem w softball, a Asher stał obok z posępną miną, trzymając swój kij, jakby chciał nim komuś przyłożyć, pewnie bratu za to, że za bardzo absorbuje ojca. Gdy

zobaczył, że matka wchodzi na podwórko, popędził do domu, choć nie należał do osób, które kiedykolwiek i gdziekolwiek pędzą.

- Nie lubi dzielić się tatą - powiedział zdyszany Jared. - Strasznie długo cię nie było. Kupiłaś wszystko?

- Był okropny tłok. To śmieszne w niedzielne popołudnie. Skończyła im się dietetyczna cola.

- Coś takiego! A nazywają się supermarketem.

- Zamarynuję kurczaka.

- Bardzo proszę. Możesz mi dać puszkę czegoś zimnego?

Przyniosła mu colę. Pocałowała ją i podziękował.

W poniedziałek powiedziała do Kaia:

- Nie możesz już do mnie dzwonić. Na komórkę.

Kiedy wyjaśniała, w czym rzecz, spojrział na nią sceptycznie. Nagi.

- On naprawdę sprawdza takie drobiazgi?

- Naprawdę.

- Kto ma na to czas?

- On. To jego praca. Sprawdza różne rzeczy.

Kai nie przewrócił oczami, nie zmrużył ich nawet, tylko lekko zwięzły mu się źrenice.

Poczuła, że musi się bronić, choć nic nie powiedziała.

- Ktoś musi to robić.

- Nic nie mówiłem.

- Kai, kto się ma tym zajmować? Ja?

Wzruszył ramionami, potrząsnął nią lekko, by odpędzić zły nastrój.

- Cieszę się, że to nie ja. Przez cały dzień wpatrywać się w cyferki na ekranie i sprawdzać, czy wydany dolar pasuje do trzydziestosekundowej rozmowy.

- Nie zawsze to robił - broniła męża Larissa. Broniła go przed kochankiem! Leżąc naga w łóżku, po długim żarliwym zbliżeniu, czekając na następne, przy otwartych oknach, przez które wpadał lekki wietrzyk i zapach wiosny. - Kiedyś nie mieliśmy pieniędzy.

- Teraz jest lepiej. Może je liczyć.

- Nie tylko tym się zajmuje. - Tak naprawdę zajmował się tylko

tym. Na tym polegała jego praca. Na liczeniu pieniędzy. Trzy miliardy czterysta milionów dolarów dochodu netto rocznie. Ktoś musiał.

Kai nie chciał już rozmawiać o Jaredzie. Larissa też nie.

We wtorek wyszła wcześniej z próby i pojechała do galerii, gdzie w jednym z kiosków kupiła telefon na kartę z numerem nie do wysłania. Zapłaciła gotówką.

7

Nadzór ludzki

Wcześniej Larissa miesiącami nie widywała znajomej twarzy; teraz widziała je wszędzie. W Stop&Shop wpadła na Ritę, matkę jednego z kolegów Michelangela.

- Co ty robisz aż tutaj? - zapytała jak zwykle serdeczna Rita.

- Mogłabym o to samo zapytać ciebie - odparła Larissa.

- Byłam w okolicy, pomyślałam, że sprawdzę, jak tu jest. Sklep wyglądał na duży i nowy.

- Dokładnie jak ja.

- Masz ochotę na kawę? Mają tu Starbucksa.

- Może innym razem? Trochę się spieszę.

Potem, gdy oglądała bieliznę u Neimana, usłyszała nagle:

- Larissa!

Głos należał do jej znajomej, Diane, żony Franka, który był psychologiem szkolnym Ashera, a co kilka miesięcy grał z Jaredem w pokera. Wszystko sobie natychmiast wyobraziła. Diane mówi Frankowi, że Larissa kupiła body z czarnej koronki za czterysta dolarów, a Frank, kładąc na stół cztery damy, pyta Jareda, czy czarne body przynosi dywidendy. Jared wraca do domu pełen pytań.

- Szukam prezentu urodzinowego dla przyjaciółki - wyjaśniła La-

rissa. - Próbuję znaleźć coś wyjątkowo nieodpowiedniego. Jakież sugestie?

- To, co masz w rękach, powinno załatwić sprawę.

- Tak myślisz? Dzięki.

Wyjeżdżała z Albright, czekając, by skręcić w prawo, kiedy zatrzymał się obok niej samochód z opuszczoną szybą.

- Larissa! Co robisz w tej części miasta? - zapytała jedna z nauczycielek, przyjaciółek Maggie.

- Musiałam zrobić przegląd samochodu - powiedziała Larissa.

Taka trywialna rzecz. A jednak ludzie najwyraźniej mieli mało tematów do rozmowy, nie mieli nic do roboty, nic do przemyślenia. Bo Amy powiedziała Maggie, Maggie Ezrze, który w najbliższy sobotni wieczór zapytał:

- Wszystko w porządku z twoim jaguarem, Larisso?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Amy powiedziała, że go naprawiałaś.

- Nie naprawiałam - odparła, próbując ukryć czające się w głosie wyczerpanie, rozdrażnienie, strach. - Musiałam wymienić olej.

Jared wrócił do jadalni z drinkami.

- Myślałem, że zmienialiśmy olej dwa tygodnie temu?

- Tak, ale silnik źle na nim pracował. Coś w nim stukało. I oczywiście trzeba było zmienić olej.

- Znowu?

- Chyba tak.

Maggie się zaśmiała.

- Jak szybko Larissa jeździ tym samochodem, że co dwa tygodnie trzeba zmieniać olej?

W pewien czwartek szły z Maggie do Neimana i nagle zobaczyły przed sobą Fran.

- Larissa, kochanie! Gdzie się podziewałaś? Nie widziałam cię od miesiący.

- Cześć, Finklestein. Maggie, to Fran.

- Cześć, Maggie - Fran, elegancka w opiętych dżinsach, luźnym

swetrze w pasy i butach z wąskimi noskami, odwróciła się do Larissy. - Znalazłaś sobie lepszy salon manikiuru?

- Nie, ale przecież nie minęło aż tyle czasu. Prawdę mówiąc, wybieram się jutro.

- Jutro nie mogę. Może w przyszły piątek?

- Jak najbardziej.

Kiedy odchodziły, Maggie zapytała:

- Nie robiłaś paznokci? A zawsze wyglądają jak po manikiurze.

- Próbowałam utwardzacza Sally Hansen? Jest świetny. Używam go co parę dni. Powinnaś spróbować.

Maggie pokazała jej swoje obgryzione paznokcie.

- To nie dla mnie.

Larissa cicho westchnęła z ulgą.

Co to za rozkosz jeździć z nim na motocyklu. Siedzieć okrakiem, mknąć przez łąki koniczyny, przez dmuchawce, wirujące w powietrzu jak stokrotki na pocztówkach, jak letnie marzenia. Kto by pomyślał, że Union County w stanie New Jersey kryje w sobie raj.

8

Wiele hałasu na scenie

- Chcę przyjść na twoje przedstawienie.

Premierę przewidziano na pierwszy tydzień czerwca, przed balami na zakończenie roku szkolnego i przed długim weekendem Dnia Pamięci, który będzie musiała przetrwać bez niego.

- Oszalałeś? Nie.

- Dlaczego nie mogę przyjść? Usiądę z tyłu. Obejrzę sztukę. Kiedy się skończy, wyjdę.

- Kai, nie bądź głupi.

- N i e jestem głupi.
 - Nie jesteś poważny.
 - Jestem.
 - Nie możesz przyjść.
 - Dlaczego?
 - Naprawdę muszę ci to wyjaśniać?
 - Okazuje się, że tak.
 - Nie możesz przyjść, bo jeśli Jared cię zauważy, będzie wszystko wiedział. A na pewno wzbudziś podejrzenia. Zacznie węszyć. Będzie bardziej czujny. Nie pomyśli, że to szczęśliwy zbieg okoliczności. Nie pomyśli, że to normalne. Dlaczego akurat ty miałbyś przyjść na moje przedstawienie?
 - Przyjdę w dniu, w którym jego nie będzie.
 - Ja będę tam co wieczór, więc on też.
 - Nawet jeśli mnie zobaczy, naprawdę da mu to aż tyle do myślenia?
 - T a k !
 - Nie zobaczy mnie.
 - Zobaczy. Przypadkiem. Michelangelo pobiegnie twoim przejściem i upuści batonik Milky Way przed twoim fotelem. O, cześć, powiesz do mojego męża.
 - Zachowam się, jakbym go nie znał.
 - A l e znasz! Kai, mówię poważnie. Nie.
 - Naprawdę nie?
 - Naprawdę. - A kiedy dostrzegła wyraz bólu na jego twarzy, dodała: - Błagam cię. Proszę.
 - Czy ja w ogóle jestem prawdziwy? - zapytał.
- Śmieszne. Larissa cały czas zadawała sobie to pytanie. Czy ona w ogóle jest prawdziwa?

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Split Rock

Powiedziała Jaredowi, że nie chce jechać do Lillypond.

- Przecież uwielbiasz ten dom - zdziwił się. - Mówiłaś, że gdybyśmy tylko mogli, mieszkalibyśmy tam przez cały rok.

- W tym roku jakoś mi przeszło. A dzieci nie mają tam towarzystwa rówieśników, latem nie uczestniczą w obozach i zajęciach z przyjaciółmi. Chcą spędzić lipiec w klubie pływackim. A Emily chce pojechać na obóz muzyczny.

- Wcale nie! - zawołała Emily od komputera w salonie na dole.

- Asher ma ochotę na obóz sportowy.

- Nie! - krzyknął od telewizora w salonie.

- Michelangelo chce się zapisać na dzienny obóz ze swoim przyjacielem Jamesem.

- Tak, tak, tatusiu!

Jared nie rozumiał.

- Po co w ogóle mieć taki dom, skoro nie zamierzamy z niego korzystać latem?

- Może masz rację, kochanie - odparła po chwili Larissa. - Może powinniśmy go sprzedać. Czy nie grozi nam kryzys? Masz pewną pracę? Może to nie najlepsza pora na utrzymywanie dwóch domów.

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Czy mam pewną pracę? O czym ty mówisz? Chcesz sprzedać Lillypond?

- Tylko mówię. Nie chcę, żebyśmy płacili za dom i za obozy dzieci. To za dużo. I mało praktyczne. Powinniśmy być ostrożni.

Patrzył na nią uważnie.

- Zrobimy, co zechcesz, kochanie - powiedziała. Nie odnosiła zamierzonego efektu. Musiała zmienić taktykę.

- Ja chcę pojechać do Lillypond. Dzieci je uwielbiają.

- To dla mnie trudne, Jared - wyznała. - Nie ma cię przez sześć tygodni...

- Nieprawda.

- ...a ja zajmuję się domem, dziećmi, praniem, sprzątaniem, gotowaniem, zakupami. Wszystko robię sama. To trudne. Miło, że wpadasz na weekend...

- I cały tydzień w sierpniu.

- I wszystko masz podstawione pod nos. Bawisz się z dziećmi przez kilka godzin, a potem wracasz do swojego dorosłego świata. Ja jestem z nimi przez dwadzieścia cztery godziny, nie mogę porozmawiać z żadnymi dorosłymi i po prostu nie chcę tego dłużej robić. To dla mnie za dużo.

Jared wyciągnął rękę, lecz stała za daleko. Mówiąc, odsuwała się niezauważalnie.

- Nie wiedziałem, że tak to odczuwasz. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Mówię ci teraz.

- Dzieci są coraz większe - powiedział zdezorientowany Jared. - Powinno być łatwiej, nie trudniej. Nie jest ci przecież tak ciężko jak wtedy, gdy były malutkie.

- Może ty tak to odbierasz. Ale skumulowany wysiłek opiekowania się dziećmi zbiera swoje żniwo. To przypomina chmury. Pojedynczo nie wyglądają groźnie, ale wystarczy, że się skumulują, zaczyna lać. I tak się właśnie czuję.

Część z tego była prawdą. Czuła się wyizolowana. W przeszłości jeździła tam w nadziei, że uda jej się poczytać, odpocząć, oderwać się od miejskiego życia, jak nazywała rok szkolny w ospałym podmiejskim Summit. Ale w lesie nie było Ernestiny i nie było męża; Riot

wpadała do domu mokra i zabłocona, dzieci zawsze potrzebowały, by ktoś powiosłował, a ubrania wszystkich były nieustannie brudne, mimo że prawie nie wychodzili z kostiumów kąpielowych. Nie było czasu na czytanie. Nie miała ani chwili dla siebie. Michelangelo chodził z nią wszędzie. Podobnie jak Emily. I miała być oddalona trzy godziny od Madison! Przez sześć tygodni. A potem jechali do Miami. Tak nie mogło być. Nie mogła nie widzieć Kaia przez dwa miesiące. Po prostu nie mogła i tyle.

Jared i Larissa poszli na kompromis. Dzieci w lipcu zapiszą się na dzienne kolonie, a Jared nalegał, że w sierpniu weźmie dwa tygodnie urlopu, żeby spędzić je z nią w Lillypond.

- Poradzę sobie przez dwa tygodnie sama. Nie musisz brać urlopu.

- A le chcę. Nie mam ochoty na małżeński kryzys i oglądanie nieszczęśliwej żony.

- Nie jestem nieszczęśliwa, kochanie. Wcale nie. Uwierz mi.

- Wierzę. Ale mimo to przyjadę. Spędzimy miesiąc razem. Dwa tygodnie w Lillypond, a potem dwa tygodnie w Miami. - Uśmiechnął się do niej, rzucając spojrzenie przez okulary w grubych oprawkach. - Zadowolona?

Tak się dzieje, gdy wymyśla się bzdurne powody, by przekonać dobrego człowieka, który próbuje ci pomóc. Chciała dorosłego towarzystwa? To on przyjedzie i go dostarczy.

W lipcu Larissa żyła jak cierpiętница, jakby otoczono ją blokadą i głodzono. Kai pracował od świtu do zachodu słońca, od szóstej rano do południa w firmie budowlanej Cortese, siedem dni w tygodniu, a potem w salonie jaguara od drugiej do zamknięcia, codziennie z wyjątkiem poniedziałku. Udawało jej się wyrwać trzy godziny co poniedziałek, kiedy miał wolne popołudnie, a dzieci wracały z kolonii za piętnaście piąta. Spędzali te duszne letnie godziny w udręczonym spoconym uścisku, przyklejeni do siebie.

- Nie wyjeżdżasz na zawsze - powtarzał jej Kai. - To tylko kilka tygodni. Będę tutaj, kiedy wrócisz. W tym samym miejscu. Nigdzie się nie wybieram.

Nie mogła wydusić słowa, nie mogła mu powiedzieć, że nie poradzi

sobie bez niego, że nie potrafi bez niego żyć. Pomyślała, że gdyby podczas tych trzech godzin wypełniła ją sobą, jak kanister benzyną, miałyby paliwo na cały pobyt w Lillypond.

Kiedy jednak nadszedł sierpień, spakowali wszystko do dwóch samochodów, zabrali dzieci i psa i wyjechali do letniego domu w lesie nad jeziorem, nie było dnia, żeby nie czuła się pusta, żeby jej kończyny nie zwisały smutno jak gałęzie wierzby na deszczu. Po pierwszym dniu nie mogła sobie wyobrazić kolejnej godziny bez Kaia, nie mówiąc już o całym miesiącu. Telefon komórkowy, niegdyś jej przyjaciel, stał się teraz wrogiem. W Lillypond nie było zasięgu. W poprzednich latach była to część atrakcji, a teraz ją to przygnębiało i smagało duszę jak plaga szarańczy. Nie mogła nawet zadzwonić, żeby usłyszeć jego głos?

Po dwóch straszliwych dniach spędzonych na łonie natury Larissa podarła kostium kąpielowy. Zrobiła to własnoręcznie, lecz powiedziała Jaredowi, że zahaczyła o gałąź drzewa, a przywiozła tylko jeden.

- Przywiozłaś tylko jeden kostium? - spytał z niedowierzaniem.
- Nie wiem, co się ze mną dzieje - zgodziła się. - Pojadę i kupię nowy. Zajmie mi to najwyżej dwie godziny. Dasz sobie radę?
- Czy dam sobie radę, gdy ty pojedziesz kupić kostium kąpielowy? Chyba tak. Popłyniemy na ryby. Nauczę Michelangela wiosłować. Ale gdzie kupisz kostium w okolicy?
- Gdzieś musi być jakiś sklep.
- Chodzi mi o coś, co będziesz mogła nosić.
- Masz rację. Chyba będę musiała trochę poszukać.

Z Kaiem spotkali się nad jeziorem Harmony oddalonym o sześćdziesiąt mil, w połowie drogi między Lingertots i Madison w kurorcie Split Rock dla rodzin z dziećmi. Nie było czasu, by wynająć pokój, poza tym Larissa nie była pewna, czy trzygwiazdkowy Great Pocono Lodge nad jeziorem wynajmuje pokoje na upalne popołudnie. Spotkali się więc na parkingu - przywykli już do tego - i kochali się rozpaczliwie ściśnięci, w ubraniach, na siedzeniu dla pasażera w jej malutkim jaguarze zaparkowanym daleko przy krawędzi lasu. Harmony było jednym z jezior Pocono, a cały obszar przeznaczono dla rodzin z dziećmi przyjeżdżających na wakacje do fiordów Pensylwanii, gdzie jak okiem

sięgnąć widać było rozłożyste drzewa, jeziora, łagodne skały i góry, gdzie przy drogach rosły dęby i jesiony, a rodziny grały w badminton i siatkówkę i wynajmowały łódki. W cichym zakątku tego zachowanego w naturalnym stanie ustronia Kai i Larissa wspinali się na swoje własne skały i poddawali pieszcztom jesionów. Kai nakłonił ją, by zdjęła ubranie i usiadła na nim naga. Jęczała, zasłaniając usta, podczas gdy on przesuwając dłońmi po jej wilgotnych plecach, a wargami po szyi.

Potem osunęli się i przytulali do siebie, aż w końcu powiedziała, że musi jechać. Zgodził się ze smutkiem, ściskając przy tym jej sutki pełnymi żalu palcami. Kiedy odjechała, uświadomiła sobie, że nie kupiła kostiumu. Sklep w małej galerii handlowej oferował jedynie proste czarne kostiumy z przszytym logo Split Rock. Larissa zębami wyciągnęła nitkę mocującą logo do kostiumu i przywiozła go do domu bez torby z napisem „Poconos! Ciesz się słońcem nad jeziorem Harmony!”.

Jaredowi nie spodobał się jej wybór.

- To wszystko, co mieli w Wills- Barre? - zapytał, wzruszając krytycznie ramionami. - Trzeba było jechać do Short Hills do Neimana.

- Pewnie masz rację. Ale to za daleko. Nie chciałam cię zostawiać na cały dzień.

- Bzdura. Powinnaś jechać. Damy sobie radę. Po południu mocno lało. Jutro pójdziemy na grzyby.

- Padało? - Sześćdziesiąt mil stąd nie spadła kropla deszczu. - Przecież nie znosisz grzybów.

Roześmiał się.

- Wiem. Ale myślę o dzieciach.

- One też nie znoszą grzybów.

- Najwyższa pora, żeby nauczyły się zbierać to, czego nie znoszą - powiedział. - Jedź jutro, jeśli chcesz. Ale wyjedź wcześniej, żebyś miała cały dzień. Idź na zakupy. Do kosmetyczki. Zatrósz się o siebie. Idź do kina, kup sandały, zjedz lunch. Zabaw się trochę. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował z czułym błyskiem w bursztynowych oczach. - Nie miałem pojęcia, że tak ci tu ciężko. Nie myślałem o tobie. Jedź. Robię to rzadko, więc dla mnie to atrakcja. Przez jeden dzień będę mamą. Założę twój fartuszek, upiekę brownie.

- Jared - powiedziała wciąż w jego ramionach. - Ja nie mam fartuszka.

- Może powinnaś go jutro kupić.

Pojechała z błogosławieństwem Jareda. Kai w obu firmach zgłosił, że jest chory.

W Split Rock wynajęli pokój „Leśne Ustronie”, na parterze, z kuchnią, jacuzzi i małym tarasem wychodzącym na jezioro. Kai zapłacił gotówką. Kupili olejek dla niemowląt w hotelowej drogerii, zamówili kanapki, kawę, wodę i szampana. Wywiesili na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”.

Mieli osiem godzin. To było jak wodospad.

2

Rozlane mleko

- Jak ci się podoba twoje nowe życie?

Siedzieli w jacuzzi naprzeciwko siebie, spleceni nogami. Wypiła za dużo szampana, w gorącej wodzie zaczęło się jej kręcić w głowie.

- Jakie życie? - Czy chodziło mu o niego?

- Dom i to wszystko.

- Dom ma ponad siedem lat. Jest trochę starszy niż mój najmłodszy syn. - Pewnie powinna wyjść. Siedzieli już jakiś czas. Mówiła z trudem.

- Chłopiec był dodatkiem do domu? - zaśmiał się Kai, pryskając na nią wodą. - Dlaczego nie zostałam w Hoboken? Nie uczyłam dalej teatru?

- Po co? To życie jest o wiele lepsze.

Przez chwilę tylko kręcił kółka palcami.

- Naprawdę?

- Dla dzieci na pewno.

Milczał.

- Zrobiliście to dla pieniędzy?

- Dla lepszego życia, Kai. Byliśmy bez grosza, przez cały czas się kłóciliśmy, dzieci były nieszczęśliwe. Pewnego wieczoru przyszli do nas na kolację nasi przyjaciele z college'u, Katie i Scott, i dowiedzieliśmy się, że tygodniowo płacą opiekunce do dzieci więcej, niż zarabialiśmy z Jaredem. Razem. A wszyscy mieliśmy dyplomy z angielskiego. Z angielskiego, teatru. Na Uniwersytecie Nowojorskim wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku, a teraz taka różnica. Scott zrobił MBA i był głównym księgowym u Shearsona. I nie wyglądali na zestresowanych jak my. Byli szczęśliwi. Jakby nie mieli żadnych trosk. Po tym spotkaniu rozmawialiśmy całymi tygodniami. Doszliśmy do wniosku, że też mamy wybór. Możemy żyć dalej jak Evelyn, jak Ezra i Maggie albo możemy spróbować zbudować inne życie. To była wspólna decyzja. Oboje tego chcieliśmy.

- Ty też?

- Oboje.

- Nie o to pytam. Pytam, czy ty tego chciałaś.

Larissa odchyliła głowę. Mrugając powoli powiekami, zamknęła oczy. Zdecydowanie wypięła za dużo szampana.

Szła szybko Henry Street w Hoboken, w dziewiątym miesiącu ciąży z Asherem, grubą jak słoń, popychając wózek z roczną Emily. Na ręczce wózka powiesiła wielki karton mleka w plastikowej siatce, bo mieli tylko jeden samochód i Jared pojechał nim do miasta szukać pracy przed wyjściem do nocnej. Siatka urwała się, karton pękł i mleko zalało jej buty, płaszcz i wózek - mleko! Zalało wszystko, a mała dziewczynka w wózku wybuchnęła płaczem, była głodna. Larissa przeklęła mleko, wózek, płacz i pewnie nawet córeczkę, i nienawidziła Jareda, bo rozbijał się ich jedynym samochodem, podczas gdy ona musiała się mordować. Ruszyła z powrotem do sklepu, cała lepka, po kolejny karton mleka. Tym razem poprosiła o podwójną siatkę. Myślała o powrocie do trzypokojowego mieszkania, które wynajmowali na piątym piętrze. Kiedy wyszła ze sklepu, sądząc, że nie może już być gorzej, odeszły jej wody.

Minęły trzy lata. Jared prawie skończył kurs MBA, został mu jesz-

cze rok i walczyli, by związać koniec z końcem. Nie mogli sobie pozwolić na upuszczanie kartonów z mlekiem, bo nie stać ich było na kupno następnego. Larissa rozcieńczała je lekko wodą przed dolaniem do płatków dla dzieci w nadziei, że nie zauważą, i czekała na dzień, w którym MBA odmieni ich życie i wszystko się skończy.

- Tak, Kai - powiedziała. - Ja też tego chciałam. - Nie wyprostowała się, nie spojrzała na niego.

Spryskał ją wodą. Wyszła z jacuzzi.

- Jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście. - Na chwilę zawiesiła głos. - Choć chińskie jedzenie było lepsze w Hoboken. Ale teraz mnie na nie stać. I nadal mogę je jeść, gdy odwiedzam Evelyn, ale potem przynajmniej wracam do domu ze stołem pingpongowym, jadalnią i kącikiem do płacenia rachunków.

- Potrzebujesz go.

- Tak. Mamy mnóstwo rachunków do płacenia. Jak przedtem. Różnica polega na tym, że teraz możemy je płacić.

Zamyślił się.

- Dom jest piękny. No i pies.

- Chłopczyk jest piękny.

- Był dodatkiem do domu? Musi być miło mieć dzieci.

Przyglądała mu się uważnie.

- T a k .

- Macie żyrandole? Przyciemniane oświetlenie?

- T a k .

- Kominki?

- Trzy.

- Wiem, że macie basen.

- Z trampoliną. I domową salę kinową.

- Z popcornem?

- Z maszyną do robienia popcornu.

- Z uchwytemi na napoje?

- I pilotami wbudowanymi w oparcia rozkładanych skórzanych foteli.

Kai gwizdnął z uznaniem.

- Zająłoby nam to trzy lata. Trzy lata studiów podyplomowych, jeżdżenia makaronu, ziemniaków, liczenia każdego centa; wrzucaliśmy je do słoika. Płaciliśmy za zakupy drobnymi, które dzieci oszczędzały na nową grę. Nikt nam tego nie dał. Ciężko na to pracowaliśmy.

- I opłaciło się. Patrz, gdzie jesteście.

Prawda wyglądała tak, że Larissa leżała naga w jego ramionach.

3

Simi i Eve

- Chcesz coś zrobić?

- Co na przykład? - Leżeli w łóżku. Już mniej kręciło się jej w głowie, ale było jej chłodno. Wtuliła się w niego, choć jego ciało było twarde niczym deska do prasowania. Przypominał zastępczą małą matkę z drutu z naukowego eksperymentu Harlowa, zbyt twardą, a jednak niosącą ukojenie. Leżeli przykryci prześcieradłem, a Kai wybijał palcami szybki rytm na jej plecach.

- Larisso Stark - zaczął tonem przewodnika wycieczek - jesteśmy w kurorcie Split Rock. I możemy pani zaproponować wiele różnych atrakcji.

- Wydaje mi się, że uczestniczyłam już w zbyt wielu.

- Widzę, że spodobała się pani dzienna część naszego programu, bieg w worku dla dorosłych; zalecam, by uczestniczyła w nim pani jeszcze kilkakrotnie, poprawiając szybkość w dotarciu do finiszu. Chciałem też zwrócić uwagę na inne atrakcje oferowane przez nasz kurort dla pani i partnera. Czy byłaby pani zainteresowana naszym seminarium motywacyjnym pod tytułem „Magia Split Rock”?

- Dziękuję, ale już w nim uczestniczyłam.

Dalej wybijał rytm palcami, pocałował ją w głowę i usta, i przyglądając się jej, mówił dalej:

- W głównym holu po południu odbędzie się turniej scrabble'a.
- Brak mi słów.
- Trochę później planujemy grę w koszykówkę jeden na jeden. Może pani kochanek z panią zagra?
- Już zagrał. Jeden na jeden.
- Mamy kryty kort tenisowy, kręgielnię, centrum fitness albo łódki, jeśli ma pani ochotę pobyć na świeżym powietrzu i przeżyć przygodę, zamiast leżeć naga w łóżku.
- A jeśli mam ochotę leżeć naga?
- To może zainteresują panią nasze wieczorne propozycje. Można pograć w bingo albo potańczyć przy muzyce na żywo. W naszym Benchwarmers Pub można posłuchać Big Williego Live... - Kai zmarszczył brwi, udając zaniepokojenie. - Nie wiem, czy rzeczywiście ma na nazwisko Live, czy gra na żywo.
- Mam nadzieję, że na żywo - mruknęła, pieszcząc go dłonią.
- Może przyjdzie pani na rodzinne śpiewanie?
- Przyjdzie czy dojdzie?
- Nie, nie pozwalamy na żadne sprosności. To rodzinny hotel. A może zagra pani w „Czy znam mojego partnera?”. To dobry sposób, by zbadać stan swojej wiedzy o młodym kochanku. Zaczynamy o dziesiątej.
- Hmm. - Była już mniej senna, on też. Usiadła na nim, przytrzymała go między nogami, całowała w twarz, pierś, oczy. Trzymał ją dłońmi za biodra. - A może turniej ping-ponga o wielką nagrodę Pocono? - zapytała. - Zwycięzca uprawia seks z pokonanym.
- Umowa stoi - odparł, widać się pod nią. Pocałowali się namiętnie. - Ale chcę nagrodę z góry.
- Robi się.

* * *

Grali w klaskankę „Miss Mary Black” i leżeli na łóżku w cichym pokoju z zaciągniętymi zasłonami, w przyjemnym chłodzie klimatyzacji, której szum łagodził ciszę.

- Kai, mamy czas - powiedziała. - Opowiedz mi coś. Proszę.
- A już miałem spokojnie zasnąć. Co mam opowiedzieć?
- Coś o moim młodym kochanku - szepnęła.

Westchnął. Leżał na wznak, lecz nie obejmował jej już tak mocno ramieniem.

- Po co? - zapytał. - Czy to sprawi, że będziesz chciała przyjeżdżać częściej?

Silił się na frywolność? Spojrzała mu prosto w twarz.

- Czy to sprawi, że bardziej mnie zapragniesz?

- To chyba niemożliwe - szepnęła. - Myślę tylko o tobie.

- A jeśli będziesz pragnąć mnie mniej? Jeśli zamiast litości i współczucia poczujesz strach i będziesz się chciała trzymać ode mnie z daleka?

- Kai, jak mogę się trzymać od ciebie z daleka? Tak, proszę, powiedz mi coś, co mi to umożliwi.

- Co to może być? A jeśli siedziałem w więzieniu jak mój ojciec za handel narkotykami?

Milczała. Chciał ją wypróbować czy wysnuwał hipotezy? To na pewno nie wystarczy.

- Nawiasem mówiąc, nie siedziałem.

- Kai, jesteś taki młody.

- Tylko ciałem. Byłem bezmyślny. Wiesz, jak można być nieostrożnym, gdy jest się młodym.

Wiedziała.

- Spójrz na bliznę na moim brzuchu. Pojechałem na diabelski wyścig, ale zabrałem ze sobą dziewczynę. O mało co nie straciłem wątroby, a ona złamała obie nogi, żebro i straciła przednie zęby. Mogła zginać. Ale nie myślałem o tym. Chciała jechać, więc ją zabrałem. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o braku rozwagi. Bum! Wpadłem na zbocze góry. W nocy. Jechałem za szybko, wpadłem w ostry zakręt i nie mogłem się zatrzymać. Ze zgaszonymi światłami.

Larissa pogłaskała go, by go uspokoić.

- Pojechała z tobą z własnej woli. Nie zmusiłeś jej do tego.

- Powinienem być mądrzejszy. Znałem ryzyko. Ona nie.

- Sama chciała jechać. Nie porwałeś jej.

Milczał przez chwilę.

- Czasami musisz myśleć za ludzi, na których ci zależy - powiedział w końcu. - Czasem podejmują złe decyzje. Musisz się starać im pomóc.

- Myślisz, że podjęła złą decyzję?

- Na pewno.

Przymilała się do niego, lecz nie chciał mówić dalej. Nie był zły, tylko zamyślony. Nigdy nie widziała, żeby był zły.

- Nie wystarczy? - zapytał, nie chcąc się poddać jej pieszczotliwym namowom. - Jest dobrze. Nie możemy tego tak zostawić?

- A jest dobrze?

- Nie sądzisz, że jest szalenie dobrze? - Nagle znalazł się nad nią i wsunął jej rękę między nogi. - Nie chodzi mi o to. Chodzi o nas. O ciebie i o mnie.

- Byłoby mniej szalenie dobrze, gdybyś mi powiedział? - jęknęła. Czy między nimi byłoby gorzej? O to jednak nie zapytała.

- Chyba tak. - Odsunął się i znów położył na wznak, nagle pozbawiony energii. Zrobił to, co już kilka razy widziała: kiedy był pod działaniem stresu, w ruchu ulicznym albo kiedy się spieszył, prostował plecy, siedział nienaturalnie sztywno, nieruchomo, jak posąg. Zamieniał się w martwą naturę i tak odpędzał niepokój. Miało to korzenie w filozofii zen i uwielbiała to, wtedy też czuła się spokojniejsza. Nie chciała, żeby był spięty. Chciała go pogłaskać, ale wiedziała, że to nie odsunie stresu, a on może to potraktować jako zakończenie niewygodnej rozmowy.

- I tak mi powiedz. - Czy miała nadzieję, że gdzieś w otchłani, gdzie pojawia się delikatny powiew świadomości, nagle ujrzy go w nieco innym świetle, które osłabi jej namiętność? Czyż to nie byłoby urocze? - Jesteś jeszcze dzieckiem. W jakie tarapaty mogłeś się wpakować?

- W mnóstwo. I to prawdziwych. Takich, o których trudno zapomnieć.

Larissa miała nadzieję - niemal się o to modliła - że jej obecne do takich nie należą.

- Imprezowałem. Mnóstwo przyjaciół, alkoholu. Dziewcząt. Moja mama pracowała na dwóch etatach i sama bałowała, wychowywała

mnie babcia, ale starzała się coraz bardziej, a dziadek umarł. Byłem zostawiony samemu sobie od czasu, gdy skończyłem trzynaście lat. Pracowałem, balowałem.

Zabawne, ale z nieco innych powodów tak samo wyglądało życie Larissy. Jej rodzice z miłością, lecz celowo pozostawiali jej mnóstwo swobody. „Chcemy, żebyś popełniała swoje błędy - mówili. - Tylko tak się nauczysz. Nie możemy przeżyć życia za ciebie”. Larissa zawsze podejrzewała, że po surowym wychowaniu trzech chłopców mieli już dość zasad i za tym argumentem ukrywali swoje zmęczenie. Efekt był jednak taki sam - była kochana, lecz nikt nią nie kierował.

- Jedna z dziewcząt, które poznałem na imprezie, miała na imię Simi - ciągnął Kai. - Miała szesnaście lat. Kochała się we mnie.

- A która by się nie kochała?

Pochylił się i pocałował ją namiętnie, długo nie odrywając warg, jakby nie chciał dalej mówić. W końcu westchnął.

- Pewnego wieczoru coś między nami zaiskrzyło. Ryczała muzyka i wiedziałem tylko, że jest urocza. To nie było nic poważnego, tylko jedna ze znajomości.

- A czy kiedykolwiek coś było na poważnie? - zapytała niepewnie.

- Ty zdecydujesz, kiedy już ci wszystko opowiem. Umawiałem się z nią. Ale było też kilka innych...

- Dziewcząt?

- Mmm. Szybko zorientowałem się, że Simi jest ćpunką najgorszego rodzaju. Myślałem, że jej rozszerzone źrenice to dar natury, jak u sarny. Ona miała nadzieję, że mam towar, bo słyszała o moim ojcu. Myślała, że prześpi się ze mną, a ja dam jej heroinę. Powiedziałem, że mój ojciec nie robi ze mną transakcji, przecież to byłoby chore. Myślałem, że już więcej jej nie zobaczę, ale stało się inaczej. Stale wracała.

Larissa spojrzała na jego brzuch, na nogi przykryte białym prześcieradłem, na usta. Miał towar. Próbowwała powstrzymać drżenie.

- Zachowywała się, jakbym był jej metadonem albo czymś takim, ale była naprawdę popaprana, miła, ale tak popieprzona, jak... no, popieprzona. - Uniósł ręce jak gdyby w geście poddania się i urwał. - Była waciarką. Wiesz, co to takiego?

Larissa nerwowo pokręciła głową.

- To ktoś, kto jest tak mocno uzależniony, że kiedy nie ma forsy na towar, wyciska watę, przez którą filtrowano heroinę, i sobie to wstrzykuje. Paskudna sprawa. - Cmoknął językiem, lecz ze sposobu, w jaki unikał jej wzroku, Larissa wiedziała, że dla niego nie są to tylko zastłyszane informacje, lecz powód jego skrytości i zamykania się w sobie.

- Nie widziałem, żeby mogła z tego wyjść - ciągnął. - Wiesz, czasami można się zorientować, że człowiek z tego wyjdzie. Jakby się to w nim wyczuwało. Może to odrobina siły albo nadziei pokładanej w samym sobie, może trochę wychowania, ambicji, może Boga? Coś. To nie musi być wiele, ale musi być prawdziwe. W Simi nie było nic takiego. Jej życie było piekłem. Wyleciała ze szkoły średniej, nic nie umiała, mieszkała z macochą i kradła jej pieniądze na towar.

- Gdzie był jej ojciec?

- Wyjechał z Maui z inną kobietą. Winisz go?

- Nie wiem - odparła chrapliwie Larissa. - Nic o nim nie wiem.

- Chciałem przestać spotykać się z Simi, ale była tak nakręcona, że bałem się, że źle to przyjmie, więc widywaliśmy się nadal. Miałem nadzieję, że wreszcie odejdzie, znajdzie sobie inny balon, to znaczy dostawcę - wyjaśnił. - Ona jednak ciągnęła to dalej, unosiła się jak na wodzie, obiecywała mi tydzień po tygodniu, kiedy była spłukana, że rzuci to i będziemy mogli żyć normalnie.

- Czy ty... brałeś?

- Mój narkotyk to kontrola nad sobą. - Spojrzał jej prosto w twarz i pokręcił głową. - Heroina to nie dla mnie - powiedział. - Wiesz, w co wierzę, Larisso? Życie jest tak cholernie krótkie, nigdy nie wiadomo, kiedy się skończy, i nie chcę spędzać ani sekundy w otępieniu. Problem polegał na tym, że zdaniem Simi życie było zdecydowanie za długie i potrzebowała otępienia, by godziny szybciej mijały. - Zawiesił głos. Larissa nadal leżała, lecz on siedział wyprostowany jak struna, opierając się o zagłówek. Spojrzał na swoje dłonie. - Chcesz wiedzieć, jak godziny jej życia w końcu się wyczerpały?

- Przedawkowała?

- Zaszła w ciążę.

Larissa ukryła twarz w dłoniach. Dlaczego młode kobiety tak lekomyślnie podchodziły do swojego życia i ciała?

- Nadal biorąc heroinę?

- Tak. Najwyraźniej te dwie rzeczy się nie wykluczają. Okazuje się, że heroina nie jest środkiem antykoncepcyjnym. Kto o tym wiedział? Może sprawić, że nie będziesz szczytować, ale nie powstrzyma poczęcia. Jak twoim zdaniem siedemnastoletnia dziewczyna nadal mieszkająca w domu, bez pracy, wykształcenia, z małpą wielkości King Konga siedzącej na plecach poczuła się w takiej sytuacji?

- Trudno mi zgadywać.

- Simi wbiła sobie do głowy, że dziecko stanie się jej przepustką do wolności. Nagle miała nową religię! Dziecko było darem Boga i teraz wszystko będzie dobrze z nią, a w konsekwencji z nami.

Larissa usiadła w pozycji lotosu z rękami opartymi na jego nogach.

- Nie przeszkadzało ci to? - Spojrzała mu w twarz, szukając odpowiedzi.

Kai wzruszył tylko ramionami.

- Chciałem, żeby poczuła się lepiej. Była bardzo krucha. I wiesz, moja matka urodziła mnie w wieku szesnastu lat, zaraz potem moje siostry. Wiele z jej sąsiadek bardzo młodo urodziło dzieci. Nie miałem z tym problemu.

- Ale zostać ojcem w wieku osiemnastu lat? - rzuciła Larissa, smutna i zaniepokojona.

- Mój ojciec nie bardzo się sprawdził w tej roli. Chciałem być lepszy. Myślałem, że mi się to uda.

Czy na Kaia czekało na Hawajach dziecko? To nie do pomyślenia. Nie chciała, by okazało się to prawdą.

- Powiedziałem jej, że jeśli rzuci heroinę na dobre, ożenię się z nią.

- Co takiego?

- Tak. To była słuszna decyzja. Powiedziałem, że się z nią ożenię. Skończyłem szkołę średnią, pracowałem. Kamieniarz nie mógł narzekać na brak zajęcia przy tylu luksusowych hotelach i apartamentowcach, które budowano dookoła. Zarabiałem pieniądze. Powiedziałem, czemu nie? Zrobimy to jak należy, Simi.

- Oszalałaś.
- Może i tak było, ale ona była bardzo podekscytowana.
- Kai, czy Simi jest dziewczyną, która została ranna w wypadku?
Milczała prawie przez minutę. Wyglądało, jakby wcale nie oddychała, jego pierś nie unosiła się ani nie opadała.

- Tak - powiedział w końcu.
- Och, Kai.
- Wypadek nie zdarzył się, kiedy była w ciąży, tylko tamtego pierwszego wieczoru. Tak właśnie się dowiedzieliśmy, że ćpa. W szpitalu była na strasznym głodzie.
- Zaiskrzyło, pojechaliście na diabelski wyścig i oboje o mało co nie zginęliście?

- T a k .
Teraz Larissa zamilkła. Bała się go. Jego spokoju, który ukrywał grożące życiu niebezpieczeństwo tuż pod powierzchnią.

- W każdym razie... - Kai zakręcił dłońmi, jakby chciał wreszcie skończyć. Typowe dla niego ożywienie zniknęło. - Chcesz usłyszeć więcej?

Nie chciała. Nie potrafiła sobie wyobrazić szczęśliwego zakończenia.
- Simi postanowiła, że pójdzie na całość i odstawi heroinę, ale lekarz w darmowej klinice powiedział, że to niemożliwe. Powinnaś była to zrobić przed zajściem w ciążę. Najpierw się rzuca, potem ciąży. Teraz jest za późno, nie masz wyjścia. Jeśli teraz przestaniesz brać, dziecko na pewno umrze. Jeśli chcesz, by miało niewielką szansę na przeżycie - a Simi rozpaczliwe tego chciała - musisz nadal brać heroinę w najmniejszych możliwych dawkach, by nie czuć głodu, a my zrobimy, co w naszej mocy, by jak najdłużej utrzymać dziecko w twoim łonie. Dzieci ćpunek to zwykle wcześniaki. Jeśli uda nam się utrzymać ciążę do trzydziestego, trzydziestego drugiego tygodnia, mamy sporo szans. Potem razem z dzieckiem możecie przejść na metadon. - W pokoju było tak cicho, że przez zamknięte okna Larissa słyszała warkot silnika łodzi. Słyszała głos kobiety wołającej do kogoś na korytarzu, jęk syreny w oddali. Słyszała niemal poruszające się wskazówki zegara. Trzydzieści tygodni tykania.

- Simi bardzo się starała, żeby jeść, spać, zażywać witaminy, robiła sobie zastrzyk, kiedy już nie mogła wytrzymać.

- Gdzie wtedy mieszkała?

- Ze mną. Wynajęliśmy jednopokojowe mieszkanie. Nie brakowało nam pieniędzy. Ja przynosiłem do domu jedzenie, a ona kupowała heroinę. - Urwał. Widziała, z jakim trudem mówi dalej.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym nigdy nie musiał o tym mówić. Nie chciałem się uwolnić od tego ciężaru. Nie jest to coś, z czym muszę się uporać. Po prostu jest. Nic nie można zrobić. Kiedy się uzależniła, nikt nie mógł nic zrobić. - Wciągnął powietrze, siedząc wyprostowany. - Dawała sobie radę całkiem nieźle, dłużej, niż wszyscy się spodziewali. Prawie donosiła ciążę i myśleliśmy, że najgorsze już za nami. Dziecko rosło. Zamierzali wywołać poród w trzydziestym szóstym tygodniu, żeby się zabezpieczyć. Ale podczas rutynowego badania w trzydziestym piątym tygodniu lekarz nie mógł wyczuć jego serca. Zrobili ultrasonografię i... - unióś ręce - maleństwo umarło. Simi musiała urodzić martwe dziecko. - Nie patrzył na Larissę. - Mówiłem ci, że to straszna historia. Simi trzeba było uśpić przed wywołaniem porodu, bo wpadła w histerię.

- Och, Kai.

- Pochowaliśmy dziecko tuż przed Bożym Narodzeniem, a kilka miesięcy później, na wiosnę, zerwaliśmy ze sobą. Powiedziała, że nadal mogę się z nią ożenić, a ja tylko oddawałem jej moją tygodniową pensję. Powiedziałem, że ćpun nie może żyć z normalną osobą. Odparła, że może ze mną żyć, bo nie jestem normalny. Przy mnie czuje się lepiej, uspokajam ją, bo sam jestem spokojny. Przynosisz mi spokój, powiedziała. Odparłem, że ona nie przynosi spokoju mnie. Ja nie biorę. Nie mogę siedzieć w tym samym pokoju, gdy dajesz sobie w żyłę, pełna rozpacz po stracie naszego dziecka. Powiedziała, że rozumie. Nie rozumiała tylko jednego - to, co się stało, nie było wymierzone tylko przeciwko niej, ale także przeciwko mnie. Myślała, że tylko ona cierpi. Więc... - Wziął kolejny głęboki oddech. - Wprowadziła się z powrotem do macochy. Nadal wysyłałem jej pieniądze. Widywaliśmy się. Byliśmy w kontakcie. Chciałem, żeby wyszła na prostą.

- T a k mi przykro. - Biedny Kai. Biedna Simi. Larissa smuciła się przede wszystkim z powodu bohaterkiej matki-ćpunka, która chciała donosić ciążę, bo myślała, że to ją ocali. Czuła zaciskające się w jej łonie pętle, gdy wyobrażała sobie uzależnioną od heroiny Simi, która kochała Kaia i pragnęła jego dziecka nawet bardziej niż heroiny. To, co Larissa czuła w tej chwili do Kaia, przekraczało granice prymitywnego smutku. Czuła w żołądku ciężar piasku i cementu.

- To był chłopiec? - Dlaczego nie chciała usłyszeć twierdzącej odpowiedzi?

- Nie, dziewczynka. Simi nazwała ją Eve. Eve Passani. - Kai cmoknął językiem, posępnie zacisnął usta. Nadal nie podnosił wzroku. - Niedługo potem zmarł mój ojciec, uzupełniając wir rodzinnych problemów trapiących w tym czasie Maui. Simi wpadła w głęboką depresję, brała różne leki, zupełnie nie mogła sobie poradzić. Brała leki przeciwpsychotyczne rano i wieczorem. Lekarz powtarzał jej, że jeśli będzie nadal zażywać klonopin, nigdy sobie z tym nie poradzi. A jeśli po dwóch, trzech latach przestanie, będzie się czuła zupełnie tak, jakby tragedia wydarzyła się wczoraj. Odparła: Kto powiedział, że przestanę go brać? Lekarz powiedział, że w końcu będzie musiała. Powtórzyła: Kto powiedział? Lekarz spojrzął na mnie bezradnie! Zapytałem, czemu, do cholery, patrzy na mnie? Niech mi też da te leki. Kto chce się z tym zmagać? Ale po kilku miesiącach miałem dość. Pod moją opieką Simi wcale nie czuła się lepiej. Oszukiwałem się, myśląc, że mogę jej pomóc. Kiedy dostałem motor taty, wyjechałem na dobre. Przyjechałem tutaj. Uciekłem. Wszystko, byle tylko nie patrzeć, jak się wyniszcza.

- Simi została z macochą?

- T a k .

Larissa milczała.

Kai milczał.

Larissa milczała.

Kai milczał.

- Czy Simi umarła w kwietniu? - szepnęła w końcu.

- T a k .

- Och, Kai.

- Była stracona, nie sądzisz? Stracona, jeszcze zanim ją poznałem. Tylko o tym nie wiedziałem. Bo czasami się nie wie. Myślisz, że możesz bawić się w Boga, być silnym, pomagać biednym, uzdrawiać chorych. Jakbyś był Jezusem. To wszystko bzdury. Nikomu nie można pomóc. Została osobistą asystentką mało znanej gwiazdy rocka na Hawajach - powiedział tępym głosem. - Chyba dostarczał jej wszystkich rodzajów tego gówna. Pewnej nocy po przyjęciu chciała wrócić do domu i rozbiła się samochodem. Próbowali go obwiniać! To jego wina, krzyczała jej macocha. Nie powinien jej dawać tego świństwa. Ale czy to jego wina? A może moja, bo zaszała ze mną w ciężę? Bo dawałem jej pieniądze na heroinę? Kto ponosi odpowiedzialność za swoje własne życie? Ty? A może wszyscy dookoła? Ale i tak czujesz się beznadziejnie. - Zawiesił głos. - Pochowaliśmy ją obok dziecka. Ten sam nagrobek i wszystko. Simi i Eve.

Larissa się rozpłakała.

- Nie, nie. - Kai zerwał się z łóżka. Nie mógł nawet na nią spojrzeć. - Nie jestem odpowiednim facetem do czegoś takiego - powiedział. - Poważnie. Chciałaś, żebym ci opowiedział, to opowiedziałem. Ale tego nie zniosę. - Machnął ręką w stronę jej twarzy. - Jest wystarczająco ciężko. Nie dam sobie z tym rady.

Otarła twarz.

- Przepraszam.

- Ja też. - Spojrzał na zegarek. - Wiesz, która godzina? - Była prawie ósma. - Lepiej się zbieraj, masz przed sobą godzinę jazdy. - Ubrał się w sześć sekund.

Jej zabrało to więcej czasu. Chciała go dotknąć, ale widziała, że nie chce, by nawet spoglądać na niego ukradkiem.

W samochodzie ją pocałował.

- Z wyjątkiem tego ostatniego fragmentu to był bardzo dobry dzień, prawda?

Całą siłą woli powstrzymywała się, by nie wybuchnąć płaczem.

- I co myślisz? - zapytał smutno. - Chcesz się pożegnać? Jestem przecież używanym towarem, Larisso.

- Nie całkiem - odparła, mocno się do niego przytulając. - Jeszcze nie jestem całkiem gotowa, żeby się z tobą rozstać.

- Zabawne. To samo powiedziała mi Simi, kiedy widziałem się z nią ostatni raz przed jej śmiercią.

4

Rodzinne rozrywki w Poconos

Gdzie się podziały siatki po całodziennych zakupach? Gdzie były sandały, sukienki, kostiumy kąpielowe? Coś dla Jareda, może czerwono-biało-niebieskie bokserki, plażowa sukienka dla Emily? Kosmetyki od Bloomingdale'a? Gdzie były rzeczy, po które ją posłał? Gdyby wysłała Jareda po mleko, a on wrócił bez niego, co by sobie pomyślała? Co on pomyśli? Larissa była tak wypełniona Kaiem, że wróciła do domu prawie o dziewiątej bez siatek z zakupami.

- Mama wróciła! - Asher, Emily i Riot rzucili się w jej stronę, pies oczywiście pierwszy. - Co kupiłaś? - W domu pachniało rybą i ciastem brownie.

- Nic. Choć nie dlatego, że nie próbowałam. Jak wam minął dzień?

- Świetnie! Popłynęliśmy na ryby - powiedział Asher. - Powinnaś zobaczyć, jaką wielką rybę złapałem.

- To była kijanka.

- Bass, mamó.

- Dlaczego nie powiesz, że złapałeś delfina, skoro wymyślasz takie bzdety

- Emily!

- Przepraszam.

Larissa odłożyła torebkę i zdjęła sandały.

- Gdzie jest wasz brat? A ojciec?

- Dzięki Bogu, brat nareszcie śpi - odparła Emily, przewracając oczami.

- Proszę, kto wreszcie wrócił do domu! - Jared wyszedł z pokoju

w piwnicy. W tle usłyszała odgłosy meczu. Nic dziwnego, że nie przyszedł od razu, żeby się przywitać. Mecz musi być zacięty. - Jak ci minął dzień? - Pocałował ją. - Co kupiłaś?

- Skorzystałam z połowy twojej rady. Zadbałam o siebie. Nie dotarłam do Short Hills. - Wzruszyła ramionami. - Ale dzień był wspaniały. Chciałam spróbować czegoś innego, znaleźć jakieś zabawne miejsce. Jeździłam więc po okolicy i badałam teren.

- Tak? Dokąd dojechałaś? - Był wyraźnie roztargniony. Chyba jest remis.

- Muszę was koniecznie zabrać do miejsca, które znalazłam. Jechałam międzystanową numer osiemdziesiąt i musiałam skorzystać z łazienki, na dodatek chciało mi się pić, więc zatrzymałam się w jednym z kurortów w Poconos.

- W którym? - Odwrócił się w stronę piwnicy. Wyrównany mecz musiał powoli dobiegać końca.

- Split Rock. Znasz go?

Zmarszczył nos.

- Nie jest tandetny?

- Skądże! Dzieci na pewno będą zachwycone. Mają tam park wodny pod dachem, łądzie...

- Też pod dachem?

Uszczypnęła go.

- Jest kręgielnia i turnieje scrabble'a, rodzinne śpiewanie. Przywiozłam folder, żebyś mógł zobaczyć. Wygląda świetnie. I pełno tam szczęśliwych rodzin. Może pojedziemy któregoś popołudnia?

- Może - odparł sceptycznie i niezobowiązująco Jared.

Emily i Asher zaczęli sobie wrywać folder. Jared pokręcił głową.

- Dzieci, przestańcie albo przedrę go na połowę. Idźcie skończyć grać w scrabble'a. Zaraz trzeba kłaść się spać. No, zmykajcie! Dajcie mi porozmawiać z mamą.

Wciąż walcząc o folder, popędzili na dół, a Jared i Larissa zostali sami.

- Wyglądasz na zmęczoną. Wszystko w porządku? - Dotknął jej twarzy, włosów.

- Czuję się świetnie.

- To co robiłaś w tym Split Rock? Tylko nie mów, że poszłaś na rodzinne śpiewanie. - Uśmiechnął się.

- Jasne, że nie. Nie miałam przy sobie rodziny. Ale pokrećłam się trochę, pooglądałam wystawy. Mają tam kilka sympatycznych sklepów. Księgarnię. Zjadłam pyszny długi lunch. A potem poszłam do spa. To było coś. Mieli kilka wolnych miejsc na zabieg na twarz i masaż. Musiałam tylko godzinkę poczekać. Siedziałam w saunie, chyba tam zasnąłam. Poszłam do jacuzzi. Miałam cudowny półtorgodzinny masaż.

- Mmm - mruknął, masując jej szyję, gdyż stała blisko niego. - U kobiety?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. - Jak zawsze. Michelangelo śpi? Grzecznie położył się beze mnie?

- Grzecznie? Nie. Ale się położył. Przeczytałem mu cztery książeczki. Żadna mu się nie podobała. Zaśpiewałem mu piosenkę o szopie Rockym pięć razy. Powiedział, że ty leżysz z nim dwa tysiące dwieście godzin. Odparłem, że chyba przesadza.

- Nie, to mniej więcej prawda. - Uśmiechała się do niego blado.

- Ale nadal nie kupiłaś kostiumu kąpielowego? Co teraz zrobisz?

- Chyba będę chodzić w tym okropnym, który kupiłam wczoraj. Poza tym - dodała, wchodząc do kuchni - trochę utyłam. Wszystko wygląda na mnie okropnie. Okropnie. Prawie wpadłam w depresję.

Emily i Asher kłócili się o słowo w drugim pokoju. Asher oskarżał siostrę, że oszukuje, ona krzyczała, że on nie umie przegrywać. Mecz trwał dalej, okna były otwarte. Zapadł zmrok, niebo przybrało odcień głębokiego fioletu jak Lillypond.

- Michelangelo złapał wielką rybę.

- Naprawdę? Jaka? A myślałam, że wybieracie się dziś na grzyby.

- Nie wiem jaką. Wielką. Zjedliśmy ją na kolację. Dzieciom bardzo smakowała. I poszliśmy na grzyby. Mieliśmy przecież cały dzień.

Larissa usiadła na krześle.

- Jesteś głodna? - zapytał Jared. - Zostawiłem ci trochę ryby. Możesz zjeść na zimno? Jest ugotowana.

- Z przyjemnością. Teraz zjadłabym nawet surową. Umieram z głodu.

Jared postawił przed nią gruby kawałek fileta, zimne ziemniaki. Wciągnęła ich zapach, nie podnosząc wzroku. Podał jej szklankę wody i kieliszek wina. Wypiła z wdzięcznością.

- Wcale nie tyjesz - powiedział, obchodząc wyspę, żeby się jej przyjrzeć. - O czym ty mówisz? Wczoraj wieczorem zauważyłem, jak bardzo jesteś szczupła. - Położył dłonie na jej biodrach. - Miałem ci to powiedzieć.

- W tych lustrach i w świetle jarzeniówek w przymierzalniach wyglądałam jak tłusta świnia.

- Nie mogę uwierzyć, że nic nie kupiłaś.

- To nic nowego. Często chodzę do galerii i niczego nie kupuję. Spłukalibyśmy się do reszty, gdybym kupowała coś za każdym razem, gdy idę na zakupy. Powinieneś to doceniać.

- I doceniam. - Poklepał ją po pośladku i pocałował w tył głowy. - Sprawdzę, jak mecz. Jest cztery cztery w ósmym inningu. Zaraz wrócę.

Nie wrócił. Larissa skończyła jeść sama, wpatrując się w drewniany blat wyspy. Z jej duszy, tak pełnej jeszcze godzinę temu, powoli wypływało życie. Nie mogła przestać myśleć o nim, o Simi i ich martwym dziecku. Historia Simi przypominała oddzielny smutek, który przydarzył się całkiem oddzielnej osobie. Ale to jego dziecko zmarło! Związał się z udręczoną obcą dziewczyną i prawie miał z nią dziecko. Dziecko. Nie byłby teraz latawcem na motocyklu. Byłby ojcem małej dziewczynki. Nie wolno jej tak myśleć. Gdyby Simi i Eve przeżyły i były czyste, Kaia i jego ducati nie byłoby w Summit. Simi musiała zostać stracona, żeby Larissa mogła upaść. W osobliwy sposób los tej dziewczyny i jej dziecka był związany z Larissą. Gdyby Simi nie została ranna na starym motorze Kaia, może on nie czułby się za nią tak osobiście odpowiedzialny. Zamierzał się z nią ożenić, bo tak należało. Co za sumienie u dwudziestolatka.

Larissa powlokła się na górę do urządzonej w rustykalnym stylu sypialni, po czym wzięła prysznic. Kiedy Jared przyszedł na górę, udawała, że zasnęła na zaścielonym łóżku, a on przykrył ją delikatnie i wrócił na dół.

Tydzień mijał powoli. Larissa zajęła się gotowaniem, sprzątaniem, praniem. Pływali, łowili ryby, wiosłowali w małej łódce. Chodzili na spacer i zbierali jagody, bawili się w chowanego w gęstym lesie i zbudowali park wodny dla dwudziestu żab, które dzieci złapały i nadały wszystkim imiona. Larissa piekła ciasta. Do tego potrzebowała produktów. Mąki, sody, kardamonu, ryżu arborio, rodzynek, brązowego cukru. Dzięki temu mogła pojechać do sklepu w pobliskim Nanticoke za rzeką Susquehanna i zadzwonić do niego z komórki. Niestety, Emily chciała pojechać z nią i nie było powodu, żeby jej odmówić. Larissie udało się wyrwać na moment, by „skorzystać z łazienki” i zadzwonić.

- Cześć. To ja.

- Cześć, ty.

Krótko, boleśnie rozmawiali o tym, że nie będą już mieć dla siebie takiego dnia.

- Teraz każdy dzień ciągnie się jak siedem lat - powiedziała.

- Mogę przyjechać do Sugar Notch. To tylko pół godziny od ciebie w górę rzeki. Mogę przyjechać w poniedziałek po południu.

Ale w poniedziałek po południu przyjeżdżali na tydzień Maggie, Ezra i Dylan.

- Nie możesz się wyrwać? Nawet na godzinę? - powiedział. - Żałuję, że nie możesz teraz wsiąść na mój motor.

- Ja też, Kai.

- To nie metafora, Larisso. Mówię poważnie. Wsiądź na mój motor i odjedźmy stąd.

- Dokąd?

- Nie wiem. Nie znam drogi. Nikt nie wie, dokąd prowadzi. I dopóki jestem z tobą, wcale o to nie dbam.

Larissa żyła tymi słowami, unosiła się na nich, gdy jej dom wypełniał się gośćmi. I to, co powinno być i zawsze było przyjemnością - wspólnie spędzany czas, spokój pod gwiazdami, pod słońcem - stało się torturą, gdy starała się być bardziej obecna, a jednak zawodziła we wszystkim, nawet w rozmowach przy kolacji.

5

Zamiatacze klatek

- Człowiek nie jest wolny. Wolność to iluzja. Kto jest wolny? - Takie słowa padały podczas długich wieczorów, kiedy zadowolone dzieci oglądały w sąsiednim pokoju komedie z Jimem Carreyem, a Riot spała pod ich stopami. Takie słowa padały, gdy Ezra wypił za dużo wina Domaine de la Romanee-Conti.

- Jesteś śmieszny - powiedział Jared, też rozluźniony dzięki Romanee. - Prawda, Lar?

- Prawda, kochanie. - Prawie nie zwracała uwagi na tę wymianę zdań.

Ezra odwrócił się do niej.

- Larisso, możesz nie odebrać dzieci ze szkoły? Możesz nie ugotować kolacji? No, Maggie może nie ugotować, ale wszystkie inne żony takie jak ty?

- Ezra, mówisz jak pedant - odparł Jared. - Mnie chodzi o rzeczy wielkie, a nie o bzdury.

Ezra potrząsnął głową.

- Odbieranie dzieci ze szkoły to nie bzdura, Jared. - Zakręcił winem w kieliszku. - Nikt nie jest wolny. Ani ty. Ani Larissa. Ani ja.

- Ezra, Jaredowi nie o to chodzi - odparła zamyślona Maggie. - Mówi, że w każdej chwili możemy zmienić swoje życie, jeśli tylko się o to postaramy.

Ezra wybuchnął śmiechem.

- Tak myślisz?

- Wiem. Razem z Larissą byliśmy osaczeni w życiu, które nam nie odpowiadało. Zaczęło się nieźle, ale szybko się popsuło. I co zrobiliśmy? Nie siedzieliśmy i nie jęczeliśmy. Zmieniliśmy nasze życie. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi więc: tak. Naprawdę tak uważamy. Zgadza się, Lar?

- Jak najbardziej.

Nie potrafiła połączyć nici słów.

Ezra prychnął.

- To nie jest wolność - powiedział. - Tylko zmieniliście klatki.

Jared roześmiał się niezbity z tropu.

- Mogę spokojnie siedzieć w klatce w Lillypond i na Bellevue Avenue.

- Nie twierdzę, że życie w klatce nie jest dobre - odparł Ezra, kiwając głową. - Jest bardzo dobre. Klatka jest czysta. Słoma świeża. Możesz nawet wyjrzeć na zewnątrz, jeśli zbliżysz się do krat. A od czasu do czasu możesz wyjść na spacer. Ale jak daleko możesz iść?

Larissa milczała. Ale usłyszała wszystko.

- No właśnie! W żaden istotny sposób nie jesteś wolny, by iść dalej. Zerwanie więzów nie jest możliwe. To twoje życie. Zaakceptuj je.

Larissa, Jared i Maggie wymienili lekko wstawione, poirytowane spojrzenia.

- W swojej klatce możesz oddawać się wielu rozrywkom - ciągnął Ezra. - Możesz oglądać telewizję, malować jak Maggie, czytać, możesz ćwiczyć umysł, wymyślać nowe idee. - Dopił resztę wina. - Szczerze mówiąc, moim zdaniem nie można prowadzić zbyt kontrolowanego życia. Nie sądzę, by duchowa śmierć prowadziła niekontrolowane życie. Uważam, że duchowa śmierć i wiele innych jej odmian prowadzą zbyt kontrolowane życie. Wtedy ludziom odbija.

- A ty jesteś na to dowodem, stary - rzucił Jared.

- Ezra, naprawdę chcesz powiedzieć, że nie ma wyjścia? - zapytała sceptycznie Larissa.

- Naprawdę - odparł Ezra. - Nie ma wyjścia. Podaj wino, Jared.

- Skończyło się. Wypiłeś całe dobre. Mam piwo.

- Popić butelkę Romanée-Conti za dwieście dolarów budweiserem? Jest w tym jakaś poezja. Poproszę zimne. - Ezra odwrócił się z powrotem do Larissy i Maggie. - Pod wszystkimi względami, dziewczęta, na wasze skromne, acz zachwycające sposoby jesteście wolne, by uczynić wasz zakątek świata znośnym. Tylko tyle. Oto moje ostateczne stanowisko na temat sensu życia: pijcie z wdziękiem z czary, którą wam po-

dano. Nawiasem mówiąc, obie jesteście w tym doskonałe. Wybraliśmy sobie rewelacyjne kobiety, Jared.

Jared wrócił z dwoma piwami i dwiema szklankami. Podając piwo Ezrze, poklepał Larissę po plecach i przysiadł obok niej na ławce.

- Ale powiedzmy, że ktoś nie ma rodziny albo dzieci jak my - zaczęła w zamyśleniu Larissa. - Jesteś sam. Ze swoją gitarą. Autostopowicz na poboczu drogi. - Udało się jej uśmiechnąć. - Czy wtedy nie jesteś wolny? Wolny, by myśleć tylko o sobie?

- Nie! - wykrzyknął Ezra. Wypił duży łyk piwa. - Wtedy twoja sytuacja jest o wiele gorsza.

- Daj spokój. Gorsza bez dzieci?

- Oczywiście. Bo wtedy jesteś niewolnikiem swoich potrzeb, innych każdego dnia. Codziennie chcesz czegoś innego. Pojawia się nowe pragnienie, które musisz zaspokoić za wszelką cenę. Teraz, gdy nie odrywają cię potrzeby ludzi zależnych od ciebie, niszczy cię twoja moralna pustka, bo zagłębiasz się w sobie przy pełnej aprobacie twojego tak zwanego sumienia. Czy narkomani są wolni? Złodzieje, drobni oszuści? A prostytutki? Alkoholicy?

- On tak może codziennie - powiedziała Maggie do Jareda i Larissy. - Co wieczór mam taki show w domu.

Nie zważając na nią, Ezra mówił dalej:

- To gadanie o wolności jest fatalne. Ukryte w nim ograniczenia na pewno doprowadzą nas w końcu do destrukcji albo psychozy maniakalno-depresyjnej. O wiele lepiej skupić się na innych rzeczach. Na przykład: jak bardzo moje życie przypomina to, które zawsze chciałem wieść? Czy wykorzystuję w najlepszy sposób karty, które mi rozdano? Czy niektóre rzeczy, które robię codziennie, sprawiają mi przyjemność? Czy chciałbym robić coś więcej, być kimś innym? - Ezra skinął głową. - To są dobre pytania. W przeciwieństwie do tych z gry w Skrupuły, którymi stale nas dręczysz, Maggie.

Larissa wiedziała, jak bardzo Jared lubił takie wieczory spędzane na dyskusji o motywach kierujących Otellem, roztrząsaniu zagadnienia wolnej woli i piątego dowodu na istnienie Boga. Umysł Jareda był wypełniony po brzegi detalami jego pracy, zarówno w weekendy, jak

i dni robocze, i uwielbiał to, ale czasami tęsknił za siłą podniosłych argumentów, które kiedyś pozwalały mu błyszczeć jak wstawiony Ezra. Nadal jednak lubił rozmawiać z rozsądnymi sympatycznymi ludźmi o rzeczach, które liczyły się najbardziej.

Larissa wiedziała, że dzięki wieczorom takim jak ten Jared mógł pić z wdziękiem z czary, którą wybrał. Jared, w białym T-shircie i szarej bluzie, ze zmierzwionymi przez cały miesiąc szarobrazowymi włosami, błyszczącymi oczami ukrytymi za okularami w czarnych oprawkach. Objęła go ramieniem, uśmiechnęła się i uniosła kieliszek, by wypić ostatni czerwony łyk.

* * *

Za każdym razem, gdy Larissa wybierała się do sklepu, Maggie mówiła: „Pojadę z tobą”. Czemu miałoby być inaczej? Pojechali na lunch. Raz wybrali się do kina. Grali w remika i scrabble'a, oglądali mecze Yankees i *Szklaną pułapkę*. Pływali. Łowili ryby. Nie było ani jednego dnia deszczu z wyjątkiem ulewy w sercu Larissy. Komórka na kartę nie miała zasięgu; tylko raz, kiedy Larissa pojechała do Naticoke, znalazła na niej dziesięć wiadomości od niego, które przeczytała i jedną po drugiej usunęła. A w sklepie warzywnym, kiedy wybierała brzoskwinie, myśląc o nim, o jego plecach, o małych bliznach na jego ciele, o jednej dłużej na brzuchu, po której przesuwiała w myślach dłońmi, kierując się w dół, nagle rozległ się sygnał nadchodzącej wiadomości i stojąca przy niej Maggie powiedziała:

- Dostałaś SMS-a.

Larissa nie wiedziała, co robić. Dlaczego nie wyciszyła telefonu! Ale przecież nie może o wszystkim pamiętać. Pajęczyna Kaia oplatała trującą zdradliwą nicią każdy szczegół jej życia, tak że nawet tak drobna rzecz jak niewyłączenie sygnału odebranej wiadomości stało się źródłem zagrożenia. Jak ukrywanie krążka z pigułkami w Lillypond. Co ma teraz zrobić?

- Nie sprawdzisz kto to? A jeśli to Jared, który chce więcej piwa?

Nie mogła wyjąć komórki na kartę. Maggie znała jej normalny czarny telefon, a ten był srebrno-czerwony. Cholera! Jest tyle rzeczy, które przeoczyła.

- To Evelyn - powiedziała, wyjmując normalny telefon. Spojrzała na ekran i szybko zamknęła klapkę. - Przesyła pozdrowienia.

Kiedy Maggie odwróciła się, by wziąć plastikową siatkę, Larissa przeczytała wiadomość na komórce na kartę. NIE MOGĘ ŻYĆ.

Lekko drżącymi rękami przycisnęła kciukiem kilka guzików, by usunąć wszystkie wiadomości, także i tę, którą chciała wygrawerować na tabliczce przybitej do serca.

- Evelyn? - powiedziała Maggie, zbyt mocno ściskając brzoskwinę, z której pociekł sok. Włożyła ją potem do siatki, by za nią zapłacić. - Wydawało mi się, że pojechali do Montany, by odwiedzić rodzinę.

- Bo pojechali. Pisała do mnie z Montany.

Ruszyły dalej.

- N i e wiedziałam, że jesteście aż tak blisko.

- Nie możesz wiedzieć wszystkiego, prawda?

- Najwyraźniej.

6

Miami

W następną sobotę DeSwannowie i Starkowie wyjechali z Lillypond. Pożegnali się z lasem i żabami i jechali, mijając Split Rock i jezioro Harmony. Jaredjechał escalade'em z Michelangelem i Emily, a Larissa jaguarem z Asherem.

- Mamo, czy to nie to miejsce, o którym nam opowiadałaś? - zapytał Asher, wskazując tablicę przy autostradzie. - Z parkiem wodnym pod dachem i rodzinnym śpiewaniem?

- Może. Chyba tak, synku. - Larissa utkwiała jednak wzrok w tablicy z pytaniem wypisanym dużymi czarnymi drukowanymi literami: **DOKĄD WŁAŚCIWIE ZMIERZASZ?**

- W folderze wyglądało fajnie. Szkoda, że tu nie przyjechaliśmy. Może w przyszłym roku?

- Może.

Czego to była reklama? Dokąd właściwie zmierzasz? Co za osobliwe pytanie.

- Ośrodek jest otwarty przez cały rok - ciągnął Asher. - Park wodny pod dachem w styczniu może być fajny na weekend. Nigdzie nie jeźdźmy w styczniu. Możemy przyjechać tu zimą.

- Może.

Następnego dnia, którym był akurat poniedziałek, Larissa powiedziała Jaredowi, że musi jechać do galerii. Wybierali się do Miami i celowo zarezerwowała bilety na wtorek rano, wiedząc, że Kai ma poniedziałek wolny.

- Chyba nie mam wyboru i muszę sobie kupić kostiumy kąpielowe - powiedziała. - Nie mogę się pokazać w Miami nieodpowiednio ubrana.

- Jak najbardziej. I nie wracaj bez czegoś seksownego. Może dwuczęściowy?

- Oszalałeś? Mam czterdzieści lat. Na pewno nie kupię dwuczęściowego kostiumu.

- No dobrze. To może znajdziemy ci jakąś sympatyczną plażę, gdzie będziesz mogła się opalać topless. - Chwycił ją, by ją popieścić. - Jedną z tych plaż w stylu europejskim, gdzie ty i twoje nastoletnie cyczuszki będziecie leżeć na słońcu, smażąc się i brązowiejąc.

Wyswobodziła się lekko z jego uścisku.

- Bardzo nastoletnie! A na tę plażę pójdziemy z dziećmi czy bez? Chyba masz na myśli jakieś inne wakacje.

- Najwyraźniej, ale co ciekawe, nagle nie myślę wcale o wakacjach.

Kochali się potem w środku popołudnia, w domu, z kręcącymi się po nim dziećmi, a kiedy zeszli na dół, Jared oświadczył, że pojedzie z nią. Wybierał się z nią do galerii!

- Muszę sobie kupić szorty - powiedział.

- Do galerii, Jared? Mogę ci kupić.

- Wiem, ale chcę je przymierzyć i możemy zjeść lunch w twojej ulubionej kafejce u Neimana. - Przytulił ją. - W ten sposób podziękuję ci za rzadką miłość po południu. - Zanucił coś wesoło. - Emily! Chodź tutaj. Będzie zachwycona, mogąc się zaopiekować Michelangelo, prawda? Emily! Słyszałaś? Rusz zadek!

- T a t o ! Nie!

Co mogła zrobić? Jaka wymówkę wymyślić? Jej mąż, w rzadkim przejawie małżeńskiej bliskości, wybierał się z nią na zakupy! Po kostiumy kąpielowe. Normalnie nawet nie przejeżdżał obok galerii. Czy w telewizji nie było jakiegoś meczu? Nie, w poniedziałki Yankees przemieszczali się z miejsca na miejsce. Larissie zabrakło wymówek. Nie mogła nawet zacząć kłótni. Nie mogła zadzwonić do Kaia i powiedzieć, że nie przyjdzie.

A potem Miami, apartament z dwiema sypialniami z widokiem na ocean w Alexander Resort, słońce, zielony ciepły ocean, hiszpańska gitara grająca rzewne melodie w dzień i w nocy, Czarny Orfeusz od rana do nocy, owoce morza i salsa, piękne sukienki i spalone słońcem twarze. Dzieci zapisały się na tenisa, choć Larissa wołałaby, żeby zostały z nimi. Kai przestał przysyłać wiadomości, nie odpisał na jej przeprosiny, że nie zjawiła się w poniedziałek.

Z pareo owiniętym wokół talii Larissa spacerowała samotnie po terenie hotelu w straszliwym upale. Miami w sierpniu nie było najlepszym pomysłem; zupełnie jakby chodziło się w parze unoszącej się z kotła wrzącej wody ukrytego pod ziemią, a z góry świeciło bezlitosne słońce. Ale za to cudownie się opaliła, a na stopach odcinały się białe paski odjaponek. Zrobiła sobie zdjęcie i wysłała do Kaia, kiedy miała dobry zasięg. Jak cudownie. Fantastycznie. Jak gorąco, jak nie do wytrzymania.

Rzeczywiście, nie do wytrzymania.

Kiedy Jared grał w golfa ze swoim nowym kolegą Markiem, Larissa leżała nad basenem w pobliżu plaży i oceanu w wielkich czarnych okularach i czarnym bikini Christiana Lacroix; szczupła i długonoga, pełna wdzięku i opalona, marzyła o Kaiu, żałowała, że nie może jej

takiej zobaczyć, opalanej jak w szkole średniej, a może jak dziewczyna z wysp w brzoskwiowym topie opinającym brązowe piersi, z bandaną w kwiatki i różowych japonkach. Mógłby uklęknąć pomiędzy jej nogami, zsunąć top i ssać jej sutki na oczach zachwyconego tłumu przy lśniąącym błękitem basenie niedaleko ciepłego oceanu. Potem brałby ją non stop na plażowym łożku, pod palącym popołudniowym słońcem, a obok nich muzyk flamenco grałby delikatnie *Malagueñę* Albéniza, by w jej dźwiękach utonęły rozpaczliwe jęki jej szczytowania.

Pewnego popołudnia, kiedy siedzieli oboje nad basenem, pogrążona w marzeniach Larissa nagle otworzyła oczy i zobaczyła, jak Jared sięga do jej torebki, by znaleźć drobne na napiwek dla kelnera, który przyniósł im mojito. Patrzyła z przerażeniem, jak otwiera torebkę i szuka w niej portfela, pod którym obok różowej gumy do żucia, chusteczek higienicznych, szminki i plastrów leżała jej srebrno-czerwona komórka na kartę.

- Proszę - powiedział, podając cztery dolary cierpliwie czekającemu chłopcu.

- *Gracias, señor.*

- *De nada.* - Jared odwrócił się do Larissy. - Co ci jest? Tak strasznie zbladłaś.

- Chyba za długo siedziałam na słońcu - powiedziała słabym głosem, a serce opadło jej do żołądka. - Podasz mi, proszę, torebkę? Muszę pomalować usta błyszczkiem.

- O tak. Bardzo lubimy, jak jesteś śliczna i się błyszczysz. Wypij drinka. Śliczna, błyszcząca i wstawiona. - Pochylił się w jej stronę z uśmiechem. - I naga.

Rzuciła mu błądy uśmiech, przyciskając torebkę do kolan.

- Idę do łazienki - powiedziała, podnosząc się z trudem z plażowego łożka - ale zacznij już myśleć, gdzie chcesz iść na kolację. Słyszałam, że w Creek 28 w Indian Creek Hotel podają najlepsze steki w Miami.

- Brzmi świetnie. Przyjmują tam dzieci?

- Tak. I karty kredytowe. - Uśmiechnęła się, a on patrzył na nią z podziwem. - Zaraz wrócę. - Gdy tylko weszła do damskiej toalety, trzęsącymi się rękami wyjęła z torebki komórkę, wyłączyła i wrzu-

ciła do kosza na śmieci. Ile jeszcze razy uda się jej tak wywinąć, ile jeszcze takich darów od losu otrzyma, zanim wszystko się wyda? Jakie to głupie z jej strony. Czy *chciała*, żeby ją przyłapano? Spróbuj wytłumaczyć szczęśliwemu mężowi na wakacjach z żoną i dziećmi w Miami, dlaczego jego spocona żona, leżąc prawie naga nad basenem, trzyma przy boku włączoną komórkę na kartę, by czuć przy drżących nogach wibrowanie oznajmiające nadchodzące wiadomości, kiedy opala się z zamkniętymi oczami i spierzchniętymi, lekko rozchylonymi ustami.

7

Drakula

Wrócili do Summit w weekend Święta Pracy. Dzieci miały rozpocząć kolejny rok szkolny: Michelangelo drugą klasę, Asher ósmą, a Emily dziewiątą w szkole średniej. Kai nadal mógł mieć wolne poniedziałki, ale w poniedziałek Święta Pracy jak zwykle Starkowie wydawali u siebie wielkie przyjęcie. Przyszło pięćdziesiąt osób. Dostawcy jedzenia. Alkohol. Lekka jazzowa muzyka. Dizzy Gillespie, Ella Fitzgerald i Ben E. King śpiewali cicho Larissie, że ten, który nie ma niczego, kochają, uwielbia i bardzo jej pragnie.

Zapalono światła nad basenem, wokół którego chodzili goście w kostiumach kąpielowych, na drzewach migotały kolorowe światełka, lekko wstawieni ożywieni znajomi tańczyli, śmiali się, a Larissa przyjmowała komplementy ze wszystkich stron.

- Boże, Larisso, nigdy nie wyglądałaś lepiej.
- Jared, spójrz na żonę! Jest oszałamiająca.
- Lar, co ty z sobą zrobiłaś?
- Lar, napiłaś się ze źródła wiecznej młodości?

Nawet Ezra to zauważył.

- Larisso, mają rację, lśniesz wewnętrznym blaskiem. Wyglądasz na dwadzieścia lat.

- Na dwadzieścia lat młodszą czy na dwadzieścia? - odparowała Larissa, a Maggie, stojąca obok, uszczypnęła ją w ramię i zagruchała:

- A co za różnica?

Poniedziałek, poniedziałek, poniedziałek. Nie rozmawiała z nim od ponad dwóch tygodni, od czasu gdy zignorowała go i nie zadzwoniła. Co on sobie musiał pomyśleć?

Niedługo to się skończy, pomyślała, uśmiechając się do gości, roznosząc drinki i truskawki, tańcząc z Evelyn i Jaredem. Nadejdzie wtorek, dzieci pojedą autobusem do szkoły, Jared samochodem do pracy i ja też odjadę.

We wtorek rano, kiedy wreszcie wyprawiła dzieci do szkoły i sama szykowała się do wyjścia, Ernestina przyszła za wcześnie ze swoją ekipą. Oczekiwany od miesiący pierwszy ranek w samotności minął Larissie na unikaniu czterech niemówiących po angielsku dziewcząt. Zamknęła drzwi sypialni, by wypolerować się niczym jabłko na wystawę, a potem musiała przejść obok Ernestiny.

- Och, pani Larisso, pięknie pani wygląda. Dokąd się pani wybiera?

- Nigdzie, tylko na zakupy.

- O nie, za pięknie pani wygląda na zakupy! - Dziewczęta zachichotały. - Może pani Larissa ma gorącą randkę.

Wypadła z domu, nie oglądając się za siebie. Musi coś zrobić z tym ich gadaniem.

Zadzwoniła na komórkę Kaia z budki przy stacji kolejowej w nadziei, że nikt jej tam nie zobaczy. Jaki mogła mieć powód, by korzystać z publicznego telefonu?

- Cześć, to ja.

- Ach, to ty - powiedział zimnym głosem.

- Kai... och, cholera. - Zabrakło jej słów. - Dostałeś ode mnie zdjęcie?

- Zdjęcie? Jak świetnie się bawisz w Miami? Tak, dostałem.
- Dlaczego mi nie odpisałeś?
- Nie widziałem sensu. Dlaczego mi nie odpowiedziałaś, gdy wysłałem ci dwadzieścia wiadomości do Lillypond?

Był zły.

- Przykro mi z powodu poniedziałku.
- O którym poniedziałku mówisz?
- Kai...
- Co się stało z twoim telefonem?
- Musiałam go wyrzucić - powiedziała. - Jared o mało co go nie znalazł w Miami. To cud, że tak się nie stało.

- Rzeczywiście, cud.
- Co mogłam zrobić? Nie martw się, kupię nowy.
- Wcale się nie martwię. I dlaczego myślisz, że następnego nie znajdzie?

- Nie będę z nim już przebywać dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda?

- Nie wiem. Nie będziesz?
- Kai... kiedy kończysz?
- Chyba o pierwszej. Jestem teraz w pracy. O drugiej muszę iść do Jaguara.

- Wiem.
- Wczoraj miałem wolne.
- Wiem. Ale mieliśmy przyjęcie.
- Jak miło.
- Posłuchaj... - zniżyła głos, żeby się nie załamał. - Przyjadę i zobaczymy się o pierwszej, dobrze?

- Nie wiem. Mówiłaś, że się ze mną zobaczysz, dwa tygodnie temu, ale jakoś sobie tego nie przypominam. Nie podchodzę więc do tego optymistycznie.

Zimna z wierzchu i wilgotna w środku Larissa odwiesiła słuchawkę i pojechała do Pingry na spotkanie o jedenastej z Ezrą i Gangiem Sześciu Przeczących, by pograć w obrady komitetu. Jak się okazało, Denise nie zamierzała wrócić. Postanowiła zostać w domu z dzieckiem.

Larissa nadal była reżyserem. Teraz wspólnie roztrząsali, jaką sztukę wystawić jesienią.

- Podejrzewam, że nie przekonam cię do *Godota*? - zapytał Leroy.

Larissa prawie nie słuchała. Kierowanie zewnętrznym życiem, kiedy jej wewnętrzne krzyczało z bólu, pochłaniało wszystkie jej siły; na rozmawianie ich nie starczało. Pozwoliła im przez chwilę się kłócić i spierać, lecz kiedy zauważyła utkwione w sobie zaciekawione, lekko zdziwione spojrzenie Ezry, zamrugała powiekami i włączyła się do dyskusji.

- Jest jesień - zaczęła. - Potrzebujemy dużej produkcji, pełnej rozmachu. Dam wam wybór. Możemy wystawić albo *Drakulę*, albo *Czarnoksiężnika z Oz*. Na co się decydujecie?

- Dlaczego akurat te dwie? - zapytał Leroy.

- Racja - zgodził się Fred. - Może to zły wybór.

Znów się zaczęła.

- Nie - powiedziała powoli. - To nie jest zły wybór. A skąd to wiemy? Bo jest to jedyny wybór, jaki macie. Wiem, że może chcielibyście wystawić inną sztukę, ale nie znalazła się wśród tych dwóch. Macie dwie okropne, wybierzcie tę, która budzi mniejszy sprzeciw.

- Ale dlaczego to musi być jedna z tych dwóch?

- Bo tak powiedziałam.

Zachowywali się jak dzieci.

Tym razem wtrącił się Ezra.

- Wystawimy *Drakulę* - powiedziała. - Dzieci będą zachwycone. Widownia też.

Reszta zebranych niechętnie się z nim zgodziła.

- Świetnie - powiedziała Larissa. - Leroy, natychmiast przygotuj przesłuchania do dwudziestu ról, czternastu dla dziewcząt i sześciu dla chłopców. Chcę, żeby Lucy grała drobna, niska dziewczyna, napiszcie o tym w ogłoszeniu. Van Helsing musi być wysoki. Ten chłopak, który grał Benedyka w zeszłym roku, Trevor, był świetny. *Wiele hałasu* odniosło taki sukces głównie dzięki niemu. Mam nadzieję, że zgłosi się na przesłuchania. Sheila, zamów proszę co najmniej trzydzieści pięć egzemplarzy sztuki. Ostatnim razem zamówiliśmy dwadzieścia siedem

i nie wystarczyło. Zamów je zaraz dzisiaj. Musimy zacząć. Wystawimy sztukę tuż przed Świętem Dziękczynienia - mamy mnóstwo czasu, by zrobić to dobrze. Fred, świetnie sobie radzisz ze słowami, chciałbyś napisać ogłoszenie o przesłuchaniach?

Fred skinął głową, kipiąc z dumy.

- Doskonale. Vincent, musimy zacząć szkicować zamek Drakuli do pierwszego aktu jak najszybciej. To trzeba zrobić jak należy. Poproś Darę, szefową wydziału sztuk plastycznych, żeby spotkała się ze mną jutro o dziesiątej. Chcę wykorzystać jej studentów do pomocy. To duży projekt. Wszyscy powinni się zaangażować. Sheila, lepiej zamów czterdzieści egzemplarzy. Czuję, że będą nam potrzebne.

Wstała od stołu. Wszystko musiało wyglądać i funkcjonować normalnie, bardziej niż normalnie. Musiało bużować jedностajną efektywnością, przy stałej temperaturze otoczenia dwadzieścia dwa stopnie, temperaturze piekarnika sto siedemdziesiąt stopni, palniki średnio rozgrzane, nic się nie przypala, nie pozostaje bez nadzoru, nic się nie wymyka spod kontroli, nic, nic, nic.

8

Miłość

Stała przy ścianie, dusząc się pod jego dłońmi, leżała na drewnianej podłodze, dusząc się pod jego ciałem, niszczyły ją jego wygłodzone wargi, nagie i wygłodzone ciało.

- Larissa - szeptał raz po raz. - Larissa...

Była pieśnią bez słów. Nie podziwiał nawet jej stroju, opalonych nóg, wiązanych wokół kostki sandałów na koturnie. Nie podziwiał niczego. Była pewna, że nawet na nią nie spojrział, zanim wziął ją, odnalazłszy po omacku, choć wrześnieowy dzień był gorący, a na zewnątrz blask słońca oślepił. A ona jęczała, płakała, płakała i szczytowała.

Nie tak dawno leżałam na leżaku i wyobrażałam to sobie. Dlaczego rzeczywistość jest o wiele bardziej gorzka?

- Tęskniłam za tobą - szepnęła do jego szyi, ramion, oplatając go nogami, czując na sobie jego pot. *Kocham cię.*

- Naprawdę? - Dyszał z zamkniętymi oczami.

- Już nie mogę... proszę.

- Co proszę?

Nie odpowiedziała.

- Co proszę? Proszę więcej czy proszę przestań?

Płakała.

- Nikt cię tak nigdy nie pieprzył - szepnął. - I już nigdy nie będzie. Larissa nie chciała, żeby to była prawda. Ale obawiała się, że jest.

Nie zostawił jej. Pozostał w miejscu, które mieściło ich oboje, dopóki znów nie był na nią gotowy. Potem umyła się zimną wodą, bez mydła i szamponu, by usunąć jego zapach, by ukoić piekące nagie ciało, by się uspokoić.

Siedziała naga na niezaścielonym łóżku. Miała się zacząć ubierać, wyjść, ale nie chciała. *Musiła.* Nie miała wyboru. Bez względu na to, co chciała zrobić, kuratorium stanu New Jersey wypuszczało dzieci ze szkół codziennie o drugiej czterdzieści, nie zważając na to, co robią matki, obojętnie czy karmiły bezdomnych, czy siedziały tutaj w jasnym pokoju, nikogo nie karmiąc, lecz upadając.

Tyle tylko, że... to było dobre. Było piękne.

To cała reszta była niepiękna.

Kai usiadł i Larissa zadrżała. Patrzeć na niego, widzieć jego ręce wyciągające się do niej, by ją pochłonać. Pewnego dnia po prostu zapomni, że jest druga czterdzieści. Wygodnie zapomni. Będzie żyła życiem, w którym druga czterdzieści nie istnieje, będzie taka sama jak pierwsza czterdzieści albo piąta czterdzieści pięć. Jeszcze jedna liczba bez znaczenia, kolejna wśród trzystu pięćdziesięciu dziewięciu innych. Będzie żyła tak jak Che, jak Bo. I w tych trzystu pięćdziesięciu dziewięciu pozostałych minutach jego ręce pozostaną wyciągnięte w jej stronę, a ona nie zejdzie z jego łóżka.

- Och, Kai - powiedziała, ubierając w to słowo całą tęsknotę.

- Nie mogę żyć bez ciebie - powiedział, patrząc na nią.

- Proszę, nie mów tak.

- To prawda. Nie mogę bez ciebie żyć - powtórzył. - Nie byłem z tobą przez całe lato, a teraz wychodzisz z łazienki, gdzie zmyłaś z siebie moją miłość. Zmyłaś mnie. Mówisz, że mnie kochasz, a jednak to robisz.

- Naprawdę? - zapytała i skuliła się pokonana, zwieszając głowę. - Powiedziałam to?

- Tak. W najbardziej intymnym momencie. Mówisz, że mnie kochasz. A jednak to robisz.

CZĘŚC II

SCYLLA I CHARYBDA

Nie znam spokoju ni ciszy, nim spocznę, już wrzawa przychodzi.

Księga Hioba 3,26

1

Zniknięcie Tenestry

- Słyszałaś, że Tenestra, córka Abła, zniknęła? - Ezra zniżył głos. Abel był jednym z podlegających mu profesorów literatury klasycznej.

- Uciekła z domu?

Grali w pokera i Larissa upuściła karty na stół.

- Mniej więcej. Uciekła z odwyku.

- Odwyku! No co ty. Nie Tenny. To niemożliwe.

- A l e tak jest.

- Odwyku od czego?

- Cracku.

- Nie do wiary.

Ezra uniósł kieliszek.

- Zgadza się. Kto teraz rozdaje?

- Ja - odparła Larissa. - Maggie, to prawda?

Maggie wzruszyła ramionami.

- On mówi, że to prawda. Czy to to samo?

- N i e !

- Dlaczego tak się dziwisz? - zapytał Ezra. - Bo chodzi o Tenny?

- T a k .

Dziewczyna była najlepszą uczennicą ósmej klasy i wygłaszała mowę na zakończenie roku. Zgoda, to było trzy lata temu, ale mimo wszystko. Dlaczego to zasmuciło Larissę tak bardzo? Otuliła dłońmi kieliszek z margaritą. Nie wiedziała, co było bardziej przygnębiające:

Tenestra biorąca crack czy Emily, która wróciła do domu w zeszłym tygodniu i dramatycznie wymachując rękami, powiedziała, że jej przyjaciółka Jemma, piętnastolatka, chodzi z dziewiętnastoletnim uczniem z Drew. Jemma, którą Larissa знаła od ośmiu lat, chodziła z *dziewiętnastolatkiem*. To było przytłaczające.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Ezry.

- Uważasz, że najlepsi uczniowie nie mają serotoniny?

- Co? - Larissa z trudem wróciła do tematu rozmowy.

- Myślisz, że nie mają wychwyty zwrotnego? Nie czują euforii? Nie słyszałaś? Po cracku jest się na największym haju z możliwych.

Larissa nie wierzyła, że crack daje aż taki haj.

- Ludzie zostali jednak stworzeni w perwersyjny sposób - ciągnął Ezra, sięgając po karty. - Dwie godziny po największym haju przychodzi największy dół. A ty chcesz znów odlecieć, być szczęśliwa.

- Ez, nie wierzę w to. Nikt nie ucieka z odwyku w Boże Narodzenie - powiedziała Larissa.

Roześmiał się.

- Jest tu tyle logicznych błędów, że nie wiem, od czego zacząć. Chodzi ci o to, że nikt nie ucieka w święta, czy że nikogo nie ma w święta w ośrodku? Która z tych rzeczy bardziej cię irytuje?

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziała ostrożnie, przyglądając się, jak Ezra tasuje karty. - Gdzie ona jest?

- Gdyby wiedzieli gdzie, nie byłoby mowy o zaginięciu, prawda?

- Co robi jej ojciec?

- Odchodzi od zmysłów. A jak myślisz?

- Naprawdę, Lar - powiedziała Maggie. - Wyobraź sobie, że to jedno z twoich dzieci. - Zadrzała. - Nawet nie potrafię pomyśleć, że Dylan mógłby się w coś takiego wplątać. Sama myśl jest nie do zniesienia.

- Nie, Dylan jest bardzo grzecznym chłopcem. Nie musisz się martwić.

- Powiedz to celującej uczennicy Tenestrze!

Z rogu dużego stołu w jadalni, przy którym siedzieli, Larissa spojrzała przez hol w otwartą przestrzeń pokoju, gdzie Emily i Asher leżeli

na podłodze i bawili się z psem piłką, a Michelangelo siedział na plecach Ashera i go łaskotał.

- Szukają jej?
- Jasne! Larisso, co się z tobą dzieje? Oczywiście, że jej szukają.
- Gdzie?
- Wszędzie. Policja wydała specjalny komunikat. Tenestra jest nieletnia.
- Ma przy sobie pieniądze?
- To najbardziej niepokoi Abla - odparł Ezra.
- Bo ma?
- Bo nie ma.

2

Jonny i Stanley

Bo rozpaczliwie dzwoniła do Larissy przez cały poniedziałkowy ranek i nie mogła się z nią połączyć. Nikt nie podnosił słuchawki. To jeszcze pogłębiło jej frustrację. Chciała, *musiała* natychmiast zobaczyć się z przyjaciółką. Larissa zwykle odbierała telefon. Była z tego znana. Co robiła w poniedziałki? Jadła lunch z Maggie? Bo nigdy nie była pewna, którego dnia Maggie akurat pracuje, a którego umawia się z Larissą. Nie chciała umówić się na lunch z nimi obiema. Dziś potrzebowała Larissy tylko dla siebie. Maggie wszystkich osądzała, a Bo potrzebowała rady, nie sądu. Zajmowała mieszkanie z dwiema sypialniami w Chatham, które dzieliła z chłopakiem i przerażająco hipochondryczną matką, rozpadającą się powoli psychicznie od czasu rozvodu przed osiemnastu laty. Jej ostatnim życzeniem, które bardzo często powtarzała, było zobaczyć, jak córka wychodzi w końcu za mąż za chłopaka, z którym była od czasów college'u. Czysta teoria. Pani Purch była zakochana w małżeństwie, nie w Jonnym. Jonny'ego nie znosiła. Bo i Jonny'ego

łączył ognisty romans, gdy byli na ostatnim roku w Rutgers. Ale od tego czasu minęło dziesięć lat.

Bo włączyła automatyczne wybieranie i głośnik, nakładając makijaż przed dużym owalnym lustrem. W poniedziałki Met było zamknięte, lecz czasami Bo i tak tam chodziła (jej praca autora artykułów o ekspozycjach w Met w zasadzie nigdy nie miała końca), lecz dziś postanowiła zostać w domu. Koniec. Jeśli Larissa nie odbierze, Bo do niej pojedzie. Czy to niegrzecznie tak wpaść do kogoś? A jeśli Larissa będzie myć podłogę? Albo brać prysznic? Albo będzie w jakiś sposób niedysponowana? Bo byłaby załamana, gdyby ktoś do niej wpadł, a na stole stały nakrycia po śniadaniu z dwóch dni. Albo gdyby jej matka była nadal w szlafroku. Przez pół dnia - co oznaczało połowę życia - Bo znosiła upokorzenia z powodu braku higieny osobistej matki. Nie miała pojęcia, jak Jonny może nadal z nią mieszkać w tych warunkach. Czasami Bo wspominała o „opiece”, a jej matka patrzyła na nią, jakby Bo była gargulcem. „O czym ty mówisz? O domu opieki? Czuję się świetnie. Mam tylko sześćdziesiąt dziewięć lat”.

Bo nie chciała mieć na sumieniu śmierci matki w domu opieki. Postanowiła przeczekać. Małe mieszkanie, chora matka, dwa koty, z których jeden sikał po całym mieszkaniu, i apetyczny widok na wpół zjedzonych sadzonych jajek wysychających na talerzu zostawionym na okrągłym stole z plastikowym blatem. Tak, gdyby ktoś wpadł zniemacka, byłaby zażenowana. Musiałaby przestać się z tym kimś przyjaźnić. Nie miałyby wyboru.

Z Bo wszystko sprowadzało się do wyglądu. Dopóki ktoś nie widział jej prawdziwego życia, ale widział ją, elegancką, odprasowaną, ze świeżo wyszczotkowanymi prostymi włosami, z uśmiechem na ustach, wszystko było w porządku. Była atrakcyjną kobietą. Wysoka, postawna, i choć jej waga wahała się, dodatkowe dziesięć kilogramów rozkładało się na biodrach i piersiach. Ponieważ mierzyła metr siedemdziesiąt cztery, prawie nie było widać nadwagi. Wszystkie ubrania kupowała w dwóch rozmiarach; w razie potrzeby wkładała większy i tyle. Wygląd był najważniejszy.

Ubrana jak do pracy Bo upewniła się, że matka ma kubek herbaty

w ręce, telewizor jest włączony, okno uchylone mimo zdecydowanych protestów matki, i ruszyła w stronę drzwi wejściowych.

- Tak późno wychodzisz do pracy! - powiedziała pani Purch.

Jeśli w ogóle istniał jakiś powód, żeby wyjść za męża, była nim zmiana nazwiska. Nie nazywałyby się już Bo Purch. Ale nazwisko Jonny'ego wcale nie brzmiało lepiej. Jonny Zoile. Bo Zoile? Nie miała szczęścia do nazwisk. Żałowała, że nie może nosić nazwiska Larissy. Stark. Nawet nazwisko panieńskie Larissy brzmiało elegancko. Connelly. Miała szczęście.

- Zwolnią cię - dodała pani Purch.

- Jestem tylko trochę spóźniona, mam - powiedziała Bo, żałując, że nie może przywiązać matki do kanapy. *Żeby mieć pewność, że będzie bezpieczna.*

Chatham leżało o dziesięć minut jazdy od domu Larissy. Siedem, jeśli trafi na zielone światła na skrzyżowaniu autostrad.

Larissa zjawiła się o trzeciej, z Michelangelem.

Bo wyskoczyła z saturna.

- Boże, Larisso! Rozpaczliwie próbowałam się z tobą skontaktować przez cały dzień. Gdzie się podziewałaś?

- Byłam za zakupach. - Otworzyła bagażnik, by je wyjąć. - Co jest? Michelangelo, bądź grzeczny. Przywitaj się z Bo.

- Cześć, Bo.

Chłopiec stał blisko matki z granatowym plecakiem. Larissa podała mu torbę z papierowymi ręcznikami i chusteczkami higienicznymi.

- Cześć, kochanie. - Był taki słodki z tymi złotymi lokami; miała się go ochotę uściskać i zmierzwić mu włosy. - Jak ci minął dzień? Jak było w szkole?

- Dobrze. Miałem dziś plastykę. Malowaliśmy. Chcesz zobaczyć?

- Jasne, chodźmy do środka. - Bo zwróciła się do Larissy: - Naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Nie poszłam do pracy w nadziei, że zjemy razem lunch.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Dzwoniłam!

- Na komórkę?

- T a k !

- Telefon w ogóle nie dzwonił. Nie wiem, co się z nim dzieje. - Potrząsnęła komórką, przyłożyła ją do ucha. - Zadzwoni do mnie teraz, sprawdzimy, czy działa. Albo nie, zrobimy to później. Muszę wypakować zakupy, bo lody się roztopią. Wszystko w porządku?

- Nie. Nic nie jest w porządku.

- Przykro mi. Mogłabyś wziąć parę siatek?

Bo wzięła dwie i spojrzała skonsternowana na Larissę. Dlaczego zachowywała się, jakby Bo nie stała na jej progu w poważnych tarapatach? Zachowywała się, jakby to było zupełnie normalne: Bo wzięła dzień wolny, czekała na jej podjeździe, chciała z nią porozmawiać! Kiedy Larissa przeszła obok niej w rozpiętym płaszczu, Bo wciągnęła jej zapach. I zdumiała się jeszcze bardziej. Pod typowym dla Larissy zapachem dezodorantu i lekkich perfum Bo mogła przysiąc niemal przed sądem, że wyczuła zapach seksu. Żaden inny zapach nie był do niego podobny: płyny i pot mężczyzny i kobiety zmieszane na kobiecym ciele. Przypominał zapach drewna do kominka w tym, że z niczym nie można go było pomylić. A może się myliła? Czyż Larissa nie powiedziała, że była na zakupach?

Może nie brała od rana prysznic, tłumaczyła sobie Bo. Może właśnie tym zajmowali się z Jaredem przed jego wyjściem do pracy. Nic dziwnego, że byli idealnym małżeństwem. Gdyby Jonny był taki, może Bo nie przyjechałaby do Larissy powiedzieć jej to, co miała do powiedzenia.

- Nie możemy mówić przy małym - powiedziała Larissa, gdy weszli przez tylne drzwi do kuchni. - Używaj eufemizmów, dobra?

Bo patrzyła, jak przyjaciółka krząta się po kuchni, rozpakowuje zakupy. Miała na sobie jasne obcisłe džinsy i elegancki kaszmirowy sweter z widocznymi szwami. Czy džinsy nie były zbyt obcisłe? A zamszowe buty w kolorze czekolady na dziesięciocentymetrowych obcasach (Gucci?) były zdecydowanie zbyt wysokie. Czy tak Larissa ubierała się na zakupy?

- Jak tam u ciebie? - zapytała Bo.
- Dobrze. Po staremu. Nie dzieje się tu nic ekscytującego. Masz ochotę na lody? - zapytała wesoło. - A może na kanapkę?
- Poproszę o kanapkę. Jestem głodna.
- Zrobię wam kanapki z tuńczykiem. Kochanie, masz ochotę na tuńczyka? - zwróciła się do syna.
- Tak, mamusiu. Na angielskiej bułeczce. Z piklami. Ale mogę dostać coś do przegryzienia, gdy będę czekał?
- Oczywiście. Wyjmij zeszyty. Zaczniemy odrabiać lekcje, gdy będę ci przygotowywać kanapkę i przegryzkę. - Stojąc przy lodówce, Larissa odwróciła się do Bo. - Na co masz ochotę do picia? Mogę nam zaparzyć kawy.
- Zaraz zaczęła opowiadać przyjaciółce o sześciu rodzajach kawy, które ma w domu, i jak smakują, gdy przepuści się je przez ekspres. Na co Bo ma ochotę?
- Francuska prażona jest mocna, ale niezbyt pikantna, a kolumbijska jest bardzo łagodna, ale dobra. Mam też włoskie espresso, dość mocne, ale najlepsza ze wszystkich jest jamajska, choć zwodniczo łagodna. Którą wybierasz?
- Chyba jamajską - odparła tępo Bo.
- Dobry wybór. Już się robi. Chcesz ze śmietanką czy z mlekiem?
- Larisso...
- Z cukrem czy słodzikiem?
- Bo odwróciła się do wyspy, by spojrzeć na Michelangela, który wycinał i przyklejał dinozaura, chrupiąc płatki, serowe sznurki, ciasteczko, owoce i popijając to mlekiem. A wszystko w oczekiwaniu na kanapkę z tuńczykiem.
- Lar - zaczęła żałośnie. - Spotkałam kogoś.
- A c h tak? - Larissa mieliła kawę na wysokich obrotach, rozdrabniała tuńczyka widelcem w stalowej misce i wkładała pudełka herbaty do szafki, którą potem głośno zatrzasnęła. Angielskie bułeczki piekły się w tosterze. - Kogo spotkałaś?
- Larisso!
- Odwróciła się, wciąż mieszając tuńczyka.

- Nie słuchasz mnie! *Spotkałam* kogoś - powiedziała Bo scenicznym szeptem, unosząc wyregulowane brwi. Miała nadzieję, że Larissa wie wszystko o scenicznym szepcie.

- Co takiego?

Nareszcie coś do niej dotarło. Usiadła przy wyspie obok Michelangela, a naprzeciwko Bo. Ale tylko na sekundę. Chwilę później znów się zerwała, bo angielskie bułeczki były gotowe. Bo dała Larissie czas, by zaparzyła espresso i zrobiła kanapki, i wreszcie usiadły. Larissa skinęła głową zapraszająco, gotowa słuchać. Bo zaczęła mówić. Mówiła długo. Kiedy skończyła, zapadła długa chwila milczenia. Na szczęście w środku monologu Bo Michelangelo wymknął się, by pooglądać telewizję w pokoju na dole.

Milczenie Larissy trwało niespodziewanie długo, a jej twarz była pozbawiona wyrazu. W końcu przemówiła.

- Zastanawiasz się nad romansiem z mężczyzną, który ma na imię Stanley?

Bo była totalnie zaskoczona.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Nie... to dopiero początek. Od tego zaczynam.

- Co jest nie tak ze Stanleyem?

- Nic... po prostu nie brzmi jak dobre imię dla romansu. - Larissa wypięła długi łyk kawy. - Kawa jest dobra, prawda?

- Tak. Są imiona, które bardziej pasują do romansu?

- Tylko stwierdzam fakt. Czy Stanley ma dobry głos?

- A to co znaczy? Czy to też jeden z warunków udanego romansu? Seksowne imię i dobry głos?

- Nie zaszkodzi. Jest przystojny?

- Nie w konwencjonalnym sensie.

- Nie jest przystojny w konwencjonalnym sensie? - Larissa znów urwała. - Jonny jest takim przystojnym mężczyzną - powiedziała po chwili. - I ma bardzo dobry głos.

- Żyję z Jonnym! Nie muszę mieć z nim romansu.

- Masz rację. A jaki jest ten Stanley?

- Przykuwa uwagę, jest interesujący i uwielbiam go słuchać, jest

niezwykle mądry i gra w zespole. Zadurzyłam się w nim na maksa, Lar. Nie myślę o tym, żeby z nim być, bo chcę mieć przy sobie kogoś, kto jest przystojny w konwencjonalny sposób. A Jonny jest bardzo przystojny.

- To prawda. Masz ochotę na struclę z serem? Kupiłam w piekarni u ciebie w Chatham i jest niewiarygodna. No, zjedz ze mną kawałek.

Bo zaczęła podejrzewać, że Larissa niewiele jej pomoże.

- Co mam zrobić? - zapytała, przebijając nerwowo palcami.

- Nie wiem! - odparła ostro Larissa. - Skąd mam wiedzieć? A co chcesz zrobić?

- Nie wiem. Jak myślisz, co powinnam?

- Jak myślę? A kim ja jestem, papieżem? Skąd mam wiedzieć, Bo? Dlaczego pytasz mnie?

- Bo jesteś moją przyjaciółką.

Larissa obeszła wyspę i objęła Bo ramieniem.

- Przepraszam. Oczywiście. Ale, kochanie, to nie jest moje życie, lecz twoje. Ważne, co ty chcesz zrobić. I myślałam, że Jonny znalazł pracę.

- A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

Larissa się zamyśliła.

- Wydawało mi się, że chcesz, żeby znalazł pracę.

- Bo chciałam! Ale powtarzam, co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- Nie wiem. Myślałam, że to wszystko polepszy.

- Nie jestem nieszczęśliwa z Jonnym. Po prostu nie jestem z nim szczęśliwa. Utknęliśmy w koleinie, w tym samym miejscu od lat, jesteśmy znudzeni monotonią.

- Hmm.

Bo patrzyła, jak Larissa się jej przygląda, przygryzając wargę. Larissa, z lekkim nieskazitelnym makijażem, taka opanowana i uprzejma, tak cudownie powierzchowna, uśmiechnięta, miła, elegancka. Z idealnymi lśniącymi włosami, prostymi, z równym przedziałkiem. Bo nigdy wcześniej nie rozmawiała z nią na tak osobiste tematy, może właśnie dlatego. Przyjaźniły się, lecz na dorosły sposób - kiedy rozmawia się

o wszystkim, tylko nie o swoim życiu. Może się pomyliła, zwierając się właśnie Larissie. Spróbowała jeszcze raz.

- Chyba nadal coś czuję do Jonny'ego.

- Oczywiście. To nie znika tak od razu. Byliście razem tak długo. Macie rodzinę, zbudowaliście wspólne życie, macie dzieci...

Bo zmrużyła oczy.

- Co ty wygadujesz? - zapytała. - Przecież nie mamy dzieci. O kim mówisz?

Larissa zamrugała powiekami.

- Yhm... wiesz, o co mi chodzi. - Zaśmiała się lekko zażenowana.

Bo przyglądała się jej uważnie.

- Wiesz, co myślę, Bo? Powinniśmy wtajemniczyć w to Maggie.

- Nie sądzisz, że jest zbyt krytyczna?

- Nie, nie. Jest bardzo mądra. I dobra. Ma wspaniałe pomysły. Pogadamy o tym razem. Bo widzisz, teraz muszę niestety pędzić. Muszę odebrać Emily ze szkoły. Ma przesłuchania do konkursu, a jest prawie w połę do piątej. A Asher ma trening do piątej. Ja... to nie jest dla mnie najlepsza pora, bo nie mogę ci poświęcić całej uwagi. Jestem trochę rozkojarzona, a to niesprawiedliwe w stosunku do ciebie.

- Dzwoniłam do ciebie cały dzień - powiedziała żałośnie Bo. - Gdzie byłaś? Dzwoniłam nawet do Pingry, ale Ezra powiedział, że nigdy tam nie przyjeżdżasz w poniedziałki.

- To prawda.

- Nie wiem, co robić. Chyba jestem znudzona. Chcę dodać życiu trochę przyprawy.

- Znudzona? Bo, jak możesz być znudzona? Codziennie jeździsz do miasta. Pracujesz w Met, na miłość boską. Pracujesz przy fantastycznych ekspozycjach, najlepszych na świecie, spotykasz ważnych, fascynujących ludzi, podróżujesz. Masz uroczonego chłopaka, który jest mądry i który znalazł wreszcie pracę.

- Wiem. Ale wypalamy się. Tak dobrze się znamy...

- To zerwij z nim - powiedziała Larissa. - Nie jesteś zamężna. To łatwe. Masz szczęście. Nie masz dzieci, żadnych zobowiązań. Czy dlatego nie chciałaś wyjść za mąż? Żeby nadal mieć otwartą drogę?

- Nie - odparła obronnym tonem Bo. - Wszystko źle zrozumiałaś. Nie chciałam wychodzić za męża, bo nie wierzymy z Jonnym w małżeństwo.

- To wspaniale! Jakie to wygodne! Skoro nie chcecie być razem, to rozstańcie się.

- Kto tak powiedział?

- No cóż... czy nie powiedziałaś...?

- Nie. Powiedziałam, że nie wiem. Nawet jeszcze nie spałam ze Stanleyem.

- Och. Taak... - Larissa zawiesiła głos. - Chyba niepotrzebnie to wszystko komplikujesz. Wiesz, co mam na myśli?

- Larisso, razem z matką mieszkamy w mieszkaniu, które Jonny odziedziczył po śmierci matki. Nie mogę tak po prostu się spakować i wyprowadzić. Poza tym nawet nie wiem, czy Stanley by chciał, żebym się do niego wprowadziła. Nawet nie...

- Rozumiem. Najpierw chciałabyś... a potem zapytać go, czy możesz się wprowadzić.

- Nie wiem, czy chcę zrywać z Jonnym. Kocham go.

Larissa się uśmiechnęła.

- No, teraz już coś mamy.

Bo nie mogła uwierzyć, że właśnie wyznała miłość do Jonny'ego.

- Muszę pędzić, kochanie - powiedziała Larissa. - Zostań na kolację, proszę. Ale najpierw muszę przywieźć dzieci.

- Nie, nie - odparła Bo, wstając z wysokiego stołka. - Chyba będę się zbierać.

- Zjedzmy lunch z Maggie. Pójdziemy w miasto jak kiedyś.

- Od dawna tego nie robiłaś.

- Tak. Byłam bardzo zajęta. Wiesz, jak to jest.

- Czyżby? - zapytała Bo, gdy Larissa odprowadzała ją do tylnych drzwi. - Możesz przyjechać do miasta jutro?

- Jutro? Zadzwońię do Maggie, sprawdzę, czy ma czas. Ostatnio nie najlepiej się czuła. Nie miała na nic ochoty. Zadzwońię do ciebie wieczorem. - Pocałowała Bo w policzek, otworzyła drzwi, pomachała ręką i zanim Bo zdążyła wsiąść do samochodu, drzwi zatrzasnęły się i Larissa zniknęła.

3

Środek nocy

Telefon zadzwonił o dziwnej porze. Było wpół do trzeciej nad ranem i dzwonek wyrwał Larissę ze snu. Jej pierwszą reakcją było nie odbierać. Kto mógł dzwonić o takiej porze i z jakiego powodu? Oczywiście to mogła być jej matka z przerażającymi wieściami o stanie zdrowia, ale przy pechu Larissy mógł dzwonić właśnie pech. Serce waliło jej jak młotem podczas czterech dzwonek, które rozległy się, zanim zgłosiła się sekretarka. Wyobrażała sobie głos Kaia, głos Jareda, jej życie znów stanęło na głowie, rozległ się trzask metalu...

W końcu to Jared zwlókł się z łóżka.

— Nie słyszałaś?

- Czego? - spytała w ciemności. Jej głos brzmiał zupełnie obco.

Jared odebrał.

- Halo?

Larissa nie słyszała reszty, nie wiedziała, czy Jared słucha, czy odpowiada. Dyszała ciężko. Nagle poczuła, że szturchają ją w ramię i podaje jej słuchawkę.

- Boże, to do ciebie... - odsunął się na swoją stronę łóżka. Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Larissa, kochanie! - Głos był stłumiony, satelitarne połączenie urywane. Dzwoniła Che.

- Che! O mój Boże! Che!

Jared jęknął zniesmaczony i nakrył głowę kołdrą. Ogarnięta falą nagłej ulgi, podniesiona na duchu Larissa zerwała się z łóżka, wypadła z sypialni i pobięła na dół.

- Che, jest prawie trzecia nad ranem! Wszystko w porządku?

- Sama mi powiedz, Larisso Stark. Jak myślisz, dlaczego dzwonię?

Co może sprawić, że kobieta bez grosza dzwoni do swojej najlepszej przyjaciółki w środku pieprzonej nocy?

- N i e wiem. - Larissa zastanowiła się, pocierając zaspane oczy. - Poczekaj... nie jesteś... chyba... jesteś w ciąży?

- T a k !

- A a a c h !

- Aaach!

- To najwspanialsza wiadomość, jaką słyszałam w życiu!

- Prawda?

- O mój Boże!

- Wiem! O mój Boże! Czyż to nie wspaniałe?

- Najwspanialsze.

- Wreszcie.

- Wreszcie.

- Och, Che. Tak się cieszę ze względu na ciebie. Tak się cieszę.

- Jesteś pierwszą osobą, do której zadzwoniłam. Tak bardzo za tobą tęsknię.

- A ja za tobą.

- Larisso, nie mogę uwierzyć, że to się w końcu stało.

- W którym jesteś tygodniu?

- W drugiej minucie. Kochaliśmy się wczoraj.

Larissa się roześmiała.

- To skąd wiesz, że jesteś w ciąży?

- Zakonnice mi powiedziały.

- Zakonnice?

- Tak. Znają się na tych rzeczach. Są jak wróżki.

- Hmm. Che, może powinnaś iść do lekarza? No wiesz, żeby się upewnić.

- Byłam, głupia. Dzisiaj potwierdził to, co zakonnice powiedziały mi dwa tygodnie temu.

- Zrobił badanie krwi?

- Tak, tak. Zrobił. Ale zakonnice wiedziały, bo czuły we mnie jej duszę.

- Jej duszę?
- Tak. Siostra Agata mi powiedziała.
- Potrafi odróżnić?
- Duszę dziewczynki? Oczywiście. Och, Larisso... musisz tu przyjechać na poród mojego dziecka. Nie mogę urodzić bez ciebie.
- Ale jakoś beze mnie poczęłaś?
Wybuchnęły śmiechem.
- Aaach!
- Aaach!
- Lorenzo jest szczęśliwy?
- Nie wiem. Popłynął na ryby. Próbuje rozkręcić własny interes jak rodzice.
- Jak mu idzie?
- Powoli. Mówi, że nie ma ryb. Tak między nami uważam, że marny z niego rybak.
- Och, Che.
- Och, Larisso.
- Ile czasu zostało ci jeszcze na karcie?
- Nie wiem. Może nas rozłączyć w każdej chwili. Dlaczego u licha nie pisałaś do mnie od ponad sześciu miesięcy?
- Przepraszam.
- I masz za co. Wiem, że dzieje się coś bardzo złego.
Larissa zaczęła płakać.
- Lar, płaczesz? O mój Boże. To Jared, prawda? Co zrobił? Zabije go. Co zrobił?
- Nie, nie, Che... to nie to, o czym myślisz.
- To co się dzieje, kochanie? Dlaczego płaczesz? Co się mogło stać?
- Bo mam straszne kłopoty, Che - szepnęła Larissa. - Straszne. Nie mogłam ci o niczym napisać, bo to zbyt okropne, by pisać o tym w liście. Ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy. - Słowa stawały się niewyraźne. - Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Jesteś tak daleko, a tak bardzo cię potrzebuję. Nawet nie potrafię ci powiedzieć jak bardzo. - Larissa wydmuchała nos, wytarła oczy. - Che? Jesteś tam? Słyszałaś mnie? Che!

Połączenie zostało przerwane. Larissa nie mogła wrócić do łóżka i chodziła po mrocznym cichym domu. Następnego ranka pojechała do galerii, kupiła czternaście strojów ciążowych, po dwa na każdy dzień tygodnia, i wysłała Che paczkę z przekazem na tysiąc dolarów. Dołączyła do paczki kartkę z gratulacjami. Nie napisała jednak listu. Nie miała absolutnie nic do powiedzenia.

4

Larissa epikurejka

Ezra i Larissa jak co miesiąc jedli razem lunch, by omówić przy nim sprawy wydziału.

- Dlaczego tak ładnie wyglądasz? - zapytał.

Miała na sobie džinsowy żakiet Escady i džinsy True Religion.

- Wcale nie tak ładnie. To tylko džinsowy żakiet i spodnie.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie wiem. Ale to ładny zestaw na wtorkowe popołudnie.

- Dziękuję. A mnie się podoba twoja zielona sztruksowa marynarka. Świetnie pasuje do fioletowego krawata. - Uśmiechnęła się.

- Yhm. Teraz słuchaj. Myślałaś już o sztuce na wiosnę?

- Nie! Mamy dopiero styczeń. Nadal próbujemy *Godota* z tym nieznójnym Leroyem.

- Chodzi mi o to, że czytamy *Świętą Joannę* Shawa na zajęciach z angielskiego. Może byłoby dobrze, gdyby uczniowie mogli ją jednocześnie wystawić.

- *Święta Joanna*? - powiedziała Larissa po namyśle. - Przez trzy miesiące słuchać, jak Bernard Shaw przeprosza za Anglików?

Ezra uśmiechnął się blado.

- *Święta Joanna* jest znakomicie napisana i jest w niej dwadzieścia ról. Ale kto mógłby zagrać Joannę? Na niej opiera się cała sztuka.

Larissa westchnęła.

- Nie wiem. Tiffany?

- Daj spokój - rzucił rozbawiony Ezra. - Była niezła w *Drakuli*, ale nie jest dość poważna. *Święta Joanna* opowiada o rzeczach świętych. - Oboje zamilkli i utkwili wzrok w swoich kawach.

- Może zrobimy z tego musical? Z numerami tańczonymi komentującymi akcję. Może kiedy Joanna będzie płonać na stosie, tancerze zaśpiewają *Świt ery Wodnika*?

- Dla mnie zbyt awangardowe.

- A może rzewna gitara z lewej strony sceny punktująca akcję piosenkami? - Larissa zamieszała zimną kawę. - Posłuchaj, to nie jest twój najgorszy pomysł. Znajdę sztukę w domu i jeszcze raz przeczytam. Dam ci znać.

- Nie musisz szukać - powiedział Ezra, wyjmując egzemplarz ze zniszczonego neserera.

- Niezły jesteś. - Wzięła książkę i zauważyła przy tym jego zaczerwienione oczy.

- Wszystko w porządku, Lar?

- O co ci chodzi?

- N i e wiem. Wydajesz się...

- Nic mi nie jest. - Zmarszczyła brwi. - Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Ostatnio jesteś jakaś nieswoja.

- Czyja?

Uśmiechnął się.

- Jakby coś było nie tak.

- Zabawne, miałam to samo powiedzieć o tobie.

- Ze mną wszystko w porządku. Maggie z tobą nie rozmawiała?

To pytanie wzbudziło czujność obojętnej dotąd Larissy.

- O czym?

Westchnął.

- Nie czuje się dobrze.

- Wspominała o tym, tak.

- No cóż. Ma... - urwał.

- Mówiła mi jakiś czas temu - ciągnęła za niego Larissa - że ma problemy z... co to było... a tak, infekcjami dróg moczowych.

Ezra wykrzywił usta.

- W istocie... dziwi mnie, że ci nie powiedziała, ale wykryto u niej przewlekłą chorobę nerek.

- Co? Nie. Biedna Maggie.

- Tak. Nie jest to zwykła infekcja.

- Co ją powoduje?

- W jej przypadku wysokie ciśnienie krwi.

- Maggie ma wysokie ciśnienie? Nie wiedziałam.

- Od lat zażywa leki na ciśnienie. - Ezra zmarszczył brwi. - Nie wiedziałaś o tym? Miała nadciśnienie w ciąży z Dylanem. Musiała go urodzić sześć tygodni wcześniej. To dlatego nie może mieć więcej dzieci.

- Oczywiście. Zabawne, myślałam, że to skutek uboczny ciąży i mija. - Unikała zdumionego badawczego wzroku Ezry. - Co teraz?

- Teraz jest chora cały czas. Nerki nie filtrują płynów jak należy.

- Co na to zapisują?

- Uwierz mi, bierze wszystkie możliwe lekarstwa. Dwa razy dziennie. Ale nadal ją boli.

- Chore nerki bardzo bołą.

- Tak. - Ezra nie patrzył na Larissę. - To zmieniło jej życie, nasze. I to nie na lepsze.

- Och, Ezra. Martwisz się o nią?

Machnął ręką.

- Trochę. Poradzi sobie. Chodzi o to... nie wiem, czy rozmawiała z tobą o tym, ale jednym ze skutków choroby jest to, że wysączyła z niej resztki energii i zdrowia. Stale jest jej niedobrze.

- To zauważyłam.

- Ostatnio rzadko się spotykałyście, nie chodzicie ani na zakupy, ani na lunch.

- Rzeczywiście.

- Zastanawia się, czy nie przestać uczyć.

- N i e !
- Wiem. Wydaje się nie do pomyślenia. Pytałem ją: Dlaczego? Zostaniesz w domu i co będziesz robić?
- No właśnie - zgodziła się Larissa. - Powinnam z nią porozmawiać.
- Proszę. Ale nie chcę, żeby pomyślała, że się skarżę. Nie spodoba się jej to.
- Nie skarzysz się. Tylko martwisz się o nią. To co innego.
- Ezra znów unikał wzroku Larissy.
- Z wyjątkiem jednego drobiazgu...
- Jednej małej skargi?
- Maleńkiej. - Odchrząknął. - Ten cały problem z nerkami zniszczył nasze... życie intymne.
- Naprawdę?
- T a k .
- Jak bardzo?
- Mniej więcej jak tama.
- Hmm. Tama. Ale trochę wody przecieka od czasu do czasu?
- Nie. Jest całkiem sucho.
- Sucho? Naprawdę? Od jak dawna?
- Ezra milczał przez chwilę.
- Od lata.
- Larissa była wstrząśnięta.
- A l e , Ezra...
- No właśnie.
- Och, Ez. Nie miałam pojęcia.
- Myślałem, że może o tym wspominała.
- Dziwne, że tego nie zrobiła.
- Wiesz, Maggie mówi, że ostatnimi czasy jakoś trudno jej z tobą rozmawiać.
- Rozkojarzona Larissa nie prosiła o wyjaśnienie.
- Mówi, że nie słuchasz.
- Czego?
- Wszystkiego.

- To głupie. Przecież słucham.
 - Bardzo dobrze się maskujesz. Mówię ci tylko, co Maggie powiedziała.
 - Może dlatego ze mną nie rozmawiała. Bo uważa, że nie słucham.
 - Być może.
 - Postaram się poprawić. Dobrze?
- Ezra skinął głową.
- Bardzo by jej się teraz przydała przyjaciółka.
 - Tak jest. Komu nie? - Spojrzała na niego ze współczuciem. - Obiecuję, że z nią porozmawiam. Będę bardzo taktowna.
- Spojrzał na nią drwiąco.
- Możesz spróbować. Ale ostrzegam cię, wiesz, jaka jest Maggie. Próbuje dojść, dlaczego została obciążona tą chorobą.
- Larissa wzruszyła ramionami.
- Och, tylko nie to. Dlaczego zawsze musi być jakiś powód? Dlaczego nie mogła po prostu zostać obciążona?
 - Przez kogo?
 - Czyż nie tak brzmi odwieczne pytanie? - Roześmiała się lekko i ożywiła. - Dlaczego Pozzo w *Godocie* nie może mieć racji? Pewnego dnia obudził się ślepy jak los. Dlaczego nie możemy zapadać na choroby ślepym zrządzeniem losu?
 - Wiesz, że Maggie nie wierzy, że rzeczy po prostu się dzieją.
 - Nawet ból głowy?
 - To nie jest ból głowy. To poważna choroba. I ma wpływ na jej życie, na całą rodzinę. Czuje się odpowiedzialna.
- Larissa przygryzła wargę.
- Zbyt dużo wymaga od swojego ciała. Przecież na pewno nie zachorowała celowo.
 - Jasne, że nie. Ale próbuje dojść... - Ezra lekko zacisnął usta - czy to ostrzeżenie świętego Tomasza z Akwinu, czy epikurejska walka, by pracować ciężiej i zniwelować ból.
 - Epikur zdaje się przegrywać.
 - Nie żartuję.
 - A co napisał Tomasz?

- Ból zsyła na nas Bóg, byśmy mogli ochronić nasze materialne ciało i przestali robić to, co wywołuje ból. W ten sposób, ochraniając ciało, chronimy naszą niematerialną nieśmiertelną duszę.

Larissa się zamyśliła.

- Niematerialną, czyli nieważną?

Ezra zaśmiał się cicho.

- Wiedziałem, że o to zapytasz. Nie. Niematerialną, czyli znajdującą się poza materią.

- A l e czy twój Epikur nie twierdzi, że poza materią nic nie istnieje?

- Tak, ale Maggie cierpi. Musi pogodzić się z tą transformacją ciała i w konsekwencji transformacją całego życia.

- Ale dlaczego to nie może być proste? Dlaczego ślepy Pozzo nie może mieć racji?

- Bo ona nie wyzdrowieje - odparł Ezra. - A to jest dla niej źródłem cierpienia duchowego. Maggie uważa, że ból oznacza, że złamała jakieś prawa, które znalazły się w jej śmiertelnym ciele za sprawą siły dającej życie. Może była nierozważna lub zbyt sobie pobłażała. Maggie nie jest naturalistką, Larisso. Nie jest posłuszna przypadkowym prawom natury. Jest etyczką. Jest posłuszna prawom, ponieważ widzi w nich źródło boskości.

- Nierozważna? - Larissa pokręciła głową. - To nie Maggie.

- Lubi jeść, lubi sól, nie pije wystarczająco dużo wody, nie znosi soku z żurawiny.

- Ezra, karą za to nie jest choroba nerek!

- Ona uważa, że tak.

- Dostała tylko parszywy zestaw genów od rodziców. Co to ma wspólnego z nią?

- Bo to jej życie się zmieniło - odparł. - I moje.

- Nie wiem, w czym może tu pomóc obwinianie samej siebie - powiedziała stanowczo Larissa. - Jestem pewna, że Epikur by się ze mną zgodził.

Ezra się uśmiechnął.

- Pewnie, dla wirujących atomów cała ta gadka o etyce jest bez sensu.

- No właśnie. Czyż to nie jest bardziej pocieszające?
- Maggie tak nie uważa. Ale próbuje zmierzać w stronę modelu epikurejskiego.
- Niezły cel - przyznała wesoło Larissa. - Co Epikur mówi o duszy?
- Błyskotliwie twierdzi, że jej nie mamy.
- Nie ma duszy! Larissa szeroko otworzyła oczy.
- Nie ma duszy, naprawdę? - Zamyśliła się. - To oznacza, że nie ma Boga?
- Zgadza się. Za jego czasów co prawda bogów, ale wychodzi na jedno.
- No nie. Nie ma Boga, nie ma duszy!
- Czy Maggie nie byłoby łatwiej żyć w świecie pozbawionym duszy?
- Łatwiej? - Ezra wzruszył ramionami. - Bez duszy mielibyśmy tylko tu i teraz, nic więcej.
- No właśnie! - Larissa wyraźnie się ożywiła.
- A l e t u i t e r a z c i a ł o M a g g i e j e s t c h o r e - powiedział Ezra. - Jeśli Epikur ma rację, ona ma tylko ciało, a ono ją zawodzi. Nie jest to tak wielką pociechą, jak mogłabyś sądzić.
- Chyba nie. - Przygnębiona Larissa otuliła dłońmi kubek z kawą. - Ale wiesz co? Jeśli nie ma duszy, nie ma Boga, a jeśli nie ma Boga, nie ma też sądu. A jeśli nie ma sądu, przy odrobinie ciężkiej pracy może też nie być sumienia - Nie ma sumienia! - Nie ma granic moralnych, praw etycznych, rozumiesz? Brak konsekwencji oznacza brak kary. Powiedz to Maggie. Wtedy nie musisz cierpieć. Musisz tylko poczuć się lepiej.
- J a k ?
- Porozmawiam z nią. Powiem jej to prosto z mostu. Powiem jej, że jeśli Bóg nie miesza się do natury, nie miesza się też do śmiertelnego ciała człowieka. Jeśli nie ma Boga, oznacza to, że możesz sobie wszystko wyperswadować. Albo przekonać się do wszystkiego.
- Wyperswadować? Ale jaką metodą? Wirującymi atomami?
- Zgadza się! Bo atomy nie potrafią rozumować.
- No właśnie - odparł Ezra z uśmiechem. - Materia musi się jakoś

nauczyć przestać nad sobą zastanawiać. To niezła sztuczka. Maggie jeszcze jej nie opanowała. A ty?

- To nie jest łatwe - zgodziła się Larissa.

- Bo najpierw musisz wytłumaczyć, jaką metodą udaje ci się zbadać samego siebie. Cząsteczki tego nie potrafią, prawda? Atomy nie potrafią rozumować. Nie są ani naturalistami, ani etykami.

- Są niczym. Po prostu niczym - powiedziała. - Czyż to nie jest pocieszające? Już czuję się lepiej. Powiedz Maggie, żeby wypita trochę soku z żurawiny. Działa cuda przy chorych nerkach.

- Nie znosi soku z żurawiny. Może zapomniałem o tym wspomnieć.

Larissa zerwała się nagle. Chwyciła talerz i kubek jak sprawna kelnerka.

- Dokąd idziesz? Dopiero południe.

- Muszę coś kupić i coś zrobić. Kto kupi jedzenie, gdy będziemy się zastanawiać nad naszymi cząsteczkami? Nie mam już ekipy do sprzątniania.

- Nie? Co się stało z Ernestiną?

Larissa przesunęła dłonią wzdłuż szyi.

- Musiałam ją zwolnić.

- Dlaczego? Kiedy?

Słyszałam, jak chodzą. Chciałam, żeby przestały, muszę wziąć telefon, na wypadek gdyby zadzwonił, ale nie mogę otworzyć drzwi, a one stale pukają, co dwie sekundy, pytając, czy chcę kawy, czystą pościel, czy mogą teraz pościelić łóżko, posprzątać sypialnię, czy potrzebuję czegoś ze sklepu, gdzie są papierowe ręczniki. Chyba oszaleję. Są w łazience na dole, w holu, odkurzają, kiedy tylko się odwrócę, one tam są. Jedna, druga, trzecia. Próbowiałam przenieść je na inny dzień, nie poniedziałek, ale nie mają wolnych terminów. Przychodzą o wpół do dziewiątej, dzieci dopiero co wyszły do szkoły, a one już pukają.

- Ubieram się, nie, nie, dziękuję. Niczego nie potrzebuję.

Słyszę je jak myszy, jak wiewiórki za drzwiami.

- Ależ pani pięknie wygląda! Gdzie się pani wybiera?

- Do szkoły, Ernestino. Reżyseruję sztukę.

- *Ślicznie pani wygląda. Przepięknie. Stroi się pani do sklepu jak ja dla mojego chłopaka.*

Larissa wzruszyła ramionami.

- Miałam dość ich obecności w domu. Poza tym wydaje mi się, że jedna z dziewcząt coś podkradała.

To nie była prawda. Chciała tylko zakończyć rozmowę.

- Naprawdę? To co teraz robisz?

- Sprzątam sama. - Kiedy spojrzał na nią z niedowierzaniem, powiedziała: - No co, myślisz, że nie potrafię? Że boję się ubrudzić ręce?

Wybiegła ze stołówki.

- Larisso, poczekaj! - Ezra dogonił ją w holu. - Jeszcze jedno.

- Ale szybko. Muszę pędzić.

- Nie chcę wystawiać *Świętej Joanny*, dopóki nie zgodzimy się co do głównej roli. To musi być odpowiednia kandydatka.

- Co powiesz na Megan?

- Megan! Żartujesz! Nie słuchasz, co mówię.

- Słucham. - Prawie biegła.

- Jest rozpuszczona i za gruba. Jak może uwolnić Francuzów i przywrócić króla na tron? Jest gruba!

- Grubi ludzie nie mogą zostać męczennikami?

- Larisso, nie bierzesz tego poważnie. Megan nie nadaje się do tej roli.

Larissa pokręciła głową i przyspieszyła.

- Może Tiffany?

- Tylko nie Tiffany! - zawołał Ezra do jej oddalających się pleców. - Nie wolno biegać po korytarzach!

Uciekała.

- Megan będzie świetna - zawołała, machając do niego ręką. - Zobaczysz. Obsadzimy ją wbrew warunkom, będzie fantastyczna. Miękką i pulchną na zewnątrz, zabójczą w środku.

* * *

Ona przyjechała wcześniej, on się spóźnił. Siedziała w samochodzie i czekała, zastanawiając się, czy powinna skorzystać z klucza i wejść.

Do czego jest ten klucz? - zapytał Jared kilka tygodni temu, a Larissa odparła, że nie wie. Hmm, odparł. Dziwne. Podenerwowana Larissa, wyczuwając nadciągające kłopoty, chciała go oddać Kaiowi, lecz on się nie zgodził. To twój klucz. Nie mogę ci dać biżuterii, samochodów, ładnych rzeczy. Nie mogę ci dać niczego. Ale mogę ci dać klucz, jak klucz do mnie. Dopóki będziesz go miała, będziesz wiedziała, że moje drzwi są zawsze otwarte. Gdyby mogła go zawiesić na złotym łańcuszku na szyi, na pewno by to zrobiła. Na razie mogła tylko jeździć i ścisnąć go w palcach. Kupiła do niego pozłacany breloczek wysadzany czerwonymi kryształami Swarovskiego, a kiedy zobaczył go Jared, zapytał:

- Czy to Swarovski?
- Nie, kochanie. Kupiłam go w kiosku z drobiazgami w galerii.
- Wygląda bardzo autentycznie.
- Prawda?

A co by było, gdybym skorzystała z klucza, kiedy nie będzie cię w domu?

- I co zrobiła? Zaczęła węszyć? - Uśmiechnął się łobuzersko. - To takie seksowne. Czego byś szukała? Brzydkich rzeczy?

- Nie wiem.
- A co byś chciała znaleźć? Stare listy miłosne?

Prędzej nowe listy miłosne, odparła cicho.

Przytulił usta do jej szyi, wsunął palce we włosy.

- Powiedz mi - szepnął ochryple - pisałeś do mnie ostatnio?

Na razie więc czekała. Od dwóch miesięcy było mroźno i padał śnieg. Wczoraj nad miastem szalała dziewiąta burza śnieżna. Dziś było piętnaście stopni mrozu. Po kolejnej minucie usłyszała silnik jego ducati na Samson. Zaparkował obok niej na podjeździe i zeskoczył z siodła w kasku, pod który włożył narciarską czapkę.

- Jezu, ale zimno. Chodź - powiedział z uśmiechem. Pocałował ją przez otwarte okno. - Jesteś moim talizmanem. Sprzedałem dziś trzy

jaguary, ostatniego pięć minut temu. Dlatego się spóźniłem. Nie mogłem wyjść. Mam kolejne spotkanie z parą kupujących tuż po lunchu. - Zimą pracował na pełnych obrotach w salonie, robiąc sobie przerwę od kamieniarstwa. Z małego bagażnika wyjął papierową torbę i bukiet kwiatów z supermarketu. - Dla ciebie. Sushi też.

- Ja też mam coś dla ciebie.

Przywiozła pudełko pięknie zapakowane u Neimana.

Było w nim jego ulubione ciasto, sernik. Chciała sama go upiec, ale ponieważ to nie wchodziło w grę, pojechała do najlepszej cukierni w Chatham, kupiła sernik i zostawiła go na tylnym siedzeniu jaguara. Przywiozła też świece i zapałki.

Nie zaczęli od jedzenia. Nigdy nie zaczęli. Zjedli potem, w łóżku, nadzy, ona przykryta prześcieradłem.

- Teraz - powiedziała, wyjmując zapałki z torebki - możesz pić legalnie.

- Niesamowite - powiedział, otwierając butelkę cristala.

Szampań i sernik z truskawkami na jego urodzinowy lunch. Kupiła mu w prezencie klasyczną marynarkę Armaniego, bezwoszarą w rozmiarze 42. Pomyślała, że razem z dzinsami i białą koszulą będzie w niej wyglądał rewelacyjnie.

- Zdmuchnij ze mną świece - powiedział, gdy poprosiła, żeby pomyślał życzenie. Sernik leżał na łóżku między ich nogami. Kiedy już zdmuchnęli świece, z szampańem na ustach, zapytał ją, jakie ma życzenie.

- To nie moje urodziny. - Leżała w jego ramionach, przesuując włosami po jego piersi. Zostało im siedemnaście minut. - A czego ty sobie życzyłeś? Żebyś mógł się wreszcie golić?

Uszczypnęła ją.

- Przecież się gołę, mądralo. Gdybyś kiedykolwiek zobaczyła mnie wieczorem, zauważyłabyś zarost.

- Nie, poczekaj. Już wiem. Chciałeś wreszcie móc wypożyczyć samochód.

Znów ją uszczypnęła.

- Oj, pomyliłam się. Na to musisz poczekać jeszcze cztery lata.

- A l e jesteśmy dziś zabawni, pani Stark. - Połaskotał ją, nie pozwalając, żeby się napięła. - Wiesz, czego sobie życzyłem? Jest takie miasto w Nowym Meksyku, niedaleko Route 66. W sumie trudno to nazwać miastem, w zasadzie jedna ulica bez nazwy, stacja benzynowa i sklep... Chcę, żebyś wsiadła ze mną na motor i żebyśmy je razem zobaczyli. Chcę leżeć w wąskim łóżku w małym pensjonacie, zakurzonym i dziwnym, i obudzić się w miejscu, gdzie słońce świeci trzysta dni w roku.

- To zabawne życzenie.

- Ty na moim motorze, Larisso - szepnął, kładąc się na niej - trzymasz się z całych sił mojej skórzanej kurtki.

- Może być - szepnęła.

Zostało dwanaście minut.

- A l b o - zaczął, ocierając się o nią powoli, sunąc nagim torsem po jej piersiach - chcę ci pokazać Maui. Ogniste drzewa, które kwitną wiosną na czarnych wulkanach. Wstaniemy o świcie i pojedziemy motorem w góry Mao Loa.

- Zabierzesz mnie też na diabelski wyścig?

- Jeśli tylko zechcesz.

- Bardzo. - Zamknęła oczy, by nie widzieć bezlitosnego zegara. Niebieski urodzinowy balonik pękł nad jej głową.

Chciałabym, żebyśmy mogli pójść do kina, powiedziała. Chciałabym, żebyśmy mogli pójść na kolację do tej malej włoskiej knajpki w dole ulicy, a potem powędrować po barach. Chciałabym, żebyśmy mogli się zatrzymać w hotelu Madison, białym jak ślub, jak sen. Chciałabym...

- Nie bądź smutna - szepnął. - Mówiłem ci, wezmę cię w każdy sposób, w jaki zechcesz mi się oddać. I jeśli tak dajesz mi siebie, to ja tak cię wezmę. Czy to idealne rozwiązanie? Wiele rzeczy odbiega od ideału. Ideałem jesteś ty. Żeby mieć ciebie, godzę się na to. Gdybyś mi dała do wyboru albo to, albo nic, wybrałbym to. Nie pragnę seksu z tobą. Nie rozumiesz? Chcę tylko ciebie.

Chcę tylko ciebie.

Osiem minut.

Sześć.

Trzy.

Ubrała się szybko. Umyje się w domu.

Kai włożył wyblakłe dżinsy, czarne buty, białą koszulę i marynarkę od Armaniego. Wyglądał rewelacyjnie.

Zmoczył ręce nad umywalką i zaczesał do tyłu odrastające włosy. Uśmiechnął się do niej smutno.

- To właśnie było moje życzenie, Larisso - szepnął, gdy wybiegała z mieszkania. - Chciałem ciebie.

* * *

Emily miała lekcję wiolonczeli o czwartej i śpiewu o wpół do piątej. Michelangelo - trening karate w Chatham o piątej. Asher grał do szóstej z kumplami z zespołu. W drodze do domu dzieci rozmawiały o nauczycielu, który popchnął ucznia, Emily zapomniała lunchu i umierała z głodu, a Michelangelo zapomniał kimona do karate i musieli wrócić. Dzieciak w porannym autobusie był „po prostu wstrętny” i Emily nie wiedziała, jakim cudem on jeszcze żyje.

Wieczorem zjedli na kolację hinduskie jedzenie na wynos; Jared zadowolony jadł tandoori i opowiadał jej o Jan z pracy, którą właśnie awansowano na zastępcę sekretarza firmy, i nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, bo jego zdaniem Jan nie zerwała na dobre z piciem. Rozmawiali o planach na weekend, które obejmowały wyjazd do South Mountain Reservation z Dougiem i Barbarą („Z jakiegoś powodu Doug nalega, żebyśmy pojechali jego samochodem. Chyba coś się szykuje”), a w niedzielę wypad do Greenwich na brunch z szefem Jareda, Larrym Fredoso, i jego nową żoną.

Dzieci przed dziesiątą leżały w łóżkach, a Jared miał, dzięki Bogu, jakąś pracę. Larissa siedziała na kanapie w salonie na dole z filiżanką herbaty w drżących dłoniach i zamknęła oczy, by nie oglądać ognia rozpalonego przez Jareda, książek ani domu. Podwinęła nogi pod siebie, odrzuciła głowę na poduszkę i zaciskała powieki, żeby łzy nie popłynęły jej po twarzy.

- Larisso?

Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego przed nią zatroskanego Jareda.

- Wszystko w porządku? Co się stało, maleńka?

- Nic. Jestem tylko zmęczona. - Próbowała się uśmiechnąć.

Przysiadł obok niej.

- Czy dzieci coś zrobiły?

- Ależ skąd.

- Może ja coś zrobiłem? - Zaśmiał się cicho jak człowiek, który mówi najbardziej śmieszną rzecz, która przyszła mu do głowy, bo wie, że w niczym nie zawinił.

Larissa wyciągnęła rękę, by dotknąć jego twarzy, i pokręciła głową.

- Ależ skąd, kochanie.

- Prawie skończyłem płacić rachunki. Chcesz pooglądać *Kroniki Seinfelda* o jedenastej?

- Bardzo.

No i oglądali. Nie zaśmiała się ani razu. Na górze siedziała w łazience tak długo, że kiedy weszła do sypialni, Jared już spał. Położyła się ostrożnie, by żadna część jej ciała nie dotknęła żadnej części jego ciała, i wpatrywała się w sufit, by odnaleźć tam odpowiedzi.

Nie miała się do kogo zwrócić. Wszystkie przyjaciółki odsunęły się jedna po drugiej. Z nimi mogła rozmawiać o normalnych rzeczach. Moje dziecko ma problemy z matematyką. Chcesz obejrzeć film? Mogę pożyczyć żelazko, moje się zepsuło. Powiem ci, czy dobrze wyglądasz w tej sukience, czy nie wystaje metka, czy masz ślad szminki na zębach. Po to są przyjaciółki. Ale jeśli przychodzisz do mnie, bo rzeczywiście potrzebujesz pomocy, przestaję cię słuchać. Staję się głucha. Mówisz za cicho i zbyt wiele wymagasz od naszej przyjaźni. Mam własne problemy. Chcesz się poskarżyć, ale nikt cię nie słucha? Buu huu. Nas też nikt nie słucha. Witamy w pieprzonym klubie.

Tak właśnie jest. Nikt już nikogo nie słucha. W centrum naszego życia chodzimy ze zwieszoną głową lub ze wzrokiem wbitym w niebo, błagając, by ktoś wysłuchał naszej modlitwy, usłyszał, jak zwierzamy się z najgłębszego smutku i największej tęsknoty.

Kochana Larisso, moja przyjaciółko!

Chcę Ci opowiedzieć o swoim życiu.

Przykro mi, że przerwano nam rozmowę, gdy pierwszy raz od lat usłyszałam Twój głos. Na karcie skończyły się pieniądze.

Przez trzy tygodnie unosiłam się jak w obłokach. Nic mnie nie martwiło. Bo nic nie mogło.

Lorenzo stał się najbardziej opiekuńczym z partnerów.

Nie chciałam, żebym z nim dłużej pracowała. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne. Zapytałam więc ojca Emilia, czy mogę mu pomóc w sierocińcu za kilka peso, i przyjął mnie. Dzieci jednak stałe chorowały i ja też zachorowałam. Zaraziłam się najgorszą bagienną gorączką, zaczęłam krwawić i nie mogłam pracować. Mogłam tylko leżeć, a Lorenzo powiedział, że będzie pracował za nas oboje. Nie było go w domu od świtu do zmroku. Prawie nie spał, a pamiętasz, jak mój kochany Lorenzo ceni sobie sen dla urody. Rozdawał ulotki, sprzedawał błyskotki, rozwoził wiadomości na rowerze i kierował rikszą. Zarabiał dla nas pieniądze, a ojciec Emilio przychodził do mnie codziennie i przynosił owoce.

Czułam się lepiej. A potem wydarzyła się najstraszniejsza rzecz.

Lorenzo wynajął się do protestu przeciwko porozumieniu między rządem w Manili a Islamskim Frontem Wyzwolenia Moro, organizacją paramilitarną. Przez lata hodowaliśmy Kaina na wyspie Mindanao, skąd pochodzi Lorenzo, a teraz oni twierdzą, że wyspa jest ich, i chcą się oderwać od Filipin. Mieszkają tam jednak rodzice Lorenza i miliony rdzennych Filipińczyków. Po latach podpaleń, napaści i ataków ulicznych rząd Filipin zgodził się oddać część wyspy muzułmanom. Można by pomyśleć, że to koniec, ale nie. IFWM stale domagał się więcej. Aby utrzymać pokój, rząd dawał im więcej. I więcej. Więcej ziemi, bogactw, więcej autonomii - jednak nadal nie panował pokój. W walkach zginęło ponad dwieście tysięcy ludzi. Lorenzo poszedł więc protestować przeciwko oddaniu siedmiuset dwunastu wiosek na Mindanao muzułmanom, a dwa dni później wuj jego matki przyjechał do Las Pinas, znalazł San Augustin, znalazł nas i powiedział Lorenzowi, że oboje jego rodzice zgi-

nęli dwa miesiące temu, kiedy wioska została spalona podczas okupacji przez rebeliantów IFWM. Zostali zabici na morzu Sulu wcześniej rano na łodzi, gdy próbowali dołynąć do brzegu.

Rebelianci poddali się filipińskiemu dowódcy, zginęło jeszcze wielu cywilów, ale co to za pociecha dla Lorenza? Zupełnie postradał zmysły. Nie można go za nic pocieszyć. Wścieka się też na swoich biednych Papi i Mamę, bo od lat błagał ich, żeby wyjechali z Zamboanga, od kiedy zaczęły się najgorsze problemy, ale powtarzali, że to ich dom i nigdzie się nie ruszą.

Nie wiem, co robić. Mój biedny Lorenzo. I to w chwili, gdy powinniśmy być tak szczęśliwi. Zamiast tego szaleję z bólu. Narysowałam małą smutną buzię na liście. Mam nadzieję, że Tobie wiedzie się lepiej. Nie mogę sobie wyobrazić, by mogło być gorzej.

Modłę się, by nie było już więcej kłopotów, ale kiedy patrzę na rozpaczoną twarz Lorenza, zaczynam się bać, jakby wszystkie kłopoty miały dopiero nadejść.

Dziękuję Ci za paczkę, za ubrania, pieniądze. Pieniądze przydały się najbardziej. Ubrania, nie gniewaj się, ale chyba zapomniałaś, jaka jestem mała, były dla mnie za duże. Co więcej, były zimowe. A tutaj nigdy nie jest zimno. Sprzedałam je i nieźle zarobiłam na najlepszych amerykańskich ciuchach. Zapłaciłam ubraniami czynsz za dwa miesiące. Kocham Cię.

5

Jaguar Douga

- Chcę ci coś pokazać, stary. Chodź!

Jared siedział przy biurku w pracy i sortował wyciągi z banku i kart kredytowych. Coś go lekko zaniepokoiło.

- Zejdź na chwilę na dół.

- Dokąd, Doug? Na zewnątrz? Za piętnaście minut mamy posiedzenie zarządu i musimy jeszcze...

- To zajmie tylko chwileczkę. No chodź. - Doug zachowywał się jak dziecko.

Na parkingu przykrytym hałdami śniegu Jared zobaczył, czym Doug był tak bardzo podekscytowany. Szarym jaguarem sedanem.

- Boże, nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! - Jared obszedł samochód. - Poszedłeś na całość!

- Tak jest! Tylko spójrz. XJ8. Szary metalik. Widzisz to?

- Widzę. Jest niesamowity.

- No jasne. Miałem trochę dość twoich zachwyków nad jaguarem Larissy, więc podczas weekendu pojechaliśmy z żoną sprawdzić, o co cały ten krzyk. W jednej chwili oglądaliśmy wystawę, a w drugiej wydałem całą bożonarodzeniową premię na zaliczkę i podpisałem umowę. Nawet nie wiem, jak to się stało! - Otworzył drzwi, kazał Jaredowi dotknąć miękkiej czarnej skóry. - Chcesz się przejechać?

- Doug, za dziesięć minut mamy zebranie. Może przejedziemy się podczas lunchu? Pozwolę się zaprosić.

- Zrobione. Nie mogę uwierzyć, że kupiłeś żonie kabriolet - powiedział Doug, opierając dłonie na masce. - Nie wiedziałem, co to oznacza, dopóki nie przejechaliśmy się tym modelem, który już przypomina raketę, a sprzedawca powiedział, że model sportowy ma czterysta dwadzieścia koni. Kupiłeś Larissie model podstawowy czy z doładowaniem?

- A jak myślisz?

- Stary, odbiło ci!

Jared wzruszył ramionami.

- Tego chciała. Jeśli decydujesz się iść na całość, trzeba wybrać najlepsze. Inaczej po co w ogóle zaczynać?

- Zgadza się - przyznał Doug. - Nie chcieliśmy wydawać aż tyle kasy i nie wpuszczać dzieci do środka. Założę się, że Larissa waszych nie wpuszcza?

- Wygrałbyś zakład.

Doug pokręcił głową.

- Nie chcieliśmy tego z Kate. Sedan wydawał się o wiele praktyczniejszy.

Jared otaksował go spojrzeniem.

- Douglas, jesteś moim przyjacielem, znamy się od lat, ale co ty do cholery wygadujesz? To pieprzony jaguar. On nie ma być praktyczny. Ten wózek to szaleństwo.

- Nie kiedy masz dzieci. Trzeba być bardziej rozsądnym. Nie jesteśmy już nastolatkami.

Jared pokręcił głową.

- Chyba tak. Ale kiedy byłeś nastolatkiem, nie było cię stać na taką furę.

- Prawda. Ale jest niesamowity, no nie?

- Super. Gratulacje.

- Dzięki. Jestem podjarany, jakby urodziło mi się dziecko. Powiniennem rozdać kumpłom cygara?

Jared się roześmiał.

- Oczywiście. Ale jednego nie rozumiem. Kupiłeś ten samochód dla siebie czy dla Kate?

- Dla Kate, a co?

- No to dlaczego ty nim jeździsz?

- Tylko spójrz na niego. Naprawdę musisz pytać?

- Kupiłeś jej samochód, a potem wzięłeś go dla siebie?

Doug się obruszył.

- Przyjechałem nim tylko dzisiaj, żeby ci pokazać.

- Już to widzę.

- Poza tym Kate pracuje w mieście i jeździ pociągiem. Szkoda by było, żeby taka ślicznotka stała cały dzień w garażu, samotna, zamknięta w zimnej, ciemnej przestrzeni. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego sugerujesz.

- Masz rację, co też mi przyszło do głowy.

- Wiesz, że ma system kierujący napełnianiem poduszek powietrznych? - Doug się zaśmiał. - Nawet nie wiem, co to jest. I jeszcze opartą na DVD nawigację. To kosztowało kolejne trzy tysiące. Macie coś takiego?

Coś nagle ukłuło Jareda w pierś. To słowo. *Nawigacja*. Nie samo w sobie, lecz w pewien sposób połączone z wyciągami leżącymi na jego biurku. Co miały ze sobą wspólnego nawigacja, którą Larissa kupiła przed rokiem, i wyciągi z kart kredytowych z zeszłego miesiąca? Sprawily, że poczuł się nieswojo.

- Chodź, Douglas. Musimy pędzić.

Doug zamknął samochód i ruszyli w stronę budynku.

- Kupiliście go w salonie Jaguara w Madison? - zapytał Jared.

- Oczywiście. W tym, który polecałeś.

- Ja? Nie sądzę. Może Larissa. Kto ci pomagał?

- Nie pamiętam jego imienia. Było jakieś dziwne. Ale to dobry dzieciak.

- K a i ?

- Tak! Też ci sprzedawał?

- Tak. Nie byłem zachwycony.

- A my z żoną tak. Wiedział wszystko o samochodzie, był cierpliwy, pozwolił mojej żonie jeździć przez godzinę, opowiedział nam całą historię marki. I zaproponował nam świetną ofertę. Wysłałem mu w podziękowaniu butelkę cristala. I chyba jest niezłym pracownikiem, bo miał na sobie świetnie skrojoną marynarkę Armaniego. Musi zgarniać niezłą prowizję.

- Rozmawiał z tobą?

- Jak to: rozmawiał? Przecież jest sprzedawcą!

Jared pokręcił głową.

- Dziwne. Bo moim zdaniem był okropny. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Gdyby nie Larissa, niczego bym od niego nie kupił. Był zupełnie jak głuchoniemy.

Doug wybuchnął śmiechem.

- To musiałeś go nieźle wściec. Dla nas był przesympatyczny. Co takiego zrobiłeś, żeby go wkurzyć? - Przycisnął w windzie guzik czternastego piętra.

- Nic - odparł Jared. Myślnami był już na zebraniu zarządu, gdzie miał zaprezentować nową propozycję dla wydziału usług finansowych, by skorzystali z firmy zewnętrznej, gdyż menedżerowie inwestycyjni nie

mogli sobie poradzić z ogromem pracy, i wysłuchać informacji o innowacyjnej metodzie związanej z ubezpieczeniami na życie. Gdzieś w głębi jego umysłu, tuż przed streszczeniem nowych wymagań dotyczących raportów wprowadzanych z myślą o klientach, nagle pojawiło się światło dotyczące wyciągów bankowych. Już wiedział, co go zaniepokoiło.

Larissa nie robiła żadnych zakupów.

* * *

- Larisso, nic nie kupujesz - powiedział do niej przy sobotniej kolacji po pieczeniu, przed lodami.

- Sto lat nie byłyśmy w galerii - odparła Maggie. - Ostatni raz jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Przed świętami? Niemożliwe. - Larissa pokręciła głową.

- Maggie ma rację - powiedział Jared. - Wiesz, skąd wiem? Sprawdzam rachunki. I żadnych nie ma. Nie kupujesz niczego z wyjątkiem jedzenia w Stop&Shop i szamponu w drogerii.

Larissa wzruszyła ramionami z idealną obojętnością.

- Nie kupuję niczego, bo wszystko mam.

- A kiedy powstrzymywało cię to w przeszłości? - zapytał Ezra. - Maggie ma więcej produktów do pielęgnacji włosów, niż może się zmieścić w średnim domu. Czy to ją powstrzymuje?

Larissa uśmiechnęła się.

- Nie mam kręconych włosów jak Maggie. Aż tyle nie potrzebuję.

- A buty, Lar? Nie potrzebujesz nowych zamszowych trzewików?

- Nie. Mam z zeszłego roku. I sprzed dwóch lat.

- Nowy sweter?

- Mamy tuziny, których nie noszę.

- Makijaż?

- Mam za dużo wszystkiego, Jared - powiedziała, uśmiechając się do niego ciepło. - O co tu chodzi? Mąż skarży się, że żona nie robi zakupów?

- To coś nowego. Musiałem zauważyć. Przecież jeździsz do galerii. Stale mi mówisz, że tam jesteś.

- Lubię oglądać wystawy.
- Na wystawie Macy's w Newark jest czerwony żakiet Escady - powiedział Jared. - Pięknie byś w nim wyglądała.

Larissa odwróciła głowę na długiej szyi w jego stronę.

- Kochanie, chcesz, żebym jechała aż do Newark, żeby kupić żakiet?
- Tylko mówię.

Larissa żyje w sekrecie, ukrywa się między słowami i minutami, podczas gdy jej dusza przebywa w pokoju o wymiarach sześć na sześć metrów między dwunastą a drugą.

Gdy czeka na czerwonym świetle, myśli, że dłużej już tego nie wytrzyma.

To trwa jedenaście minut - tyle, ile zajmuje jazda do Lincoln z Albright. Potem odbiera syna i wraca do domu, a jakiś czas później szkolny autobus przywozi resztę (jej) dzieci. Trzeba z nimi poćwiczyć odejmowanie, pomóc w projekcie dotyczącym Badlands i pisaniu liczącego dwadzieścia wersów białego wiersza o tabliczce czekolady. Dzwoni Jared z pytaniem, co będzie na kolację, a Larissa pyta: „Czy jeśli będzie coś, czego nie lubisz, nie wrócisz do domu?“, a on wybucha śmiechem. „Powiedz mi tylko co, a podejmę decyzję“.

Jest mecz koszykówki w piątek, kolacja, film, przyjęcie urodzinowe i jeszcze dwa, lunch w Connecticut z przyjaciółkami, a potem w poniedziałek zaczyna się nowy tydzień i Larissa jest wdzięczna, że wszystko pozostaje jak dawniej. Zaczyna się kolejny tydzień w Summit, gdzie matka trójki dzieci wstaje w poniedziałek, całuje je i ubiera, wyprawia do szkoły, całuje męża, sprząta kuchnię, bierze prysznic, szybko się ubiera, a potem pędzi Main Street w swojej rakiiecie z turbodoładowaniem i nawigacją, dziewięć minut, jeśli się naprawdę pośpieszy i trafi na zielone światła, skręca w Albright, parkuje jaguara i biegnie po schodach. On czeka z otwartymi ramionami i uśmiechem na twarzy, gorącymi ustami, gorącym wszystkim. A ona myśli: wytrzymam, ile będę musiała.

Wzięli razem prysznic, makijaż spływał jej po policzkach, kochali się w kabinie, namydając miejsce, którym tak bardzo go pragnęła. A potem musiała iść.

- Nie chcę iść - powiedziała, gdy nadeszła druga, potem druga piętnaście.

Minęła druga dwadzieścia, a ona nadal tam była.

- Nie chcę, żebyś szła - powiedział Kai. Mieli przy łóżku bajgle, kawę. Muzyka ucichła. Nie było słychać żadnego dźwięku, tylko ich dwoje w łóżku, przytulonych do siebie, wybuchających śmiechem, gdy nie szczytowali.

O drugiej dwadzieścia pięć narzuciła ubranie namaszczone seksem, potem, balsamem, namaszczone Kaiem na jej kościach, w porach, niczym świętokradczymi perfumami.

Spojrzała na niego z tęsknotą, żalem, gdy nagi leżał wyciągnięty na łóżku, pieszcząc się z roztargnieniem, patrząc na nią. Kiedy wkładała buty, bolało ją całe ciało. W poniedziałkowe popołudnia nic nie było takie jak należy. Raczej jak skurcz, poród. Muszę iść. Nie udało mi się tego inaczej załatwić. Nie ma innego wyjścia. Muszę iść.

- Larisso - powiedział - wyobraź sobie świat, w którym nie musiałabyś mnie opuszczać. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Za dobrze, chciała powiedzieć.

Wcale nie, chciała powiedzieć.

Była już spóźniona. Minęła druga trzydzieści pięć, a ona znajdowała się dwanaście minut od szkoły. Kiedy tam dotarła, a Michelangelo czekał z panią Brown w holu, bo było bardzo zimno, uśmiechnęła się przepraszająco.

- W porządku, proszę pani - powiedziała pani Brown - ale zauważyłam, że od kilku miesięcy spóźnia się pani w każdy poniedziałek. Nie mogłaby pani wychodzić dziesięć minut wcześniej? Bo w poniedziałki muszę oceniać nauczycieli, a zawsze czekam tu z pani synem.

Wieczorem Michelangelo rzucił znad zapiekanki ziti:

- Mamusia znów się po mnie spóźniła.

Jared podniósł wzrok znad pieczywa czosnkowego.

- Znowu?

- Stale się spóźnia, tato.

- Michelangelo! Odbieram cię ze szkoły pięć razy w tygodniu. Nie zawsze się spóźniam.

- Nauczycielka dzisiaj na nią nakrzyczała.
- Naprawdę? - Jared spojrział na nią z rozbawieniem. - Co mamusia robiła, że przyjechała za późno?

- Utknęłam w korku w Chatham - wyjaśniła mamusia. - Był wypadek.

- Zgoda, ale tamte inne spóźnienia, mamo? - zapytał Michelangelo.
Larissa przewróciła oczami. Potem jednak bardzo się starała, żeby przyjechać na czas. W następny poniedziałek spóźniła się tylko pięć minut. Pani Brown nie skomentowała.

Wieczorem Michelangelo powiedział:

- Mamusia znów się spóźniła.

Jared spojrział na nią, unosząc brwi.

- Wypadek w Chatham? - zagadnął.

- Nie. Jakaś baba u Neimana płaciła gotówką i kasjerka nie miała jej wydać. Wyobrażacie sobie? W kasie nie ma drobnych! Kasjerka musiała iść na drugi koniec sali, żeby rozmiąć pieniądze.

- Miło, że znów robisz zakupy. Mam nadzieję, że było warto czekać.

- Zrezygnowałam. Nie mogłam dłużej czekać. Rzuciłam wszystko i wybiegłam.

- Co to było?

- Trench.

Dwa dni później Larissa wróciła do domu z trenchem Gucciego, by pokazać Jaredowi. A w następny poniedziałek naprawdę bardzo się starała nie spóźnić.

Kai, leżący nagi na łożku, pokryty kropelkami potu, zimny wiatr wpadający przez zasłony, mroźny dzień za oknem, biała pościel, męskie łożko pełne Kaia, jego błyszczące oczy, naga pierś, długie nogi, uroczne wilgotne usta, które szeptały:

- Nie odchodź, Larisso. - Zaśpiewał szeptem: - Piękna dziewczyno, zostań ze mną...

Nie wyobrażała sobie, do czego to zmierza, i nie wyobrażała sobie, jaki jest jej cel. Wiedziała tylko, że nieodmiennie pędzi Main Street do Albright Circle.

1

Paolo i Francesca

Larissa i Maggie spotkały się w końcu na stacji kolejowej w Summit, by pojechać pociągiem do Nowego Jorku na lunch z Bo. Maggie miała na sobie ciemne, luźne, nierzucające się w oczy ubranie, a Larissa włożyła dopasowany krótki czerwony żakiet Escady i białe dżinsy.

- To zimowa biel - powiedziała do Maggie, gdy ta spojrzała na nią badawczo.

- Ach tak. - Maggie z kręconymi włosami spiętymi w surowy kok odwróciła się do okna. Pociąg mijał położony w oddali klasztor dominikanek. - Wiesz - zaczęła Maggie - że jeżdżę tam czasem i siedzę w kaplicy? Przepięknie śpiewają podczas jutrzni.

- Jutrzni? - powtórzyła Larissa, jakby nigdy nie słyszała tego słowa. - O której godzinie?

- Za pięć szósta - odparła Maggie głosem, który zabrzmiał, jakby nadal siedziała w kaplicy. - W niedzielę zaczyna się dziesięć minut później, pięć po szóstej.

- Dziesięć minut później? Skąd wiesz?

- Bo w niedzielę też tam jeżdżę.

Larissa przyjrzała się lekko posiwiałym włosom przyjaciółki. Maggie przestała je farbować dawno temu, a na bladej twarzy nie było śladu makijażu. Coś poruszyło się w Larissie, jakby powinna coś zrobić albo o czymś z Maggie porozmawiać, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, co to jest.

Chciała zapytać, dlaczego Maggie zaczęła jeździć do klasztoru na jutrznię, ale powiedziała tylko:

- Nie wiedziałam, że klasztor jest otwarty dla ludzi.

- Oczywiście - odparła Maggie, odwracając twarz od Larissy. - Przecież to kościół.

- Wiem, ale czy w klasztorze nie obowiązuje klauzura? Zakonnice nie powinny żyć w zamknięciu? Przecież to dominikanki. Czytałam coś o tym. Głównie modlą się o zbawienie dusz i wiodą życie w zamknięciu.

- To kościół - powtórzyła Maggie. - Ich misja polega na pośredniczeniu między Bogiem a ludźmi. Jak mogą żyć w zamknięciu?

- Zgadza się. Ale to trochę mylące, nie sądzisz? Słowo klasztor przywołuje na myśl skojarzenia z budynkiem otoczonym murami, by trzymać innych z daleka, chyba że używany jest przede wszystkim jako więzienie, wtedy nikt nie może wyjść. Ale zakonnicom raczej nie o to chodzi. Mogą wyjść, jeśli zechcą, prawda? Klasztor, a potem pośredniczenie... widzisz, jak łatwo osoba taka jak ja może się pogubić. No tak - ciągnęła, przechodząc od zakonnice do Bo. - Miałas od niej wiadomości? Mam nadzieję, że wszystko u niej dobrze. Obawiam się, że zjawimy się za późno. Miałyśmy z nią porozmawiać przed świętami, a jest już styczeń i się z nią nie kontaktowałam.

- Rozmawiałam z nią - powiedziała Maggie. - Nadal przyda się jej nasza pomoc.

- Zupełnie jakbyśmy to my pośredniczyły - zaśmiała się Larissa.

- Pośredniczyły, naprawdę? Opowiedziała mi o waszej rozmowie. - Maggie rzuciła Larissie lodowate spojrzenie. - Może najlepiej będzie, jeśli pozwolisz mówić mnie.

Larissa nie uważała, by w jej rozmowie z Bo kryło się coś złego. Uśmiechając się miło, zanotowała w pamięci, by uważniej dobierać słowa. Czy powiedziała coś nie tak? Nie chciała drażnić tematu.

- Nie czuję się najlepiej - powiedziała nagle Maggie.

- Ty też? Tak mi przykro. W zeszłym tygodniu Emily i Asher wrócili do domu z bolącym gardłem. - Larissa przewróciła oczami i poprawiła kołnierz żakietu. - Myślałam, że oszaleję. Cały dzień siedzieli w domu

i na dodatek chorzy. Na szczęście Michelangelo się nie zaraził, choć z nim raczej nie byłoby kłopotu.

Maggie odwróciła się do okna. Larissa zaczęła sprawdzać wiadomości na komórce.

- Jak się miewa twoja przyjaciółka Che? - zapytała Maggie. - W którym jest miesiącu?

- Czuje się dobrze. Jest w trzecim albo czwartym.

- Musi być bardzo podekscytowana.

- Tak, wszystko idzie świetnie. - Kłopoty Lorenza niewiele by Maggie powiedziały, więc Larissa postanowiła o nich nie opowiadać.

Niebawem pociąg wjechał do tunelu pod rzeką Hudson.

Na czwartym piętrze w Met znajdowała się kawiarnia. Był wtorek, a jednak panował spory tłok. Spotkały nienagannie uczesaną Bo na szczycie szerokich schodów i kiedy miały wejść do zatłoczonej knajpki, Bo szturchnęła Larissę i skierowała jej uwagę na lewo. Larissa obejrzała się. Po schodach wchodził zdyszany, wysoki, gruby, zaniedbany mężczyzna w źle dopasowanym garniturze.

- To Stanley - szepnęła Bo.

Larissa szeroko otworzyła oczy. Stanley i Bo w ogóle nie zwrócili na siebie uwagi, choć przeszli pół metra od siebie. Kiedy Bo jako pierwsza wchodziła do kawiarni, Larissa pociągnęła Maggie za rękaw i szepnęła: „Mój Boże”. Stanley był zdumiewająco niechlujny. Żadną miarą nie można go było określić jako atrakcyjnego, piwny brzuch z trudem mieścił się w spodniach, włosy rozpaczliwie prosiły się o grzebień i strzyżenie i na pewno nie był tak przystojny jak Jonny, który pięknie się wyrażał, nosił eleganckie garnitury, był mądry, doceniał poezję Jima Morrisona, śmiał się i był wspaniałym facetem, choć nie spieszył się z szukaniem pracy. Cóż takiego Bo dostrzegła w Stanleyu? Co więcej, on nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Nie ujawniamy się - wyjaśniła Bo. - Wszyscy w pracy wiedzą, że jestem z Jonnym.

Trochę czasu minęło, zanim zamówiły zupę i kanapki i znalazły wolny stolik.

- I jak? Co myślicie? - zapytała Bo, gdy stały w kolejce, by zapłacić.

Maggie odezwała się pierwsza.

- To nie zależy od nas, kochanie.

- Wiem, ale co myślicie?

- Wygląda na interesującego faceta - powiedziała Maggie. - Prawda, Larisso?

- Tak. Bardzo interesującego. Wyglądał, jakby miał wiele na głowie. Jakby był bardzo zajęty. Myślał o czymś interesującym. Czy ma tu ważną pracę? Czym się zajmuje?

- Dba o naszą kolekcję. Kupuje dzieła sztuki. Więc tak, ma bardzo ważną pracę.

- No właśnie. Od razu to dostrzegłam - powiedziała Larissa z ulgą, że udało im się znaleźć stolik i nie będą musiały jeść lunchu stłoczone w kącie z tacami w dłoniach. - Wyglądał, jakby myślał o bardzo ważnych rzeczach.

Maggie zamieszała zupę, a Larissa zebrała majonez z kanapki.

- Po co zawsze dodają majonez? - zapytała retorycznie. - Nie wiedzą, że jest już w sałatce z tuńczyka? Po co aż tyle?

- Jesteśmy teraz bardzo zajęci - powiedziała Bo do Maggie.

Maggie odwróciła się do niej.

- Naprawdę? Opowiedz mi.

- Jedną z naszych specjalnych wystaw w tym kwartale będzie „Sztuka i miłość w renesansowej Italii” i dziś przed zamknięciem muszę napisać kolejną notatkę dla prasy. Mogę zostać tylko chwilę. - Zaczęły jeść.

- Ja też - powiedziała Larissa. - Muszę złapać pociąg i wrócić na drugą czterdzieści. - Nie potrafiła wypowiedzieć tej godziny na głos, nie krzywiąc się lekko, jakby paliła ją w język. Cieszyła się, że przyjaciółki nie patrzyły na nią i niczego nie zauważyły.

- Lar, słyszałaś o Dorze? - zapytała Maggie, z trudem próbując zachowywać się i mówić normalnie. Jednak Larissa dostrzegła jej wysiłki. Po co zadawać sobie tyle trudu, by powiedzieć taką błahostkę? Może czuła się nieswojo, bo przyjechały rozmawiać o nowym facecie Bo, a ona nic nie mówiła?

- Nie, co się z nią dzieje?

W zeszłym roku Dora była jedną z nauczycielek pomocniczych Maggie i razem ze swoim narzeczonym Rayem bardzo starała się zaprzyjaźnić z DeSwannami i Starkami. Larissa kilka razy zaprosiła ich na kolację. Bo też ich poznała, ale Dora nie wpasowała się w ich małą grupę. Była tak strasznie nieśmiała, że miała problemy, by spoglądać w oczy nawet przyjaciółkom.

- Chodzi na kursy wieczorowe w Drew.

- To bardzo dobrze - odparła Larissa. - Nie ma nic złego w uzupełnieniu wykształcenia.

- A wiesz, co to za kursy? Poczekaj tylko... - Maggie uśmiechnęła się. - Poradnictwo małżeńskie.

- Potrzebne są jej porady? Nie wiedziałam, że są z Rayem małżeństwem.

- Głupia! Ona zamierza udzielać porad!

Larissa otworzyła szeroko oczy, jakby właśnie wyobraziła sobie posagową, elegancką, spokojną Bo leżącą pod grubym Stanleyem.

- Daj spokój!

- Mówiłam ci.

Przy stole zapanowała cisza. Nie słychać było nawet widelca uderzającego o zęby.

- To świetnie - odparła powoli Larissa. - Jak długo trwa ten kurs?

- Dwa lata.

Wszystkie spuściły wzrok na napoje, serwetki i tanie metalowe łyżki. Co mogły powiedzieć? Dora nie potrafiła normalnie funkcjonować, gdy Ray był poza domem, bo stale wyobrażała go sobie z innymi kobietami. Związane z tym kłótnie były jedynym powodem, dla którego Ray jej się nie oświadczył, mimo że poznali się jeszcze w szkole i byli razem od piętnastu lat. Najgorszą rzeczą, jaką Dora mogła sobie wyobrazić z całego zła i wszystkich okropności, które istniały we wszechświecie, była niewierność. Kiedy o tym mówiła, zaczynała hiperwentylować; sama chętnie przyznawała, że jest trochę przewrażliwiona, ale to nie jej wina, że odbiera związek jako jedno wielkie paranoiczne bagno zazdrości, z którego ocalić może ją tylko śmierć - i to nie na pewno.

Kiedy więc Larissa usłyszała, że Dora zamierza się zająć poradnictwem małżeńskim, natychmiast przyszła jej do głowy myśl, że to musi być jakaś odmiana choroby psychicznej. Gdy widzi się pewne rzeczy w zupełnie innym świetle. To nie było pragnienie, by stały się innymi, to był po prostu obłąd. Zupełnie jakby ktoś studiował medycynę i chciał zostać chirurgiem, a mdlał na widok krwi.

Nikt nie mógł się mniej nadawać do udzielania porad parom małżeńskim niż Dora. Doradzanie zakładało, że spróbuje się jakoś to wszystko poukładać. Dora nigdy nie byłaby do tego zdolna, gdyby mężczyzna ośmielił się choćby tylko spojrzeć na inną kobietę. Poradziłaby dziewczynie/żonie, żeby rzuciła niewiernego, chwyciła czwórkę małych dzieci w wieku od trzech miesięcy do pięciu lat i poszukała schronienia w ośrodku dla maltretowanych kobiet.

Ale oczywiście kiedy siedząc przy stoliku, przetrawiały tę informację, spotkawszy się przede wszystkim, by porozmawiać o nadciągającej niewierności Bo, Larissa powiedziała:

- Mags, jestem pewna, że Dora świetnie sobie poradzi. Wielka szkoda, że nie mogłaś jej dzisiaj zabrać ze sobą. Mogłybyśmy wypróbować jej nowe umiejętności na Bo.

Maggie i Bo patrzyły na nią bez humoru, a tymczasem Larissa zjadła kawałek kanapki z tuńczykiem i popijając mrożoną herbatę, żałowała wszystkich rzeczy, których nie robi w tej chwili. Tęskniła za pokojem, w którym się nie znajdowała, ciałem, którego nie dotykała, głosem, którego nie słyszała. Z dala od serca swego serca denerwowała się na Bo, że milczy, i na Maggie, która wyraźnie sugerowała, że gdyby Larissa dwa miesiące temu wykazała się większą empatią, nie siedziałyby tu dzisiaj.

- Powiedz mi, Bo, czy coś ruszyło do przodu? - Larissa miała już dość tego guzdrania się.

- Co ruszyło?

- Sytuacja ze Stanleyem.

Bo spuściła wzrok na szklankę mrożonej herbaty.

- No cóż, chyba można uznać, że coś ruszyło. W zeszłym tygodniu wreszcie przespałam się ze Stanleyem.

Maggie się zachnęła. Spokojnie, Mags, przed tobą jeszcze długa droga do obiektywizmu. Zostawiam to w twoich kompetentnych rękach, zajmij się tym. Larissa milczała.

- Co jeszcze? Wyczuwam pauzę.

- Powiedziałam też Jonny'emu.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Maggie.

- Zrobiłam to. Wiem. Ale strasznie mnie to gryzło. Nie mogłam już tego dłużej ukrywać.

- Ale Bo - zaczęła powoli Larissa - jak mogłaś w ciągu siedmiu dni skonsumować ten związek i walczyć z wyrzutami sumienia?

- Widzisz, nie sądzę, żeby to były wyrzuty sumienia. Wiesz, dlaczego mu powiedziałam? - Westchnęła. - Bo chciałam, żeby mnie popchnął do następnego kroku. Sama nie mogłam tego zrobić. Byłam rozdarta, niepewna. Nie wiedziałam, co robić, i nie mogłam podjąć decyzji. Więc mu powiedziałam.

Larissa przestała jeść i pić.

- Jaki miał być ten następny krok? - zapytała, pochylając się do przodu. Chciała usłyszeć, dowiedzieć się. I jednocześnie nie chciała.

- Sama nie byłam pewna. Ale chciałam, żeby wszystko się wydało. Byliśmy tacy spokojni, kochanie to, kochanie tamto. Wszystko było takie zwyczajne. Pragnęłam dramatu.

- Biedny Jonny, co zrobił, kiedy mu powiedziałas? - zapytała wstrząśnięta Maggie.

- Biedny Jonny? Dlaczego trzymasz jego stronę?

- Nie trzymam niczyjej strony - odparła pospiesznie Maggie. - Ale wyobrażam sobie, jak bardzo musiał być poruszony.

- Był. Ale co ze mną? Nie sądzisz, że dla mnie to też było trudne?

- Bo, to jest trudne - powiedziała Larissa. - Oczywiście. Konflikt jest przytłaczający.

- Tak jest! - wykrzyknęła Bo. Z jakiegoś powodu wydawała się zachwycona przytłaczającą naturą konfliktu.

- Więc czego od niego chciałaś?

- Chciałam, no nie wiem, żeby kazał mi się wynosić. Wyrzucił mnie. Zlikwidował. Powiedział, co naprawdę o mnie myśli. - Zawiesiła głos. -

A po wielkiej kłótni mogłabym pojechać do Stanleya i powiedzieć mu, że Jonny się o nas dowiedział i wyrzucił mnie z domu.

- Dobry dobór słów - zauważyła Larissa. - Dowiedział się o nas. Jakby Jonny prowadził śledztwo.

- Powiedziałaś też Stanleyowi? - Maggie aż pobladła od całego tego zamieszania.

- Jeszcze nie - odparła Bo. - Powiem mu dziś wieczór. Pojadę do niego po pracy i powiem.

- Czy on już o tym wie? - zapytała Larissa.

Bo zmarszczyła brwi.

- O czym?

- Że dziś wieczór wybierasz się do niego.

- Nie. A co za różnica?

- Ile razy z nim spałaś? - zapytała Larissa. Zaczęła jeść ze smakiem. Maggie i Bo przestały.

- Tylko raz. Ale ile razy trzeba to zrobić, żeby wiedzieć, że to jest to? Kiedy powiedziałam Jonny'emu, gdzieś w głębi serca miałam nadzieję, że być może to przywróci iskrę między nami, przywróci moje dawne ja.

Larissa wiedziała jednak - nic nie może przywrócić tamtego życia.

Blade wyznania z pewnością nie mogły tego zrobić. Była zdumiona zachowaniem Bo. Wyznania były takie tandetne. Jak mogłaś? Przepraszam. Nie chciałam. Jak mogłaś? Przepraszam. Nie chciałam. Jak mogłaś... Nie chciałam. I tak do znudzenia. Robiło jej się niedobrze na samą myśl.

- Jonny jest tam, gdzie go zostawiłaś - powiedziała. - Ale nie może naprawić tego, czego tam nie ma. To ty jesteś brakującym kawałkiem. Nie on. To on siedzi na kanapie. Dom, chłopak, zabawki na podłodze, książki, paczki, które przychodzą pod drzwi. Są tam, gdzie je zostawiłaś. Ale nie ty.

Maggie i Bo podniosły wzrok, by spojrzeć na Larissę.

- Zabawki na podłodze? O czym ty mówisz? - zapytała Maggie.

- O czym ty mówisz? - powtórzyła Bo. - Nadal tu jestem. Taka sama jak zawsze. Chcę tylko trochę podniety.

Larissa spojrzała w pustą szklankę. Niektóre rzeczy były prawdziwe, inne nie. Był wymaginowany, spreparowany konflikt i prawdziwy. Była wymaginowana, spreparowana miłość i miłość prawdziwa. Były wymaginowane, spreparowane problemy i prawdziwe. Czasami trudno to odróżnić, zwłaszcza gdy mówiło się o sobie. Ezra miał rację. Walker Percy też. Spędzasz ze sobą całe dni, a mimo to jesteś osobą, którą najmniej znasz i rozumiesz. Wiesz wszystko o planetach krążących wokół Słońca, ale zapytana, dokąd wyruszysz za pięć minut, nie znasz odpowiedzi.

- Twojego problemu, Bo - powiedziała Larissa - nie rozwiąże żadna siła nadprzyrodzona. Żaden *deus ex machina*, jak w teatrze. Nie ocali cię żaden wielki gest przeznaczenia.

- Przeznaczenia? Jakiego przeznaczenia? Nie chcę, by ratowało mnie przeznaczenie. Chcę być ze Stanleyem. Uważasz, że to jest bardzo złe?

- A ty? - zapytała Larissa. - Naprawdę chcesz być ze Stanleyem?

- Tak! Jestem nim totalnie zauroczona. Zafascynowana.

- Ale Jonny tak bardzo cię kocha - powiedziała Maggie.

- Stanley chyba też - odparowała Bo.

- Tu nie chodzi o to, czy Jonny cię kocha - powiedziała Larissa. - Ale o to, co ty czujesz do Jonny'ego.

- Kocham go, ale nie jestem w nim zakochana. Ale mój problem polega na tym... - sfrustrowana Bo o mało co nie walnęła pięścią w stół, nie mogąc zgłębić tajemniczy zachowania mężczyzny - że Jonny nie zrobił żadnej z tych rzeczy, które chciałam, ani z tych, które myślałam, że zrobi. Myślałam, że go znam. Chciałam, żeby wpadł w szal, żeby mogła pojechać do Stanleya i powiedzieć: „Mój chłopak dowiedział się o nas i ześwirował”.

- Dobry plan - zauważyła Larissa.

- Wyrzucił mnie, co pozwoliłoby Stanleyowi powiedzieć: „Dzięki Bogu!” albo „Teraz jesteś wolna!”, a nawet zapytać „Jak się czujesz?”. Ale Jonny nie zrobił nic takiego. Nie wyrzucił mnie. Nie powiedział mi, że jestem śmieciem. Nawet nie wpadł w szal - mówiła Bo z niedowierzaniem. - Siedział tylko na kanapie i zaczął płakać.

- Jonny się rozpłakał? - powiedziała Maggie sama gotowa wybuchnąć płaczem.

- Wiem, Mags! - Bo machnęła ręką tak mocno, że słomka wypadła z jej szklanki i uderzyła przechodzącą kobietę. Bo przeprosiła i odwróciła się do przyjaciółek.

- N i e wiedziałam, co robić. Nie spodziewałam się... Boże! - Zadrżała. - W każdym razie kretynsko zdenerwowałam się na niego i po półgodzinie to Jonny przeproszał mnie za swoją niestosowną reakcję na mój straszliwy romans. - Oddychała ciężko. - Powiedziałam mu, że nie chcę już z nim być. Że chcę odejść.

- Powiedziałaś to Jonny'mu?

- Jasne.

- Gdzie była twoja matka podczas tego całego zamieszania?

- Zamieniała moje życie w piekło - odparła Bo. - Zamknęliśmy ją w sypialni, ale wychodziła co pięć minut. Chcecie herbaty? Może wody? Mam otworzyć okno? Powiedziałam: „Mamo, *basta!*”. Ale nie przestała. Oświadczyła, że ma migrenę. „Bo, możesz mi podać pigułki, nie najlepiej widzę. To może być jaskra. Mam strasznie wysokie ciśnienie. Moje pigułki, Bo!”. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to przeżyłam, czy tylko sobie wyobraziłam, to wszystko było tak surrealistyczne. Zupełnie jak scena niewierności u Dalego. Nic nie trzymało się kupy.

- A jednak się trzymało. Bo - zaczęła spokojnie Larissa - pozwól, że zadam ci pytanie. Powiedziałaś przed chwilą, że Jonny nie zareagował albo nie zachował się tak, jak chciałaś czy oczekiwałaś...

- Taak?

- Możliwe, po prostu możliwe, że Stanley również nie zareaguje albo nie zachowa się tak, jak chcesz bądź oczekujesz, kiedy powiesz mu, że masz zamiar zerwać z chłopakiem i związać się z nim.

- Nie. - Bo zmarszczyła brwi. - Rozmawialiśmy o tym ze Stanleyem, i o nas. Bardzo wiele nas łączy.

- Na pewno. - Larissa wstała i postawiła swoje talerze i miski na tacy. - Teraz nic nie możesz zrobić. Przyjęłaś kurs, którym musisz dopłynąć do końca. Porozmawiaj ze Stanleyem. Nie zostawiłaś sobie wiele opcji. Mag, idziesz? Bo ja muszę powoli wracać.

- Skończę jeść - powiedziała Maggie, patrząc na niedojedzoną zupę. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście. - Larissa zostawiła je z radością, lecz zamiast pobiec na pociąg, zeszła na trzecie piętro i obejrzała wystawę „Sztuka i miłość w renesansowej Italii”, spoglądając przelotnie na miski i tace z Castel Durante oraz wykazując ogromne zainteresowanie czarno-białymi rysunkami Gustave'a Dorego przedstawiającymi Paola i Francescę, kochanków z piątego kręgu Piekieła Dantego. Związani ślubem z innymi, zostali zamordowani przez zdradzonego Giovanniego, zanim zdążyli odpokutować swoje winy, a teraz spleceni w uścisku unoszą się w powietrzu otoczeni huraganem dusz.

Czy Jared uzna, że jest niewinna, przyjmie jej epikurejskie argumenty? Czy uda jej się przekonać go ścisłą logiką? Mogłaby powiedzieć: „Jared, wracałam do domu. Gotowałam ci kolacje. Spędzałam z tobą weekendy. Odbierałam twoje białe wykrochmalone koszule z pralni, wracając ze spotkań, na których atakowała mnie miłość kogoś innego, nie twoja”.

Wiedziała - nic nie będzie łatwiejsze tylko dlatego, że jej wolna wola przegrała z wyrokiem losu. Los zadziałał raz - kiedy pojechała do Stop&Shop, bo na parkingu przy King's nie było miejsca, i raz do głosu doszła jej wolna wola - kiedy tam wróciła. Potem wszystko już pozostawało w zaciśniętych i poplamionych spermą dłoniach Larissy.

Przez chwilę stała jak w transie, po czym zbiegła po marmurowych schodach i zatrzymała taksówkę. Aby uniknąć przypadkowego spotkania z Maggie, pojechała nią aż do domu.

* * *

O szóstej następnego ranka zadzwonił telefon. Dlaczego jego dzwonek tak bardzo ją przerażał? Nic nie mogła na to poradzić, była przekonana, że to jakieś złe wieści.

Dzwoniła Maggie.

- Masz pojęcie, która godzina?

- Tak. Jutrznia. Ale dziś nie jadę. O mój Boże, dzwoniła do ciebie?
 - Kto? Co się dzieje?
 - B o !
 - Nie dzwoniła. Myślałam, że jest ze Stanleyem. To Maggie - szepnęła bezgłośnie do Jareda i wstała, by wyjść z telefonem do łazienki.
 - Bo była! Posłuchaj, ale udawaj, że nic nie wiesz, jeśli do ciebie zadzwoni.
 - Dobrze.
 - Pojechała do Stanleya i powiedziała mu, że Jonny ją wyrzucił. I wiesz, co Stanley na to?
 - N i e . Co?
 - Powiedział: „Ojej. Wyrzucił cię? To co teraz zrobisz?”. Bo nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Przez pół godziny chrząkała i płała się. A on potem powiedział, słuchaj uważnie: „Bo, przykro mi, ale nie wiedziałem, że dziś przyjdiesz. W zasadzie wychodzę”.
 - Wychodził?
 - Zgadza się. Bo zapytała więc, czy może iść razem z nim. Odparł, że to nie tego rodzaju wyjście.
 - Nie tego rodzaju - powtórzyła Larissa. - I co zrobiła? Odwróciła się i zaczęła uciekać co sił w nogach?
 - Zrobiłabyś to?
 - Tak. Uciekałabym szybciej, niż niosłyby mnie nogi.
 - Ja też. Ale może, jak mówiłaś, mój Ezra ma rację. Nikt nie wie, co zrobi druga osoba. Nie wiemy nawet, dlaczego sami robimy niektóre rzeczy. Bo nie uciekła, Larisso. Została na kanapie Stanleya, gdy on wyszedł.
 - Co takiego?
 - Chyba udzieliłyśmy jej złej rady.
 - Na to wygląda. Ale próbowałam. Starałam się jej wytłumaczyć, że może tydzień sypania z innym mężczyzną nie wystarczy, by podjąć tak zdecydowane kroki. Ale czy wydawało ci się, że ona słucha? Wiedziała, czego chce. A nam mówiła co innego.
- Wieczór skończył się więc na tym, że Bo siedziała na kanapie

u Stanleya, kiedy on wyszedł i zostawił ją samą, a Jonny siedział na swojej własnej kanapie, gdy Bo wyszła i zostawiła go samego. Larissa przyłożyła czoło do zimnych płytek. Niesamowite.

- Siedziała i czekała, aż Stanley wróci - ciągnęła Maggie. - A wrócił o drugiej! Bo chciała, żeby na nowo określili ich związek. Nawet jej nie zapytał, czego ona oczekuje. Musiała mu powiedzieć! „Stanley - wyznała. - Jestem w tobie zakochana. Chcę z tobą zostać. Chcę być z tobą”.

- Powiedziała to po trzech godzinach siedzenia na kanapie, podczas gdy on był Bóg jeden wie z kim?

- Tak! Stanley nic nie odpowiedział. Dopiero o czwartej wyrzucił z siebie paskudną prawdę.

- Jest jeszcze paskudniejsza od tego, co już mi powiedziałaś?

- Powiedział, że nie jest w niej zakochany - syknęła Maggie do telefonu.

- Nie wierzę w to! - odparła Larissa. - Ta kupa sadła powiedziała naszej ślicznej Bo, że nie jest w niej zakochana?

- To jak powiedzieć, że dzwonnik z Notre Dame nie był zakochany w Marilyn Monroe. Strasznie mi jej żal. Boże, zapomniałam o swoich własnych kłopotach.

Larissa żałowała, że nie może powiedzieć tego samego.

- Stanley uważał, że tylko dobrze się bawia - ciągnęła powoli Maggie. - Dłużej nie był tym zainteresowany. Nie z nią. „Nie czuję *tego* do ciebie”, powiedział do naszej Bo.

- Nie mogę w to uwierzyć. A to dureń. - Przypomniała sobie o Jonnym.

- Bo wyszła od Stanleya... i wróciła taksówką do domu. Kosztowała ją sto pięćdziesiąt dolarów. I na kanapie w domu znalazła Jonny'ego, który czekał na nią z zaczerwienionymi od płaczu oczami.

- I zadzwoniła do ciebie?

- Przed chwilą skończyłyśmy rozmawiać. Powiedziała, że postarają się z Jonnym wszystko naprawić.

- Naprawdę? - Larissa próbowała sobie wyobrazić tępy głos Bo, gdy wypowiadała te słowa do ich przyjaciółki Margaret. *Postaramy*

się wszystko naprawić. Cały sen zbladł. Dramat wybuchnął i wypalił się w ciągu tygodnia.

Szczęśliwa Bo? Biedna Bo?

- Najwyraźniej Jonny uważa, że warto ją zatrzymać.

- Jestem wstrząśnięta - odparła Larissa. - Warto zatrzymać, mimo że uważa go za towar drugiej kategorii? Może nawet trzeciej?

- Posłuchaj - powiedziała Maggie - prosiła mnie, błagała, żebym nic nie mówiła Ezrze. Możesz nic nie mówić Jaredowi? Bo nie chce, żeby Jonny poczuł się upokorzony, kiedy się spotkamy. Wiem. Ironia. Ale proszę. Wiem, że nie masz przed Jaredem żadnych sekretów, ale możesz się tym razem postarać?

- Mags, pozwól, że zadam ci pytanie. Maleńkie. Powiedziałaś już Ezrze?

- Tak. Wszystko.

Larissa się roześmiała.

- Ja postaram się ukryć to przed Jaredem. To nie będzie łatwe. Ale spróbuję.

Jared wszedł do łazienki i odkręcił prysznic.

- Co chcesz przede mną ukryć?

Larissa opowiedziała mu wszystko, zanim skończyli myć zęby.

- No proszę, a ja myślałam, że to Jonny rządzi w tym związku - dokończyła. - Kto mógł wiedzieć?

Jared wypłukał maszynkę do golenia pod ciepłą wodą.

- Ależ z niego bałwan.

- Co? - Larissa uśmiechnęła się i spojrzała na niego kokieteryjnie. - Nie czekałbyś na mnie na kanapie z zaczerwienionymi oczami?

- Siedziałbym na kanapie. Ale zamiast pudełka chusteczek trzymałbym haubicę.

Larissa chciała mu się przyjrzeć wyjątkowo uważnie, by sprawdzić, czy żartuje, ale nie rzuciła nawet spojrzenia na jego odbicie w zaparowanym lustrze.

2

Historie na suficie

A Kai?

Obserwowała go i serce uderzyło jej o żebra jak jaskółka, która nie zauważyła szyby i zginęła.

- Z kim musisz porozmawiać, mała? - zapytał. - Jestem tutaj. Porozmawiaj ze mną. Potrzebujesz tylko mnie.

- A o czym tu rozmawiać? - powiedziała i pochyliła się, by zamknąć jego twarz w zgięciu ramienia. Pozwolił jej na to, lecz po chwili wyswobodził się, by dalej grać na harmonijce. Śpiewająca odpowiedź na wszystko najwyraźniej kryła się w dżungli mokrej od deszczu.

Opowiedziała mu o Stanleyu i Jonnym. Słuchał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i kiedy skończyła, zacmokał, rozłożył dłonie w geście „Co zamierzasz zrobić?” i wzruszył ramionami.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? To nie my.

- Zgadza się. Po pierwsze nie ważysz sto pięćdziesiąt kilo.

- Jeszcze nie. Ale, co ważniejsze, ty nie przyjdiesz mi powiedzieć, że mąż wyrzucił cię z domu i chcesz zostać ze mną. - Utkwił w niej spokojne spojrzenie. - No właśnie. Po co więc prowadzić hipotetyczną rozmowę o bzdurach? Przysuń się lepiej. Chcę ci zagrać nową piosenkę, której się nauczyłem.

- Podbiłeś mnie samym „chcę ci zagrać” - powiedziała Larissa, przysuwając się bliżej. Nie mogła na niego spokojnie patrzeć. W żaden inny sposób też nie.

Zagrał zwrotki na ukulele, a refren bez słów na harmonijce. Całość zabrzmiała nostalgicznie jak stary standard, dźwięczał w niej smutek piramid nad Nilem, zdjęcia i pamiątki, ale nic nie mogło się z tym równać. Odsuwając harmonijkę od ust, zaśpiewał ostatni fragment a cappella. „Kiedy znów będziesz w domu - nucił rzewnym szeptem - pamiętaj, do kogo należysz...”.

- Proszę - szepnęła. - Nie rób tego...
- Tylko śpiewam, maleńka. Nie płaczę.
- Czy jestem Francesca, Kai? - Przynęła twarz do jego twarzy. -

A ty Paolem?

- O co pytasz? - Opierał jedną rękę na niej, a drugą na ukulele. Uderzał lekko struny i muskał ją palcami, jakby na niej też grał. - Czy jesteście podobni do kochanków Dantego?

Nie odezwała się. Odłożyła ukulele i objął ją.

- Tulimy się do siebie jak gołębie. Otacza nas huragan dusz. Nie odbyliśmy pokuty. - Zawiesił głos. - Czy twoim mężem jest Giovanni? Moja odpowiedź brzmi: Nikt nie wie. Nawet on. Chyba żaden mężczyzna nim nie jest, dopóki nie przychodzi chwila, kiedy się nim staje.

Nie zmieniał się. Był stały jak przypływ. Każdy dzień z uśmiechem, wierszem, skinieniem głowy, jego nagim ciałem; dotykał jej, całował ją, przynosił jej jedzenie w papierowej torbie, otwierał szampana i nalewał do plastikowych kieliszków, grał na gitarze akustycznej i elektrycznym ukulele, na harmonijce, miękko i bluesowo, idealnie. Cała muzyka jak życie dzieliła się na dwa rodzaje: albo zbliżała do Boga, albo od niego oddalała. Blues od Boga oddalał. Oddalał od Boga, lecz zbliżał do Kaia.

Nie pomagał jej ani nie wspierał. Po prostu był. Nie mogła o tym z nim rozmawiać. O innych rzeczach tak, ale nie mogła tak zwyczajnie usiąść i powiedzieć: „Kai, mój Boże, co mam zrobić?”. Nie znał odpowiedzi, nie znał jej niosący śnieg wiatr na zewnątrz, nie słysząc jej było w szumie wierz. Odpowiedzi po prostu nie było.

Powiedział jej: „Larisso, pragnę tylko ciebie”.

Pragnę tylko ciebie.

Pragnę tylko ciebie.

Czy to pomagało?

Nie. Ale... pragnął tylko jej.

To pomagało.

Larissa leżała na znak obok niego. Jeszcze trzydzieści minut. Leżeli na łóżku, oblani potem miłości, Kai na brzuchu udawał, że drzemie, a ona wpatrywała się w sufit, wyobrażając sobie ścieżki, które stoją przed nią otworem. Nie była Bo i nie pragnęła kataklizmu, płytkiego

wyznania bez wyrzutów sumienia, nie chciała interwencji losu. A może jednak? To było bardziej realne niż jej dwie stopy, na których przemierzała ziemię, a jednak żyła z tym ukrytym w sercu, jak mgiełką, niemą opowieścią o duchach. Jedyna prawdziwa Larissa leżała na wznak naga w pokoju na poddaszu w żółtym domu w Madison.

Przeklęte urywki czasu uwięzione w jego okowach. Czy łatwo było tak żyć? Czyjemu było łatwo nie widywać jej w nocy, spędzać samotnie piątkowe wieczory, soboty, weekendy? Budzić się w samotności? Kłaść się samemu spać? Nie mogli razem zjeść naleśników na mieście, nie mogli iść na zakupy do galerii, nie mogli razem pojeździć na motorze z wyjątkiem pętli w Glenside. Nie mogli spędzić razem nocy w hotelu Madison! Nie mogli pojechać na wakacje, pójść popływać, nie mogli razem latać.

Mogli dalej to ciągnąć, lecz Larissa czuła, że zaczyna to kalać duszę, której istnieniu zaprzeczał Epikur. Czy chcieli żyć jak wyjęci spod prawa? Nie miała odwagi go o to zapytać w obawie, że usłyszy: „Nie”.

Była pewna, że Dominick z UPS widział jej samochód zaparkowany na nienależącym do niej podjeździe, bo za każdym razem, gdy wręczała jej paczkę i mówił: „Miłego dnia”, słyszała tylko: „Ty ładacznico. Kłamliwa zdziro. Łamaczko serc”.

Czuła, że to nie może trwać. Jared niebawem odkryje strzęp metki odciętej od jedwabnej halki z Cotton Club kupionej za sześćset dolarów, olśniewającej jak diamenty, otulającej jej popołudniowe ciało. Zostawiła ją u Kaia w szufladzie, którą opróżnił dla niej w komodzie swojego życia. Kupowała jedwabną bieliznę i zostawiała ją u niego. Ale od czasu do czasu znajdowała w torebce metkę odciętą od kolejnego przezroczystego cuda kupionego i użytego w pośpiechu, bez wyrzutów sumienia, o którym marzyła w wolnych chwilach. Pewnego dnia nawet Jared znajdzie jego ślad. Nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę wskazuje właściwą godzinę. Nawet ślepiec w końcu natknie się na ukryte drzwi prowadzące do innego świata.

Larissa je znalazła.

I co potem? Będą oskarżenia i fałszywe przeprosiny, jeszcze bardziej fałszywe wyrzuty sumienia, będzie musiała zacisnąć wszystkie

zakończenia nerwów w swoim ciele, lecz otchłan pomiędzy synapsami będzie otwierać się zbyt szeroko, by o niej mówić, i aby utrzymać zewnętrzna skorupę swojej egzystencji, będzie musiała pozwolić Kaiowi odejść i pokutować, pokutować, pokutować. I żyć dalej.

Bez niego.

Będzie musiała się odwrócić od marzenia leżącego obok jej nagiego serca i wrócić do tego, co pozostawiła za sobą. Sufit nie mógł jej tutaj pomóc: obnażone krokwie nie roztoczyły przed nią słodkiej wizji, kiedy wszystko się rozpadnie i nadejdzie paskudny koniec. Nie ujrzała siebie samej, jak wygląda przez duże okna w stylu georgiańskim na pole golfowe i galerię w oddali, na słońce, jak planuje kolejne wakacje i obozy dla dzieci, może letnie zajęcia dla Ashera, skoro tak źle radził sobie z matematyką. Będzie się zastanawiać, kiedy najlepiej ćwiczyć. Może rano popływa w basenie, żeby schudnąć. Na pewno coś będzie musiała robić. Popołudniami będzie mogła gotować. Może coś upiecze.

Przyjdą do niej przyjaciółki i pokaże im, jak przygotować kurczaka w karaibskiej marynacie z sosem z papryki. W weekendy będą mogli jeździć jaguarem Douga do South Mountain.

Nie było wyjścia. Żadnego.

O mój Boże, Kai, co my zrobimy, szepnęła bezradnie.

- Jest druga trzydzieści, Larisso. Twój syn czeka na wzgórzu w Woodland.

* * *

Kochana Larisso!

Mamy z Lorenzem poważne problemy. Cale to protestowanie było nieważne, dopóki nie nabrało znaczenia, a kiedy to się stało, wszystko popadło w ruinę.

Gdy robiliśmy to dla pieniędzy, protestowaliśmy przeciwko czemuśkolwiek. Ale jak wiesz, nie można służyć dwom panom.

Nagle nasze życie zostało sprowadzone do jednego: katolicy przeciwko IFWM. Po tym, co się stało z jego rodzicami, była to jedyna rzecz, o jaką dbał Lorenzo. Nagle zaczął chodzić na akcje protestacyjne i spo-

tkania, potem musiał kupić maszynę do pisania i nawet ojciec Emilio narzekał, że tak często korzysta z kopiarki w refektarzu. Cały czas nie było go w domu, ale pieniądze przestały napływać. W jednej minucie były, a w następnej już nie. Nie wiem, czy wiesz, jakie to uczucie, Larisso.

Zapytałam go, czy wie, co wyprawia. Odparł, że nigdy dotąd na niczym mu nie zależało, z wyjątkiem picia i dobrej zabawy. Ale IFWM przejmuje Mindanao. I musimy ich powstrzymać. Chciałam zapytać, kim są ci „my”, ale za bardzo się bałam. Mindanao nie może być wyspą IFWM. Ten kraj jest w dziewięćdziesięciu pięciu procentach katolicki. Przez czterdzieści lat żyli obok nas, lecz nie pokojowo. Rząd chciał raz na zawsze skończyć z zabijaniem chrześcijan na ulicach Manili i pobudzić ruch turystyczny na Mindanao, który zamarł z powodu nieustannych ataków, podpaień i zabójstw. Zgodził się więc na coś, co się nazywa Memorandum o Porozumieniu w Sprawie Terenów Etnicznych, czego od dawna domagał się IFWM. Lorenzo powiedział, że rząd po prostu oddał Mindanao ruchowi w zamian za pokój. „Ale nie rozumie, że nie będą mieli ani jednego, ani drugiego”, powiedział Lorenzo. To oznaczało wojnę.

Powiedziałam (a może nawet wrzasnęłam): „Lorenzo, o czym ty mówisz? Jaką wojnę? Przecież będziemy mieli dziecko”.

Odparł, że nasze dziecko nie będzie bezpieczne. Jak jego rodzice, apolityczni rybacy w małej wiosce Zamboanga, nie byli bezpieczni. Nikt już nie jest bezpieczny, powiedział.

Dwa tygodnie temu dołączył do Brygady Pokoju, pod której nazwą kryją się zwykli ludzie walczący na ulicach, i wychodzi teraz w pełnym rynsztunku: kamizelce kuloodpornej, hełmie i z bronią! Oczywiście rebelianci z IFWM wywołują więcej zamieszek niż Brygada Pokoju, by skłonić rząd do szybszego ratyfikowania umowy o autonomii.

Nie wiem, co robić. Nie mam nikogo poza Lorenzem, a on oszalał. Nie chce nawet iść do ojca Emilia po pomoc. Teraz całą pracę wykonuje pro bono dla Ligi Katolickiej, która w zamian go karmi, a ojciec Emilio karmi mnie, ale mieszkamy w chacie, która kosztuje trzy tysiące peso miesięcznie, a Lorenzo nic nie zarabia. Tak wygląda moja ciężka. Lorenzo oszalał z rozpacz i wściekłości, mówi, jak nigdy dotąd nie sły-

szałam, o nacjonalizmie, o separatystach, o trwających nadal walkach i protestach na ulicach Manili, dopóki rząd nie przestanie negocjować z terrorystami, o tym, co jest słuszne, o zemście.

A najgorsze jest to, że ojciec Emilio nie jest po mojej stronie! Uważa, że Lorenzo może mieć rację! Mówi: „Jak rebelianci mogą się uważać za autonomicznych, skoro dziewięćdziesiąt osiem procent ich kosztów operacyjnych pokrywa rząd Filipin? Po piętnastu latach posiadania autonomicznego regionu nie stworzyli żadnego źródła dochodów, a jednak pragną więcej autonomii? I codziennie zabijają obywateli Filipin, jakby mieli do tego prawo. Lorenzo walczy o sprawiedliwość”.

Larissa, pomóż mi. Jestem zgubiona. Co mam robić?

3

Chris Chase

By móc czasem wykraść wolny wieczór dla siebie i Kaia, Larissa znalazła nowego specjalistę od farbowania włosów w salonie na skrzyżowaniu Dwudziestej Pierwszej Ulicy i Dziewiątej Alei. Umówiła się na wizytę wieczorem i powiedziała Jaredowi, że nie mieli innego wolnego terminu. Wyglądał na urażonego, a kiedy go przycisnęła, przyznał:

- Tak, jestem trochę wkurzony, bo farbujesz włosy co sześć tygodni i nie chcę, żebyś nabrała szalonego zwyczaju jeżdżenia do miasta co miesiąc, kiedy możesz codziennie do drugiej farbować włosy u Kim.

- Kim, Kim. Paul u Chrisa Chase'a jest najlepszy.

- Gdzie to przeczytałaś?

- W „Allure”.

- „Allure”. Super. Chodzisz do Kim od siedmiu lat i nagle wybierasz się do miasta? No wiesz, Larisso. Gdybyś umówiła się z Bo na kolację, gdybyście wybierały się z Maggie na jakieś przedstawienie, gdybyś robiła coś dla rozrywki, wspierałbym cię ze wszystkich sił.

- Czyżby? - zapytała cicho. - A czym się to różni?
- Jechać wieczorem, żeby ufarbować włosy? To dziwne. Nienormalne.

Larissa zacisnęła zęby i odwróciła się.

- Już się umówiłam - rzuciła.

Stało się jasne, że przedsięwzięcie nie zakończy się takim sukcesem, na jaki liczyła. Próbowała tak wszystko ułożyć, żeby razem z Kaiem mogli raz w miesiącu zjeść kolację. Kolorysta naprawdę miał być znakomity. Umówiła się na środę, bo Kai kończył pracę o szóstej i mieli się spotkać w mieście o siódmej.

Była gotowa kilka minut przed siódmą i nedorzecznie podekscytowana czekała na niego na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Siódmej Alei, ubrana w ciemnozieloną tunikę z kaszmiru, czarne legginsy i wysokie lakierki. Stała w rozpiętym kożuszku, jej biżuteria migotała, piersi wznosiły się i opadały w oczekiwaniu. Czekwała na chodniku w pobliżu niskiego ogrodzenia, spoglądając na zegarek, odrzucając do tyłu pięknie ufarbowane i uczesane włosy, długie i jedwabiste, z jaśniejszymi pasemkami. Wyglądały fantastycznie, „Allure” miało rację. Paul był magikiem. Oblizała pomalowane błyszczącym ustami, zniecierpliwiona, rozedrgana niczym siedemnastolatka przed pierwszą randką, i z przyprowadzonym goryczą rozrzewnieniem uświadomiła sobie, że poza spotkaniami w samochodzie i jego mieszkaniu było to rzeczywiście ich pierwsze wspólne wyjście. Choć podekscytowana, poczuła ukłucie smutku ze względu na Kaia, który spędzał tygodnie i dni, miesiące i godziny, czekając, by obdarzyła go godziną swojej obecności. Stała, uderzając obcasami w chodnik, gdy usłyszała kobiecy głos:

- Larissa?

Zbladła i odwróciła się od ogrodzenia z kutego żelaza w stronę, z której dobiegał głos.

To była Kate, żona Douga Granta, współpracownika Jareda, księgowego, kierownika biura, zastępcy dyrektora finansowego i przyjaciela. Na nowojorskiej ulicy uśmiechała się do Larissy w zapadającym powoli zmierzchu. Było dziesięć po siódmej i Kai mógł się zjawić w każdej chwili.

- Cześć, Kate, co za niespodzianka! Co tutaj robisz? - zapytała lekko podniesionym głosem Larissa, pochylając się, by ją pocałować na przywitanie.

- Moja kancelaria znajduje się na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Dziesiątej Alei. Chodzę tędy co wieczór do metra. - Kate uśmiechnęła się. - To niespodzianka widzieć tu ciebie.

- Właśnie wyszłam od fryzjera.

- Miałam ci powiedzieć, że twoje włosy wyglądają rewelacyjnie.

- Dzięki. Jak się miewają dzieci? - Larissa rozpaczliwie starała się nie wiercić.

- Wszyscy mają się dobrze. - Kate otaksowała Larissę spojrzeniem. - Cała wyglądasz rewelacyjnie. Jestem pod wrażeniem. Tak się ubierasz do fryzjera?

Larissa roześmiała się głośno.

- Zabawna jesteś. A jak Doug?

- Świetnie. - Kate przewróciła oczami.

- A nowy samochód? Jesteście zadowoleni? - Larissa siłą woli nie odwracała się w stronę ruchliwej ulicy, by przyrzeć się twarzom przechodniów. Może Kai spóźni się kilka minut i Kate zdaży odejść. Może, może, może...

- Nowy samochód jest absolutnym hitem. Niby miał być dla mnie, ale Doug zabiera go wszędzie jak portfel.

Larissa znów sztucznie się roześmiała.

- Musisz się postawić. Nawet nie wiedziałam, że pracujesz w mieście.

- A l e ż wiedziałas. Tylko zapomniałaś. Jestem sekretarką w kancelarii adwokackiej. Pracuję tam już piętnaście lat. Lada moment dostanę złoty zegarek.

- Lepszy złoty zegarek niż hojna odprawa. Kto zajmuje się dziećmi, gdy jesteś w pracy?

- Mamy nianię z Nepalu. To już trzecia. Lubimy Nepalki. Słabo mówią po angielsku, za to świetnie radzą sobie z dziećmi.

Larissa bardzo starała się nie patrzeć na ulicę, nie szukać go, nie wyglądać, jakby za chwilę miała dostać ataku serca i paść na chodnik.

Przysunęła się do ogrodzenia, by przytrzymać się zimną ręką jednego z prętów.

- Wracasz pociągiem? - zapytała Kate.

- T a k .

- Świetnie. Chcesz się przejść do stacji Penn? Nie jest zbyt zimno. Możemy spalić po drodze trochę kalorii i wrócić do domu razem.

- By ł o b y mi ło.... ale wracam pociągiem później. Umówiłam się z przyjaciółką na kolację.

- A c h tak. - Pochylając się, by zapiąć długi płaszcz, Kate uśmiechnęła się na widok lakierowanych botków Larissy. - Musimy koniecznie umówić się we czwórkę na kolację i przez cały wieczór spierać się na temat wyższości naszych modeli jaguara.

- Koniecznie - odparła Larissa. - Podobno w Madison jest świetna włoska restauracja.

- Madison? Trochę daleko, ale może być. Doug na pewno z radością tam pojedzie. - Pocałowały się, uścisnęły i Kate już miała odejść, gdy powiedziała nagle: - Kai? Kai Passani?

O mój Boże! Ona go znała! Oczywiście. Przecież sprzedał im jaguara. Co za koszmar.

Na ciemnej ulicy Larissa była zmuszona patrzeć, jak Kai ścisnął dłoń Kate, wyraża zaskoczenie z powodu spotkania i odpowiada na jej okrzyki.

- Mnie też jest miło panią spotkać. Och, bardzo proszę. Cieszę się, że jesteście państwo zadowoleni z samochodu. Dziękuję za szampana. Bardzo się przydał. Słucham? Umówiłem się z przyjaciółmi. A jak się pani jeździ nowym samochodem?

Kate przez trzy minuty opowiadała, jak bardzo mąż jest zadowolony z samochodu, a Kai cały czas dawał wyraz swojemu rozbawieniu. Larissa stała niedaleko i udawała, że ich nie zna, nie mówi po angielsku, zupełnie jak niania z Nepalu, i tylko stoi na rogu ulicy, czekając, by przejechała ją ciężarówka albo zabrała do starego kraju.

- Och, przepraszam, zachowałam się niegrzecznie. Kai, pamięta pan Larissę Stark? Sprzedał jej pan kabriolet! - Kate tryskała energią. -

To dzięki niej trafiliśmy do pana. Wychwalała swój samochód pod niebiosami.

- I słusznie. To bardzo piękny model - odparł Kai, przechylając lekko głowę w stronę Larissy. - Miło znów panią zobaczyć.

- Pana też - odparła, ledwo poruszając zdrętwiałymi wargami.

Stali razem przez długą chwilę.

- Życzę paniom miłego wieczoru - powiedział w końcu Kai. - I radości z samochodów. - Skłonił się Kate i przeszedł obok Larissy, która co prawda zacisnęła usta, ale nie pozwoliła sobie nawet spojrzeć na jego skórzaną kurtkę, dzinsy, na pełen pogardy i niepokoju wyraz jego oczu, gdy mijał ją w odległości zaledwie parunastu centymetrów na ruchliwej ulicy. Odwrócił się w jej stronę, by przejść, i warknął „Przepraszam” głosem zbyt zimnym i ostrym jak na obcego człowieka. Larissa stała bez ruchu i bez słowa, lecz kiedy odwróciła głowę, by pomachać do Kate, zauważyła, że ona przygląda się im z dziwnym błyskiem w oczach, prawie niedostrzegalnym, sygnalizującym jednak, że uświadomiła sobie, iż na jej zmęczonych oczach rozgrywa się coś niestosownego i bardzo elektryzującego.

Larissa mogła zrobić tylko jedno. Musiała wyprzeć się Kaia. Musiała się go wyprzeć całym sercem.

- Kate, zaczekaj! - Przyspieszyła kroku, by ją dogonić. - Możesz chwileczkę poczekać?

- Spóźnię się na pociąg - odparła chłodno Kate.

- Tylko sekundę. Nie wiem dlaczego, ale moja przyjaciółka się nie zjawia. Spóźnia się już pół godziny. A jej komórka nie odpowiada. Chyba coś ją zatrzymało. Poczekaj chwileczkę, sprawdzę wiadomości.

Kate czekała w milczeniu. Larissa udała, że sprawdza wiadomości.

- Uwierzysz? - powiedziała i zacmokała językiem. - Stoję tu jak głupia od pół godziny, a ona dzwoniła o szóstej, żeby powiedzieć, że nie przyjdzie. Cholera. Mogę z tobą iść? Może mimo wszystko uda nam się razem wrócić pociągiem.

Jej słowa przekłuły chyba balon podejrzeń Kate Grant, bo uśmiechnęła się i wyglądało na to, że poczuła wielką ulgę. Ruszyły w stronę

Siódmej Alei, nie oglądając się na Kaia. A Larissa, przerażona nim, sobą, swoim spapranych, powoli rozpadającym się życiem, mogła sobie tylko wyobrazić, co czuje Kai, gdy stoi na ulicy i patrzy, jak ona odchodzi.

Złapały pociąg dwie po ósmej. Trzydzieści trzy minuty koszmarniej jazdy do Maplewood, czterdzieści pięć do Summit. Siedziały przy oknie naprzeciwko siebie i rozmawiały, a po piętnastu minutach Kate zachichotała nerwowo.

- Chcesz wiedzieć, jak jestem głupia? Kiedy stałyśmy tam i wpadłyśmy na naszego sprzedawcę samochodów...

- T a k ?

- Nie wiem, teraz wydaje mi się to zabawne, och, to głupie, wiem, ale kiedy cię mijał, zobaczyłam, że patrzy na ciebie, jakby cię znał.

- K t o ?

- Sprzedawca jaguarów.

- Przecież mnie zna - odparła Larissa. - Sprzedał mi samochód.

- Wiem. Ale minął cię tak blisko. Spojrzał na ciebie, jakby cię znał.

- Na zatłoczonej ulicy w mieście w godzinie szczytu?

- No właśnie! A ty się nie odsunęłaś. Nie zrobiłaś nawet kroku. - Kate zaśmiała się. - Chyba w młodości oglądałam za dużo odcinków *Dni naszego życia*. Przez chwilę byłam gotowa przysiąc, że to z nim umówiłaś się na kolację, bo tak intensywnie wpatrywał się w twoją twarz, gdy cię mijał. A ty nawet nie podniosłaś wzroku. Kiedy się patrzyło na to z boku, był to naprawdę niesamowity moment. Pełen ukrytych możliwości.

Larissa też się zaśmiała.

- Kate, masz niezłą wyobraźnię. Powinnaś zostać pisarką.

- Zabawne, że to mówisz. Trochę się tym bawię...

- Naprawdę? Opowiedz mi.

Kate rozpromieniła się i mówiła bez przerwy przez następne dziesięć minut aż do Maplewood, kiedy Larissa pocałowała ją na pożegnanie.

W pociągu nie miała zasięgu, lecz gdy tylko znalazła się w samochodzie w Summit, zadzwoniła do Kaia. Nie odebrał. Zostawiła wiadomość. „Tak bardzo mi przykro. Proszę, wybacz mi”.

Wysłała mu SMS-a.

Nie dostała odpowiedzi.

Siedziała w samochodzie, opierając głowę o kierownicę. Przyjechały jeszcze dwa pociągi.

Potem pojechała do domu. Jechała wolno, jakby u celu czekała na nią mafia, która oskarżywszy ją o złamanie prawa omertà, zamierzała zanurzyć jej stopy w misce z cementem, a kiedy ten stwardnieje, wrzucić ją do rzeki Passaic.

- Emily! Ćwiczyłaś na wiolonczeli? - warknęła Larissa, gdy tylko weszła do domu i przekonała się, że dzieci grają w gry wideo i oglądają telewizję.

- N i e .

Larissa wyłączyła telewizor.

- Znasz zasady. Nie siadasz, dopóki nie skończysz pracy. Idź poćwicz. Wiedziałam, że wykorzystasz tatę. Idź!

- Pilnowałam za ciebie Michelangela! - wrzasnęła Emily. - Jak mam ćwiczyć, kiedy bawię się z nim samochodzikami?

- Zawsze masz gotową wymówkę! - krzyknęła Larissa. - Jak mi się udaje ugotować kolację, posprzątać w kuchni, pomóc tobie i Asherowi w pracy domowej i bawić się samochodzikami z Michelangelem? Idź, powiedziałam. Przez następne pół godziny chcę słyszeć tylko dźwięk wiolonczeli.

Emily wypadła z pokoju. Asher siedział przy komputerze cichutko jak myszka. Michelangelo podszedł i objął Larissę za nogę. Wszystko to wydarzyło się, zanim zdjęła płaszcz. Jared obserwował ją w milczeniu, stojąc w wejściu do kuchni.

- Przede wszystkim dobry wieczór - powiedział.

- Dobry wieczór. Ale wiesz, że powinna ćwiczyć.

- Nie wiem, co robiła, a czego nie, przed moim powrotem do domu.

- A powinieneś wiedzieć. W przyszłym tygodniu ma koncert. - Mięnęła go z impetem.

- Może ty nie powinnaś włączyć się po Nowym Jorku, kiedy dzieci cię potrzebują - powiedział Jared, wchodząc za nią do kuchni. - Nie wiem, co się dzieje. Prawie zapomniałem przywieźć do domu pizzę. Dobrze, że Em zadzwoniła, żeby mi przypomnieć.

Jednak Larissa przestała słuchać.

- Asher! Ile razy mam ci powtarzać, że kiedy skończysz odrabiać lekcje, masz odłożyć te cholerne książki.

- Dopiero co skończyłem.

- To je odłóż! Nie czekaj, żebym zaczęła krzyczeć. Po prostu to zrób!

- Ja odłożyłem książki, mamusiu - powiedział Michelangelo.

- Jesteś grzecznym chłopcem. Ale zauważyłam, że nie poskładałeś samochodzików, kiedy skończyłeś się nimi bawić. Znasz zasady. Skończyłeś coś? Odłóż. - Chwyciła brzeg blatu, by się uspokoić.

- Jeszcze nie skończyłem się bawić.

- To sugeruję, żebyś skończył. Kąpiel za pięć minut.

- Ja go wykąpię - powiedział Jared, patrząc na nią zimno. - Ty się opanuj.

Ale nie było na to sposobu.

Kai próbował jej to powiedzieć. I nie chodziło o to, że nie słuchała. Chodziło o to, że nic nie mogła zrobić ani wtedy, ani teraz. W jednej chwili całe jej życie, cały dom zawali się jej na głowę, jeśli nie znajdzie sposobu, żeby się opamiętać.

Opowiadają zabawne rzeczy o słusznym gniewie, o frustracji spowodowanej tym, że nic się nie układa, że pragnie się coś zmienić i nie można tym, że chce się wykrzyczeć swoją miłość z dachów domów i nie można tego zrobić, że chce się bezskutecznie uwolnić. Że bardzo się pragnie, a na każdym kroku napotyka się przeszkody, że człowiek bardzo się boi, a codzienna czujność osłabia nerwy. Larissa stała na środku kuchni; nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zupełnie się tego nie spodziewała. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Co się dzieje? Czy zaraz zemdleje?

W następnej chwili leżała na podłodze i otwierała oczy, a Jared kłęczał nad nią.

Pomógł jej wstać, posadził na wysokim krześle, dał jej wody.

- Co się stało? Źle się czujesz? Wiedziałem, kiedy tylko weszłaś do domu. Wyglądałaś strasznie. Chyba coś cię bierze.

- Wyglądałam strasznie? - zapytała, podnosząc głowę, którą ją bolała, jednak nie tak bardzo jak serce. - Nie widziałeś mnie? Nie widziałeś moich włosów, butów, swetra? Nie widziałeś moich włosów? Wyglądałam strasznie? O czym ty mówisz?

- Daj spokój, wiesz, co mam na myśli. Wiedziałem tylko, że osunęłaś się na podłogę. Dla mnie to oznaka, że ktoś nie najlepiej się czuje.

- Może nie czuję się dobrze - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Ale dla ciebie tak również wyglądam.

Zaczął się bronić, lecz szybko mu przerwała. Była zmęczona takim życiem. Myślała, że jej się uda, że będzie mogła wszystkim zonglować; w końcu tak robiły wszystkie matki. Wykonywały wiele prac i zadań, nikt nie potrafił tak zonglować życiem jak matka, a jednak w tej chwili wszystkie piłeczki leżały u jej stóp, z wyjątkiem tych ołowianych w ściśniętym żołądku. Myślała, że uda jej się zajmować dziećmi, dbać o dom, gotować i robić zakupy, przygotować *Świętą Joannę* i premierę *Godota*, umawiać się z rozsądnymi ludźmi, chodzić na manikiur i do fryzjera, kupować ubrania dla stale rosnących dzieci, przyjmować gości w swoim pięknym domu, planować rozrywki na weekend, małe wypadki, wielkie wakacje; będzie mogła robić to wszystko i jednocześnie zachować miłość swojego życia przy Albright Circle niczym ważkę uwięzioną w bursztynie, czystą, nieskalaną, nietkniętą nieszczęściem. Kai powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, a ona poczuła ulgę, bo chciała, by tak było. Mieli tak niewiele możliwości. Mogli zachować status quo albo nic.

Ale coś w niej pękło. Pozostawienie Kaia na ulicy, wyparcie się go, przyzwolenie, by przeszedł kilka centymetrów od niej, było dla niej tak strasznie niesprawiedliwe, że nie mogła już ani przez sekundę patrzeć na zatroskaną twarz Jareda. *Teraz* był zatroskany! Potraktowała Kaia paskudnie. A kiedy traktujesz paskudnie ludzi, których uwielbiasz, co ci pozostaje? Czym jest twoje życie, jeśli nie można być dobrym dla tych, bez których nie możesz żyć?

A jeśli będzie miał dość? Jeśli powie: „Już nie mogę”?

Szczerze mówiąc, była to jedyna reakcja, jakiej Larissa spodziewała się po młodym człowieku porzuconym na rogu ulicy przez okropną zamezną kochankę. Wiedział, że nigdy nie będzie pierwszy. Ani drugi. Nie zajmie nawet odległego trzeciego miejsca. Na rogach ulic nawet nie łąpał się do rozgrywek. Nie przechodził kwalifikacji.

Jak długo Kai to wytrzyma? Nie sądziła, że dłużej niż dziś wieczór.

- Przepraszam - powiedziała cicho do Jareda, przechodząc obok niego. - Nie czuję się dobrze. Nagle poczułam się tak okropnie, jak wyglądam.

Nie wiedziała, co robić. Nie tylko nie znała odpowiedzi, ale też zabrakło jej pytań. Wiedziała jedno. Jeśli jutro przyjdzie do Kaia, żeby się przed nim płaszczyć, a on powie: „Już dłużej nie mogę”, będzie skończona. Mogła żyć dalej tylko z nim. Cokolwiek się zdarzy, nie może go stracić. Tyle wiedziała. To była jedyna prawda. Cała reszta pozostawała do negocjacji.

Poszła na górę do pokoju Emily, usiadła ciężko na łóżku, zapytała, jak minął jej dzień, jak jej poszedł test z fizyki, i posłuchała, jak gra *Humoreskę* Dvoraka. W pokoju Ashera kazała mu przyciszyć muzykę, wziąć prysznic przed pójściem do łóżka, potem przeszła obok łazienki, gdzie Jared kąpał Michelangela, i zawahała się, czy nie wejść do środka, bo uwielbiała patrzeć na swojego malucha baraszkującego w pianie. Przypomniała sobie jednak, że zostawiła na dole torebkę, a w niej komórkę. Co będzie, jeśli Jared zaniepokojony dziwnym zachowaniem żony przeszuka torebkę i znajdzie telefon? Kiedy szła na dół, by wyrzucić kolejną komórkę na kartę, pomyślała, że wcale by jej nie obeszło, gdyby Jared znalazł telefon. Chcę, żeby go znalazł, żeby wszystko się wydało, żeby coś się zmieniło. W tym jestem podobna do Bo. Już dłużej tak nie mogę.

Kiedy wyjęła komórkę, nie znalazła na niej wiadomości od Kaia.

Wyszła z domu, stanęła przy krzewach na podwórku i zadzwoniła do niego. Tym razem odebrał.

- Tak mi przykro - powiedziała. Zaczęła płakać.

- Uspokój się - odparł zimnym głosem. - Jesteś w domu?

- T a k .

- Nie rób tego. Opanuj się. Nie... Wszystko jest w porządku. Jestem dużym chłopcem. Poradzę sobie. Tylko się uspokój.

- Och, Kai.

- Rozłącz się i zajmij się rodziną.

- Kai...

- Larisso, przestań. Pamiętaj, nikt nie wie, co zrobi, dopóki nie stanie przed wyborem. Ja stanąłem. Ale czy ty jesteś gotowa przekonać się dziś wieczór, czy Jared będzie płaczącym Jonnym, czy może kimś innym?

Larissa zamilkła. Przerwali połączenie. Wrzuciła komórkę głęboko do kosza na śmieci, wytarła twarz i wróciła do środka. Jared był w kuchni.

- Co tam robiłaś? - zapytał.

- Wynosiłam śmieci - rzuciła. - Nie jestem z ciebie zadowolona.

- Co takiego zrobiłem? Nie ćwiczyłem na wiolonczeli?

- Proszę bardzo, naśmiewaj się ze sposobu, w jaki wychowuję dzieci - powiedziała. - Jared, kiedy musisz wrócić do domu późno albo wcześniej, kiedy wychodzisz z klientami na kolację, nigdy nie musisz się o nic martwić. Ja proszę o jeden wieczór co sześć tygodni, żeby ufarbować pieprzone włosy w mieście, a ty się wściekasz.

- Nie wściekam się.

- Czyżby? - Zaczęła go naśladować. - Dlaczego nie zrobisz tego w ciągu dnia, dlaczego nie pójdziesz do Kim?

- No właśnie, dlaczego?

- Bo nie chcę! Bo chcę raz w miesiącu pojechać do miasta i farbować włosy u faceta, o którym pisali w „Allure”, a potem zjeść kolację, może iść do kina albo do księgarni. Dlaczego tak trudno to pojąć? Dlaczego zawsze muszę dopasowywać moje życie do ułamka czasu, który mi wyznaczasz? Jared, ja mam wszystko zaplanowane, żyję i umieram według zegarka.

- Witamy w świecie dorosłych.

- Tak, tak - rzuciła zniecierpliwiona. - Ale ty możesz iść na trzy godziny na lunch, jeśli chcesz. Ja nie mogę. Ty możesz jeździć przez cały dzień i oglądać nieruchomości. Ja nie. Chodzisz do eleganckich

restauracji i przebywasz w towarzystwie dorosłych. Ja nie. Żyję według rozkładu zajęć dzieci. To ogromna różnica.

- A l e masz czas w ciągu...

- Nie mam czasu w ciągu dnia! Wiesz, co mam w ciągu dnia? - Larissa urwała pod ciężarem oszustwa, które nie chciało spaść z jej barków, zsunąć się zdradliwie z jej ust. Kai brzmiał przez telefon spokojnie, nie był wściekły, co dało jej siłę i nadzieję. Spróbuje raz jeszcze wszystko wyprostować. - Zupełnie mnie nie doceniasz. Nie masz pojęcia, co robię w ciągu dnia, i co gorsza niewiele cię to obchodzi. Tak dla twojej informacji, oprócz sprzątanego twojego domu, gotowania dla ciebie jedzenia i opiekowania się twoimi dziećmi ustalę obsadę, maluję i prowadzę próby.

- A czyja to wina?

- Która część, Jared? - zapytała cicho. - Która część jest moją winą?

- Mówiłem ci, że teatr to za dużo. Nie możesz teraz narzekać.

- Mogę, a wiesz, skąd wiem? Bo to robię! Ale jedyną rzeczą, na którą narzekam, jest twoje okropne podejście. - Przesunęła dłonią przez piękne włosy. Nawet nie zauważył. - Wiesz co? Muszę z kimś porozmawiać. Naprawdę. Muszę porozmawiać z profesjonalistą.

- C o ?

- Tak. Nie mogę... nie mogę tak dłużej ciągnąć. Jestem przytłoczona. W każdej chwili mogę się załamać. Musimy przestać rozmawiać albo naprawdę wybuchnę.

- Dlaczego zwolniłaś sprzątaczkę, skoro potrzebujesz pomocy?

- Tu nie chodzi o sprzątaczkę!

- Pomagała ci.

- N i e takiej pomocy potrzebuję! Potrzebuję z kimś porozmawiać. Pobyć sama. Potrzebuję pomocy, której uczą na kursach wieczorowych w Drew. Potrzebuję...

- To porozmawiaj ze mną.

- Rozmawiam, a ty nie słuchasz! Mówisz o Ernestinie, jakby była rozwiązaniem wszystkich moich problemów.

- Nie wiedziałem, że masz problemy - odparł zaskoczony. - Myślałem, że żyjemy jak w bajce.

- To twoje życie jest pieprzoną bajką - rzuciła przez zęby. - Bo nie dostrzeżasz niczego, co się dzieje dookoła.

- O czym ty mówisz? Ja...

- Ufarbowałam dzisiaj włosy. Zauważyłeś?

- Wszłaś do domu, boksując się z samą sobą - wrzasnął Jared. - Jak miałem skomentować twoje włosy?

- W innych wypadkach jesteś bardzo spostrzegawczy!

Jared potarł twarz.

- Czy tego potrzebuję, żeby być w moim własnym życiu, moim własnym domu? Jeśli mi nie powiesz, skąd mam wiedzieć, że nie jesteś szczęśliwa?

- Jestem bardzo szczęśliwa. Ogromnie - powiedziała z okrutnym wyrazem twarzy, mokrymi oczami, tuszem rozmazanym na policzkach.

- Ale chciałabym porozmawiać z kimś o moim szczęściu. Mam tyle szczęścia, że sobie z nim nie radzę. Czuję, że wybuchnę z radości.

- Dobra, wystarczy - powiedział powoli Jared.

- Wystarczy, zgadza się. Bo jeśli twoja żona skończy w wariatkowie, będziesz pędził do domu co wieczór, nie tylko raz w miesiącu, a potem zobaczymy, jak ci się to spodoba, gdy będziesz musiał dwa razy wozić Emily na lekcję wiolonczeli, podczas gdy Michelangelo ma karate, a Asher biegi i ortodontę, wszystko w tym samym czasie. Zobaczymy, ile późnych kolacji w mieście zdołasz zjeść, panie dyrektorze finansowy.

- Larisso, uspokój się.

- Dlaczego wszyscy każą mi się uspokoić?

- Jacy wszyscy?

- Nie uspokój się. To ty się uspokój. Mówisz różne rzeczy i zachowujesz się w sposób paskudny i denerwujący, a potem zadzierasz nosa, jakbyś był jedynym rozsądnym człowiekiem na Ziemi.

- Wcale się tak nie zachowuję. - Rozłożył ręce. - Przepraszam. Jak mogę się tak zachowywać? Próbuję tylko zrozumieć.

Zmusiła Jareda, żeby ją przeprosił!

- Zrozum jedno. Raz w miesiącu twoja żona potrzebuje spędzić wieczór sama, bez ciebie i dzieci.

- Boże, dlaczego robisz z tego taką hecę? Dlaczego nie porozmawiałaś ze mną w zeszłym tygodniu, kiedy cała sprawa wypłynęła?

- Bo chciałam, żebyś sam do tego doszedł! Chciałam, żebyś wykazał się troską. Tak jak zrobiłeś to latem w Lillypond, kiedy pozwoliłeś mi spędzić dzień samej. Tego chciałam. Ale jeśli chcesz, wynajmę opiekunkę na cały dzień, żeby ciągała ze sobą dzieci, kiedy będziesz w pracy.

- O czym ty mówisz? Przestań.

Dyszała ciężko.

- Znajdę pracę w mieście i też będę poza domem od siódmej do siódmej, może wtedy nie będę wysłuchiwać od ciebie durnych wymówek, że co dwa miesiące spędzam dwie godziny poza domem, żeby ufarbować włosy.

- Larisso! Co cię opętało? Uspokój się.

- Jestem spokojna, Jared. Jak ocean.

- Larisso...

- Muszę położyć dziecko spać. Skończyliśmy?

- Ja mam wiedzieć? - warknął Jared.

- Skończyliśmy.

Popędziła na górę, jakby była Emily.

4

Idziemy?

Następnego wieczoru miało się odbyć pierwsze z trzech przedstawień *Godota* i we czwartek przez całe rano przygotowywano scenę, a na południe zaplanowano próbę generalną ostatniego aktu. Kiedy Larissa dotarła do Kaia, było już po wpół do pierwszej. Ubrany siedział przy okrągłym stole przy oknie.

- Cześć.

- Cześć.

Siedział wyprostowany jak sfinks. Obserwował ją, gdy szła od drzwi do stołu. Usiadła naprzeciwko niego. Wydawał się zupełnie nieprzystępny.

- Kai...

Unióśł dłoń, by jej przerwać. Nie odezwał się ani słowem. Siedział wyprostowany i wpatrywał się w nią, bez uśmiechu. Larissa rozpaczliwie starała się nie rozpłakać.

- Nie złość się na mnie, proszę - szepnęła. - Błagam cię. Wiesz, jakie to dla mnie trudne. Próbowałam coś zrobić dla nas i tylko wszystkim spaaprałam. Nie chciałam cię zdenerwować.

Siedział dalej.

Po policzku Larissy spłynęła łza.

- Jest połowa lutego - powiedział w końcu.

- Wiem.

- Dziś wieczór odbędzie się premiera twojej sztuki. A w weekend przypadają walentynki.

- Nie pójdę z nim na kolację - powiedziała. - Mam spektakl. A potem bankiet.

- Nie będzie romantycznej kolacji ani z nim, ani ze mną. Niedługo zacznie się marzec. Minie rok od czasu, gdy zaczęliśmy to małe fandango, jak je nazywasz, ten szczęśliwy taniec.

- Kai...

- Larisso, wiesz, że godzę się na to wszystko. Robię to, bo mam życie, które wiodę, czekając na ciebie. Czytam, gram na instrumentach, pracuję. W niedziele jeżdżę do Rahway odwiedzać Gila. Mamy nadzieję, że niedługo dostanie zwolnienie warunkowe za dobre sprawowanie. Więc odzyskam kumpla. Ale na razie w piątkowe wieczory umawiam się z jego współlokatorami, Harrym i Markiem, i jeździmy z gitarami do Newark, żeby jamować w lokalnych barach. Mijam wtedy ciemny budynek Prudential i myślę, że jesteś z rodziną.

Nie mogła siedzieć tak prosto jak on. Pochylała się, kuliła ramiona. Wyraz jego oczu był taki neutralny, a głos - obojętny.

- Pozwól mi wyjaśnić, żebyś mnie źle nie zrozumiała - powiedział. -

Tu nie chodzi o wczoraj. Tak, to było straszne, ale to był tylko jeden wieczór i, jak już wspomniałem, potrafię się z tym pogodzić. Nie chodzi o to. - Urwał, by wziąć oddech. Wilgotne kręcone włosy opadały luźno, a twarz była gładko ogolona. Niedługo wychodził do pracy i wyglądał, jakby zaraz miał wybiec z pokoju. - Wiesz, o co chodzi?

Pokręciła głową.

- O moje życie. I twoje.

- Proszę, nie złość się na mnie - powtórzyła szeptem. - Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Nie wiem jeszcze jak, ale na pewno.

- Wczoraj próbowałaś mi to wynagrodzić - powiedział. - Próbowałaś mi wynagrodzić dwadzieścia trzy godziny na dobę, których mi odmawiasz. Ale rozumiesz, że nie mogło być inaczej?

- N i e . Będzie inaczej. Lepiej.

Pokręcił głową.

- Nigdy nie będzie lepiej. Tak już jest. To było najlepsze.

- Nie. Mogę coś zrobić...

Zaśmiał się krótko, sceptycznie.

- Możesz go zostawić. Przeprowadzić się tutaj i zamieszkać ze swoim Stanleyem.

Nie odezwała się. Wstyd i upokorzenie kryjące się w jego stwierdzeniu odebrały jej mowę i siłę, nawet by zaprzeczyć.

- Musiałaś o tym myśleć. Bo ja myślałem. Nie rozmawiamy o tym, bo to nie ma sensu. Bo oboje wiemy, że to niemożliwe! - Kończąc to zdanie, Kai jedyny raz podniósł głos. Larissa nie miała pojęcia, jak to robi, że mówi tak spokojnie o nieszczęściach. Wolałaby, żeby krzyczał, wrzeszczał, zerwał się z miejsca, coś rozbił. To przynajmniej byłoby zrozumiałe. A jednak jego opanowanie, jego spokojny, łagodny charakter były rzeczą, do której wracała - ta świadomość najmocniej ją z nim połączyła: że w całym tym chaosie on nie zamienia jej życia w piekło za to, że znaleźli się w pułapce. Kiedy była z nim, zawsze świeciło słońce. Dlatego stale wracała. Ale dziś potrzebowała Kaia, który nie istniał, Kaia rzucającego pełne nienawiści słowa, krzyczącego, bo ten udawany chłód ją przerażał.

Pokręciła głową.

- Rozmowa nie jest pozbawiona sensu - powiedziała.

- Oboje wiemy - ciągnął - że nie możesz się tu wprowadzić i prosić, by dzieci cię tu odwiedzały, siedziały w tym małym pokoju, przy tym stole i patrzyły na łóżko, na którym młody chłopak, kilka lat starszy od twojego syna, przed chwilą pieprzył ich matkę! - Zawiesił głos i spojrział na nią bez tchu. - Oboje wiemy, że tak nie może być. To jest wygnanie. Stracisz dzieci. Upokorzysz je, a one nie będą mogły spojrzeć ci w twarz, przynajmniej te starsze. Nie będą chciały się z tobą widywać. Zostaną ci jedynie spotkania pod nadzorem wyznaczonej przez sąd obcej osoby. Zostaniesz potępiona. Wiesz, skąd to wiem? Bo mój ojciec musiał porzucić rodzinę, zamiast przedstawić nas dziewiętnastoletniej sprzedawczyni mango, w której się zakochał. A może nie mógł przedstawić jej nam? W każdym razie odwrócił się od swoich dzieci. A my go potępiiliśmy. Nie musisz ci zresztą tego mówić, bo sama wiesz. Dlatego nigdy o tym nie wspominałaś.

Po policzkach Larissy płynęły łzy. Wycierała je bawełnianym ręcznikiem. Kai urwał kawałek papierowego ręcznika i podał jej. Ezra miał rację. Kontrolowane życie to nie piknik.

- Przez jakiś czas było bardzo dobrze, Larisso - powiedział Kai. - Ale chyba dotarliśmy do kresu drogi.

- Kai, proszę! Nie. Poczekajmy. Jeszcze trochę... proszę... wszystko poukładać. Daj mi tylko szansę.

- N a co?

- Żeby to naprawić.

- Potrafisz?

- T a k .

- Nie widzę jak.

- A ja widzę. Zobacysz. Wczorajszy wieczór już nigdy się nie powtórzy.

- Powtórzy się.

Larissa w milczeniu pokręciła głową. Drżała. Otworzyła dłonie i szepnęła trzęsącym się głosem:

- Kai, proszę... zlituj się nade mną.

Kai westchnął, wstał i w końcu się zlitował.

Leżeli nadzy w łóżku twarzami do siebie. Obejmowała go ramionami. Jego dłonie spoczywały na jej pośladkach jak atole na Pacyfiku.

- Kai, wiesz, co do ciebie czuję. Wiesz. Nie muszę ci mówić.

- Nie musisz - zgodził się. - Wiem. Ale, Larisso, mam już dość bycia twoją zabawką w skórzanej kurtce. Nigdy nie pytałem siebie, jak długo to wytrzymam. Wczoraj wieczorem poznałem odpowiedź. Już niedługo. Jestem prawie u kresu.

Ujęła jego twarz w dłonie i całowała go, czując słony smak swoich łez.

- Jeszcze ze mnie nie rezygnuj - szepnęła. - Porozmawiam z psychiatrą. Pomoże mi wszystko poukładać.

- Na pewno?

- Oczywiście.

Jego dłonie znalazły się między jej nogami, usta powędrowały na piersi. Pieszcząc ją, całował jej sutki.

- Jeśli to nie pomoże ci wszystkiego poukładać, nie wiem, co może zrobić dobry doktor. Może zna jakieś sztuczki, których ja nie znam.

Jęknęła. Rozłożyła jej nogi. Otworzyła usta, by poczuć jego smak.

Jedenaście minut.

- Sztuka powinna nosić tytuł *Czekając na Larissę* - powiedział, wsuwając się w nią.

Ścisnęła go za szyję, jęknęła i uniosła ręce, by chwycić zagłówek.

- Nie musisz na mnie czekać, moje serce, mój kochanku - powiedziała, płacząc z miłości, smutku, strachu. - Jestem tutaj.

Cztery ściany czerwonych róż później, z jeszcze większym pożądaniem, szepnęła, cytując Vladimira:

Idziemy, Larisso?

Tak, chodźmy.

Nie poruszyli się.

5

Pustkowie Mungo

Godot, ku irytującemu zadowoleniu Leroya, odniósł ogromny sukces: podobał się zarówno rodzicom, jak i uczniom, pomimo czteroosobowej obsady i dekoracji składających się z jednego pełnego tremy nagiego drzewa.

Maggie przykryła dłonią dłoń Larissy, która siedziała w ciemności, czekając, by podniesiono kurtynę, z tekstem sztuki na kolanach. Miała nadzieję, że nikt nie zapomni tekstu. Było go tak dużo, a na nagiej scenie nie było się gdzie ukryć.

- Możesz pojechać ze mną - powiedziała z powagą Maggie.

- Dokąd?

- Do klasztoru.

- Do klasztoru! A po co u licha miałabym to robić?

Larissa siedziała uwięziona między Jaredem i Maggie.

Maggie zniżyła głos.

- Jared powiedział nam, że przeżywasz trudne chwile.

- Wcale nie. - Nie mogła się nawet odsunąć, bo oznaczałoby to, że musi się przybliżyć do Jareda. - Nic mi nie jest.

- Jared powiedział, że musisz z kimś porozmawiać.

- Nie tak, Maggie. Nie z księdzem. Z kimś, kto zajmuje się tym zawodowo.

Prowadziły tę rozmowę w teatrze, gdzie inni gawędzili o filmach, programach telewizyjnych i smakach lodów!

- Zakonnice pięknie śpiewają psalmy, tak pięknie, że ich głos przeżywa duszę. Naprawdę powinnaś pojechać. - Maggie zamknęła oczy. - „Boże mój, wołam przez dzień... Ocal od miecza moje życie” - wyszeptała.

Jak działa to ocalenie?, chciała zapytać Larissa. Biorąc oddech, zapytała jednak:

- Pomogło ci?

- Tak.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Odnalazłam spokój. Myślisz, że łatwo jest odnaleźć spokój, gdy ciało odmawia ci posłuszeństwa?

- Chyba nie. Ale raczej nie szukam śpiewania. Uwierz lub nie, znam dość piosenek. - Czy zakonnice grają na gitarach akustycznych? Mają głębokie barytony? Czy śpiewają o kuchniach dla biedaków i paradach szaleńców?

Maggie nie cofała współczującej dłoni. Co mówiła etykieta na temat wyrwania się z takiego uścisku?

- Zawsze możesz porozmawiać ze mną, Lar. Wiesz o tym. Wiele rozumiem. Wreszcie wszystko sobie poukładałam! Dlaczego cierpię. Dlaczego wszyscy cierpimy...

- Przepraszam cię na moment. - Larissa poklepała przyjaciółkę po ramieniu i szybko wstała. - Muszę się upewnić, czy pamiętają, żeby wejść z lewej strony i przejść przez całą scenę. Zaraz wracam.

Gdy rozglądała się po ciemnej sali, na moment wstrzymała oddech, bo wydało się jej, że wysoko na jaskółce dostrzegła Kaia. Chciała do niego zawołać. Wiesz, jak brzmi moja jutrznia? O, daj mi jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną godzinę, bym mogła iść zimną ulicą, posiedzieć przez chwilę w ciepłe popołudnie, zanim wszystko - piękno, smutek, klęska w tym niebieskim pokoju na poddaszu - zsunie się z hukiem jak czaszki po kamiennym zboczu góry.

Bilety na wszystkie przedstawienia zostały wyprzedane, łącznie z tym czwartkowym, ale nie widziała go, nawet gdy na koniec zapalono światła. Musiała sobie wyobrazić jego utkwiony w niej wzrok.

Niewielką obsadę nagrodzono owocami na stojąco i kwiatami. Larissa i Jared pogodzili się, zawarli rozejm. Ona przeprosiła, on kupił jej róże i czekoladki.

- Naprawdę nie pójdziemy na kolację w walentynki? - Zupełnie jakby nie mógł uwierzyć w splot wydarzeń, który doprowadził do tego, że ostatnie przedstawienie *Godota* przypadało w dzień świętego Walentego.

- Jak, Jared? Sztuka zaczyna się o siódmej, a o dziesiątej mamy bankiet.

Powiedziała, że pójdą w niedzielę i przesuną obchody święta zakochanych na dzień później. Jednak w niedzielę zabrali dzieci na górę Watchung i jeździli na sankach. Spędzili tam cały dzień, a kiedy wracali, jakoś nie mieściło im się w głowie, że mogliby wpaść do domu, zostawić dzieci i iść sami na kolację. W Mountainside znaleźli bardzo sympatyczną knajpkę serwującą steki i zjedli uroczą rodzinną kolację z rozgadanyimi i zmęczonymi dziećmi.

* * *

W poniedziałek po walentynkach w mieszkaniu Kaia na Larisse czekały sto czterdzieści cztery róże, dwanaście na każdy miesiąc ich znajomości. Stały w pokoju w dwunastu szklanych wazonach: na szafce przy łóżku, na stoliku, blatach, a dwie przy łóżku po jej stronie. Miała teraz swoją stronę łóżka, jakby budziła się tutaj w niedzielne poranki blisko otwartego okna, przez które prosto w jej rozchylone usta wpadał słony wiatr znad oceanu.

Świętowali spóźnione walentynki rainbow sushi, czekoladowymi lodami z wiśniami, wspaniałym espresso i butelką bąbelków. Mieli miłość, nie suche pocałunki w milczeniu, nie sen; mieli dziko płonący ogień i lśniące nagością burze. Wyrzuceni z raju smakowali ogniste drzewa, ale dlaczego przypominało to w smaku jasny i gorzki rajski owoc?

- Larisso - zaczął Kai z płonącymi podnieceniem oczami. - Przy Route 66 leży miasto. - Uniósł się na łokciu, by spojrzeć jej w twarz. Róże w wazonach otaczały jego jasnobrązowe włosy czerwoną aureolą.

Dlaczego zdrętwiały jej palce? Starła się nie zamykać oczu, nie odwracać się.

- W Arizonie, niedaleko Flagstaff, między górami i kanionem, z dala od pustyni i lasów leży małe miasto. - Zawiesił głos. - Niedaleko Wielkiego Kanionu. Czy nie byłoby super otworzyć biuro wycieczkowe? Zarobilibyśmy mnóstwo pieniędzy. Kupilibyśmy nieduży autobus, może taki z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku,

jakie jeździły w parku Yellowstone, z brezentowym dachem i z wielkim kołem z tyłu.

- Za co?

- Jak myślisz, co robiłem z moją prowizją? Wszystko leży w banku. W każdym razie - ciągnął - liczylibyśmy dwadzieścia dolców za turę wokół Wielkiego Kanionu. Wyjeżdżalibyśmy trzy razy dziennie: wcześniej rano, po lunchu i o zachodzie słońca. To byłoby coś, prawda?

Nie potwierdziła, za to zapytała:

- A co się stało z wycieczkami po New Jersey? - Chciała mu powiedzieć o górze Watchung, jak migotał na niej śnieg, ile było tam sanek i snowboardów, jak Michelangelo pobił brata w wyścigu i uważał, że był to najwspanialszy dzień w jego życiu.

Kai opadł na łóżko i założył ręce za głowę.

- Chcę jeździć na motorze po wielkich preriach, przemierzać odległości między morzami. - Urwał. - Z tobą z tyłu.

- Jak z małpką - powiedziała cicho.

Pieścił dłońmi jej biodra. Przewrócił się na bok i pocałował ją w ramię i bok piersi.

- Chcesz wiedzieć, jak się nazywa to miasto?

- Czy to ważne? - Spojrzała na niego. - Nazwa miasta?

- Trochę tak. Nazwy miast określają toczące się w nich życie. Summit. Mountainside. Paradise Falls. To w Arizonie nazywa się Pine Springs, Sosnowe Źródła. - Zараźliwy szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz jak lampki na Boże Narodzenie. - Czyż nie brzmi wspaniale?

Nie wiedziała. Nie miała zdania. W New Jersey było mnóstwo sosen. Miliony. Pine Barrens. Great Swamp. Były też źródła. Nie było kanionów, ale góry tak.

Miłość, sushi, kawa, zimny cristal, nagi piękny Kai. Był lekko zmieszany, boleśnie uroczy.

- Larisso, wysłuchaj mnie. Nie chcę, żebyś kręciła głową ani cokolwiek mówiła.

Nie martw się, chciała powiedzieć. Niczego takiego nie zrobię. Głos uwiązał jej w sercu, a serce w brzuchu i nie było nic słyhać z czarnej otchłani.

- Ten facet, na którego żonę wpadliśmy na ulicy? Doug Grant! Opowiadał mi bez końca o wyprawie do australijskiego buszu. Jeździł konno przez pięć godzin niedaleko miejsca o nazwie Jindabyne, na południowy zachód od Canberr, na zupełnym pustkowiu. A dotarł tam przerobionym jeepem. - Pieścił palcami jej nogę, przesuając nimi w górę i w dół. - Dało mi to sporo do myślenia. Moglibyśmy kupić tanio jeepa, takiego na safari, i zabieralibyśmy turystów do buszu i opowiadali o wężach, okolicy, skałach i tak dalej.

- Co takiego? - wyszeptła.

Przyłożył palec do jej ust i usiadł w pozycji lotosu z rozpromienioną twarzą.

- Obiecałaś, że nic nie będziesz mówić, dopóki się nie zastanowisz.

- Nad czym? Nad Australią? Żartujesz?

- N i e .

- Nic nie wiemy o Australii.

- Dowiemy się. Ja trochę wiem. Jak myślisz, co robiłem, czekając na ciebie?

- Najwyraźniej traciłeś rozum.

- Tak. Przez ciebie. Wyruszymy na włóczęgę. Canberra albo Alice Springs, albo takie miejsce w buszu, pustkowiu o nazwie Mungo. Czyż to nie brzmi fantastycznie? - Ścisnął jej dłonie, przytulił do nich twarz, pocałował, położył głowę na jej łonie. Był tak blisko.

- Kai...

Przyłożył usta do jej warg, by ją uciszyć.

- Miałaś to przemyśleć, a nie mówić. Kai&Larissa Tour Company. - Roześmiał się wesoło. - Czyż to nie brzmi niesamowicie? - Całował jej twarz, ręce, usta. - Tak, ukochana - szepnął. - To rewelacyjny plan. Zaoszczędziłem mnóstwo pieniędzy. Nie będziesz się musiała niczym przejmować. Byłem sprzedawcą miesiąca prawie przez rok. Jeszcze miesiąc, może dwa, i będę miał własnego jaguara. Taki jestem dobry. Potem będziemy mogli go sprzedać, dorzucimy jeszcze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy. Ty też musisz mieć trochę pieniędzy, ale nawet jeśli nie masz, nieważne. Zatoszczę się o nas, a kiedy nasz interes zacznie przynosić dochody...

- Kai...

- Tak? - Jego białe zęby i białka oczu znajdowały się o kilka centymetrów od jej zdumionej twarzy. - Zamknij oczy i wyobraź to sobie. Powiedz, że nie możesz. Powiedz, że nie widzisz tego wyraźnie.

- Kai - powiedziała łamiącym się, przerażonym głosem, który nie płynął z aparatu głosowego, lecz z miejsca, gdzie rodzi się życie. - Masz moje serce na własność, ale...

- Nie ma żadnego ale - odparł. - Po tych słowach nie pozwalam na żadne ale. Możesz mówić tylko o miłości. Nie mogę uwierzyć, że zasługuję na twoją miłość, Larisso. Nie sądziłem, że jestem cokolwiek wart. Ale skoro mam ciebie, bogowie muszą o mnie myśleć. Proszę cię więc, nie mów ale.

Milczała. Musiała się zbierać. Michelangelo sam nie odbierze się ze szkoły.

- A co z moimi dziećmi, Kai? - zapytała ledwo słyszalnym szeptem. Zasłony były rozsunięte i przez otwarte, zalane słońcem okna dobiegał hałas z King Street niedaleko torów. Było zimno. Lecz ona płonęła.

Spuścił wzrok, przełknął ślinę i pytająco uniósł ramiona.

- No to Pine Springs? - zapytał. - Mam w Oregonie kumpla, Rolanda, który powiedział mi, że szlak Louisa i Clarka biegnie przez lasy do oceanu. Moglibyśmy organizować wycieczki. To byłoby coś. W Kolorado moglibyśmy organizować wyprawy narciarskie w Góry Skaliste. Nie potrafisz jeździć na nartach, ale co tam! A może Badlands? Rzeki Montany? Moglibyśmy uczyć turystów wędkarstwa muchowego.

- Łowilibyśmy muchy?

- Ha! - Klasnął w dłonie. - Niczego nie umiemy robić. Czyż to nie rewelacja? Kiedyś nie potrafiłem sprzedawać samochodów ani układać kostki. Ale nauczymy się. Mój przyjaciel Don mieszka w Missouli. Powiedział, że mi pomoże. Albo w północnej Kalifornii moglibyśmy organizować wycieczki po lesie Redwood i mieszkać na skarpie nad Pacyfikiem.

- Tam też masz przyjaciela?

Pocałował ją.

- Jak myślisz, kto przyjeżdża na Maui? Turyści. Pomagam im, za-

łatwiam najlepsze sushi, najlepsze mango, pachnące kwiaty dla pań i w rezultacie mam przyjaciół na całym świecie.

- Ale nie w Australii.

- W Australii też. Mój kumpel Bart mieszka niedaleko Canberry. Jest mi winien przysługę za układ akordów, który stopił serce jego dziewczyny, Bianki. Teraz są małżeństwem. - Potrzęsnał nią lekko, zmierzwił jej włosy. - Czyż to nie jest niesamowite?

Milczała.

Czas się ubierać. Pomimo przerażenia w sercu, a może właśnie dlatego, znów go zapragnęła i kiedy wciągała czarne spodnie Theory, przebiegła jej przez głowę paskudna myśl: jeśli z nim pojedę, znów będę go mogła mieć. Kiedy tylko zapragnę.

Pocałowali się i zbiegli na dół. Kai wskoczył na motor i włożył kask.

- Larisso - zawołał.

Odwróciła się.

- Chcę tylko, żebyś wsiadła na mój motor i żebyśmy mogli pojechać Main Street, niczego się nie obawiając. Pomyślisz o tym, co ci powiedziałem?

- O niczym innym.

Kiedy jechała do domu, nawet nie widziała Main Street. Przejechała przez dwa czerwone światła i znak stop, i o mało co nie zderzyła się z ciężarówką, która miała pierwszeństwo. Prawie nie zwróciła uwagi na ogłuszający ryk klaksonu.

1

Struny serca i Alice Springs

Larissa znalazła lekarza w Madison. Nikt jej go nie polecił, bo nie mogła prosić o rekomendacje. Znalazła jego numer w książce telefonicznej. Wybrała go, bo spodobała jej się informacja umieszczona pod nazwiskiem: „Dr Kavanagh: specjalista od depresji i problemów małżeńskich”. Jakby te dwie rzeczy były ze sobą powiązane. Jak kochankowie.

Doktor okazał się kobietą po sześćdziesiątce: drobną, świetnie ubraną, cudownie pomarszczoną, najwyraźniej palaczką. Jednak jej wzrok był zdecydowanie zbyt przenikliwy. Larissa wolałaby, żeby pomoc kliniczna była tępa i zamglona.

Nie wiedziała, co myśleć o płci lekarki. Czy kobieta okaże się bardziej współczująca? Usiadła na skórzanej kanapie i przyglądała się lekarce bez sympatii. Kavanagh usiadła na obrotowym fotelu, podwijając nogi pod siebie. Czy na to liczyła Larissa? Na współczucie?

Nie wiedziała, na co liczyła. Poruszała się jak we mgle i pragnęła tylko nanosekundy ostrości - żeby mogła zobaczyć, co ją otacza lub co znajduje się przed nią. Nie widziała niczego poza nim.

Przez dwadzieścia pięć minut rozmawiały o banalnych szczegółach jej życia.

- Gdzie się pani wychowała? - zapytała lekarka.

- Tutaj. No cóż, tam. W Piermont nad Hudsonem, niedaleko mostu Tappan Zee.

- Wiem, gdzie znajduje się Piermont. Miałam kiedyś praktykę w Nyack. Gdzie są pani rodzice?

- Rozwiedzeni. Tato wyprowadził się z domu. Już nie żyje.

- Kiedy się rozwiedli?

- Miałam dwadzieścia lat.

- I powiedziała pani, że była najmłodsza z czwórki rodzeństwa?

- T a k .

- Kiedy rodzice się rozeszli, musieli być...

- Dobrze po pięćdziesiątce. Zgadza się. Wiem, że byli za starzy na rozwód.

- Hmm. Nigdy nie jest się za starym na nienawiść. Albo miłość. Gdzie chodziła pani do szkoły?

- Studiowałam wiedzę o teatrze na Uniwersytecie Nowojorskim.

Jest pani mężatką? Od jak dawna? Ile ma pani dzieci? Ile mają lat? Czym zajmuje się mąż? Gdzie pani teraz mieszka? Czy jest pani religijna?

- Raczej nie - odparła Larissa. - Znajduję się gdzieś pomiędzy. Rodzice uczyli nas, żeby wszystko dokładnie badać, mieć otwarty umysł, wszystkiemu się przyglądać, a potem podejmować decyzje. Byli gruntownie wykształceni i, jak wierzę, byli agnastykami. Tak nas wychowali.

- Wierzy pani, że byli agnastykami?

- Ciekawiła ich metafizyka, ale byli zbyt sceptyczni i dobrze wykształceni, by skłaniać się w jedną bądź drugą stronę. Wierzyli w naukę, kulturę.

- Wierzyli w naukę? - Lekarka urwała i zmrużyła oczy. - A teraz?

- Ja czy oni?

- Pani.

Larissa zamyśliła się.

- Nie jest to częścią mojego życia. - Przypomniała sobie Ezrę. - Prowadzę gorące dyskusje z przyjaciółmi o etyce, sensie życia i tym podobnych. Ale, wie pani, jestem tylko adwokatem diabła.

Doktor Kavanagh przyglądała się jej, jakby nie wiedziała. Nadal miała nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego tu pani przyszła.

Nareszcie, po dwudziestu pięciu minutach rozmowy pojawiło się pytanie, na które Larissa szukała odpowiedzi, ale kiedy już padło, nie miała nic do powiedzenia. Czuła suchość w ustach. Nie wiedziała, jak zacząć. Poczwała się nieswojo, zaczęła się wiercić, obgryzać paznokcie i skórki.

- Wydaje się pani zdenerwowana.

- Nie jestem zdenerwowana.

- N i e ?

- Nie. Jestem... - Urwała. Co się z nią działo? Nie wiedziała, co powiedzieć. Już za późno na owijanie w bawełnę. Co mogła powiedzieć? Zacząć od początku? To było zbyt tandetne. A obecna sytuacja nie była tandetna? Wszystko było przyzwoite?

Przyzwoite: moralne, dobre, życzliwe.

Tandetne: tanie, jarmarczne.

Tak to wyglądało. Stare łachy ukazane jako uroczysta szata.

- Jestem związana z mężczyzną, który nie jest moim mężem - wyrzuciła w końcu z siebie. To było jak wyzwolenie. Zaczęła płakać. Kavanagh milczała. Nie poruszyła się, sięgnęła tylko po pudełko chusteczek.

- Jak długo?

Nie dość długo. Zdecydowanie za długo.

- Kilka miesięcy.

- Dwa? Sześć?

- Rok.

Kavanagh gwizdnęła.

- To bardzo długo jak na romans.

- Nie powiedziałam, że to romans.

- Tak, tak, wiem. Czy mąż się dowiedział? Dlatego pani tu przyszła?

- Nie. I nie.

- Nie? - Lekarka wydawała się zaskoczona. Czyżby czyniła aluzję do ślepoty Jareda? - I jak się pani z tym czuje?

Larissa wydmuchała nos.

- Z czym?

- Ze związkiem z tym mężczyzną. Małżeństwem. Sobą. Jak się pani czuje z tym, co mi pani przed chwilą powiedziała?

- Jestem zdezorientowana.

Kavanagh zasznurowała usta.

- Nie wiem, czy to jasna odpowiedź.

- Jestem tutaj, prawda?

- I czuje się pani zdezorientowana?

Larissa nie miała odpowiedzi na to pytanie.

- Chce pani, żeby mąż się dowiedział?

- Nie - odparła prawie szeptem Larissa. - Nie wiem. Nie chcę o tym myśleć.

- To o czym chce pani myśleć?

- Chyba o tym, co zrobić.

- Chce pani *myśleć* o tym, co zrobić? - zapytała sucho Kavanagh. - Zrobić z czym?

- Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

- Tak, wspominała pani. - Głos lekarki lekko złagodniał. - Chce się pani z tego wyplątać?

- Z czego?

Kavanagh milczała, lecz pozostała czujna.

- Po pani twarzy widzę, że to nie jest łatwe - powiedziała głosem ochrypłym od czterdziestu lat nikotyny. Brzmiała zupełnie jak Joe Cocker. - Nie jest łatwo prowadzić podwójne życie. Rok to długo, by żyć w oszustwie. Czuje pani, że niedługo będzie musiała podjąć decyzję. Pani rodzina, mąż czy kochanek.

- Tak sądzę. - Larissa zauważyła, że zaciska ręce na kolanach, ale nie miała siły, by je rozłożyć.

- Dlatego pani tutaj przyszła? Żeby znaleźć wyjście z sytuacji i potem je zastosować?

- Dlatego?

- Larisso, odpowiada pani na moje pytania pytaniami? - Kavanagh mogłaby wyglądać na rozbawioną, ale była przede wszystkim pode-nerwowana.

- Jestem tutaj, bo chciałam z kimś porozmawiać. To szczerza prawda. Mamy z mężem wspólnych przyjaciół. Nie chcę go upokorzyć.

- Tak, słowa potrafią być bardzo upokarzające - odparła Kavanagh, a Larissa nie mogła się oprzeć poczuciu, że lekarka z niej drwi. Przypomniała sobie swoją podobną reakcję na niepokój Bo o Jonny'ego. Z jakiegoś powodu postawa lekarki spodobała się jej. Podobało się jej, że sama stała się obiektem krytyki. Podnosiło jej to ciśnienie.

- Nie dawno moja przyjaciółka znalazła się w podobnej sytuacji - powiedziała - i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Teraz patrzymy na jej chłopaka jak na durnia, dlatego że z nią został.

- To pomyślałaby pani o swoim mężu? Że byłby durniem, gdyby z panią został?

- Nie wiem... Mówiłam o przyjaciółce. Lepiej ukrywać takie rzeczy, bo przyjaciele nie będą już na nas patrzeć tak samo.

- To jest dla pani ważne? - zapytała Kavanagh. - Nie że pani mąż nie spojrzy na panią tak samo, ale pani przyjaciele? - Zanim Larissa zdążyła się wściec, lekarka ciągnęła: - Zadam pani inne pytanie. Gdyby to wszystko mogło się ułożyć tak, jak pani chce, jak by to wyglądało?

Larissa rozłożyła ręce.

- Nie wiem.

Lekarka spojrzała na nią sceptycznie.

- Nie mam czasu, żeby wyobrazić sobie przyszłość - powiedziała Larissa. - Poświęcam każdą minutę, by zapanować nad dniem dzisiejszym.

Należy się sto czterdzieści dolarów za wszystkie dzisiejsze kłamstwa.

- A le muszę wiedzieć, czego pani chce, żebyśmy obie miały cel dalszej pracy.

- Chce pani wiedzieć, jaki ma być cel naszej pracy? Chcę, żeby wszystko się ułożyło i nikt na tym nie ucierpiał.

- Kogo ma pani na myśli?

- Wszystkich zainteresowanych.

- Siebie?

- Tak. Siebie chyba też.

- Pani kochanka?
- T a k .
- Męża?
- T a k .
- Dzieci?
- T a k .
- A kogo chce pani zranić najmniej?

Larissa nie chciała odpowiadać na to pytanie. I nie odpowiedziała. Bo odpowiedź była jedna: siebie. Nie chciała skrzywdzić przede wszystkim siebie. Bo musiała zostać ze sobą aż do gorzkiego końca i nie chciała żyć ze swoim pokonanym i pobitym ja.

Kavanagh zapisała coś w małym notesie.

- Czy chce pani, żeby to trwało?
- C o ?
- Pozamałżeński związek.
- W przeciwieństwie do czego?
- Do zakończenia go i powrotu na łono rodziny.

Jak mogła wpaść na tak okropny pomysł, żeby tu przyjść?

- Nie wyobrażam sobie, żeby to się skończyło - powiedziała Larissa do zaciśniętych pięści.

- A co pani myślała, gdy to się zaczęło?
- Nic nie myślałam.
- Nie zastanawiała się pani nad przyszłością?

- Niewiele - przyznała. - Początkowo myślałam, że to krótkotrwały wybuch. Wypali się i zgaśnie. Nie wyobrażałam sobie...

- Proszę mi powiedzieć, jak często się widujecie.

Powiedziała.

- No proszę. Jednocześnie niewystarczająco i niewiarygodnie często. Czego oczekuje pani kochanek?

- Nie wiem. Nie pytałam.
- Jest żonaty?

Larissa nie mogła powiedzieć wszystkiego nawet terapeutce!

- N i e .
- Ma dzieci?

- Nie. - Nie zamierzała opowiadać o smutku Kaia.
- Nie jest łatwo utrzymywać związek z mężatką z trójką dzieci. Gdyby tylko wiedziała.
- Co on sądzi o pani dzieciach?
- Nigdy ich nie widział.
- Ale wie, że pani ma dzieci?
- Oczywiście. - Dlaczego była stale wściekła na tę kobietę?
- Nigdy nie rozmawialiście o przyszłości?

Larissa rozpaczliwie nie chciała powiedzieć. I nie powiedziała. Kavanagh pochyliła głowę z uznaniem.

- I przez cały ten czas pani mąż o niczym się nie dowiedział? Musi mieć do pani ogromne zaufanie. To niełatwo ukryć.

- W college'u robiłam specjalizację z teatru.

- Ach tak. To pomaga. Jeszcze jedno pytanie, zanim skończymy. Czy chce pani ocalić małżeństwo? Dlatego pani tu przysłała?

Larissa milczała, jakby zapomniała słów.

- Hmmm - powiedziała Kavanagh. - No dobrze. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

* * *

W drodze do domu, powodowana impulsem, nie wierząc, że to robi, zupełnie bezradna, bez dzwonienia i chwili namysłu, Larissa pojechała na Albright Circle, zaparkowała samochód, weszła po schodach i zapukała do drzwi Kaia. Nie planowała tego, po prostu skręciła na podjazd, weszła - głośno tupiąc, jak jej się zdawało - po schodach - i zapukała. Słyszała, jak gra na gitarze i śpiewa. Na zewnątrz było ciemno i zimno. Drogi były śliskie.

- Larissa! - Wciągnął ją do środka. - Co tu robisz?

Telewizor był włączony, lecz wyciszony, na łóżku leżały śpiewniki, gitary i ukulele, kartonowe pudełka z na w pół zjedzoną chińszczyzną, otwarte puszki coli i piwa Corona. Kai w luźnych granatowych spodniach od dresu i szarej koszulce, bosi i niechlujny, był zachwycony jej widokiem. Westchnęła z ulgą.

- Wraciałam do domu od mojej nowej terapeutki - wyjaśniła. - Pomyślałam, że wpadnę na chwilę. Przepraszam, że nie zadzwoniłam. Skończyła mi się bateria w telefonie. - Pięknie, Larisso. Teraz okłamujesz też Kaia. Pięknie!

Pociągnął ją na łóżko, zrzucił śpiewniki, przesunął gitary na bok, położył ją i wskoczył na nią jak dziecko.

- Jak długo możesz zostać?

Bolało ją serce, szpony strachu powoli rozluźniały ucisk, gdy się uśmiechnął i przytrzymując jej ramiona, całował w szyję, usta.

- Piętnaście minut.

- To o czternaście więcej, niż potrzebuję.

Wysunęła się z jego uścisku, oplótła go nogami i ramionami. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że będzie nim pachnieć po powrocie do domu. I nie mogła wziąć prysznicza, nie mogła wrócić po wizycie u doktor Kavanagh z wilgotnymi włosami lub pachnąca mydłem. „A cóż to za psychoterapeutka, Larisso?“, zapytałby słusznie Jared. Nie mogła też wrócić z czerwonymi śladami od zarostu kochanka na szyi. Jednak jego wargi już sunęły po jej ciele, ocierał się twarzą o jej szyję, piersi. Kręcone włosy zaplątały się w jej palce, całował ją, mruzczał i uśmiechał się, mówiąc, że jest bardzo szczęśliwy, widząc ją wieczorem. To prawdziwy dar.

Została przez chwilę. Nie był to uścisk w miejscu publicznym, lecz pocałunki młodości, srebrne struny gitary, rytm perkusji. Przyszła do niego niespodziewanie, a on był po prostu sobą, taki sam wieczorem jak w dzień: szczęśliwy, że może być z nią, jakby był żeglarzem, a ona aniołem.

W tym roku luty miał dwadzieścia dziewięć dni. Jeden dodatkowy dzień.

* * *

Larissa nie znalazła odpowiedzi na pytanie Kaia. Miała nadzieję, że rozpułynie się ono w powietrzu jak dmuchawiec. I rzeczywiście tak się stało. Pytanie zapuściło korzenie w miejscu, w którym opadł puch

dmuchawca, rozrastało się jak chwasty w trawie i przebijało przez szpary w chodniku.

Jak będzie, Larisso? Tak czy nie. Masz dom, który musisz codziennie sprzątać, a nie odkurzałaś go od wtorku. Masz na półce ostatnią rolę papierowych ręczników, a Michelangelowi dawno skończyła się biała farba, bo mu jej nie kupiłaś. Nie poszłaś na walentynkową kolację z Jaredem, ale co wieczór przygotowujesz kolację dla rodziny, piekąc babeczki z proszku, rozmrażając gotową pizzę, gotując kukurydzę z puszki. Tak czy nie.

Megan jest okropna w roli świętej Joanny, ale klamka już zapadła i musisz wydobyć z niej to, co najlepsze. Nie potrafi być silna, ma słaby głos; codziennie powtarzasz jej, że jest Joanną d'Arc, prawdziwą i bezczelną. Joanna jest wojowniczką, stworzoną nie do romansów, lecz do czegoś większego. Zrobić z niej flirtiarę to jak zrobić kobieciarza z Cezara; tak nie może być. A Megan opadająca z sił za sceną pyta, co Cezar ma wspólnego z Dziewicą Orleańską. „Oboje byli wojownikami, Megan! Pokaż swój autorytet, nie stój nieśmiało przy kurtynie, pamiętaj, że Joanna jest osiemnastoletnią dziewczyną, która poprowadziła Francję ku wolności. Ona nie jęczy, Megan. Ona ryczy”.

Larissa równie dobrze mogłaby przemawiać do kurtyny. Megan nie potrafiła ryczeć. Uważała, że manat, słodkie i łagodne stworzenie, zupełnie niesprawiedliwie otrzymał obraźliwy przydomek krowa morska.

To tragedia, nie melodramat, Megan! Znasz różnicę? Dziewczyna nieśmiało kręciła głową.

Tragedia: wszystko dzieje się z powodu wad, ekscesów lub wewnętrznej pustki głównego bohatera. Bohater sam kieruje akcją swojej sztuki - heroiczną walką, po której następuje miazdzący upadek.

Melodramat: dosłownie utwór dramatyczny z akompaniamentem muzyki orkiestrowej i piosenkami; to wydarzenia zewnętrzne, a nie wady charakteru kierują ruchem twojego życia. Dostrzegasz różnicę?

Megan potrząsała swoją żałośnie melodramatyczną głową i ćwierkała: „Tysiąc takich jak ja potrafi ich zatrzymać! Najkrótszą drogą, by ocalić własną skórę, jest ucieczka!”.

Tak czy nie, Larisso.

Lekarka się zamyśliła.

- Proszę mi powiedzieć, czy bycie żoną i matką jest dla pani ważne?
- Oczywiście.

Kiedyś myślała, że jest całym jej życiem. Ale niezależnie od tego, co myślała, było jak było. Jej całe życie. Poczowała piekące łzy w gardle.

- Jaka pani zdaniem byłaby reakcja pani męża? - zapytała Kavanagh. - Gdyby się dowiedział?

- Nie wiem. - Nie chcę o tym myśleć.

- Nigdy o tym nie rozmawialiście, nawet hipotetycznie?

- Rozmawialiśmy. - Podczas gry w Skrupuły z innymi parami. - Ale nigdy wina nie leżała po mojej stronie.

- Dlaczego?

- Bo nie jestem taką osobą. Byłam szczęśliwa w małżeństwie. Cieszyłam się, że wyszłam za mąż. Kiedy jako dziewczynka mieszkałam w różowym pokoju, moje obecne życie, a raczej wcześniejsze, było spełnieniem marzeń. Ta rzecz to nie ja.

- Najwyraźniej tak. - Kavanagh przyglądała się Larissie w ołówkowej spódnicy, czółenkach na szpilkach, kremowym swetrze. - Jest pani atrakcyjną kobietą - powiedziała w końcu. - Mężczyźni na pewno uważają, że jest pani seksowna.

- Mój mąż jest przystojnym mężczyzną. Dopasowaliśmy się. - Poirytowana prychnęła cicho. - I . . . jest dobrym człowiekiem.

- Ale nie na tyle dobrym, żeby chciała pani uratować małżeństwo.

- Jak można uratować coś, co nie może zostać uratowane?

- Wszystko można uratować.

Zabawne, to właśnie powtarzała jej Maggie. Maggie z opuchniętymi kostkami i skurczami łydek.

- Pani doktor, a jeśli ktoś nie chce, żeby go uratowano? Czy można go wtedy ratować? Wbrew jego woli? Coś na kształt boskiej interwencji?

Jak Che - kiedyś, nie teraz.

Kavanagh siedziała z podwiniętymi nogami, patrząc krytycznie na Larissę.

- To ma być żart? - Spojrzała na kolana, na notatki? - Dobrze, przejdźmy do konkretów: gdyby pani mąż postawił ultimatum, powiedział: „Albo ja, albo kochanek”, kogo by pani wybrała?

Larissa wypuściła powietrze. Wbiła pełen winy wzrok na dywan, a kiedy podniosła oczy, Kavanagh patrzyła na nią, zaciskając drobne pomarszczone dłonie i marszcząc brwi.

- Szczerze mówiąc, nie widzę w pani żadnego niezdecydowania i dezorientacji - powiedziała. - Widzę wszystko krystalicznie czysto. Proszę powiedzieć mężowi, że nie chce już pani być jego żoną, wyprowadzić się, pozwolić mu wystąpić o rozwód, załatwić wspólną opiekę nad dziećmi i wprowadzić się do kochanka.

Larissa odwróciła twarz do okna. Nie mogła uwierzyć, że już jest marzec. Czas maszerował w stałym rytmie. Jeszcze jeden dzień w domu, jeszcze jeden niedokończony projekt, jeszcze jedna zapomniana sprawa. Jedna minuta spóźnienia. Jeszcze jeden wyrzucony telefon, kupiony nowy, wyrzucony, kupiony...

- Czas się skończył - powiedziała. Jeśli się pospieszy, będzie mogła spędzić godzinę z Kaiem. Wolałaby już tu nie przychodzić, ale dzięki temu widywała go teraz wieczorami.

Kolejny tydzień sushi, seksu, miłości, pełnych frustracji prób *Świętej Joanny*, kolejny koniec kwartału finansowego, późna praca Jareda, rzeźbienie z Michelangelem, biała glina stwardniała niczym cement walała się po podłodze domu, pytanie Kaia i pytanie Kavanagh wiszące w powietrzu jak liliowe balony wypełnione helem, pływające kolorowe neonowe odrętwienie.

Duszo, duszo, odejść ode mnie.

Co wtorek w drodze powrotnej od doktor Kavanagh Larissa skręcała w prawo, w lewo, w prawo, wbiegała na górę po dwa stopnie i spędzała cudowną godzinę *wieczorem* w jego towarzystwie. Kochali się, jedli gorące przekąski, oglądali fragmenty seriali, inningi meczów, rozmawiali o estetyce murów oporowych w budownictwie, w jednym tygodniu słuchała jego głębokiego głosu, gdy śpiewał, w drugim - gitary, a potem...

* * *

- To musi się skończyć, Larisso.

- Nie.

- W ten czy inny sposób coś musi się zmienić.

- Dlaczego?

- Co to znaczy dlaczego? Co pani zdaniem może się wydarzyć?

Kto to powiedział? Może lekarka. Może on. Miała nadzieję, że nie on.

- Nawet jeśli pani mąż się nie dowie, w końcu kochanek może mieć dość dzielenia się panią z innym mężczyzną - powiedziała Kavanagh. - Mężczyźni potrafią być w tych sprawach zabawni.

Jednak lekarka. Larissa poczuła ukłucie irytacji.

- Pytała pani samą siebie, dlaczego kochanek nie ma jeszcze dość? - indagowała spokojnie Kavanagh. - Mężczyzna, który kocha kobietę, zwykle woli, żeby nie dzieliła łóżka z innym mężczyzną. Dlaczego nie ma więc dość?

- Nie wiem. Jest spokojny. Nie zatruwa mnie zazdrością. Wie, jakie wszystko byłoby trudne, gdyby to robił.

- Albo być może jest to dla niego wygodne. Żongluje panią i innymi rzeczami.

- Nie. Na pewno tak nie jest.

- Ten jego spokój ma swoją cenę. Jaką? Czy także pani jest dla niego tylko jedną godziną spośród dwudziestu czterech pozostałych?

Pokonana Larissa jechała do domu, jakby przepuszczono ją przez maszynkę do mięsa. Co jest z tą Kavanagh? Do tego sprowadza się całe to gadanie. Żadnych rozwiązań, tylko cios prosto w serce. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Kai choćby tylko dotknął inną kobietę. Jak mógł żyć, wyobrażając ją sobie z Jaredem? Nie myśl o tym, Larisso! Nie myśl o tym...

- Jakie ma pani plany? - zapytała Kavanagh.

Plan z definicji uwzględniał przyszłość.

- Nie mam żadnego.

- Jest coś, czego mi pani nie mówi. Czuję to. Widziałam to już zbyt wiele razy. Jaki jest ten brakujący kawałek układanki? Dlaczego nie opuści pani męża?

Larissa milczała.

- Proszę mi opowiedzieć coś więcej o pani kochanku. Co panią do niego przyciągnęło? Bardzo się różni od Jareda?

Larissa opisała Kaia.

- Sprzedawca samochodów? Kamieniarz? Jeździ na motocyklu? Ile ma lat?

Larissa milczała.

Kavanagh otworzyła oczy, wyprostowała nogi i pochyliła się na krześle.

- Jest młody! - wykrzyknęła zdumiona.

- Nie bardzo - odparła najeżona Larissa.

- Ile młodszy?

- Kilka lat.

- Ile?

- N i e wiem. Może dziesięć. Mniej więcej.

- Mniej więcej dziesięć? Larisso, żeby pani pomóc, muszę znać prawdę.

- Ma dwadzieścia jeden.

Kavanagh oparła się o krzesło i gwizdnęła cicho. Przez kilka minut milczała. W końcu przemówiła:

- Gdzie pani poznała kogoś takiego? Kobieta taka jak pani, niepracująca żona, matka?

- W Stop&Shop - odparła Larissa.

- A c h tak. To wszystko tłumaczy. Ja się tam nie zatrzymuję, więc pewnie dlatego nigdy na kogoś takiego nie wpadłam. Chodzę do Shop-rite. Tam jest taniej.

- On jeździ do Stop&Shop po sushi.

- Może to kolejny z moich problemów - powiedziała Kavanagh. - Bo nie lubię sushi.

- Ja też nie lubiłam.

- Czego on od pani oczekuje? Niedawno przestał być nastolatkiem,

a pani jest kobietą w średnim wieku, z dziećmi. Jakie ma plany dla was obojga?

Larissa nie mogła powiedzieć Kavanagh o kołach ducati lądujących w Pine Spring, Willowbend, Invercargill. O szlaku Lewisa i Clarka, Redwoods i wulkanicznej mgiełce unoszącej się nad oceanem, o plażach i żaglówkach, marzeniach o pustkowiu Mungo.

- Powinna mi pani była powiedzieć, ile on ma lat. - Kavanagh pokręciła głową z dezaprobatą. - Teraz rozumiem pani trudne położenie. Bo w istocie jest trudne. Przez cały czas mówiłam pani, że powinna pani zrobić to, co robią inni. Wyprowadzić się. Zachować opiekę nad dziećmi. Oszukała mnie pani, pozwalając udzielać sobie rad na podstawie fałszywych założeń.

- Czy teraz udzieli mi pani innej rady?

Jak można doprowadzić do odwiedzin, pani doktor? Jak matka może odwiedzać swoje dzieci, być gościem w ich świętości? Gdyby Larissa mocniej zacisnęła palce, złamałyby się.

Ale później mogła spędzić godzinę z Kaiem. O, sosnowa radości.

Tylko... on też nie przestaje zadawać jej pytań, na które ona nie potrafi odpowiedzieć.

Patrzy na nią zaintrygowany. Larissa marzy, żeby wszyscy przestali zadawać jej pytania. Robi przecież co w jej mocy, czy tego nie widzą?

Kiedyś byłam Larissą. Potem żoną Jareda. A potem matką Emily, Ashera i Michelangela. Jeszcze później kochanką Kaia. Ale długo po tym, jak przestanę być czyjąś żoną lub czyjąś kochanką, nadal będę matką. Nie mogę rozwiązać tego, co jest nie do rozwiązania. Paralityk ze złamanym karkiem nie może chodzić, choć pragnie tego z całych sił, choć często i żarliwie o tym mówi. Jestem matką. Nie mogę chodzić.

Jednak zaraz jakiś cichy głos odchrząkuje i mówi cicho. Zgoda. Ale zanim zostałam matką, byłam Larissą. Kim będziesz, jeśli przestaniesz być matką?

W każdy wtorek o siódmej jechała do Kavanagh, by pomogła jej rozwiązać chore prymitywne bagno jej życia, a potem czekał na nią Kai. I tak sprawiła, że było lepiej. Wreszcie znalazła sposób, by widywać swojego kochanka z Maui wieczorem! Może niedługo wymyśli

gimnastykę jazzową, a może zapisze się na zajęcia z malarstwa w Drew, może na garncarstwo lub francuski. *Oui, oui, madame. La passion est la maitresse due.* Przy odrobinie szczęścia wcale nie będzie musiała przebywać w domu.

Idy marcowe minęły.

* * *

- Kocham go - powiedziała do Kavanagh.

- Nie uważa pani, że zbyt lekko szafuje tym słowem? - odparła lekarka.

- Wcale nie szafuję.

- Kocha pani swoje dzieci, prawda? Męża? Rodziców? Sama pani powiedziała, że wiedzie wymarzone życie. Może tak naprawdę chodzi pani o zauroczenie. Ale to nie trwa wiecznie, zaś decyzje podjęte pod wpływem tego zauroczenia będą miały długotrwałe konsekwencje.

To była prawie rada! A po jej udzieleniu lekarka wyglądała na zmęczoną.

- Wszystko, co pani mówi, jest jak najbardziej zgodne z prawdą - powiedziała Larissa, starając się nie wiercić. - Ale nie wydaje mi się, by pani rozumiała. Czy źle to wyjaśniłam? To nie jest zauroczenie. Może nie potrwa tak długo jak moje osiemnastoletnie małżeństwo, ale nie jest przez to mniej prawdziwe. Zanim go poznałam, byłam innym człowiekiem, inną kobietą. Ciągnęłam to wszystko, wydawało mi się, że całkiem nieźle sobie radzę, ale kiedy to się wydarzyło, wszystko się we mnie przeorganizowało.

- Jakoś nie wierzę, że to prawda - powiedziała cicho Kavanagh.

- Nie chodzi mi o przebudzenie - ciągnęła szybko Larissa. - Ale o to, że się rozbiło i posklejało z powrotem. Na zewnątrz być może jestem tą samą kobietą, ale wewnątrz nie. Nie mogę się wyrzec tego, co do niego czuję, tak jak nie mogę się wyrzec nazwiska. Teraz możemy się spierać, że to złe, że muszę czuć także inne rzeczy, takie jak wina, obowiązek, odpowiedzialność, możemy się spierać, że powinnam odsunąć uczucia na bok, co jest tematem na osobną dyskusję, ale nie

rozmawiajmy o tym, że to, co czuję, nie jest prawdziwe. To bardziej prawdziwe niż wszystkie rzeczy, które znam. Jeśli to nie jest prawdziwe, to nic nie jest. Nic.

- To jasny płomień - powiedziała Kavanagh. - Szybko się wypali.

- A l e kiedy się wypali, czy nie zostanie prawdziwa miłość?

- A jeśli nic nie zostanie? - Lekarka spojrzała twardo na Larissę. - Mówi pani, że kiedyś kochała męża. Gdzie się podziało to uczucie?

Larissa wstała ciężko z kanapy. Chciała się odczołgać w spokojne miejsce.

- Pani naprawdę nie rozumie. Powtarzam to raz po raz. Zupełnie jakbym gadała do ściany. Nie mogę tego skończyć. Nie mogę. Na wadze mojego życia on przeważa całą resztę.

- Całą resztę?

- Pani doktor, o czym pani mówi? - wykrzyknęła Larissa. - Jest szesnaście szkół psychoterapii, ale tylko jedno drugie prawo termodynamiki. Proszę się dobrze przyjrzeć mnie, nie zaglądać do książki. Na pani oczach mierzam prosto w środek chaosu. I płacę pani - a raczej mój mąż - sto czterdzieści dolarów za godzinę, żeby pani to zauważyła. Nic pani nie widzi?

Kavanagh była zimna i spokojna.

- Kochanek albo dzieci, Larisso.

Wychodząc, Larissa trzasnęła drzwiami tak mocno, że szklany słoik na stoliku zagrzechotał i spadł na ziemię.

* * *

Kochana Larisso!

Dlaczego do mnie nie pisesz? Dlaczego przysyłasz mi tylko pieniądze z krótkim liścikiem pełnym pustych frazesów?

Nie uwierzysz, co się tu dzieje. Od tak dawna pragnęłam zostać matką. W wieku czterdziestu lat nareszcie spodziewam się dziecka, o które modliłam się całe życie, z mężczyzną, którego tak bardzo kocham. A teraz to.

Lorenzo poszedł protestować z tą przeklętą Brygadą Pokoju. Dali

mu broń: trzy noże i bombę dymną. Wszystko wymknęło się spod kontroli, doszło do walk między tłumem a policją. Lorenza poniosło i odpałił bombę. Agas Illocano, jeden z przywódców Brygady i jego bliski przyjaciel od siedmiu lat, powiedział mu, że to bomba dymna, trochę gazu łzawiącego, żeby policja mogła posmakować swojego własnego lekarstwa. Oszukał go jednak. To była bomba z gwoździ. I wybuchła w samym środku grupy policjantów. Dwóch oślepiła i poważnie zraniła kilku innych, w tym jednego, któremu gwoźdź utkwiał w skroni. Zabrano go do szpitala, gdzie umarł trzy dni później.

Larisso! Mojego Lorenza oskarżono o morderstwo!

Dziewiętnaście osób widziało, jak rzuca bombę. Powiedział swojemu obrońcy z urzędu, że nie miał pojęcia, że to bomba z gwoździami, bo inaczej nigdy by jej nie rzucił. Prokurator kazał Lorenzowi podać nazwiska przywódców Brygady, ale on odmówił.

Ustalono kaucję w wysokości dwóch i pół miliona peso! Równie dobrze mogłoby być osiemset trylionów. Nie mamy stu peso na autobus do darmowej kliniki. Ja z wielkim brzuchem chodziłam do ludzi, z którymi Lorenzo pracował, i próbowałam wzbudzić ich współczucie, ale nikt nie chce zaryzykować dla niego nawet dziesięć peso, bo mówią, że może uciec. Patrzą na mój brzuch i mówią, że może uciec!

I mają rację. Gdyby się wydostał z więzienia, nie zostałby w Manili ani sekundy, żeby czekać na proces. Mówi, że przywódcy Brygady oszukali go i porzucili. Wiedzieli, że nigdy nie rzuciłby bomby z gwoździami. Na razie się ukrywają i żaden z nich nie odważył się ujawnić i powiedzieć, że Lorenzo nie wiedział, że to prawdziwa bomba. Żaden. Ale on dalej nie chce ich wydać, bo mówi, że gdyby to zrobił, nie przeżyłby pięciu minut na ulicy. Myśli, że choć siedzą cicho, zbierają w sekrecie pieniądze na kaucję. Strasznie się ludzi! Powtarzam mu, że jeśli nie powie prawdy, stracą go za zamordowanie policjanta!

Dostałam pieniądze od ojca Emilia, żeby pojechać autobusem do miejskiego więzienia i zobaczyć się z Lorenzem. Mówi, że jestem jedyną osobą na świecie, która go kocha. Mówi, że jest teraz sierotą i ma tylko mnie.

Dziękuję za pieniądze, które przysłałaś mi w zeszłym miesiącu.

Wiesz, że przestałam już udawać, że ich nie potrzebuję. Żyję z pieniędzy, które mi przysyłaś. Kocham Cię.

Pamiętasz, co Ci pisałam o wojnach i pogłoskach o wojnach? Że to był tylko początek wszystkich nieszczęść? Teraz modłę się: Dobry Boże, spraw, żeby to nie był początek moich nieszczęść. Wiesz, co mam na myśli?

Wygląda na to, że powoli kończą mi się możliwości wyboru. Wiesz, jak to czasami jest? Kiedy czujesz, że nie masz wyjścia?

* * *

- Larisso! Właśnie dostałem jaguara. I jest już kwiecień. Myślałaś o Pine Springs? - zapytał Kai. Był piątek.

- Oczywiście.

- Nic nie mówiłaś. Skąd mam wiedzieć?

Piątki były trudne. Wiedziała, że ma przed sobą cały weekend bez niego. Piątkowe popołudnia były ciężkie, a dzisiejsze dodatkowo przytłaczało ją ciężarem jego pytania i obietnicą jak kotwica wbita w piach. Czy on jest prawdziwy? - pomyślała. - I skąd mam to wiedzieć? Czy to kwestia pościgu? Dumy? Złośliwości? Czy to prawda?

A jeśli Kavanagh ma rację i nie dostrzegam prawdy? Czy to możliwe? Oczywiście, ale czy tak jest? Kavanagh z pewnością tak uważa. Ale ona nie leży z nim w łóżku. A Larissa leży, on jest nagi, szczupły, młody i piękny, jest prawie gotowy do następnego razu, mają dziś półtorej godziny, on upewnia się, że tak jest, i daje jej siebie długo i dwa razy, żeby tęsknota za nim podwoiła się, a nie osłabła o połowę. I dziś zadaje jej pytania, na które oczekuje odpowiedzi.

- Co chcesz, żebym powiedziała? - Dlaczego darzej odpowiedzi dzieli się, a nie mnoży?

- „Tak” zabrzmiałoby miło. - Powoli ujmuje w palce jej sutek i lekko ciągnie, jakby chciał wydobyć odpowiedź. Dłonią otula jej pierś.

- Kai, wiesz, że nie jest mi łatwo powiedzieć tak. Wiesz, że chcę to powiedzieć. Ale wiesz też, że nie mogę. Muszę się długo i poważnie zastanowić. Próbuję poukładać wiele rzeczy. *Mnóstwo.*

- A co robiłaś przez cały ten czas ze mną?

- Dusiałam jęki i płomienie.

Objął ją ramionami i wdychał zapach jej włosów.

- Larisso - szepnął. - To, co mamy, nie wystarczy. Nie tobie. Mnie też nie. To nie wystarczy. Potrzebujemy więcej. Możesz nas sobie wyobrazić, Larisso?

Kiedy pozwoliła, by na ułamek sekundy poniosła ją wyobraźnia, obraz, który stał jej przed oczami, nie przypominał słonecznego poranka. Bardziej negatyw zdjęcia z karnawału. Czarne było białe, a białe czarne.

- Chcesz więcej możliwości?

Chciała. Ale on nie mógł ich zaproponować.

- Alice Springs, Pine Springs, Missoula, Monte Carlo. To nie ma znaczenia. Pojedziemy przed siebie i wszystko jakoś się ułoży. Nikt nie będzie nas znał. Zjemy razem lunch w publicznym miejscu, a nie z papierowych toreb w łóżku. Znajdziemy małe mieszkanie, gdzie będziemy spać w nocy, nadzy w *naszym* łóżku, i będziemy się budzić nadzy rankiem. Razem. Będę ci robił jajka i kawę. I będziemy razem pracować. Podróżować. Zbudujemy nowe życie, daleko od złych rzeczy, od złych wspomnień, twoich i moich. Będziemy żyli bez zobowiązań, jak Cyganie. Będziemy wolni.

Chciała powiedzieć, że nie ma złych wspomnień, ale rodziły się w chwili, gdy mówił. Co ty wygadujesz?, chciała zapytać. Nie wiesz, że nigdy nie będę wolna? O Boże! Jak łatwo wyobrazić sobie graffiti na murze, które malował słowami.

- Dla mnie to nigdy nie będzie takie proste - powiedziała zduszone głosem. - Wiesz, co dla mnie znaczy wyjechać z tobą.

Pochylił głowę i opadł na poduszki.

- Wiem. Ale dzieci są odporne, Larisso. Łatwo się adaptują. Przyzwyczajają. Wiem coś o tym. Niedługo opuszczą dom. Młodsze mają krótką pamięć. Zapominają.

- Ja nie zapomnę - szepnęła Larissa, tłumiąc jęk.

- Przepraszam. Tylko ty możesz mi powiedzieć, czy to jest możliwe, czy nie.

Nie można nawet o tym rozmawiać.

- Nie żartuj - rzucił Kai i zorientowała się, że powiedziała to na głos. Musi być bardziej ostrożna.

- Kai... moglibyśmy spróbować... Mogłabym powiedzieć Jaredowi...

- Nie sądzę, żeby twój mąż - przerwał jej gwałtownie - pozwolił ci odejść.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała wstrząśnięta.

- Bo miałem cię w moim łóżku. I wiem, co on czuje, gdy ma cię w swoim.

Przesunęła dłonią po jego piersi, do pępka, pieściła go czułymi koniczniczkami palców, znów za nim tęskniła i czuła ból od pępka aż po gałki oczu. Czaszkę rozrywał jej smutek.

- Mylisz się co do Jareda. On tego do mnie nie czuje.

- Nie wiesz albo nie rozumiesz mężczyzn - powiedział. - Uwierź mi, mam rację co do Jareda. Ale jeśli uważasz, że to ty masz rację, proszę, powiedz mu o nas. Jest dobrym menedżerem i ma głowę do interesów; jest łagodny i spokojny. Możesz mu to ułatwić, tłumacząc, że jest ci z nim źle w łóżku, opowiedz mu o moim pełnym uczuciu sercu, o blasku supermarketu; powiedz mu, że miłość po prostu jest, że nie można jej złapać ani znaleźć, po prostu jest i staje się tobą, połyka cię całą. Wyjaśnij mu to, siedząc w jadalni nad filiżanką herbaty. Powiedz mu, że zamierzasz go opuścić, zostawić dzieci i zamieszkać ze mną. Ale proszę - dodał - najpierw pożegnaj się ze mną. Bo, uwierz mi, więcej cię już nie zobaczę.

* * *

Kochana Larisso!

Napisz do mnie! Powiedz mi, co myślisz o mojej popapranej sytuacji. Wiesz, co ten szalony Lorenzo mówi podczas moich wizyt? Kiedy Brygada Wolności uzbiera kaucję, uciekniemy razem w góry i zamieszkamy z plemieniem Tasaday. Tasaday? To tubylcy żyjący w deszczowych lasach Mindanao. To sześć wysp stąd! To centrum opozycji przeciwko

IFWM i Lorenzo chce, żebyśmy tam uciekli. Będziemy się tam musieli dostać małym kutrem, dzięki uprzejmości obcych ludzi.

Ale Lorenzo twierdzi, że przez jakiś czas będziemy tam bezpieczni. Tasadayowie żyją bez pieniędzy, radia, zegarków, nowoczesnej medycyny. Żyją w lasach i jedzą żaby. Także zielsko i pędraki. Czasami schodzą na niziny i łowią ryby. Wyplatają kosze z bambusa i je rozdają. Przędą i tkają materiały na ubrania. Mieszkają w chatach, które sami robią z bambusa i błota. Ponieważ żyją wysoko, nie dotykają ich powodzie z wyjątkiem pory monsunowej, kiedy śpią w hamakach, a potem odbudowują chaty. Żyją w warunkach naturalnych, wolni od trudów współczesnego życia. Nie ma protestów, demonstracji, wojowników Moro, nie ma morderstw, nie ma czterystu tysięcy przesiedlonych z powodu okrucieństw ludzi. Ale mówię mu, że przez tę jego propozycję to my staniemy się przesiedleńcami. Będziemy żyli na wygnaniu. Odpowiada, że nie będą nam potrzebne pieniądze. O tym marzy, siedząc w więzieniu. Chce żyć jak Tasaday!

Zapytałam go: „Lorenzo, a co z naszym dzieckiem?”. Spojrzył na mnie, jakby był zaskoczony, że poruszyłam ten temat. Zupełnie jakby chciał zapytać: „Z jakim dzieckiem?”.

„Będę miała dziecko”, powiedziałam.

„A co, Tasadayowie nie mają dzieci?”.

„Nie wiem. Mają? Jestem w ósmym miesiącu ciąży. W moim stanie nie mogę się przedzierać przez dżunglę”.

Wiesz, co mi odpowiedział? „Che, możesz tutaj zostać. Ja nie mogę. Muszę uciekać. Nie rozumiesz? Skażą mnie na śmierć za morderstwo. Prezydent nie zniósł jeszcze kary śmierci. Wybieraj. Albo Mindanao, albo śmierć, a w najlepszym wypadku więzienie do końca życia”.

Zapytałam go o kaucję. Nie mamy przecież pieniędzy. On stale liczy, że Brygada Pokoju zbierze dwa i pół miliona peso, ale ja nie mam takiej nadziei. On nie wyjdzie z więzienia. Czy to nie straszne? Porażające.

„Nie kochasz mnie?”, pyta.

Gdyby to tylko było takie proste! Gdyby miłość była odpowiedzią na wszystko. Kiedyś myślałam, że tak jest. „Oczywiście, że cię kocham”, mówię, modląc się, by nie wpłacił kaucji. Dlaczego jestem taka złą

osobą, Larisso? Byłam już dziewczyną i kochanką. Teraz chcę tylko być matką.

2

Matki

Larissa spoglądała na swoje dłonie. Malowały sobie z Emily paznokcie z abstrakcyjnym udziałem Michelangela, ale cała trójka nie radziła sobie ze skórkami. Musi niedługo iść do Grace i zrobić porządny manikiur. Odbyła kolejną mało owocną rozmowę o rodzinie z doktor Kavanagh. Po co zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi, próbując dotrzeć do trzeciego dna, kiedy Larissa chciała tylko latać, wysoko, wysoko, a nie wracać na ziemię. Rozmowa o Jaredzie, jej domu, rodzinie była taka przygnębiająca. Po co to robić?

- Nie chcę o nich rozmawiać - powiedziała. - Możemy porozmawiać o czymś innym?

- Jasne. Porozmawiajmy o pani matce.

Larissa jęknęła.

- O niej też nie chce pani rozmawiać? - Lekarka westchnęła. - Może porozmawiamy o filmach? Właśnie oglądałam *Księcia przyłąćwów*. Bardzo dobry.

- Moja matka jest atrakcyjną kobietą - powiedziała Larissa. - Miłą. Sympatyczną.

- Widuje ją pani?

- Oczywiście. Jest babcią moich dzieci.

- Nie pytałam, czy dzieci ją widują.

- Kiedy one ją widują, ja też.

- A pani ojciec?

- Nie żyje. Nie widuję go więc tak często, jak bym chciała. Przed śmiercią mieszkał na Florydzie. Rodzice rozwiedli się w roku, w którym

urodził się Kai. - Larissa zbladła, musiała się chwilę uspokoić. Milczała i oblizywała suche wargi, czując w ustach kwaśno-gorzki smak.

- Rozstali się w zgodzie?

- Nie bardzo.

Oględnie mówiąc.

- Kiedy pani dorastała, jakie relacje łączyły panią z matką?

- Po co o tym rozmawiamy? - zapytała po chwili Larissa. - Jestem dorosła. Nie mieszkam z rodzicami. To, co się dzieje ze mną teraz, nie ma nic wspólnego ani z ojcem, ani z matką.

- Larisso, w pani życiu brakuje teraz równowagi w uczuciach w stosunku do pani życia z jednej strony i kochanka z drugiej.

- On też jest moim życiem.

- T a k . A l e ...

- Kiedy dorastałam, moja relacja z matką była napięta - przerwała jej Larissa. - Moi bracia dorośli i wyprowadzili się z domu. Urodziłam się dość późno. Byłam ich jedyną córką. Ojciec mnie uwielbiał.

- A pani?

- J a j e g o t e ż .

- A t e r a z ?

- T e r a z n i e ż y j e .

- A z a n i m u m a r ł ?

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała Larissa.

- J a k d ł u g o p a n i r o d z i c e b y l i m a ń ż e ń s t w e m ?

- T r z y d z i e ś c i t r z y l a t a .

- T o d ł u g o . - K a v a n a g h p r z y g ł a d a ł a s i ę b a c z n i e L a r i s s i e , k t ó r a p o w o l i u ś w i a d a m i a ł a s o b i e , ż e n i e z n o s i , g d y k t o ś s i ę j e j p r z y g ł a d a . - C z y o j c i e c z o s t a w i ł p a n i m a t k ę d ł a i n n e j k o b i e t y ?

- C h y b a t a k - o d p a r ł a b a r d z o n i e c h ę t n i e L a r i s s a .

Kavanagh spojrzała na nią ze zrozumieniem.

- A pani, która zawsze trzymała z ojcem przeciwko matce, jako dorosła osoba musiała zmierzyć się z faktem, że ojciec popełnił rzecz niewybaczalną. Nagle to matka potrzebowała pani współczucia. Jak się to ułożyło?

- N a o d l e g ł o ś ć . B y ł a m w c o l l e g e ' u . M i a ł a m s w o j e ż y c i e .

Przez chwilę obie milczały.

- Czy pani relacja z matką jest teraz napięta?
- Nie, jest uprzejma. Serdeczna.
- Ona jest uprzejma?
- A ja serdeczna.
- A pod spodem?
- Specjalnie się nad tym nie zastanawiam. Nie potrzebuję.
- Czy powiedziała pani, że jesteście sobie z matką bliskie?

Larissa przygryzła wargę.

- Odnosicie się do siebie ciepło? Jest wam razem dobrze?

Larissa nie odpowiedziała.

Kavanagh spuściła wzrok na kolana.

- A pani własna córka?
- Co z nią?
- Jaka łączy was relacja?
- Bardzo dobra. Jest moją córką. - Z jakiegoś powodu, zupełnie jakby spadła metalowa zapadnia, Larissa nie chciała rozmawiać o Emily jeszcze bardziej niż o swojej matce.

- Jesteście sobie bliskie?
- Pani doktor...
- Widzę, że wprawia to panią w niezwykle zakłopotanie. Dlaczego?
- Bo jest takie niepotrzebne!
- Wprawia panią w zakłopotanie, bo jest niepotrzebne?
- Nie to.
- To co? Rozmowa o pani dzieciach?
- Przecież nie rozmawiamy o moich dzieciach! - wybuchnęła Larissa.

- No to porozmawiajmy.

- N i e ! Proszę posłuchać - zaczęła Larissa, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. Starła się naśladować Kaia. - Emily ma piętnaście lat. To nie jest łatwy wiek. Jest dobrą dziewczynką, oddaną, ale czasami mówi, że próbuję zamienić ją w kogoś, kim nie jest. Zostawiam ją więc w spokoju, ale wtedy oskarża mnie, że nie dbam o to, co robi.

- Czy to odzwierciedla pani relacje z matką?

Larissa nie odpowiedziała i szybko mówiła dalej.

- Niezły jest z nią teatr. Z chłopcami wszystko jest prostsze. Na stroje są proste. Jedzenie, picie. Gry wideo, próby wykręcenia się od wszystkiego. Bardzo normalne. Z jakiegoś powodu dziewczynki są trudniejsze dla matek.

- Pani była trudna dla matki?

- Matka była trudna dla mnie.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że dawała pani pełną swobodę?

- Nasz czas prawie się skończył - rzuciła Larissa. - Ale powiem pani, dlaczego mam minimalny kontakt z matką. Bo kiedy dorastałam, nienawidziłam osoby, którą byłam. Wszystko we mnie było straszne, zwłaszcza kiedy byłam w domu. Ale kiedy byłam u Che, mojej przyjaciółki, ona i jej matka były sobie bliskie, a ich relacja była bardzo ludzka, pełna wzlotów i upadków: kłóciły się, spierały, śmiały się i razem gotowały. Tam czułam się lepiej niż w swoim domu. Kiedy więc go opuściłam, przemodelowałam siebie i stałam się osobą, którą chciałam być. Gdy byłam z matką, nie lubiłam siebie. I pewnie dlatego ograniczam kontakt z nią do minimum. Bo kiedy z nią jestem, nadal nie lubię siebie.

- Gdzie są Che i jej matka?

- Na Filipinach. Matka zmarła. - Larissa nie chciała dodawać, że po jej śmierci czuła się, jakby straciła własną wymaginowaną idealną matkę, taką, którą chciała mieć.

- Zdaje sobie pani sprawę, że wcale pani siebie nie przemodelowała, tylko ukryła te cechy, których nie lubiła?

- Ukrywanie cech, których się w sobie nienawidzi, to ogromne osiągnięcie, pani doktor - powiedziała Larissa. - Wymaga silnej woli i mocnego ducha.

- W pełni się z panią zgadzam.

- Ale nie potrafię się kontrolować w obecności matki. Ograniczam więc kontakty z osobą, która budzi we mnie najgorsze cechy.

Kavanagh patrzyła na nią ze swojego krzesła - drobna, pomarszczona, mądra.

- A jaka jest ta najgorsza?

Larissa wstała i wzięła torebkę.

- Zawsze szukam wyjścia - odparła zimno. - Do zobaczenia w przyszły wtorek.

* * *

Kochana Larisso!

Lorenzo wreszcie uświadomił sobie, że zwlekam z tą kaucją. Oskarżył mnie, że chcę, żeby zgnął w więzieniu. Powiedział, że gdybym naprawdę go kochała, poprosiłabym Ciebie o pieniądze. Zapytałam: „Lorenzo, oszalałeś? Ustalili kaucję w wysokości dwóch i pół miliona peso, bo boją się, że uciekniesz. I dokładnie to zamierzasz zrobić, gdy tylko przejdziesz przez bramę więzienia. Rozumiesz, jak działa kaucja, prawda? Jeśli uciekniesz, Larissa nie odzyska pieniędzy. Mam poprosić ją i jej męża o pięćdziesiąt tysięcy dolarów, których nigdy więcej nie zobaczę? Na jakim świecie żyjesz?”.

Odparł: „Che, na jakim świecie ty żyjesz?”.

Zaczęłam płakać. Powiedziałam, że chcę tylko urodzić dziecko. Tylko tego pragnę. Chcę urodzić dziecko.

„A co ze mną, Claire? - zapytał. - Chcesz mnie porzucić?”. Nazwał mnie Claire. Chyba nigdy wcześniej tego nie zrobił. Nie wiedziałam, czy mnie błaga, czy chce się ode mnie oddalić.

„Wszystko się ułoży, Lorenzo - powiedziałam. - Zawsze się jakoś układa”.

Odparł: „Ułoży? Ile czasu minie, twoim zdaniem, zanim te męty, z którymi pracowałem, w końcu zostaną złapane, męty, które ukrywają się przez te wszystkie miesiące, choć wiedzą, że siedzę w więzieniu, a ty niedługo urodzisz dziecko? Ta banda złodziei, aby ocalić własną skórę, wskaże cię policji jako mojego współnika, żeby mogli dostać lżejszy wyrok”.

„Nie wskażą mnie”, szepnęłam przerażona.

„Nie? Nie słyszałaś? Złapali mojego przyjaciela Agasa Illocano! Ukrywał się na bagnach Barangas! Pracowałem z nim przez ponad siedem lat i myślałem, że jesteśmy sobie bliscy. Ale po pięciu minutach

przesłuchania powiedział pod przysięgą, że nie dał mi bomby z gwoździami. Gliniarze powiedzieli mi, że teraz jest jego słowo przeciwko mojemu. Naciskają na niego, żeby wydał innych. Jak myślisz, ile czasu minie, zanim wyłapią całą bandę? A oni, żeby ocalić swoje parszywe dupy, powiedzą policji, że nie pracowałem sam, tylko z tobą. Jak myślisz, co się z tobą potem stanie, Che?"

Mogłam tylko szepnąć: „Lorenzo, będę miała dziecko”. Z trudem wydobyłam te słowa.

Pomóż mi, Larisso!

* * *

Jak zwykle świętowali urodziny Larissy z opóźnieniem. Jared był pochłonięty kwartalnymi raportami podatkowymi i nie miał czasu, by zaplanować przyjęcie. Czwartego kwietnia zjedli tort z dziećmi, ale przyjaciół zaprosili dopiero w maju. Jared chciał się wybrać do miasta, jak zawsze, zarezerwować stół w jednej z najlepszych restauracji, może w Tahla, lecz Larissa, zasugerowawszy nieśmiało Nobu - co samo w sobie było dziwne, bo była to słynna restauracja serwująca sushi - powiedziała, że wolałaby zostać w domu. Znalazła nowy przepis w jednej z książek kucharskich i chciała go wypróbować. Od tak dawna nie wydawali kolacji, powiedziała. Chciała, by wszystko odbyło się skromnie, i chciała mieć przy sobie dzieci. Były chore, powiedziała, i nie chciała zostawiać Michelangela, gdy dochodził do siebie po przeziębieniu.

Jared zaprosił Maggie, Ezrę, Bo, Jonny'ego, Douga, Kate, Evelyn, Malcolma, a nawet Dorę i Raya. W dzień przyjęcia Dora zadzwoniła i powiedziała, że nie przyjdą, tłumacząc się niejasno, że coś im wypadło. Jared poczuł się zakłopotany, tym bardziej że tydzień wcześniej była pełna entuzjazmu i dziękowała mu serdecznie, że ją zaprosił. Doug i Kate wyjechali, więc też nie mogli być na przyjęciu.

Po przyjsciu Evelyn wspomniała, że od dawna nie widziała Larissy. Jej reakcja na widok przyjaciółki zaniepokoiła Jareda.

- Boże, Larisso, nie wychodziłaś wcale z domu? - wykrzyknęła. - Jesteś przerażająco biała. - Jared przyjrzał się żonie. Czy naprawdę

była blada? - Mój Boże, Jared, ma skórę jak porcelana, i to nie jest komplement, Larisso. Wyglądasz jak przezroczyta.

- Jakbyś mogła patrzeć przeze mnie? - Larissa wróciła do kuchni, żeby coś zamieszać.

- Tak, właśnie tak.

- Na dodatek - powiedziała Maggie - jest ubrana na czarno. Dlaczego nosisz czarne ubrania w kwietniu, i to w swoje urodziny?

- Nie słyszałaś, Maggie? - odparła Larissa, nie odwracając się. - Czerń to nowa czerń. Jak się czujesz?

- Dzisiaj trochę lepiej. Dziękuję, że pytasz. Powoli przyzwyczajam się do mojego wypaczonego i zmęczonego ciała. O nic więcej nie mogę prosić.

Larissa nie odwróciła się.

- Zdecydowanie wyglądasz lepiej.

Jared nie widział tego, co dostrzegła Evelyn: uważał, że żona wygląda świetnie, choć ubrana w czerń wydawała się innym blada. Dżersejowa sukienka seksownie opinała jej szczupłą figurę; włożyła do niej czarne szpilki i rozpuściła włosy.

To działo się na początku wieczoru. Larissa tkwiła w kuchni, dopóki nie podała kolacji, a w trakcie posiłku musiała wstawać kilkanaście razy, by pomóc dziewięciorgu dzieciom w jedzeniu. Podawała im masło, kroiła chleb, nalewała picie, wybierała zielony groszek z dna garnka, podawała czystą łyżkę Michelangelowi i słomkę dla jednego z dzieci Evelyn. Cały wieczór spędziła pochylona nad ich stołem, krojąc jedzenie lub smarując chleb masłem, nalewając, soląc, podając serwetki i wycierając buzie.

- Larisso! Usiądź. Dzieci sobie poradzą - powtarzał Jared.

To nie była Larissa, która wyglądała inaczej; to była zupełnie inna Larissa.

- Lar, naprawdę potrafia same się o siebie zatroszczyć - powiedziała Evelyn.

- To tylko dzieci - odparła. - Potrzebują naszej pomocy.

- Najwyższa pora, żeby się nauczyły - oświadczył Malcolm. - Niedługo będą musiały radzić sobie same. Prawda, dzieciaki?

W takich sytuacjach zwykle padała cięta riposta Larissy. Ale nie dziś wieczór. Znów stała przy stole dzieci i pochyliła się nad Michelangelem. Jej własne jedzenie stygło.

- N i c nie szkodzi - powiedziała, siadając obok Jareda. - Zawsze jem letnie.

Zrobiła boeuf bourguignon i ziemniaki zapiekane z serem i bekonem. Sama nie tknęła jedzenia.

- Dlaczego nie jesz? - zapytała Bo.

- Nawet nie wiesz, ile zjadłam, gotując - Larissa zaśmiała się lekko. - Nie miałam pojęcia, jaka jestem najedzona.

- Lar, chcesz jeszcze wina?

- Nie, dziękuję.

Jej kieliszek był nadal pełny, czerwony płyn kołysał się we wgnębieniu. Maczała tylko usta, nie piła. Jared nieśmiało położył dłoń na jej dłoni. Uśmiechnęła się równie nieśmiało i na wpół odwróciła w jego stronę jak animowana postać z filmów Disneya. Zaraz potem cofnęła się, jakby niewidzialna nić nie pozwoliła jej spojrzeć mu w twarz.

Większość rozmów przy stole toczyła się wokół problemów ze *Świątą Joanną*. Larissa prawie nie brała w nich udziału. Sama powierzyła główną rolę trudnej Megan i Jared sądził, że nie chciała, by obwiniano ją o uporczywą delikatność młodej aktorki. Dlaczego Joanna musi nosić męskie ubrania?, dopytywała się Megan. Czy naprawdę słyszała głosy świętych? Czy można ją zamienić w osobę pozbawioną świętości? Dokonała rzeczy niemożliwych z Bogiem; czy nie mogła tego zrobić bez niego?

Larissa mogłaby się bronić, ale stała przy Michelangelu, wycierając roztopiony ser z jego nowego marynarskiego ubranka.

Jared i Jonny wdali się w długą dyskusję, która epoka w muzyce rockowej była najlepsza. Malcolm, Ezra i Evelyn zawzięcie debatowali, kto był większym przywódcą wojskowym: święta Joanna czy Napoleon. Maggie i Bo gawędziły o nowej wystawie w Met zatytułowanej „Prawda i iluzja we współczesnej fotografii”. Kiedy Jared przestał mówić o tym, kto wywarł większy wpływ na współczesną muzykę: The Who czy The Rolling Stones, usłyszał, jak Bo powiedziała:

- Sugimoto był zaskoczony faktem, że niezależnie od tego, jak bardzo fałszowałyby się obiekty, przy robieniu zdjęcia stają się całkowicie prawdziwe.

Jared uświadomił sobie, że Larissa nie wróciła do stołu. Przeprosił, wstał i poszedł do kuchni. Zmywała naczynia.

- Co robisz? - zapytał cicho.

- Niedługo podamy tort. Chciałam przygotować stół.

- To twoje urodziny. Nie chcę, żebyś zmywała, po tym jak przez cały dzień gotowałam. Wracaj do stołu. Wszyscy nieswojo się czują.

- Jacy wszyscy? - zapytała, wycierając granitowy blat. I miała rację: z jadalni dobiegały głosy zadowolonych ludzi, którzy piją i rozmawiają.

- Chcesz, żebym ci pomógł?

- Nie. Usiądź przy stole. Byłoby bardzo niegrzecznie, gdyby zabrakło tam gospodarza i gospodyni.

Jared wrócił więc, a ona wszystko posprzątała, po czym podała tort. Wsadzili do niego dwie świeczki: czwórkę i jedynekę, i odśpiewali *Sto lat*. Zdmuchnęła je, zanim wybrzmiała ostatnia nuta.

- No proszę, Larisso - powiedziała Maggie. - Zdmuchnęłaś je tak szybko, że chyba nie miałaś czasu, żeby pomyśleć o życzeniu.

- Zrobiłam to w dzień urodzin - odparła Larissa. - Nie ma sensu denerwować bogów powtórkami.

Maggie skinęła głową z aprobatą.

- Słyszałeś, Ezra? Larissa nie chce denerwować bogów.

- Jakie to uprzejme z jej strony, że w ogóle o nich myśli - zauważył Ezra.

Larissa w milczeniu przez chwilę przesuwiała kawałek tortu po swoim talerzu, w końcu wstała i znów zniknęła.

Minęło pół godziny, a ona nie wracała. Kiedy Jared poszedł jej poszukać, nie znalazł jej w żadnej łazience ani w sypialni na górze. Zdziwiony zszedł na dół, by zapytać dzieci, czy widziały mamę, i znalazł ją na kanapie. Oglądała film z Asherem leżącym u jej stóp, Emily opartą o ramię i siedzącym na kolanach Michelangelem, którego mocno przytulała. Obserwował ją przez kilka minut, lecz się nie poruszyła. Postukał Emily w ramię i zapytał cichutko:

- Mama śpi?

W odpowiedzi Emily pokazała na twarz Larissy. Jared obszedł kanapę i zobaczył, że Larissa siedzi z pustym wyrazem oczu, nie reagując i nie okazując żadnych emocji.

- Larisso? - powiedział, spodziewając się, że szybko się ocknie, jak ludzie, którzy na chwilę tracą kontakt z otoczeniem. Ale ona tylko zamrugała powiekami, po czym powoli podniosła wzrok, jakby wcale nie wpadła w trans, lecz była w pełni świadoma.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał. - Wracaj do stołu.

- Za chwileczkę, kochanie. Gotowałam i sprzątałam przez cały dzień. Jestem trochę zmęczona.

- Sama chciałaś - odparł, zniżając głos. - Nikt cię do tego nie zmuszał.

- Wcale nie narzekam. - Odwróciła się jednak z powrotem do telewizora i przestała mrugać. - Chcę tu tylko posiedzieć z moimi dziećmi.

- Tak, tato - powiedział Michelangelo, mocno się w nią wtulając. - Zostaw mamę w spokoju. Nie widzisz, że jest zajęta?

Jared powoli wrócił do stołu.

Larissa nie przysłała do jadalni. Pół godziny później Jared znalazł ją w łazience, gdy kąpała Michelangela.

- Larisso! - syknął w zaparowanym pomieszczeniu. - Co ty u licha wyprawiasz? Mamy gości na dole! Evelyn i Malcolm zbierają się do wyjścia.

- Jared, mały nie czuje się najlepiej i trzeba go było wykapać. Zaraz zejść. - Klęczała przy wannie. Nie odwróciła się.

- Lubię, kiedy mamusia mnie kąpie - powiedział Michelangelo, przyskajac wodą na Larissę, nadal w czarnej sukience - bo wlewa do wanny kolorowe bąbelki, a ty nie.

Na dole zostali tylko Maggie i Ezra.

- Co się dzieje z Larissą? - zapytała Maggie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparł Jared.

- Jest zupełnie do siebie niepodobna. Ta psychoterapeutka nie bardzo jej pomaga.

- No właśnie. Wydaje mi się, że jest jeszcze gorzej. Od kiedy za-

częła do niej chodzić, ma okropne huśtawki nastrojów, jak nigdy dotąd. Albo obsesyjnie przejmując się butami dzieci, zeszytami, rękawicami do baseballu...

- Może cierpi na psychozę dwubiegunową?

- Nagle jej dostała po wizycie u psychiatry?

Ezra machnął ręką w ich stronę i dopił resztkę wina.

- Nie popadajcie w przesadę. Rozmawiam z nią w szkole. Nic jej nie jest. Chyba można założyć, że kiedy jest w swoim własnym domu, czuje się zmęczona, będąc stale ośrodkiem uwagi. To zmęczenie manifestuje się albo milczeniem, jak dziś wieczór, albo zniecierpliwieniem. Ona nie jest tresowaną małpką, tylko człowiekiem. A ludzie czasami bywają zmęczeni, prawda? - spojrzał znacząco na żonę.

Maggie spuściła wzrok.

- W ciągu tygodnia wszystko jest z nią w porządku - ciągnął Ezra. - Mamy mnóstwo stresów związanych ze *Świątą Joanną*. I po części czuję się za to odpowiedzialny. Ja ją w to wmanewrowałem, a ona chyba teraz żałuje. Obwiniajcie mnie, ale nie bądźcie dla niej tacy surowi.

Szybko zmienili temat i zaczęli rozmawiać o sportowych i artystycznych uzdolnieniach Dylana. To niesprawiedliwe, że musi się na coś zdecydować przed pójściem do college'u. Niebawem zaczęli się zbierać do wyjścia. Larissa zeszła na dół, żeby się pożegnać. Po wyjściu gości poirytowany Jared, pomimo tłumaczeń Ezry, poszedł na nią nakrzyżać za to, że zepsuła swoje własne cholerne przyjęcie. Teraz żałował, że w ogóle się na nie zdecydowali. Znalazł ją na podłodze w pokoju córki, gdzie grała w scrabble'a z Emily i Asherem. Chciał powiedzieć, że kiedy ma okazję porozmawiać z dorosłymi, wychodzi, ale wyglądali we trójkę tak słodko.

- Chcesz zagrać, tato? - zapytała Emily. - Dopiero co zaczęliśmy. Potraktujemy cię łagodnie. Damy ci trzydzieści punktów forów. Dobra, mamo?

- Trzydzieści? Co najmniej pięćdziesiąt.

- Nie, grajcie sobie sami - odparł Jared. - Pójdę zobaczyć, jak mecz. Też był zmęczony i koło północy zasnął na kanapie. Kiedy się obu-

dził, była szósta rano i plecy zeszywniały mu od spania na siedząco. Nie mógł uwierzyć, że Larissa nie przyszła go obudzić, ale jej też nie było w łóżku! Leżała na pościeli Michelangela, obejmując go ramieniem. Jared przez chwilę chciał ją obudzić, ale zmienił zdanie i zostawił ją w spokoju.

3

Scylla i Charybda

- Larissa.

Kai zamknął drzwi, lecz nie zrobił ruchu, żeby jej dotknąć. Nie mogła go nawet powąchać. Zwykle na jego twarzy gościł wesoły uśmiech z gatunku: „Podejdz tutaj i weź, co mam ci do zaoferowania”, lecz nie dzisiaj.

- O co chodzi?

- Wiesz o co.

- Kai... - Otuliła się ramionami.

- Czekam.

- Nie dajesz mi czasu na zastanowienie.

- Minęło dwanaście tygodni! - machnął bezradnie rękami. - Mój Boże, nie, minęło siedemdziesiąt tygodni.

- To za mało czasu.

- Za mało na co? Na co ty czekasz?

- Nie wiem.

Och, ta znieawidzona fraza!

- Chcesz, żebym do niego zadzwonił? Poszedł do niego do pracy? Przyjechał do ciebie do domu?

- Nie! - Larissa cofnęła się do drzwi. - Co ty mówisz...? Nie. Nigdy.

- To czego chcesz?

- Kai, co się z tobą dzieje? Nigdy nie jesteś taki...

- T e r a jestem.

- A l e byłeś...

- Jaki? Cierpliwy? Miły? Tolerancyjny? Łatwo się przystosowywałem? Wyrozumiąły? Moja szklanka nigdy nie była pełna? Nie przelewała się? - Kiedy nie odpowiedziała, rzucił: - Po co chodzisz do tej swojej lekarki, jeśli nie po to, żeby to gównu poukładać?

- Chodzę, żebym cię mogła widywać wieczorami.

- W porządku, ale dlaczego nawet bezwiednie nie udaje ci się czegoś rozwiązać, skoro już rozmawiasz z nią raz w tygodniu?

- Najwyraźniej tego nie rozwiązałam.

- Najwyraźniej.

Stali obok siebie.

Mijały minuty.

- Już dłużej nie mogę, Larisso - powiedział w końcu. - Ani jednego dnia dłużej. Nie mogę pozwolić, żebyś do niego wracała, żebyś z nim spała, żyła. Byłoby inaczej, gdybyś go nigdy nie dotykała, ale... - Urwał. - Miałem nadzieję, że moja miłość do ciebie sprawi, że ujrzysz światło.

- Widzę światło. - I wiele innych rzeczy. Także ciemność.

- Nie wydaje mi się. Kochasz mnie? To zostań ze mną. Albo mnie kochasz, ale nie możesz zostać? To wyjdź stąd, do cholery.

- Kai...

Uniósł dłoń, by ją uciszyć.

- Już dość. Powiedz mi, że łączyło nas wiele i było nam razem dobrze, ale nie możesz zrobić tego, o co cię proszę. Nie możesz ze mną wyjechać. - Jego młoda twarz była zacięta.

- Niewielu może to zrobić - szepnęła.

- Masz rację. Wielu nie potrafi żyć tak jak ty, oszukiwać jak ty, udawać, wieść podwójne życie, być żonąjednego mężczyzny i mówić, że kocha innego. Wiele kobiet nie jest tobą, Larisso. Ale przecież nie jestem z nimi. Nie możesz tego zrobić? To mi powiedz.

Larissa milczała. Kavanagh miała rację. Nic nie mogło trwać. A to już na pewno.

- Kai, nadal próbuję wymyślić jakiś sposób, żebyśmy mogli miesz-

kać tutaj - powiedziała łamiącym się głosem. - Zostawię go i zamiesz-
kam z tobą. Wtedy zobaczysz...

- Larisso, nie okłamuj mnie, do cholery. Nic nie wymyśliłaś! Wi-
iesz się tylko i wykręcasz. Niczego nie ułożyłaś. Nie wciskaj mi kitu.
Zażywasz proszki na sen, żebyś w nocy nie musiała o tym myśleć,
i wypełniasz swoje dni bzdurami, żeby tylko się tym nie zajmować.
Jesteś zaprzątnięta próbami, lekturami dzieci i jeździsz z muzyką ryczą-
cą z głośników w samochodzie! Wiesz, jak głośno ją puszczasz, kiedy
odjeżdżasz stąd codziennie? Żeby zagłuszyć myśli, prawda? A w ciągu
ostatnich trzech miesięcy, gdy tylko próbowałem z tobą o tym porozma-
wiać, odmawiałaś! Tak po prostu. Zmieniałaś temat, odwracałaś moją
uwagę - jesteś w tym świetna. Prosiłaś mnie: zagraj na gitarze, Kai,
zagraj na ukulele, zaśpiewaj mi coś, Kai. Jeszcze więcej hałasu, żebyś
przez sekundę nie musiała o niczym myśleć.

- Myślałam o tym, naprawdę.

- Posłuchaj, mamy dwa wyjścia. Albo wyjedziemy i będziemy żyć
z tym, co nam zostało, albo wrócisz do dawnego życia.

Nie mogła mu powiedzieć, że kobieta, która żyła dawnym życiem,
odeszła.

- Nie rozumiem, po co ten pośpiech. Dlaczego w ogóle musimy
wyjeżdżać? Nie musimy zostawać w Madison. Możemy pojechać do...

- Wyjeżdżam - przerwał jej Kai. - Nie mogę tu zostać, bo siedzę
tu już piętnaście miesięcy za długo. Przyjechałem spędzić miesiąc
z Gilem, trochę się zabawić. I popatrz, co się stało. Mój czas tutaj do-
biegł końca. Nie zostanę tu. Czego w tym nie rozumiesz?

- Kai...

- Larisso. - Był nieporuszony. Nie dawał się przebłagać.

- Jeśli powiem, że nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz - powie-
działa łamiącym się szeptem - nie zostaniesz? Pozwolisz mi odejść? -
Powiedziała to tak, jakby nie mogła w to uwierzyć.

- Nie! Jeśli *ty* nie możesz zrobić tego, o co cię proszę - odparł łami-
jącym się głosem Kai - to *ty* pozwolisz mi odejść. - Milczał przez
chwilę, stojąc oparty o ścianę. - Na początku zupełnie się pogubiłem.

Byłem outsiderem. Nigdy do nikogo nie czułem tego, co do ciebie. Wiedziałem, że nie będzie łatwo. - Wziął głęboki oddech. - Ale im dłużej byliśmy razem, tym bardziej realne stawało się moje marzenie. Może dla ciebie było to trudniejsze, ale dla mnie wszystko było jasne! Zupełnie jakby nagle zaświeciło słońce! Ja to widziałem, ty nie?

- Ja mam dużo więcej do stracenia.

- Tak sądzisz? Myślisz, że wiążąc się z mężatką dwa razy starszą ode mnie, z trójką dzieci, nie mam nic do stracenia?

- Kai, daj spokój, nie jesteś sprawiedliwy. Powiedziałam, że nie tak dużo jak ja.

- A co to jest? Zawody, kto ma zapłacić większą cenę?

- A ty musisz jakąś zapłacić? - rzuciła. Dlaczego była tak okrutna dla osoby, którą kochała?

- Płacę ją codziennie, Larisso - odparował - kiedy pozwalam ci tu przychodzić na godzinę, czując do ciebie to, co czuję. Potem pozwalam ci odejść, wiedząc, że będziesz spać z innym mężczyzną. Myślisz, że to dla mnie nie jest problem, ale mówię ci, że tak jest. To zawsze będzie dla mnie problemem. Ale czy nie o to właśnie chodzi? O dumę?

- Tutaj nie ma z czego być dumnym.

- Cudownie! - wrzasnęła. - Myślisz, że to poniżające? Tanie? Wstydzisz się mnie? Ale to moje całe życie! Pomyśl o tym przez sekundę; przez sekundę pomyśl o bólu drugiej osoby, a nie o swoim! Twoje poniżenie składa się na całą moją egzystencję!

- Przepraszam, Kai... Nie chciałam...

- Nie chcę już dłużej czuć się jak outsider we własnym życiu, a tak się właśnie czuję, kiedy każdego pieprzonego dnia mówisz mi, że masz coś ważniejszego ode mnie. Jedno z nas żyje iluzją, a drugie oszustwem. Nie widzisz w tym problemu? Że najważniejsza część mojego życia jest najmniej ważna dla ciebie? - Przechesał palcami włosy, próbując zrozumieć, znaleźć dla siebie jakieś wyjście. - O mój Boże! - powiedział. - Które z nas jest głupie? - Roześmiał się ponuro. - Czasami kiedy jesteśmy razem, wydaje mi się, że jesteśmy środkiem wszechświata, i przez kilka kradzionych minut wydaje mi się, że jestem środ-

kiem twojego. A potem spoglądasz na zegarek i pęka balon radości. Patrzyłem, jak to robisz, i powoli uświadamiam sobie, jak tego nienawidzę, bo z tego balonu nie sączy się radość, lecz trucizna! Za każdym razem, gdy widzę, jak patrzysz na zegarek - jak teraz! - mówisz mi, że jestem dla ciebie najmniej ważny. Że jestem outsiderem.

- Nie jesteś outsiderem! Nie wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Nie obchodzi mnie, co czujesz! Obchodzi mnie, co robisz. - Odsunął się od ściany i zrobił krok w stronę wejścia, gdzie stała Larissa. - Nie chcę, żebyś do niego wracała.

- Proszę, nie każ mi wybierać... - Rozpłakała się. - Wiesz, że nie chodzi tu o niego i ciebie.

- Ja też muszę być coś wart.

- Jesteś.

- To dlaczego nadal się mną bawisz? Chcę, żebyś sobie wyobraziła, co Jared mógłby powiedzieć, gdybyś mu opowiedziała, co robisz popołudniami. Jak by zareagował? Ja wiem, co robisz popołudniami. I wieczorami. Wiem wszystko. Ale zawsze stoję za drzwiami. Chcesz sobie wyobrazić, co mógłby czuć Jared? Co ja czuję? Wyobraź sobie, co czują inni poza tobą, Larisso.

Z jego postawy, rozchylnych ust, ognia w oczach Larissa wyczytała, że Kavanagh miała rację. Usłyszała jej poważny głos: *Nie wiem, dlaczego to tak długo trwa, Larisso. Nikt nie może czekać tak długo.*

Ale on nie jest tacy jak inni. On jest do nikogo niepodobny. Patrzy na błękit i porusza się w rytmie walca. Ćwiczy tai chi i zawsze jest ciepły. Wprowadza w moje życie spokój i muzykę. A jednak jego postawa i wyraz twarzy przerażały ją. Przez sekundę poczuła się jak w Tijuanie nocą, jakby zaraz miała się połąć krew. Mógł ją udusić. Pobić. Zabić. Mógł ją zrzucić ze schodów. Utopić w rzece. Mógł ją uwięzić. Kiedy umierał, ona żyła, a bez niej on też nie miał niczego. A jeśli to Kai, nie Jared, nie mógłby znieść rozstania z nią? Czy miał haubicę, żeby wszystko zrównoważyć?

Rozłożyła drżące dłonie.

- Proszę, nie kłóćmy się. - Głos drżał jej jak całe ciało. - Zachowaliśmy się źle. To nie było piękne, to było brutalnie źle.

- Cieszę się, że tak myślisz - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Bo to jedyna rzecz w moim życiu. Dobrze wiedzieć, że to wszystko było gigantyczną pomyłką.

- Nie jestem niefrasobliwą recepcjonistką, która odbiera twoje telefony! Jestem żoną innego mężczyzny!

- Jakbym nie wiedział! Czy musisz mi o tym co minutę przypominać w ten lub inny sposób? - Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę. Był taki zdenerwowany. - Ale wiesz co? Nie chcę, żebyś była żoną innego. - Chwytał ją mocno. - Nie chcę się już dłużej tobą dzielić. Możesz to zrozumieć? Nie pojmuję, że muszę to mówić! Jak to jest, że jestem od ciebie o pokolenie młodszy, a o tyle mądrzejszy? Jak to jest, że ja to rozumiem, a ty nie? Ależ jesteś ograniczona, beznadziejna, myślisz tylko o sobie!

Chciała się wyrwać, lecz nie mogła. Chciała wyjść, lecz nie mogła. Chciała nie jęczeć, nie wołać go, ale nie mogła. A on tak bezwstydnie zademonstrował swoją władzę nad nią; zdarł z niej ubranie i zegarek! Rzucił ją twarzą na łóżko i szeptał jej do ucha, gdy leżała rozpalona pożądaniem, pragnąc go całym ciałem i duszą.

Zrozum, Larisso, szepnął Kai, biorąc od niej to, co mógł wziąć, tę rzecz, która wyglądała jak miłość i była miłością, a jednocześnie nią nie była; to przypominało sonet do dziwki. Wyjeżdżam w przyszły weekend. Zapłaciłem czynsz do końca maja, złożyłem wypowiedzenie w pracy i teraz składam je tobie. Chyba źle cię zrozumiałem. Tak naprawdę miałaś nadzieję i modliłaś się w ten swój świecki sposób, że to nie Jared cię wyrzuci, lecz ja. Znienawidziłaś mnie, bo nie robię tego, czego oczekujesz od chłopaka na motocyklu. Nie sprostałem twoim wyobrażeniom. Długo mi zajęło, zanim do tego doszedłem. Byłem takim idiotą. Czekałaś, żebym zniknął znienacka! Dokładnie za tydzień to się spełni.

To był przypływ. Potop. Potem, gdy Larissa zbierała z podłogi ubranie i guziki, które odpadły od koszuli, znalazła pasek i zegarek, którym cisnął przez pokój (była za dziesięć trzecia!), powiedziała:

- A l e Michelangelo nie jest Jaredem. Nie jest mną. Ani tobą. Kiedy spóźniam się tak bardzo, cierpi.

- A kiedy opuszczasz mnie, ja cierpię. I chcę, żebyś ty też cierpiała.

- Myślisz, że nie cierpię?

- N i e dość. - Leżał odwrócony plecami. Nie zmienił pozycji, żeby zobaczyć, jak wychodzi.

* * *

Kochana Larisso!

Lorenzo wymyślił plan. Mówi, że muszę opuścić nasz dom, poszukać schronienia u ojca Emilia i tam urodzić dziecko. Kiedy wydostaniemy go z więzienia, uciekniemy i zostawimy dziecko w sierocińcu, dopóki gdzieś się nie osiedlimy i wrócimy po nie. Powiedział, że zakonnice zajmą się nim przez kilka tygodni, gdy będziemy się ukrywać na Min-danao.

Zapytałam, skąd weźmiemy pieniądze na kaucję.

Kazał mi porozmawiać z ojcem Emiliem. Odrzuciłam więc wstyd, wypięłam brzuch i rozmawiałam. Długo patrzył na mnie w milczeniu i w końcu powiedział: „Chcesz, żebym wystawił na szwank moje dobre imię i reputację tego kościoła i poświadczył za człowieka, który planuje uciec zaraz po wyjściu z więzienia? I ty, wiedząc to wszystko, prosisz mnie o to?”.

Rozpłakałam się. Powiedziałam, że nie wiem, co robić.

Powiedział, że misja zajmie się mną i moim dzieckiem, ale sumienie nie pozwala mu kłamać dla Lorenza, a jego parafia nie ma dwóch i pół miliona peso na kaucję dla człowieka, który zamierza uciec. Powiedział, że kościół nałożyłby na niego karę suspensy. Nie mógł tego zrobić. W okolicy jego słowo jest prawem. „Chcesz, żebym zrujnował swoją reputację i reputację San Augustin, bo mężczyzna, który się z tobą nie ożeni, przekonał cię, żebyś zostawiła upragnione dziecko i uciekła z nim w góry?”.

Z trudem wyszłam z klasztoru.

Wiesz, Larisso, czasem ku mojej wielkiej rozpacz - Bóg nigdy mi tego nie wybaczy, choć wiem, że jest miłosierny - żałuję, że Lorenzo nie zginął w starciu z policją. Bo wtedy mogłabym rozpacząć, to byłoby straszne, ale mogłabym to znieść. Nie musiałabym wybierać między

dzieckiem a Lorenzem! Bo nie chcę porzucać dziecka i uciekać na Mindanao. Okropnie się boję, że nie będziemy mogli wrócić.

Czy słyszysz mnie na swoim krańcu świata?

To nie jest początek smutku - to najgorsza rzecz, jaka mi się przydarzyła w życiu. Nie mogę podjąć takiej decyzji.

* * *

W piątek rano Larissa malowała paznokcie z Fran Finklestein i choć była zdenerwowana, poddała się nastrojowi spokojnego manikiuru.

- Jesteś taka wzburzona - powiedziała Fran, wyciągając długie palce przed Sherry. - Nie widziałam cię od miesiący. Co się z tobą dzieje?

- Rzeczywiście jestem wzburzona - zgodziła się Larissa, siedząc z wyciągniętymi palcami przed Jessicą. - Chodzę do psychologa i...

Fran się zaśmiała.

- A po co ci to? Nie masz żadnych problemów.

- Nie? Jessica, nie, chcę dziś zrobić skórki. Zobacz, jak wyglądają. Dzięki. Coś by się znalazło. Nic nie jest idealne.

- Pomaga ci ten lekarz?

- Lekarka. Jestem jeszcze bardziej wzburzona i tyle. Przestałabym tam chodzić, ale wtedy w ogóle nie miałabym z kim porozmawiać.

Nie mogłaby też, leżąc na łóżku, słuchać gitary i fragmentów poezji. W następny weekend przypadał Dzień Pamięci. Jeden tydzień. Siedem dni.

- Porozmawiaj ze mną. - Fran uśmiechnęła się. Była pełna energii, radosna, żuła gumę. Ale mając dwadzieścia cztery lata, mogła sobie na to pozwolić. W jej wieku Larissa też taka była. - Dużo wiem. Znam się na ludziach. I nie policzę ci ani centa.

Larissa utkwiała wzrok w długich czarnych rzęsach okalających roztańczone oczy Fran. Była zachwycająca. Dlaczego nie spędzała z nią więcej czasu? Mogły zostać przyjaciółkami. Mogły chodzić razem na zakupy, jeść lunch. Fran nie była związana z żadną inną częścią jej życia. Larissie nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby z nią porozmawiać. Kiedyś wydawała się jej za młoda na przyjaciółkę!

Drewno życia powoli się rozpadało, a Larissa cierpiała z powodu wbijających się drzazg. Dlaczego Fran zauważyła, że cierpi, a Jared nie?

Jednak... wydawała się tak mądra życiowo i dobrze zorientowana. Nie posiadała wszystkich mądrości, jak sugerowała zniszczona twarz Kavanagh, ale... Fran ją lubiła. Może...

- Chcesz iść potem na lunch? - zapytała Fran.

- Z rozkoszą, skarbie. Ale mam...

- Sprawy do załatwienia?

- T a k .

Mam Albright Circle, ukulele i obietnice nowych ran i blizn.

- No to może zaczniemy hipotetycznie teraz?

- Rozmowa, Finklestein, to nie seria pytań i odpowiedzi. Nie będziemy stosować metody Sokratesa.

- Czego?

- Chodzi o to, żeby rozmawiać swobodnie na interesujące tematy.

- Super! Jestem bardzo zainteresowana. Tak, Sherry, proszę, ten różowy lakier. - Fran puściła oko do Larissy. - Będzie pasował do czarnych butów i szarych legginsów w paski.

Fran wyglądała świetnie. Jak zawsze. Ubierała się szalowo nawet wtedy, gdy szła tylko na manikiur. Wydawała się taka przystępna. Larissa przygryzła wargę.

- Dobra - zaczęła. - Rozważmy hipotetyczną sytuację.

Jessica i Sherry pochyliły się w ich stronę. Larissa uznała to za fascynujące, zważywszy na to, że czasem z trudem rozumiały angielski. A jednak kiedy Larissa powiedziała „hipotetyczną”, dwie niemówiące po angielsku dziewczyny natychmiast pochyliły się do przodu.

Larissa zacisnęła palce, a dziewczęta zaczęły rozmawiać po koreańsku. Kiedy rozłożyła dłonie, nadal miała problemy z wydobyciem nawet hipotetycznych słów.

- Finklestein, znasz opowieść o Scylli i Charybdzie?

- Co takiego?

Koreanki nadal rozmawiały, piłując paznokcie przed nałożeniem lakieru. Larissa miała pięć minut, a potem jeszcze kilka pod suszarką.

- Scylla - ciągnęła - była sześcioletnim psem o dwunastu nogach,

który mieszkał w jaskini i pożerał żeglarzy przepływających obok niej przez Cieśninę Messyńską. Charybda strzegła drugiego końca cieśniny. Była potworem morskim z olbrzymią paszczą. Wciągała w nią wodę, tworząc wiry, w których tonęły statki.

- To jest twoje hipotetyczne założenie? Pies i potwór morski?

- T a k .

Fran się roześmiała.

- Finklestein...

Jessica nałożyła drugą warstwę czerwonego lakieru na paznokcie Larissy. Sherry była szybsza. Fran była już gotowa.

- Taki masz wybór, Larisso? Pomiędzy szczęśliwym psem i potworem morskim?

- Mówię tylko, że przepływasz cieśninę. Możesz się zwrócić w jedną bądź w drugą stronę. Ale jesteś niezdecydowana. Każdy wybór jest nie do przyjęcia. Niemożliwy.

- Ja bym zawróciła - odparła spokojnie Fran, poruszając palcami pod suszarką. - A ty możesz?

- Nie. Nie ma powrotu. Tylko Scylla albo Charybda. To która?

Fran wstała. Ze swoimi długimi nogami w lakierowanych botkach na szpilkach, z lśniącymi wargami i rozpalonym wzrokiem zakołysała seksownie biodrami i powiedziała:

- Ja bym zawróciła. A jeśli bym nie mogła, wiesz, co mówią. - Nadmuchała wielki różowy balon z gumy do żucia, który zaraz pękł.

- Nie. Co? - Larissa miała już dość swoich wilgotnych paznokci, galopujących szarych koni, wyścigów rydwanów prowadzących w wodną otchłań.

- Kto sieje wiatr, zbiera burzę, kochanie - powiedziała Fran i wychodząc, posłała jej całusa. - No to zbieraj.

* * *

Larissa dostała kolejny list od Che zaledwie trzy dni po ostatnim. Ich częstotliwość jeszcze bardziej pogłębiała rozpacz Larissy. Otworzyła kopertę.

Kochana Larisso!

Nie mam już wyjścia. Bardzo przepraszam, nie mogę uwierzyć, że Cię o to proszę. Proszę. Błagam. Czy mogłabyś...

Larissa przestała czytać i powoli wsunęła list do koperty. Było jej przykro, naprawdę, ale nie mogła przeczytać kolejnej sylaby gorączkowych pocisków słownych Che. Nie mogła czytać o problemach innych, miała za dużo swoich. Odyseusz wybrał Scyllę, ponieważ wolał stracić kilku ludzi niż cały statek. Przepraszam, Che, pomyślała, chowając list głęboko w komodzie razem z innymi. Miłość Larissy oziębła.

4

Gorączka bagienna

Larissa przyjechała do Kavanagh we wtorek wieczorem, usiadła na skórzanej kanapie i położyła ręce na kolanach. Siedziała w czujnym milczeniu. Zmrok zapadał coraz później, a dziś o siódmej przez okno wpadały ostatnie rdzawe promienie słońca, zupełnie jakby była jesień, a nie koniec wiosny. W gabinecie nie paliły się lampy. Wykładane boazerią ściany, książki, drewniane biurko za lekarką, notatnik, w którym Kavanagh nigdy nic nie zapisywała, a jednak pamiętała wszystko, co powiedziała Larissa, spowijały długie cienie niczym strużki dymu w płonącym domu. Dziś wieczór Larissa nie wierciła się, nie grzebała w torebce. W džinsach, jasnozielonym rozpinanym swetrze i kremowym topie wyglądała idealnie. Lekki makijaż był równie świeży jak rano. Po szkole lepiła z Michelangelo figurki z gliny, robiła dla wszystkich burritos i fajitas, i tartę, której przygotowanie zajęło jej cały dzień. Jechała do Kavanagh spokojnie, trzymając obie ręce na kierownicy, a teraz opierała je na kolanach. Milczała. Lekarka też się nie odzywała, czekając, by Larissa zrobiła to pierwsza.

Larissa milczała.

- Ma pani jakieś plany na weekend Dnia Pamięci?

- Raczej nie.

Przesiedziały tak czterdzieści pięć z pięćdziesięciu minut przeznaczonych na sesję.

- Powinnam już wracać - powiedziała w końcu Larissa, wstając. - Moja córka ma koncert w czwartek wieczorem i obiecałam, że posłucham, jak ćwiczy, zanim pójdzie spać.

- Oczywiście - odparła Kavanagh. Wstała. - Czy... wszystko w porządku?

- Tak. - Larissa uśmiechnęła się, a potem powodowana impulsem wyciągnęła rękę. - Dziękuję.

Doktor Kavanagh zdumiona uściśnęła jej dłoń.

- Do zobaczenia w przyszły wtorek.

Larissa przewróciła oczami.

- Mojemu synowi udało się dostać do play-offów Małej Ligi i w przyszły wtorek gra mecz o piątej. Nie wiem, kiedy się skończy. Możemy to przełożyć?

- Oczywiście. Chce pani przyjść w przyszły czwartek?

- Zadzwonię do pani. Bo jeśli drużyna syna przejdzie dalej, nie wiem, kiedy odbędzie się następny mecz.

- Więc umówimy się później?

- Tak będzie najlepiej - odparła Larissa.

* * *

Wiedziała, że osobą, z którą musi porozmawiać, jest Ezra.

- Lunch? - Spojrzała na zegar nad jej głową. Była za piętnaście jedenaście. - Hmm...?

- Wiem, ale... później jestem zajęta.

Zaczęła swobodnie; mówiła o uprzykrzonym problemie z epilogiem *Świętej Joanny*. Premierę sztuki wyznaczono na przyszły weekend na początku czerwca, a oni nadal nie mogli zdecydować, czy zostawić epilog, czy nie. Było tyle opinii, ile zaangażowanych w to osób. Próbowali

obie wersje i wciąż się zadreczali. Biedna Megan dalej była okropna i źle obsadzona. Larissa podjęła pochopną decyzję i teraz płaciła za to co dnia.

- Larisso, czy ktoś ci powiedział, że strasznie schudłaś?

Pokręciła głową.

- Wcale nie.

- Owszem. Myślisz, że nie widzę?

- To tylko iluzja. Wiesz, co mówi Sugimoto. Fałszywy obiekt wygląda prawdziwie, gdy już zrobisz mu zdjęcie.

- Jednak zwracałaś uwagę na rozmowę Bo i Maggie na twoim przyjęciu urodzinowym. Powinienem być wiedzieć, że drzemią w tobie niezgłębione pokłady.

Zostały zgłębione, Ezra. Zgłębione aż do grząskiego dna.

- O co więc chodzi? - zapytał. - Jesteś fałszywym obiektem czy naprawdę schudłaś? A może to utrata wagi sprawia, że jesteś fałszywym obiektem na prawdziwym tle?

- Robisz z igły widły. Stale chudnę albo przybieram dwa kilo. - Faktem było, że schudła piętnaście kilo. Ubrania wisały na niej, jakby chorowała na raka. Pogardzała sobą za te kłamliwe metafory. - Myślisz, że jestem spełniona?

- N i e , jeśli nie uważasz, że straciłaś pół Larissy.

- Chodzi mi o sens metafizyczny. Spójrz poza fizyczność, Ezra.

- Fizyczność jest manifestacją naszej wewnętrznej świętości. Dlatego tak trudno jest ukryć duszę.

Czyżby? Każdy, kto kiedykolwiek kochał, mógłby na nią spojrzeć... a jednak... wszyscy kochali, patrzyli na nią i niczego nie dostrzegali.

- Możemy...?

- Jak brzmi twoje pytanie? - Uśmiechnął się. - Nie uważam, że jesteś spełniona. Kto jest? - Pochylił się. - Wiesz, jaka jesteś?

Odsunęła się.

- N i e .

- Jesteś połową Larissy.

- No dobra. Posłuchaj. - Gdy oddaliło się ryzyko poważnej dyskusji, znów pochyliła się w jego stronę. - Co robisz, gdy musisz udzielić

radę uczniom mającym poważny problem? Jak wtedy gdy znalazłeś uciekinierkę Tenestrę próbującą dokonać aborcji w szkolnej toalecie.

- Na szczęście była na głodzie i otepiała weszła do męskiej toalety - wyjaśnił Ezra. - Inaczej nigdy bym jej nie znalazł.

- Pytam - ciągnęła powoli - z czego korzystasz, by jej pomóc? Z wykształcenia? Inteligencji? Z czego?

Pokręcił głową.

- A n i moje wykształcenie, ani inteligencja nie mogą pomóc dzieciakowi, który jest przerażony na śmierć. To ona musi przeciąć węzeł gordyjski, nie ja.

- To co sprawia, że decyduje się wejść do męskiej toalety?

- Odsuwa od siebie wszystko i idzie za strachem. Czego boi się najbardziej? Najwyraźniej w jej przypadku było to urodzenie dziecka.

- Czy tak podejmujemy wszystkie nasze decyzje? Ze strachu?

- Tenny tak. Nie wiem, co *my* robimy. - Przyjrzał się jej uważnie. - Czego ty się boisz?

- Och, nie chodzi o mnie. - Uśmiechnęła się promiennie, błysnęły białe zęby. Wypiła łyk kawy, ręce jej nie zdrząły, ale stłumiła odruch wymiotny przy zetknięciu z czymś, co choć odrobinę przypominało pokarm.

- Patrzę na moich piętnasto-, szesnastoletnich uczniów - ciągnął Ezra. - Są zdezorientowani, nie potrafią zmierzyć się z życiem, a jednak muszą wybrać college, chłopaka, zdecydować, czy okłamać rodziców, czy nie, czy uprawiać seks bez zabezpieczenia, jeździć po pijanemu. To nie ma końca.

Larissa skinęła głową.

- Czasami kiedy dzieci przychodzą do mnie po radę, nie wiem, co im powiedzieć.

- Ja też czasami nie wiem.

- Naprawdę? To co im mówisz?

- A co ty mówisz swoim?

- Moim prawdziwym dzieciom?

- Tak, w przeciwieństwie do tych fałszywych na zdjęciach. Nie, nie twoim. Dzieciom, które uczysz.

- Tutaj zaczynają się moje problemy. I konflikt w sercu. Bo widzę dla nich dwie drogi. College w mieście albo na wsi. Gra w baseball jak w przypadku twojego Dylana albo gitara. Nie wiem, jak możesz doradzać własnemu synowi.

Ezra wyglądał na rozbawionego.

- Te rzeczy są łatwe. Tu nie chodzi o to, czy mam urodzić dziecko, czy nie. Uprawiać seks bez zabezpieczeń czy nie. Przespać się z chłopakiem mojej najlepszej przyjaciółki, wziąć samochód rodziców, mimo że wyraźnie mi tego zabronili.

- A co się dzieje, kiedy nie wiesz, jak podjąć... *śluszną* decyzję? - zapytała.

- Pytam wtedy, jaka jest ich największa pasja. Bez której rzeczy nie wyobrażają sobie życia. Gdyby we śnie przyszedł do ciebie Bóg i powiedział, że odbierze ci wszystko oprócz jednej rzeczy, z którą nie możesz się rozstać, co by nią było?

Zatłoczone bazyry, karawany, pokazy dziwolągów, tańczące na linie małpki i płonące obręcze. Śnię, żeby nie śnić. Chcę, żeby było jak przedtem, nie potem. Żeby nie było *teraz*, kiedy puste niebiosy są zamazane węglem.

- A jeśli są dwie? - zapytała niemal szeptem.

- To rzadkie. Byłabyś zaskoczona, jak świadomi są uczniowie, kiedy przedstawia się im taki wybór. Jeśli odebrano by ci wszystko? Co byś zostawił? Wszyscy wiedzą. Obojętne, czy jest to pianino, baseball czy głos. Dla niektórych są to długie nogi, najlepszy przyjaciel lub blond włosy. Niektórzy mówią, że młodszy brat. Inni, że pies.

- Czy któryś wspomina rodziców?

Ezra się roześmiał.

- A n i jeden. Nigdy. Co ci to mówi?

Larissa siłą woli zmuszała się, by nie wyglądać, jakby traciła wzrok, była rozdarta, toczyła śmiertelną walkę.

- A co z innymi rzeczami? Dobrem i złem? Jak zabranie samochodu, kiedy ci nie wolno?

- To trudniejsza sprawa - przyznał Ezra. - Mówię im wtedy: „Skąd

wiecie, czego nie powinniście robić? Bo jest to rzecz, której najbardziej nie chcecie zrobić. Tak to działa".

- Założę się, że to uwielbiają.

- Owszem. - Uśmiechnął się. - Ciskają we mnie słowami Epikura jak małpy kupami. Nagle wszyscy stają się Lukrecjuszami i zaczynają cytować *O naturze wszechrzeczy*. - Zacmokał cicho. - Nie mogę ich zmusić, żeby zapamiętali jeden cytat z Kanta lub Kierkegaarda, ale Lukrecjusza znają na pamięć. Atomy, ho, ho, ho, profesorze DeSwann, poruszają się w nieskończonej pustce i my też jesteśmy atomami. Mówią mi, że atomy są niewzruszone. Nagle wszyscy młodzi stają się epikurejczykami. - Roześmiał się. - Odpowiadam im, że to nie filozofia przetrwała próbę czasu. Sprzeciwiają się żarliwie. Kiedy wspomynam, że filozofia epikurejska potępiła wszelkiego rodzaju żądze, namiętności, brak umiaru, nie chcą tego słuchać. Słyszą tylko „rzeczywistość atomów”.

- Czy twoi uczniowie nie mają racji, profesorze? - rzekła Larissa w zamyśleniu. - Przecież jesteśmy zbudowani z atomów.

- To prawda, ale albo rybka, albo akwarium. Mówię im, że nawet atomy poruszają się w uporządkowany, przewidywalny sposób, z góry ustalony i bezbłędny. Nawet atomy mają dodatni i ujemny ładunek w określonym miejscu, elektrony nie fruwać swobodnie i nie przyklejają się do innej materii, bo akurat taki mają kaprys. Atomy zachowują się zgodnie z ustalonym porządkiem wszechświata. W czym zupełnie nie przypominają ludzi, którzy zachowują się w odrażający i nieprzewidywalny sposób.

- W takich chwilach musisz być bardzo popularny.

- I owszem. Spierają się. A potem ktoś zaczyna krzyczeć, chłopak wyrwa ołówkę dziewczynie, dziewczyna krzyczy, że to niesprawiedliwe, ktoś dostaje czwórkę zamiast czwórki plus i głośno się skarży... Po pięciu minutach ich naturalny porządek zostaje przywrócony i zostawiamy w spokoju Epikura, bo nie może nam pomóc nawet przez pięć minut w klasie.

Larissa wypijała kawę. Starła się nie patrzeć na Ezrę, swojego przy-

jaciela od pierwszego roku studiów, jeszcze przed Jaredem. Żałowała, że nie założyła okularów słonecznych. Czuła, że ma spuchnięte oczy, nie widziała dokładnie rozbawionego wyrazu twarzy Ezry, jego mądrych oczu, palców bębniących o blat. Nie wiedziała już, kim jest. Ale jedno wiedziała. On wsadził ją na swoje srebrne ducati. Znała jego imię, jakby zostało wytatuowane na niebiesko w jej elektrycznej duszy.

- Jak więc żyjemy, Ezra? Jak żyjemy, wiedząc, że jesteśmy chodzącymi sprzecznościami? Z zewnątrz zbudowanymi z uporządkowanych atomów, lecz noszącymi w środku chaos. Jesteśmy najbardziej nieuporządkowanym, niestałym, niepewnym ruchem we wszechświecie.

- Zgoda, Larisso. Ponieważ bogowie nie mogą chodzić po ziemi, nie przyjmując postaci bestii. Zapytaj samą siebie: ze wszystkich rzeczy, które znosisz, których pragniesz, które cię definiują i za którymi tęsknisz, która sprawia, że wyłamujesz się ze swoich fałszywych wyborów i stajesz się nieugiętą niezniszczoną osobą?

- Nie ma takiej rzeczy - szepnęła.

- Zapytaj siebie, co chcesz zostawić.

- A jeśli nie ma odpowiedzi?

- Jak może nie być?

- Jeśli nie ma *właściwej* odpowiedzi?

- Naprawdę? Tylko atomy w próżni? No to masz swoją odpowiedź.

- Nie rozumiem Maggie - wykrzyknęła Larissa trochę zbyt piskliwie. - Ciało odmawia jej posłuszeństwa, nie może nad nim zapanować, a ona stale jeździ do klasztoru Matki Boskiej Różańcowej. Jak u licha Bóg jej pomaga?

- Maggie? - zapytał zdumiony Ezra. - Myślałem, że chodzi o twoich uczniów?

- Tak, tak.

Ezra zamilkł, prawie jakby chciał coś powiedzieć i w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- A jeśli nie można być jak ona? - zapytała. - Jeśli się nie wierzy?

- Musisz w coś wierzyć.

- A jeśli nie wierzysz w nic?
- W nic? Jak można w nic nie wierzyć?
- Niektórzy moi uczniowie to potrafią.
- Dziwne. Zwykle mają bardzo silne przekonania i opinie, nawet jeśli trochę głupie. - Ezra uśmiechnął się. - Cudownie głupie.
- A co Jezus robi dla Maggie?
- Chyba odwróciłaś tę relację - odparł Ezra. - Jezus nie przychodzi i odchodzi, kiedy zechcesz. Nie spełnia twoich zachcianek. Jest nieustępliwym źródłem wszystkich rzeczy, ale nie znajduje się tam dla twojej wygody. Jeśli myślisz inaczej, szybko się pogubisz.
- To jej pomaga?
- Wjej głowie zabrzmiało niedowierzenie.
- T a k .
- Czy ktoś może być materialistą i nadal wierzyć w Boga? Spojrzał na nią z niedowierzaniem.
- N i e .
- Dlaczego?
- Po co ci Bóg, jeśli uznajesz tylko materię?
- A nie można wierzyć w Boga czasami? - Nie ustępowała. - Kiedy jest potrzebny?
- Jego nie można wzywać. Nie nosi się Chrystusa jak płaszcz. Zdejmujesz, wkładasz, kiedy ci pasuje. Nie można go wyrzucić.
- Nie żartuj. - Larissa wzruszyła ramionami. A może zadrzała? - Nie wygląda na to, by dzięki niemu pytania o sens życia stawały się łatwiejsze.
- Bo tak nie jest. On je jeszcze utrudnia. Jest niepokonanym mistrzem.
- Czemu ktoś miałby tego chcieć?
- Dlatego tak wielu ludzi się od niego odwraca.
- Co znajduje w nim Maggie?
- Sprecyzowane znaczenie i nieograniczoną pociechę. Bo dla ludzi wszechświat z Chrystusem i wszechświat bez niego to zupełnie dwie różne rzeczy. Można te dwie grupy natychmiast odróżnić. Walka o włas-

ne człowieczeństwo, znaczenie, ciężar zobowiązań wobec innych, jak również cel w życiu w istotny sposób różnią się dla tych, którzy nie biorą go pod uwagę przy podejmowaniu decyzji.

- I to pomaga Maggie? - zapytała sceptycznie Larissa.

- Jasne. Jej cierpienie nie jest już pozbawione znaczenia. Znajduje w tym ogromną pociechę. Jak nasza święta Joanna, Maggie nie może bez tego żyć. - Zawiesił głos i po chwili dodał niemal niechętnie: - Nie porozmawiałaś z nią, jak obiecałaś.

- O czym?

Patrzyli przez moment na siebie. W jego oczach pojawił się łagodny wyrzut, a w jej - pełne winy zakłopotanie, jakby wiedziała, że on ma rację, ale nie mogła sobie przypomnieć rozmowy, w której mu coś obiecała.

- Przepraszam. Porozmawiam z nią podczas weekendu. W sobotę jedziemy po napoje na poniedziałkowe przyjęcie. Potem będziemy mieć czas dla siebie. - Już dawno wypła kawę. Wstała. - Nadal nie rozumiem, dlaczego nie można włożyć Jezusa. Włożyć i zdjąć. Johnny Cash to zrobił. Swojego osobistego Jezusa.

* * *

- Jared - powiedziała Larissa w środę wieczorem. Wypiła kawę i odchrząknęła. - Co byś powiedział, gdybym się wybrała odwiedzić Che?

Czytał wiadomości sportowe i podniósł wzrok bez entuzjazmu, jakby ta rozmowa była zbyt ważna - lub zbyt trywialna - by współzawodniczyć z wynikami ostatnich meczów.

- Dokąd? - Spuścił wzrok.

We wczorajszym meczu łapacz zaliczył trzy podwójne. Czy to rekord?

- Do Manili.

Tak, tak! Pobił swój własny rekord. Cztery uderzenia i trzy podwójne w jednym meczu. No proszę. Będzie dzisiaj grał?

- Manili?

- Tak. Myślałam, że pojedę może na dwa tygodnie. Dziesięć dni? Wiesz, jak długo starała się zająć w ciąży...

- Jeśli próbuje zająć w ciąży, to wybacz, ale jesteś ostatnią osobą, której potrzebuje.

Kto jest dziś miotaczem? Boże, tylko nie on. Nie wygrali z nim ani jednego meczu. O której zaczyna się mecz?

- Jared, Che jest w ciąży. Pamiętasz? Niedługo urodzi dziecko.

- A, tak. Może. To nie jest zły pomysł.

- Naprawdę? Mogę jechać?

Już wpół do ósmej! Ominął go pierwszy rzut. Jared dopił kawę, złożył gazetę i wstał od stołu.

- Jasne, czemu nie? Gdzie się zatrzymasz?

- W Manili - odparła zmęczonym głosem.

Był już w połowie drogi do telewizora na dole, kiedy przystanął.

- W Manili? - Zrobił krok w jej stronę. - Na Filipinach?!

- Tam mieszka Che.

Potarł oczy.

- O tym mi mówiłaś? O wyjeździe na Filipiny?

- Powiedziałaś, że nie ma sprawy.

- Lar, nie słuchołem! Oszalałaś? Kiedy się tam wybierasz?

- Teraz. Che będzie niedługo rodzić.

- Bardzo się cieszę, że będzie miała dziecko. Ale ty masz trójkę swoich. Nie chodzi o to, że nie chcę, żebyś odwiedziła przyjaciółkę. Ale ona jest twoją *przyjaciółką*. A tu masz rodzinę. Jak, u licha, poradzimy sobie przez dwa tygodnie? Nawet jeśli codziennie będę przywoził jedzenie na wynos. Jak Emily dojedzie na lekcje, Michelangelo na karate i Małą Ligę, a Asher na play-offy? I czy przypadkiem nie wystawiasz sztuki, która ma premierę w przyszły czwartek? Mówię poważnie, Larisso. Chyba nie do końca to przemyślałaś.

- Przemyślałam. - Oparła dłonie na stole. Nie patrzyła na niego.

- Chyba nie. Gdybyś to zrobiła, nie pytałabyś. Pomyśl przez chwilę logicznie, a odpowiedź będzie jasna. - Znów spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Cholera. Spóźni się pewnie na cały pierwszy inning.

- To tylko dwa tygodnie, Jared. Nie wieczność.
- Lar, nie poradzą sobie bez ciebie przez pięć minut.
- Może zatrudnimy kogoś, kto przychodziłby do domu po szkole.
- Na dwa tygodnie? Gdzie znajdziesz kogoś, kto przez dwa tygodnie będzie żył twoim życiem?

- Są różne agencje wynajmujące opiekunki. Jedna nazywa się Pomoc Rodzicielska. Słyszałam, że jest bardzo dobra. Druga to Puste Gniazdo. Nazwa jest trochę ironiczna, ale bardzo ją polecają.

- Kto? - Nie czekając na jej odpowiedź, Jared pokręcił głową i zrobił jeden krok w stronę Larissy, jeden w stronę telewizora. - Proszę cię. Wybij sobie z głowy te bzdury. Zbliża się koniec roku. Emily ma dwa recitale, Michelangelo koncert. Asher jedzie z Dylanem do Nowego Jorku na sprawdzian dla miotaczy Letniej Ligi. Emily chce wydać przyjęcie. Zaprosiliśmy dwieście osób na Czwartego Lipca. Aha, i gdybyś zapomniała, sześćdziesiąt na Dzień Pamięci. To już w poniedziałek. Asher chce przenocować w sobotę dziesięciu kolegów. To najgorsza pora, żeby jechać. - Koniec. Punkt. Jak w futbolu. - Powiem ci coś. Porozmawiamy o tym jesienią.

- A le jesienią są urodziny, Halloween i wakacje, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie. - Larissa spuściła głowę.

- To prawda. - Strata punktu. Szkoda.
- Nigdy nie jest dobra pora, żeby jechać.

Milczał, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami, przekazując jej wiadomość, że chyba sama odpowiedziała sobie na pytanie.

- Naprawdę chciałabym pojechać - powiedziała cicho.

- Wiem, Lar. A ja naprawdę chciałabym pojechać na Alaskę. Po college'u a przed ślubem byłem angielskim przewodnikiem w Himalajach. Chciałbym znów to robić. Chciałbym mieszkać w Rzymie - zawołał, wychodząc z jadalni, odwracając się tyłem do pytań, rozmowy, wbijając wzrok w pilota, przyspieszając kroku. - Będziemy mieli na to dość czasu, kiedy dzieci pójda do college'u. Wtedy oboje pojedziemy. Obiecuję. Teraz...

5

Zanim odejdiesz

Świat był tutaj, gdzie zaginęło serce, oddane innemu człowiekowi. Czyż nie w tym świecie pragnęła żyć? Czyż to nie było esencją jej krótkiej minuty na Ziemi? Odnaleźć miłość i trzymać się jej obiema rękami. Miłość to wszystko, czego potrzebujesz.

Miłość jest odpowiedzią. Właściwą.

No dobrze. Miłość była odpowiedzią.

Idź za głosem serca, za jego pragnieniem.

Łatwiej jest odejść, gdy jest się przygotowanym. Zbadaj możliwości. Wyjmij szkła kontaktowe na wypadek, gdyby balsam do opalania dostał ci się do oczu. Weź okulary.

Ubierz się wygodnie. Ubrania, które łatwo się wkłada i zdejmuje, są absolutną koniecznością. Luźne, w ciemnych kolorach, na których nie widać plam, są najlepsze. Z naturalnych włókien. Bawełna. Len. Jedwab.

Zjedz coś, ale nie za dużo. Nie chcesz być głodna, ale też nie możesz być zbyt najedzona. Świeże owoce. Może filiżanka kawy. Trochę sera.

Zabierz niewielką torbę. Mniej znaczy lepiej.

I najważniejsze...

Zostaw wszystkie cenne rzeczy.

CZĘŚĆ III

„WSZYSTKO MUSI ZNIKNAĆ”

Porzucić: zrezygnować, opuścić całkowicie, wyrzec się na dobre, dać za wygraną, zerwać wszelkie związki, zaprzestać kontaktów z osobą, której jest się winnym lojalność bądź wierność, odejść, poddać się.

A teraz coś z zupełnie innej beczki

W kablówce nadawali film *A teraz coś z zupełnie innej beczki* Monty Pythona. „To przerażające miasto. Nad ulicami, nad domami unosi się całun strachu”. Jared wyciszył telewizor. Siedział na kanapie, przerzucając telefon z ręki do ręki, i patrzył, jak gangi starszych pań napadają na osiemdziesięciolatków. Położył Michelangela spać, przeciągnąwszy ceremonię na tyle długo, by powiedzieć potem dobranoc dwójce starszych dzieci.

- Gdzie jest mamusia? - zapytał Michelangelo w ten niezwykle piątkowy wieczór. Jared nie potrafił mu odpowiedzieć.

Nie wiedział, co myśleć. Gdyby któregoś z jej samochodów nie było na podjeździe i w garażu, brałby pod uwagę wypadek. Ale oba stały w posępnym bezruchu z zimnymi silnikami. Gdyby znalazł liścik o treści: „Pojechałam odwiedzić matkę” albo „Pojechałam spędzić weekend w Lillypond” - też miałby jasność. Czy mogła pojechać do Che? Nie, jej paszport został w domu, w czerwonej teczce, w której trzymali wszystkie ważne dokumenty. Świadeństwo ślubu. Akty urodzenia dzieci. Legitymacje ubezpieczeniowe. Paszporty. Jej leżał tuż obok jego, wyrobiony, kiedy planowali polecieć do Paryża na piętnastą rocznicę ślubu, ale musieli zrezygnować w ostatniej chwili, bo Asher dostał wirusowego zapalenia płuc. Za dwa tygodnie, piętnastego czerwca, przypadnie dziewiętnasta rocznica.

O jedenastej wieczorem zadzwonił do Ezry i Maggie.

- Maggie, przepraszam, że dzwonię tak późno, ale...

Przyjechali natychmiast. Usiedli w kuchni, Ezra zrobił dla wszystkich dżin z tonikiem, a Maggie zaparzyła herbatę.

- Margaret! Nikt nie będzie pił herbaty z dżinem. Przestań!

- Zrobiłam dla siebie.

Siedzieli przy granitowej wyspie i wpatrywali się w siebie pustym wzrokiem.

- Co się mogło stać? - zapytała Maggie. - Może miała wypadek?

- Coś musiało się stać - odparł, kiwając głową, Jared.

- Gdzie jest jej torebka?

- Przy wejściu. I o ile wiem, niczego nie brakuje. Portfel, kluczyki od samochodu, karty kredytowe. Kosmetyczka. Egzemplarz *Świętej Joanny*. Słuchawki.

- Prawo jazdy? - zapytała Maggie.

- Jest.

Ezra przerzucał *Świątą Joannę*, by sprawdzić, czy nie podkreśliła czegoś niezwykłego. Poirytowany Jared machnął rękami, jakby obronnym gestem rozłożonych dłoni chciał strącić ze stołu niepotrzebne detale.

- Ezra, proszę cię. Może zostawiła list, a my go nie zauważyliśmy? Szukali. Przeszukali cały dół domu.

- Może potracił ją samochód. Może poszła na przechadzkę i potracił ją niedaleko Summit - powiedział Jared.

Przyglądali się sobie nagle pobledli.

- Potracił? - szepnęła Maggie.

- A co innego mogło się wydarzyć? - Jared nie chciał im powiedzieć, że dzwonił już do szpitala Overlook, znajdującego się w odległości zaledwie pół mili, i powiedziano mu, że na oddział ratunkowy nie przyjęto w piątek żadnej kobiety bez dokumentów. Jeśli więc została potracona, nie mogło się to stać blisko domu.

- Myślę, że nie mamy wyboru - powiedział w końcu Ezra. - Musimy zadzwonić na policję. Nie możemy ignorować faktów: jest prawie północ, a ona nie wróciła do domu.

- I przez cały dzień w nim nie była.

- Tego nie wiemy. Kto odebrał Michelangela ze szkoły?

- Był umówiony z dziećmi Tary. To ona go odebrała.

Ezra i Maggie patrzyli na siebie w milczeniu.

- Nie pokazała się na próbie - powiedział Ezra - i załatwiła, żeby ktoś odebrał Michelangela ze szkoły?

- Co ty wygadujesz? - zapytał Jared. - Co ma jedno z drugim wspólnego?

- Zadzwoń na policję - powiedziała Maggie.

Jared wybrał numer 911, ale odwrócił się tyłem do przyjaciół na wypadek, gdyby stracił panowanie nad sobą. I tak był tego niebezpiecznie bliski. Całą sytuację otaczała mgiełka surrealizmu, znieczulająca jak igła z lidokainą przebijająca się przez jego brak zrozumienia.

- Słucham pana - odezwał się kobiecy głos. - Proszę powiedzieć, co się wydarzyło.

Przez chwilę skołowany, doszedł szybko do siebie.

- Moja żona zginęła - powiedział.

- Jak długo jej nie ma?

- Uch... - Nie mógł racjonalnie myśleć, nie potrafił policzyć. Czy rozmawiał z nią dzisiaj? Nie. Nie rozmawiali. Która jest teraz godzina? Północ. - Czternaście godzin? Piętnaście?

- Przyjmujemy zgłoszenia o zaginięciu po upływie czterdziestu ośmiu godzin. Jeśli pańska żona nie wróci, proszę zadzwonić.

- Czterdzieści osiem godzin? - Jared był przerażony. Czterdzieści osiem! A jeśli potracił ją samochód? Nie, nie. - Nie mogę czekać tak długo. Dzieci...

- Czy dzieci też zginęły?

- Nie, ale... czy może pani przysłać do mnie patrol? Może detektywów? Naprawdę muszę...

- Proszę podać adres.

Po dziesięciu minutach przed jego drzwiami stanęło dwóch oficerów w cywilnych ubraniach. Błysnęły odznaki. Detektywi Finney i Cobb. Obaj byli w średnim wieku, ubrani w garnitury; Cobb był nieco młod-

szy i bardziej krępy, z apatycznym wyrazem oczu. Finney, z dużym brzuchem, wyglądał, jakby sporo pociągał. Był piątkowy wieczór, zachowywali się, jakby oczekiwali najgorszego, bo już to widzieli. Co było najgorsze? - zastanawiał się Jared, prowadząc ich przez hol na tyłach domu, obok pralki i suszarki, do kuchni.

Zaproponował im coś do picia, lecz odmówili i potem stali w piątce w słabo oświetlonej kuchni, z białymi szafkami, szklanymi drzwiczkami, karafkami i szklankami, oświetleniem pod szafkami, blatami z czarnego granitu; nieskazitelny porządek lśniący w miękkim żółtym świetle lampek. Jared powiedział im wszystko, co wiedział, czyli niewiele, a oni słuchali i niewiele mówili. Pierwsza rzecz, o którą zapytał Cobb, brzmiała:

- Kiedy ostatnio widział pan żonę?
- Dziś rano.
- Dzieci też ją widziały?
- Tak. Jak co rano. Szykowaliśmy się do wyjścia.
- Kto zawozi dzieci do szkoły?
- Ona.
- I nie wydarzyło się nic dziwnego?

Jared zmarszczył brwi.

- Co na przykład?
- Nie wiem. Dlatego pytam.
- Nie, nic. Pocałowała mnie. Powiedziała, że odbierze moje koszule. Pospieszała dzieci.

Cobb zapytał, czy Jared dzwonił do najbliższego szpitala. A do rejonowego? Nie, odparł Jared. Zadzwonili do Morristown Memorial i dowiedzieli się, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie przyjęto żadnej niezidentyfikowanej kobiety.

- A zidentyfikowane? - zapytał Ezra. Czy przyjęto kogoś z obrażeniami, które uniemożliwiały pacjentowi wykonanie telefonu do domu? Może odcięte ręce? Amnezja?

Jared poderwał się. Może o to chodziło. Może jego żona została potrącona przez niewielki pojazd i nic strasznego się nie stało, tylko straciła pamięć i nie mogła zadzwonić do domu. Pogryzła się we mgłę

amnezji. Nawet nie wiedziała, że jest piątek. Nie wiedziała, kim jest, nie pamiętała swojego nazwiska. Więc wyszła na drogę i zaczęła iść przed siebie.

Odpowiedź Cobba przerwała jego rozmyślenia. Brak niezidentyfikowanych kobiet oznaczał zero kobiet, a nie kobiety z amnezją.

- Ale może nie przyjęto jej do szpitala? - zapytał z nadzieją.

Czy rzeczywiście liczył, że została potrącona, ale nie zabita i nie przewieziono jej do szpitala? A teraz snuje się po Short Hills, niczego nie pamiętając?

- To mało prawdopodobne, proszę pana - powiedział Cobb.

- Mało prawdopodobne jest również to, że mojej żony nie było w domu przez cały dzień, nie zadzwoniła, zostawiła torebkę, portfel i kluczyki od samochodu - odparł Jared. - Co innego mogło się jej przydarzyć?

Cobb powiedział, że mogła zostać porwana. Czy w domy były jakieś ślady walki?

- Porwana! Walka! - Tylko podniesiony głos Jareda wskazywał, jak bardzo jest poruszony. - Nie, nie było żadnej walki. - Nawet o tym nie pomyślał. A to było możliwe. Wpuściła kogoś do domu? - Kto mógł ją porwać? I po co?

- Do porwań dochodzi codziennie z różnych powodów. Może okup? Gdzie pan pracuje?

- W Prudential - odparł poirytowany Jared. - Jeśli porwali ją dla okupu, czy nie zadzwoniliby w ciągu tych czternastu godzin? Co to za fikcyjne porwanie, jeśli nawet o nim nie wiem?

Cobb i Finney zgodzili się, że to dziwne. Mimo to nie wykluczali takiej ewentualności ani wielu innych, sądząc po konsternacji malującej się na ich twarzach. Stali na środku kuchni i patrzyli nieufnie. Jared nie miał pojęcia, dlaczego przyglądają się *jemu*.

- Zwykle zawsze wiem, gdzie jest - powiedział. - Nigdy nie wychodziła z domu w piątek wieczorem. I nie mam na myśli, że działo się to rzadko albo czasami. Nigdy. Musiało się wydarzyć coś strasznego.

Otyły Finney skinął głową. Apatyczny Cobb nie.

- Naprawdę? - zapytał z naciskiem.

- C o ?

- Naprawdę zawsze pan wie, gdzie jest pańska żona?

Jared siłą powstrzymywał się, by nie podnieść głosu, nie zrobić kroku do przodu, nie stracić panowania nad sobą.

- O co pan pyta?

- Proszę się nie denerwować. Zadaję proste pytanie. Pan jest przez cały dzień w pracy, a ona tutaj.

- Nie majej tutaj. Gdyby była, nie dzwoniłbym do was.

Wreszcie zaczęli zapisywać informacje w małych notesach. Wiek, wzrost. Znaki szczególne. Kolor włosów. Atrakcyjna? Tak, odparli Ezra, Maggie i Jared. Co miała na sobie? Jared nie wiedział. To zależało od tego, gdzie się wybierała. Bez torebki i portfela. Czy mogła w coś wejść, wbiec? Z jakiegoś powodu powracał do tej możliwości, że wyszła na spacer i potrafił ją samochód. Ale z drugiej strony... kobieta nie mogła zostać potrącona w środku przedmieścia, żeby nikt tego nie zauważył.

Może wyszła na szybki spacer, może pobiegać i... I co? Jak dokończyć to zdanie?

...dostała ataku serca, upadła i umarła? Może to był udar? Kiedy nadejdzie ranek, pójdzie jej poszukać w lesie koło pola golfowego.

Nagle odezwał się Cobb, wyrwijąc Jareda z rozważania o poważnej atakiem serca Larissie.

- Ktoś mógł ją zabrać. I wywieźć z New Jersey. Do Nowego Jorku? Pensylwanii? Mogła ulec wypadkowi gdzie indziej. Albo i nie. - Zamknął z traskiem notes. - Może być wszędzie.

Jared uchwycił się pierwszej części wypowiedzi Cobba. Wszystkie jego wcześniejsze wysiłki rozbiły się o pustą ścianę jej nieobecności. A teraz Cobb powiedział coś, czego Jared nie wziął pod uwagę.

- Kto ją zabrał?

- Nie wiem, proszę pana - odparł Cobb. - Nie znam pańskiej żony. Finney zakaszlał cicho.

- Czy mieliście jakieś problemy małżeńskie?

- Co takiego? Nie! Co wy wygadujecie? Problemy małżeńskie? Jakie problemy sprawiłyby, że żona zniknęłaby w ten sposób? - odwrócił się do Maggie. - Maggie, mówię prawdę?

Maggie pokręciła głową.

- Nigdy nie mówiła ani słowa - zawiesiła głos. - O niczym. - Poprawiła się lekko na krześle. Zauważyli to Finney i Jared. Także Ezra, który wbił wzrok w swoje napięte dłonie.

- Ostatnio - dodała Maggie - wydawała się bardziej podenerwowana niż zwykle. To nie było normalne.

- Podenerwowana? - powtórzył z niedowierzaniem Jared. - Co to znaczy? Co to ma wspólnego z dzisiejszym dniem, wieczorem?

- Nie wiem - odparła Maggie. - Nic? Wszystko? Tylko mówię. To było niezwykłe. A o to pytał oficer.

- Jej zdenerwowanie podczas waszych lunchów nie przekłada się na porwanie z jej własnego domu, prawda? Ani na upadek po wylewie?

- Jakim wylewie? - zapytał podejrzliwie Cobb i wtedy Jared uświadomił sobie, o co chodzi: Oni mogą myśleć, że to ja mam z tym coś wspólnego. *Muszą* tak myśleć. Dlatego tak na mnie patrzą. Jakbym coś jej zrobił. O Boże.

Jared wycofał się. Dosłownie zrobił krok do tyłu, opuścił ramiona, przygarbił się zamilknął. Nic więcej nie było do powiedzenia. W rozpaczy zadzwonił do nich po pomoc, a oni przyglądali mu się podejrzliwie. Jawna niesprawiedliwość paliła go w oczy.

- Moja żona zaginęła - powiedział cicho, nie zwracając się do nikogo w szczególności, marząc, żeby wszyscy wyszli z jego domu. - Jesteście tutaj, bo was wezwałem. Nie wiedziałem, co robić. Nadal nie wiem. Możecie mi pomóc czy nie?

Najwyraźniej jeszcze nie mogli. Ale dali mu wizytówkę i przed wyjściem powiedzieli, żeby złożył oficjalne doniesienie o zaginięciu w niedzielę rano, jeśli do tego czasu Larissa nie wróci.

Resztę nocy Jared przesiedział na kanapie na dole, bo nie był w stanie iść na górę do sypialni. Musiał zasnąć przed świtem, lecz wydawało mu się, że spał tylko kilka minut, zanim Michelangelo zszedł na dół i poklepując Riot śpiącą u stóp Jareda, zapytał:

- Tato, gdzie jest mamusia?

Była dopiero siódma. Jared wsypał trochę płatków do miski syna, nalał mleka, pogładził go po głowie. Potem posadził go przed telewi-

zorem i wciąż we wczorajszym ubraniu wyszedł na Bellevue, skrzyżnię w stronę pola golfowego i szedł powoli między domami, szukając czegoś, co mogłoby go przybliżyć do jakiejś wskazówki. Był rześki majowy poranek. Pachniał nadchodzącym latem. Dęby kwitły, czerwone niecierpki drżały na wietrze, było pięknie. Cicha ulica, majestatyczne góry w oddali. Czego szukał? Przeszedł pół mili do głównej drogi, rozejrzał się w lewo i prawo, odwrócił się i ruszył z powrotem Bellevue. Nie znalazł niczego. Znow ruszył przed siebie, tym razem wolniej. Przeszedł tę samą odległość trzeci raz. Kiedy dotarł do Summit Avenue, nie wiedział, dokąd iść dalej. Na prawo znajdowało się Summit, ale co mu po mieście? Nie zabrała ze sobą pieniędzy! Nie poszłaby przecież piechotą do Summit. Próby sztuki miała w przeciwnym kierunku. Musiała wsiąść do jaguara i pojechać tam, gdzie czekali na nią ludzie. Nie zrobiła tego. Dlaczego? Jared odwrócił się i po raz czwarty ruszył w stronę domu. Było już po ósmej, nie było go w domu godzinę. Tara w szlafroku szła podjazdem po gazetę. Mieszkała w dużym czarno-białym domu w stylu Tudorów dwa domy od Starków. Pomachała mu.

- Dzień dobry, Jared. Piękny poranek, prawda?

- Taro - zaczął, podchodząc w jej stronę. - Widziałas Larisę?

- A l e kiedy? Dzisiaj?

- Wczoraj.

- Rozmawiałam z nią - odparła wesoło. - Zadzwoń, żeby potwierdzić datę premiery sztuki, i zapytała, czy mogłabym odebrać Michelangela ze szkoły razem z Jen. Powiedziałam, że oczywiście.

- O której to było godzinie?

- Wcześniej. O dziewiątej? Może o dziesiątej?

- Zwykle to ona go odbierała?

- Tak. Ale powiedziała, że ma coś do załatwienia i może się spóźnić.

- C o ?

- Nie mówiła. Dlaczego pytasz? Wszystko w porządku?

- Nie wiem - odparł. - Nie wiem, co myśleć. Nie widziałas jej więc wczoraj przez cały dzień?

- N i e . Poczekaj. Widziałam ją przez chwilę.

Przestał oddychać, chwytając się słów Tary, starając się słuchoać.

- Jechałam samochodem z Jess, a ona szła Bellevue. Pomachałam do niej.

- Szła Bellevue?

- Tak. Tutaj, przed moim domem. - Tara wskazała na ulicę biegnącą wzdłuż pola golfowego. - Często to robi. Wyglądała, jakby szła na szybki spacer. Ale bez Riot.

- Miała wolne ręce? Czy niosła torebkę?

- J e z u , nie pamiętam. Dlaczego pytasz? Ale poczekaj, wydaje mi się, że coś niosła, jakby ciemną torbę, może worek. Dlatego raczej nie wyglądało to na spacer, bardziej jakby dokądś zmierzała.

- Co miała na sobie?

- Nie wiem, Jared. Przykro mi. Może dzinsy.

Jared wpatrywał się w Tarę przez niekończącą się chwilę. Poczują się nieswojo.

- Co się stało?

- Larissa nie wróciła wieczorem do domu - powiedział pustym głosem. - Nadal jej nie ma. Boję się, że stało się coś straszego.

- Nie, nie, wydawało się, że wszystko jest w porządku - odparła nerwowo Tara. - Kiedy do mnie zadzwoniła, była spokojna, jak zawsze. Mój Boże. Myślisz, że zdarzył się jakiś wypadek?

- Możliwe. O której godzinie ją widziałaś?

- To było niedługo po naszej rozmowie. Może o wpół do jedenastej? Za kwadrans jedenasta? Tak, pewnie bliżej jedenastej, bo o jedenastej miałyśmy jechać z Jess do lekarza i wsadzałam ją do samochodu. Przejechałam obok Larissy, otworzyłam okno od strony pasażera i pomachałam do niej. Też do mnie pomachała. Zapytałam, czy trzeba ją podrzucić. Odparła z uśmiechem, że nie. To wszystko. Wydawało się...

Jared odszedł; nie miał nic więcej do powiedzenia.

W domu Emily już się obudziła, Asher jeszcze spał.

- Em, zadbaj o wszystko - powiedział. - Niedługo wrócę.

- Dokąd się wybierasz? Dopiero co wróciłeś! O jedenastej mam trening siatkówki.

- Wrócę wcześniej.

- A s h e r ma play-offy o wpół do dwunastej.

- Dużo wcześniej.
- Michelangelo chodzi z mamą na plastykę o dziesiątej.
- Dzisiaj raczej będziemy musieli zrezygnować z plastyki - odparł. - Spróbujemy w przyszłym tygodniu.

Jechał powoli Bellevue, skręcił w prawo w Summit i ruszył w stronę miasta. Jeździł małymi uliczkami, minął szpital, bibliotekę i stację kolejową, minął knajpki i klasztor dominikanek. Czy mogła tam być? Okrążał miasto, próbując zmierzyć się z dystansem, który oddzielał go od Larissy. Co mówił święty Augustyn? W college'u Jared chodził na kurs z jego filozofii. Pamiętał choć jedną rzecz? *Czy nie wierzysz, że istnieje w człowieku głębia tak potężna, że ukryta jest nawet przed tym, w którym się znajduje?*

Ulice są nieskazitelne, zamiecione do czysta. Wszystko jest na swoim miejscu. Kosze na śmieci w przepisowej odległości piętnastu metrów. Flagi na masztach. Nic nie jest zardzewiałe ani odrapane. Okna sklepów lśnią czystością, wystawy są wzorowe, podobnie jak kocie łby, czyste chodniki, zadbane, zalane słońcem parki. Wszystko wygląda jak z obrazka. Jak ich dom, kiedy oświetlają go bożonarodzeniowe światełka, a na choinkach leży śnieg.

Stracił poczucie czasu i wrócił do domu dopiero w południe. Emily wychodziła z siebie. Asher, mniej pobudliwy, a bardziej praktyczny, zadzwonił do kolegi i załatwił sobie transport na mecz. Z poczuciem, że poniósł porażkę na wszystkich frontach, Jared zabrał marnie ubranego Michelangela i pojechał na boisko baseballu na przedmieściach, gdzie stał za siatką i kiedy inni rodzice klaskali lub krzyczeli, klaskał i krzyczał. Michelangelo bawił się na placu zabaw. Jack, Frank i Ted rozwodzili się nad wielkim talentem Ashera do rzucania i okropnych miotaczach Yankees. Nie słyszał niczego i słyszał wszystko. Nie wiedział, jak zdołał ustać na nogach. Podczas piątego inningu, gdy drużyna Ashera remisowała i cały sezon wisiał na włosku, Jared zadzwonił z trybun do matki Larissy.

- Nie, nie miałam od niej żadnych wiadomości - powiedziała Barbara. - A l e czy to coś niezwykłego? Nigdy do mnie nie dzwoni. Wszystko w porządku?

- Tak. W największym.
- Zaprosiła mnie na grilla w poniedziałek. Chcesz, żebym coś przywiozła?

- Jakiego grilla?

- Jak to jakiego? Przyjęcie, które wydajecie w Dzień Pamięci! Jared, co się z tobą dzisiaj dzieje?

O cholera, grill.

- A c h , tak. Dzięki wielkie. Możesz przywieźć trochę tej swojej sałatki ziemniaczanej?

- Zawsze przywożę. Powiedz dzieciom, że mam dla nich coś specjalnego.

- Będą zachwycone. Dzięki, Barbaro.

- Do zobaczenia w poniedziałek. O trzeciej?

- Świetnie.

Kiedy skończył rozmawiać, drużyna przeciwna zdążyła zdobyć cztery punkty. Jared głośno zaklaskał. „Tak jest! Do przodu, Wildcats!”. Tyle tylko, że stał pośród ponurych rodziców, którzy buczeli, a nie klaskali. Syn rzucił mu rozgniewane spojrzenie z boiska, jakby chciał powiedzieć: „Co się z tobą dzieje, tato?”.

Rzeczywiście, co się z nim dzieje. Która godzina?

Pierwsza.

O Boże.

Kiedy wrócił do domu, na podjeździe stało subaru Ezry, a wściekła Emily właśnie wypadła przez boczne drzwi, gotowa go ochrzanić, lecz zanim otworzyła usta, Jared chwycił ją za ramiona.

- Emily - syknął przez zaciśnięte zęby, bo nie chciał zdenerwować Michelangela, który nadal siedział w samochodzie - rozejrzyj się wokół siebie i zobacz, co się dzieje. Twoja matka zaginęła! Zauważyłaś? Nie chcę słyszeć już ani jednego słowa, chyba że będziesz chciała mi pomóc. Nie chcę słyszeć o meczach, na które nie pojechałaś, o wionolenzeli, siatkówce, o niczym. Twoja. Matka. Zaginęła. Rozumiesz?

Nigdy tak do niej nie mówił. Dyscyplinę pozostawiał Larissie.

- Wiem - odparła ponuro, lecz bez szczególnego współczucia. - Ale wróci, prawda?

Najwyraźniej uważała, że to, co się dzieje, wygląda samo jak większość spraw dorosłych, lecz trening siatkówki bez jej udziału był katastrofą nie do naprawienia. Jared przytrzymał drzwi samochodu dla Michelangela i o mało co nie przyciął mu ręki.

Ezra i Maggie siedzieli w kuchni.

Z nieobecny wyrazem twarzy powtórzył im, co powiedziała mu Tara. Nie powiedział, że stał w Summit na środku ulicy i słuchał zamierzającego mu w gardle krzyku. Gdzie ona jest? Co się stało? Bał się, że pomyślał, że traci zmysły.

Kiedy w końcu minie te czterdzieści osiem godzin? Będzie mógł zgłosić doniesienie o zaginięciu Larissy, ale dlaczego miałyby chcieć znów oglądać Cobba i Finneya z ich zimnymi oczami i domniemaniem sam już nie wiedział czego. Co innego mógł jednak zrobić?

Maggie i Ezra przywieźli Dylana, który razem z Emily zaopiekował się Michelangelem, podczas gdy Maggie dzwoniła do przyjaciół, prosząc, by rozpuścili wieści, że z powodu niespodziewanych okoliczności impreza w Dzień Pamięci została w tym roku odwołana. Zadzwoiła nawet do matki Larissy.

- Mówisz, że mam nie przyjeżdżać? Ale dopiero co rozmawiałam z Jaredem, który prosił, żebym przywiozła sałatkę ziemniaczaną!

- Bardzo mi przykro, pani Connelly. Wszyscy czujemy się trochę nieswojo. Larissa niebawem się z panią skontaktuje.

Detektyw Cobb zadzwonił o trzeciej. Wróciła? Nikt w okolicznych szpitalach ani na posterunkach nie ma żadnych informacji. Powiedział, że kiedy złożą zawiadomienie o zaginięciu, istnieje szansa, że do akcji wkroczy FBI, podejrzewając międzystanowe przestępstwo.

Międzystanowe? Przestępstwo? Jared odłożył słuchawkę. Bolały go ręce, głowa i oczy. Ezra zrobił mu drinka. Maggie coś dojedzenia. Nie jadł jednak ani nie pił.

- Nie rozumiem, co mogło się stać - powtarzał. - Po prostu nie rozumiem. Jest jakieś wyjaśnienie? - Podniósł wzrok i dłonie.

Ezra pokręcił głową i w zdumieniu uniósł ramiona.

- Co ma jakiś sens?

- Nic. - Wymienili z Maggie spojrzenia.

- Co? Boicie się czegoś? Coś podejrzewacie?

- Niczego nie podejrzewam. - Ezra wziął głęboki oddech. - Ale w środę, gdy jedliśmy lunch, Larissa była niezwykle poruszona. Zupełnie do siebie niepodobna. Nawet nie tknęła jedzenia. Wtedy niewiele o tym myślałem, ale teraz jest inaczej. Zadawała mi osobliwe pytania.

- Jakie?

- Czysto hipotetyczne. Miały jej pomóc rozwiązać problemy uczniów.

- Na przykład?

- Czy istnieje dobro i zło? Jak można dokonać wyboru? Jak się powstrzymać przed popełnieniem czegoś złego? Czy istnieją tu jakieś absoluty, czy to tylko kwestia perspektywy? Pytała o Jezusa. I Epikura.

- Co jest w tym osobliwego?

- Skąd wiesz, co robić, pytała, jeśli nie wierzysz w Boga? Czego się trzymasz? Co jeszcze masz? Poza doświadczeniem, zdrowym rozsądkiem?

Jared chciał zmieść wszystkie szklanki z wypsy; powstrzymał się tylko ogromnym wysiłkiem woli, przypominając sobie o synku siedzącym na dole. Nie chciał go wystraszyć.

- Co ty, do cholery, wygadujesz? - zapytał. - Co to ma wspólnego z tym wszystkim?

- Nie wiem, stary - odparł Ezra. - Ale prosiła mnie o pomoc w podejmowaniu trudnych życiowych decyzji, a teraz jej tu nie ma. Może to tylko zbieg okoliczności.

- Masz cholerną rację, to tylko zbieg okoliczności. Przerzucaliście się tymi bzdurami przez dwadzieścia lat. Religia, epikureizm, zasady wymowy, nic tylko gadacie o tych bzdetach. Wymienialiście się słowami jak uściskami dłoni. Jeśliby myśleć tak jak ty, można by wnioskować, że skoro obudziła się rano i umyła zęby, a teraz jej nie ma, to ma to coś wspólnego z marką pasty do zębów!

Maggie próbowała go uspokoić. Ezra patrzył jednocześnie z urazą i współczuciem.

- Jej pytania brzmiały dość rozpaczliwie. - Spuścił wzrok na swoje dłonie, zacisnął je w pięści i przycisnął do oczu.

- Widzisz to dopiero teraz!
- Bardzo schudła.
- Naprawdę, Jared - powiedziała Maggie, gładząc go po plecach. Chciał się wyrwać. Jej dotyk stał się nagle bolesny, bezbożny.

- Minutę temu nie potrafiliście sobie wyobrazić, co się stało. Teraz nagle traci na wadze i zadaje pytania? I dlaczego mówicie o niej w czasie przeszłym?

Zanim Ezra zdążył odpowiedzieć, do kuchni wszedł Michelangelo. Był głodny. Maggie zrobiła kanapki dla wszystkich. Dzieci siedziały w jadalni. Asher się nie odzywał. Był zły, że przegrali mecz? Jared nie wiedział. Sam też milczał. Nie wiedział, co powiedzieć dzieciom. Wszystkie dyplomy Ezry, wszystkie lata, które Maggie przepracowała w szkole, wszystkie talenty Jareda do inwestycji nie mogły im pomóc w rozwiązaniu tajemnicy zaginionej matki.

* * *

Trzecia godzina przeszła w czwartą, czwarta w piątą i nagle, ponieważ zapomnieli odwołać spotkanie, rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wkroczyli Bo i Jonny z butelką wina i pudełkiem canolli na sobotnią kolację. Weszli uśmiechnięci do kuchni i uśmiechy zamarły im na ustach, kiedy zobaczyli wyraz twarzy Jareda, Ezry i Maggie. Jared zaczął się zastanawiać, kogo jeszcze zapomnieli zawiadomić i kto zjawi się w poniedziałek, spodziewając się wspaniałego przyjęcia.

Maggie pociągnęła Bo do kąta.

- Larissa zaginęła - szepnęła (tak jej się przynajmniej wydawało).
- Zaginęła? - powtórzyła Bo (głośno). - Co masz na myśli?
- A co można mieć? - powiedział Jared. - Zaginęła. Nie wiemy, jak to inaczej wytłumaczyć.

Zapadła chwila ciszy.

- Dlaczego nie zadzwoniliście?
- Dzwoniłem - odparł Jared. - Pamiętasz? Dzwoniłem wczoraj do ciebie i pytałem, gdzie ona jest. Powiedziałaś, że jej nie widziałas.
- A c h - szepnęła Bo, a jej brązowe oczy zaszyły łzami. Błądziła

wzrokiem po kuchni w sposób, który wydał się Jaredowi irytujący; była taka opanowana! Jak można zachować taki spokój? Jeśli to właśnie nie była pora na krzyk, wymachiwanie rękami, to kiedy? Czy nie było niczego, co nie zostałyby zdezynfekowane, utrzymywane pod kontrolą? Żyli w domach, w których panowała stała temperatura dwadzieścia dwa stopnie, bez wiatru, insektów, zawsze wygodnie. Lodówka z temperaturą siedmiu stopni, zamrażarka minus dwóch, wszystko czyste i wymuskane. Chciał jęknąć. Wydać z siebie głęboki dźwięk oznaczający niekontrolowaną rozpacz.

Ktoś dotknął jego pleców, ktoś inny podał mu piwo, jeszcze ktoś go poklepał. Ktoś wypuścił Riot i ktoś zamówił chińszczyznę, bo dzieci i żołnierze zaginionej musieli jeść. Przywieziono kurczaka lo mein, krewetki z sosem z homara, smażone pierożki. Jared, który nic nie jadł przez cały dzień, spojrzał tylko na jedzenie, poczuł zapach sosu sojowego i popędził do łazienki, by wymiotować pustkę w żołądku. Później wcale nie poczuł się lepiej. Żółć stale podchodziła mu do gardła.

- Nie mogę myśleć - powiedział, kiedy zjedli kolację i dzieci zniknęły z Dylanem. - Nie potrafię sobie tego poukładać. Zupełnie jakby czegoś mi brakowało. - Poza moją żoną. - Jakby gdzieś zchaił się jakiś kawałek układanki, którego nie widzę.

Znów ta piekielna układanka! Brakujący kawałek stał się brakującą żoną.

Na twarzach zaniepokojonych przyjaciół szukał pociechy, odpowiedzi. W oczach Ezry dostrzegł kolejny atak epikureizmu i rzucił:

- Ezra, to nie jest teoretyczna dyskusja o materializmie przy kawie.
- Nie uważam, by była teoretyczna, stary - odparł posępnie.
- Nie obchodzi mnie, że była błada i nie miała apetytu. Powiedz mi, co myślisz. Mogła umrzeć?

Poruszony Ezra zgodził się, że to możliwe.

- Została porwana?

To wykluczylili.

Idealnie. Komitet zastanawia się, co przydarzyło się Larissie.

- Niech ktoś coś powie. Co jeszcze?

Dylan położył Michelangela spać, a Jared posadził starsze dzieci

przed telewizorem, zanim ktoś zdążył odpowiedzieć na jego pytanie. Osobą tą okazał się Ezra.

- Stary - zaczął ciężko - czy to możliwe, że cię opuściła?

- Opuściła i dokąd pojechała?

- Nie o to mi chodzi... - Ezra urwał i spojrzął na Maggie, jakby szukając w niej siły. Potem spojrzął na Jareda, szukając w nim zrozumienia bez słów. - Po prostu opuściła.

Jared wyprostował się na krześle.

- Opuściła i odeszła?

Ezra skinął głową.

Teraz to Jared spoglądał na twarze Maggie, Bo, Jonny'ego.

- Wy mi powiedzcie - rzucił w końcu. - To możliwe?

Po przejmującej chwili ciszy wszyscy zgodzili się, że nie.

- To nieprawdopodobne - naprowadzał ich. - Zgadzacie się?

Po kolejnej strasznej chwili milczenia przyznali, że to nieprawdopodobne. A jednak... nigdzie nie było ani śladu Larissy.

- Dlaczego miałyby mnie opuścić? - zapytał Jared.

Milczeli.

- Chodzi wam o to, że mnie porzuciła czy... porzuciła mnie dla kogoś innego? - dokończył prawie ze śmiechem. Gdyby nie zniknęła, dokończyłby, śmiejąc się do łez.

- To się zdarza, stary - powiedział Ezra.

- Innym ludziom - odparł Jared.

Bo i Jonny utkwili wzrok w swoich drinkach.

- Nie. Zgadzam się z Jaredem - powiedziała zdecydowanie Maggie. - Nie Larissa. To nie do pomyślenia.

- Nie ma jej tutaj - odparł Ezra. - To również nie do pomyślenia.

- Poza tym coś bym wiedziała - ciągnęła Maggie. - Nie mogłaby utrzymać tego w tajemnicy przede mną. Ani przed Bo. Prawda, Bo?

Bo niepewnie kiwnęła głową. Chciała coś powiedzieć, lecz spojrzała na Jonny'ego i zmieniła zdanie.

- Zadzwoń do Evelyn - powiedziała Maggie. - Zadzwoń do Tary. Dory. Zadzwoń do którejkolwiek z jej przyjaciółek. Wszystkie powiedzą ci to samo. To niemożliwe.

- A jednak... - wtrącił Ezra.

- Przestań! - krzyknęła Maggie, wyrażając to, co chciał wyrazić Jared. - Przestań, Ezra! Tylko pomnażasz kłopoty. Dopóki nie będziemy mieć pewności, nie spekulujmy. To tylko pokaże, jaki jesteś śmieszny, gdy się okaże, że nie masz racji. - Odwróciła się do Jareda. - Jesteś pewny, że nie powiedziała ci, że wyjeżdża?

- Jak mógłbym zapomnieć coś takiego? Ona prowadzi ten dom. Jak mógłbym zapomnieć, że nie będzie jej tu w Dzień Pamięci, dla dzieci? - Dzieci! Jared pozwolił sobie na mały uśmiech. - Posłuchaj, Ezra, nawet jeśli to, co mówisz, mogłoby być prawdą, nawet gdyby mogła opuścić mnie, nie zostawiłaby dzieci. Mówimy przecież o Larissie.

- Tutaj masz rację, stary - powiedział Ezra. Dopił piwo i sięgnął po następne. Zmienił jednak zdanie i przytrzymał się Maggie, by wstać. - Mówimy o Larissie.

Zostali z nim tak długo, jak mogli. Ale w końcu musieli pójść. Niebawem minie czterdzieści osiem godzin bez żadnej wiadomości od Larissy.

- Musiała gdzieś zostawić jakiś list - powiedział Jared. - Na pewno go zważyło albo spadł na podłogę i zmiotłszy go do śmieci.

- A co było w tym liście? - zapytał Ezra.

- Może musiała na chwilę wyjechać, żeby pomyśleć.

- O czym?

- Nie wiem. - Jared zawiesił głos. Maggie wyszła z kuchni. Usłyszał, jak płacze na dole, a potem woła Dylana. - Naprawdę myślisz, że mogła mnie porzucić, Ezra? Ludzie tak nie odchodzą. Coś mówią. Pakują się. Zabierają dzieci. Tak nie postępują.

- Masz rację, jestem idiotą. Na pewno istnieje jakieś bardzo dobre wytłumaczenie.

- Ezra... - Jared stał, lecz czuł się tak, jakby osuwał się na podłogę. - Zostawiła mnie... dla kogoś innego?

- Nie wiem, stary. Bardzo mi przykro.

- A l e czy nic bym nie wiedział? To nie dzieje się w próżni, nie można czegoś takiego ukryć. Przecież bym wiedział! - wykrzyknął. - Pojawiłoby się mnóstwo znaków.

Ezra milczał.

- Co? Rozmawialiście o tym z Maggie wczoraj w nocy?
- O niczym innym. Położyliśmy się spać o wschodzie słońca.
- I co?
- Jakie co? Czy były jakieś znaki? Od miesiący była bardzo pode-nerwowana. Ale wiem, że podczas prób musisz być bardzo skoncentrowany, żeby wystawić nawet przeciętną sztukę.
- Ale czy mogła się aż tak ukrywać? Za sztuką, próbami?
- Możliwe. Maggie mówi, że od jakiegoś czasu Larissa nie interesowała się swoim życiem.
- Dopiero teraz to mówi!
- Nie, stary. Powtarzała to od jakiegoś czasu. „Coś jest nie tak - mówiła. - Jestem taka chora, źle się czuję”. A na drugi dzień Larissa nie pamiętała, co Maggie jej mówiła.

Zapłakana Maggie weszła do kuchni z Dylanem.

- Mówiłaś to, Maggie?
- T a k .
- A l e nie do mnie!
- Nie chcieliśmy się wtrącać. Zwłaszcza od zimy, kiedy wyglądała, jakby z trudem dawała sobie radę. Byliśmy pewni, że jakoś to sobie poukładacie.

Rozmawiali o tym, stojąc przy drzwiach z kluczykami w ręce. W końcu musieli wyjść i Jared znów został sam. Nie wiedział, jak przetrwa kolejną noc. Usłyszał hałas przy drzwiach wejściowych i szybko do nich podbiegł. To tylko wiatr. Usłyszał hałas przy drzwiach od tyłu i szybko tam pobiegł. To tylko Riot. Dzieci spały, w domu panowała cisza. Pomyślał o pastylkach nasennych Larissy. Powiedziała, że pomagają jej zasnąć; może jemu też się przydadzą. Ale bał się. Jeśli zadzwoni telefon, a on go nie usłyszy, jeśli przyjdą policjanci, a on nie będzie mógł z nimi rozmawiać? Jeśli dzieci będą go potrzebowały, a on będzie zamroczony lekiem? Nie mógł go wziąć.

Dlaczego Larissa zażywała ambien? Dlaczego nie mogła spać? Nie pytał. Powiedziała tylko, że ma kłopoty z zaśnięciem, i nie chciał, żeby miała problemy. Kiedy zaczęła lepiej spać, była weselsza i on też był szczęśliwy. Ale dlaczego nie mogła spać?

W domu panowała nieznośna cisza. Jared siedział na kanapie na dole. Włączył mecz, który wcześniej zamówił sobie w kablówce, i wyciszył dźwięk, potem pogłośnił niemal na cały regulator. Trzymał w dłoni piwo, wszystkie światła były wyłączone z wyjątkiem małych reflektorków w kuchni i migającego ekranu telewizora. Riot leżała u jego stóp.

Co się na Boga dzieje?

Wydawała się czasem podenerwowana, ale łagodnie, jakby myślała o sztuce, kwestiach i scenach. Zawsze taka była, gdy angażowała się w próby. To wcale nie było niezwykłe.

Ostatnio rzeczywiście schudła, trudno było tego nie zauważyć. Powiedziała, że jest zbyt zajęta, by jeść, zawsze gdzieś biegnie. Przed kilkoma tygodniami przy nim zjadła kawałek sernika i cytrynową bezę. Śmiali się, że sama niedługo będzie przypominać bezę.

Przestała robić zakupy, niczego nie kupowała. Czy to był dowód na niepokój w jej sercu?

Czy rzadziej się kochali? Jared tak nie uważał. Musiał jednak przyznać, że trochę rzadziej. Ale byli zajęci. Życie stawało im na przeszkodzie. Larissa nigdy o to nie prosiła, ale też nigdy mu nie odmawiała. Jeśli był zajęty i zmęczony i czasami wszystko działo się za szybko, to nie była jej wina, był to efekt ich pełnego i intymnego życia. Podczas wakacji i rocznicowych weekendów, latem w Lillypond, wynagradzali sobie z nawiązką utylitarne podejście do spraw intymnych. Żyli tak przez ostatnie szesnaście lat, od kiedy mieli dzieci. Czasami kiedy na nią patrzył, miała zamknięte oczy. I co z tego? On też zamykał. Była zbyt seksowna i czasami nie chciał otwierać oczu i się w nią wpatrywać. Całowała go, robiła wszystkie rzeczy, które robią dobre żony. Przygotowywała mu lunch i odbierała koszule z pralni, gotowała kolacje, ubierała i kąpała dzieci, była idealną gospodynią w sobotnie wieczory i pozwalała mu oglądać baseball bez (zbytniego) narzekania. Taka była zawsze i ostatnio. Nic w jej niedawnym zachowaniu nie sugerowało, że może prowadzić podwójne życie.

Z wyjątkiem... Dopiero kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, boleśnie odtwarzać szczegóły codziennego życia, odkurzać pamięć,

uświadomił sobie, że czasami naprawdę wydawała się bardziej podenerwowana niż zwykle. Ale z nim też trudno było pogadać, był tak zestresowany kryzysami w pracy, malejącymi zyskami, niezapłaconymi dywidendami, kapitalizacją, amortyzacją, że sam czasem nie widział, co leci w telewizji, chyba że to był mecz. Kiedy oglądali film, Larissa miała otwarte oczy, patrzyła w ekran, siedziała blisko niego i jadła popcorn, ale kilka miesięcy temu powiedziała do Ezry, że nigdy nie oglądała *Zoolandera*. A przecież oglądali go wszyscy kilka tygodni wcześniej w sobotę i pękali ze śmiechu, także ona. Dokuczali jej potem, a ona śmiała się zażenowana.

Ale to tylko jego wrażenia! Chwyta się brzytwy. Doug powiedział, że Kate zawsze zasypia na filmach. Czy to oznaka zdrady? Żona, która nie otwiera oczu, siedząc przed telewizorem? Która nie śmieje się z *Kronik Seinfeldal*

Pieniądze zostały na koncie. Wszystkie jej ubrania wisiały w garderobie. Ale z drugiej strony skąd mógł to wiedzieć? Mogła wziąć dwie pary dżinsów, spódnicę, pięć bluzek, dziesięć, pięć staników, dziesięć. I tak by się nie zorientował. Było prawie lato, zimowe ubrania zostały spakowane. Jej wiosenne kurtki wisiały w szafie w holu. Walizki stały w piwnicy. Przybory do makijażu i perfumy zostały na toaletce. Jej okulary do czytania! Nigdzie się nie ruszała bez okularów Versace, a te nadal leżały przy łóżku. Sprawdził.

Tara powiedziała, że niosła jakąś torbę. Ale to mogło być cokolwiek. Powiedziała, że szła, jakby dokądś zmierzała. Pomachała wolną ręką. Jak pomachała? - zapytał. Jakby się żegnała?

- Tak - odparła Tara. - Ale, Jared, ona naprawdę pomachała mi na do widzenia. I ja jej tak samo odmachalam.

Kiedy widział ją ostatni raz? W piątek rano. Był spóźniony, poszli późno spać, późno się obudzili; jedno wynikało z drugiego. W efekcie pocałował przelotnie dzieci, pocałował ją, chwycił kubek kawy, którą mu zaparzyła, powiedział: „Cześć, dzieciaki. Bądźcie grzeczne”, i wybiegł z domu. Pomachała do niego (na pożegnanie?) i powiedziała: „Miłego dnia, skarbie. Jedź ostrożnie”. Może nie zawsze mówiła „Jedź ostrożnie”. Może nigdy. Ale tak bardzo się spieszył. Była pochłonięta

otaczającym ją światem, na pewno nie rozkojarzona. Nalewała mleko dla Michelangela i uśmiechała do niego zza wyspy. Jej uśmiech był...

I znów pomyślał o tym dopiero teraz. W tamtej chwili nie zwrócił na nic uwagi. Teraz ożywił go, personifikował jej uśmiech, przydając mu atrybuty, których wtedy nie miał. Teraz wydawało mu się, że uśmiechając się, zalsniła, że miała wilgotne oczy, że patrzyła na niego dłużej niż zwykle, uśmiechała się do niego i przyglądała, jakby co? Jakby wiedziała, że więcej go nie zobaczy?

To absurdalne! Już wcześniej pytał Michelangela. Był takim wrażliwym chłopcem.

- Czy w piątek rano mamusia wydawała się jakaś inna?
- Jak to inna?
- Nie wiem. Ty mi powiedz.
- Nie. Była dokładnie taka sama. Przytulała mnie przez pięć minut.
- Naprawdę?
- A h a . Powiedziałem nawet: „Mamo, puść mnie, muszę iść czegoś się nauczyć”.
- I co ona na to?
- Nic. Powiedziała, że mnie kocha.
- To było niezwykle?
- Nie, tato - powiedział powoli chłopczyk. - Mama stale mówi, że mnie kocha.
- Oczywiście, synku. A wiesz, dlaczego to mówi?
- Bo mnie kocha? - rzucił wesoło i pobiegł, podskakując.

Przytulała Michelangela przez pięć minut. Miała wilgotne oczy, gdy machała na pożegnanie do Jareda i uśmiechnęła się. Nie pamiętała *Zoolandera*. Schudła. Przestała robić zakupy. No i mamy dowody, panie i panowie! Najwyraźniej ta kobieta rozważała to, co było nie do pomyślenia! Nie do wyobrażenia.

Czy w ogóle spał? Nie wiedział. To już druga noc, gdy nie poszedł spać do sypialni. Wziął prysznic w łazience dzieci, skorzystał z dez-

odorantu Ashera, nie golił się od piątku rano i miał okropny siwawy zarost, przez który wyglądał na starszego i zmęczonego, co zauważył Michelangelo. To on wstał pierwszy, wspiął się na kolana Jareda, włączył telewizor, potarł jego szorstkie policzki i zapytał:

- Tato, znów zasnąłeś przed telewizorem?
- Uwierzysz?

Michelangelo pocałował go, poklepał po piersi, zszedł z jego kolan, ale usiadł przytulony.

- Uwierzę, bo jesteś dziwny.

Jared spał płytkim snem zrozpaczonych, a jego siedmioletni syn oglądał cztery powtórkowe odcinki *Pełnej chaty*.

W niedzielę o dziesiątej rano zadzwonił do detektywów. Po przyjeździe przez godzinę przedzierali się przez wszystkie szczegóły dotyczące zgłoszenia o zaginięciu, jakie tylko przychodziły mu do głowy. Udawali, że mu się nie przyglądają, gdy zapisywali informacje. Ale nie mogli nic na to poradzić. Obaj nie spuszczały z niego wzroku, gdy Cobb zapytał:

- Na pewno nie mieliście żadnych problemów w małżeństwie?
- N i e - odparł Jared pokonanym głosem, bo Larissy nie było w domu. - Nic poza normalnymi sprawami.

- A co jest normalne?

- Nie wiem. Okazjonalne sprzeczki. Złe nastroje. Nic poważnego. Żadnych krzyków.

Z wyjątkiem tego dziwnego wieczoru w lutym, kiedy wydawało mu się, że Larissa traci kontakt z rzeczywistością, traci zmysły. Ale to minęło, było tylko krótkim odstępstwem od reguły. I wydarzyło się blisko cztery miesiące temu! Nie pojechała więcej do miasta farbować włosów, mimo że nalegał. Nie była już tym zainteresowana. Jared przestał mówić, był zmęczony.

Nadal nie spuszczały z niego wzroku.

- Mąż jest zawsze podejrzany - powiedział mu Cobb. - Zawsze. Ten ślad badamy jako pierwszy.

- Jak mogę być podejrzany? - zakpił Jared. - To ja zgłosiłem zaginięcie.

- Mąż zawsze zgłasza. Zawsze jest bardzo przejęty. Występuje w wieczornych wiadomościach i błaga o bezpieczny powrót żony. To on zawsze szuka, dzwoni do nas bezustannie, głośno żali się na jej nieobecność.

- Jak tak robież? Głośno się żalę? Dzwonię do was bezustannie?

- Szuka pan.

- Czy zwykle je znajdujecie?

- T a k .

Detektywi nic więcej nie powiedzieli, jakby cisza znaczyła najwięcej.

- Żywe?

- N i e .

- Ach. - Jared długo się zastanawiał. - Czy to mąż zwykle jest winny?

- Prawie zawsze, panie Stark.

Po tych słowach Jared zamilkł. Dobrze byłoby ją znaleźć. Jeszcze lepiej żywą. Udowodnienie im, że się mylą, byłoby dodatkową korzyścią. Ale nie to chodziło mu po głowie. Pojawiło się w niej pytanie, niejasne i bolesne, kryjące w sobie przerażenie nadchodzących dni, kładące się cieniem na reszcie jego życia.

- A jeśli...jeśli...

Jak to powiedzieć? Jak zapytać?

- Jeśli jej nie znajdziemy? - zapytał za niego Finney.

- Dzięki. Tak.

- Jak brzmi pańskie pytanie?

- Co się wtedy dzieje? W przeszłości, co się działo, jeśli minęły miesiące, a żona nie została odnaleziona? Czy tak kiedykolwiek było?

Zastanowili się.

- Dwa razy - powiedział Finney.

- I?

- Mąż odwołał poszukiwania.

- Mąż...?

- Zgadza się.

Zabawne. Bo Jared nie mógł sobie tego wyobrazić. Nawet gdyby chciał. Jak mógłby? To *zawsze* robili mężowie.

- Czy te dwie kobiety zostały w końcu odnalezione?

- T a k .

Znów zapadła ołowiana cisza.

- Żywe?

- N i e .

Jared próbował nie odetchnąć głęboko, zanim zadał pytanie.

- Winny?

- Jak pan myśli, panie Stark?

Ostatnie słowa usłyszał jasno i wyraźnie. To on był odpowiedzialny za zniknięcie Larissy.

* * *

O jedenastej na dół zesłała Emily w koszuli nocnej.

- Mama wróciła?

- Nie. - Jared nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. - Mogła pojechać odwiedzić swoją przyjaciółkę Che - dodał, bo chciał powiedzieć coś, co mogłoby ocierać się o prawdę. - Mogła polecieć na Filipiny. Ale Che nie ma telefonu, więc czekamy na jakąś wiadomość.

- Mama poleciała na Filipiny i się nie pożegnała? - Emily trafiła w samo sedno. Jej pełen niedowierzania ton odzwierciedlał cały absurd jego słów. - Tato, to śmieszne.

- Wiem.

- To po co znów przyjechała policja?

- Przyjechali sprawdzić. Zobaczyć, jak sobie radzimy. Powiedz mi, w piątek rano, kiedy widziałas mamę, wydała ci się dziwna?

- Nie. Byliśmy spóźnieni. Wypchnęła nas przez drzwi dziesięć po ósmej. Krzyknęła coś, co zabrzmiało podejrzenie jak „Kocham was”. Nie mogliśmy uwierzyć.

- Nie odpowiedzieliście jej?

- Nie. - Emily zawiesiła głos. - Zanim mnie wypchnęła z domu, mocno mnie przytuliła. Objęła ramionami. Pocałowała mnie w policzek. Powiedziałam: „Mamo, nie bądź dziwna. Co się z tobą dzieje?”.

- Mnie też próbowała pocałować - oznajmił Asher, wchodząc do

kuchni. - Ale jej nie pozwoliłem. „To obciach, mamó - powiedziałem. - Matki nie całują czternastoletnich synów. Nie wiesz?”.

- I wybiegliśmy - powiedziała Emily.

- Tak - potwierdził Asher. - Byliśmy spóźnieni.

Spojrzeli na niego, trzy małe pauzy przy wyspie. Wyglądali na głodnych, ale nie chcieli pytać o niedzielny brunch, który Larissa zawsze robiła. Jared wysypał płatki z pudełka. Pod przymusem zgodził się zrobić grzankę z bajgla dla Emily, która miała dość płatków. Okazało się jednak, że nie mają bajgli. Jared pojechał po nie do Bagels4U. Dziś rano wszystko w Summit było nie tak, jakby... jakby każda ulica i każdy sklep ukrywał wskazówkę dotyczącą tego, co się stało z Larissą. Tyle tylko, że on nie wiedział, która to ulica i który sklep, i był zmuszony włączyć się po mieście jak bezdomny, dopóki na nie trafi na jakiś ślad.

Kiedy czekał na bajgle, przypomniał sobie: psychiatra! Larissa chodziła do niej od lutego. Na pewno ona będzie coś wiedzieć! Ożywny wpadł do domu, żeby do niej zadzwonić, i rzucił torbę z ciepłymi bajglami na wyspę. Ale dzieci nie pozwoliły mu potraktować się jak kaczkę na stawie. Musiał zrobić tosty, posmarować je masłem orzechowym i galaretką i dopiero wtedy mógł podnieść słuchawkę. Uświadomił sobie jednak, że nie ma pojęcia, jak nazywa się lekarka. Larissa oczywiście mu powiedziała, ale nazwisko wpadło mu jednym uchem, a wypadło drugim. Były jednak rachunki. Jej nazwisko musi gdzieś być.

Z kubkiem czarnej kawy w dłoni - to pierwsze, co miał w ustach od wczoraj - Jared pieczołowicie przedzierał się przez rachunki medyczne Larissy wystawione od stycznia. Znalazł dwa od ginekologa, jeden od optyka i kupkę od psychiatry. Joan Kavanagh. Nie obchodziło go, że jest niedziela. Wybrał numer i nadział się na jej biuro zleceń.

- Czy to nagły przypadek?

- Tak - odparł. - Zdecydowanie tak. - Zostawił swój numer i siedział przy telefonie przez piętnaście minut, pół godziny, czekając, by oddzwoniła. Po czterdziestu jeden minutach zadzwonił jeszcze raz.

- Przekazałam wiadomość - odparła dyspozytorka.

- Czy powiedziała pani, że to nagły wypadek?

- T a k .

- Chyba nagłe wypadki psychiatryczne działają na innych zasadach niż medyczne - powiedział. - Bo czterdzieści jeden minut...

- Przekażę pańską drugą wiadomość.

Siedział dalej.

Musiał wyjść z gabinetu, żeby zajrzeć do dzieci. Była niedziela weekendu Dnia Pamięci, ciepła i słoneczna. Asher, który nawet nie zapytał o planowaną od tygodni wizytę ze spaniem kolegów, pojechał na rowerze do przyjaciela. Emily bawiła się piłką z Riot i Michelangeloem. Dzwonili Maggie, Ezra, Bo, Jonny, matka Larissy, Evelyn. Najgorszą rozmową była ta przypadkowa z matką Larissy.

- Czy ona dobrze się czuje? - zapytała Barbara.

Jared nie chciał kłamać, ale też nie chciał o tym rozmawiać. Dlaczego odebrał ten cholerny telefon?

- Barbaro - powiedział - przepraszam cię, ale mam pilny telefon na drugiej linii.

- Pilny telefon w niedzielę?

- Tak. Ja... Nie martw się... my...

Lekarka nadal nie dzwoniła. Minęło czterdzieści minut. Poszedł do kuchni, zajrzał do lodówki. Może Kavanagh pojechała do swojego domu na wsi. Nikt nie pracował w Dzień Pamięci. Wyjechała. Być może z kraju. Czekając, przerzucił zawartość torebki Larissy. Zajrzał do portfela, wyjął ostatnie paragony. Nie było żadnych z supermarketu ani drogerii. Znalazł za to paragon z czwartku za tankowanie. Piętnaście galonów. Nie ma powodu, by tankować samochód, jeśli następnego ranka ma się go zostawić na podjeździe i iść pieszo. Znalazł też paragon za sushi ze Stop&Shop. Sushi? Paragon jednak nie kłamał. Stop&Shop w Madison. Sushi.

Larissa nie znosiła sushi. Nigdy go nie jadła. A teraz kupowała je w supermarkecie w Madison, nawet nie w Summit?

Zoolander, sushi, całowanie dzieci w piątek, „jedź ostrożnie”. Na co to się składało? Na funt kłaków?

Ale jej tu nie było! Nie było...

Jared siedział za biurkiem, trzymając jej zamszową torebkę na kolanach. Niezwykłe, jak niewiele znalazł w niej informacji na temat zaku-

pów. W postaci paragonów. Torebka była czysta, portfel też. Ale Jared był bankierem inwestycyjnym. Oglądał rachunki grubszych ryb niż Larissa. Wiedział, że idąc śladem pieniędzy, na pewno gdzieś dotrze.

Wszedł do internetu, żeby sprawdzić zakupy dokonane kartą American Express. Poza paliwem znalazł niewiele. Kliknął, żeby sprawdzić, na jakiej stacji tankowała i o której godzinie. Była to stacja Exxon przy River Road, raz w tygodniu przed dziewiątą. Jak w zegarku. Cofnął się o siedem miesięcy. Raz w tygodniu na tej samej stacji. I nie była to stacja najbliższej domu, na której zawsze tankowała escalade'a podczas weekendów. Sprawdził dzień tygodnia. Poniedziałek. Na Google Maps znalazł stację. Po drodze do Madison. Sprawdził położenie Stop&Shop. Madison. Lekarka też przyjmowała w Madison.

Siedział, czekał. Myślał. Narzucił kurtkę, wsiadł do jaguara Larissy i pojechał na stację Exxon. Mężczyzna, który podszedł do niego z przyjaznym uśmiechem, przestał się uśmiechać, gdy zobaczył, że za kierownicą nie siedzi kobieta.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

- Ten samochód należy do mojej żony - powiedział Jared, wyjmując zdjęcie Larissy. - Zna ją pan?

Mężczyzna nie musiał nawet patrzeć na zdjęcie.

- Bardzo dobrze. Stale tu tankuje. Potrzebuje pan paliwa?

- Dzisiaj nie, mam pełny bak. Przyjeżdża tu tym samochodem czy innym?

- Widziałem tylko ten.

- Od jak dawna tu przyjeżdża?

- Od dawna. Nie wiem.

- Tak mniej więcej?

- N i e wiem. Może od roku. Może dłużej. Przepraszam, za panem jest następny klient. Może pan odjechać?

Jared powoli odjechał na miejsce postojowe i potarł zarost.

O co chodziło? Jego serce, jego strach wchodziły w drogę jego rozsądkowi. Czy istniał jakiś związek pomiędzy zaginioną żoną a nieprawdopodobnym sushi z supermarketu i paliwem ze stacji, z której nigdy nie korzystali?

Siedział przez dziesięć minut, trzymając dłonie na kierownicy. Potem pojechał do Madison, do gabinetu doktor Kavanagh.

W niedzielę oczywiście jej nie zastał. Większość z tego, co robił, przypominało ćwiczenia z daremności. Ale jakie miał inne wyjście? Cobb powiedział, że do sprawy może się włączyć FBI. Powiedział to tak, jakby Jared powinien się obawiać, ale on myślał tylko: Kiedy? Dlaczego nie teraz, natychmiast? Teraz było niedzielne popołudnie słonecznego majowego dnia. Jego dzieci są same w domu, podczas gdy on stoi na pustym parkingu przed gabinetem lekarki i dzwoni do drzwi.

Jadąc z powrotem, próbował wyobrazić sobie Larissę. Czy jest ranna? Odeszła, odeszła na dobre? Czy jakoś wewnątrz czuł, że doznała udaru, upadła i nigdy nie wstała? Nie. Nie miał takiego poczucia. To, co czuł, było bardziej niezrozumiałe niż atak serca, lecz także bardziej przerażające. Bo nie wyglądało na wypadek, lecz na zaplanowane działanie.

* * *

Gdzie jest adres Che? Jared żałował, że nie zna go na pamięć. Ale niewiele pamiętał, z wyjątkiem szczegółów swoich funduszy inwestycyjnych, rat kredytów hipotecznych i różnic w dywidendach. Wszystkie informacje, które nosił w głowie, były dokładnie uporządkowane według ważności. A przecież paszport Larissy leżał w szufladzie! Che mieszkała na Filipinach. I dlaczego żona miałaby polecieć na Filipiny, nie mówiąc mu ani słowa i nie zostawiając nawet listu? „Cześć, kochanie, to nie potrwa długo. Wrócę na rozdanie świadectw Ashera po szkole średniej”.

Musiał wyrzucić Che z głowy. Larissa nie mogła polecieć na Filipiny bez paszportu. To wszystko.

No to gdzie była?

Jaki był dzień, kiedy wrócił z parkingu przed gabinetem doktor Kavanagh? Boże. Nadal niedziela.

Zadzwoił do Cobba.

- N i e mamy żadnych nowych informacji - powiedział policjant. - Minęły dopiero dwie godziny od czasu, gdy się widzieliśmy.

- Może od czasu, gdy złożyliśmy doniesienie - odparł Jared. - Ale

jej nie mają już od piątku rano. Sprawdziliśmy szpitale? Książki zatrzymań policji? Doniesienia o kobiecie, która uderzyła się w głowę?

- Nie sprawdziłem osobiście wszystkich książek zatrzymań - powiedział Cobb. - Ale sprawdziliśmy biuletyny w trzech okolicznych stanach. Łącznie z Connecticut.

- I nic tam nie ma?

- Setki informacji. Ale ani jednej o kobiecie po czterdziestce z brązowymi włosami.

- Z jasnymi pasemkami.

Jared rozłączył się z przygnębieniem.

Dlaczego czekanie w domu było takie nie do zniesienia? Dlaczego nie mógł zrobić czegoś z dziećmi? Może porzucać piłkę Asherowi. Ale Asher zaliczył porażkę w meczu play-offów. Ostatnią rzeczą, jaką chciał oglądać, była piłka. Może pojedą do parku? Nad jezioro Canoe? Może się spakują i pojedą do Lillypond? Nie, to niemożliwe. Bo jeśli ona wróci? Jeśli pojawia się jakieś wieści?

Wróci skąd?

Jakie wieści?

Trzeci raz zadzwonił do Kavanagh.

- Przekażę pańską wiadomość. Pani doktor oddzwoni do pana przy pierwszej sposobności.

- To nagły wypadek - powiedział Jared łamiącym się głosem. - Naprawdę. Proszę.

Kolejna godzina minęła w rozpacz.

Emily poszła do Alyssy. Asher do Jamesa, z gitarą. Michelangelo siedział z Jaredem przy wyspie i udawał, że czyta artykuł w gazecie.

- Tatusiu, co chcesz zrobić?

- Nie wiem, kolego. Co ty chcesz zrobić?

- Możemy pograć w berka. Albo możesz mnie zabrać na huśtawki. Możemy też pograć w makao. Uwielbiam w to grać. Chcesz? Mam teraz czarną magiczną superglinę. Naprawdę jest magiczna. I czarna. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Możemy ulepić wampira na Halloween.

- Halloween jest dopiero za pięć miesięcy - powiedział Jared po długiej chwili zastanowienia.

- Nigdy nie jest za wcześnie, żeby zacząć robić ozdoby. Zawsze tak mówisz, tato.

- Nie zawsze mam rację, kolego.

Jared patrzył, jak syn lepi z gliny coś na kształt głowy z wyrastającymi z niej rękami. Za nic jednak nie można było zrobić z gliny peleryny, białych kłów czy krwi ciekącej po brodzie. Wampir wyglądał jak ptak. Jak skowronek.

Zadzwoił telefon. Jared rzucił się do słuchawki. Ezra.

- Zaraz przyjedziemy. Przywieziemy coś do jedzenia.

- Nie. Tak. Nie wiem.

- To nie jest pytanie. Będziemy u ciebie za pół godziny.

- A która jest?

- Trzecia.

- Trzecia! - Co się dzieje? Dlaczego czas zwolnił? Dlaczego zwykle nie miał go dość, żeby się zatrzymać, nie mógł zwolnić ani o mili-sekundę, posiedzieć wieczorem, zjeść coś z przyjaciółmi, przedłużyć czytanie, przeczytać gazetę, spędzić jeden dzień więcej na plaży w Miami, a teraz czas zwolnił? Nie tylko zwolnił. Zatrzymał się. - To niemożliwe - powiedział otępiały. Była trzecia przez całą niedzielę.

Bo i Jonny też przyjechali, przywieźli przekąski, napoje, papierowe ręczniki i talerzyki. Przywieźli mleko, chleb i płatki. Maggie zabrała Michelangela do miasta na lody i do Bryant Park. Asher wrócił, lecz szybko znów wyszedł, by pograć w miniaturowego golfa. Emily po powrocie upiekła brownie z proszku, które znalazła w szafce.

Zadzwoił telefon. Cobb.

- Chciałem tylko potwierdzić. Powiedział pan, że nic nie zginęło? Karty kredytowe? Prawo jazdy? Inne dokumenty? Pieniądze?

- Nigdy nie nosiła ze sobą pieniędzy - powiedział Jared, czując pulsowanie w skroniach. Może musiał się przespać.

- Przepraszam, wiem, że to trudne. Ale mamy weekend Dnia Pamięci. Wszyscy wyjechali.

Tak, pomyślał Jared, rozłączając się. *Wszyscy wyjechali.*

Jared nie wiedział, jak udało mu się przetrwać świąteczny poniedziałek. Zrobił to tylko dlatego, że Ezra, Maggie, Bo i Jonny nie odstępowali go ani na moment. Przywieźli jedzenie, gry dla dzieci, kije, rękawice, frisbee, baloniki, starali się, by wszystko wyglądało jak najbardziej normalnie, włączyli muzykę, by zagłuszyć hałas w głowie Jareda, zajęli się wszystkim. Ezra objął w posiadanie grill, choć nie potrafił grillować. Karmili Jareda, choć nie chciał jeść, i karmili dzieci, które wszystkie, z wyjątkiem Michelangela, snuły się jak ogłuszone. Asher zamknął się w sobie niemal całkowicie. W milczeniu wpatrywał się w jedzenie, w milczeniu pił. Nawet Riot spała na werandzie u stóp Jareda, zamiast bawić się z dziećmi.

- Będziesz musiał z nimi porozmawiać, Jared - powiedział Ezra. - Będziesz musiał im coś powiedzieć. - Siedzieli na patio, podczas gdy dzieci stłoczyły się w hamaku na tyłach domu.

- Co mogę im powiedzieć? Nic nie wiem! - Wstał i lekko się zachwiał.

Wieczorem poszedł do pokoju Emily. Nie mógł porozmawiać z synami, ale Emily była dziewczynką; miał nadzieję, że potraktuje go łagodniej.

- Em, wszystko stanęło na głowie - zaczął, przysiadając na brzegu łóżka.

- Nie musisz mi tego mówić. - Leżała na wznak odwrócona. Po chwili zastanowienia usiadła i objęła rękami kolana. Nie patrzyła na niego.

- Bardzo chciałbym móc ci powiedzieć, co się dzieje. Przykro mi, że jestem taki bezradny.

- Nie musi ci być przykro, tato. To jedna z rzeczy, za które cię kochamy.

- Policja szuka mamy.

- A le nie chcemy, żeby ją znalazła, prawda? - Spojrzała na niego z nadzieją. - Bo to będzie oznaczać, że przydarzyło się jej coś złego.

- Masz rację. Nie chcemy, żeby policja ją znalazła. Mam nadzieję, że mama wyjechała na trochę, żeby pobyć sama.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem.

Emily wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu.

- Będzie dobrze, tato - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze.

Jared przełknął ślinę. Odchrząknął. Zamarzył o szklance wody. Marzył o wielu rzeczach. Siedzieli przez kilka minut w ciężkim milczeniu.

- Musimy to jakoś przeczekać.

- Jasne. Ale, tato, co zrobimy? Nie chodzi mi... Chodzi mi o to, co *naprawdę* zrobimy? Mamy zajęcia codziennie do końca szkoły. Kto nas będzie woził?

- Wezmę kilka dni wolnego i jakoś to poukładam. Ja będę was woził. Maggie powiedziała, że nam pomoże. Na pewno mama wróci lada moment. Ale musisz mi pomóc, Em. Nigdy tego nie robiłem. Nie wiem kiedy, jak i gdzie. I proszę, nie oczekuj, że wszystko zapamiętam. Zapisz mi to na kartce. I wsuń do ręki. Przyklej do kluczyków. Zrób, co trzeba.

- A kiedy wrócisz do pracy?

- Nie wiem. Zobaczymy.

- Ale , tato... nie musisz zarabiać?

Prawie się uśmiechnął.

- Może i tak mi zapłaca. Tak ciężko pracowałem.

- Nie wykorzystaj całego urlopu - powiedziała Emily niczym mi-niaturowa Larissa. - Chcemy jechać do Lillypond.

Niezwykłe, co się dzieje, gdy twoje serce przestaje być powiązane z jakąkolwiek częścią twojego ciała. Mówisz rzeczy, których nigdy byś nie powiedział. Słyszysz rzeczy, których, wydaje ci się, nigdy byś nie usłyszał. Robisz rzeczy, które nigdy nie przyszłyby ci do głowy. Zupełnie jakbyś szedł przez ciemne muzeum czyjegoś dawnego życia i w głębi twojego umysłu czaiła się myśl, że za chwilę wyjdiesz na słońce, wydostaniesz się z tej ciemności, i nie możesz się już doczekać. Dzięki Bogu, że to nie moje życie. Tak właśnie czuł się Jared, gdy wstał, pocałował Emily na dobranoc i zamknął drzwi do jej pokoju.

We wtorek zadzwonił do pracy i powiedział, że nie przyjdzie z ważnych powodów osobistych.

- Tylko dzisiaj? - zapytał Larry Ferdoso, dyrektor zarządzający.

Jared miał ochotę powiedzieć, że nie przyjdzie do września.

- Daj mi ten tydzień, Larry - poprosił. - Mam bardzo poważne sprawy osobiste. Potem znów pogadamy.

Jak w ogóle mógłby iść do pracy? Nie był w stanie stanąć przed lustrem, żeby się ogolić. W każdym razie Michelangelo musiał być w szkole dziesięć po ósmej. Jared nawet nie wiedział, gdzie znajduje się szkoła. Musiał sprawdzić na planie.

- Mama mnie tutaj nie wysadza - powiedział mały, wyglądając przez okno lexusa. - Parkuje samochód tam, a potem mnie odprowadza.

- Nie wysadza cię tylko z samochodu?

- Nie, tato. - Westchnął.

Jared zaparkował więc samochód na wzgórzu i odprowadził Michelangelo do szkoły.

- Nie te drzwi, tato.

- A l e wszystkie dzieci wchodzi przez te drzwi.

- To przedszkolaki. A w której klasie jestem?

Jared nie wiedział.

- W pierwszej?

- T a t o ! W drugiej.

- Oczywiście. Wiedziałem. Przepraszam. Jesteś moim małym kolegą. Nie mogę uwierzyć, że chodzisz już do drugiej klasy.

- Tylko przez miesiąc. Potem będę w trzeciej.

- No proszę.

Odprowadził go do właściwych drzwi. Michelangelo czekał. Jared spojrzął na niego.

- C o ?

- Mama zawsze mnie całuje.

- Och. - Jared pochylił się i pocałował syna w kręcone włosy. - Pa. Dobrego dnia.

- Tobie też. - Michelangelo pomachał, nie odwracając się. - Nie zapomnij przyjechać po mnie punktualnie za dwadzieścia trzecia.

- Nie zapomnę.

- Nie spóźnij się.

- Nie spóźnię.

A potem? Nie mógł wrócić do pustego domu. Nie mógł się z nim zmierzyć, nie mógł się zmierzyć z pracą.

Pojechał do gabinetu Kavanagh w Madison. Mijając Stop&Shop, przypomniał sobie sushi i poczuł niemal fizyczny ból. Rozedrgany jechał przez małe miasto, obok college'u po lewej, skręcił w prawo w Park Avenue i raz jeszcze wjechał na pusty parking przed małym białym domem stojącym przed St. Elizabeth College. Lekarki nie było. Jared otworzył okna w samochodzie i czekał.

Z parkingu widział drogę i przejeżdżające samochody; hipnotyzowały go. Jadące jeden za drugim samochody, motocykle, autobusy, trzydzieści, dwadzieścia, czterdzieści pięć mil na godzinę, był wtorkowy poranek, wietrzny, prawie czerwiec, liście szeleściły, droga była lokalna, a mimo to ruchliwa. Siedział tak, myśląc o niczym i o wszystkim. Diabelski młyn w tutejszym wesołym miasteczku, na którym Larissa i Michelangelo pojechali sami, a on stał na dole i machał do nich za każdym razem, gdy go mijali, i flan przyniesiony przez Ernestinę, który Larissa zostawiła dla niego, bo wiedziała, jak bardzo go lubi, kolor jaguara w garażu jak kolor jej włosów, przygaszony i elegancji, efektowny w bardzo subtelny sposób. Jak ona. Pomocnicy kelnera grzechoczący talerzami w Summit Diner, którzy upuścili jego kanapkę z grillowanym serem, kiedy pojechał do przeglądu z vanem. Poszedł tam, by poczekać, i myślał już o wieczorze, o kolacji. Było wtedy ciepło, zbliżało się lato, ptaki głośno śpiewały. Prawie jak teraz.

Czy kaftany bezpieczeństwa zawsze są białe? Czy wiążą ci ramiona na plecach, żebyś nie zrobił krzywdy sobie - i im? Czy spędzasz dwadzieścia osiem dni w sterylnym pomieszczeniu, czy też zostajesz tam do czasu, gdy ktoś inny podejmie decyzję, że możesz je opuścić? I kto o tym decyduje? Kto decyduje, że w ogóle powinno się ciebie tam zamknąć?

Kiedy ją poznał, była najmodniejszą dziewczyną w kampusie. Miała długie brązowe włosy, nie nosiła makijażu, za to bardzo krótkie sukienki, spod których wyłaniały się nogi długie jak u flaminga, była

naturalna, a jednak skomplikowana, na jej widok miał ochotę cytować Byrona w środowe popołudnie. „Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina gwiazdziste niebo bez śladu obłoku”*.

Gdy przewodziła Footlight Players, siedziała na studenckich kanapach, pijąc niezliczone kubki czarnej kawy. Cała rozpromieniona, była tyranem rządzącym z uśmiechem. Mówiła im, co mają robić, jak grać, co powiedzieć, a oni szli za nią na ślepo, słuchali jej z otwartymi ustami. Kiedy tylko znajdowała się w pomieszczeniu, zawsze chodziła boso, mówiła, że lubi czuć ziemię pod nogami, i zawsze się zastanawiał, jakim cudem ma takie czyste stopy. Zapytała ją o to, gdy już zaczęli ze sobą chodzić. Spojrzała na niego poważnie i powiedziała:

- Myję je. A ty czemu masz czyste?
- Noszę skarpetki - odparł.

Wjeżdża na stację benzynową i wyciąga broń. Ciężko dysząc, opróżnia zawartość kasy i ucieka. Do końca jego dni goni go bezzębny mężczyzna, którego aktem zemsty jest paranoiczne, napędzane narkotykami przerażenie.

Czy to był film? Koszmar senny? Czy to jest jego życie?

Teraz liczył przejeżdżające samochody, ale żaden z nich się nie zatrzymał. Czy Larissa siedziała w jednym z nich? Nie w swoim własnym, ale należącym do kogoś innego?

Kogo innego?

Wszyscy są gwiazdami swojego życia. Ale ona była gwiazdą życia wszystkich.

Była przyjemna dla serca, miła dla oka. Była autostopowiczką obdarzoną zaraźliwym śmiechem. Wsiadła do samochodu jego życia i nagle z niego wysiadła; mignęła piersiami, białkami oczu i zniknęła.

Czy była tylko imprezą towarzyszącą? A może on nią był?

Wspomnienia palące jak kwas.

Dziesiąta godzina, jedenasta.

W południe na parking wjechał szary mercedes i wysiadła z niego pomarszczona kobieta podobna do ptaka. Kiedy Jared powoli wygra-

* Przekład Stanisław Barańczak.

molił się z samochodu, czuł, że nie jest tą samą osobą, która trzy godziny wcześniej otworzyła okna.

Gdy szedł w jej stronę, spojrzała na niego nieufnie.

- Mogę panu jakoś pomóc?

- Nie wiem - odparł. - Dzwonię do pani bez przerwy od soboty.

Powiedziałem, że to nagły wypadek.

- Ogromnie mi przykro. Wyjechałam na parę dni. Wszystko w porządku? - Zmarszczyła brwi. - Kim pan jest?

- Mężem Larissy - powiedział, przyglądając się jej uważnie. Jej twarz miała niemal pokerowy wyraz. Z wyjątkiem trzech krótkich mrugnięć, zmrużenia oczu, zaostrenia rysów i krótkiego oddechu.

- Co się stało?

- Zniknęła - powiedział. - W piątek nie odebrała ze szkoły naszego najmłodszego syna. Nie było jej w domu po południu. Od tamtej pory nie wróciła.

Kavanagh nadal ścisnęła torebkę. Zatrzasnęła drzwi samochodu.

- Zostawiła list?

- Jaki list?! - wykrzyknął Jared. - Może leżeć martwa w rowie po wylewie krwi do mózgu. Jaki list można w takiej sytuacji zostawić?

Jared miał nadzieję, że się nad nim zlituje, bo rzuciła krótkie, pełne współczucia spojrzenie na jego wymęczoną twarz i powiedziała:

- Wejdzmy do środka.

- Wie pani, gdzie ona jest? - zapytał, nie ruszając się z miejsca. - Nie chcę wchodzić do środka, bo boję się, że każe mi pani usiąść, a ja nie chcę siadać.

- Bardzo wnikliwie ocenił pan moje motywy - powiedziała. Czy zadziałała tylko pokręcona wyobraźnia Jareda, czy rzeczywiście położyła zbyt duży nacisk na słowo *moje*? - Następny pacjent przyjdzie o pierwszej. Pomyślałam, że możemy kilka minut porozmawiać.

- Dlaczego nie może mi pani powiedzieć, gdzie ona jest?

- Bo nie wiem.

- To po co miałbym wchodzić do środka?

- Rzeczywiście nie ma takiej potrzeby - powiedziała, kiwając lekko głową. - Ale jest gorąco, a ja nie jestem już taka młoda. Mam sześćdzie-

siąt siedem lat i nie przepadam za staniem w upale. Łatwo się męczę, a mam przed sobą ciężki dzień. Chcę czuć się świeżo. Ale oczywiście nie musi pan wchodzić. Mam nadzieję, że reszta dnia okaże się dla pana lepsza. Przykro mi z powodu Larissy.

Ruszyła w stronę drzwi swojego gabinetu. Jared poszedł za nią.

- Nie sądzi pani, że ona nie żyje? Dlaczego?

- Proszę pana - zaczęła rzeczowo Kavanagh, a jej głos zabrzmiał wyjątkowo chrapliwie. - Albo proszę wejść ze mną do środka, żebyśmy mogli porozmawiać, albo życzę panu miłego dnia. Ale proszę mnie nie wciągać do rozmowy, skoro prosiłam, żeby pan tego nie robił.

Niechętnie wszedł za nią do środka. Kavanagh szła zdecydowanym krokiem, nie oglądając się, jakby wiedziała, że on pójdzie za nią.

Gabinetu nie wietrzono od paru dni. Powietrze było duszne, pachniało lekko pleśnią. Klimatyzacja była ustawiona na minimum. Jared czuł, jakby się dusił. Poprosił Kavanagh, żeby otworzyła okna. Zaczęła protestować, mówić coś o klimatyzacji, ale zobaczyła, że z trudem łapie powietrze, i ustąpiła. Wystawił głowę na zewnątrz.

- Co się stało? - zapytał tępo, prostując się.

Odłożyła torebkę, zdjęła lekki szary żakiet, przetała okulary w szarych oprawkach, malutkie jak ona sama, i usiadła, podwijając nogi pod siebie. Milczała.

- Nie może pani ze mną rozmawiać?

- Mogę.

- Chodzi o tajemnicę lekarską?

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Odrobina wiedzy może być niebezpieczna, proszę pana - powiedziała. - Nie, nie chodzi o tajemnicę lekarską. Po pierwsze nie jesteśmy w sądzie, a pan nie jest agentem federalnym. Zakładam, że nie popełniono przestępstwa, a nawet gdyby popełniono, a pan był agentem, w Stanach Zjednoczonych nie obowiązuje tajemnica lekarska. Małżeńska tak. Ale prawnie nie chronią mnie żadne przywileje. Ani Larissy.

- To dlaczego tak niechętnie pani ze mną rozmawia?

- Wcale nie niechętnie.

- Myśli pani, że ona nie żyje?
- Wszystko jest możliwe - odparła Kavanagh. - Ale nie, nie myślę tak.

- To gdzie ona jest?
- Nie wiem.
- Może mi pani powiedzieć cokolwiek? Poza „nie wiem”?
- A czy pan może mi coś powiedzieć?
- N i c nie wiem! Wróciłem w piątek do domu, a jej nie było!
- Co zabrała ze sobą?
- Nic. Ani jednej rzeczy. Nie zabrała nawet samochodu ani torebki.

Nic.

- Pieniądze?

- Nie. Nie nosi przy sobie gotówki, a od kilku dni, kilku tygodni z naszego konta nie zniknęła żadna znaczna suma. - Jared przytrzymał się wąskiego parapetu. Brakowało mu tchu. - Pyta pani o pieniądze, bo myśli, że planowała wyjazd? - zapytał słabym głosem. - Ale nic ze sobą nie zabrała!

Nie zadał - nie mógł zadać - następnego pytania: Dlaczego miałyby wyjechać? Dlaczego by chciała?

Jak to możliwe, że przy swojej ograniczonej zdolności pojmowania, z udręczonym umysłem i zmęczonym ciałem czuł, że ta kobieta wie coś, o czym nie chce mu powiedzieć?

- Przychodziła do pani od kilku miesięcy. Nigdy mi nie powiedziała, dlaczego musi tu przychodzić. Powiedziała tylko, że musi z kimś porozmawiać, i przyjąłem to, nie martwiąc się zbytnio. Powiedziała, że chce oczyścić głowę. Był taki dzień w lutym, gdy wydawało mi się, że z trudem sobie ze wszystkim radzi. Powiedziała, że jest niespokojna, czasami przygnębiona. Ale to wydawało się normalne.

- Czy ona wydawała się normalna?

Jared zacisnął palce.

- Pani doktor, proszę mnie nie analizować. Proszę mnie nie zmuszać, żebym odkrył coś, czego najwyraźniej dotąd nie odkryłem. Proszę mi tylko powiedzieć, co muszę wiedzieć. Nie potrafię grać w te gierki. Nie potrafię i nie chcę. Chcę się tylko dowiedzieć, co się wydarzyło

w moim życiu. W piątek o czwartej po południu zmierzało w jedną stronę, a godzinę później w drugą. Co się stało?

- Tylko dla pana - powiedziała Kavanagh - ta zmiana była tak nagła. Zapewniam pana, że zmartwienia pańskiej żony zaczęły się jakiś czas temu.

- Jakie zmartwienia? - wykrzyknął.

Kavanagh milczała.

- Nie chce mi pani powiedzieć?

- Nie - przyznała.

- Ale ona zniknęła!

- Widzę, że to pana... - Kavanagh szukała słów - bardzo denerwuje i...

- Proszę nie używać eufemizmów na określenie moich uczuć. Proszę nie przykrywać mojej rozpaczliwej psychomową. Proszę mi po prostu powiedzieć. Co? Miała myśli samobójcze? Romans?

- Tak - powiedziała Kavanagh. Zabrzmiało to jak policzek.

Zupełnie jakby się tego spodziewał. Kiedy krew odpływa z serca i płuc, łatwo zachować spokój, bo nie ma w tobie życia, z którym można by się spierać.

- Miała romans?

- T a k .

- I o to w tym wszystkim chodzi?

- Podejrzewam, że tak, skoro nie mają jej w domu.

- Nie mówiąc więc ani słowa ani mnie, ani dzieciom, po prostu wstała i wyszła, nawet nie zabierając torebki?

- To daje mi nadzieję, że być może nie odeszła daleko - powiedziała Kavanagh.

- Kto to był?

- Nie wiem.

- Rozmawiała z panią i nie podała żadnych szczegółów?

- To był jakiś mężczyzna, którego poznała.

- Gdzie?

- Może podczas załatwiania codziennych spraw?

- Jaki mężczyzna, jakich spraw? - Jared nadal stał przy oknie, ścis-

kając parapet dłońmi, z których odpłynęła krew. - To nie jest tak - szepnął. - Tak się nie dzieje. Jest wyznanie. Objawienie. Żona błaga o wybaczenie. Mąż nie chce go jej udzielić. Dochodzi do separacji, a po niej do wizyt w poradni małżeńskiej. Jest zadośćuczynienie, posępny nastrój w domu. Wszystko wydaje się bez sensu. Oboje muszą podjąć decyzję, czy warto zostać razem. Wiele par dochodzi do wniosku, że tak. Próbują wszystko poukładać. Co się wydarzyło tutaj, że wszystko jest tak dalekie od tego scenariusza?

Kavanagh długo szukała słów.

- Czasami wyznanie przeraża tak bardzo, że większość ludzi woli trwać w niewiedzy i oszustwie.

- N i e j a.

- N i e ?

- Nie! - Spojrzał na nią ze złością. - Nie - powtórzył z naciskiem. Lekarka wzruszyła ramionami.

- Może gdyby pan wszystko odkrył, sprawy właśnie tak by się potoczyły. Albo wydarzyłoby się coś innego, czego ona się bała. - Zawiesiła głos. - Moim zdaniem tak właśnie będzie. To mógł być jej sposób na wyznanie wszystkiego, wyjawienie prawdy. Kiedy wróci, dojdzie do rzeczy, o których pan wspominał.

- Wydawała się dokładnie taka sama jak zawsze! - wykrzyknął. - Robiła wszystko jak zawsze. Była poza podejrzeniem. - Mówił coraz ciszej. - Była dobrą żoną. To nie ma żadnego sensu. Nie wierzę, że to prawda. - Teraz mówił coraz głośniej. - To, co pani mi mówi, jest niemożliwe. To nie moja żona.

Kavanagh milczała.

- Była nieszczęśliwa? Zapytała ją pani, dlaczego ze mną nie porozmawiała?

- Nie była nieszczęśliwa - odparła lekarka. - Powiedziała, że za bardzo się zaangażowała.

Za bardzo się zaangażowała. Co to znaczy?

- Czy ona... - pełen niedowierzania Jared nie mógł wydobyć z siebie właściwych słów. - Czy go kochała?

Kavanagh spuściła wzrok na splecione dłonie.

- Tak. Powiedziała, że tak.

Pod Jaredem ugięły się nogi. Krew odpłynęła mu z ciała i z trudem utrzymywał się w pozycji stojącej. Zrobił kilka niepewnych kroków i opadł na twarde krzesło przy oknie.

- Panie Stark! - wykrzyknęła Kavanagh. - Bardzo mi przykro.

Milczeli przez kilka minut.

- Kilka miesięcy próbowałam ją skłonić, żeby z panem porozmawiała, żeby spojrzała na swoje życie w inny sposób. Pańska żona bardzo kochała pana i dzieci.

- Skąd pani wie? Czy jej czyny nie przemawiały głośniejsz niż słowa?

- Starła się wszystko ułożyć. Myślała, że będzie mogła dalej żyć podwójnym życiem.

- Jak długo... - zaczął Jared słabym głosem - żyła podwójnym życiem?

- Kiedy przyszła do mnie, powiedziała, że jest z nim związana od roku.

Jared oparł się o krzesło. *Co?* - szepnął bezgłośnie. Kavanagh nie odpowiedziała.

Chwyając powietrze, by zwalczyć wstrząs, Jared hiperwentylował w złożone dłonie; zakrył twarz.

- Mówi mi pani, że ona miała romans od półtora roku, a ja nic o tym nie wiedziałem?

Kavanagh milczała.

- Kto to był?

- Nie powiedziała.

- Jeden z naszych przyjaciół? Czy to Ezra?

- Ezra? - Kavanagh zmarszczyła brwi. - Pański najlepszy przyjaciel?

- Nie, jej najlepszy przyjaciel.

- N i e .

- Co, myśli pani, że to byłoby poniżej jej godności?

- Nie wiem. Wiem tylko, że to nie on. W każdym razie czy Ezra nadal jest obecny w waszym życiu?

- Oczywiście.

- No to nie jest z nim.

- Nie, ale... - Podniósł głowę. - Może była tym wszystkim tak przytłoczona, że popełniła samobójstwo?

- To raczej mało prawdopodobne - odparła Kavanagh. - Czy policja zbadała sprawę?

Jared zaczął się trząść z wysiłku, by myśleć, by serce znów zaczęło pompować krew. Wargi mu zadrzały.

- Mogła utonąć. Może szukamy jej w złym miejscu. A jeśli nie mogła sobie z tym dłużej poradzić, zostawiła nas i jego i odebrała sobie życie? Gdzieś, gdzie jeszcze nie szukaliśmy. - Powiedział to jak człowiek poddawany elektrowstrząsom, rozkojarzony i niespokojny. - To przecież możliwe, prawda?

Kavanagh zgodziła się, że to możliwe.

- No proszę! Przynajmniej... - Urwał. - Będziemy musieli poszerzyć poszukiwania, zwiększyć wysiłki. - Musiał odwrócić wzrok od mrugających powoli brązowych oczu lekarki. - Czy powiedziała pani, jak on ma na imię?

- Nie pamiętam.

Chodził gorączkowo po pokoju.

- Nie zapisała pani w notesie? - zatrzymał się przed nią.

- A widzi pan jakiś notes? Nie, nie zapisałam. Wspomniała je tylko raz.

- No? I jak brzmiało? - Zaklaskał w dłonie kilka razy, jakby bił brawo podczas przerwy w spektaklu. - No proszę, proszę. Musi pani pamiętać.

- Nie muszę. Proszę usiąść.

Chodził dalej.

- Nie mogę. Jak on miał na imię?

- Było dziwne. Nie słyszałam go wcześniej.

- Niezwykłe jak... Ezra?

- Nie Ezra.

- Jonny?

- N i e .

- Fred? Richard? Tim? Jeff? Bob?

- Bob to niezwykle imię? - Kavanagh zastanawiała się przez chwilę. - Ale było krótkie. Jak kłaśnieć. Jedna sylaba. Bob. Bob. Bob. - W zamyśleniu złożyła dłonie, próbując sobie przypomnieć, a potem spojrzała na Jareda. - Dlaczego chce pan wiedzieć, kto to jest? Czy to panu pomoże?

- Jeśli z nim nie jest, to raczej tak. Wtedy będziemy wiedzieli, że moja teoria jest słuszna, że stało się coś strasznego. Nie pamięta pani?

- N i e .

- A teraz?

- Proszę nie nalegać.

Siedziała ze splecionymi dłońmi.

- Kai - powiedziała w końcu. - Ma na imię Kai.

O mój Boże! Salon samochodowy! I sprzedawca, którego znienawidził od pierwszej chwili. Mój Boże. Ale on...

- To niemożliwe. To nie może być on - powiedział roztrzęsiony. - Ten dzieciak dopiero co skończył szkołę średnią.

Kavanagh milczała.

Zupełnie jakby dostał mocną piłką w skroń. Zabolało, zapłonęło jej zdradą w ciągu szesnastu, osiemnastu miesięcy, siedemdziesięciu, osiemdziesięciu tygodni, sześciuset dni, poranków, nocy, a on przez cały ten czas żył swoim życiem, pracował, spał, kochał się z nią, jakby wszystko toczyło się normalnie. Zrobiło mu się niedobrze. Zwymiotował do kosza na śmieci.

- Ile on ma lat?

- Dwadzieścia jeden.

Kiedy na chwiejnych nogach wyszedł z gabinetu i jechał na ślepo ulicą, wiedział, że to nie wina Kavanagh, ale chciał ją winą obarczyć. Osiemnaście miesięcy! Nie potrafił sobie wyobrazić, co by powiedział, ale to nie miało znaczenia. Twórcze działanie zawsze następowało po gniewie.

Była prawie pierwsza, gdy wpadł do salonu Jaguara. Recepcjonistka, młoda dziewczyna z aparatem na zębach, spojrzała na niego i zapytała:

- W czym mogę pomóc?

Obiegł dzikim wzrokiem salon.

- N i e wiem, czy może mi pani pomóc. Czy jest tu Kai?
- Kto? Ach, Kai. Nie ma go. Niestety, już tu nie pracuje.
- Co? Gdzie jest kierownik?
- J i m ?

- Tak. Nie, Chad. Jest tu gdzieś?

- Nie sądzę. Wyślę mu wiadomość na pager...

Ale Jared szedł już do biura na tyłach, gdzie za ladą stało czterech mężczyzn, jedząc złożony z kanapek lunch.

- Cześć - powiedział Chad, który go rozpoznał. - Jak leci? Wszystko w porządku z samochodem?

- Jakim samochodem? Och. Tak, w największym.

- Więc w czym możemy pomóc?

- Czy jest tu wasz sprzedawca Kai?

- Przykro mi. Odszedł z pracy. Ale Gary może panu pomóc. Jest znakomity.

- Odszedł? Wie pan, dokąd pojechał?

- Nie. Powiedział tylko, że musi ruszać dalej. W tym biznesie sprzedawcy przychodzą i odchodzą. Był młody. Został trochę dłużej, niż się spodziewaliśmy. Był świetny. Zdobył dla siebie jaguara. Coś takiego nie zdarzyło się od siedmiu lat. Sprzedał go, dostał trochę kasy i odszedł.

- Wiedziałem, że nie powinniśmy byli kupować od niego samochodu. Zostałby z nami.

- Jak mogliśmy go nie kupić? To śmieszne.

- A l e co teraz zrobimy? Sprzedaż spadnie jak cholera.

- Na razie jesteśmy umoczeni. Musimy znaleźć kogoś równie dobrego.

- Nie ma drugiego takiego jak on. A jestem sprzedawcą od dwudziestu lat. I trudno mi to przyznać.

Chad i Jim nagle zwrócili z powrotem uwagę na czekającego Jareda, który stał ze spuszczoną głową, przytrzymując się blatu.

- Wszystko w porządku? Możemy jeszcze jakoś pomóc?

- Tak. Czy on gdzieś tu mieszka?

Chad nie był już taki przyjazny.

- O co w ogóle chodzi?

- O nic. Muszę mu zadać szybkie pytanie. Dałem mu kopie zeznań podatkowych. Okazało się, że zgubiłem oryginał. Zastanawiam się, czy mógłby mi zrobić kopię.

- Zeznanie za zeszły rok?

- Tak. Nie ma go.

Dobrze, że zapomnieli, że jest dyrektorem finansowym banku inwestycyjnego.

- Nic nie zostawił w biurku, jeśli o to panu chodzi.

- N i e ma pan przypadkiem numeru jęgo komórki?

- Mam, ale ją wyłączył. Sami próbowaliśmy się do niego dodzwonić dziś rano.

Jared zrobił krok do tyłu, odwrócił się i odszedł. Recepcjonistka okazała się bardziej przyjazna, gdy zatrzymał się przy jej stanowisku i udawał, że chce z nią pogawędzić. Wymyślał zdania na poczekaniu, zupełnie jakby uczył się angielskiego.

- Odszedł, co? Założę się, że go wam brakuje. Był dobry, prawda?

- Najlepsy - odparła ze smutnym uśmiechem. Na identyfikatorze widniało imię Crystal. - Naprawdę. Był taki zabawny i miał świetne podejście do klientów. Umówiliśmy się parę razy. Było mi smutno, że odszedł. Jak nam wszystkim.

- Nie powiedział, dokąd się wybiera?

- Nie. Niewiele mówił o swoich sprawach. Powiedział tylko, że czas ruszać dalej.

- Dziwne, co? Tak dobrze mu się wiodło.

- Zgadza się. - Crystal zniżyła głos do szeptu, który w uszach Jareda zabrzmiał jak piła tnąca metal. - Wszyscy uważamy, że chodzi o coś dużęgo. Nie załatwił sobie innej pracy, po prostu odszedł. - Uniosła wydepilowane brwi. - W pośpiechu.

- Pewnie załatwił sobie robotę w salonie BMW w dole ulicy.

- Nie. Znamy tych ludzi. Nie ma go tam. Kai by mi powiedział.

- A l e jakoś musi płacić czynsz. Nie mieszka w okolicy?

- Tak, przy Albright Circle, przecznicę czy dwie stąd.

-Albrightile?

- Zaraz sprawdzę. Mam jego dane w komputerze. Jest. Albright 12.
Wysłałam tam w piątek jego ostatnią pensję.

- Nie przyszedł jej odebrać?

- N i e . Czwartek był jego ostatnim...

Jared już wychodził.

Pod numerem dwunastym przy Albright stał duży stary żółty dom. Jared nie mógł sobie wyobrazić, by chciał tu zamieszkać młody chłopak, chyba że z matką. Zaparkował, zapukał do frontowych drzwi, zapukał jeszcze raz, głośniej, i czekał.

Do drzwi podeszła starsza kobieta w podomce, z siwymi zmierzwionymi włosami.

- Szukam Kaia - powiedział Jared.

- Kogo?

- Dzieciaka, który tu mieszka. Kai.

Pokręciła głową.

- Już go tu nie ma.

- Co pani ma na myśli?

- Nie ma go już. Zapłacił mi do końca maja, ale w zeszłym tygodniu wyjechał. Tak po prostu. Jednego dnia był, drugiego się wyprowadził.

- Kiedy to było?

- Tuż przed długim weekendem. Zapłacił mi i wyjechał.

Jared nie zdołał zdusić jęku. Gospodyni spojrzała na niego zabawnie.

- Wie pani, dokąd pojechał? - zdołał zapytać Jared.

Pokręciła głową.

- Nie pytałam. Płaci mi, a ja nie pytam.

Drżącą ręką Jared wyjął zdjęcie Larissy.

- Widziała pani tutaj tę kobietę?

Zmrużyła oczy.

- Nie mam okularów - powiedziała. - Ale przyjeżdżała tu jedna kobieta. Sportowym samochodem.

- Jakiego koloru?

- Kobieta?

Chwycił się poręczy.

- Nie, samochód.

- Nie wiem. Jakiś taki śmieszny. Trudny do określenia. Jak kolor wody.

- Rozumiem. Dziękuję.

- Chce pan obejrzyć mieszkanie? - zapytała. - Może wynająć?

- Ja nie... - Jak można to powiedzieć? - Tak. Jeśli to pani nie przeszkadza.

- Nie przeszkadza. Nazywam się Sinesco. A pan?

- Jestem Jared.

Powoli zeszała po schodach i przeszli na tył domu na wysypany zwierem parking.

- Czym jeździł? - zapytał Jared.

- Motocyklem - odparła. - Odlotowym. Trzymał go w garażu. Kochał go jak dziecko. Mył w każdą niedzielę. - Wchodziła powoli na schody. - Mówiłam mu: „Kai, musisz kochać w życiu coś innego, tak jak kochasz ten motocykl”. Odpowiadał: „Dlaczego muszę?”. Trzeba to odmalować - mruknęła, idąc noga za nogą i przytrzymując się wyszczerbionej drewnianej poręczy. - Farba się łuszczy. Przepraszam. Jeśli się pan wprowadzi, odmaluję to dla pana. A jeśli mi pan pomoże, obniżę panu czynsz. Co pan powiedział? Proszę głośniej, bo słabo słyszę.

Jared też szedł powoli, przytrzymując się poręczy.

- Nic nie mówiłem.

Wchodził na schody jak stara głucha pani Sinesco.

Kiedy otworzyła drzwi, wszedł do zalanego słońcem pokoju, dużego, z drewnianą podłogą. Był umeblowany, mosiężne łóżko stało przy ścianie pomiędzy dwoma oknami, w których wisiały białe firanki. Łóżko było świeżo zaścielone. Wszystkie osobiste rzeczy zniknęły. Biblioteczki były puste, otwarta lodówka wyłączona. Jared chodził po pokoju, zająrzył nawet do łazienki. Wszystko zniknęło. Nie został nawet jej zapach.

- Porządnie tu posprzątałam - powiedziała pani Sinesco. - Użyłam dużo wybielacza. Żeby przygotować wszystko dla następnego lokatora. To ładny jasny pokój. Przyjemna kawalerka.

- Tak. - Przytrzymał się drzwi.

- Wszystko w porządku? Chce pan go wynająć? Tysiąc miesięcznie.

- Pomyślę o tym.
I rzeczywiście pomyślał.

* * *

Nie mógł jednak myśleć zbyt długo, bo musiał pędzić z Albright Circle, by zdążyć do szkoły Michelangelo na drugą czterdzieści. Spóźnił się kilka minut. Nauczycielka i Michelangelo spojrzeli na niego ze złością.

- Nie poznaliśmy się - powiedziała nauczycielka. - Nazywam się Brown.

Uścisnęli sobie dłonie. Wziął syna za rękę.

- Teraz pan będzie go odbierał ze szkoły?

Jared starał się nie jękać.

- Nie wiem - powiedział. - Może.

- Bo dzieci odbieramy punktualnie o drugiej czterdzieści.

- Tak, tato - rzucił scenicznym szeptem Michelangelo.

Kiedy wrócili do domu, Jared od razu poszedł do swojego gabinetu. Opadł na fotel i...

- Tato? Co robisz? - Michelangelo stanął przed biurkiem z wiśniowego drewna.

- Nie wiem, kolego. A ty co robisz?

- No . . . stoję tutaj. Muszę dostać coś jedzenia. I potem jeszcze coś. Muszę się napić. Trzeba mi włączyć mój program. Potem odrabiamy zadanie. Jaki dziś dzień?

- Wtorek.

- We wtorek trzeba odebrać Emily z wiolonczelą ze szkoły i zawieźć ją na lekcję.

- Gdzie ją ma?

- Nie wiem. Ale ja mam karate o wpół do piątej.

- Gdzie?

- N i e wiem.

- Gdzie jest Ash?

- Grał w baseball, ale teraz chyba już nie. Pewnie wraca piechotą do domu.

- Dobra. - Jared zwlókł się z fotela. - Co mam zrobić najpierw?
- Nakarmić syna, tato.

* * *

Następnego ranka, gdy odwiózł Michelangela do szkoły, wrócił do doktor Kavanagh.

- Powinien się pan umówić - powiedziała, otwierając drzwi do gabinetu. - Mam pacjentów przez cały dzień.

Przeczekał trzy czterdziestominutowe sesje, aż w końcu ktoś odwołała wizytę. Potem siedział na kanapie przez dziesięć minut, zanim zdołał wydusić z siebie choć słowo.

- Tutaj siedziała? - zapytał.

Kavanagh wskazała drugi koniec kanapy. Jared pozostał na miejscu.

- Ten chłopak też wyjechał - powiedział w końcu. - Zrezygnował z pracy, wyprowadził się. Nie ma ich już tutaj.

Wydawało się to zgodne z prawdą, bo nie wyczuwał już jej obecności. Od samego początku Jared czuł, że jest nieobecna w geograficznej strefie, która tworzyła jego minione życie.

Kavanagh milczała.

- Myślę, że mogło się wydarzyć coś strasznego - powiedział.

Kavanagh nie odezwała się, ale uniosła pytająco brwi, jakby chciała powiedzieć: Coś gorszego niż to?

- Tak. Nie sądzę, by z nim wyjechała. Zostawiła dokumenty. Jeśli ktoś wyjeżdża na dobre, powinien je ze sobą zabrać, prawda?

Lekarka pytająco wzruszyła ramionami. Jared ukrył twarz w dłoniach.

- Mogła utonąć w Passaic - powiedział zduszonym głosem.

Kavanagh milczała.

Podniósł na nią wzrok.

- Mogła.

- Rzeczywiście, mogła - zgodziła się lekarka. - Czy tego pan chce?

- Wie pani, czego chcę? Odzyskać żonę. I życie. - Zacisnął dłoń. - Dlaczego jej pani czegoś nie powiedziała? Dlaczego nie powiedziała

pani, że nie może tego zrobić? Dlaczego powiedziała jej pani, że to, co robi, jest w porządku?

- Wręcz przeciwnie. Nigdy nie powiedziałam, że to jest w porządku. Nienawidziła mnie z tego powodu.

- Dlaczego mi nie powiedziała? Jak inni?

Kavanagh przetrawiała jego pytanie.

- A co by pan zrobił, gdyby wiedział?

- Nie rozumiem! Kto tak postępuje? Kto wyjeżdża bez słowa lub listu z wyjaśnieniem? Nie znam mężczyzny, który by tak postąpił.

Kavanagh skinęła głową.

- To jest straszne. Ale takie rzeczy się wypalają. Proszę jej dać tydzień lub dwa. Myślę, że wróci. Dlatego niczego ze sobą nie zabrała. To rozwiązanie tymczasowe. Wróci.

- A kto ją przyjmie z powrotem?

Kavanagh spojrzała na niego. Odwrócił wzrok.

- Zabawne - powiedział. - Kiedy wyobrażasz sobie czasem coś takiego, jadąc do domu, myślisz, że nigdy byś tego nie wybaczył, nie byłbyś w stanie z tym żyć. Ale teraz nie jestem taki pewny. Nie mogę spojrzeć dzieciom w twarz, nie mogę wrócić do pracy, nie mogę rozmawiać z przyjaciółmi. Straciłem moje życie. Ale gdyby wróciła, nie wydaje mi się, żebym to kwestionował.

- Wiem - powiedziała Kavanagh głosem ciężkim od współczucia.

- Jak może być pani taka pewna, że ona się nie zabiła?

- Nie była typem samobójcy.

- A jest taki typ?

Spojrzała na niego łagodnie.

- Oczywiście. - Wzruszyła ramionami i wykonała ruch, jakby podnosiła papierosa do ust. - On jest młodym chłopakiem. Ona ma dzieci. Szybko się obudzą z tego snu. To nie potrwa długo.

- Nic nie trwa długo - powiedział Jared, dusząc się. Musiał przestać mówić.

- Tak. Nawet to, jak się pan teraz czuje. Nawet to.

Ale Kavanagh się myliła. To trwało.

Czy był za to odpowiedzialny, bo chciał jej kupić samochód?

- Jared, nie bądź śmieszny - powiedział Ezra po piątej rozmowie o tym jak i dlaczego. - Jak możesz być za to odpowiedzialny?

Ale Jared znów wyczuł cień oskarżenia, którego Ezra nie ubrał w słowa. Mógł być podenerwowany kryzysem na wydziale teatru, ponieważ reżyserka sztuki, której premiera miała się odbyć jutro, nie pojawiła się na próbie kostiumowej, ostatnim przeglądzie dekoracji, na kolacji po próbie, zniknęła bez słowa wyjaśnienia ku wielkiej rozpaczy członków obsady i ekipy, którzy wpadli w panikę, zwłaszcza Megan. Bez surowego głosu i zdecydowanych wskazówek Larissy nie potrafiła odnaleźć w sobie autorytetu dla bezbarwnej Joanny. Ezra powiedział wszystkim, że Larissa musiała wyjechać w ważnych sprawach rodzinnych i przez jakiś czas jej nie będzie, lecz Jared, patrząc na niego zaszklonym wzrokiem, rzucił: „Ez, gównu mnie obchodzi ta cała sztuka. Rozumiesz to?”. Ezra przestał więc o tym wspominać, ale mogło to tłumaczyć wrogość w jego głosie, kiedy mówił o zniknięciu Larissy. Być może był na nią zły, że zniknęła przed ostatnim wydarzeniem teatralnym w roku szkolnym i postawiła go w złym świetle. To takie niedelikatne.

- Słuchasz mnie, Ezra?

- Słucham.

Ezra przyszedł po próbie kostiumowej późnym popołudniem w środę i powiedział, że poszła okropnie. Był błądy i miał podkrążone oczy.

- Była przecież zadowolona z życia i nagle pewnego dnia spotkała jego? - zapytał Jared. - Czy tak postępują zadowoleni ludzie? Załamują się w zetknięciu z najmniejszą prowokacją? - Opowiedział Ezrze wszystko o Kaiu z wyjątkiem tej jednej przerażającej rzeczy - jego wieku.

Było jednak coś jeszcze, pomyślał Jared, podając Ezrze piwo Corona i chipsy z salsą pozostałe z poprzedniego dnia. Nie pamiętał tego dokładnie. Musiał poszperać w pamięci i wreszcie go oświeciło. Rozmowa przy kolacji.

Nie wspomniał Larissie o jaguarze. Nawet o nim nie myślał. Chciał kupić jakiś tańszy samochód, za połowę tej ceny. To ona powiedziała: „Jaguar?”. Co oznaczało, że musiała już go znać, wiedziała, że tam pracuje.

Ale mimo wszystko to nie ona poruszyła ten temat. Zrobił to on. Nigdy nie powiedziała: „Czy nie byłoby fajnie mieć jaguara?”, nie zasiała tego pomysłu w jego głowie. To wszystko jego sprawa. To on jechał pewnego ranka do pracy, zastanawiając się, jaki wyjątkowy prezent kupić jej na czterdzieste urodziny, kiedy minął go czerwony firebird, tak blisko, że niemal otarł się o jego terenowego lexusa. Najpierw zaklął pod nosem, a potem w jego głowie zapaliło się światełko i powiedział do siebie: „Chwileczkę! To jest to! Kupię jej sportowy samochód! Samochód młodości, piękna, bo ona jest piękna i na niego zasługuje. Stale wozi dzieci i w jej aucie walają się papierki po cukierkach, stare prace domowe i połamane kredki. Kupię jej samochód, do którego dzieci nie będą miały wstępu, którym będzie mogła jeździć tylko ona lub ja, i poczujemy się jak nigdy wtedy, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat, bo wtedy nie mieliśmy niczego”. No i spójrz, co mamy teraz.

- Zapomnij o jaguarze - powiedział Ezra. - Gdybyś go jej nie kupił, i tak by tam poszła, udając, że chce go kupić. Kiedy otworzyła się przed nią możliwość, na pewno znalazłaby sposób, żeby ją wykorzystała. Problem polega na tym, stary - ciągnął (innego dnia? Podczas innej rozmowy? A może podczas tej samej niekończącej się tego samego niekończącego się dnia?) - że patrzysz na to ze złej strony. Nie chodzi o pytanie: „Jak to się mogło wydarzyć, gdy wszystko układało się tak dobrze”, lecz: „To nigdy nie mogłoby się wydarzyć, gdyby wszystko układało się źle”. Chodzi o walkę. Bez niej organizmy się rozpadają. To znane zjawisko w świecie zwierząt. A w świecie ludzi organizm nie rozpada się, lecz wpada w rozpacz. A najgorzej jest, gdy „żyje” i nawet nie wie, że jest w rozpacz. Kiedy nie ma pojęcia, że powinien wyglądać przez okno, kwestionować swoje własne ego, czytać, by coś odkryć, lub zająć się sztuką. Walka to warunek konieczny całego życia.

Jared słyszał i nie słyszał, słuchał i nie słuchał, rozumiał i nie rozumiał.

- Nie przestawaliśmy walczyć - powiedział w końcu. - Byliśmy zajęci. Codziennie musieliśmy robić tysiąc rzeczy.

- Robiła to przez siedem lat. To mnóstwo dni, podczas których patrzyła przez okno na pole golfowe i zbierała zabawki dzieci.

- Nie wiem, o czym mówisz. Spokój to dobra rzecz. Walka jest zła. Podobnie jak niepokój i zmartwienia.

- Najwyraźniej organizm tak nie uważa - powiedział łagodnie Ezra.

- Wygadujesz bzdury. Przeczytaj jakikolwiek poradnik. Wszystkie mówią coś dokładnie przeciwnego. Mówią tylko o spokoju umysłu, ładzie.

- J a k te wszystkie książki pomagają nam żyć? Jesteśmy spokojni, żyjemy w ładzie? Nauczyliśmy się zapominać o naszych obawach? Nie martwić się tak bardzo? Dokąd zaprowadziły nas te wszystkie książki?

- Dokąd zaprowadziły ciebie?

- Donikąd - przyznał Ezra.

- Więc gdzie tkwi odpowiedź? - szepnął Jared.

- Być może w samym pytaniu - odparł Ezra. - Z książkami czy bez nich, z wiarą lub bez, jak stajesz się godnym nosicielem swojej nieśmiertelnej duszy?

- Ezra, masz w ogóle jakieś odpowiedzi?

- A n i jednej. Nawet nie wiem, czy zadaję właściwe pytania.

- Zadajesz niewłaściwe pytania, do cholery! - wybuchnął Jared. - Jak zawsze sprowadzasz to do ćwiczenia intelektualnego i ukrywasz się za swoimi książkami, kiedy dzieje się coś prawdziwego, z czym nie potrafisz sobie poradzić, nie potrafisz pomóc, rozwiązać problemu.

- To prawda - odparł Ezra, spuszczać głowę. - Nie potrafię sobie z tym poradzić. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła. Tak się ukrywam. Maggie ukrywa się na inne sposoby. A co ty robisz?

- Nie mogę sobie pozwolić na luksus ukrycia się - rzucił Jared. - Michelangelo ma karate za dwadzieścia minut, a Emily kończy trening siatkówki o piątej. Muszę jechać.

- Przyjdiesz na premierę?

Jared spojrział na przyjaciela, jakby miał dwanaście głów jak Meduza.

Maggie poprosiła go, żeby pojechał z nią do klasztoru w niedzielę rano.

- Wiesz, Maggie - odparł gorzko - na samym początku bałem się, że ona nie żyje. Strach był jak choroba. Wiesz doskonale, co mam na myśli. Więc modliłem się. Dobry Boże, cokolwiek. Nie pozwól tylko, żeby cierpiała, była ranna, została porwana, umarła. Proszę. Cokolwiek. O to właśnie się modliłem. Tak jest, Maggie, nie patrz tak na mnie. Czyż nie miło jest wiedzieć, że nawet kiedy nie chodzisz na niedzielną jutrznię, istnieje Bóg, który wysłuchuje wszystkich twoich cholernych modlitw?

* * *

Barbara dzwoniła do niego w poniedziałek, we wtorek i w środę. Wreszcie w czwartek, kiedy przywiózł do domu dzieci i zestawy z McDonalda na kolację, w obawie, że wpadnie niezapowiedziana, jeśli nie będzie odbierał telefonu, sam do niej zadzwonił.

- Jared!
- Wszystko w porządku, Barbaro. Jak się miewasz?
- Co robisz w domu tak wcześnie?
- Wziąłem sobie wolny dzień. Co słychać? Właśnie wychodziłem...
- Mogę porozmawiać z Larissą? Czy w ten weekend odbędzie się premiera jej sztuki? Chciałam przyjechać i ją zobaczyć. Może zostawić dla mnie bilet?

- Jakiej sztuki? - zapytał.
- *Świętej Joanny!*
- Barbaro... ona nie... Przykro mi... Nie będzie jej na premierze... Musiała zrezygnować... Co? Nie powiedziała ci? Tak... bardzo mi przykro. Możesz oczywiście przyjechać, ale nas tam nie będzie... Nie, nie majej w tej chwili, właśnie wyszła. Mogę jej coś przekazać?

- A co, jesteś recepcjonistą w hotelu? Zrezygnowała ze sztuki? Na miłość boską, dlaczego?

- Niedługo do ciebie zadzwoni i wszystko wyjaśni. Na pewno.
- Nie będę czekać. Nie zapomnij jej powiedzieć, że dzwoniłam.

- Nie zapomnę.

To było we czwartek, siedem dni *po*.

W sobotę spełniły się najgorsze obawy Jareda. W porze lunchu rozległo się głośne pukanie do drzwi i do domu weszła jak zawsze elegancka Barbara. Michelangelo zaraz do niej podbiegł. Emily i Asher pomachali z dołu. Za kilka minut Emily miała recital dla weteranów drugiej wojny światowej w kościele Calvary Episcopal. Asher próbę zespołu. Jared miał odwiedzić starsze dzieci, a potem zabrać Michelangela do sklepu Old Navy, żeby kupić mu letnie szorty. Wszyscy byli w biegu, a Barbara miała szczególnie talent do zjawiania się w najmniej odpowiedniej chwili. Na początku ich małżeństwa, przed Hoboken, lecz już po przyjeździe na świat Emily, byli tak splekani, że musieli mieszkać z Barbarą w Piermont. Jared uwielbiał bliskość wielkiej rzeki Hudson, uwielbiał życie typowe dla małego miasteczka, uwielbiał Orange County, lecz oboje z Larissą przyznali zgodnie, że żadne doznania estetyczne nie są w stanie przeważać minusów życia z teściową, nawet przez krótki czas.

- Nie z teściową - powiedziała wtedy Larissa - lecz z moją matką.
- Cześć, dzieci - powiedziała Barbara, przytulając najmłodsze.
- Cześć, babciu. Właśnie wychodzimy.
- Dokąd się wybieracie? I gdzie jest mama?

Emily spojrzała rozpaczliwie na Jareda, który pokręcił głową i powiedział:

- N i e mająj.

Michelangelo, przyklejony do biodra Barbary, sychnął całą sprawę.

- N i e ma jej tutaj prawie jak od zeszłego roku - powiedział.

Czy tak właśnie czuł, pomyślał Jared, odrywając go od majestatycznej siwowłosej kobiety, która wyprostowała się i obrzuciła zięcia zimnym spojrzeniem. Zawsze podejrzewał, że nie jest w stanie sprostać jej oczekiwaniom. Ale i Larissa przez całe życie podejrzewała to samo: że nie jest w stanie spełnić oczekiwań matki. Co było w sumie dziwne. Bo kto mógł im sprostać?

- Co to znaczy, że jej tutaj nie ma?
- Mamusia odeszła - powiedział Michelangelo. - Szuka jej policja.

I tato też.

Zapadła ciężka cisza. Nikt się nie ruszał, nie mrugał, nikt się nie odezwał. Jared czuł, że nie dzieje się tak z woli żadnego z nich, ale dlatego że cyfrowy aparat życia kliknął i nadal przetwarzał obraz, a oni zostali w nim uwięzieni, podczas gdy mały minutnik tykał i tykał.

Tak było. Chwila przed - i chwila po.

- Jared...?

- Barbaro, wszystko jest w porządku - powiedział. Nie chciał straszyć dzieci. - Chodź do kuchni. Napijesz się kawy? Emily, zabierz Michelangela na górę i ubierz go. Wychodzimy.

- Tato, musimy wyjść za piętnaście minut.

- Będę gotowy. A wy?

Poszła, przewracając oczami.

Asher bez słowa poszedł na górę do swojego pokoju.

W kuchni Barbara odwróciła się do Jareda.

- Nie chcę kawy.

- I dobrze - odparł cicho - bo nie zamierzałem jej przyrządzić.

- Co się dzieje? Powiedziałaś, że wszystko jest w porządku.

- Bo jest. - Nie patrzył na nią. - Nikt nie wie, co myśleć. Nie ma jej tutaj. Przyznaję, to trochę tajemnicza sprawa. - Wzruszył ramionami. Silił się na obojętność, ale mu się nie udawało, co widział po wyrazie paniki na nagle postarzałej twarzy teściowej. Ona jest stara, pomyślał. Ma prawie osiemdziesiąt lat. Ale w jakiej jest formie. Wszędzie sama jeździ. Dobrze się ubiera. Może Larissa tak wyglądałaby na starość.

- Jared!

- Przepraszam. Słucham?

- O czym ty mówisz? - Barbara przyłożyła dłoń do serca i zaczęła ciężko oddychać. - Co się stało?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Nikt jej nie widział od piątku.

- Boże święty! Na pewno miała wypadek.

- Też tak myśleliśmy. Ale jej samochody stoją tutaj.

- W samochodzie kogoś innego!

- Hmm. Policja bada sprawę.

- Od zeszłego piątku? - Przytrzymała się wyspy. - Ponad tydzień? - Kiedy Jared nie odpowiedział, zaczęła naciskać. Ale nie mógł jej nic więcej powiedzieć. - Jeśli jeszcze jej nie znaleźli, to nie najlepiej szukają - oświadczyła w końcu.

- Zgadza się.

Powiedział Barbarze wszystko: że torebka Larissy nadal leżała w domu, pozwalając się domyślać nieoczekiwanego wyjścia lub planowanego szybkiego powrotu. Chciał dać jej do zrozumienia, że nie miała zamiaru odejść.

Ale odeszła.

Żałował, że pojechał do Kavanagh. I do salonu Jaguara. Żałował, że pojechał na Albright Circle. Marzył, by nadal tkwić w nieświadomości. Gdyby babcia miała wąsy...

Barbara przez pięć minut siedziała skulona na barowym stołku. Emily zeszła na dół, za nią Asher.

Powiedział, że musi odwieźć dzieci. Czy chce poczekać? On nie chciał, by czekała. Jego relacja z nią zawsze była serdecznie napięta. Nigdy nie spędził z nią więcej niż pięciu minut bez Larissy.

To był dobry sposób, by opisać większość jego dorosłego życia. Nie spędził w nim ani pięciu minut bez Larissy u boku.

Zostawił Barbarę w kuchni i odwiózł Emily do kościoła.

- Tato, dlaczego nie możesz zostać? To występ otwarty dla publiczności.

Ale miała ich tak wiele, a on był tylko jeden. Powinni byli to przeżyć i przywieźć Barbarę. Na twarzy Jareda malowała się walka wewnętrzna. Asher wysiadł z samochodu z gitarą.

- Ja zostanę, tato. Nie martw się. Zostanę, a potem pójdę piechotą do Jamesa. To pięć minut stąd. Nic mi nie będzie. Chodź, Em.

Najwyraźniej Michelangelo nie będzie miał letnich ubrań. Jared zaparkował samochód na ulicy, weszli do środka i usiedli w ławkach. Kwartet smyczkowy i orkiestra szkoły średniej w Summit grały melancholijnie przez godzinę. Potem Asher poszedł do Jamesa, a Emily do Jemmy. Jared zabrał wiolonczelę i Michelangela do domu.

Kiedy wrócili, Barbara zdążyła już posprzątać kuchnię, salon i pokój na dole. Sprzątała jak Larissa. Metodycznie. A może raczej to Larissa sprzątała jak matka?

Jared włożył Michelangelowi zeszłoroczne kąpielówki, wrzucił go do basenu i zrobił mrożoną herbatę dla Barbary. Siedzieli przed domem i patrzyli, jak Michelangelo i Riot pluskają się w basenie. Było ciepło, słonecznie, prawie trzydzieści stopni. Jared nie pił herbaty. Wszystkie normalne rzeczy zniknęły z jego życia.

Siedział naprzeciwko Barbary i rzucał jej ukradkowe spojrzenia, próbując ją niezauważalnie obserwować. Zastanawiał się, co w tej kobiecie sprawiło, że Larissa stała się taką, a nie inną kobietą? Zawsze wydawało mu się, że sajak dwa bieguny. Larissa była ciepła, zabawna, dowcipna, bezpretensjonalna, naturalna, miła. Barbara zaś - układna, pełna rezerwy, zasadnicza, sucha, poważna. Obie cechował spokój, lecz szorstkość Barbary w Larissie zastąpiła pełna uśmiechu łagodność. Barbara trzymała wszystkich z wyjątkiem dzieci na dystans, Larissa nigdy tego nie robiła. Myśl o tym przeszła go aż do miejsca, z którego czuł i oddychał, jakby ktoś wypuścił mu powietrze z płuc. Zgadza się. Zaciśnął zęby. Ona nikogo nie trzymała na dystans. Z surowym wyrazem twarzy przyglądał się teściowej.

Czego szukał?

W końcu Barbara nie mogła tego dłużej ignorować.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - spytała, marszcząc groźnie brwi.

Pochylił się na krzesło i splótł dłonie.

- Próbuję zrozumieć, co się dzieje.

- Próbujesz odgadnąć, w jaki sposób jestem za to odpowiedzialna?

Jared milczał.

- Głuptasie - powiedziała. - Mam trzech synów starszych od ciebie i dlatego mogę cię tak nazywać. Głuptasie. Nie domyśliłeś się jeszcze, że przez całe życie Larissa zmagала się z tym samym pytaniem? Jak rzucić winę na mnie?

- Za co? - zapytał. - Była cudowna. - Zaciśnął dłonie w pięści. - I miała dobre życie. Dlaczego miałyby cię o cokolwiek obwiniać?

- Dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym?

Nie zamierzał odpowiedzieć.

Ona też mu nie odpowiedziała.

- O co miałyby cię obwiniać? - powtórzył, ale w jego płucach zabrakło powietrza. Nie mógł już więcej mówić, jego gniew też wyparował.

Po pięciu minutach milczenia Barbara przemówiła.

- Co mogę zrobić? Jak pomóc?

- Masz pojęcie, gdzie ona może być?

- Skądże! Dlaczego miałabym je mieć? - Odstawiła pustą szklankę. - Wiesz, że mi się nie zwierzała. Nawet jeśli działo się bardzo źle, Larissa zawsze udawała, że wszystko jest w porządku. Robiła tak przez całe życie. W środku zamęt, lecz na zewnątrz uśmiechy i superciuchy. Dlatego nie wiedziałam, że zawaliła fizykę i hiszpański, nie wiedziałam, że w szkole średniej zadaje się z podejrzanym towarzystwem, dopóki jednego z nich nie aresztowano za kradzież w supermarkecie, a drugiego zaatakowały psy ochrony podczas próby kradzieży narkotyków z kliniki. Co, nie wiedziałeś o tym? Wiesz, czego jeszcze nie wiedziałam? Że kocha teatr. W szkole średniej żadnego zainteresowania, a potem nagle w college'u to był jej główny przedmiot. Powinnam była wiedzieć, że chodzi jej o dramaty i sekrety. O udawanie, że żyje poza uznanymi zasadami, a postępuje jak najbardziej tradycyjnie. Uwielbiała tę fałszywą romantyczną dychotomię.

- O czym ty mówisz?

- Uciekliście! Chcieliście wszystko robić po swojemu. Nikt nie mógł wam niczego kazać. Ale uciekliście, żeby się pobrać - trudno o większą dbałość o konwencję. Byliście buntownikami tradycjonalistami i myśleliście tylko o sobie. Nie daliście mi nawet okazji, żebym uczestniczyła w ślubie mojej jedynej córki.

- Źle nas zrozumiałaś - wyjąkał Jared. - Nie mieliśmy grosza i nie chcieliśmy, żebyś to ty wydawała pieniądze - wyznał z poczuciem winy. Nigdy nie czuł się z tym dobrze.

- Dałeś się w to wmanewrować? - wykrzyknęła Barbara. - Jakie to egoistyczne! Odebrać mi przyjemność oglądania ślubu mojej córki.

I twoim rodzicom oglądania ślubu syna. To nie ja źle to zrozumiałam. To ty źle rozumiałaś swoją rolę we własnym życiu i życiu swojej rodziny. I zastanawiasz się, dlaczego zawsze byłam przy was taka spięta. Pozwoliłaś, żeby cię omotała, przekonała do ucieczki.

- Przestań. - Chciał wstać i sam uciec. - Przestań! Co to ma wspólnego z tym wszystkim?

- Według ciebie nic. Bo ty nadal nie łączysz faktów. I dobrze. Może pewnego dnia to zrobisz. Zobaczysz, że to ma bardzo wiele wspólnego z twoim obecnym położeniem. - Wstała. - Przestań tak na mnie patrzeć. Nie znam odpowiedzi. Nie wiem, gdzie ona jest. Nawet nie wiem, kim jest. - Dotknęła lekko jego ramienia, nie cofnął się. - I wiesz, na czym teraz polega cały problem?

- Jeszcze jak.

- Kobieta, którą wydaje ci się, że znasz, nie mogła tego zrobić. A jednak nie ma jej tutaj. I na tym polega problem, mój chłopcze. Ty też nie wiesz, kim jest Larissa.

2

Wszystkie rzeczy pod niebem

Dwa tygodnie zajęło Jaredowi odnalezienie numeru Ernestyny. Dwa czerwcowe tygodnie, w czasie których wrócił do pracy, udawał, że wszystko jest w jak największym porządku, i koordynował z Maggie opiekę nad Michelangelem, zespół Ashera i stanowy koncert Emily, na którym grała na pierwszej wiolonczeli. Maggie nie mogła odbierać Michelangela codziennie, bo musiała jeździć do szpitala na badania. Jared dzwonił więc wieczorami do Tary lub rodziców innych dzieci z klasy i prosił, by przetrzymali jego syna u siebie do szóstej, kiedy wróci z pracy. Tłumaczył wszystkim, że Larissa musiała wyjechać w ważnych sprawach rodzinnych, i bardzo przepraszał, że się narzuca. Umieściłby

chętnie Michelangela w świetlicy objętej programem dla pracujących rodziców, ale rok szkolny kończył się za kilka tygodni i nie przyjmowano już nowych dzieci.

- Może we wrześnieu - powiedziała Joan, koordynatorka programu.

- Wtedy na pewno nie będzie takiej potrzeby - odparł. - Ale dziękuję.

Najtrudniejsza była kolacja. Kiedy nie gotuje się od dwudziestu lat, a tylko udaje, rozpalając grill i wrzucając na niego hamburgery, które ktoś inny przyprawił i uformował, trudno pogodzić się z sytuacją, w której codziennie trzeba myśleć, co zrobić na kolację dla pięciu wybrednych osób. Trzeba kupować jedzenie na wynos. Chińskie, tajskie, z Mickey D's, dania z baru, znów chińskie.

Jared nie znał nazwiska Ernestiny i nie znalazł jej w wizytowniku; Larissa musiała wyrzucić jej wizytówkę, kiedy zwolniła ją z pracy. Znalazł nazwisko w pudełku z kartkami świątecznymi sprzed czterech lat. I tylko dlatego że Ernestina napisała: „Wesołych świąt życzy rodzina Lopezów”. Ponieważ prowadziła firmę „Lopez - profesjonalne sprzątanie” w Millburn, znalazł jej numer w książce telefonicznej.

- Proszę pana, nie wiem, gdzie ona jest - powiedziała, gdy do niego oddzwoniła. - Taka smutna, że mi wyrzuciła. Nie miałam od niej dawno wiadomości.

Dziesięć minut zajęło mu wyjaśnienie, czego potrzebuje. Pani Stark zaginęła. Czy Ernestina pamięta coś dziwnego w jej zachowaniu w ciągu ostatnich kilku miesięcy? Czy coś zauważyła, usłyszała, coś niezwykłego?

- Nie, wszystko było w porządku, panie Jared, nic nie było złe. Dlatego taka zaskoczona, że mi wyrzuciła.

Kolejne pięć minut poświęcił na wyjaśnianie, że nie chodzi o Ernestinę, lecz Larissę. Czy z nią coś było nie tak? Czy robiła dziwne rzeczy?

- Żadne dziwne, panie Jared. Dobra dla mnie, dobra pani. Nigdy mnie źle nie traktowała, dopóki mnie wyrzuciła.

Kolejne pięć minut.

- Czasami - powiedziała Ernestina - długo się szykowałem.

Cała Larissa.

- A ja mówiłam: „Pani Larisso, pani pięknie wygląda, gdy jedzie do supermarketu”. Odpowiadała: „Nigdy nie wiadomo, kogo spotykasz, Ernestino”. Ale zawsze wygląda naprawdę ładnie. To wszystko.

Nie pamiętała żadnych rozmów telefonicznych, nikt nie przychodził do domu.

- Jedną rzecz zauważyłam - dodała. - Pani Stark przestała mówić, że trzeba to czy tamto wyczyścić. Kiedyś rozbiłam świąteczną figurkę i wcale nie była zła. Gdy zapomniałam myć kabinę prysznicową, wcale jej to nie złości. Przestała mnie prosić o dodatkowej pracy. Zawsze płaciła i dziękowała, mówiła dom wygląda pięknie, nawet gdy moje dziewczyny nie zrobiły coś dobrze. Nie jak wcześniej.

Kiedy Jared odłożył słuchawkę, zastanowił się, co o tym myśleć. Larissa była roztargniona w sprawie sprzątanania? Trudno ją o to obwiniać; on sam nawet nie wiedział, ile płacą Ernestinie.

Kilka dni później Ernestina zadzwoniła jeszcze raz.

- Tak? - Jared zerwał się z barowego stołka i przytrzymał ręką rogu wyspy. Była ósma rano. Michelangelo ciągnął go, żeby już wyszli. Machnął ręką i odwrócił się, by lepiej słyszeć Ernestinę.

- Tuż przed zwolnieniem jedna z moich dziewczyn, niezgrabna, straciła drewnianej kasetki na toaletce pani Larissy. Odkurzała i...

- Tak, tak?

- Na podłogę wypadło pełno gotówki.

- Co wypadło na podłogę?

- Gotówka.

- Pieniądze?

- Tak, panie Jared. Mnóstwo pieniędzy.

- Mnóstwo, czyli ile?

- Mnóstwo. Nie liczyłam. Zaczęłam pomagać Cindy zbierać i weszła pani Larissa. Zdenerwowała na nas i krzyknęła, co robimy. Może myślała, że kradniemy albo coś takie, ale byłam u was sześć lat i nigdy nie wzięłam jeden cent.

- Wiedziała o tym, Ernestino.

- Tak, ale w następnym tygodniu mnie zwolniła.

Przypomniął sobie, że Larissa powiedziała mu, że podejrzewa dziewczęta o kradzież. Ale pamiętał też, że powiedziała „biżuteria”. Nie wspominała o gotówce. Nigdy jej nie miała.

- Jakie to były pieniądze?

- Pięćdziesiątki, setki. Nigdy nie widziałam taką gotówkę w jednym miejscu. Powiedziała mi, że to fundusz na świąteczne napiwki.

Jared odłożył słuchawkę i popędził na górę.

- T a t o!

- Minutkę, synku.

- Spóźnimy się.

- Tak, spóźnimy się.

Zatrzasnął za sobą drzwi do sypialni.

Duża drewniana kasetka stała na toalecie Larissy. Dostała ją wiele lat temu w prezencie urodzinowym od Maggie. Z jasnego drewna, pomalowana w pastelowe kwiaty. Maggie pomalowała ją sama, gdy była w fazie ozdabiania przedmiotów. Jared wstrzymał oddech, zacisnął zęby i otworzył kasetkę.

Była pusta. W środku nie było ani centa, nawet na dzień pod wizytówką fryzjera, wizytówką ortopedy w Sparcie, paragonem na dwadzieścia dolarów za pistolet wodny kupiony przed trzema laty i biletem do kina, do którego poszli przed narodzeniem Michelangela, gdy jeszcze chodzili do kina. Nie było żadnych pieniędzy.

Michelangelo. Czekał na dole, z plecakiem, w butach i kurtce.

Spóźnili się do szkoły czterdzieści pięć minut. Michelangelo był tak wściekły, że nie pozwolił się Jaredowi pocałować w głowę, tylko pobiegł korytarzem.

Kiedy Jared wrócił do domu, przeszukał wszystkie szuflady w jej komodzie, każdy zakamarek w szafie, każdą kieszeń džinsów, książkę na półce. Nigdzie nie było żadnych pieniędzy. Dzwonił telefon, lecz on nie odbierał. Na pewno dzwonią z pracy. Zapomniał ich zawiadomić, że nie przyjdzie. Wymówka, którą szepnął recepcjonistce Jordan, gdy w końcu zadzwonił, zabrzmiała żałośnie. Napisał maila do Larry'ego, żeby nie musieć mu tego mówić. „Przepraszam. Nagła sprawa rodzinna. Mam nadzieję, że jutro przyjdę”.

Wszedł do internetu, otworzył ich konto bankowe i lokaty i sprawdził każdą transakcję z ostatnich dwunastu miesięcy, z każdego dnia. Nie znalazł nic niezwykłego. Wybierała pieniądze, żeby zapłacić za sprzątanie. Sto dolarów tu, sto tam.

Na koncie nie było żadnych informacji, że żona wypłaca inne pieniądze, z których nie mogła się wytłumaczyć. A jednak je zarabiała. Przez rok płacono jej kilkaset dolarów tygodniowo w Pingry. Pieniądze wpływały bezpośrednio na ich wspólne konto. Każdy czek był odnotowany. Nie było żadnych wypłat w banknotach pięćdziesięciodolarowych.

Pojechał do Bank of America w Summit.

Diane wyszła zza biurka, by się z nim przywitać.

- Jared! Dawno pana nie widziałam. - Była uśmiechnięta, elegancko ubrana, atrakcyjna. Młodo urodziła dziecko, miała już córkę w college'u. Jakiś czas temu Jared doradzał jej finansowo, a teraz ona robiła wszystko, by pomóc mu z lokatami, wypłatami, zwiększeniem debetu, ze wszystkim, czego potrzebował. Osobista obsługa w każdy sobotni poranek.

Teraz też czegoś potrzebował.

- Diane - zapytał - pamięta pani może, czy moja żona zjawiła się tu jakiś miesiąc czy dwa temu i podjęła znaczną sumę z konta? Może miała osobne konto, o którym nie wiedziałem?

To go zmroziło, musiał usiąść. Co mógł zrobić? Musiał pytać. Musiał wiedzieć.

- Nie - odparła Diane z wyrazem niepokoju na twarzy. - O ile wiem, nic takiego nie było. Ale sprawdzę.

Podawała mu szklankę wody i podeszła do komputera.

- Nie, jest tylko jedno konto, które założyliście po przeprowadzce z Hoboken. Wszystkie wyciągi i lokaty są w porządku.

- N i c więcej?

- N i e .

- Nie przyszła tutaj i nie wypłaciła dużej sumy?

- N i e . Z wyjątkiem międzynarodowych przekazów pieniężnych, które wysyłałaliśmy co kilka miesięcy, na pięćset dolarów, tysiąc, dla jej przyjaciółki na Filipinach, Claire Cherege.

- To wiem. Coś jeszcze?
- A l e co?
- Nie wiem.
- Proszę poczekać - powiedziała Diane, widząc jego zdenerwowanie. - Zapytam dziewcząt.

Wróciła kilka minut później z Beatrice.

- Beatrice pamięta - powiedziała Diane - że pani Stark przyszła do nas jakiś czas temu i wymieniła mnóstwo banknotów o niskich nominałach na większe. Dziesiątki i dwudziestki na pięćdziesiątki i setki.

Beatrice zawołała inną koleżankę, Missy. Nigdy żadnej z nich nie widział. Były młode i nowe w pracy.

Missy potwierdziła, że ona też wymieniała banknoty dla pani Stark.

- Kiedy? Miesiąc temu? - zapytał poblady Jared. - Dwa?

Kilka razy, powiedziały. Beatrice widziała Larissę piętnastego kwietnia, po dniu rozliczeń podatkowych, ponieważ pamięta, że z nią żartowała.

- Zapytałam ją, czy to zwrot podatku, a ona roześmiała się i powiedziała, że to pieniądze na świąteczne napiwki.

Missy ostatni raz wymieniała pieniądze dla Larissy tydzień przed Dniem Pamięci.

- Powiedziała, że wybierają się państwo do Atlantic City na długi weekend. I że czuje, że dopisze jej szczęście.

- Macie zapis tych transakcji? Ile wymieniliście? - zdołał zapytać. - W ciągu ostatniego roku?

Beatrice musiała sprawdzić w komputerze. Kiedy wróciła, Jared zorientował się, że nie chce mu powiedzieć. On nie chciał zapytać.

Oboje milczeli.

Kilka razy odchrząknęła. Wszystkie trzy stały nad nim jak kwoki, próbując osłonić go spódnicami. Przed czym?

Wreszcie Beatrice odchrząknęła chyba po raz czterdziesty.

- W sumie to było trzydzieści siedem tysięcy dolarów - powiedziała.

- Ile? - wyszeptał bezgłośnie, nagle oniemiały. Wyrwa pozostała

po jej zniknięciu niemal się zmniejszyła, ponieważ ogrom tej sumy wchłonał ją tego ranka w banku. Musiał usłyszeć to jeszcze raz. Nie ufał sobie. Pomyślał, że się przesłyszał.

Beatrice powtórzyła.

Nie przesłyszał się.

- Ale to w sumie - powiedziała szybko Beatrice. - Nie na jeden raz. Przychodziła co najmniej trzy razy. Może więcej. Ale trzy w ciągu ostatnich czterech miesięcy. - Wpatrywała się w kartkę papieru. - Raz tuż przed Dniem Pamięci. Raz po dniu rozliczeń podatkowych. I raz w lutym.

- Chce mi pani powiedzieć, że moja żona przyszła tutaj, żeby wymienić trzydzieści siedem tysięcy w banknotach jednodolarowych i nikomu nie zapaliło się żadne światełko?

- To były dziesiątki i dwudziestki, proszę pana - powiedziała zaniepokojona Diane. - Przykro mi. Nie zwróciliśmy na to uwagi. Jesteśmy bankiem. To nasza praca.

- Nie wypłacała żadnych pieniędzy?

- Nie. Z wyjątkiem przekazów na Filipiny nie było żadnych wypłat.

Jared chciał wstać, ale nie ufał własnym nogom. Czuł się śmiesznie, siedząc przed trzema kobietami, które próbowały załagodzić sytuację. Nie wiedział, jak długo był w transie, ale kiedy wrócił do rzeczywistości, trzy pracownicy stały nad nim, patrząc na niego z wielkim finansowym współczuciem. Biedak, mówiły symbole dolarów w ich oczach. Żona wypłaciła z ich wspólnego konta dziesiątki tysięcy dolarów, a on nic o tym nie wiedział. I coś jeszcze. Gdyby ktoś wypłacił z mojego konta pięćdziesiąt dolarów, na pewno bym o tym wiedział, mówił wyraz ich twarzy. Wyobraźcie sobie życie, w którym może zginąć czterdzieści tysięcy dolarów, a ty nawet o tym nie wiesz. Chciał im powiedzieć: „Wyobraźcie sobie życie, w którym może zginąć żona, a ty nawet o tym nie wiesz”.

Wstał, by odwrócić się od ostatniej rzeczy, którą wyczytał w ich radosnych, nie nierozumiejących spojrzeniach: „Chciałabym wieść takie życie”. Pokuśtykał jak kaleka.

Po powrocie do domu siedział w gabinecie do drugiej czterdzie-

ści. Przez cztery godziny sprawdzał każdą wypłatę z konta z ostatnich czternastu miesięcy. Płacił rachunki, spłacał jej kartę Visa, American Express, Mastercard. Płacił wszystko. Na kartach kredytowych nie było żadnych długów. Ani jednego.

Na koncie debetowym też nie było żadnych niezwykłych wypłat, ale niemal codziennie pojawiały się zakupy w „punktach sprzedaży”. Punktami sprzedaży były supermarket i drogeria. Punkt sprzedaży oznaczał, że kiedy Larissa płaciła za szampon, mydło i mleko kartą debetową, prosiła o wypłatę gotówki. Codziennie. Do pięćdziesięciu dolarów. W niektóre dni pojawiały się dwa punkty sprzedaży.

\$57,14

\$394,07

\$98,53

Kwoty za wszystkie zakupy przewyższały pięćdziesiąt dolarów, co oznaczało, że Larissa mogła bez problemu podjąć z konta trzydzieści siedem tysięcy, może więcej. Codziennie brała od pięćdziesięciu do stu dolarów, a on nic o tym nie wiedział.

Przywarł do tego. Potem się odkleił. Czuł, że lada moment utraci środek swojego istnienia.

To nie był zakup zachcianka, ucieczka podyktowana impulsem. To był zaplanowany z premedytacją atak na jego życie dokonany przez jego żonę. Larissa planowała ucieczkę od ponad roku. Załatwiła sobie pracę, dostawała pieniądze, lecz nie zwracając na siebie uwagi, wybierała pieniądze z ich konta, ukrywała je, wymieniała, przygotowywała się. Planowała zabrać te pięćdziesiątki i odejść. Przez rok!

To właśnie mówił wyraz twarzy weteranów Finneya i Cobba! Widzieli to już wcześniej - śmierć, porwanie, morderstwo. To też widzieli. Dlatego nie uznali go za podejrzanego. On stale mówił o zaginięciu, a oni przyglądali mu się sceptycznie. Teraz wiedział. Wyraz ich twarzy mówił: „Jest pan pewny, że pańska żona zaginęła? Może dla pana. Ale ona może znajdować się dokładnie tam, gdzie chce”.

Nie był podejrzany. Był tylko biednym palantem.

Czy kiedykolwiek pan się nad tym zastanawia, panie Jared, kiedy siedzi pan i liczy dla pieniędzy pieniądze innych ludzi?

Nic nie powiedział policji o swoich odkryciach. O chłopaku z salonu Jaguara, o banku i gotówce. Chciał, żeby ją znaleźli.

Chciał, żeby ją znaleźli, by mógł ją zabić.

* * *

Oszalały Jared, szukając sam nie wiedząc czego, przewrócił szafę Larissy do góry nogami, wyrzucił na podłogę całą zawartość jej komody i przeszukiwał ją metodycznie, jakby szukał sposobu zaoszczędzenia dla Prudential trzech milionów kosztów operacyjnych na kwartał. Wtedy właśnie znalazł listy Che z ostatnich dwóch lat i czekając do drugiej czterdzieści, przeczytał je wszystkie po kolei, kończąc na ostatnim wołaniu o pomoc od zrozpaczonej ciężarnej Che.

Kochana Larisso!

Nie mam już wyjścia. Bardzo przepraszam, nie mogę uwierzyć, że Cię o to proszę. Proszę. Błagam. Czy mogłabyś poprosić Jareda, żeby pożyczył nam pieniądze na kaucję? Będziemy spłacać tę pożyczkę do końca życia, ale proszę, poproś Jareda, żeby wystął mi pieniądze na uwolnienie Lorenza.

Poproś go, żeby nam pomógł. Błagaj, żeby pomógł mojemu nienarodzonemu dziecku.

Tasadayowie, Larisso! Mindanao! Mam zostawić moje dziecko, uciec, poprosić ojca Emilia, by poręczył za Lorenza, choć wiem, że proszę go, by poręczył za człowieka, który planuje uciec za te pięćdziesiąt tysięcy i nigdy nie wrócić. Co się ze mną stanie?

Larisso, zastanawiałam się, czy mogę przyjechać i zatrzymać się u Ciebie? Może przysłałabyś nam bilet lotniczy i zostałabym z dzieckiem u Ciebie przez jakiś czas. Możesz to zrobić? U Ciebie będę bezpieczna, bo tutaj nie jestem.

Tak bardzo się boję. Przez wszystkie te lata myślałam, że jestem dzika i wolna, a okazuje się, że wcale nie.

Nie mogę sobie wyobrazić, że uciekam od Lorenza. Zupełnie jakbym zostawiała go na pożarcie wilkom. Stanąć przed sądem za coś, czego

nie popełniło się umyślnie, iść do więzienia! Jak mogę go porzucić? Potrzebuje mnie.

Nie będę w stanie zostawić dziecka. Ale nie mogę też zostawić Lorenza.

Mój Boże, Larisso, co mam począć?

Proszę, napisz do mnie. Potrzebuję Cię. Od wieków nie miałam od Ciebie wiadomości. Zadzwońabym, ale nie mam pieniędzy. Wyrzuciono mnie z domu. Nie płaciliśmy czynszu od pół roku. Poród opóźnia się o tydzień. Nawet moje dziecko nie chce przyjść na ten zwariowany świat. Teraz karmi mnie ojciec Emilio. Jem razem z zakonnkami. I z nimi mieszkam. Gdzie bym była bez wstawiennictwa Jego córek?

Chwilę po przeczytaniu listu Jareda ogarnęła szalona nadzieja, że Larissa wzięła pieniądze, by zapłacić kaucję za chłopaka Che. Ale to było absurdalne. Wypłaty gotówki zaczęły się na długo przed tym, kiedy Che potrzebowała dużej sumy pieniędzy.

Zanim zdążył posprzątać, była druga czterdzieści. A o trzeciej trzydzieści Emily zadzwoniła ze szkoły i poprosiła, by wziął jej kostium kąpielowy i ręcznik, odebrał ją i zawiózł na basen w Chatham. Michelangelo też chciał jechać.

Jared siedział nad basenem i patrzył, jak Michelangelo pływa pieskiem na głębokim końcu, wykrzykując co chwilę: „Tatusiu, patrz!”. Kiedy jeszcze byli na basenie, zadzwonił Asher z prośbą, by odebrać go ze wzmacniaczem i gitarą.

Potem Jared zabrał mokre i suche dzieci do klimatyzowanej knajpki. W domu na podłodze nadal panował bałagan. Nie wiedział, co zrobić z karteluzkami, starymi paragonami, listami Che. Gdzie w domu można umieścić do wykorzystania w przyszłości listy najlepszej przyjaciółki żony, która wyparowała jak poranna mgła? W żadnym domu nie ma dobrego miejsca na coś takiego. Trzeba je schować do pudła z napisem: nigdy więcej o tym nie myśleć.

Jared codziennie odkrywał coś, co boleśnie przypominało mu o stanie, w jakim się obecnie znajduje. To było jak sataniczne rytuały, podczas których ofiary rozrywano na części, jak droga prowadząca do piekła, która nigdy się nie kończy, pomimo tego, co głosi doktor Kavanagh. Myli się jednak - to ciemny wąski korytarz obecnego życia.

Rytuał 1: Pojechał do miasta do doktora Younga, by naprawić poluzowane okulary. Jego żona, również lekarka, zapytała:

- Czy Larissa jest zadowolona z nowych okularów?

- Jakich nowych okularów? - zapytał. Myślał, że już wszyscy w mieście słyszeli o tym, co się stało. Najwyraźniej nie. Czy ludzie przestali już złośliwie plotkować, żeby nie musiał stale słyszeć imienia Larissy?

- Nowe okulary Prady do czytania. Powiedziała, że jedna para jej nie wystarcza, bo zawsze zostawiają przy łóżku. Zamówiła więc drugą, by nosić w torebce.

- Oczywiście. Musiałem zapomnieć. Proszę mi odświeżyć pamięć. Kiedy to było?

Doktor Young sprawdziła w komputerze.

- W kwietniu. Złote. Bardzo ładne. Na pewno je pan widział.

- Tak. Rzeczywiście są bardzo ładne. - Przytrzymał się szklanej lady. - Naprawa już gotowa?

- Tak, prawie.

To się chyba nigdy nie skończy. Doktor Young zaśmiała się cicho.

- Larissa powiedziała mi, że pan nigdy niczego nie zauważa. Powiedziała, że mogłaby założyć wysadzany brylantami diadem, a pan by zapytał, czy zrobiła coś z włosami.

- Cały ja - szepnął. - Nie jestem zbyt spostrzegawczy. - Wyciągnął drżącą rękę. - Mogę dostać okulary? Spieszę się.

Rytuał 2: Po wizycie u okulisty zadzwonił do ginekologa. Zamierzał sprawdzić wszystkich specjalistów. Dlaczego miałby się ograniczać tylko do okulisty i psychoanalityka? Powiedział recepcjonistce, że nie wie, co zapisano na rachunku. Larissa prosiła, żeby załatwił jej receptę, a on nie wie, co to takiego norethindron.

- Norethindron? Chodzi panu o pigułki antykoncepcyjne?

Skulił się nad biurkiem.

- Oczywiście - powiedział zduszonym głosem. Pigułki antykoncepcyjne. Wszystko pasowało. - Żona zgubiła receptę. W naszej aptece jej nie ma. Najak długo była wypisana?

- Ostatnia?

Ostatnia recepta! To znaczyło, że wcześniej były inne.

- Na dwanaście miesięcy. Czy chce pan, żeby lekarz jeszcze raz zadzwonił do apteki? Bo już raz ją zgubiła. Musieliśmy dzwonić drugi raz do CVS w Madison. Żona powiedziała, że zmieniła aptekę. Może recepta nadal tam jest.

- Sprawdzę... zaraz do pani oddzwonię.

- Halo? Nie słyszę.

Ale on już odłożył słuchawkę i siedział z głową opartą na biurku, dopóki nie wszedł Doug.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał. - Spóźnimy się na spotkanie w sprawie derywatów ubezpieczeniowych. Wszystko w porządku?

- Tak - odparł Jared, powoli się prostując. - Będę musiał wcześniej wyjść. Emily ma recital o piątej.

- Larissa nie może jej zawieźć?

- Dzisiaj nie. - Wsunął laptopa do neseseru i wrzucił gazetę do kosza na śmieci.

Rytuał 3: Jared ponownie zadzwonił do Finneya, by dowiedzieć się, czy ma jakieś wieści. Finney powiedział, że gdyby tylko coś miał, zaraz by do niego zadzwonił. Prosił, żeby mu zaufać. Jared będzie pierwszą osobą, do której zadzwonią, gdy coś wypłynie.

- Nic nie wiadomo w sprawie prawa jazdy? Nie oddała go? Nie zatrzymano go?

- Nie. Nic takiego nie odnotowano. Ale pańska żona zgłosiła zaginięcie prawa jazdy i wydano jej nowe. Na długo przed jej zniknięciem...

- Chwileczkę - powiedział Jared, pocierając oczy. Stał przy kuchennych drzwiach i wyglądał na podwórko, na którym dwójka starszych dzieci rozmawiała na czerwonych huśtawkach. - Co to znaczy, że wydano jej nowe? Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że zgłosiła zaginięcie.

- Skąd pan to wie?
 - Dowiedziałem się w stanowym urzędzie komunikacji.
 - Kiedy to było? - Nie mógł dłużej patrzeć na dzieci. Zamknął oczy.
 - Pod koniec kwietnia.
 - Zgłosiła zaginięcie pod koniec kwietnia?
 - Dokładnie dwudziestego ósmego.
- Dwudziestego ósmego kwietnia. Miesiąc przed odejściem.
- A potem?
 - Potem? Wydano jej nowe - wyjaśnił Finney.
 - Po co miałyby to robić? Zgłaszać zaginięcie?
 - Może dlatego, że je zgubiła?
 - Wie pan, że go nie zgubiła. Powiedziałem panu, że zostawiła je w torebce.
 - Jest pan pewny?
 - Pewny?! Tak. Zostało w portfelu, gdzie zawsze je trzymała. Obok legitymacji ubezpieczeniowej i kart kredytowych.
 - Hmm.
 - Pokazywałem je panu.
 - Przepraszam. Źle to zapamiętałem. Myślałem, że nie mogliśmy go znaleźć. Tyle szczegółów. Dlaczego więc zgłosiła zaginięcie prawa jazdy?
 - Mnie pan pyta, detektywie? - Jared pokręcił głową. - Sprawdził pan to nowe prawo?
 - Tak. Nic nie ma. Nie została zatrzymana, nie odebrano go jej.
 - No to chyba może pan sprawdzić również jej paszport - powiedział martwym głosem Jared. - Może też zgłosiła jego zaginięcie. - Opierał czoło o siatkowe drzwi. - I wydano jej nowy.
- Rytuał 4: Zgłosiła. Dwudziestego kwietnia. I otrzymała nowy.

Przedstawił Kavanagh szczegóły zniknięcia Larissy niczym nekrolog wiarołomnej zmarłej.

- Czy to nazywa pani szybkim powrotem? Czterdzieści tysięcy dolarów wypłaconych z naszego konta? Nowe prawo jazdy. Nowy paszport! On wyjechał, ona też. Pytam panią, czy tak zachowuje się osoba, który planuje wrócić lada moment? Osoba, która musi wszystko przemyśleć? Która zostawia uchylone drzwi od kuchni, by mogła wśliznąć się niezauważona, jakby nic się nie wydarzyło? Dlaczego nic pani nie mówi? Dlaczego?

Powodem, dla którego Kavanagh milczała, było to, że Jared z nią nie rozmawiał. Nie pojechał się z nią zobaczyć. Nie mógł. Wszystkie odpowiedzi leżały na jego biurku w pracy, gdzie się ukrył, gdy zabrakło innych miejsc. Nie chciał rozmawiać z Kavanagh, nie chciał oglądać jej pełnego litości wyrazu twarzy, z trudem tolerował Ezrę, któremu powiedział tylko o romansie i naglej ucieczce.

- Wróci - mówili Ezra, Maggie, Bo i Jonny, mówiła Evelyn przez telefon z daleka, aż z Hoboken. Evelyn, która miała wszystkiego dość, siedząc w domu z dziećmi, ale wiedziała, że Larissa wróci. Może gdyby wiedziała, że Larissa w przeciwieństwie do Jasia i Małgosi nie zostawiła za sobą żadnych śladów, doszłaby do innego wniosku. Nikt nie znał tych szczegółów poza Jaredem. A one go wyniszczały.

3

Lillypond

W końcu dzieci zaczęły zauważać, że nieobecność matki się przedłuża. Jared czuł, że im mniej się o tym rozmawia, tym lepiej, i dzieci najwyraźniej czuły to samo, bo coraz mniej o niej mówiły.

Michelangelo początkowo o nią pytał.

Pewnego wieczoru Jared podsłuchał, jak Emily mówi do niego w jego pokoju:

- Nie wspominaj ciągle o mamie.
- Nie wspominam ciągle. Tylko trochę.
- To nie rób tego. Tato czeka, żeby wróciła, i martwi się.
- Dlaczego się martwi?

Emily na moment zamilkła. Jared stał w holu.

- Dlaczego? Bo chce, żeby wróciła, a jej jeszcze nie ma. I to go martwi.

- Ja też chcę, żeby wróciła.
 - Wszyscy chcemy.
 - Tęsknię za nią.
 - T a k .
 - Czy Asher będzie miał przyjęcie na zakończenie szkoły?
 - Chyba nie. Nie wspominaj o tym.
 - A l e o n c h c e m i e ć p r z y j ę c i e .
 - Nie chce. Nie zauważyłeś? Jest taki smutny. Musimy się postarać i go rozweselić.
 - Przyjęciem?
 - Przestań. To nie jest dobra pora na przyjęcia.
 - Ale pojedziemy do Lillypond po zakończeniu szkoły?
 - Chyba tak. Tato tak powiedział.
 - T a k .
- I to był koniec rozmów.

Po zakończeniu roku szkolnego Jared nie miał żadnych planów, co zrobić z Michelangelem, i nie zachowywał się jak człowiek, którego życie stanęło na głowie w piątek pod koniec maja i który nie ma opiekunki do dzieci ani pomocy do sprzątania. Zachowywał się jak mężczyzna, którego żona nadal jest w domu. Jak mężczyzna, któremu Maggie nadal pomaga popołudniami, choć w ciągu ostatnich kilku tygodni coraz rzadziej, a on żałował, że nie pamięta dlaczego. Był jednak tak pochłonięty własnym cierpieniem, że gdy zaczynała mówić, że nie może przyjechać, nie słuchał. Podejrzewał, że miało to coś wspólne-

go z pogorszeniem się stanu jej nerek. Tydzień temu ktoś wspomniał o transplantacji. Lecz kiedy Jared usłyszał to słowo, skojarzył je od razu z transplantacją serca, nie nerki. Nie myślał o Maggie.

W pierwszy poniedziałek letnich wakacji wziął więc prysznic, ogolił się, ubrał i zszedł na dół. Emily oglądała telewizję z Michelangelem.

- Do zobaczenia - zawołał, biorąc neseser. - Bądźcie grzeczni. Zadzwońcie, jeśli będziecie czegoś potrzebowali.

- Tato! - Emily, nadal w piżamie, zerwała się z kanapy. - Dokąd idziesz?

- Dokąd? Do pracy.

- Dlaczego idziesz do pracy?

- Bo jeśli nie pójdę, nie będziemy mogli zapłacić czynszu, kupić jedzenia, wyłączyć nam telewizję i nie będziecie mogli oglądać *Boba Kancistoportego*.

- Ale kto się nami zajmie?

- Em, masz piętnaście lat. Nie jesteś już dzieckiem. Możesz sama się sobą zająć.

- A l e Michelangelo nie ma piętnastu lat! Nie może się sobą zająć.

- Ma brata i siostrę.

- Tato! To nie fair! Idziemy z Asherem do klubu pływakiego.

- Nie, ja idę na próbę zespołu - powiedział Asher, który przed chwilą się obudził i zszedł na dół. - Czy ktoś może mnie zawieźć? Nie mogę targać wzmocniacza na rowerze.

Jared stał w holu i patrzył na trójkę swoich dzieci: zaspanego, tłumiącego w sobie wszystko Ashera, wyrzucającego z siebie wszystko Emily z pałającymi oczami i Michelangela pochłoniętego *Bobem Kancistoportym*. Jared wychodził z domu przez całe swoje dorosłe życie, co rano, od poniedziałku do piątku, w Hoboken, kiedy był nauczycielem, i w Summit, gdzie był dyrektorem finansowym. Przez dwadzieścia lat wychodził, wsiadał do samochodu i jechał do pracy i nigdy nie zaprzętał sobie głowy tym, kto zajmie się dziećmi.

Bo zawsze ktoś się nimi zajmował.

- Emily - powiedział cicho.

- Nie wypowiadaj mojego imienia w ten sposób! - krzyknęła. - Bo czuję się, jakbym była nieodpowiedzialna!

- Em - powtórzył, chwytając mocniej neseser. Węzeł krawata uciskał mu gardło i utrudniał oddychanie. - Musisz mi pomóc. Wiem, że to trudne... - Urwał. Urwał czy przestał mówić? Poluznił krawat i myślał tylko o sobie, o pustce, o głodzie. Kiedyś wszystko układało się tak dobrze. Dzieci pięknie rosły. Wszystko było łatwiejsze. Żyli na dobrym poziomie. Oszczędzali pieniądze. Wydawali je. Kiedy dzieci pójdą do college'u, planowali z Larissą podróżować. Już zaczęła gromadzić foldery na ich niespełnione marzenia. Czytali książki, gazety, rozmawiali o życiu obecnym i minionym. Wszystko było tak, jak powinno.

- Zapłacę ci za opiekę nad bratem - powiedział do Emily - dopóki nie wymyślę czegoś innego. Posłuchaj, weź małego ze sobą. Zabierz go do klubu.

- Nie zabiorę go do klubu pływackiego!

Jared odwrócił się do Ashera.

- A ja na próbę zespołu!

- Może zabierzesz go ze sobą do pracy, tato?

Rączka neseseru puchła w jego nadwerężonych palcach.

- Coś wymyślę - powtórzył powoli. - Ale na razie przestańcie wygadywać bzdury i pomóżcie ojcu.

Emily i Asher niechętnie się zgodzili i Jared pojechał do pracy. Ale nie przemyślał wszystkiego do końca.

Koszmar, w którym tkwił, nie był nawet jego koszmarem! Był prawdziwy w życiu kogoś innego.

Zadzwoił do matki Larissy.

- Barbaro, przepraszam, ale potrzebuję twojej pomocy - powiedział pokonany.

- Dzięki Bogu - rzuciła. - Chcesz, żebym przyjechała i została z dziećmi?

- Tak, proszę. Później kogoś wynajmę. Ja tylko...

Nie jestem gotowy. Nie chciał jej tego powiedzieć.

- Przyjadę. Dokończę tu tylko robotę i zaraz wsiadam do samochodu.

- I jeszcze jedno... - N i e bardzo wiedział, jak to powiedzieć. - Bar-

baro, możesz zabrać ze sobą trochę ubrań? Nie chciałbym, żebyś jeździła tam i z powrotem do Piermont. Mamy pokój gościnny. Zostań z nami na kilka dni.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Świat naprawdę stanął na głowie - powiedziała w końcu Barbara.

Jared zadzwonił do Ernestyny i ponownie ją zatrudnił. Zgodziła się przychodzić we czwartki po południu.

Siedział potem na zebraniu korporacyjnym dotyczącym pozyskiwania nowych klientów w świecie internetowym i nie słyszał ani słowa. Był tylko wdzięczny, że to nie on mu przewodniczy.

Barbara przywiozła walizkę. Dzieci, które nigdy nie miały babci w domu na dłużej, nie posiadały się z radości. Ona też wydawała się dziwnie zadowolona, zupełnie jakby to zaplanowała. Tylko Jared stał przy drzwiach na tyłach domu, jednocześnie wdzięczny i pełen odrazy.

Dni ciągnęły się powoli, aż tydzień później zapomniał wykonać telefon pod koniec sesji, by założyć ponownie multimiliardowe konto dla funduszu pomocniczego. Kiedy sobie przypomniał, było już za późno, giełda została zamknięta, a cena wzrosła ponad to, co wolno mu było zapłacić. W poniedziałek po weekendzie nachmurzony Larry Fredoso spotkał się z nim w sali konferencyjnej i poprosił o wyjaśnienia. Jared nie potrafił udzielić mu żadnej odpowiedzi. Liczył na dobrą wolę Larry'ego, zastanawiając się, ale tylko przelotnie, jak długo ta dobra wola potrwa. Jeśli z powodu niekompetencji straci pracę, co wtedy poczną?

Nie miał wyjścia, więc powiedział Larry'emu prawdę. Oczywiście nie całą, nie tę paskudną, porażającą, okrutną: że ten dzieciak ma tylko dwadzieścia lat i że Larissa planowała ucieczkę od roku. Ale powiedział mu prawie całą resztę. To, czego nie mógł powiedzieć Ezrze i Finneyowi, powiedział swojemu szefowi. Fredoso słuchał, powiedział tylko „Kurwa mać!” i nic więcej przez kilka minut. Potem powtórzył „Kurwa mać!” jeszcze kilkanaście razy, po czym zamilkł. Po pięciu minutach Jared wstał i wyszedł.

Godzinę później Fredoso wszedł do jego gabinetu i zamknął drzwi.

- Jestem beznadziejny w sprawach osobistych - powiedział. - Moja trzecia żona od siedmiu lat nazywa mnie dupkiem. Wcześniej chciałem

powiedzieć, ale najwyraźniej nie zdołałem, że musisz zrobić, co trzeba. Pomogę ci. Wszyscy pomożemy. Co możemy zrobić? Chcesz się przeprowadzić bliżej biura? Znajdziemy ci ładny dom w Newark.

- Chciałbym, Larry, ale nie mogę. Dzieci... - Tak, *dzieci*.

- Potrzebujesz pomocy. Kto się nimi zajmuje, kiedy jesteś w pracy?

- To jeden z moich problemów. Na razie moja teściowa. Ale, jak sobie wyobrażasz, to rozwiązanie tymczasowe. Poza tym ona ma siedemdziesiąt osiem lat.

- Powinieneś zatrudnić zawodową opiekunkę. Najlepszą. Na stałe. Jared milczał. Jak żona? - chciał zapytać.

- Czego ci potrzeba? Nic nie mówisz. Chcesz wziąć urlop?

- Tak - odparł natychmiast Jared.

Fredoso był zaskoczony.

- Naprawdę?

- Tak, Larry. Wiem, że to wariactwo. Ale muszę się zająć dziećmi.

Jest lato. Zaczynają wariować. Muszę jakoś zadbać o rodzinę. Ja...

I o siebie też. Muszę się jakoś zebrać do kupy ze względu na dzieci.

- Dobra. Oczywiście. Co tylko chcesz. Urlop ze względu na sytuację rodzinną?

- Rodzinną, porzucenie, nazwij to, jak chcesz. Mam jeszcze trochę płatnego urlopu. Potem mogę wziąć bezpłatny.

- Nie, jakoś to załatwimy.

- Mogę pracować z domu. Mam gabinet. Możesz mi co tydzień przysyłać raporty do oceny. Na razie nie mogę zostawić dzieci z opiekunką. Wiem, że kiedyś będę musiał. Ale jeszcze nie jestem na to gotowy. Poza tym... - Nie chciał dokończyć. Nadal miał nadzieję, że Larissa niedługo wróci. Ale nie chciał powiedzieć o tym szefowi. Jednak Fredoso, przy całym swoim roztargnieniu, wiedział dokładnie, co Jared ma na myśli.

- Weź urlop - powiedział, kiwając energicznie głową. - Dzieci cię potrzebują. - Odwrócił się szybko i wyszedł.

Jared przestał więc pracować. Barbara z żalem wróciła do Piermont, a Jared z pomocą Emily, Maggie i Ernestiny spakował potrzebne rzeczy i w środku lipca zabrał rodzinę i psa do Lillypond.

W Lillypond telefon nie przestawał dzwonić. Zrozpaczony Doug przeproszał go tak bardzo, jakby Larissa uciekła z nim. Tak mi przykro, stary. Jak mogło do tego dojść? Wiesz, kto to był? Może coś się z nią stało? Może... Tak mi przykro, stary. Nie wiem, co powiedzieć. Kate jest załamana.

Evelyn; Bo; Maggie, wyciszona; Ezra, jeszcze bardziej wyciszony.

Emily zaczęła robić listy zakupów i Jared jeździł do sklepu, podczas gdy ona bawiła się w mamę, smażyła im jajka, spróbowała nawet zrobić ciasto naleśnikowe i dodała do niego jagody, jak niegdyś Larissa. Na lunch robiła małe pizze i tuńczyka, tak jak lubił Michelangelo. Wieczorami Jared grillował. Jedli kurczaka, hamburgery, steki. Potem Emily podawała lody z upieczonymi w domu brownie. Więcej problemów było ze sprzątaniami. Nikt nie chciał tego robić. Michelangelo spryskiwał windexem wszystkie szklane powierzchnie. Drewniane też. Do sprzątania zużywał całą butelkę. Emily zamiatała drewnianą podłogę. Asher nie robił nic, lecz pod presją raz odkurzył dom. Jared nauczył Emily i Ashera, jak prac swoje rzeczy, lecz to Michelangelo był jedynym chętnym uczniem; ciągnął poszewkę pełną brudnych rzeczy do pralki i pytał:

- Tato, najpierw proszek czy brudy?

Chodzili pływać i żeglować, Jared przez kilka godzin pracował, odpowiadał na telefony, sprawdzał raporty bankowe, które mu przysyłano. Rzucił jednym okiem na pracę, drugim na życie. Czuł, że się wycofuje, próbował sobie przypomnieć, jak dokładnie sformułował list, który zostawił w domu dla Larissy. „Jesteśmy w Lillypond. Dzieci naprawdę muszą się z tobą zobaczyć. J.”. Tak po prostu. I siedząc u podnóża Appalachów, gdzie każdy dzień okrywał się pachnącą zielenią, zastanawiał się, czy może być coś bardziej żałosnego od powrotu do domu i znalezienia listu na miejscu, w którym go zostawił. Chciał policzyć, ile dni minęło, ale się bał. Czy niebawem będzie musiał odliczać w miesiącach, nie dniach? A potem? Patrzył, jak Michelangelo zbiera gałązki, by zbudować dom dla niedźwiedzia. Jared miał nadzieję, że nie chodzi

mu o prawdziwego, ale sądząc po rozmiarach stosu gałęzi, nadzieja była chyba płonna.

Jak wiele innych rzeczy ostatnio.

Pod koniec lipca przyjechali na kilka dni Doug i Kate z córkami. Doug opowiadał mu, co się dzieje w pracy, a Kate skwapliwie unikała wszelkiego kontaktu wzrokowego z Jaredem. Milczała też tak uporczywie, że można ją było uznać za niemą. I bardzo dobrze. Jared z trudem spoglądał na jaguara Douga zaparkowanego na podjeździe.

Dobrze, że zostali tylko kilka dni, bo ostatniego wieczoru, kiedy siedzieli we dwóch na werandzie, Doug odchrząknął kilka razy i zapytał, czy Jared wie, kim jest ten facet.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Doug.

Doug szybko przeprosił i mówił dalej, nie odbiegając jednak zbytnio od tematu.

- Będziesz musiał wybaczyć Kate. Czasami dochodzi do absurdalnych wniosków. Powtarzam jej, żeby wyrzuciła je z głowy, ale ona nie odpuszcza. To przez tę pisarkę, która stale w niej drzemie.

- Jakie wnioski? Nie odezwała się do mnie chyba ani słowem.

- Tak, jest zdenerwowana. - Doug zaśmiał się nerwowo. - Chcesz usłyszeć dlaczego?

- Nie bardzo.

- Kilka miesięcy temu - ciągnął Doug - zimą, pamiętasz, jak Kate wpadła na Larissę w mieście? Larissa czekała na przyjaciółkę, z którą umówiła się na kolację, aż tu nagle pojawił się sprzedawca z salonu Jaguara.

Jared zbladł w ciemności. Kate nigdy o tym nie wspominała, choć resztę historii słyszał kilka razy.

- Minał je na ulicy, a Larissa wróciła do domu z Kate, więc Kate doszła do wniosku, że wszystko sobie wyobraziła, i nie myślała o tym więcej, aż do czasu, kiedy twoja... kiedy to się wydarzyło, wtedy znów zaczęła się nad tym zastanawiać.

- Nad czym?

- Zupełnie zwariowała. Niedawno była z jaguarem w serwisie i za-

pytała o naszego sprzedawcę. Powiedzieli jej, że już tam nie pracuje! Odszedł. Więc oczywiście...

- Doug, jestem zmęczony, przepraszam.

- To szaleństwo...

- Szaleństwo.

- Nie daję sobie tego wybić z głowy, choć powtarzam jej, że to tylko dzieciak...

- Nie taki całkiem dzieciak. Ma dwadzieścia jeden lat. - Jared bronił jego wieku, którego nie dało się obronić. Jego życie powoli zaczynało przypominać skecz Monty Pythona.

- Chcę tylko powiedzieć, że może...

- Kate ponosi wyobraźnia. Lepiej uważaj, Douglas. Dobranoc.

Czy powinien sobie znaleźć nową pracę? Czy będzie musiał się przeprowadzić, sprzedać dom, zabrać dzieci i zostawić wszystko? Może przeniosą się do Black Hills w Dakocie Południowej, do małej wioski przy kopalni srebra ukrytej głęboko w lesie wśród gór. Jak może dalej spotykać się z przyjaciółmi i wysłuchiwać ich najbardziej trywialnych pytań?

Niecały tydzień później, na początku sierpnia, Maggie siedziała z nim w sobotę przy kolacji w Lillypond, podczas gdy dzieci bawiły się wesoło w sąsiednim pokoju z Dylanem.

- Jared - zaczęła - nie uwierzysz w to, co zaraz ci powiem.

- Nie tylko nie uwierzę, ale nie chcę tego słuchać.

- Pamiętasz imprezę z okazji urodzin Larissy? - ciągnęła. - Jak Dora powiedziała, że przyjdzie, i w ostatniej chwili odwołała? Umówiłam się z nią na lunch w zeszłym tygodniu, po raz pierwszy od miesięcy, i powiedziałam jej o Larissie...

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Zapytała mnie, jak Larissa się czuje. Co miałam zrobić? Kłamać? Jared nie odpowiedział.

- Chcesz wiedzieć, co mi powiedziała, czy nie?

- N i e .

- Widziała ich.

- Kogo? - zapytał zmęczonym głosem Jared.

- Ich! Powiedziała, że pewnego wieczoru w kwietniu wyszła z zajęć w Drew około dziesiątej; zaparkowała samochód przy stacji kolejowej i już miała odjechać, kiedy wyszli z kina w Madison.

Jared milczał. Czy to nigdy się nie skończy? Nigdy. Nie patrzył na Maggie, utkwiał wzrok w słojach sosnowego stołu.

- Powiedziała, że podbiegli do jej jaguara, on otworzył jej drzwi i pocałowali się na ulicy...

- Maggie! - wykrzyknęli razem z Ezrą.

Jared uniósł dłonie.

- Przestań. Wszystko rozumiem. Zobaczyła ich. Gównu mnie to obchodzi. Teraz już za późno, prawda? Dlaczego Dora nie przyszła do mnie wtedy? Dlaczego nie powiedziała mi o tym w kwietniu, kiedy zadzwoniła, że nie przyjdzie na przyjęcie? Mogła mi powiedzieć, dlaczego nie chce przyjść do naszego domu. Dlaczego Kate nie powiedziała mi wcześniej, że ten oślizgły sprzedawca znalazł się na ulicy razem z nią i Larissą? Wtedy to mogło coś pomóc. Albo nie. Po co mówisz mi o tym teraz?

- Bo dopiero teraz się dowiedziałam.

- I co z tego? Po co mi mówisz?!

- Myślałam, że chcesz wiedzieć.

- Maggie... - zaczął Ezra. - Dlaczego przyszło ci to do głowy? Szczerze.

- Bo pomyślałam, że o to nam wszystkim chodzi. O szczerłość. O dawanie świadectwa prawdzie. - Jej kręcone włosy były już prawie szpakowate i obcięła je na pazia. Wyglądała o dziesięć lat starszej od Ezry.

- Dora i Kate były świadkami prawdy i ukrywały ją całymi miesiącami?

- A I e ja jej nie ukrywałam.

- Rozumiem, ale żałuję, że tego nie zrobiłaś.

- Już dobrze, dobrze. - Ezra próbował ich uspokoić. - W porządku. Nie ma sensu...

- Chyba jest jakiś sens w poznaniu prawdy? - zapytała Maggie.

- Kiedyś tak myślałem - odparł Jared. - Ale co mi teraz po prawdzie? Dora widziała ją w kinie. Maggie, pieprzyli się od półtora roku! I porzuciła mnie. Porzuciła dzieci! Gównno mnie obchodzą wyznania Dory. Naprawdę jesteś tak gruboskórna, że tego nie dostrzegasz?

- Tak, bo ty oczywiście dostrzegasz teraz wiele rzeczy - odparowała Maggie.

- Tak! - wykrzyknął Jared. - Z perspektywy czasu to prawda. Dużo widzę. Czyż nie jest cudownie dostrzegać tyle rzeczy?

- No już, dajcie spokój. - Ezra uniósł dłonie. - Za dużo wina...

Maggie przesunęła paznokciami po blacie stołu.

- Myślę teraz, jak bardzo się zamknęła w sobie. - Jej głos brzmiał jak zgrzyt paznokci na drewnie. - Przestałyśmy chodzić na zakupy. Nasze lunche stały się bardzo krótkie. I rzadkie. A kiedy już się spotykałyśmy, rozmawiałyśmy tylko o szkole lub filmach, o błahostkach, a ona nie chciała rozmawiać o mojej chorobie. Nie uważałam, że to normalne nawet wtedy, ale teraz już wiem. Działo się tak, bo przestawiała całe swoje życie i używała wszystkich sił, by to ukryć. Nie zostawało już nic dla innych. Jak mogliśmy tego nie zauważyć? - Maggie zaczęła płakać.

- To prawda - powiedział cicho Ezra, spoglądając na żonę. - Maggie ma rację. Jak coś takiego mogło przejść niezauważone?

- Nie wiem - odparł Jared. - Ale kocham te bezsensowne pieprzone dyskusje.

- Nie jest wcale bezsensowna - odparł Ezra. - Jak inaczej możemy się doszukać w tym wszystkim sensu?

- Nie możemy i już. Jej tu nie ma. Doszukajcie się sensu w tym.

- Kiedy widziałem ją ostatni raz - powiedział Ezra - otworzyła się przede mną. Proszę, powiedz mi, co mam zrobić? Nie wiedziałem, co robić. I niczego nie zauważyłem.

- No proszę - powiedział zjadliwie Jared. - Prosiła cię o pomoc. A ty niczego nie zauważyłeś. I spójrz! Zniknęła. Co takiego jej powiedziałaś, że zdecydowała się uciec?

- Nie, nie, przestań - odezwała się Maggie. Wytarła twarz, wstała i podeszła do Ezry, wyciągając jednocześnie ręce do Jareda. Ale Jared nie przestał. Ezra też nie.

- Ale my z nią nie mieszkaliśmy! - wykrzyknął. - Nie jedliśmy z nią codziennie kolacji, nie spaliśmy z nią, nie wstawaliśmy rano. Nie byłem jej mężem.

Jared zerwał się od stołu, a Maggie cała rozedrgana stanęła między nimi i odciągnęła Jareda, krzycząc:

- Proszę, proszę, przestańcie, ona wróci, nie róbcie tego, to nie twoja wina, to niczyja wina, czasami takie rzeczy się dzieją, po prostu...

I nikt nie wie? Nikt niczego nie zauważa? Jak to możliwe? Jak to w ogóle jest możliwe?

- A kogo to obchodzi? Jej tu nie ma. To jedyna rzecz, która się liczy. Odeszła...

Kto to powiedział z tak przeraźliwą rozpaczą w głosie?

Następnego dnia Maggie i Ezra wyjechali.

Kolejny dzień. Kolejny dzień. Kolejny dzień. Jared oglądał transmisje meczów, żeby się czymś zająć, zatapiał się w liczbach, statystykach, strategiach, żeby nie myśleć. Włączał telewizor lub muzykę, cokolwiek, żeby tylko nie pogrążyć się w rozpacz i wściekłość.

Pewnego wieczoru Michelangelo przytulił się do niego na kanapie, z żółtym kocykiem i ulubionym podartym niebieskim królikiem.

- Co jest, kolego? - zapytał Jared, odrywając pusty wzrok od telewizora. - Chcesz iść spać? Dlaczego nie oglądasz *Herkulesa* z Asherem? To twój ulubiony film.

- Wiem. Ale widziałem go milion razy. Który to inning?

- Który inning? - Jared spojrzał na buzię swojego siedmioletniego syna. - Czwarta kwarta. Trzeci okres. Odkąd to chcesz wiedzieć, który to inning?

Michelangelo udawał, że z powagą analizuje sytuację na ekranie.

- Tato, patrz na telewizor, nie na mnie - powiedział. - Spójrz, przeciwnicy prawie zdobyli punkt.

- Tak. Na szczęście dla nas nie udało się. Bo wtedy wygrywaliby z nami czternaście do trzech, a nie trzynaście do trzech.

- Och. To niedobrze, prawda, tato?

- Niedobrze, kolego.

Michelangelo zaczął oglądać baseball z Jaredem, siedząc cichutko

ze swoim królikiem. Czasami zasypiał, wpatrując się w ekran, a kiedy Jared próbował go podnieść i zanieść do łóżka, otwierał oczy, chwycił kocyk, potrząsał głową i mówił:

- Nie, nie, jest mi dobrze. Wcale nie śpię. Chcę być z tobą.

Jared nie mógł powiedzieć Maggie i Ezrze o pieniądzach, które zabrała Larissa; kropla po kropli, tydzień po tygodniu, zabierała powoli i metodycznie z ich wspólnego konta, stopniowo, żeby niczego nie zauważył, ale teraz te dwudziestki o ostrych krawędziach spadały z bólem na jego serce, jakby Ajschylos pisał o rozpaczach Jareda. W końcu, wbrew jego woli, dotarła do niego straszna prawda: Larissa zabrała pieniądze, jakby nigdy nie zamierzała wracać.

O Boże! Oszalała dziewczyna galopująca w stronę destrukcji, gdy ziemia zieleniła się mchem, pośród którego skakały żaby i niebieskie zniszczone króliki. Jared nie wiedział, jak budził się co rano, mył zęby, wkładał spodnie, poruszał nogami, oddychał. Nie wiedział, jak zielone powietrze dostawało się do jego udręczonych płuc.

Ezra próbował go pocieszać, mówiąc, że to tylko przypadkowe zrzą-dzenie boskie.

- Nie zastanawiaj się przez resztę życia dlaczego ty. Lepiej daj sobie z tym spokój.

- N i g d y nie pytałem dlaczego ja - odparł Jared, dopijając resztę cabernet mondavi. - Wiesz, co mówiłem? Dlaczego nie ja? Co u licha sprawia, że jestem taki wyjątkowy? Nie to próbuję sobie poukładać. Ale to nie było przypadkowe zrzą-dzenie boskie, Ezra. Nie zapadła na chorobę nerek, o którą nie prosiła i której nie chciała. Nie uderzył w nią piorun, nie potracił pijany kierowca. Działała jak racjonalna, świadoma osoba obdarzona wolną wolą i sumieniem. I sercem, które mieściło wszystko. I ta osoba dokonała takiego wyboru; dokonało go serce mojej żony, matki moich dzieci. O tym właśnie myślę, gdy budzę się rano. Nie: dlaczego było to zrzą-dzenie Boga. Raczej: dlaczego był to zamie-rzony akt ze strony Larissy.

1

Pomoc Rodzicielska

Pod koniec sierpnia, po siedmiu tygodniach nieobecności w pracy, Jared przywiózł dzieci do domu. List, który zostawił dla Larissy, wyrzucił do kosza.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Finneya i Cobba; nie miał od nich wiadomości od lipca. Chciał zapytać, czy w jej paszporcie przybito wizę wyjazdową, ale kiedy wyjął ze skrzynki nagromadzoną przez całe lato pocztę i otworzył kilka rozpaczliwych listów od Che, wiedział, że nie musi dzwonić do Finneya, bo Larissy nie ma w Manili. Nie przedarł się przez wszystkie listy od Che, która pisała o Lorenzu, sprzedaży nerki i więzieniu, ale z grubsza wiedział, o co chodzi. Larissa nie była z nią w kontakcie. Jej milczenie doprowadzało Che do rozpacz.

* * *

Po powrocie Jared zajął się dwiema naglącymi sprawami.

Drugą było wynajęcie pomocy na stałe. Jak się do tego zabrać?

Czy Larissa o czymś nie wspominała? Tuż przed Dniem Pamięci, kiedy omawiali jej wyjazd do Che, powiedziała, że mógłby zadzwonić do... kogo? Zapytał wtedy, czy ma dzwonić do kogoś, żeby znaleźć pomoc na dwa tygodnie? Tak, powiedziała. Przyjadą i pomogą. Możesz zadzwonić do...

Szukał w pamięci i szukał, przedzierając się przez mroki amnezji. Wreszcie oświeciło go, gdy w godzinie szczytu jechał do domu. Pomoc Rodzicielska! Larissa, planując ruinę ich życia, położyła też kilka cegieł, by je odbudować, kamień po kamieniu.

Kobieta po drugiej stronie telefonu była młoda i przyjazna. Miała na imię Lauri. Prowadziła Pomoc Rodzicielską od piętnastu lat i powiedziała, że na pewno znajdzie dla niego bardzo dobrą ofertę.

- Szybko?

Powiedziała, że nie. Dobra oferta wymaga czasu. Szybko to zupełnie inna historia.

Jared nie wiedział, czy żartuje. Nie potrafił już wyczuć humoru.

Lauri zapisała kilka informacji i zapytała:

- Dochodząca czy na stałe?

Nie znał odpowiedzi.

- Narodowość jest ważna?

Nie znał odpowiedzi.

- Młoda czy stara?

Nie wiedział.

- Ile godzin w tygodniu?

Tego też nie wiedział.

Lauri zamilkła.

- Pogubiłem się, Laurie - powiedział Jared. - Ale naprawdę kogoś potrzebuję.

- Musi się pan zastanowić, czego pan potrzebuje, zanim będę mogła kogoś przysłać.

- A jeśli nie wiem? Nigdy dotąd nie musiałem wynajmować opieki do dzieci.

- Czy pańska żona może pomóc?

- Mniej, niżbym chciał. Oddzwonię.

Ale Lauri nie czekała. Miała kilka dobrych kandydatek. Czy chciałby umówić się na parę rozmów?

- Pierwsza, którą do pana przyślę, jest cudzoziemką, ale bardzo dobrze mówi po angielsku.

- Skąd pochodzi?

- Ze Słowacji. Może być? - Lauri zaśmiała się. - Brzmi, jakby to wymyśliła. Jak Transylwania. Ale twierdzi, że stamtąd pochodzi.

- Powiem dzieciakom, że pochodzi z Transylwanii. Będą zachwycone.

- Czy to prawdziwe miejsce? - zapytała Lauri.

- Jasne.

Maria Toledo przyszła o trzeciej po południu w sobotę, kiedy dzieci były w domu. Kiedy umawiał się z nią przez telefon, z jej głosu wynioskował, że jest bardzo gruba, lecz okazała się drobna i szczupła. Miała na sobie rudy dwurzędowy płaszcz i brązowe wiązane timberlandy, brązowe włosy zaplotła we francuski warkocz. Miała ładne zęby i dużo się uśmiechała. Jej angielski był całkiem niezły. Powiedziała, że pracowała jako dochodząca pomoc rodziny w Mountainside, lecz mąż niedawno stracił pracę i nie była im już potrzebna.

- Potrzebuję pan pomocy dochodzącej czy na stałe? - zapytała.

- Nie wiem - przyznał.

- Bo nie mogę tu mieszkać na stałe. Jestem mężatką.

- Och.

- I szukam pracy w najpełniejszym wymiarze godzin.

- To akurat mogę zaoferować.

Zniżyła głos.

- Dzieci nie mają matki?

- Przecież nie znalazłem ich w kapuście - odparł Jared. - Więc mają. Tylko jej tu nie ma.

- Och. Wróci niedługo?

- Nie jestem pewien. Ale na razie trójka dzieci potrzebuje opieki, trzeba prowadzić dom i załatwiać różne sprawy.

- Rozumiem.

Kiedy opowiadał, jakie będą jej obowiązki, słuchała uważnie. Podała mu się. Martwiła go tylko jej prośba o wakacje. Nie tylko wtedy, gdy on razem z dziećmi wyjedzie, ale dodatkowe cztery tygodnie, według jej uznania, żeby mogła pojechać na Słowację odwiedzić rodzinę. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Czy to normalne, tyle tygodni

wakacji? On tyle nie miał. Z braku odpowiedzi zapytał ją, skąd w Słowacji pochodzi.

- Zna pan Słowację? - zaśmiała się. - Z takiej niedużej wioski nie-daleko Skycova. Wie pan, gdzie to jest? Pomogło panu?

- Jest pani zabawna - odparł Jared.

Roześmiała się.

- I co pan sądzi?

- Co sędzę? - Domyślił się, że chodzi jej o nią. - Bardzo dobrze.

- Chce pan zobaczyć moje referencje?

- Jasne. Ale muszę też porozmawiać z innymi kandydatkami.

Wyraźnie uszło z niej powietrze.

- Nigdy wcześniej nie byłam bez pracy - powiedziała. - Pracuję od ukończenia szkoły dwanaście lat temu. Nigdy nie byłam bez pracy. Martwię się.

- Proszę mi dać parę dni. Skontaktuję się z panią w tym tygodniu. Mogę teraz zobaczyć referencje?

Były bardzo dobre. Ale też była pierwszą kandydatką, z którą się spotkał. Musiał sprawdzić, jakie ma inne możliwości.

Courtney śmierdziała dymem i otaczała ją artystyczna aura, która zachwyliła Michelangela, ale zaniepokoiła Jareda. Nie wyglądała na osobę, która zostanie z nimi dłużej.

Erin była młoda i atrakcyjna, może zbyt atrakcyjna, by przebywać w domu z jego czternastoletnim synem; na dodatek nie miała żadnego doświadczenia; musiałyby ją zatrudnić wyłącznie ze względu na urodę.

Jaime miała ogromne doświadczenie, nie chciała żadnych dodatkowych wakacji, była gotowa zacząć od razu i robić co trzeba, ale miała zepsute zęby i skołtunionie włosy spięte niedbale z tyłu głowy.

Fern na pierwszy rzut oka była idealna. Miała pięćdziesiąt jeden lat, była pełna energii i ładna, przez dwadzieścia lat pracowała jako osobisty trener, czego najlepszym dowodem było jej ciało, a kiedy przedstawił ją dzieciom, okazało się, że jest bardzo zabawna. Potem otworzyła usta. Przez następne pięćdziesiąt pięć minut Jared nie mógł otworzyć swoich, nawet po to, by jej powiedzieć, czego będzie od niej wymagał.

Opowiedziała mu, jak niesprawiedliwie potraktował ją już niebawem były szef, jak mało jej płacił, jak niedostatecznie nagradzał, po czym rozpoczęła długą opowieść o syndromie pustego gniazda, jak chciała umrzeć, gdy jej dwudziestojednoletni syn wyprowadził się z domu, a na koniec wspomniała o zabiegu usunięcia macicy i związanych z nim komplikacjach, krwawieniu i infekcji.

Po spotkaniu z Fern zadzwonił do Marii Toledo i zaproponował jej pracę, powiedziała jednak, że bardzo jej przykro. Spodobał jej się on i jego rodzina, ale sądziła, że ona nie przypadła mu do gustu. Miał zadzwonić za kilka dni, a wcale się nie odezwał.

- Mario, była pani pierwszą kandydatką, z którą rozmawiałem. Chciałem zobaczyć inne, zanim doszedłem do wniosku, że jest pani idealna.

Zaśmiała się.

- Wiem, pan też był idealny, ale przyjąłem już inną posadę.

Nie mógł w to uwierzyć.

- Przykro mi.

- Zadzwoniłem do pani po siedmiu dniach od naszej rozmowy.

- Wiem, ale bardzo martwiłam się brakiem pracy. Proszę posłuchać, zatrzymam pański numer. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się, żeby w pracy coś nie wyszło, ale jeśli tym razem coś pójdzie nie tak, odezwę się, dobrze?

- Dobrze, Mario - odparł bardzo rozczarowany.

I to by było na tyle. Raz jeszcze zadzwonił do teściowej.

Barbara wróciła jak w ekstazie. Trudno było inaczej opisać malujące się na jej twarzy emocje, kiedy stała na podjeździe z walizką. Dzieci, nawet Asher, które nigdy do nikogo nie podbiegały, na jej widok puściły się pędem. Larisso, chciał powiedzieć do swojej żony, kto by pomyślał, że możliwe jest życie, w którym twoja matka przyjedzie, by ze mną zamieszkać, a ja będę wdzięczny?

* * *

Jednak pierwszą rzeczą, którą zrobił Jared jeszcze przed szukaniem pomocy, telefonem do Barbary czy organizowaniem spotkań z okazji

Dnia Pracy, było sprzedanie jaguara Larissy. Wcześniej przelewał podwójne miesięczne raty i udało mu się go spłacić cztery miesiące przed terminem. Dostał za niego połowę sumy, którą zapłacił, co było totalnie niesprawiedliwe. Ale co, na Boga, zrobi z tymi pieniędzmi?

W sobotę po Świącie Pracy (nie było przyjęcia, ale przyszli Maggie i Ezra, bynajmniej nie w imprezowych nastrojach), kiedy późnym popołudniem wrócił do domu z zakupów, Emily wybiegła na podjazd i syknęła:

- Tato, gdzie się podziewałeś? Ktoś tu na ciebie czeka!

- Kto? - Gestem dłoni kazał jej się odsunąć i zatrzasnął drzwi samochodu.

- Nie wiem. Ktoś z twojej pracy. Przywiozła ze sobą dwoje dzieci!

- Kobieta? - Dzwoniąc kluczami, Jared wszedł do domu.

Przy stole w kuchni siedziała Jan Skeels, a przed nią stało wielkie naczynie z zapiekanką. Była ubrana swobodnie, lecz starannie. Zerwała się ze stołka tak szybko, że go przewróciła, co sprawiło, że jeszcze bardziej się zdenerwowała.

- Pomyślałam, że wpadnę - wydusiła. - Dopiero co się dowiedziałam... Przepraszam. Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz. Jestem straszliwie nie na bieżąco...

- Jak się miewasz, Jan? - zapytał Jared. Powiesił kluczyki na haczyku i podszedł do wyspy. - Emily powiedziała, że przywiozłaś ze sobą dzieci.

- Tak. Bawią się gdzieś z dwójką twoich. Może na zewnątrz? Nie wiedziałam, że cię nie będzie. Wpadłam tylko na chwilę. Chciałam przywieźć wam coś do jedzenia, bo pomyślałam, że mężczyźni może być ciężko samemu w weekendy.

- Nie - odparł z lekkim uśmiechem. - W weekendy jest łatwo. Jemy poza domem. Albo bierzemy coś na wynos. Napijesz się czegoś? Mamy colę - dodał szybko, przypominając sobie za późno o jej problemach z alkoholem. - Albo mrożoną herbatę.

- Nie, dziękuję. Twoja córka dała mi wodę. - Zachichotała nerwowo. - Co robisz w tygodniu na kolację?

- Wychodzimy. Albo kupuję coś na wynos.

Roześmiała się nieco mniej nerwowo.

- Przywiozłam wam moją specjalność. Robiłam ją dla siebie i dzieci i pomyślałam: Czemu nie? To zapiekane ziti. Dzieci bardzo je lubią.
- Moje też.
- No proszę. Chciałam się tylko okazać dobrą sąsiadką.
- Dziękuję. Bardzo dziękuję. - Sąsiadką? - Mieszkasz w okolicy?
- Tak, niedaleko. Kilka mil stąd. Chłopcy! - krzyknęła. - Idziemy!
- Chcesz zostać na kolację? - zapytał.
- Nie, nie, mamy już inne plany. Przywiozłam to tylko, by wyrazić... - Znów urwała niepewnie. - Moje współczucie.
- Dziękuję.
- Kiedy odszedł mój mąż, było mi bardzo ciężko. Gdyby sąsiedzi nas nie karmili, nie wiem, jak bym sobie poradziła.
- Gdyby tylko moi chcieli mnie karmić - powiedział Jared. - Ale wszyscy byli zbyt przerażeni.
- Ludzie nie wiedzą, co powiedzieć.
- Jasne. Na pewno nie możesz zostać? Zrobiłaś mnóstwo jedzenia. A ja mam włoski chleb i coś na sałatkę. Możemy z tego zrobić całą kolację. Dołącz do nas moja teściowa. Nie masz nic przeciwko temu?
- Ale z skąd. Muszę tylko... zadzwonić.
- Świetnie. Powiem dzieciom, żeby nakryły do stołu. Dzieci! Chodźcie. - Odwrócił się do Jan i zmusił do uśmiechu.

* * *

Jan Skeels nie była jedyna. W sobotni rano przyszły go powitać *wszystkie* pracownice banku, elegancko ubrane, przyjazne, ustawione jakby w kolejce, oferowały mu kawę, pączka, gawędziły, komentowały szpakowatą bródkę, którą zapuścił i która bardzo im się podobała; ich zdaniem nadawała mu dystyngowany wygląd.

Kobiety w pracy też były zdecydowanie bardziej przyjazne - i lepiej ubrane. Jakby jego codzienne życie stało się pokazem mody. Panie Stark! Proszę zwrócić uwagę na wybieg. Następna ma tylko dwadzieścia siedem lat! Ale po kilku nieudanych związkach i pro-

blemach z matką, nad którymi pracuje dwa razy w tygodniu podczas sesji terapeutycznych, jest gotowa pokazać się światu. Proszę, oto ona, w eleganckiej obcisłej bawełnianej sukience od Diane Von Furstenberg z uroczym dekoltem i wykończeniem z koronki, rozmiar sześć, różnokolorowa. Na nogach ma zachwycające buty bez pięt z klamerkami od Dolce&Gabbana, stroju dopełnia torebka w stylu hobo Bottego Veneta wyściełana zamszem. Makijaż Nars, fryzura Frederic Fekkai. Co pan sądzi, panie Stark? To dyrektorka działu personalnego w pańskiej firmie. Nie dla pana? Następna! Panie Stark, proszę się skoncentrować. Bo przychodzą pod drzwi pana gabinetu po dwie i ma pan tylko kilka sekund, żeby je ocenić. Czas się skupić.

Zupełnie jakby wszystkie wiedziały. Wieści szerzyły się jak pożar, w banku, biurze, nawet w szkole Michelangela. Kiedy już wszyscy się dowiedzieli, na szczęście nikt więcej nie rozmawiał z nim o Larissie, lecz panie uśmiechały się szerzej i lepiej ubierały.

Było kilka rzeczy, które musiał zrobić sam, by móc znów funkcjonować. Poprosił Ezrę o pomoc w znalezieniu malarza pokojowego. Ezra z radością polecił mu ojca jednego ze swoich uczniów. Mężczyzna zjawił się pewnego wieczoru, by oszacować zakres robót. Zanim zabrał się ze swoją ekipą do pracy, Jared skontaktował się z Armią Zbawienia i kazał jej pracownikom usunąć wszystkie rzeczy z sypialni. Zabrali ubrania Larissy i jej książki, stary telewizor i dwie komody. Zabrali ich łóżko i szafki nocne oraz toaletkę ze wszystkimi kosmetykami. Zabrali wszystko. Potem weszli malarze i w ciągu dwóch dni sypialnia zmieniła kolor z ciepłego szarego na jasny seledynowy z kremowymi listwami, czekoladową pościelą i zasłonami. Maggie pomogła mu je wybrać. Razem z Ezrą zabrali Jareda do Portery Barn w galerii handlowej i wybrali z nim nowe łóżko: ciemne, duże, z niskim zagłówkiem. Wybrali też narzutę w kolorze kakaowym, nową komodę (tylko jedną), skórzane krzesło i pięćdziesięciocalowy telewizor LCD, by mógł oglądać swoich ukochanych Yankees w wysokiej rozdzielczości. Postawił łóżko przy innej ścianie i urządził kącik z nowymi czarnymi półkami na książki o baseballu i finansach. Wszedł nawet na stronę art.com i kupił reprodukcję obrazu Joana Miró w czarnej ramie, by powiesić ją nad łóżkiem,

ponieważ dwa zdjęcia Jareda i Larissy stojących w prostych ślubnych ubraniach zostały zdjęte. Usunął też wszystkie jej zdjęcia i schował do dużego plastikowego pojemnika razem z ich albumem ślubnym, sztukami z Pingry i wszystkimi drobiazgami, których nie przekazał do kościoła Świętego Pawła. To było wielkie przedsięwzięcie, zajęło mu cały wrzesień. Ale znów mógł spać w swojej sypialni, a to już było coś.

Również we wrześniu musiał się zająć przyborami do szkoły, plecakami, długopisami, teczkami, segregatorami i kuponami na lunch. Czyli rzeczami, których nigdy nie musiał robić. Myślał, że było mu ciężko, gdy zajmował się multimiliardowymi interesami, stresem, polityką, skłóconymi pracownikami, biurowymi bzdurami, wracaniem pędem do domu. Nie wiedział, jak bardzo to wszystko było proste.

Przez większą część września było ciepło, lecz potem nagle ochłodziło. Ze strychu zjechały jesienne kurtki. Pojawiły się dekoracje na Halloween. Jared powiesił światełka, wyjął duchy, trumnę i gadający szkielet. Kupili też pomarańczowe kwiaty. Pewnej soboty w październiku zabrał dzieci i Barbarę na farmę na wsi. Jechali na wozie z sianem, przeszli przez labirynt w kukurydzy i wybrali pięć ładnych dyń. Michelangelo wziął jeszcze jedną i powiedział: „To dla mamy”. Nikt inny nie odezwał się ani słowem. Było chłodne piękne popołudnie. Na kolację wybrali się do restauracji serwującej steki. Jared siedział z dziećmi, kroił mięso dla Michelangela i w zawołowany sposób rozmawiali o Święcie Dziękczynienia i bożonarodzeniowych prezentach. Nie możemy się już doczekać świąt, mówili, czy powinniśmy kupić nowe ozdoby i kiedy możemy zacząć spisywać listy prezentów. Nie wspominali o wielkiej pustce, która wiązała się ze świętami.

Nadeszło Święto Dziękczynienia. I minęło.

Na początku grudnia do Jareda do pracy zadzwoniła Maria Toledo. Musiał się chwilę zastanowić, by umiejscowić ją w pamięci. Była pierwszą kandydatką, z którą rozmawiał, dziewczyną z akcentem z Transylwanii.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę - powiedziała. Mówiła łamiącym się głosem, z trudem znajdowała słowa. - Ale jeszcze we

wrześniu powiedział pan, że mogę zadzwonić, jeśli nie ułoży mi się w nowej pracy.

Teraz sobie przypomniał.

- Nie wiem, czy już pan kogoś zatrudnił...

- Pomaga nam moja teściowa - odparł.

- Rozumiem.

- Co się stało? Nic nie wyszło z tamtej pracy?

- Chodzi o to... Nie wiem, czy byłby pan zainteresowany pomocą na stałe, ale opiekuję się dziećmi przez całe dorosłe życie, a na Słowacji mieszkałam z rodziną, która miała ich ośmioro... Sporo, prawda? Robiłam wszystko dla matki, pomagałam jej, gotowałam, sprzątałam, opiekowałam się dziećmi, a potem przez trzy lata mieszkałam w Londynie jako au pair u kobiety z trójką dzieci. Może pan do niej zadzwonić po referencje. W Ameryce pracowałam dla dwóch różnych rodzin przez cztery lata i powiedzą panu, że robiłam dla nich wszystko. Nie musiały się pan niczym martwić, dzieci miałyby opiekę, odraabiałybym z nimi lekcje, uwielbiam też sport i zabawy na świeżym powietrzu. Mogłabym je zabierać na zajęcia pozalekcyjne. Wiem, że najmłodszy lubi zajęcia plastyczne, ja też, mogłabym z nimi dużo robić i wyprowadzać też waszego psa, bo założę się, że czuje się samotny, siedząc sam przez cały dzień. Pańska teściowa pewnie nie chodzi z nim na spacer.

- Nie - odparł powoli Jared. - Ma artretyzm. Ciężko jej utrzymać smycz.

- To właśnie chcę powiedzieć. Ma pan nadal moje referencje? Bo jeśli nie, mogę wpaść dziś wieczór i przywieźć odbitki.

- Nie, pewnie gdzieś je mam.

- Mogłabym zacząć od razu. Nie muszę czekać do następnego poniedziałku. Wiem, że jest wtorek, ale jeśli pan chce, mogę zacząć od jutra. A ponieważ będę z wami mieszkać, nie musi mi pan aż tyle płacić. I miał pan absolutną rację. Nie potrzebuję aż tyle wolnego. Będę wyjeżdżać, kiedy wy wyjedziecie. Bo musi być panu ciężko... żona jeszcze nie wróciła?

- Jeszcze nie.

- O to mi chodzi. To nie jest zła umowa. Będzie pana kosztować mniej niż pomoc dochodząca.

Jared milczał.

- Wszystko u pani w porządku, Mario?

- Tak, tak - zapewniła go. - Chciałam tylko powiedzieć, że jestem wolna, jeśli nadal pan kogoś potrzebuje.

- Zamieszka pani z nami? A co z pani mężem? Mężom nie bardzo się podoba, gdy żony mieszkają gdzie indziej.

Rozpłakała się.

Jared odwrócił się od drzwi na wypadek, gdyby ktoś wszedł, i przycisnął mocniej słuchawkę do ucha, jakby Maria płakała w jego gabinecie i nie chciał, by jego podwładni usłyszeli.

- Jest tak - zaczęła. - Przed Świętem Dziękczynienia mąż pojechał na ryby na Florydę i powiedział, że wróci za dwa tygodnie. Dwa tygodnie jednak minęły, a jego nie było i nie odbierał telefonu. W końcu zadzwonił do mnie w weekend i powiedział, że w ogóle nie wróci i przyśle przyjaciela, żeby zabrał jego rzeczy z mieszkania. Nie wpuściłam tego przyjaciela, a mąż zadzwonił na policję i powiedział im, że to jego mieszkanie, bo formalnie jest - jego nazwisko widnieje na umowie najmu - ale policja powiedziała, że muszę się wyprowadzić, więc nie wiem, co robić. Dowiedziałam się też, że właściciel mieszkania nie dostawał czynszu od września! Teraz mówią mi, że jestem winna czynsz za cztery miesiące za mieszkanie, z którego mnie wyrzucają! To przecież wariactwo!

- Rzeczywiście.

- Mam więc podwójny problem. Nie mam gdzie mieszkać i muszę zarobić na zaległy czynsz, żeby właściciel nie podał mnie do sądu.

- I na dodatek mąż jest na Florydzie.

Płakała.

Jared zatrudnił Marię i zapłacił jej zaległy czynsz. Kupili dla niej łóżko i spała w pokoju Michelangela jak Mary Poppins w pokoju dziecięcym.

* * *

Kiedy ustawili choinkę, Jared i Emily pakowali w Wigilię prezenty dla Michelangela. W radiu puszczały kolędy, Jared nalał córce trochę bezalkoholowego ajerkoniaku, a swój doprawił brandy, rumem i whisky. Gawędzili swobodnie o tym, jak szczęśliwy będzie mały, gdy zobaczy zestaw autokul, Batcave i statek lego z *Gwiezdných wojen*.

- Tato, jak myślisz, co się stało z mamą? - zapytała nagle Emily.

Jared zbladł i stał z papierem do pakowania w dłoniach.

- Nie wiem, kochanie - powiedział w końcu. Z lekko wykrzywionymi ustami szukał w myślach jakiegoś dyplomatycznego wytłumaczenia.

- Nie pojechała do Che, prawda?

- Nie - odparł; wiedział więcej, niż chciał, o Che i Lorenzu. - Nie wydaje mi się, żeby mama u niej była. Detektyw Finney powiedział mi, że nie skorzystała z paszportu, żeby opuścić kraj.

- A co zdaniem policji się wydarzyło?

- Finney nie wie. - Jared zupełnie nie radził sobie z pakowaniem. Nożyczki nie chciały działać w jego dłoniach. Taśma klejąca niczego nie sklejała. - Uważa, że mogła...

Urwał i spojrzał na córkę. Z brązowymi oczami, szczerą twarzą, uśmiechem i prostymi brązowymi włosami była tak bardzo podobna do Larissy. Tak bardzo i jednocześnie wcale. Bo Larissa była zupełnie inna. Zwyczajna, a jednak wyjątkowa. Potrafiła oszukać i wzrok, i serce. Była mirażem, który mówił mu, że jest przy nim cała.

Prawda kryła się w ich łóżku, kiedy wydawało się, że Larissa cała należy do niego, ale tak nie było... i niebawem zniknęła zupełnie, jak podczas magicznej sztuczki Houdiniego: pijesz wytrawne martini przy drzwiach, z uśmiechem, odliczając godziny, świece palą się na parapetach i półce nad kominkiem, a ty planujesz niemożliwe, ukrywasz niemożliwe, ukrywasz najważniejszą część siebie.

Część, która cię powstrzyma.

Co Emily chciałyby usłyszeć? Co wolałyby usłyszeć dziecko?

- Co, tato? - Emily przestała pakować. - Czy detektyw Finney sądzi, że mama miała wypadek?

Jared wzruszył ramionami.

- Nie powiedział mi.

Emily energicznie potrząsnęła głową i wróciła do pakowania.

- Nie. - Zmusiła się, by jej głos zabrzmiał spokojnie i stanowczo. Jak kiedyś matka. - Nie. Ona podróżuje. Zobaczysz. Wróci.

- Em...

- Wróci, tato. Znam mamę. Wróci.

- A jeśli...

- Nie. Ona żyje. Wiem to. Czuję.

- Naprawdę?

- T a k .

- Wolałabyś, żeby tak było?

- W przeciwieństwie do czego? - Emily odłożyła wstążeczki.

Zamknął się w sobie. Nie mógł na nią spojrzeć, nie mógł odpowiedzieć.

- Co teraz zrobimy? Będziemy czekać?

- Tak - odparła. - Ale będziemy też dalej żyć naszym życiem.

- Raczej nie mamy wyjścia.

Ale jak mógł to zrobić? Żyć własnym życiem?

- Zgadza się. Niebawem wszystko się wyjaśni. Wszystko będzie dobrze, tato. Nie martw się. - Poklepała go po plecach.

Czekał, by usłyszeć więcej mądrości od nastolatki. Wszystkiego, co wiedziała, nauczyła się w przedszkolu. Będzie dobrze, jeśli zakleisz ranę plastrem. A potem poklepiesz osobę, która się skaleczyła, po plecach i rzucisz parę słów pociechy.

- A jeśli nie?

- Nie znam wszystkich odpowiedzi, tato. Mam tylko piętnaście lat. Zapytaj mnie za jakiś czas. - Uśmiechnęła się. - Ale na razie nie jest za wcześnie, by zacząć myśleć o moich szesnastych urodzinach. Chcę je zorganizować w klubie pływackim. I chcę zaprosić jakieś sto osób...

* * *

W nowym roku Jared pojechał do doktor Kavanagh. Wydawała się zdumiona jego pojawieniem się - jeśli u niej był, oznaczało to, że Larissa nie wróciła. A może chodziło o jego wygląd. Jared był pewny, że

nie wygląda jak dawniej. Włosy mu posiwiały. Bardzo schudł. Ciężar wydarzeń przygarbił mu ramiona, wydawał się niższy. Stojąc przed nią, czuł się jak połowa dawnego siebie.

Kavanagh też nie wyglądała za dobrze. Była dużo chudsza, choć wydawało się to niemożliwe; przedtem też była drobniutka. Jared dostrzegł worki pod jej oczami i szarą skórę, ale miał nadzieję, że to tylko brak światła. Naprawdę nie wyglądała dobrze. On zresztą też nie. Stali w otwartych drzwiach, przyglądając się sobie nieufnie.

- Chce pan wejść? - zapytała w końcu.

- Nie. Ale wejdę.

W gabinecie dwa razy przeszedł od okna do kanapy i wreszcie usiadł. Kiedy znów na nią spojrzął, wydawała się zmęczona. Nie podwinęła nóg pod siebie, siedziała z dłońmi opartymi na kolanach.

- Wszystko u pani w porządku? - zapytał.

- Nie najlepiej się czuję. Ale będzie dobrze. - Zakaszłała. - A pan?

- Tak. Świetnie sobie radzę. W pracy dobrze mi idzie.

- A dzieci?

- W porządku.

- Przystosowały się?

- O ile można się przystosować do czegoś takiego...

- Dzieci są odporne.

- T a k .

- Spotyka się pan z kimś?

- Spotygam się? Chodzi pani o... Nie. Nie tak. Moja koleżanka z pracy przyjeżdża do nas w soboty ze swoimi dwoma synami. Jemy kolację, dzieci się bawią.

- Jest miła?

- Tak - odparł obojętnie. - Trochę narzeka. A ja za tym nie przepadam. No wie pani, wszystko się rozpada i tak dalej. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Mam ochotę jej powiedzieć: „Witaj w klubie, siostrze”.

- To trochę bezduszne z jej strony. Przecież musi wiedzieć o pańskiej sytuacji.

- Wie pani, jak szybko ludzie zapominają.

- Tak.

- Powiedziała mi, że straszliwie nie miała szczęścia w miłości. Powiedziała to *mnie!* To chyba wymaga odwagi?

- Tak. - Kavanagh krytycznie pokręciła głową.

- Odparłem: „Posłuchaj, *ty* nie miałaś szczęścia w miłości? Nikt nie ma szczęścia w miłości! I w ogóle czym twoim zdaniem jest miłość? Myślisz, że to tylko kolacje przy świecach i spacerzy po plaży? To nie jest miłość. Miłość to pranie, nieposprządana kuchnia, zmęczony mąż, który nadal ma ochotę na seks, miłość to codzienność, i wiesz co? To wcale nie jest seksowne. I nie jest romantyczne. Po prostu jest. Jak dzieci. Pojawiają się jeden czy dwa momenty czystej radości, o mój Boże, nie mogę uwierzyć, że to moje dzieci, ale przez większość czasu to po prostu praca i praca. I nie ma końca. Nawet jeśli nie masz ochoty sprawdzać ich zadań, martwić się o kolację lub słuchać, kąpać ich albo oglądać z nimi telewizji, robisz to. To właśnie jest miłość”. I wie pani co? Ta kobieta spojrzała na mnie, jakby za cholerę nie miała pojęcia, o czym mówię.

Kavanagh się roześmiała.

- Kto teraz zajmuje się dziećmi?

- Na tym froncie wszystko akurat układa się dobrze - odparł. - Przez jakiś czas pomagała nam matka Larissy, ale miała niewielki udar i nie mogła prowadzić. Już czuje się lepiej. Nadal mieszka z nami.

- Matka Larissy mieszka z wami? - Kavanagh była szczerze zdumiona, jakby wiedziała to i owo. - To dobrze, Jared - powiedziała, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. - To bardzo dobrze.

- Czyżby? - wzruszył ramionami. Ale wiedział, że Kavanagh ma rację. *Było* dobrze. - Zamieszkała też z nami dziewczyna, z którą przeprowadziłem rozmowę we wrześniu. Maria ze Słowacji. - Zawiesił głos. - Zatrudniłem ją przed świętami. Trochę nam teraz ciasno. Nigdy nie myślałem, że w moim wielkim domu nie będzie dość miejsca. Ale teściowa mieszka w gościnnym pokoju, a Maria śpi z Michelangelem.

- Daje sobie radę?

- Jest świetna. Robi wszystko. Wracam do domu, a dzieci są czyste, ubrania poskładane. Jej mąż uciekł na Florydę, więc Maria raczej nie tryska humorem. Ale dla mnie jest rewelacyjna... Tyle tylko, że...

gotuje... słowackie jedzenie, do którego nie jesteśmy z dziećmi przyzwyczajeni. - Uśmiechnął się przelotnie. - Dzieci pytają: „Tato, co to jest kiszona kapusta, kiełbasa, pęczak?”. - Pokręcił głową. - Próbuje więc gotować gulasz, prawie jadalny. Albo ciasteczka ze śmietaną. Nie narzekam, o nie. Bardzo ciężko pracuje. Chyba kupię jej książkę kucharską Betty Crocker.

- Na walentynki? - spytała z powagą Kavanagh.

- Co? Nie. Tak po prostu. Nie jako prezent, lecz wskazówkę.

- Ach tak.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Jared pochylił się, oparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w dywan i swoje czarne buty. Kavanagh skuliła się i utkwiała wzrok w kolanach, oddychając ciężko.

- Nie czuję się dobrze - powiedział.

Kavanagh okazała rozczarowanie lekkim wykrzywieniem ust.

- Wygląda pan lepiej niż ostatnio.

- Zgoda. Wcześniej chodziłem jak martwy. Teraz powoli się budzę. Jest koniec stycznia. Nie dostałem od niej ani słowa. Nie przysłała nawet listu do dzieci! Jak to możliwe? - Zaciśnął dłonie w pięści.

Kavanagh milczała.

- Pani doktor...? - zaczął cicho. Wziął głęboki oddech. - Powiedziała pani, że ona wróci.

- Myślałam się co do wielu spraw w życiu. Mam nadzieję, że ta nie będzie ostatnia. - Zaczęła gwałtownie kaszleć.

- Myśli pani, że w końcu się z nami skontaktuje?

Nie patrzyła na niego.

- Nie wiem. A pan jak myśli?

- Raczej nie - przyznał. Wyraz oczu Ezry, który dostrzegł latem, nadal go palił. To może być temat do rozmowy na inny dzień: jak powrócić do przyjaźni i spotkań z ludźmi, którym nie mógł spojrzeć w oczy. Może Kavanagh powie mu, że potrzebuje nowych przyjaciół. - Gdyby chciała, żebym się dowiedział, dowiedziałbym się. Nie wymagałoby to wiele trudu.

- Więcej, niż się okazuje.

- Tak. Ale była nie tylko ostrożna. Nie tylko drobiazgowa. Była

nadnaturalnie skrupulatna. Wybrała tysiące dolarów z naszego konta praktycznie w banknotach jednodolarowych! Wiedziała, że sprawdzam wyciągi, więc wybierała małe sumy, żebym niczego nie zauważył. Zostawiła prawo jazdy, ale wyrobiła sobie nowe, jakby chciała rozpocząć wszystko od zera tam, gdzie się wybierała. Zostawiła paszport, ale wyrobiła sobie nowy. Po co jej paszport, pani doktor? Nigdy nie wyjeżdżała z kraju, nawet do Meksyku. Kiedy ostatni raz sprawdzałem, Hawaje nadal były amerykańskim stanem. Nie potrzebuje paszportu, żeby pojechać na Hawaje. Nie zabrała żadnych ubrań, jakby chciała, żebym uwierzył, że wyszła tylko na chwilę.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Od samego początku to była ściśle zaplanowana operacja. Taktyczny atak. Osaczyła mnie. Wiem, że zastanawia się pani, jak mogłem być tak ślepy. Nie wydaje mi się, żeby miała nadzieję, że się dowiem. Wręcz przeciwnie. Liczyła, że się nigdy nie dowiem.

Kavanagh splotła dłonie.

Siedział pokonany. W rozmowie z żadnym lekarzem, jak ze świeckim księdzem, Jared nie mógł ze stuprocentową pewnością, z czystym sumieniem, zaprzeczyć, że nie zabiłby jej, gdyby się dowiedział. Miał zbyt rozpaloną twarz, nawet teraz. I serce.

- Proszę nie dać się zwieść premedytacji - powiedziała Kavanagh. - Dla niej to była agonია. - Zawiesiła głos. - I celowo użyłam tego słowa. Agonia, cierpienie przed śmiercią. Jej wybór wiązał się z cierpieniem: zostać lub odejść. Stracić życie lub je odzyskać. Jestem pewna, że teraz przechodzi przez to samo.

Jared wstał, by wyjść. Nie zostało już nic do powiedzenia.

- A czym pani zdaniem jest to dla nas? - zapytał.

Skinęła powoli głową i zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- Proszę mi wybaczyć, muszę iść do pokoju obok, gdzie czeka na mnie butla z tlenem - powiedziała, wstając z trudem. - Mam drobnokomórkowego raka płuc. - Stał oniemiały, przejęty litością i niezdatną empatią. - Wiem, czym to jest dla nas wszystkich - wychrypiała. - Wie pan, jakim innym słowem się to określa? Cierpienie przed śmiercią? To życie.

Co mógł zrobić? Zaznaczyć dzień jej zniknięcia? Upamiętnić go przyjęciem, czuwaniem? Postawić kamień na polu albo na cmentarzu i przyprowadzić do niego dzieci - jej dzieci? Czy pomoże mu zalew przyjaciół i jedzenia? Uwielbiał, jak się o niego troszczyli. Pojedźmy do Vegas, zapomnij o swoich kłopotach. Chcesz, żebym coś ugotowała? Przyjedź do mnie. Przywieź dzieci. Zostaw dzieci. Jedź z nami na wakacje. Nie chcieli, żeby był sam. Rozumiał to. Problem polegał na tym, że wewnątrz stale był samotny, przygnieciony ciężarem, nie mógł ruszyć dalej. Zresztą dokąd? Jeśli zamierzała wrócić, on zaciśnie zęby i będzie czekał. Ale jeśli nie wróci, co wtedy?

Dzieci czekały, nawet gdy skończyły osiem, piętnaście i szesnaście lat. On też czekał, nawet gdy skończył czterdzieści pięć. Przemalował drzwi na tyłach domu. Kupił zjeżdżalnię do basenu. Kupił kociaka, by dotrzymywał towarzystwa Riot i Marii. Larissa nie lubiła kotów; to by jej coś powiedziało.

Kupił nową zastawę, nową kuchenkę. Zamontował schody na werandę i zamki na bramie od tyłu. Załatał ogrodzenie zniszczone podczas burzy i zatrudnił nawet architekta krajobrazu, by posadził cztery brzozy przy podjeździe z boku domu. Ten czyściec kiedyś się skończy. Nie mógł w nim tkwić przez resztę życia. A nie wiedział, czy znajduje się w środku życia, czy przy jego pieprzonym końcu.

A jednak codziennie wstawał o szóstej, brał prysznic, budził dzieci i wyprawiał je do szkoły. Codziennie, nie zważając na to, jakie ma rano spotkania, odwoził Michelangela do szkoły. Codziennie o czwartej przerywał pracę i dzwonił do Emily, by sprawdzić, czy wróciła do domu i czy wszystko jest w porządku. Maria nie potrafiła pomóc Asherowi w geometrii, więc robił to on. A Emily potrzebowała pomocy przy rzymskich kolumnach z modeliny. Michelangelo musiał znaleźć sto jakichś przedmiotów, by uczcić setny dzień szkoły. Zamiast odliczyć sto kółeczek cheerios lub sto kolanek makaronu jak inne dzieci, zrobił ręcznie, bez formy sto serduszek z modeliny, pomalował je na czerwo-

no i powiedział, że są dla mamy. Potem połamał połowę i powiedział, że pięćdziesiąt jest złamanych.

Codziennie coś się działo. I co wieczór. Jared przestał sobie zaprzątać głowę wynikami finansowymi z kwartalnych zebrań i zaczął ją wypełniać białą farbą na zimowe obrazki, połamanymi pisakami i wyschniętym klejem.

Wiele rzeczy sprawiało przykre niespodzianki.

Czy jego ciało stopniowo budziło się po szoku jej odejścia? Pewnej nocy śnił o Marii. Wrócił po pracy i w domu była tylko ona. Zapytał, gdzie są dzieci; odparła, że pojechały do klubu pływakiego, a Barbara poszła na zakupy. Maria mieszała coś na kuchence, lecz kiedy się do niego odwróciła, zobaczył, że jest naga. Zaraz potem leżała pod nim w salonie. On nadal miał na sobie garnitur. Potem siedziała między jego nogami, wciąż trzymając w ręce drewnianą łyżkę i szepcząc: „Musimy się pospieszyć, bo spalą się *bryndzowe haluśki*”.

„A tego byśmy nie chcieli”, powiedział Jared we śnie i obudził się zarumieniony. Przez kilka dni był zbyt zażenowany, by spojrzeć na Marię, tym bardziej że kiedy wracał do domu, ona zawsze była w kuchni i coś gotowała. Jak na ironię nie miał pojęcia, co to takiego *bryndzowe haluśki*. Czy wymyślił tę nazwę? Nigdy wcześniej jej nie słyszał, a jednak wryła mu się w pamięć bardzo wyraźnie - jak kilka innych rzeczy.

- Mario - zwrócił się do niej przy kolacji kilka tygodni później w obecności dzieci najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć - czy w twoim kraju jest taka potrawa... *bryndzowe haluśki*?

- Oczywiście - odparła z radością. - To jeden z naszych narodowych przysmaków. Ziemniaki, mąka, ser, może trochę bekonu. - Uśmiechnęła się. - Niektórzy uważają, że smakuje jak klej, ale to nieprawda.

- Jasne, że nie - odparł ze wzrokiem wbitym w talerz i zaczął kroić kiełbasę.

- Chce pan, żebym je jutro zrobiła?

- Nie, naprawdę nie trzeba.

Czy może być wybaczenie po tym, co się stało?

Jared tak nie uważał.

To dlaczego jego ciało tak sądziło?

Zdradzasz również samego siebie, pomyślał, biorąc co wieczór proszek nasenny, by nie leżeć bezsennie i samotnie. Jak można ufać drugiej osobie, kiedy nie można ufać nawet samemu sobie? Jestem wściekły na Larisę, nie mogę o niej myśleć, mówić, a jednak co noc każda cząstka mojego ciała jej pragnie. I płacze za nią.

* * *

Musiał coś zrobić. Nie mógł tak dalej żyć. Ale co? Musiał podjąć jakąś decyzję. Przyznać przed samym sobą, że ona odeszła i nie wróci. Jednak za każdym razem, gdy zaczynał o tym myśleć, choćby przez pięć minut, jakaś szalona część jego umysłu zaczynała wkurzającą dyskusję. Ludzie popełniają błędy. Dochodzą do wniosku, że postąpili źle. Jak wszyscy inni ona też to zrobi i wróci. Jak może być inaczej? Co rano, gdy budził dzieci i wyprawiał je do szkoły, myślał, jak ona może tego nie robić. Wystarczy na nie spojrzeć. Jasne, że wróci. Tutaj są jej dzieci.

Ale kiedy mijały miesiące i nadal nie miał od niej żadnych wiadomości, doszedł do wniosku, że być może będzie musiał spróbować innego rozwiązania.

2

Prywatne śledztwo

Nazywał się Glenn Kelly. Wyglądał jak zapijaczony nieudacznik; zupełnie nie tak wyobrażał go sobie Jared podczas jazdy do Morris-town. Kelly prowadził swoje biuro „Dyskretne Śledztwa” w małym niebieskim domku wciśniętym pomiędzy podobne na cichej ulicy. Dom miał werandę z zardzewiałymi siatkowymi drzwiami, z których siatka i szyba wypadły dawno temu.

W środku było czysto. Biuro Kelly'ego znajdowało się w salonie. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Jaredowi w oczy, było ogromne biurko, zupełnie jak w Gabinetcie Ovalnym. Kelly uściśnił mu dłoń i usiadł za biurkiem. Wyglądał za nim jak krasnal z ogromnym brzuchem. Miał na sobie stary niebieski garnitur Big and Tall dopasowany do jego niskiej, krępej figury, na nosie przekrzywione okulary, żuł końcówki ołówków, obgryzał paznokcie i skórki; stukał nieustannie w biurko paznokciami lub ołówkami, stwarzając wrażenie człowieka niesłuchającego i niespokojnego, lecz starającego się nad sobą panować.

- Czym mogę panu służyć, panie Jared? - zapytał z lekką zadyszka. Pochylił okrągłą twarz nad kartką, na której zapisał nazwisko Jareda.

Kelly nie miał znakomitych referencji, nie został przez nikogo polecony. Jak Jared mógł zapytać kogokolwiek o tego typu referencje? Znalazł go w książce telefonicznej.

- Czy życzy pan sobie coś do picia, panie Jared? - zapytał Kelly.

- Nie, dziękuję. I nazywam się Stark. Ale może pan mówić do mnie Jared.

Kelly przybliżył nos do kartki, studiując ją, jakby zawierała dostarczone przez FBI odciski palców.

- Proszę mi wybaczyć. Musiałem źle zapisać. Nie ma sprawy. Mogę mówić Jared?

- Bardzo proszę. - Jared odetchnął głęboko.

- Co mogę dla pana zrobić? Do czego mogą się przydać moje usługi?

- Chcę, żeby pan znalazł moją żonę.

- A c h tak. Oczywiście. Jak długo, jeśli mogę zapytać, pańska żona... nie jest z panem?

- Od maja zeszłego roku - powiedział po dłuższej chwili Jared.

- Od maja! - Kelly zaczął liczyć miesiące na palcach, aż w końcu mu ich zabrakło. Być może mógłby skorzystać z palców u nóg. Każdy odhaczony miesiąc był gwoździem wbitym dwunastokrotnie w dłoń, stopy i serce Jareda. - Hmm. - Detektyw podniósł głowę i odwrócił wzrok. - To sporo czasu jak na zaginięcie, panie J... Stark.

- Nie przyczyniłem się do jej zaginięcia - odparł Jared. - Wolałbym, żeby tu była.

- Oczywiście.
- Czekam, żeby wróciła.
- Nie ma w tym nic złego. Czekanie to pasywna gra. Niewiele do niej trzeba. Czy pana zdaniem coś wskazuje na to, że żona może wrócić?

- N i e .

- I nie wie pan, gdzie jest?

- Gdybym wiedział, po co bym tu przychodził?

Kelly się roześmiał.

- Ma pan absolutną rację. Bo wie pan... - postukał trzy razy ołówkiem - tutaj zdecydowanie jej nie ma. - Pomachał palcami, zanim Jared zdążył mu rzucić pełne wściekłości spojrzenie. - Chciałem tylko trochę rozluźnić atmosferę. A teraz proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie.

Jared milczał.

- Proszę posłuchać, panie Jared - zaczął Kelly, nie zważając na to, czy zwraca się do niego poprawnie, czy nie. - Coś panu powiem. To pańskie pieniądze. Biorę dwieście pięćdziesiąt dolarów dziennie za mój czas z wyjątkiem tej konsultacji, która pozostanie darmowa, jeśli zdecyduje się pan skorzystać z moich usług. Jeśli nie, będzie to pana kosztowało dwieście sześćdziesiąt dziewięć dolarów plus podatek. Tak więc dwieście pięćdziesiąt dolarów dziennie plus wydatki, hotele, jedzenie, podróże, dokumenty i tak dalej. Bez względu na to, czy ją znajdzie, czy nie, pan płaci. Jeśli będzie pan ukrywał przede mną informacje, co utrudni mi jej znalezienie, nie ma sprawy. To pańska kasa. Może nie lubi pan swoich pieniędzy. Chce je pan rozdać? Nie moja broszka. Mówię panu tylko, że nie jestem pańskim ojcem. Nie będę pana ani oceniał, ani karał. Proszę mi wszystko powiedzieć albo nie, ale chcę dostać pieniądze z góry.

Spoglądając na skromne, mówiąc delikatnie, otoczenie, Jared podejrzewał, że dwieście pięćdziesiąt dolarów dziennie nie służyło zbyt często i być może to właśnie było powodem nerwowego stukania ołówkiem. Wybuchowy Kelly nie był jednak pierwszym prywatnym detektywem, do którego Jared się udał. Pozostali czterej byli jeszcze gorsi

od niego, nie wspominając już o tym, że liczyli sobie znacznie więcej. Nie podobały mu się także ich biura: znajdowały się albo w oszklonych biurowcach, albo w okolicy jeszcze podlejszej niż ta. Został więc, choć milczący i pełen wahania.

W końcu się odezwał.

- Zapłacę pańską stawkę. Bez względu na wszystko. Ale dostanie pan dziesięć tysięcy dolarów premii, jeśli pan ją znajdzie.

- Dziesięć tysięcy? - Kelly zagwizdał. - Dobra jest. Tym więcej ma pan powodów, żeby być ze mną szczerzy, panie Stark. I tym więcej powodów, by powiedzieć mi wszystko, co pan wie.

Jared mówił przez dziesięć minut. Jego całe małżeństwo, siedem tysięcy trzysta dni w dziesięć minut.

Kiedy skończył, Kelly milczał, uderzając najbardziej obgryzionym ołówkiem o biurko. Co jakiś czas cmokał w zamyśleniu.

- No, no - powiedział w końcu. - Ma pan tu niezły pasztet, panie Stark. Chce pan, żebym ją znalazł? Naprawdę? Jest pan pewny? Bo mnie ta premia z pewnością się przyda. Ale... - Podniósł wzrok. Zachował pokerowy wyraz twarzy, choć ciężko oddychał. - Po co chce pan kopać w tych czarnych dziurach?

Kiedy Jared nie odpowiadał, Kelly zabębnił ołówkiem jeszcze kilka razy.

- Pracuję w tym biznesie od dawna. Przez dziesięć lat byłem gliną na nocnej zmianie, przez siedem detektywem, potem mnie postrzelili, teraz zajmuję się tym. Od piętnastu lat. Mam pięćdziesiąt trzy lata, czyli kilka więcej od pana. Mam spore doświadczenie, cztery razy byłem żonaty, więc raczej nie będę panu doradzał akurat w tym. Ale powiem panu, że z mojej ewentualnej pracy dla pana nie wyniknie nic dobrego.

- Nieprawda.

- Proszę pozwolić mi skończyć. Większość osób, które do mnie przychodzą, to kobiety, matki szukające mężów, ojców swoich dzieci, którzy uciekli i zostawili je bez środków do życia. To siedemdziesiąt procent moich małżeńskich przypadków. Dziesięć procent to kobiety, które chcą mieć fotograficzną dokumentację zdrady męża, by przy-

gwoździć go podczas sprawy rozwodowej. Pięć procent to mężczyźni szukający żon, które zabrały dzieci. Chcą je odzyskać. Dziesięć procent to mężczyźni, którzy chcą się dowiedzieć, czy żony są wierne.

- I jak się to udaje?

- Zwykle kiedy mężczyzna zwierzy sprawę, wiedzą już o niej wszyscy. To dla mnie łatwa kasa, więc nie narzekam. Pod tym względem mężczyźni są strasznie ciemni. - Zakaszłał. - Mówię to z doświadczenia, więc nie chciałem pana obrazić.

- Nie ma sprawy - odparł Jared. On też był ciemny. - To wszystko daje ponad sto procent.

Kelly policzył na palcach.

- Chyba zbliżamy się do setki, plus minus dziesięć, piętnaście procent. Czasami kobieta odchodzi, ale zabiera ze sobą dzieci. Często tak się dzieje w związkach pełnych przemocy. Ale odejść jak pańska żona? Przed panem miałem dwa przypadki, gdy żona odeszła bez dzieci, i oba skończyły się w wodzie. Jedna w rzece Passaic, druga trochę dalej, w Ohio. - Kelly oblizał wargi i pokręcił głową. - Rzeka w Westport w stanie Kentucky jest piękna. Gdyby ciało nie leżało w wodzie przez trzy miesiące, zachód słońca nad rzeką byłby oszałamiający.

Jared nerwowo potarł miejsce między brwiami.

- Powiedział pan, że detektywi wykluczyli porwanie?

Jared skinął głową.

- Ja też - odparł. Poza tym mówiłem panu, że była z kimś związana. Myśli pan, że mogła zostać porwana bez żadnych związków z romansem? Przypadkiem? - Starał się ukryć drwinę w głosie.

- N i e o to mi chodzi. Ale może nie chciała odejść, a kochanek ją zmusił. Może groził, że ją zabije albo pana lub dzieci, może zagroził, że o wszystkim panu powie? Mógł ją zaszantażować, żeby odeszła.

- To prawdopodobne?

- Czemu nie? Powiedział pan, że wybierała pieniądze z konta? Może dawała je jemu.

- Przez cały rok był sprzedawcą miesiąca w salonie Jaguara. Dostał za to samochód. Sprzedał go od razu i dostał siedemdziesiąt tysięcy. Nie potrzebował jej pieniędzy.

- Okej. - Kelly wzruszył ramionami. - Mówię tylko, że nie wiemy, co się wydarzyło.

- Mogła z nim wyjechać z własnej woli - powiedział cicho Jared. - Mogła chcieć wyjechać. Mogła wyjechać z ulgą, z radością.

Detektyw patrzył sceptycznie, jakby nie wierzył, że to mogło się wydarzyć. Tylko wymuszenie i przemoc miały dla niego sens.

- W takim przypadku na pewno by napisała - powiedział. - Wróciła by, zadzwoniła, złożyła pozew o rozwód. Jej milczenie nie jest normalne.

- Co pana zdaniem się wydarzyło?

- Prawdopodobnie nie żyje - odparł bez wstępów Kelly. - Inaczej by wróciła. Może zamordował ją z zazdrości.

- Przez ponad rok spotykała się z nim, a potem wracała do domu, do mnie. Czy wygląda to panu na postępowanie godne reakcji Otella?

- Kogo? A, tak. Chyba nie. Ale w takich dziwnych przypadkach nie wykluczam niczego. Już sam jego dziwny charakter daje powody, by myśleć o najróżniejszych kręactwach. Może chciała wrócić, a on wpadł w furję i ją zabił. A potem zabił siebie. Czekaj pan na żonę, a powinien pan ją opłakać i żyć dalej. Jest pan przystojnym facetem, w kwiecie wieku, zarabia pan dobre pieniądze, nagle stał się pan wolny. Może marnuję czas, ale założę się, że jest kilka kobiet, które mogłyby, powtarzam, mogłyby uznać takie połączenie za bardzo atrakcyjne.

- Tak pan myśli? - zapytał obojętnie Jared.

- Coś mi to mówi.

- Hmm. No to zachowam czujność, ale na razie...

- Widzi pan? - wykrzyknął Kelly. - Jej śmierć to najlepsze, co mogłoby się panu przydarzyć! Wtedy mógłby pan powiedzieć dzieciom, że mamusia chciała wrócić, ale zaciukali ją i nie mogła.

Jared zgodził się, że pewne zamknięcie sprawy byłoby korzystne, choć nie podzielał entuzjazmu Kelly'ego.

- No właśnie. Widzę to dokładnie z pańskiej perspektywy - powiedział Kelly. - Ale ponieważ chce mi pan zapłacić niezłą kasę, muszę się temu przyjrzeć także z innej. - Teraz Kelly się zawahał. - Istnieje minimalne prawdopodobieństwo, że uda mi się ją znaleźć. A jeśli ją

znajdę, możliwe, że nie będzie chciała wrócić, i nie wiem, jak taktownie panu przekazać...

- Że nie wróci, bo nie chce? - dokończył Jared.

- Właśnie!

- Nie sądzi pan jednak, że powinienem o tym wiedzieć?

- Nie wiem - odparł Kelly, wyciągając rękę przez szerokość biurka. - A pan? Proszę się nad tym zastanowić i zadzwonić.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Już teraz chcę wiedzieć - rzucił Jared.

- Proszę się zastanowić i zadzwonić, panie Stark. Później mi pan podziękuje.

* * *

To była tylko brawura. Kelly miał rację. Jared nie chciał wiedzieć. Nie mógł dalej żyć, nie wiedząc, ale nie chciał wiedzieć. Może prywatny detektyw, któremu w końcu płacono za to, by przyglądał się ludziom, w mowie ciała Jareda dostrzegł paraliz.

Po kilku dniach myślenia o tym, a raczej myślenia o wszystkim, tylko nie o tym, Jared oddzwonił do Kelly'ego.

- Chcę to zrobić - powiedział.

- Nie wydaje mi się, panie Stark. Proszę sobie zadać najważniejsze pytanie w tym wszystkim, jak zresztą we wszystkim innym: Co ma pan nadzieję osiągnąć? Jeśli ona jest szczęśliwa jak norka, czy będzie dobrze? Co pan powie dzieciom? I co pan zrobi? Nie chcę dać się wciągnąć w coś, co później może uczynić ze mnie współnika przestępstwa. Nie mam ochoty na elegancki proces sądowy, który udowodni, że wiedziałem, że pan ją dopadnie i zabije, a mimo to znalazłem ją. Dostanę dwadzieścia pięć lat za współudział w morderstwie.

- Chce pan tylko wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy - powiedział Jared. - Dobra. Dwadzieścia tysięcy, jeśli pan ją znajdzie. I raz w miesiącu będę pana odwiedzał w Sing-Singu.

- Te dwadzieścia kawałków na niewiele mi się tam przyda - odparł Kelly.

Spotkali się, wymienili informacje, Jared zapłacił.

Dał detektywowi numer Finneya, zdjęcia Larissy, raport policji o zaginięciu, numer jej prawa jazdy, numer ubezpieczenia społecznego i paszportu.

- Ładna babka - powiedział Kelly. - Na zdjęciach wygląda na szczęśliwą.

- Tak. Ale może lepiej przyjrzymy się rzeczom, których nie widać. Potem Jared siedział i czekał.

I czekał.

I czekał.

* * *

Minęły dwa tygodnie. Dłużej nie mógł czekać. Zadzwoił do Kelly'ego, lecz upłynęło kolejne trzydzieści sześć godzin, zanim ten do niego oddzwonił.

- Pracuję nad tym - powiedział. - Wyjechałem w interesach.

Z tonu jego głosu Jared nie mógł wywnioskować, czy zabrzmiało to optymistycznie, czy pesymistycznie. Czy istnieje jakaś nadzieja, czy Kelly jest pełen najgorszych przeczuć. Przez telefon brzmiał, jakby nigdy wcześniej nie rozmawiał z Jaredem.

- Ma pan coś dla mnie?

- Kilka rzeczy. Ale wołałbym jeszcze o nich nie mówić. Nie jestem pewny, czy okażą się pomocne.

- Wszystko jest pomocne. Wszystko, co pan ma.

- No dobra. Osobiście uważam, że nie ma jej w kraju.

- C o ?

- A l b o jej nie ma, albo nie żyje.

Czy jego głos zabrzmiał radośniej?

- Dlaczego sądzi pan - zapytał powoli Jared - że nie ma jej w kraju?

- Nie tknięto ubezpieczenia społecznego. Prawa jazdy też.

- Finney powiedział, że mogła sobie wyrobić nowe. Prawo jazdy.

- Możliwe. Ale w przeciwieństwie do pana przyjaciela Finneya,

który nie zrobił swojej roboty, zadzwoniłem do wydziałów komunikacji we wszystkich stanach. Nie wyrobiła sobie.

- We wszystkich stanach? - Jared był pod wrażeniem.

- Nawet na Alasce i Hawajach. A gdyby gdzieś pracowała, pobierano by od niej składki na ubezpieczenie. A nie pobierano. Więc jak zarabia na życie?

- Może jest kelnerką.

- Za długo pracował pan w Prudential, panie dyrektorze finansowy. Kelnerki też płacą ubezpieczenie społeczne. Dostają dwa dolary za godzinę, z czego sześć centów idzie na składkę. A na konto pańskiej żony nie wpłynęło nawet dwanaście centów. Proszę mi wierzyć, ona nie pracuje. Jak długo może żyć z pieniędzy, które zabrała? Na pewno już się skończyły.

- Mogła zmienić nazwisko. - Jared się zamyślił. - Powinien pan poszukać na Hawajach.

- Dlaczego? Bo on pochodzi z Hawajów? Finney sprawdzał to już rok temu. Nic tam nie znalazł. Sprawdzę jeszcze raz, jeśli pan chce.

- Tak. - Jednak Jareda niepokoiły jeszcze inne rzeczy. - Może pan być ze mną w kontakcie? Potrzebuję tygodniowych raportów. Nawet jeśli nic pan nie znajdzie. Proszę tylko o pięciominutową rozmowę telefoniczną. Proszę do mnie dzwonić w każde czwartkowe popołudnie albo wieczór.

- Co tydzień? Nie będzie mnie w biurze. Jutro jadę do San Francisco.

- W mojej sprawie czy...

- Po części w pańskiej.

- Myśli pan, że ona jest w San Francisco?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że tamjadę. Muszę sprawdzić parę informacji. Proszę się trzymać. Zadzwonię do pana. Problem polega na tym, że zwlekał pan zbyt długo z wizytą u mnie. Jej ślad się urwał. Ludzie nie pamiętają, kogo widzieli lub z kim rozmawiali przed rokiem. Ciężko odświeżyć im pamięć.

- Rozumiem. Ale musimy wykorzystać to, co mamy.

- Jasne.
- Pamięta pan, że on miał motocykl marki Ducati? Tego się nie zapomina. Bardzo go kochał. Nie mógł go sprzedać. Na pewno go zatrzymał.
- To prawda.
- Chodzi mi o to, że ludzie mogli zapamiętać ten motor, nawet jeśli nie pamiętają nic innego.
- Jacy ludzie?
- Nie wiem. - Jared się zająknął. - Ci, z którymi pan rozmawia.
- Teraz rozmawiam z panem, a pan nic nie wie. Wie pan, że on miał ducati. Czy to przybliży pana do miejsca, w którym ona jest? Wie pan, ile motocykli ducati sportclassic sprzedano w tym kraju tylko w zeszłym roku? Czterdzieści siedem tysięcy. Dwadzieścia jeden w jego kolorze.
- Och.
- No właśnie. Jak już mówiłem, proszę się trzymać. Zadzwoń we czwartek.

* * *

- Wsiadli na statek! - powiedział Kelly, gdy zadzwonił w następny czwartek. - Pamięta ich pewien marynarz, a jego zeznania potwierdził kadet. Kupili bilety z San Francisco do Wailea.
- Popłynęli na Hawaje?
- Na to wygląda.
- Dlaczego nie polecieci!
- Z tysiąca powodów. Łatwiej wsiąść na pokład statku bez zbędnych pytań. Proszą o prawo jazdy tylko kierowcę, a czasami nawet jego nie. W tym przypadku nie zapytano, bo nie ma żadnych śladów, że wsiadł na statek. Ona też. Ale dwie osoby, które nadal pracują w kasie biletowej, pamiętają motocykl i mgliście chłopaka, który na nim siedział. Pamiętają go, bo wyglądał cholernie młodo. Poprosili o prawo jazdy, by sprawdzić jego wiek.
- Kiedy to było?
- Zeszłego lata.
- I co teraz?

- Teraz? Trudno w to uwierzyć, ale muszę się wybrać na Maui. - Kelly zachichotał. - Jestem trochę podekscytowany. Nigdy nie byłem na Hawajach.

- To nie są wakacje, Kelly.

- Wiem. Ale trudno nie zauważać otoczenia, nawet jeśli się pracuje.

Jared nie miał o tym pojęcia. Od zeszłego lata nie zauważał otoczenia.

3

Uciekinierka

Z pięćdziesiątego stanu nie dochodziły żadne wieści. Nie było żadnych czwartkowych telefonów. Jared dzwonił do biura Kelly'ego, ale ponieważ detektyw nie miał asystentki, trudno było zdobyć jakiegokolwiek informacje. Zostawił jedną wiadomość, drugą, tuzin. Po miesiącu przestał dzwonić. Michelangelo dołączył do Małej Ligi. Asher grał jako miotacz z dużymi chłopcami, Emily ćwiczyła na wiolonczeli trzy godziny dziennie do stanowych przesłuchań solowych i grała w siatkówkę, przygotowując się do mistrzostw stanu. Jared z trudem pracował do wpół do czwartej. Co było dość trudne dla dyrektora finansowego wielkiej firmy inwestycyjnej, gdyż giełdy zamykano o czwartej. Aby to jakoś zrekompensować, przychodził do pracy wcześniej. Maria zgodziła się odwozić Michelangela do szkoły, żeby on mógł w tygodniu odwozić go na treningi Małej Ligi, Emily na mecze w piątkowe wieczory i być z nimi jak najczęściej po szkole. Każdy dzień był wypełniony życiem aż po brzegi, a Jared czekał i czekał.

Liście na drzewach były już żółte, gdy dostał wiadomość od Glenna Kelly'ego. Wcześniej byli w Lillypond, na dwa tygodnie pojechali na Florydę, by odwiedzić jego chorych rodziców, i odbyli tygodniową wyprawę na archipelag Keys. Maria pojechała na lato na Słowację.

Rozpoczął się rok szkolny. Minęło czternaście tygodni od czasu, gdy Jared po raz ostatni kontaktował się z Kellym.

O czwartej po południu we czwartek w okolicy Halloween zadzwonił telefon Jareda. Kelly.

- O mój Boże.

- Przepraszam, stary. Wiem, że minęło dużo czasu. Powiedziałem, żeby się pan trzymał. Posłuchał mnie pan?

- Gdzie pan jest? Połączenie jest okropne. - Jared ledwo go słyszał.

- Wiem, przepraszam.

- Gdzie pan jest?

- W Australii.

- W Australii! Po co, na miłość boską?

- Po co? Bo zdobyłem wiarygodne informacje, że tam właśnie pojechali.

- Do Australii?! - Jared nie mógł w to uwierzyć. - Po co?

- Tego jeszcze nie wiem.

- Gdzie są teraz?

- Tego też nie wiem. Ale w końcu wytropiłem jedną z jego siostr, która mieszka teraz nie w Wailea, skąd on pochodzi, lecz w Honolulu, i powiedziała mi, że pamięta, jak wspominali o wyjeździe do Australii. Wyobraża sobie pan?

Gdyby Jared nie wiedział, że tak nie jest, mógłby przysiąc, że Kelly jest pod wrażeniem ich hucpy. Podróż statkiem!

- Kelly, ledwo rozumiem, co pan do mnie mówi. Co się z panem dzieje?

- Nic, stary. Absolutnie nic. Ale problem polega na tym, że Australia to wielki kraj, luźno zaludniony przez dwadzieścia milionów ludzi. Trochę to potrwa, zanim ich zlokalizuję. Nie jestem optymistą. Byłem...

- Zniknął pan na trzy miesiące i ich nie znalazł!

- Dobra, nie ma potrzeby krzyczeć.

- Nie będę panu płacił za trzymiesięczne wakacje na Hawajach i w Australii.

- Nigdy nie mówiłem, że tyle chcę. Czy jeden miesiąc może być?

Zapłacił mi pan już z góry za dwa tygodnie. Jeszcze dwa i będziemy kwita.

- Kwita za co? Czego się pan dowiedział?

- Siostra uważa, że chcieli rozkręcić własny interes. Wyprawy do buszu czy coś takiego. Trzymam się więc z daleka od wielkich miast. To zawęży trochę poszukiwania, ale mimo to cel jest ogromny.

- Nie znalazł ich pan... - Jared był ogromnie rozczarowany.

- N i e poddaję się mimo ogromu wyzwania. Podróżowałem po wschodnim wybrzeżu, byłem w buszu i w lesie bambusowym niedaleko Cairns. Co za kraj, nawiasem mówiąc. Nie uwierzyłby pan. Co za kraj! Nie bardzo chce mi się wracać.

- Nie chce się panu wracać gdzie? Do pracy?

- Tak. Kto chciałby pracować, widząc rzeczy, które zapierają dech w piersiach.

- Na pewno. I w pełni doceniam pański raport turystyczny. Kiedy zamierza pan wrócić?

Zapadła długa chwila ciszy. Jared pomyślał, że Kelly go nie usłyszała, połączenie było fatalne.

- Będę z panem szczerzy - powiedział w końcu Kelly. - Nie wracam.

- Proszę tak nie mówić.

- Powędruję trochę po kraju, może uda mi się ich wytropić podczas moich podróży. Jest jeszcze wiele miejsc, których nie widziałem. Wie pan, że nigdy wcześniej nie wyjeżdżałem ze Stanów?

- Świetnie, Kelly. Ale jaki ma pan plan? Chce pan pozostać na moim stałym utrzymaniu?

- Nie. Proszę mi tylko przesłać przez Western Union kasę, którą jest mi pan winien do dziś. I zapomnieć o premii.

- Tak pan myśli? Mam zapomnieć o premii zajej znalezienie? Tylko jeśli pan bardzo nalega.

- Proszę się na mnie nie złościć. Od początku mówiłem, że to nie będzie łatwe. Podpisał pan umowę. Myślałem, że pan rozumie. Nigdy nie gwarantowałem rezultatów.

- Naprawdę pan nie wraca?

- Po co? Pracować mogę tutaj. Na czarno. Nie zarabiam wiele, ale też niewiele potrzebuję. Pracuję jako ochroniarz, barman. Potrafię też robić inne rzeczy. Jeżdżę tam, gdzie są turyści, pracuję przez kilka tygodni i ruszam dalej.

- Gratuluję. Cieszę się, że poukładał pan sobie życie.

- Proszę nie mieć do mnie żalu. Jeśli ich znajdę, skontaktuję się z panem. Na mój koszt. Nie będzie musiał pan nic płacić. Jeśli ją znajdę, zadzwonię do pana.

- Świetnie.

Jared nie mógł uwierzyć, że Kelly nie wraca. Pomyślał, że to wymówka, że detektyw nie chce się przyznać do porażki.

Przy pierwszej okazji pojechał do Morristown do domu Kelly'ego. Na trawniku stała tablica z napisem „Do wynajęcia”, a okna były zabite deskami. Stare krzesła i inne zniszczone meble stały na werandzie z tabliczką: „Weźcie sobie. To badziewie jest za darmo”.

Opuściła go więc nie tylko żona, ale też detektyw, którego wynajął, by ją odnalazł. Teraz potrzebował prywatnego detektywa, by odnalazł prywatnego detektywa!

Australia!

* * *

Jared stracił rachubę, ile miesięcy minęło, gdy pewnego wieczoru wrócił do domu i wśród nadesłanych pocztą katalogów znalazł szarą kopertę. Wyglądała obco, egzotycznie.

Jego nazwisko i adres wypisała niedbale męska ręka, a adresem zwrotnym była skrytka pocztowa w Taillem Bend w Australii. Chciał natychmiast rozerwać kopertę, pójść do gabinetu, zamknąć drzwi i mieć to z głowy. Ale była pora kolacji i Maria ugotowała słowacką wersję zapiekanki pasterskiej, a kiedy zapytał, co to takiego, odparła z uśmiechem, że polska kiełbasa, wędzonka i włoska kiełbasa zmieszane z ziemniakami i cebulą. Nie było sera, ale na wierzchu posypała ją bułką tartą. Asher musiał zjeść szybko, bo trzeba go było zawieźć

na zebranie Koła Młodych w Millburn, a Michelangelo musiał napisać do szkoły autobiograficzne wypracowanie (co z wiadomych powodów odkładali), lecz termin minął już przed tygodniem i musiał je dostarczyć jutro. Emily nauczyła się piec biszkopt z siedmiu jajek i czekała, aż Maria wyjmie zapiekankę z pieca, by włożyć swoje dzieło - trzecią próbę w tym tygodniu.

Jared otworzył kopertę w samochodzie, kiedy zawiózł Ashera do Millburn. Siedział w ciemności na parkingu przy włączonym silniku i przez dziesięć minut zbierał się w sobie.

W środku znalazł list od Glenna Kelly'ego i białą kopertę ze zdjęciami. Najpierw przeczytał list, jak kartkę przed otwarciem prezentu, tyle tylko, że ten prezent na pewno nie sprawi mu przyjemności. Zacisnął palce na kartce papieru.

Szanowny Panie Starki

Wiem, że minęło sporo czasu, od kiedy kontaktowaliśmy się ostatni raz. Nie pamiętam, kiedy to było, czy minął już rok? Nie ma Pan pojęcia, jak straszliwie trudno było ją znaleźć. Ale żyje i ma się dobrze; mieszka w narciarskim kurorcie o nazwie Jindabyne. Latem razem z nim prowadzą małą firmę wycieczkową. Nie wiem, czym zajmują się zimą. Z urywków ich rozmów wywnioskowałem, że niewiele robią. Wybrałem się z nimi na dwudniową wyprawę i wtedy zrobiłem zdjęcia. Przesyłam Panu dwa, ale jak już mówiłem, jesteście kwita. Wiem, że umawialiśmy się na więcej, ale ponieważ zrezygnowałem z pracy, nie musi mi Pan wypłacać premii, bo przez cały ten czas nie pracowałem dla Pana. Jeśli nie chce ich Pan oglądać, uważam, że Pan nie powinien. Wyprawa była świetna. Amerykanie byli pod dużym wrażeniem, w tym ja. Wszyscy ich wychwalali. Proszę nie oglądać zdjęć, jeśli Pan nie chce. Proszę dalej żyć swoim życiem. Jeszcze dużo go Panu zostało.

Nie wiem, jak długo zostanę nad rzeką Murray. Może niebawem ruszę dalej, chciałbym powędrować do Australii Zachodniej. Dwóch tutejszych gości raz do roku przemierza dwa tysiące mil - na wielbłądach! Wyobraża sobie Pan?

Jeśli zechce się Pan ze mną skontaktować, będę tu jeszcze kilka tygodni.

Jared nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy wysunął z białej koperty dwa nieduże zdjęcia. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć w świetle deski rozdzielczej. To była jego Larissa. Siedziała na samochodzie przypominającym te do przewozu żołnierzy, terenowym, podobnym do hummera, lecz większym. Zdjęcie zrobiono jej z tyłu samochodu za pomocą długiego obiektywu; przed nią widać było niewyraźne głowy, całe zdjęcie było lekko zamazane, ale bardzo prawdziwe. Zanim zobaczyła prace Sugimoto, na których fałsz wyglądał jak prawda, mawiała, że zdjęcie nie kłamie. Można na nim uchwycić tylko to, co już tam jest.

Prawda uchwycona przez aparat Kelly'ego przedstawiała Larissę z prostymi włosami, ufarbowanymi na jasno, opadającymi swobodnie, z gołymi szczupłymi nogami, w szortach khaki i kamizelce w stylu safari. Uśmiechała się jak nastolatka, z pałającymi szczęściem oczami - nie, nie uśmiechała się, śmiała się na głos! Najwyraźniej reagowała na coś bardzo wesołego. Wyglądała dwadzieścia lat młodziej niż w chwili, gdy widział ją ostatni raz, była szczupła i wysportowana. Opalona, nie nosiła makijażu.

Było to najgorsze zdjęcie, jakie Jared widział w życiu, dopóki nie zobaczył drugiego.

Drugie przedstawiało Larissę i kierowcę samochodu pełnego turystów. Kierowcą był on. Siedział za ogromną kierownicą. Za przednią szybą widać było bujne drzewa eukaliptusowe, bylicę, pokrytą pyłem drogę. Siedział z głową lekko odwróconą w jej stronę. Też miał na sobie szorty i kamizelkę. Wyglądał jak łodyga z prawie czarnymi ramionami. Długie włosy ściągnął w kucyk. Coś do niej mówił z rozbawionymi błyszczącymi oczami. Ale to jej twarz rozdarła Jaredowi serce. Pełna bezwstydnego uwielbienia, gdy patrzyła na niego, błyskając bielą zębów, śmiała się z czegoś, co powiedział.

Jared nie wiedział, czego się spodziewał. Na pewno nie tego. Siłą odwrócił wzrok i utkwiał go w parkingu, fluorescencyjnych lampach przed centrum młodzieży, innych samochodach. Spójrzcie tylko, chciał

krzyknąć do ludzi, których tam nie było, do Ezry, jej przyjaciela, Emily, jej córki. Spójrzcie: czy to jest twarz, która planuje lada moment wrócić? Czy to ktoś, kto wróci?!

O mało się nie rozplakał.

Po paru latach odnajduje ją na brzegach sztucznego jeziora, przekonany, że zmagą się z wieloma problemami, a zamiast tego ona siedzi uśmiechnięta na samochodzie, śmiejąc się radośnie, opalona i tryskająca humorem. Wygląda na dwadzieścia lat. Jest beztroska. Zakochana! Czuł, jakby ktoś wbijał mu gwoździ bólu prosto w udręczone serce.

Kavanagh miała rację, Ezra też. Powiedzieli, że nigdy nie uwolni się od rozgoryczenia, jeśli nie odpuści. Jak mogę odpuścić? - krzyczał. Nawet nie wiem, co mam odpuścić. A jeśli ona nie żyje? To zupełnie inna historia, prawda?

Wyjechał z parkingu, spojrzął na zegarek i popędził przez dwa miasta do gabinetu doktor Kavanagh. Może przyjmuje we czwartki do późna. Musiał się z nią zobaczyć, musiał jej opowiedzieć o tym, co okazało się w nim najgorsze po tym, jak odkrył to, co najlepsze w swojej byłej żonie.

W gabinecie paliło się światło i drzwi były otwarte, ale wystrój poczekalni uległ zmianie. Stały w niej inne meble, zniknęły zasłony, stał plazmowy telewizor, a na stoliku leżały magazyny „Architectural Digest”. Drzwi otworzyła nie Kavanagh, lecz wysoki mężczyzna.

- Chyba źle trafiłem - wymamrotał Jared. - Przepraszam. Szukałem...

- Joan Kavanagh?

- T a k .

- Bardzo mi przykro. Umarła. Wysłaliśmy zawiadomienia; nie dostał pan? Na pogrzeb przyszło siedemset osób. Tak mi przykro. Była blisko związana z wieloma pacjentami. Jej utrata bardzo ich przygnębiła. Nigdy nie wiadomo, ile osób cię kocha, dopóki nie ojedziesz. Czyż to nie smutne? - Wzruszył ramionami. - Jestem doktor Messina. Czy mogę panu jakoś pomóc?

- Bardzo mi przykro z powodu jej śmierci - powiedział Jared, wycofując się. - Była dobrą kobietą.

- Tak. Dobrą kobietą, która stanowczo za dużo paliła. - Messina odwrócił się od Jareda i skinął na następnego pacjenta.

Na parkingu Jared oparł się o samochód, z kopertą w dłoni. Kiedy ostatni raz widział się z Kavanagh, kiedy pomógł jej wejść do maleńkiego pokoju, w którym trzymała butlę z tlenem, pomógł jej usiąść i przez kilka minut przyciskać do twarzy i nosa maskę, stał poruszony, zdenerwowany i patrzył na jej wyniszczoną przez chorobę postać. Myślał, że on też zmaga się z realnym bólem.

Kiedy Kavanagh mogła oddychać i mówić jednocześnie, powiedziała:

- Chce pan wiedzieć, dlaczego pańska żona odeszła? Proszę na mnie spojrzeć. To ja jestem odpowiedzią. Bo obowiązek to paskudne słowo. Zakłada związek z drugą osobą. A uczono nas, niektórych zbyt dobrze, że mamy zobowiązania tylko w stosunku do siebie. Paliłam przez całe dorosłe życie, wbrew życzeniom moich dwóch córek i męża. Paliłam paczkę, dwie, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści papierosów dziennie, udając przed innymi, że to tylko sześć czy osiem, a w niektóre dni w ogóle nie palę. Kłamałam, że nie muszę palić. Ale nie mogłam oszukać własnego ciała. Ono wiedziało. I wiedząc, że jestem słaba i delikatna, wiedząc, że przez ostatnie dwadzieścia lat zapadałam w zimie na choroby układu oddechowego, że stale zażywam antybiotyki, mam początki rozedmy płuc, wiedząc, że po dwóch dziewczynkach moja córka nareszcie oczekuje syna, czy przestałam palić? To pytanie retoryczne. Już pan zna odpowiedź. Wiedząc, że to może mnie zabić, nie przestałam. - Nasunęła maskę na dolną część twarzy. - Jared - zawołała ze świstem przeżartych przez raka płuc - proszę spróbować osądzać ją mniej surowo. I proszę pamiętać: Larissa nie mogła panu dać tego, czego nie miała.

Siedział w samochodzie z szarą kopertą w dłoniach.

Wolałby, żeby umarła, niż żeby była szczęśliwa. Tak wyglądała miłość w sercu Jareda. Jak nienawiść. Był zły na Kavanagh. Chciał krzyknąć: „Obiecała mi pani, że ona będzie cierpieć. Czy nie tak?”. Ale kulił się ze wstydu, próbując wymazać z pamięci słowa swojej córki: „Tato, wolałabym, żeby mama odeszła, niż umarła. Jeśli gdzieś tam żyje, zawsze istnieje nadzieja, że wróci”.

Siedział sam na parkingu przed gabinetem, trzymając w dłoniach swoje życie.

Nic nie zostało odebrane, nic nie zostało ukradzione. Jednego dnia była, a następnego po prostu zniknęła. Wyszła po mleko, papierowe ręczniki, wyszła, by malować dekoracje do *Naszego miasta*, wystawić scenę z kukiełkami w *Dźwiękach muzyki*, na lunch w Hoboken, w jednej chwili prowadziła samochód, płaciła, wyjmowała pieniądze, a w następnej...

Po prostu tego nie robiła.

Cała reszta pozostała nietknięta. Dzieci, ich napięte plany zajęć, lekcje, muzyka, sport, przyjaciele i filmy, pokoje z narzutami, które kupiła i własnoręcznie łątała. Nauczyła ich wszystkiego, nawet malucha, także by rano słać łóżka. Jared nie musiał ich niczego uczyć. Dzieci wstawały, szcztokowały włosy, myły zęby, słały łóżka. Jadły śniadanie, chwytaly plecaki, machaly na pożegnanie, biegły do żółtego autobusu, znikaly na siedem godzin, potem wracaly.

Ona nie wróciła. Zbudowała życie, a potem je zostawiła.

Ale zostawiła je w dobrym stanie. Tylko jej nieobecność była ruiną. Czy odważy się to powiedzieć?

Zupełnie jakby umarła. Na jej pogrzeb też mogłoby przyjść siedemset osób, bo kiedyś była księżycem, który odbijał się w każdej kałuży.

W stanie New Jersey, kiedy małżonka znika na ponad dwa lata i wszystkie wysiłki policji, by ją odnaleźć, okazują się nieskuteczne, zostaje uznana za zmarłą. Małżeństwo zostaje rozwiązane. Mąż może ożenić się ponownie, może znów kochać.

Spoglądał na swoje dłonie i dusił się.

Całym sercem widział Larisę, jaką kiedyś była. Nic z ponad dwudziestu spędzonych z nią lat nie mogło mu w tej chwili pomóc.

W rumowisku, pośród popiołów i spalonego papieru, metalu, resztek zrozpaczonej stali szukał kawałka kości, okruchu wapnia, który powiedziałby mu: „Tak, to jest ta, którą kochałeś. Ale ona nie żyje. Teraz możesz położyć ją w otwartej trumnie, pochować, odbyć żałobę i żyć dalej”.

Włączył silnik i ruszył w stronę Millburn, by odebrać Ashera.

Jej zdjęcie w Jindabyne było otwartą trumną.

- Mieliśmy po dwadzieścia lat, zanim cię poznała - mówił pewnego późnego wieczoru Ezra, gdy siedzieli z Jaredem w tawernie U Joego w Summit. Dzieci były w domu, Maggie w szpitalu czekała na nową nerkę. - Pamiętam, jak siedziałem w ostatnim rzędzie ciemnego teatru, a ona ćwiczyła kwestie nowej sztuki. Była bardzo dobra i taka artystyczna w długich czarnych spódnicach - dodał z nostalgią w głosie, lekko zażenowany.

- Zgadza się.

- Przypominała ruchomy obraz. Coś Caravaggia, ale chodziła, oddychała i mówiła głośno o plagach i nieszczęściach. Słuchałem jej na tej szarej scenie. Czytała obie role, ale kiedy zobaczyła, że na nią czekam, nagle zmieniła ton i chyba postanowiła się ze mną zabawić. Zaczęła recytować wiersz Anne Sexton. Wiesz, żadna dziewczyna nie może przejść przez cztery lata college'u, nie ucząc się na pamięć Anne Sexton.

- Nie do pomyślenia.

- Utkwiło mi to w pamięci na całe lata. Mogła czytać albo recytować wszystko. Potrafiła być zabawna, tragiczna, elokwentna lub głęboka. Chcesz wiedzieć, który wiersz Sexton wyrecytowała?

- Nie jestem pewien.

Ezra wziął oddech.

*Mieszkam w domu lalki
Z czterema krzesłami,
Sztucznym stołem, płaskim dachem,
i wielkimi frontowymi drzwiami.
Jest w nim żelazne łóżko,
(życie wyolbrzymia, życie nabiera celu)
kartonowa podłoga,
Okna otwierające się na czyjeś miasto
I niewiele więcej.*

Jared dopił piwo. Ezra też zamilkł.

- Później zapytałem ją, dlaczego wybrała właśnie ten wiersz - powiedział po chwili. - Czy chciała mnie dręczyć, czy zademonstrować swój talent? Odparła, że ani to, ani to. Powiedziała: „To po prostu najsmutniejsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić, żyć kartonowym życiem. I chciałam wiedzieć, czy potrafię to oddać, nie wiedząc, jak to jest”. To było ćwiczenie w wyrażaniu wyobrażanych emocji, nic więcej. - Przełknął ślinę. - Powiedziałem, że oddała to przepięknie.

- I oddawała całkiem długo - powiedział Jared. - Aż do Jindabyne.

Zamówili następną kolejkę. Popili ją tequilą. Zastanawiali się, jak wrócą do domu, skoro Maggie nie może ich odwiedzić, i Jared powiedział, że przyjedzie po nich Maria.

- Zaraz zenująco się zalejemy - oświadczył Ezra.

- Zaraz?

Następna kolejka, jeszcze więcej tequili, limonki, Jaredowi kręciło się w głowie, wszystko było płynne, ulotne, nic go nie bolało. Ezra posępniał, jego głos był coraz smutniejszy. Wszystko będzie dobrze, Ez. Wyzdrowieje. Maggie dostanie nową nerkę, będzie cała jak nowa. Ma szczęście, że jej brat może być dawcą i zgodził się oddać nerkę.

- Wiesz co? - powiedział nagle Jared. - Ojciec Emilio przyjechał na Filipiny, dlatego że był lekarzem. To fascynujące. Na Filipinach jest ogromny rynek nerek. Interes kwitnie. Brytyjscy lekarze jeżdżą tam i dopasowują filipińskie nerki dla zrozpaczonych pacjentów z Zachodu, którzy nie mogą znaleźć dawców w swoich własnych krajach. Dlatego ojciec Emilio pojechał do Manili. Był chirurgiem i chciał pomóc.

- Jared, masz jakieś halucynacje? Kim jest ojciec Emilio?

- Księdzem Che. Czytałem o nim w jej listach do Larissy.

- Ksiądz Che jest specjalistą od nerek? Zamierzałeś go polecić, gdyby nie udało się z bratem Maggie?

- N i e . Wydaje mi się, że obecnie pracuje wyłącznie w parafii San Augustin.

- Nie twierdzę, że to nie może się przydać. Ale po co mi o nim opowiadasz?

- To interesujące, że zaczął życie jako ktoś inny. Nie sądzisz? Idziesz na uniwersytet, na wydział medycyny, odbywasz staż. To duża rzecz. Wyjechał do Manili, by poświęcić się jednej profesji, a został kimś zupełnie innym. Zastanawiam się, co go do tego skłoniło.

- Hmm. A może nalejemy tequili od razu do piwa? Czy to będzie interesujące?

- Fascynujące - odparł Jared.

Nalali. I było.

Ezra raz po raz otwierał usta, by coś Jaredowi powiedzieć. Ale miał problemy z wydobyciem słów.

- Nie musisz mi niczego mówić, Ezra. Wszystko już wiem.

- Wiesz - zaczął Ezra. - Kochałem ją. - Zawiesił głos. - Kiedyś. Jared skinął głową.

- Wiem.

- Wiedziałaś? Nie! O czym?

- O tobie i Larissie.

- N i e !

- Jasne.

- Od kiedy?

- Od college'u.

- Niemożliwe. - Ezra się zająknął. - Od college'u? Nic nie mówięś.

- A po co mówić?

- Może jedno słowo...

- Po co?

To zdumiało Ezrę.

- Szczerze, po co? - powtórzył Jared. - Co było, minęło. To było przecież dawno temu, zanim się zeszliliśmy. Sprawa była zakończona.

- A l e jak mogłeś nigdy nic nie powiedzieć?

- Bawiło mnie to. Gdybym poczuł się zagrożony, na pewno bym coś powiedział. Ale myślałem, że ją znam. Czułem się z nią bezpieczny. I byliśmy przyjaciółmi. Pomyślałem, że gdybyś wiedział, że wiem, czułbyś się nieswojo w moim towarzystwie.

- Zapytałem Larissę, czy ci powiedziała, ale odparła, że nie.

Jared skinął głową.

- To prawda. Nigdy mi nie powiedziała. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, wydaje mi się to dziwne. Jak kolejny znak, który umknął mojej uwadze. Umiała zachowywać sekrety. Ale ja i tak wiedziałem, Ezra. Kiedy na nią patrzyłeś, to było oczywiste. Patrzyłeś na nią z taką samą tęsknotą jak ja. Niełatwo to ukryć.

- Jezu, stary.

- W porządku. Nie ma sprawy.

- Byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi.

- Tak. Uwielbiałem to. Zawsze byliśmy sobie bliscy.

- Nie wiedziałem, Jared. Uwierz mi. Gdybym wiedział, coś bym na pewno powiedział.

Teraz Jared zamilkł na chwilę.

- Czyżby? Co? I komu? Mnie? Jej?

- Zawsze była z tobą szczęśliwa. To ty byłeś jej przeznaczony. - Ezra utkwiał wzrok w szklance z piwem. - Wiele lat temu przez jakiś czas to mnie wściekało. Że to ty byłeś jej przeznaczony, nie ja.

- Uwierz mi, stary, klnę się na Boga i żałuję, że to ja byłem jej przeznaczony.

Obaj się roześmiali, choć Ezra nieco ciszej i to rozbawiło zalanego Jareda. Czy Ezra sądził, że być może Larissa zostałaaby, gdyby w college'u wybrała inaczej?

- Zabawne, jak nasze z góry przyjęte założenia okazują się błędne - powiedział. - Gdybyś zauważył, że to nie ja byłem jej przeznaczony, może dostrzegłbyś w niej także inne rzeczy.

- Które nam umknęły?

- Tak. - Jared odwrócił wzrok na błękitne światło oświetlające butelki drogiego alkoholu. Jej matce to nie umknęło. Dlatego Larissa nie chciała mieć z nią nic wspólnego. - Umknęło ci to, bo patrzyłeś na nią z zewnątrz. Oglądałeś kryształowy kieliszek z zewnątrz. Jak mogłeś wiedzieć, że w środku jest pusty?

Obaj zgodzili się, że nie było na to sposobu.

- Nie mogę uwierzyć, że wiedziałeś o nas.

- N i e mogłeś tego ukryć, Ezra. Tak jak ona. Kochałeś ją wtedy. To było widać. Wszyscy wiedzieli.

Ezra zamilkł.

- Nie wszyscy. Maggie nie wiedziała.

- Nie. - Jared nie powiedział, że Maggie po prostu nie chciała spojrzeć. Jak on. - Maggie jest wspaniała. Nie muszę ci chyba przypominać, że twoja żona nadal jest z tobą.

- Przykro mi, stary.

Wydawało się, że Ezra płacze wyschniętymi łzami, powstrzymując szloch, ale trudno było to stwierdzić, bo Jared nie mógł na niego spojrzeć.

- Mnie też, Ez. Oglądałeś w ostatni weekend w MTV film dokumentalny o Queen? Nieżyły, ale całe te dwie godziny to nic w porównaniu z ułamkiem sekundy, kiedy pod koniec pokazali twarz Freddiego Mercury'ego. To był ostatni teledysk zespołu, *Those Are the Days of Our Lives*. Mercury wygląda w nim jak Skeletor. Porusza się z trudem, a kiedy już to robi, to w zwolnionym tempie. Jest mocno umalowany, by ukryć fakt, że jest bliski śmierci i wie o tym. Wychudły, przeżarty przez chorobę, stoi, prawie się nie ruszając, i śpiewa „Nie można cofnąć czasu”, a potem patrzy prosto w kamerę i szepce: „Szkoda”. W jego oczach widać całe jego życie, żal i zbliżającą się śmierć i jak bardzo żałuje, że nie żył inaczej, bo teraz mógłby żyć dłużej. Jeśli mrugniesz, ta sekunda przeminie - jak wiele rzeczy. Właśnie tak się czuję. Żałuję, że nie mogę wrócić do dawnych dni, kiedy myślałem, że jestem szczęśliwy. Do jednej przejażdżki kolejką górską, tygodnia w mieszkaniu w Hoboken, jesteśmy bez grosza, rozcieńczamy mleko, a jednak...

- Stary, tu nie chodzi o jedną rzecz - powiedział Ezra. - Nie ma takiej jednej chwili, do której mógłbyś wrócić i powiedzieć: Gdybym tylko zrobił to inaczej. Poza tym patrzysz na to wszystko ze złej strony. - Odwrócił się do Jareda na barowym stołku, a jego błędny wzrok się ożywił. - To nie zależało od ciebie! To nie ty podjąłeś decyzję o jej odejściu i nie możesz tego odwrócić i naprawić. Ale teraz możesz spojrzeć na swoje życie na dwa sposoby. Możesz patrzeć na wszystko, co ci odebrano - i tak właśnie postępujesz. Albo możesz spojrzeć na wspaniałe rzeczy, które nadal masz.

- Nie zauważyłeś? Miotam się dziko między tymi dwiema ewentualnościami.

- Wiem, stary - odparł Ezra, kładąc ręce na ramionach przyjaciela. - Ja też.

Minęła kolejna godzina. A może dwie. Czy już zamykali? A jeśli Maria śpi? Będą musieli zamówić taksówkę. Nigdy nie przesiadywali do tak późna. Przenieśli się do rogu sali i usiedli przy stoliku.

- Poderwałem ją, Ez - powiedział Jared. - Przed nią byłem zakochany w innej dziewczynie, naprawdę szalonej, ale nie mogłem w nocy spać. Yvonne nikomu nie dawała spokoju.

- A kiedy nie była z tobą?

- Zwłaszcza gdy nie była ze mną.

- A c h .

- Larissa z drugiej strony miała w sobie wszystko z wyjątkiem tej rzeczy, która w środku doprowadzała mnie do szaleństwa. I nie jest to wyrzut. Była zabawna, dowcipna, miała wiele zainteresowań, była mądra. I piękna.

- Tak - odparł Ezra. Ze sposobu, w jaki to powiedział, Jared nie mógł wywnioskować, czy zgadza się z ostatnią rzeczą, czy ze wszystkimi.

- A l e najważniejsze było to, że spojrziałem na nią i zobaczyłem wspólne życie. Pomyślałem, że możemy razem zbudować coś trwałego.

- I zbudowaliście.

Jared zastanowił się.

- Żałujesz, że nie zostałeś z szaloną Yvonne? - zapytał Ezra. - Znałem ją. Chodziła po kampusie bez majtek, a kiedy sądziła, że ktoś idący za nią tego nie zauważa, pochylała się, by podnieść coś z chodnika. Żeby już nie miał wątpliwości.

Jared go szturchnął.

- Mówisz to z doświadczenia?

- Najgorszego.

Jared zaśmiał się pijacko.

- Była świetna, prawda? Z perspektywy czasu wydaje się urocza i czarująca.

Ezra wybuchnął śmiechem.

- Czujesz się lepiej, myśląc o niej?
- Nie wiem. Zastanawiam się, co teraz porabia.
- Jest stewardesą.

Jared spojrział na niego zaskoczony.

- Mówisz to z doświadczenia?
- Najgorszego.

Jared otworzył szeroko usta.

- Nie mów mi, że dalej jest taka szalona.
- Dobra, nie powiem.
- Boże, Ezra! Mogła być moją żoną! A Larissa twoją.
- Nie jestem pewny - wyznał płacząco Ezra - czy odmówiłbym, nawet wiedząc to, co wiem teraz.

Kiedyś miałem nadzieję, że dostrzeżę cię właśnie mnie, kiedy byłaś sama w blasku dnia. To Jared chciał powiedzieć Larissie, ale było już za późno.

Nie dostrzegła jego. Reszta była nieistotna.

* * *

Wszystko rozplynęło się jak marzenie i nagle życie zaczęło przypominać sen. Twoje serce jest obolałe, wspomnienia uleciały z duszy i czasami nadal sięgasz do jej serca, twoje palce wyciągają się, by przypomnieć sobie, o czym śniłeś. Ale nie możesz. Sięgasz przez chwilę po mgliste półobrazy, a potem wstajesz, ubierasz się i zajmujesz codziennymi sprawami.

W tej chwili życie nie przypomina już snu. Jared stoi mocno nogami na ziemi. Ma otwarte oczy. Jest rzeczowy i praktyczny, zakorzeniony w rzeczywistości. Wie, że nadal ma wiele darów. A jeśli jakaś jego część pozostaje zamknięta, jest to cena, którą płaci za wypijanie z wdziękiem swojej do połowy pustej szklanki.

Czasami żałuje, że jej wspomnienie wyblakło, że nie pamięta jej lepiej. Czasami żałuje, że wyrzucił wszystkie jej zdjęcia w akcie neandertalskiej wściekłości, spalił i pociął wszystkie fotografie dokumentujące

ich wspólne życie. Czasami żałuje, że nie zostawił choć ślubnej. Ona była wtedy inną osobą. On też.

Czasami żałuje, że nie odczuwa tej porażającej nienawiści - do wszystkiego. Dojrzał. Nic go teraz nie peszy. Nie może.

Często przypomina sobie słowa Kavanagh, które przetrwały próbę bezlitosnego Czasu. *Ona nie może dać panu tego, czego nie ma.*

To było niemal pocieszające. Jakby starannie zaplanowana destrukcja wymknęła się Larissie spod kontroli. Zupełnie jakby było to jedynie przypadkowe zniszczenie rzeczy, w które wierzył i uważał za prawdziwe.

Ale...

Kiedy przeglądał rzeczy Larissy, znalazł wiersz, schowany głęboko pod stosem papierów, bez daty, napisany jej starannym, eleganckim charakterem pisma, zatytułowany *Dziecko na gigancie*.

Jestem dzieckiem na gigancie.

Skaczę z radości. Pełnia księżyc. Lato. Upadam na śnieg.

Nasza piosenka, nasza ślubna piosenka.

Ożeń się ze mną, śpiewałeś

z szampanem na ustach.

Bon voyage, spokojny dzień.

Dzień podróży.

Spadające gwiazdy wystrzeliły w powietrze

Z mojego balonu, i popłynęłam, z rozpuszczonymi włosami

Z sercem na dłoni.

Bo był piątek, a w piątki cię kochałam.

Wyprasowałam twoje koszule i poskładałam krawaty.

Szukając kontaktu z ziemią

Poszłam na spacer, zostawiłam na piecu gorącą czekoladę,

Papiery starannie poskładane, odłożone na bok.

Wszystko

Bardzo starannie

Bardzo bardzo starannie

Odłożone na bok.

*Może pewnego dnia
Któregoś dnia
Po latach w pewną niedzielę
Pomyślisz o mnie
Jak o starannie odłożonej na bok
Jakbym nigdy nie istniała
Jakbym była jeszcze jedną rzeczą w twoim życiu,
Która zjawiała się
I zniknęła.
Wspomnienia jak kwiaty.
Miłość jak kwiaty limonki.*

CZĘŚĆ IV

MISS SILVER CITY

A cóż to za nowe piekło?

Dorothy Parker

1

Wędrowiec

Larissa śniła, że śni, leżąc na wznak, i wpatruje się w sufit i duże okna z białymi firankami. Słyszała szum zamrażarki na dole, odgłos prysznicza przez niedomknięte drzwi, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że leży pod kremowożółtą kołdrą w złote petunie, a pod głową ma cztery poduszki. Przesunęła dłońmi pojedwabnych prześcieradłach i zerwała się z łóżka. Spojrzała na półki jeszcze nieopróżnione z książek, na toaletkę przy oknie, za którym rozpościerał się widok na zielone pole golfowe, a dobiegający z dołu chłopięcy głos namawiał psa do szczekania. „Riot, głos!”. I Riot dała głos. Larissa, nadal w jedwabnej koszuli nocnej, zbiegła na dół i zastała trójkę swoich dzieci przy granitowej wyspie w kuchni. Emily nalewała zimne mleko do plastikowych misek. „Plastikowe łatwiej się myje, mamusiu - wyjaśniła z promiennym uśmiechem. - Nie będziesz miała za dużo pracy, gdy wyjdziemy do szkoły”.

Larissa poczuła ogromną ulgę, niczym potężny strumień spływający z serca do rąk zwieszonych przy bokach. Dzięki Ci, Boże, wyszeptana bezgłośnie, stojąc boso w kuchni. Poczwała, że przewraca się jej w żołądku, jakby wyrzucono ją z samolotu; spadała i spadała, nie spuszczać z nich wzroku, wyciągając palce, by dotknąć kręconych włosów Michelangela. Dziękuję.

Leżała na wąskim, twardym łóżku z szarą pościelą tak sztywną, że drapała ją w plecy i uda. Wyszczerbione żaluzje były uchylone. W pokoju było ciemno, bo okna wychodziły na zachód i był zimowy ranek. Nie, nie tak. Jest lato, lipiec.

Wszystko było na opak. Czy to ranek? A może wieczór? Trzeci dzień tygodnia czy siódmy? Bo czyż nie miała odpoczywać w siódmy dzień, którym był teraz wtorek? Czy czarne stało się białe, a białe czarne? Czy łzy były radością, a radość łzami? Czy brak pieniędzy był bogactwem, czy nadmiar miłości był jej brakiem? A może brakowało miłości?

Nie wiedziała. I zanim wstała, przyglądała się sufitowi, szaremu i popękanemu jak ściany, jak firanki, jak pościel. Kto uznał, że to dobry pomysł, by pomalować wszystko na szaro?

Larissa. To ona wszystko pomalowała. Kai chciał jakiś męski kolor, który nie był niebieskim. Wybrała więc szary. Czy cały dom był taki? Co za farsa. Zwlokła się z łóżka i naga przeszła obok okna. Spojrzała obojętnie na błękitne jezioro rozlewające się jak wielka plama atramentu, a za nim na zamglone alpejskie wzgórza i równiny ułożone asymetrycznie, by podkreślić ich piękno. Tyle tylko, że był lipiec, który był styczniem. W styczniu nic nie było piękne. Piękno czekało, by wybuchnąć. W domu było zimno - dla oszczędności na noc wyłączali ogrzewanie. Kiedy podeszła do grzejnika, by go włączyć z sykiem gałki, przypomniała sobie siebie na Burns Street w Hoboken, kiedy podobnie oszczędzała, ale była wtedy osiemnaście lat młodsza i miała dwójkę zmarzniętych, płaczących dzieci. Michelangelo nie pojawiał się wówczas nawet w planach. Nie wiedzieli, jak zapłacić czynsz za następny miesiąc. Później żartowali, że gdyby już mieli Michelangela, mogliby go sprzedać.

Kiedy Kai i Larissa przyjechali do Jindabyne, poczuli, że dopisało im szczęście, bo od razu znaleźli to miejsce na szczycie wzgórza z widokiem na srebrne jezioro, w cichym zaułku, trzysta stóp nad poziomem morza, na końcu ślepej ulicy o nazwie Rainbow Drive. Nawet nazwa ulicy - Tęczowa - brzmiała optymistycznie. Za ścianą zielonych eukaliptusów stał mały stary bungalow; otaczająca go romantyczna aura zniszczenia bardzo im się spodobała. W takiej ciszy! Na wzgórzu!

Malutki. Na odludziu. Dodatkowym plusem był widok na zmieniające się stale jezioro, bardziej błękitne niż błękit, a kiedy stali na palcach na krańcu swojej posiadłości i wyciągali szyje, widzieli na lewo wieżę kościoła w centrum miasta oddalonego o cztery mile drogą nad brzegiem jeziora. Było cudownie.

Tak, na początku było cudownie. Ale nie szło się cudownie ponad siedem kilometrów do miasta, by znaleźć pracę, utrzymać ją, by coś zjeść, zrobić zakupy, spotykać się z ludźmi. Mieli co prawda ducati i kiedy Kai na niego wsiadał, nieodmiennie zaglądał do miasta. Był też terenowy bus, ale Kai wyjmował na zimę akumulator, żeby go chronić, więc Larissa nie mogła nim jeździć, nawet gdyby chciała - i gdyby umiała go prowadzić.

Zimą mogła się dostać gdziekolwiek wyłącznie na piechotę. Nie miała z tym problemów. Przez pierwsze trzy lata. Mogła bez trudu pokonać cztery mile w dół wzgórza. Ale jeśli cokolwiek kupiła i musiała nieść, cztery mile z powrotem pod górę były męką i w czwartym roku zaczęła jej to doskwierać. Zaczęła łapać okazje przy drodze, żeby w ogóle gdzieś się ruszyć. Kiedy Kai się o tym dowiedział, bardzo się zdenerwował. Obiecała, że już nie będzie tego robić; wiedziała, że to niebezpieczne.

- Musisz być bezpieczna - powiedział. - Kupimy ci samochód.

- Vespa wystarczy - odparła.

Kiedy pośmiali się na wspomnienie jaguara, wyskrobali sto dolarów australijskich na rower dla Larissy. Był stary, miał rozchwiane koła, a siodełko było twarde jak kamień, ale Larissa nie narzekała do czasu, gdy potrącił ją samochód. Stwierdziła wtedy, że jazda autostopem była mniej niebezpieczna. Jindabyne Road była wąska i pewna kobieta potrąciła ją, kiedy próbowała zawrócić. Tak bardzo pragnęła uniknąć kolizji z innymi samochodami, że nie zauważyła wjeżdżającej na wzgórze rowerzystki. Larissa zaklęła pod nosem, otrzepała się i cicho przeklinając, przekuśtykała całą drogę do domu, zostawiwszy pogięty rower na poboczu drogi. Kai zobaczył go, gdy wracał do domu. Widok paniki na jego twarzy, gdy wbiegł do mieszkania, był wart wszystkich pieniędzy; Larissa zapomniała o złamanym żebrze i palcu u nogi. Powiedziała mu,

że miała szczęście. Zgodził się i pełen współczucia przez sześć tygodni co wieczór robił jej herbatę. Musiał jednak pracować za dwoje i nigdy nie było go w domu. Jej żebro zrosło się ponad rok temu, ale Kai nadal był w domu rzadkim gościem.

Tego ranka pojechał szukać pracy w sklepach narciarskich. Z radością budził się każdego ranka, nie wiedząc, jak zarobi dziś pieniądze. Latem udawało im się sporo zaoszczędzić, wiedzieli bowiem z doświadczenia, że w miesiącach zimowych dochody są mizerne, ale ostatnie lato było wyjątkowo kiepskie. Nie mieli żadnych zysków; wszystkie zarobione pieniądze pokryły koszty eksploatacyjne i wydatki na życie. Konkurencja była zbyt duża. Kai i Larissa oferowali wysokiej jakości wyprawę z noclegiem, która kosztowała sporo i przyciągała wyjątkowych klientów, podczas gdy konkurenci zabierali turystów na krótką wędrówkę przez Alpine Way do Khancoban, czasem z przystankiem na lunch w Crackenback i oglądanie pomnika Strzeleckiego; wracali po trzech godzinach, by zabrać następną grupę.

W sezonie zimowym turyści i studenci przyjeżdżali, by jeździć na sankach w Perisher Blue i snowboardzie w Thredbo, i cała okolica tętniła życiem, ale zjawiali się też ludzie szukający sezonowej pracy w Jindabyne. I pracowali za mniejsze pieniądze, niż mógł przyjąć Kai. Było więcej ludzi niż pracy. Kai sam stał się niemal pracownikiem sezonowym, wynajmował narty i sanki, ubrania, sprzedawał kawę i papierosy, nalewał benzynę na stacjach, a potem szukał innego zajęcia, gdy zwalniano go, by zrobić miejsce dla pracownika gotowego pracować za połowę jego stawki. Ta zima była trudniejsza niż zwykle. Być może gdzieś panował kryzys. To było jak kiepski żart - nie móc znaleźć pracy zimą w kurorcie narciarskim.

Kiedy Kai wychodził dziś rano, zapytała go, co ma robić. Odparł, że co tylko zechce. Może czytać. Malować.

- Nie maluję - odparła.
- Więc czytaj.

Już nie czytam, chciała powiedzieć. Umysł jej na to nie pozwala, nie może się skoncentrować na słowach. No to coś ugotuj. Ale piec był elektryczny i często zawodził. Nie udało jej się nigdy upiec nic jak

należy, choć wszyscy twierdzili, że w Jindabyne piecze się znakomicie z powodu wysokogórskiego powietrza. Ciasta były lżejsze, skórki bardziej chrupiące. Dla Larissy oznaczało to tylko krew płynącą z nosa i nic więcej. Albo przypalała pieczeń, albo wyjmowała ją na wpół surową. Mejida, ich gospodyni, powiedziała, że wymieni piec, jeśli dopłaca jej pięćdziesiąt dolarów miesięcznie do czynszu, co oznaczało sześćset dolarów rocznie. Przemyśleli to i postanowili kupić własny, który też okazał się do niczego. Jednak Mejida, sympatyczna Hinduska mieszkająca obok, przynosiła im pudding ryżowy z kardamonem, słodkie samosy, naan i wszystko było pyszne. Larissa chciała zrzucić winę na piec. Kiedyś piekłam o wiele lepiej. Robiłam brownie i biszkopty.

Gdy wzięta prysznic i się ubrała, pomyślała, że posprząta w domu. Ale nie było niczego do sprzątnięcia. I niczego, czym mogłaby sprzątać. W zeszłym tygodniu zużyła resztę windexu. Nie miała worków do odkurzacza, a ten w środku był tak pełny, że za każdym razem, gdy włączała odkurzacza, z tyłu wylatywały chmury kurzu i cały dom śmierdział jak szafy starych ludzi.

Wczoraj siedzieli do późna i teraz głowa dawała jej o tym znać, wysuszona i obolała, jakby nie było w niej wcale cukru, tylko chmiel, ryż i może żurawina. Pewnie pomieszała alkohole; nie pamiętała. Utwory Kiss i AC/DC grały zbyt głośno, nigdy zresztą nie przepadała za tymi zespołami, ale w barze Balcony dziewczęta nie wybierały muzyki. Aby wpasować się w dużo młodsze towarzystwo, Larissa włożyła dżinsy Billabong, obcisły sweter i kowbojki na obcasach, które kupiła na wyprzedazy za trzydzieści dolarów. Cisnęły ją, czuła się jak Chin-ka z obandażowanymi stopami, ale wiedziała, że ma szczęście, bo nie wrzucono jej do rzeki tuż po urodzeniu.

Było jeszcze wcześniej. Larissa nie chciała patrzeć na zegar. Gdyby wiedziała, która jest, musiałaby zacząć odliczać samotne godziny do czasu jego powrotu. Czując się jak niespokojne dziecko z nizin społecznych, postanowiła pójść do Caldwella. Musi wyjść wcześniej, bo inaczej wykupią całe świeże mięso. Tak czy inaczej postanowiła ugotować dziś kolację dla Kaia. Jadali poza domem co wieczór, hamburgery, kanapki, czasami tylko barowe jedzenie lub gorące przekąski przygo-

towywane przez ich przyjaciół Barta i Biancę. Oni zawsze mieli więcej pieniędzy niż Kai i Larissa, choć Larissa nie mogła pojąć dlaczego.

Jadła stanowczo za mało - do tego stopnia, że sama nie mogła rozpoznać własnego odbicia w lustrze. Nie była nawet w stanie nadrobić kilogramów utraconych w Summit.

Mijające dni ciągnęły się bez końca, lecz rzeczy, które nosiła w sobie, były wieczne i działały według swojego własnego zegara i na swoich własnych zasadach. Dlatego też czasami tak trudno było określić, ile czasu minęło od tego czy tamtego wydarzenia, urodzin, koncertu, rozmowy telefonicznej, wypadku - wszystko rozpadało się i odchodziło w przeszłość. Ale myślenie o tym trwało całe życie. Była to niekończąca się wędrówka przez bezdroża, rozdzielona przez otchłan na życie przed i życie po.

Jeszcze jeden ranek. Śnieg. Słońce. Nieme góry spowite bielą, poznaczone zielonymi sosnami i niepocieszonymi wierzbami. Błada twarz Larissy w lustrze. Wszystko jest jak zawsze. Po południu po szkole Michelangelo będzie biegał w salonie z Riot, zataczając coraz mniejsze kółka, aż zakręci mu się w głowie i upadnie prosto na psa. Emily będzie miała lekcję wiolonczeli, a potem trening siatkówki. Będzie ją trzeba odebrać o piątej. Asher będzie biegał lub grał z zespołem. Jared jest w pracy. Larissa stoi przed lustrem w innym holu, z sercem pustym z radości i smutku, i zastanawia się, jak to jest być martwym. Kiedy już się ubierzesz, zrobisz zakupy, ucieszysz się z dużych i małych przyjemności.

Inne rzeczy zacierały się niemal bez żalu. Tylko daleki stukot kopyt niestrudzonych koni, które niosły lata i wspomnienia na pustych siodłach. Niosły rzeczy, które nie miały już znaczenia. Teraz liczyły się inne.

Jakie?

Chodziło o to, że Larissa wiedziała trochę o wielu rzeczach, ale w niczym nie była ekspertem. W przeciwieństwie do Jareda, który wiedział wszystko o inwestycjach, księgowości i marginesach zysków i strat w multikonglomeratach, o punktach zdobywanych pod koniec inningów, bazach i umiejętnościach batterów.

I Ezry, który czytał mnóstwo książek na różne tematy i dlatego potrafił udawać, że ma głęboką fachową wiedzę nawet o układaniu kostki brukowej. Larissa znała się trochę na modzie i fryzurach, wiedziała coś o teatrze, co nieco o muzyce rockowej, trochę mniej o jazzie, ciut o historii, a najmniej wiedziała o tym, co porusza ludzkie serca, zwłaszcza jej własne.

Myślała, że gdyby tylko potrafiła zrozumieć swojego ojca, inne rzeczy mogłyby stać się jasne. Ale nigdy go nie zrozumiała i dlatego wiele rzeczy w jej życiu pozostało jedynie wielką styczniową chmurą unoszącą się na niebie, która nie niosła ze sobą żadnej obietnicy. Nie była to wiosna, nawet nie bursztynowa, ciężka zapowiedź jesieni ani upał i słona woda lata. Była to gorzka, czysta pustka stycznia. Nie było niczego przedtem ani potem. Pory roku mijały pod Krzyżem Południa. Kiedy było Boże Narodzenie? Radość świątecznego sezonu zniknęła, na barkach dźwigała ciężar wszystkich postanowień, których nie potrafiła dotrzymać, nie było walentynek, zimowych ferii, nie planowała tygodniowego wypadu dokądkolwiek, nie było wielkanocnego kiermaszu, targu w Dalgety. Mijał dzień za dniem na niebiesko-czerwonych huśtawkach w Summit, które nie poruszały się na mrozie.

Ale był lipiec!

Długo stała naga przed lustrem w cichym i ciemnym domu, zanim wreszcie poszła do łazienki i odkręciła prysznic. Potem włożyła stare spodnie od dresu, kilka podkoszulków i bluzę z kapturem, kurtkę, czapkę narciarską, szalik i jakieś rękawiczki (być może Kaia), włożyła mocne buty i wyszła z domu. Jeszcze wyszczotkowała włosy; to wszystko. Skończyła się jej mascara i nie chciała wydawać sześciu dolarów na nową, dopóki Kai nie dostanie stałej pracy. Sześć dolarów, które miała w kieszeni, wystarczy na kolację, jeśli wszystko dobrze zaplanuje. Da sobie radę bez długich, gęstych rzęs. Kiedy szła w dół zbocza, zamarznęta trawa chrzęściła pod butami.

Było zimniej, niżby chciała, ale nie tak zimno jak w Summit, gdy szalały lodowate zamiecie. Jednak w lipcu w Summit nie było zimno. W lipcu Summit migotało zielonym blaskiem słońca, na każdym roku sprzedawano włoskie lody, a ona z dziećmi miała za sobą czerwiec

spędzony w klubie pływackim, gdzie szukali w krzakach jaszczurek, a przed sobą sześć tygodni w Lillypond, gdzie wieszali siatki przeciw komarom, a jezioro było ciepłe. Z dryfujących gałęzi wyskakiwały wodne szczury, ścigając ważki pośród szeleszczących trzciny, a pola oświetlał blask księżycy.

W tym błękitnym jeziorze nie dało się pływać w lipcu. Ostre powietrze szczypało Larissę w nos, zaczęło z niego kapać, jakby miała krwotok. Wytarła go rękawiczką. Rzeczywiście krwawił. Schodziła dalej ze wzgórza. Naprawdę powinna kauteryzować naczynia krwionośne w nosie, zimą regularnie dwa razy dziennie leciała z niego krew jak z gejzeru.

Szła szybkim krokiem w stronę sklepu Caldwella, trzymając ręce w kieszeniach, w czapce naciągniętej na uszy, tak jak robił to Asher do trzynastych urodzin, kiedy nagle oświadczył, że rezygnuje z zimowych ubrań w geście protestu przeciwko zimie. Wynikła z tego jedna korzyść: Emily zaczęła się ciepło ubierać w geście protestu przeciwko jego protestowi. Michelangelo nie miał wyboru - ubierała go matka, a poza tym nie lubił zimna.

Głowa pękała jej z bólu. Powinna była wziąć aspirynę. Na pewno by to zrobiła, gdyby ją miała. W ciepłym grudniu było ich stać na aspirynę, kiedy pracowali non stop od świtu do zmierzchu. Cała ironia polegała na tym, że była zbyt zajęta, by pozwolić sobie na ból głowy w grudniu. To przez ten rum! Sfermentowana trzcina cukrowa jak zawsze zrobiła coś dziwnego z jej mózgiem. Zwykle trzymała się od niego z daleka, ale wczoraj wieczorem musiał być darmowy, bo jak inaczej wytłumaczyć ten ból? Alkohol nie działał wcale na Kaia, sprawiał tylko, że śpiewał i tańczył. Pił sporo, by tańczyć i być szczęśliwym, a następnego dnia zawsze wstawał i szedł do pracy. Nie przypominał w tym Lorenza.

Larissa od tak dawna nie miała wiadomości od Che. Co się stało z jej starą przyjaciółką? Straciła rachubę lat, które stały się zimami, i zim, które stały się latami. Czy musiała liczyć je podwójnie? Bo to by oznaczało, że ma ponad pięćdziesiąt lat. Przestała obchodzić urodziny czwartego kwietnia. Przypadały przecież na wiosnę, nie jesienią. Urodziła się, gdy wszystko na świecie się zaczynało, a nie kończyło, gdy

dni zakwitały forsycją, zonkilami i żółtymi tulipanami. Nie urodziła się wśród deszczu i wiatru. Wszystko tak dokładnie się pomieszało, że w pierwszym roku ich pobytu w Jindabyne, gdy kwiecień przeszedł w maj, Kai powiedział nagle: „Czy miałaś urodziny w zeszłym miesiącu, a ja o nich zapomniałem?”. Larissa wzruszyła ramionami i odparła, że nie, a on pocieszył ją stwierdzeniem, że dla niego zawsze będzie młoda. To było słodkie. Trzymała się tego. On więcej o tym nie wspominał, ona też nie. Kai obchodził urodziny w styczniu i uwielbiał świętować w upale, kiedy kwitły alpejskie stokrotki, a oni organizowali wyprawy i znów zarabiali pieniądze. Czyścili terenówkę, kupowali nowe buty trekkingowe, inwestowali w nowe namioty, letnie kurtki, termosy. A każdego dwudziestego trzeciego dnia stycznia szli do baru Balcony, pili bardzo drogą tequilę i imprezowali aż do zamknięcia, a po powrocie do domu balowali dalej, już tylko we dwoje. Był taki dobry. Czy agawa, z której robi się tequilę, ma w sobie cukier? Czy jej kwiaty są jadalne i mają w sobie cukier jak rum? Może głowa pęka jej z bólu po taniej tequili?

Idąc dalej, przycisnęła ukryte w kieszeniach dłonie do żołądka.

Żałowała, że nie umie jeździć na nartach. Jak mogła się tego nie nauczyć? Nic dziwnego, że Kai się nie nauczył, pochodził przecież z wulkanicznych hawajskich plaż. Ale ona? Pochodziła z gór w New Jersey, gdzie wyciąg znajdował się na każdym wzgórzu. Mieszkali niedaleko rzeki Hudson i kiedy staw w Piermont zamarzał, jeździli na nim na łyżwach, co nie było zbyt popularne w Jindabyne. Gdy wyszła za męża i urodziły się dzieci, jazda na nartach była za droga. A kiedy dzieci podrosły i mieli już pieniądze, nie było czasu na narty. Na narty ani na teatr, ani na pracę. Nie było czasu na nic, a jednak każdy dzień był wypełniony po brzegi. Tutaj w tych letnich/zimowych miesiącach miała tylko czas.

Ale już niedługo. Postanowiła, że załatwi sobie pracę u Caldwella. Nie było za daleko, mogła tam chodzić piechotą. Mogła zarobić dodatkowe tak bardzo potrzebne pieniądze, by zainwestować je w interes. Kupić nowe namioty i wyremontować samochód, odmalować tablice reklamowe, kupić nowe mikrofony i radio, zainwestować w nowe jed-

norazowe aparaty fotograficzne dla klientów, odłożyć dość pieniędzy na robaki, wiaderka, żyłki do wędek, drinki, czapeczki, na reklamę w internecie. Organizowali przecież piękne wyprawy. Sami je zaplanowali, opracowali, opisali. Larissa opowiadała, gdy Kai prowadził. Bardzo się przydało jej teatralne zaplecze. Trzy razy w tygodniu występowała przez dwadzieścia osiem godzin. Zabierali osiem osób sto dwadzieścia mil w dzikie ostępy, wzdłuż rzeki Thredbo, przez Wielkie Góry Wododziałowe aż do Tumbarumba. Siadywali na granitowych głazach i łowili pstrągi w rzekach Thredbo i Murray, a łososie w strumieniach. Sami czyścili i smażyli ryby, nieopodal pasły się walabie, a wombaty ukrywały się w trawie. Chodzili wśród krzewów i opowiadali o dzikich kwiatach, jadowitych węzach, muzyce Grateful Dead i The Animals, pili piwo, śpiewali przy ognisku *The House of the Rising Sun*, *Like A Rolling Stone* i *Angie* przy akompaniamencie cudownego ukulele Kaia i spali pod wiecznymi gwiazdami w Alpach Australijskich.

Tuż po Halloween Larissa opowiadała swoją ulubioną historię o duchach - o projekcie tamy na Śnieżnej Rzece. Aby odprowadzić wody na najbardziej suche tereny Nowej Południowej Walii i pomóc farmom i winnicom, rząd stworzył sztuczne jezioro Jindabyne w dolinie pomiędzy wzgórzami i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że w dolinie leżało stare miasto Jindabyne. Nie można odwrócić biegu rzeki, nie zatapiając jednego miasta czy dwóch, więc Jindabyne spoczęło w wodnym grobie i latem, gdy podczas upałów poziom wody opada, można zobaczyć wieże kościoła wystające z jeziora jak Feniks, jak coś, co i tak się wydostanie na powierzchnię, choćby nie wiadomo jak głęboko to pogrzebano. Legenda głosi, że w mieście żyli ludzie i oni też spoczęli w wodnym grobie. Podczas każdego Halloween ich dusze powstają z jeziora i snują się po nowym mieście. Pogrzebali stare miasto, by stworzyć sztuczne jezioro, mówiła Larissa. Nie przeraża was to?

Pewnego razu krępy zdyszany Amerykanin powiedział do Larissy:
- Znam opowieści o zagładzie ludzi zgotowanej przez innych ludzi, które przyprawia panią o drżenie. Pani opowiada nam tylko historię. A ja widziałem na własne oczy prawdziwy horror. Chcecie posłuchać? - Patrzyła na nią zbyt znacząco, intensywnie. Przeraziło ją to i zmroziło serce.

Zabawne, że tamtego wieczoru nikt nie chciał go wysłuchać.

Następnego ranka pojechali do nowych winnic niedaleko Tumbarumba na degustację najlepszego w regionie wina musującego ze szczepów Pinot Noir i Chardonnay. Jechali nieoznaczonymi szlakami, lecz w drodze powrotnej skierowali się na okropnie wąską, lecz brukowaną Alpine Way obok Góry Kościuszki, mijali porośnięte eukaliptusami i jesionami tereny, pozieleniałe krzewy. Wiele osób mówiło, że nigdy nie przeżyło czegoś takiego. Larissa wiedziała, co mają na myśli.

Kiedy pierwszy raz planowali trasę po polnych drogach biegnących obok brukowanych dróg, Larissa nie sądziła, że może oddychać tak głęboko, że jej serce może bić tak mocno, że może być taka szczęśliwa. Kręciło się jej w głowie z powodu wysokości, uniesienia, kiedy wyśpiewywała imię swojego wspaniałego kochanka pod gwiazdami i zachwycała się jego smukłym ciałem. Kai... Kai... Nie było nikogo takiego jak on.

Po dwóch latach, gdy skończył się zapas tabletek antykoncepcyjnych, nie poszła do kliniki po nowe. Zobaczmy, co się wydarzy, powiedzieli podnieceni, wzruszając ramionami. Jeśli tak ma być, to będzie. Chciała mu powiedzieć, że dzieci to wielka odpowiedzialność, jednak tego nie zrobiła. Stracił swoje. Ona straciła trójkę. Nie było sensu rozdzierać ran.

Nie mieli dziecka.

Wzruszyli ramionami. Najwyraźniej tak było pisane.

W ciągu pięciu lat pobytu w tym miejscu wiele się zmieniło. Bez kupna drugiego samochodu i zatrudnienia większej liczby ludzi nie mogli zarabiać więcej pieniędzy - zabierali osiem osób na dwudziestoczworgodzinną wyprawę. Byli zapracowani, ale nie pomnażali zysków. Pieniądze, które zarobili zeszłego lata, zainwestowali w zapasy i przemalowanie samochodu w barwy ochronne. Czuli, że interes zaczyna wysychać, i nie widzieli wyjścia.

Supermarket Caldwellella znajdował się przed miastem przy stromej drodze z widokiem na jezioro. Znal ją tam. Caldwell, właściciel sklepu, stale próbował jej sprzedać ogon kangura. „Jimmy, chcę tylko trochę mielonej wołowiny - odpowiadała. - Masz?”. Nie poddawał się jed-

nak i starał się ją przekonać, że zupa i potrawka z kangura są najlepsze w zimowe wieczory, a ona nie potrafiła mu wytłumaczyć, że jest lipiec i nie potrzebuje zimowej potrawy. Nadal kupowała mieloną wołowinę, bo chciała zrobić letni grill.

- Masz skrzydełka z kurczaka, Jim? Chcę je zamarynować - powiedziała tego ranka, zacierając dłonie, by je ogrzać. Nie miał kurczaka, ale zmielił jej trochę wołowiny.

- Jim - zaczęła niepewnie, opierając dłonie na szklanej ladzie - znajdzie się tu jakaś praca?

- Jakiej pracy szukasz, kochanie? - zapytał. Był niskim mężczyzną, stale chodził w spodniach od dresu i koszuli w kratę. Powiedział jej, że pochodzi ze Szkocji, jego żona zaś była Polką i robiła czasem gołąbki i pierogi, które Larissa uwielbiała, a których nigdy wcześniej nie jadła. Smakowały tak obco, ale były pyszne. Co jakiś czas Anna pytała ją, czy nie potrzebuje pomocy do sprzątnia. Larissa nie mogła się temu nadziwić. Caldwell był właścicielem sklepu otwartego przez siedem dni w tygodniu i w zasięgu kilku mil jako jedyny dostarczał świeże produkty. A jednak Anna pytała, czy może sprzątać w domu Larissy, jakby to ona potrzebowała pieniędzy, a nie odwrotnie.

- Nie ma tu żadnej pracy - odparł Jimmy. - Nasz syn chce w przyszłym roku pojechać do college'u w Anglii. Nie wiemy, co robić. Jak wytłumaczyć jednemu synowi, że nas na to nie stać?

- Jest zdolny? - zapytała Larissa. - Ma talent do sportu albo muzyki? Może dostanie stypendium.

- Nie sądzę. Jeździ konno. Łowi ryby. Czy za to dają stypendium?

Larissa miała ochotę udzielić mu mądrej rady Jareda. Zastaw dom. Weź wielki kredyt z domem jako poręczeniem. Tak zrobilibyśmy z Kaiem, gdybyśmy mieli dziecko. Wysłanie syna do college'u w innym kraju to wielki wydatek. Wyobraź sobie, że miałbyś dwoje dzieci, różnica wieku wynosiłaby zaledwie półtora roku i oboje byłiby w college'u w tym samym czasie. Wyobraź sobie, że poszliby potem na prywatne uniwersytety, co kosztuje dziesiątki tysięcy dolarów rocznie. Tacy rodzice musieliby wziąć kredyt pod zastaw firm, domów, samochodów, biżuterii, by zapewnić dwojce dzieci wyższe wykształcenie.

Nagle zrobiło się jej niedobrze. Znow ogarnęło ją znane uczucie, z płuc odpłynął cały tlen, nie mogła złapać nawet płytkiego oddechu, zupełnie jakby jechała w dół kolejką górską, ale bez dziecięcej radości. Początkowo czuła to straszliwe spadanie tylko we śnie, ale potem uczucie zaczęło ją nachodzić także za dnia, jak teraz, i to coraz częściej.

- Przykro mi, kochanie - powiedział Caldwell. - Nie bądź taka smutna. Chciałbym ci pomóc, ale naprawdę nie mogę.

- Nie ma sprawy.

Wyglądał jednak na zaniepokojonego, pewnie strasznie zbłądła. Dawno temu kolor straciły jej włosy. Zaczęła rozjaśniać je sama, wodą utlenioną i cytryną, by usunąć farbę. I udało się. Zimowe złoto zniknęło, teraz przypominały bardziej zimowy popiół. Kai powiedział, że mu się podoba; nazywał ten kolor cytrynowy blond.

Caldwell dał jej pół kilo mielonej wołowiny i dwa pieczone ziemniaki na kredyt do środy. I poczęstował ją kawą. Wypiła ją czarną, bez cukru, jak nie znosiła, po czym powoli wspięła się z powrotem na wzgórze na Rainbow Drive, niosąc małą plastikową siatkę z jedzeniem dla Kaia.

Jakaś kobieta wyrzucała śmieci.

- Dzień dobry! - powiedziała. - Pięknie dzisiaj, prawda? Widziała pani jezioro? Jest cudowne.

- Dzień dobry - odpowiedziała Larissa, przyspieszając kroku. Nawet nie spojrzała na jezioro.

Co ją tak niepokoiło? Tak długo świetnie sobie radziła.

Czyżby?

Kiedy wróciła do domu, poszukała w kuchni czegoś do jedzenia. Chleb zapleśniał (pomyślała, że jednak go nie wyrzuci, tak na wszelki wypadek, co tam odrobina pleśni, jeśli jest się naprawdę głodnym), a mleko skwaśniało. Pomyślała, żeby wziąć sześć dolarów i pójść do Gloria's Jeans, gdzie mogłaby się napić kawy i zjeść pyszną drożdżówkę z gruszkami i malinami, posiedzieć i przeczytać gazetę. Często pojawiały się w niej wieści z domu. Ameryka to, Ameryka tamto. Do wiadomości trafiło nawet kiedyś New Jersey, pisano o rezygnacji gubernatora z powodu oskarżeń o rażące zaniedbania. „To moja prawda”,

powiedział. Larissie bardzo spodobało się to określenie. Moja prawda. Sama miała kilka własnych prawd. Bezdyskusyjnych.

Może zamiast czytać gazetę, mogłaby spytać Serge'a w Gloria's Jeans, czy znajdzie się tam jakaś praca. Mogłaby podawać kawę pracownikom sezonowym.

Nie miała ochoty znów wędrować tak daleko, ale spodobał jej się pomysł, by się tam znaleźć, czuć zapach kawy, siedzieć w ciepłym miejscu, pełnym ludzi i jedzenia. Słyszeć inne głosy. Nic dziwnego, że nie mogła przytyć, tyle chodziła. Uważała, że Kaiowi nie podoba się taka chuda. Nie była pewna, nigdy tego nie powiedział, nie był wcale złośliwy, ale... kiedy leżeli w łóżku i przytulał się do niej od tyłu, nie mówił już, że jest cudowna, przesuwał dłońmi po jej ciele. Nie prawił jej komplementów, gdy była ubrana ani gdy była naga. Z drugiej strony, co można było komplementować? Jej ubrania były jego ubraniami: dzinsy, bluzy, kurtki, ciężkie buty, kapelusze firmy Akubra - jego kowbojski, jej fedora. Jej ciało było jak jego ciało. Gdyby nie piersi. Była równie wysoka, długonoga i wąska w biodrach jak on. Jej włosy były proste, jego stale zmierzwione, ale kiedy związywali je w kucyki, wkładali kamizelki w stylu safari i buty trekkingowe, kto odróżniłby z tyłu, że są mężczyzną i kobietą?

A z przodu - kto by poznał, że są kochankami?

Kiedyś było to widać.

A jednak w barze Balcony w środowe wieczory, kiedy Kai dostawał wypłatę, pili i tańczyli, ona malowała usta i rozpuszczała włosy. Nadal była ładna; czy wciąż wyglądała młodo?

Bungalow, który wynajęli, był częściowo umeblowany. Przez te lata kupili nowy materac do łóżka, bo zniszczyli stary; pewnej nocy wystrzeliły wszystkie sprężyny, jak w horrorze opowiadającym o niebezpieczeństwach płynących ze zbyt częstego uprawiania seksu.

Obraz w telewizorze migał, nie mieli radia, z wyjątkiem radiobudzika przy łóżku, w którym syczały stacje AM, a w stacjach FM rozlegały się trzaski, jakby didżeje, puszczając płyty, chodzili po naelektryzowanym dywanie. W kuchni stał mały stół dla prawie czterech osób, w saloniku brązowa kanapa i fotel przy oknie. Zasłony były stale zasunięte.

Nie mieli żadnych obrazów na ścianach. Żadnych zdjęć w ramach przedstawiających ich rodziny, jej dzieci w basenie, ich wspólnych zdjęć. Larissa zaczęła kupować używane książki, by odbudować swój zbiór, ale kiedy w samochodzie wysiadły hamulce, musieli zostawić książki i resztę jej biżuterii, by je naprawić, a potem minął termin, żeby wszystko wykupić. Wieczorami jeździli na ducati do miasta, by się napić. Czasami, kiedy byli naprawdę spłukani, zostawali w domu. Nie przepadali za oglądaniem telewizji, ale trochę czytali - kiedy mieli jeszcze książki. Grali w karty, udając, że są w Vegas lub Reno. Nieźle się bawili, popijając whisky z gęstą śmietaną, by przypominała w smaku likier Baileys. Ale whisky była droga, a śmietana się skończyła. Kosztowała trzy dolary, a czasami nie mieli nawet tyle. Grali więc w karty, nie pijąc nic. Czasami kładła się do łóżka i udawała, że śpi. Jak teraz.

* * *

Początkowo wszystko było zbyt porywające, by przerażać. Choć byli trochę przerażeni.

Larissa wyszła z domu o jedenastej w piątek z małą, dopiero co kupioną torbą. Miała w niej nowe ubrania, paszport, prawo jazdy i szeszczącą gotówkę. Nie odwróciła się, by ostatni raz spojrzeć na dom, nie odwróciła głowy, by spojrzeć na pole golfowe. Wbiła wzrok w ziemię i szła pewnym krokiem. Przejście jednej mili do stacji kolejowej zdawało się trwać wieczność. Ale tylko się zdawało. Bo szła bardzo szybko, niemal biegła. Wyszła z domu o jedenastej, a szesnaście po siedziała już w pociągu przy oknie, z twarzą przyciśniętą do szyby, gdy pociąg nabierał prędkości. Uspokajały ją to, pocieszało, kiedy marzyła o życiu, które będzie przeżywać tak, jak chciała - razem z nim, w miejscu, gdzie nigdy nie będzie zimno. Jej mocno bijące serce wypełniały bujne obrazy przyszłości. Zmierzała nie na wschód do Nowego Jorku, lecz na zachód do Hackettstown, ostatniego przystanku kolei Jersey Transit, gdzie on już czekał na nią na swoim ducati. „Dobrze się czujesz?“, zapytał. „Świetnie“, odparła. Była to jedna z kilku sytuacji, kiedy rozmawiali o TYM, o rzeczy, o której nie należy wspominać, nienazwanej. Po co

mówić, kiedy czekały na nich dzikie tereny? Wskoczyła na motor i pogнали przed siebie z wiatrem we włosach; ścisnęła go obiema rękami jak wtedy, gdy się kochali, i przytuliła policzek do jego skórzanej kurtki. Wskoczyli na motocykl jak małe kangury. Kai sprzedał jaguara, którego dostał jako premię; mieli pieniądze. Larissa żałowała, że nie może sprzedać swojego jaguara, którego dostała jako premię za bycie dobrą żoną przez siedemnaście z osiemnastu lat. Przepełniały ją w równym stopniu uniesienie i strach. Nigdy bardziej nie czuła, że żyje.

Przez cztery cudowne godziny jechali przez Allegheny w całej późnowiosennej krasie; z trudem łapała oddech i mocno się do niego tuliła. Otwarta droga, zieleniejące pola na zboczach, wzgórza, zapierające dech w piersiach piękno zachodniej Pensylwanii. Zatrzymali się, by coś zjeść i zatankować w wiejskim sklepie w płaskim Ohio. Zatrzymali się na dobre, kiedy zrobiło się ciemno, niedaleko Indianapolis, znaleźli podrzędny motel nieopodal autostrady międzystanowej i kochali się z zapamiętaniem w białej pościeli do czwartej rano, a potem spali do południa.

Nie chcieli stamtąd wyjeżdżać; nigdy tego nie doświadczyli, wspólnej nocy, przebudzenia się razem, poranków, całego wspólnego dnia przed sobą.

- Jak mogę mieć takie szczęście? - szepnął Kai, pieszcząc jej nagi brzuch koniuszkami palców.

Jesteś moim zbawieniem i ucieczką, chciała mu powiedzieć. Zabrzmiało to jak psalm, który mogłaby śpiewać Maggie. Larissa zamknęła oczy, zatracając się w romantycznych marzeniach. A było to przecież tylko preludium do wielkiej przygody. Nic nie wiedzieli. Nie mieli żadnej pewności, żadnego planu. Każda minuta była dziwna i nowa. Kiedy skończyli jeść naleśniki i francuskie tosty w Waffle House, była prawie trzecia i chichotali jak uczennice, jak Che i Larissa na placu zabaw, z powodu boskiej dekadencji, bo nie muszą wstawać do pracy, do szkoły, do niczego.

Jechali przez Illinois, spędzili kolejną upojną noc w przydrożnym motelu w Des Moines w Iowa i właśnie tam, w delikatesach przy Capitol Avenue z widokiem na złoconą kopułę kapitolu, doszło między

nimi do pierwszego nieporozumienia. Larissa chciała jechać na zachód, przez kraj, którego nigdy nie widziała. „Chcę być dziewczyną na motorze z Chico”, powiedziała, wyciągając do niego ręce. Dziewczyna z Chico jeździ z mężczyzną na motorze i nigdy nie myśli o jutrze. Skąd się wzięło to marzenie, ta nieco zamglona definicja jej samej?

Ale Kai cofnął ręce, nie interesowała go dziewczyna z Chico. Planował jak najszybciej dojechać do San Francisco, bo stamtąd wypływał statek na Maui, na którym chciał się znaleźć.

- Jedziemy na Hawaje?

To była dla niej nowina. Powiedziała mu, że nigdy nie widziała Wielkiego Działu Wód ani słonych równin Utah, bezkresu zachodniego nieba w Nevadzie. Pony Express, Kai, błagała, patrząc w jego obojętną twarz. Tym bardziej chciała to wszystko zobaczyć, zbadać dzikie tereny, że oglądałaby je, siedząc na jego ducati, przytulona do jego pleców, do których tuliła się także nocą. Czy tak trudno to zrozumieć? Chcę się z tobą zatracić, powiedziała.

- Na Zachodzie zabijają nas, żeby ukraść nam motor - powiedział. - Wtedy zatracimy się na dobre. Nie mogę go nigdzie zostawić. Czy to tak trudno zrozumieć?

Nachmurzyła się. Zaproponowała, żeby kupili broń. Larissa, która mieszkała w okręgu Rockland, w domu na przedmieściach, chodziła do college'u w Nowym Jorku, mieszkała w Hoboken, a potem w spokojnym Summit, która nigdy nie widziała broni z bliska, teraz radziła swojemu dwudziestoletniemu kochankowi, żeby kupił broń dla obrony przed siłami zła na bezprawnym Zachodzie. Potem była cała obolała od miłości, a podniecenie towarzyszące im w nocy zaczęło ogarniać całe życie. Wszystko stało się jednością, także broń.

Kai odmówił. Przypomniawszy jej o przepisach, rejestracji i długim okresie oczekiwania, przypomniał, że uciekają. Czy chce, żeby ich znaleźli? Czy tego właśnie chce?

Nie, przyznała. To ostatnia rzecz, jakiej pragnie. Żeby ich znaleźli. Tak wyglądała prawda. Chciała się zagubić.

Kai powiedział, że jeszcze tu przyjadą, zobaczą rzeczy, których nie widziała, mają przecież tyle czasu, nie dzisiaj, nie jutro, ale w bez-

kresnej przyszłości. Był przekonujący, pełen żaru i uwierzyła mu. Nie obchodzi mnie, gdzie jestem, szeptała do niego w anonimowych motelach, dopóki jestem z tobą. Pojechali pociągiem z Omaha na Union Station w San Francisco i wsiedli na pokład statku płynącego do Wailea z ducati jako cargo. Przebycie Pacyfiku zajęło im trzy dni. Larissa spędzała większość czasu na pokładzie, stojąc przy relingu, spoglądając na ogrom szarego oceanu; w każdym kierunku widać było tylko wodę i horyzont. Nuciła pod nosem na wpół zapomnianą piosenkę Marianne Faithfull i natychmiast przestała, gdy uświadomiła sobie, że nosi tytuł *Popadając w niełaskę*. Uznała, że jest nieodpowiednia. Że też akurat ją musiała sobie przypomnieć!

Kai był pod mniejszym wrażeniem oceanu.

- Lubię pociągi - powiedział. - Lubię obserwować życie innych ludzi za oknami, wyobrażać sobie, że ja też mógłbym tam mieszkać. Tutaj niczego nie można sobie wyobrazić.

- Niby tak - odparła z posmutniałą twarzą. - Ale można myśleć o wielu rzeczach.

Nie miała jak powiedzieć Jaredowi, że Michelangelo nie rusza się nigdzie bez swojego niebieskiego królika; nie miała jak mu przypomnieć, żeby go zabrali, gdy pojedą do Lillypond albo do Bostonu, by odwiedzić jej braci, czy do Piermont, by zjeść obiad z jej matką. Nie miała żadnego sposobu, by mu o tym powiedzieć. Ale to nie była cała prawda. Zupełnie o tym zapomniała. Mogła przecież znaleźć sposób, by przemyścić jakoś informację, jak ważny jest niebieski królik dla złotowłosego chłopczyka, ale była zbyt zaprzątnięta innymi sprawami. A teraz Jared nie miał o tym pojęcia. Obaj, ojciec i syn, byli tacy roztargnieni, mogliby przejechać pół świata, zanimby sobie przypomnieli, że malec nie potrafi zasnąć bez królika. Co mogła teraz z tym zrobić?

- Myśleć? To nie najlepsze rozwiązanie - odparł Kai i oderwał jej zaciśnięte palce od relingu. Był zauroczony możliwością kochania się na otwartym morzu. Powiedział, że to przypomina bachanalia. Nie mógł się nią nasycić.

Kai ze swoim radosnym uśmiechem, jakby nie miał żadnych trosk, był chłopcem przemykającym się przez życie. Był magnesem, eliksirem

łagodzącym rany jej serca. Uśmiechnij się, Kai, odciągnij mnie od oceanu bez dna. Kiedy cię widzę, liczysz się tylko ty. Dwudniowy zarost, miękkie usta, kręcone włosy mokre po prysznicu, powstrzymujące mnie ręce, nieprzebaczający dar. Podróż już się dla Larissy zaczęła i to było jej częścią: nauczyć się, jak brać odpowiedzialność za swoje życie nierozzerwalnie związane z jego życiem. Na statku na Pacyfiku rzuciła się do wody, podzieliła się na Larissę przed i Larissę po. Nie chciała, by woda zmyła jej grzechy, bo to by znaczyło, że postąpiła źle, a tak nie było; istniały wybór i wolność, i jej czyny, wszystkie godne podziwu, szlachetne, bez wyjątku. Były pełne dobroci - spójrz, jak spokojny jest ocean i niebo wokół nich. Kai i Larissa stanowili jedność z naturą. Byli zsynchronizowani z ziemią. Długo po tym, gdy ona przestanie istnieć, dostojny Pacyfik pozostanie taki sam. To ją uspokajało, bo czuła, że jest częścią wielkiego stworzenia, białym wierszem w centrum klasycznej symfonii, którą tworzył uporządkowany wszechświat. Ogromowi oceanu udało się zmyć jej dawne życie tak, że jej mózg nie mógł się do niego cofać, nie pławił się w nim, nie stawiał na nim stopy. Dawne życie zostało zamknięte w oddzielnej przegrodce, pogrążone w słonych cieśninach; kiedy opuścili pokład na Hawajach, Larissa poczuła się jak nowo narodzona. Zupełnie nowy początek, nawet zakończenia nerwów nie drgały. Kończyna Przeszłości została odcięta, a kikut zabliźnił się podczas morskiej podróży.

Byli bosymi wędrowcami, którzy zanurzyli się w wodę, rezygnując z drogiego wina. Nie potrzebowali go. Kai był jak powietrze. Bez niego Larissa nie mogła żyć.

* * *

W Jindabyne było zimno. Larissa nie tego się spodziewała. Nie pasowało to do jej wyobrażeń o Australii. Zupełnie jakby było zimno w Afryce. Jak może leżeć na ziemi śnieg, w powietrzu unosić się drzewny dym, brzegi jeziora skuwać lód, a błękitny mróz odbijać się od odległych wzgórz i brukowanych dróg? Kiedy tam dotarli, był sierpień! Wszystko miały spowijać złote barwy, w Australii wszystko miało być

pomarańczowe, czerwone, żółte i zielone. Skąd się brała ta fioletowa skorupa, ten przejmujący chłód? Larissa trzęsa się, pytając o to Kaia, któremu to zupełnie nie przeszkadzało.

- Jest zima. To musi być zimo.

- A le myślałam, że zamieszkamy w jakimś ciepłym miejscu. - Na przykład na Hawajach. Dlaczego nie mogli zostać na Maui trochę dłużej? Widziała jednak, że nie chciał. Dla niego był to tylko krótki przystanek na autostradzie życia. Nic w nim nie widział. Jego związki z wyspą trudno uznać za balsam dla duszy. Nie były nim ani ciepła woda, ani ogniste kwiaty, ani mango.

- Niedługo zrobi się ciepło. Zobaczysz.

Ale nadal było nie tak. Nic nie miało sensu. W tanim motelu nadjeziorem Jindabyne, w którym się zatrzymali, żelazny grzejnik pracował pełną parą. Co to miało być, zima w New Jersey?

Larissa nie miała ciepłych ubrań. Żadnych swetrów ani bluz. Z zalem pomyślała o pozostawionych w domu zimowych kurtkach, o ciepłej bieliźnie, Thinsulate, futrach wiszących w szafie, kaszmirowych szalikach i rękawiczkach, wełnianych czapkach, nausznikach. Może powinna napisać i poprosić o ich przysłanie. *Kochany Jaredzie! Przepraszam, że odeszłam, ale bądź taki miły i przyslij mi mój ukochany kożuch, bo tutaj w Czerwonym Środku jest strasznie zimno.*

To nie jest Czerwony Środek, wyjaśnił Kai, ale Góry Śnieżne. To Alpy Australijskie i kurorty narciarskie. Tutaj Australijczycy przyjeżdżają, by uprawiać sporty zimowe. W Thredbo i Perisher Blue jeżdżą na nartach. Zabiorę cię tam, żebyś mogła zobaczyć. Na motocyklu było przeraźliwie zimno, w lodowatym wietrze niemal zamarzały jej oczy. Przytulanie twarzy do jego skórzanej kurtki nie chroniło jej przed zimnem. Czy naprawdę zamierzają tutaj zostać?

Zabrała ją do chaty nad brzegiem jeziora Crackenback, gdzie zostali przez dwa tygodnie, śpiąc, kochając się, udając, że wszystko powoli układają; każdego ranka lodowata mgiełka unosiła się nad jeziorem niczym bezkształtny potwór z Loch Ness, a rozpostarte pod nią jezioro przypominało lodową polanę, jasną i migotliwą jak kryształ.

- Co teraz zrobimy? Znasz tu kogoś?

- Mówiłem ci. Mojego przyjaciela Barta i jego żonę Biancę. Bardzo im się tu podoba. Zobaczysz. Będzie cudnie.

- Więc zostajemy?

- Przynajmniej na lato.

Słuchała odważnych planów Kaia: trasa wycieczkowa przez rzeki i góry, prastare legendy, łowienie ryb, ogniska, piosenki i opowieści. Każda sylaba brzmiała rewelacyjnie.

- A co zimą?

- Zarobimy latem tyle pieniędzy, że nic nas to nie będzie obchodzić. Zahibernujemy się i odpoczniemy. Chodź tutaj. Pokażę ci, co będziemy robić.

Przyszła, lecz nie była przekonana. Mimo to nie chciała mu psuć przyjemności. To po prostu nie było to, co sobie wyobrażała. Nie to, na co się pisała.

* * *

Larissa zrobiła kolację, lecz Kai nie wrócił o szóstej ani o siódmej, ósmej i dziewiątej. Nie wiedziała, co się dzieje. Był wtorek, wypłatę miał dostać dopiero jutro, a wczoraj byli w mieście. Kiedy wrócili do domu, Kai czuł się okropnie brudny i spłukany i oświadczył, że nie będzie wychodził wieczorami przez tydzień. A wyszedł już następnego dnia - i to bez niej. Nawet nie zadzwonił. Może telefon jest wyłączony? Podniosła słuchawkę i usłyszała sygnał. Nie miała pieniędzy na taksówkę, a nie zamierzała iść do miasta piechotą, siedem kilometrów w ciemności drogą bez poboczy i chodnika. Zjadła ze złością swojego hamburgera i pomyślała, czy nie wyrzucić drugiego, ale powstrzymała ją głód i oszczędność. Siedziała i czekała w pustym domu, którego ciszy nie mącił nawet dźwięk telewizora.

O dziesiątej poszła do domu Mejidy. Razem z mężem prowadzili firmę przewozową, czasami Mejida pomagała jej, a potem doliczała opłatę za przejazd do czynszu.

- Przepraszam, że znów zawracam ci głowę - powiedziała Larissa. - Ale chyba coś się stało z motorem Kaia. Nie mogę się z nim skontaktować. Boję się, że utknął w mieście. Mogłabyś...?

- Mogę cię oczywiście zawieźć - odparła Mejida - ale minęły już trzy tygodnie lipca, a ja nadal nie dostałam czynszu.

Larissa była wstrząśnięta i zakłopotana. To Kai zawsze płacił czynsz, myślała, że jak zwykle wszystkim się zajął.

- Nie tylko się nie zajął - wyjaśniła Mejida - ale za czerwiec zapłacili mi tylko połowę. Nie wspominam już o stu dolarach za twoje przejazdy od czasu do czasu.

- Och - szepnęła Larissa i zeszła z werandy. - Dziękuję, że o tym nie wspominasz. Będę gotowa za pięć minut.

Siedziała sztywno na fotelu pasażera, nie siląc się nawet na uprzejmą pogawędkę. Była zbyt zażenowana, że sajej winni czynsz za półtora miesiąca, i wiedziała, *wiedziała*, że nie mają odłożonych stu dolarów, by zapłacić za sierpień. Mejida była atrakcyjną, tęgą Hinduską, która zawsze pachniała przyprawami: kuminem, kolendrą i kardamonem, jak smakowity pudding ryżowy. Dziś wieczór ten słodki zapach przyprawił Larissę o mdłości.

- Czy to prawda, co mówi mi Bart?

- Nie wiem, Mejido. Nawet nie wiedziałam, że rozmawiasz z Bartem.

- Jasne, że tak.

Bart i Bianca wypożyczali narty i sanki turystom, których potem Mejida i Umar wozili do Thredbo.

Jak mogła zapomnieć.

- Co ci mówi?

- Cóż... - jej miękki hinduski akcent łagodził ostrość słów. - Powiedział, że miałaś w Stanach męża i dzieci, ale zostawiłaś ich, żeby być z Kaiem.

- Bart ci to powiedział?

- W zasadzie Bianca.

Larissa zachowała spokój.

- Dlaczego Bianca rozmawia z tobą o mnie? To dziwne.

- Wcale nie. Powiedziałam, że to piękne, że jesteście sobie z Kaiem

tak oddani mimo różnicy wieku, a Bianca odparła, że dużo poświęciłaś, żeby z nim być.

Larissa milczała. Wbiła długie ostre paznokcie w dłonie, by nie stracić panowania nad sobą. Nie pamiętała, by cokolwiek mówiła Biance o sobie. Nie rozmawiała o sprawach osobistych z nowymi przyjaciółmi. Może Kai to zrobił? Tyle tylko że on był jeszcze bardziej skryty od niej. Rozmawiał o pogodzie, śpiewał piosenki, opowiadał dowcipy.

- Moim zdaniem to niesamowite - ciągnęła Mejida. - Nie każdy mógłby się porwać na to, by zlekceważyć zasady społeczne. Chwała ci. Odniosłaś triumf nad ograniczeniami. Jesteś z nimi w kontakcie?

- Czy jestem z nimi w kontakcie? - Co za dziwne pytanie. - Nie.

Zasady społeczne? O czym ona mówi? To nie miało z tym nic wspólnego. Tylko z miłością. Kiedy wreszcie dojadą? Czy Mejida nie widzi, jak Larissa uciska dłońmi żołądek i stara się zapobiec kolejnym pytaniom?

Zajęta prowadzeniem samochodu po ciemnej krętej drodze, kobieta najwyraźniej nie widziała, bo mówiła dalej obojętnym tonem.

- Dziwnie jest wyobrazić sobie siebie jako mężatkę z dziećmi. - Zachichotała. - To zupełnie do ciebie nie pasuje. Pasujesz idealnie do Kaia. Otacza was lekka aura tymczasowości. Jak dwoje podróżnych. Matka i żona nie emanuje taką aurą.

- Czyżby?

- W ogóle nie potrafię sobie wyobrazić ciebie jako matki - oświadczyła Mejida. - Macierzyństwo to słowo, które ma zbyt wiele ograniczeń geograficznych. Nie wyczuwam tego w tobie, ani poświęcenia, ani konwencji. - Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Nie macie dzieci?

- Nie. Dopiero co się pobraliśmy.

- Trzy lata temu.

- Mamy nadzieję mieć dzieci już niedługo, kiedy interes na dobre się rozwinie.

- Zawsze dobrze jest mieć zabezpieczoną przyszłość - rzuciła Larissa przez zaciśnięte zęby. Oni z Jaredem chcieli mieć taką pewność, zanim urodził się Michelangelo.

- Ty pewnie tak nie myślisz. Udowodniłeś to. Ale dla nas to ważne. Larissa nie odpowiedziała, pragnąc, by ta rozmowa i jazda wreszcie się skończyły.

- Dlaczego cię nie odwiedzają? - zapytała Mejida. - Spodobałoby im się tutaj. Mogłyby się nauczyć jeździć konno, na nartach.

- W Ameryce też mamy konie - wydusiła Larissa.

- Wiem. Ale na pewno chciałyby cię odwiedzić.

- Chyba tak.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła zaskoczona Mejida, odwracając się do Larissy. - Teraz zrozumiałam. Wcale nie jesteś z nimi w kontakcie, prawda? - powiedziała wstrząśnięta. Zająknęła się.

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć - powiedziała z lekką pogardą Larissa, wpatrując się przed siebie. - Nie masz dzieci.

- Myślisz, Larisso - odparła spokojnym, łagodnym głosem Mejida - że gdybym miała dzieci, łatwiej byłoby mi wytłumaczyć, dlaczego porzuciłaś swoje?

- Tu będzie dobrze - rzuciła nagle Larissa. - Wysadź mnie tutaj.

Mejida zatrzymała się na małym parkingu przed sklepem z pamiątkami. Do baru Balcony było jeszcze jakieś pół mili.

- Bardzo dziękuję za podwiezienie. - Larissa zatrasnęła drzwi tak mocno, że pusta puszka po piwie o mało co się nie przewróciła i nie potoczyła po parkingu.

* * *

Cieszyła się z tego krótkiego spaceru w ciemności, bo mogła się uspokoić. Nigdy nie lubiła Mejidy. Czuła stale, że oną ją osądza, patrzy na nią krytycznie. Nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka Bianca rozmawiała o niej właśnie z tą kobietą! Takie luźne, złośliwe pogaduszki. Poza tym Mejida nie miała prawa wtrącać się do jej życia. Od kiedy stała się jej spowiednikiem? Larissa nie mogła uwierzyć, że są winni pieniądze tej kobiecie i jej obleśnemu mężowi. Ale może właśnie dlatego Mejida rozmawiała z nią w ten sposób - bo wiedziała, że może. Cały

ten konformizm, złudzenie kontroli, groźba eksmisji, szantaż. Pragnęła, by spacer do baru Balcony był o wiele dłuższy.

We wtorek w barze było pustawo, bo zarówno miejscowi, jak i napływowi pracownicy dostawali wypłatę w środy. Kilka osób siedziało przy barze, kilka przy stolikach, muzyka była wyciszona, co oznaczało Creedence Clearwater Revival, a nie Van Halen. Od razu zauważyła Kaia; stał w kręgu znajomych - Bart i Bianca (do diabła z nią) i kilka roześmianych osób, których nie znała. Trzymał w dłoni szklankę zimnego piwa i opowiadał dowcip. Ukulele leżało za nim na barowym stołku. Wyglądał, jakby nie miał żadnych trosk. Co mu powie? Nie wie, że była sama przez cały dzień? I że on jest za to odpowiedzialny?

Kiedy ją zauważył, pomachał do niej i przepychając się przez otaczających go ludzi, podszedł żwawym krokiem. Miał na sobie obszarpane dżinsy, czarne buty i dżinsową kurtkę narzuconą na szarą bluzę z kapturem. Związane z tyłu włosy odsłaniały twarz z lekkim zarostem; nie ogolił się przed wyjściem z domu.

- Cześć - powiedział. - Twój widok raduje zmęczone oczy. Co jest? - Pocałowała ją bez wahania. Czemu nie? Czy oczekiwała, że się zawaha? Liczyła na to?

- Dlaczego masz zmęczone oczy? - zapytała, przybliżając się do niego. - Czekałam na ciebie. Zrobiłam kolację.

- Przepraszam. - Objął ją ramieniem. - Nie wiedziałem, że coś ugotujesz. Myślałem, że nie mamy pieniędzy.

- Wczoraj powiedziałeś, że masz już dość wychodzenia wieczorami. Roześmiał się.

- I miałem za to dostać kolację?

- A l e wyszedłeś. Beze mnie.

- Szybki drink po pracy.

- Kai, jest dziesiąta. Wszędzie zamykają o szóstej. O jakiej „po pracy” mówisz?

Radość znikła z jego twarzy, przemknął przez nią lodowaty uśmiech.

- Nie kłóćmy się - powiedział. - Przepraszam, że nie wiedziałem, że robisz kolację. Skąd miałem wiedzieć? Za co ją kupiłeś?

- A za co ty kupujesz drinki?
- Dziś stawia Billy-O. Powiedziałem mu, że ja zajmę się tym jutro, kiedy zapłacą mi w Snowfield.
- Kto to jest Billy-O? I jutro znów wychodzimy?
- To dzień wypłaty. - Uśmiechnął się. - Chodź, przedstawię ci go. To jeden z sezonowców, którzy szukają pracy.
- Kolejna konkurencja.
- Nie, łowi dzikie konie. Nie moja broszka. No chodź.
- Dopiero co go poznałeś i stawia ci drinki? - Spojrzała w stronę grupy przy barze. Obserwowała ich, czekając na Kaia.
- Nie powiedziałem wcale, że dopiero co go poznałem. - Nadal obejmował ją ramieniem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Pocałował ją jeszcze raz, czulej. - Chodź, napij się. Są mili. Bart. Patrick. Billy to wariat.
- Wszyscy są mili?
- Wszyscy. - Objął ją wolną ręką w pasie. - Ale nikt nie jest tak miły jak ty.

Jednak kiedy Kai przedstawił ją swoim nowym przyjaciołom, nie była już taka pewna, że nikt nie jest tak miły jak ona. Zwłaszcza przytulona do Billy'ego-O panienka... Może była wstawiona, a może wszystkie dziewczyny Billy'ego-O tak właśnie śmiały się z dowcipów Kaia, lecz ta wydawała się szczególnie zadowolona, że może pić w jego towarzystwie. Kto to taki? Billy-O był rudym, niechlujnym, niskim mężczyzną z buszu, ogorzałym od słońca. Żyłasty jak dżokej, z twarzą, która wyglądała, jakby codziennie spędzał dwadzieścia godzin na powietrzu. Larissa założyła, że jest po dwudziestce, ale pomarszczone dłonie i policzki sprawiały, że wyglądał na czterdzieści lat. A dziewczyna? Młodsza. Miała gładką jasną cerę, nosiła kapelusz z szerokim rondem, który osłaniał ją przed australijskim zimowym słońcem.

Podczas gdy zespół Creedence Clearwater Revival rozpaczliwie pytał, czy widziała padający deszcz, Larissa nie usłyszała, jak dziewczyna ma na imię, nie mogła się zorientować, co ją łączy z grupą i z Bil-

lym-O. Nie wiedziała nawet, co łączy Billy'ego-O z Billym-O. Kim on w końcu był? Konie? To skąd znał go Kai?

- Billy-O przyjechał tu parę miesięcy temu szukać pracy - wyjaśnił. - I został. Nie jeździ na nartach, tak jak i my, ale znalazł pracę w stajni i zajmuje się końmi przez zimę. Chce zebrać kilka dzikich do swojego własnego interesu.

- Billy-O ma interes?

- Tak. Prowadzi stajnię za zachodzie. Ma niesamowite życie. Jeździ na równiny, łapie dzikie konie, obłąskawia je, a potem sprzedaje. Ale teraz chce zatrzymać kilka dla siebie. Chce zacząć organizować konne przejażdżki w parku narodowym. Konie muszą być naprawdę łagodne, żeby wytrzymały z turystami na grzbiecie. Większość jego koni jest prawie dzika.

Larissa patrzyła na Kaia zaniepokojonym wzrokiem.

- Sporo o nim wiesz.

Wzruszył ramionami.

- Zaczęliśmy rozmawiać, zaprzyjaźniliśmy się.

- Ale gdzie poznałeś kogoś takiego?

Wzruszył ramionami.

- Pojechałem szukać pracy w stajniach w Thredbo.

- Ty? W stajniach?

- Trochę się znam na koniach. Czyściłem je na Maui, zanim zająłem się kamieniarstwem. Potrafię sobie z nimi poradzić. Poza tym pracajak każda inna.

- Dostałeś ją?

- Jeszcze nie. Chcesz drinka czy co?

Czy co, Kai. Czy co. Za kilka dolarów, które im zostały, kupić jej jâgera. Żyli bez komórki, roweru, bez samochodu dla niej, zalegali za dwa miesiące z czynszem. Ale musiał wydać trzy dolary, żeby postawić jej jagera. Gdyby tylko mieli coś do picia w domu, może by wrócił. Może gdyby mieli... Ale co? Co chciała ze swojego domu przy Rainbow Drive? Może trochę Bellevue Avenue? Ale którą część? Tę domową? Sprzątanie i gotowanie? Pranie? Nieprzeczytane książki?

Miękkie łóżko, w którym spędzała zimowe poranki? A może coś innego? Zdecydowanie coś innego, nieokreślonego. Szklanka red bulla i likieru Jägermeister w jej dłoni zaczęła drżeć. Kai odwrócił się od niej i zaczął rozmawiać z Billym-O i jego dziewczyną.

Larissa z niedowierzaniem patrzyła, jak nalewa trochę swojego piwa do szklanki dziewczyny. A nawet go o to nie prosiła! Po prostu przytrzymał jej szklankę i nalał piwo. Może zawodziły ją lekko zmrużone oczy? W barze było ciemno, Creedence chcieli teraz koniecznie wiedzieć, kto powstrzyma ten cholerny deszcz, a potem Steppenwolf poinformowali ją, że wyruszają w magiczną podróż na latającym dywanie. Cały ten hałas i ciemność utrudniały myślenie. Ludzie stali blisko siebie, by się usłyszeć, ale Larissa mrużyła oczy, była spięta, zmęczona, czuła, że nie jest piękna, zastanawiała się, kim jest ta dziewczyna, do której pustej szklanki nalał piwo jej kochanek. Kiedy wreszcie wyjdą? Kiedy to się skończy?

Dziewczyna nazywała się Cleo Carew. Larissa uznała jej imię za pretensjonalne i pornograficzne. Brzmiało jak wymyślone specjalnie dla striptizerki - od imienia jej konia i ulicy, na której mieszkała jako dziecko: Bunny Highland lub Josie Mary. Jakby naprawdę nosiła imię Martha i zmieniła je na bardziej zdzirowate. Wyglądało jednak na to, że wcale nie potrzebowała pomocy na tym polu: jej dzinsy były trzy rozmiary za małe, różowy sweterek za cienki, za krótki i ze zdecydowanie za dużym dekoltem. Na twarzy miała kilo makijażu jak z horroru, śmiała się ohydnie głośno, odrzucała do tyłu blond włosy i uważała, że jest niemożliwie atrakcyjna.

Ajednak Kai nalał jej piwa do szklanki. Co to miało oznaczać?

Larissa nie mogła się doczekać, by go o to zapytać.

- Gotowy? - zapytała po kolejnej półgodzinie.

- Jeszcze jeden drink i idziemy. - To nie było pytanie.

Chciała pokręcić głową, powiedzieć „koniec z drinkami”. W końcu to ja siedzę z tyłu na twoim motorze. Droga w górę jest ciemna i kręta. Ale on najwyraźniej nie chciał wracać do domu. A coś w Larissie buntowało się przed zmuszaniem go do powrotu. Jeśli on sam nie widzi, jak jest późno, ona nie będzie mu przypominać, że czas się zbierać. Nie

tutaj. Pokręciła przecząco głową na propozycję kolejnego drinka i na próżno próbowała brać udział w rozmowie, której ani nie słyszała, ani nie chciała słyszeć. Cleo chichotała non stop.

Larissa patrzyła, jak Kai wolno dopija piwo, jakby żuł gumę, która już dawno straciła smak. Jak rozmawia z ożywioną twarzą, z wyprostowanymi plecami. A kiedy na moment odwróciła wzrok, w ciemności zauważyła, że Cleo też na niego patrzy, na ożywioną twarz, wyprostowane plecy.

- No, muszę już iść - powiedział do niej. Nie „musimy”, lecz „muszę”.

- Tak szybko? - zajęczała Cleo. - Napij się jeszcze jednego. Ja stawię.

- Dzięki, ale nie. - Uśmiechnął się. - Nie będę w stanie jechać motocyklem.

- Podwożę cię. Mam samochód.

- Chyba sama będzie potrzebowała kierowcy - mruknęła Larissa, a Cleo wybuchnęła śmiechem. Kai jej zawtórował.

Cleo dodała, że chyba jego dziewczyna ma rację, i Larissa skuliła się, słysząc, jak ją podsumowała ta obca laska.

Cleo wyciągnęła do niej rękę.

- Miło było cię poznać - powiedziała. - Masz świetny akcent.

- Nie mam żadnego akcentu - odparła Larissa, niechętnie ściskając jej dłoń. - To ty masz.

Cleo się roześmiała, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką usłyszała tego wieczoru - a to wiele mówiło.

- Jesteś teraz w naszym kraju - zaćwierkała. - Musisz zachowywać się jak Rzymianie.

Larissa nie wiedziała, co to miało oznaczać. Czy Rzymianie włączali i wyłączali akcent według uznania?

- Czy ona chociaż wie, kim są Rzymianie? - powiedziała do Kaia, gdy wychodzili.

- Daj spokój - odparł, ujmując ją za rękę. - Jasne, że wie. To dobry dzieciak.

- Kim ona jest?

- Nie jestem pewny. Chyba przyjaciółką Billy'ego-O.

- Co robi w mieście?
- Szuka pracy. Jak wszyscy.
- Taka dziewczyna jak ona na pewno sobie tutaj poradzi - zauważyła Larissa.

- Hej. Co to za ton?
- Jaki ton? Nie ma żadnego tonu. Za dużo wypiłeś.
- Możliwe, ale mimo wszystko wyczułem ton.

Motocykl to nie samochód. Nie można się na nim kłócić w drodze do domu, tak więc gdy się dociera na miejsce, chęć do kłótni przechodzi i zostaje tylko seks na pogodzenie. Na motorze Larissa musiała się mocno trzymać Kaia, a on musiał skupić się na drodze, żeby się nie rozbić. Nie rozmawiali. Zanim dotarli do domu, nawet nie zaczęli.

Zaskoczyła ją jego taktyka, kiedy weszli do środka. Wziął ją w ramiona.

- Przepraszam - powiedział, pochylając się, by pocałować ją w szyję. - Przepraszam, że nie wróciłem do domu na kolację. Wiem, że jesteś zła, ale nie chcę się z tobą kłócić. Szczerze. - Pachniał piwem, dymem, trzymał ją mocno.

- Kai... - wysunęła się z jego objęć, by na niego spojrzeć - dlaczego wyszedłeś, wiedząc, że jestem sama w domu, nie mamy pieniędzy, ja nie mam samochodu i czekam na ciebie?

- Przepraszam, Larisso. Zachowałem się bezmyślnie. Straciłem pracę w Ski Village. Nic już dla mnie nie mają. Byłem zdenerwowany i musiałem pomyśleć.

- Pomyśleć czy się napić?
- Pomyśleć.
- Poszedłeś do baru, żeby pomyśleć? Straciłeś pracę i w związku z tym pieniądze, a potem poszedłeś do hałaśliwego, zadymionego baru i wydawałeś pieniądze, których nie mamy, żeby oczyścić głowę?

Teraz to on ją puścił i odsunął się.

- Chyba prosiłem, żebyśmy się nie kłócili?

- Prosiłeś - odparła powoli. - Ale kiedy są między nami nierozwiązane sprawy, trudno zachować milczenie.

- Jakie sprawy?

- Posłuchaj, ja też nie chcę się kłócić. Ale chyba będę musiała znaleźć pracę.

- Dlaczego tak to mówisz? - Drzwi wejściowe nie były domknięte. Kai nadal trzymał w ręce kluczyki od ducati. Rzucił je na niski stolik i poszedł zamknąć drzwi.

- J a k ?

- Takim oskarżycielskim tonem. Chcesz załatwić sobie pracę, żeby mnie ukarać? - prychnął cicho. Drzwi się zatrzasnęły. - To dziwne, Larisso. Załatw sobie pracę, bo rozpaczliwie potrzebujemy pieniędzy. Ale nie załatwiał jej, żeby się na mnie odegrać.

- Czy jest coś, za co muszę się na tobie odgrywać? - zapytała.

- Nie bądź głupia. - Usiadł ciężko na kanapie, rozłożył nogi i odrzucił głowę do tyłu. - Jestem cholernie zmęczony.

- Jesteś pijany, nie zmęczony. Kai, dlaczego nie powiedziałaś, że nie zapłaciłaś czynszu za czerwiec? Ani za lipiec?

Nawet nie podniósł głowy.

- Nie chciałem cię martwić.

Usiadła obok niego. Za oknem było ciemno, a w domu migotały tylko światełka pod szafkami w kuchni. Z trudem dostrzegała jego rysy.

- Gdzie się podziały pieniądze?

- Jakie pieniądze? Larisso, nie mamy pieniędzy.

- A l e pracowałaś...

- Tak, i płaciłem za paliwo, za jedzenie...

- Za drinki w barze Balcony?

- To niewiele. Chodzimy tam może dwa razy w tygodniu.

- My? Dzisiaj nie byliśmy tam razem.

Zmrużył oczy.

- Nie byłaś tam?

- Nie dzięki tobie.

- Nie stać nas na drinki dla mnie, a ty chcesz przychodzić do baru i wydawać pieniądze, których nie mamy?

- Ty wydajesz!
- Nie krzycz, proszę. Mam przyjaciół, którzy mi stawiają.
- Żerujesz na przyjaciółach? To miłe. Tak, ja też mam przyjaciół, którzy mogą mi postawić drinka.
- Na pewno - rzucił z przekąsem Kai. - Jak barman Coty?
- K t o ?
- Nie udawaj. Wiem, że stawia ci drinki za darmo. Nie sądzisz, że to irytujące, kiedy kupuję drinki dla ciebie, wiedząc, że za mały uśmiech albo wypicie cycków możesz pić jagera do woli?
- O czym ty mówisz? - rzuciła zmieszana, zrywając się z kanapy. - Kupujesz mi drinki, bo to bardzo rycerskie.
- O tak - odparował Kai, nadal rozwalony na kanapie. - Jesteśmy rycerzami w lśniącej zbroi.
- Poza tym on nie stawia mi drinków - ciągnęła. - Od czasu do czasu mówi, że jeden jest na koszt firmy.
- Szkoda czasu. Jestem wykończony. Przegrupujemy się jutro. Pojadę szukać roboty. Pensjonaty w Perisher albo Charlotte mogą potrzebować pomocy przy wyciągach narciarskich. Sprawdzę to.
- A l e kiedy ty będziesz to sprawdzał, jak ja sprawdzę, czy sklep narciarski przy Wagner kogoś szuka? Słyszałam, że coś może się tam znaleźć.
- Mogę cię tam zabrać. Ale jeśli załatwisz sobie pracę w mieście, jak się tam dostaniesz? Widzieliśmy, co się stało, kiedy jeździłaś na rowerze.
- I tak jest za zimno na rower. - Nie wspominali o tym, że jest za zimno na jego motocykl, który pędził o wiele szybciej od roweru. - Może kupimy dla mnie tani używany samochód?
- Za co? Musielibyśmy sprzedać terenówkę.
- Nie możemy.
- Zgadza się, nie możemy jej nawet zastawić. Bo nie mamy pieniędzy, żeby ją wykupić.
- Czy wspominałam coś o zastawianiu?
- Mówiłaś o sprzedaży! Sprzedamy ją i co? Tylko dzięki niej możemy zarabiać.

- To gdzie są te pieniądze? - krzyknęła. - Mieliliśmy oszczędzać latem, żeby zimą mieć z czego żyć. Co się stało z naszymi pieniędzmi?

- Co się stało z naszymi pieniędzmi? Larisso, gdzie ty mieszkasz? Za kogo się uważasz? Nie jesteś już gospodynią domową, a twój bogaty mąż nie dba o wszystkie wydatki, kiedy ty tylko chodzisz na zakupy i się z nim pieprzysz!

- Nie tylko z nim! - wrzasnęła.

- Masz rację - odparł spokojnie. - Nadal prowadzisz podwójne życie?

Gdyby stała bliżej, uderzyłaby go w twarz. Ale mogła tylko wypuścić powietrze i zamilknąć, wykręcając palce.

- Wiesz, gdzie są pieniądze? Wydaliśmy je - powiedział dużo ciszej. - Na życie. Nie zarobiliśmy nic ekstra i nie mogliśmy nic oszczędzić. Przez kilka zim pracowałam, ale ostatniej nie. Ani tej.

- Nie ma cię w domu od siódmej do siódmej! Jak mam się gdziekolwiek dostać? Szukałam pracy. Nikt nie chce mnie zatrudnić.

- Nie narzekam. Rozumiem. Ale dlaczego na mnie wrzeszczysz? Ja cię nie oskarżam, prawda? Nie chcę koniecznie wiedzieć, gdzie podziały się pieniądze!

Podniosła rękę. Jego gniew był niepokojący. Czuła się słaba i zagubiona. Kai nie podnosił głosu. Nie kłócił się. Zawsze był spokojnym dyplomata, który wszystko łagodził ciszą, a nie pogarszał krzykiem.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale co teraz zrobimy? Będziemy dalej tak żyć?

Kai przez chwilę ciężko oddychał.

- W przeciwieństwie do czego? - zapytał spokojnym, wyważonym tonem. Tak właśnie robił podczas ich nielicznych kłótni: aby ją jeszcze bardziej rozszłościć, ważył słowa, a im bardziej ona się denerwowała, tym bardziej on był opanowany. Mówił jej potem, że tak właśnie radzi sobie z konfliktami, których nienawidzi, ale ona brała to do siebie.

- Kai, przestań mówić do mnie w ten sposób - powiedziała. Kłótnia zaostrzała się, a ona czuła, że płonie jej kark.

- W jaki? - zapytał lekkim tonem, podczas gdy ona ciężko dyszała. - To poważne pytanie. Co proponujesz?

Dlaczego przeraziło ją jego pytanie? Cofnęła się. Dostrzegł to nawet w ciemności. Zwłaszcza w ciemności. Wiedziała, że zauważył, że ona nie ma żadnej mocy sprawczej, żadnego wpływu, żadnych rozwiązań.

- To głupie - powiedziała.
- To właśnie mówię od jakiegoś czasu.
- Nie jesteś w nastroju do kłótni.
- Nigdy nie jestem w nastroju do kłótni, wiesz o tym, Larisso.
- Wiem. Nie kłóćmy się więc.
- No właśnie. Nie kłóćmy się.

Po kilku sekundach leżeli nadzy i spleceni na kanapie, a potem na podłodze kochali się desperacko; jej urywane krzyki, jego ciężki oddech, zamknięte oczy, rozchylone usta, skupieni na odwiecznym akcie. To było prawdziwe czy przypominało burleskę? Jego dłonie obejmujące jej głowę, nogi, biodra, karnawał dusz, na podłodze, wciśnięci między niski stolik i kanapę, jęczący nieszczęśni kochankowie.

Kiedy znaleźli się w łóżku, położył się za nią. Czekwała na jego dłonie. Przez kilka minut nie czuła ich na sobie, jakby zasnęła. Ale zaraz zaczęły błądzić po jej biodrach, żebrach, plecach, pomiędzy nogami. Poczowała jego wargi na karku.

- Chodź, Larisso... - szepnął, a trzy sylaby jej imienia raz jeszcze zabrzmiały w jego ustach jak godowy śpiew. - Nie chcę się kłócić - szepnął. - Nigdy nie chciałem.

- Wiem - odszepnęła.

Pieścił jej twarz.

- Wszystko będzie dobrze. Zobacysz. Znajdę pracę. W stajni. Billy-O powiedział, że mi pomoże. Jakoś przetrwamy. A na następne Boże Narodzenie zamieścimy reklamę w „Sydney Morning Herald”. Ściągniemy tu Amerykanów.

- Takich jak my?

- Nikt nie jest taki jak my - powiedział, przesuwając dłonie kojącym gestem po jej ciele. Ale ona się bała, że jest wręcz przeciwnie. Bała się, że są dokładnie tacy jak wszyscy inni.

Leżała w jego ramionach, a on sennym gestem gładził ją po plecach.

Pomyślała, że zasypia, ale po chwili jego palce wzmocniły nacisk na jej kręgosłupie, między łopatkami.

- Jesteś głodny? - zapytała. - Mogę ci odgrzać hamburgery.

- Nie mam ochoty na hamburgera - odparł. - Znów mam ochotę na ciebie. - Nadal ją gładził. - Dziś wieczór jestem napalony. Nie wiem dlaczego. - Zamilkł na chwilę. - Chyba Cleo uznała, że jesteś atrakcyjna.

- C o ?

- Hmm.

- O czym ty mówisz? - Była zupełnie zamroczone. - Co ona ma ze mną wspólnego? W jej oczach to nie ja jestem atrakcyjna.

- Jesteś.

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi: „Twoja dziewczyna jest seksowna”.

- Naprawdę? Dość obcesowo. A co ty na to?

- Odparłem, że wiem. - Pieścił jej piersi, przesuwając po nich zarostem.

- Ach tak. Ty i Cleo, dziewczyna Billy'ego-O, rozmawialiście, że jestem seksowna. A gdzie był Billy-O podczas tej rozmowy?

- W toalecie.

- A ja?

- T e ż .

- Naprawdę nie wiem, dlaczego mi to mówisz. Kim ona jest? Nie mam pojęcia, dlaczego rozmawiasz z nią o mnie.

- Pomyślałem, że sprawi ci to przyjemność.

- Rozmawianie o mojej urodzie z dwunastolatką z wielkimi cyckami, którą dopiero co poznałeś w barze?

Przygwoździł ją nogami, całował ją w szyję, usta. Miał ciężki gorący oddech, alkohol podsycił jego pożądanie.

- No, przyznaj, ty też uznałaś, że jest atrakcyjna...

- N i e ! A ty?

- Nie chodzi o mnie.

- Czyżby?

- Wcale nie. Zastanawiałem się tylko, czy ty uznałaś, że jest seksowna?

- Kai, dziś wieczór nawet nie przeszło mi to przez myśl. Wiesz, o czym myślałam? Co zrobimy, kiedy skończą się pieniądze.

- Skończą się? Już się skończyły, maleńka. - Jego dłoń spoczywała między jej nogami. - No, co powiesz o niej?

Nie odepchnęła go. Rozsunęła nogi, wygięła plecy w łuk, pozwoliła się pieścić. Jęczała cicho, on szeptał, w kuchni kapała woda. Kap, kap.

- No, co myślisz? Myślałaś o tym kiedyś, choć przez sekundę? Tak abstrakcyjnie. Jak w college'u?

- O czym? O tobie? Tak. - Jęczała głośniejszym głosem, gdy jego palce stały się bardziej natarczywe.

- Jesteś taka seksowna - szeptał, biorąc w usta jej sutki. - Masz piersi dwudziestolatki, niesamowite ciało. Chciałabyś to zrobić z dziewczyną?

Gdyby Larissa akurat w tej chwili mogła myśleć jasno, pewnie otworzyłyby oczy, usłyszałyby go lepiej. Ale cała pulsowała i drżała w rytm zupełnie innej melodii. Myślała, że fantazjują, rozmawiają hipotetycznie, by się podniecić, jak zresztą często robili, korzystając z erotycznego języka jako afrodyzjaku.

- Czasami - odparła. - Mówiłam ci. Z ciekawości. Ale pora na to minęła, kiedy byłam w pierwszym rozkwicie młodości.

- Ja nadal rozkwitam, maleńka - szepnął. - I sądzę, że Cleo dałaby się uprosić, gdybyś była zainteresowana.

Dopiero wtedy Larissa otworzyła oczy.

- Uprosić o co?

Nie odpowiedział, rzucił jej tylko ze swojej poduszki uwodzicielskie spojrzenie pożądlivego egzystencjalizmu, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, że za to oberwę, ale nie dbam o to i będę udawał, że nie mam pojęcia, o co to całe zamieszanie”.

- Żartujesz sobie?

Wyciągnął rękę.

- Trochę pieprzu. Dla zabawy. Nic poważnego.

- Dobrze wiedzieć. W przeciwieństwie do czego?

- N i e musimy, jeśli nie chcesz.
- Nie chcę.
- Okej. - Powiedział to jednak tak, jak robią to ludzie, którzy wiedzą, że nie tylko nie jest okej, ale też za minutę zaczną się o to kłócić. A Larissa zdecydowanie nie miała ochoty na taką kłótnię.
- Kai, dlaczego choć przez sekundę pomyślałeś, że mogłabym chcieć? - Próbowała naciągnąć koc na nagie ciało, lecz leżał za daleko na łóżku.
- To tylko podnieta, nie wielka zmiana w życiu.
- Larissa widziała, że chciał powiedzieć coś więcej, ale albo zmienił zdanie, albo zachował to na później. Miłość pozostała w łóżku niespełniona.
- Nie mogę uwierzyć, że mnie o to prosisz.
- Nie mogę uwierzyć, że tak się o to rzucasz.
- Rzucam się? Naprawdę?
- Tak myślę.
- A gdybym cię zapytała, czy chciałbyś zaprosić do naszego łóżka Barta? Jak byś się czuł? - Bart był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, który choć żonaty z Biancą, flirtował bezwstydnie z Larissą; taka nieszkodliwa rozrywka.
- Bart? - prychnął Kai. Wzruszył ramionami i wyciągnął się na łóżku. - Jeśli chcesz, nie ma sprawy.
- Nie wierzę ci.
- Naprawdę, Larisso. Wszystko jest w porządku. - Wspiął się na nią, przyciskając ją swoim spoconym ciałem. - Wiesz, dlaczego się nie martwię?
- Jęknęła i pokręciła głową, rozgniewana pożądaniem, niemożnością oddechnięcia go nawet w takiej chwili.
- Wszystko jest w porządku - ciągnął, gdy ona jęczała i ścisnęła go mocno, bezskutecznie próbując go słuchać. - Bo wiem... - urwał, czekając, niemal spokojnie, by zaczęła się o niego ocierać ogarnięta nieuchronną paniką - że nikt cię nigdy tak nie pieprzył...
- Gwałtownie pokręciła głową, szczytując z płaczem i szepcząc: „Nie, przestań, nie mów tak”.

- ...i nie będzie.

Już raz jej to powiedział. Ale wtedy, wieki temu, to oznaczało jedno, a teraz w pozbawionym ochrony wszechświecie, w którym zniknęły rodziny, dzieci, prawa, mężowie, petycje o łaskę i wybaczenie, znaczyło zupełnie coś innego, straszliwą niesprawiedliwość, której nie chciała i nie mogła stawić czoła.

- Nie mów tak - szepnęła ponownie, starając się powstrzymać drżenie, nie płakać. - To nie jest miłe.

- Jest. Jest taakie miłe... - Rozsuwał rękami jej uda. - Odrobina podniety, nic więcej. Nie ma w tym nic złego. Przecież nie uciekniesz z Bartem, prawda?

- On jest z Biancą.

- I co z tego? - Kai wzruszył ramionami, zsuwając się z niej. - Powiedzmy, że Biancę niewiele obchodzi, kto pływa w jej basenie.

- C o ?

- Nie wiedziałaś? Tak. Bianca nieźle się prowadzi. - Patrzył na nią i mówił te okropne rzeczy tonem, którym mógłby powiedzieć, że jest mu obojętne, czy zrobi na kolację kurczaka, czy rybę. - I co o tym myślisz? Chcesz? - Przysunął się bliżej, objął ją i pocierał ostrą brodą miejsce między jej łopatkami. - Bo jeśli poprosimy Barta, chyba możemy potem poprosić Cleo.

- Kai! - odsunęła go gwałtownie i usiadła. - Czy tego właśnie chcemy? Poprosić Barta? - urwała i przez długą chwilę nie mogła znaleźć słów. - A może chcemy poprosić... Cleo?

Milczał.

- Czy Cleo by cię uszczęśliwiła?

Nie odpowiedział wystarczająco szybko. W końcu rzucił z sugestywnym uśmiezkiem na ustach:

- Chciałbym zobaczyć was dwie razem. Taka męska fantazja. To takie seksowne. I tyle.

- Kai, nie jestem zainteresowana Bartem - powiedziała Larissa, nie wierząc, że w ogóle prowadzą tę rozmowę. - Nie jestem zainteresowana Cleo.

Skończyły im się pieniądze, nie mieli samochodu, nie mogła znaleźć

pracy, bo mieszkali za daleko od miasta, on miał pojechać trzydzieści mil w góry, by szukać pracy w stajni, a rozmawiali o seksie w trójkącie z Cleo lub we czwórkę z Bartem. A może w piątkę - z tą wiedźmą Biancą?

Nie było dość ciemno. To cholerne srebrne jezioro. Czy nadejdzie dzień, gdy nie będzie musiała już go oglądać? Mroziło Kaia od środka.

- Zapomnijmy o tym - powiedział. - Najwyraźniej nie jesteś tym zainteresowana.

- Tak myślisz?

- Ciągnijmy to dalej jak dotąd. To powinniśmy robić, żyjąc w raj. Świetne jedzenie, superbary, mili ludzie, mnóstwo zajęć, a jednak nie mamy pieniędzy, nie możemy jeździć na nartach, nie możemy pracować, nie możemy zapłacić czynszu, nie możemy rozwinąć interesu, a kiedy zacznie się lato, wydamy trzy tysiące dolarów na nowe zapasy i naprawę terenówki i nadal nie będziemy mieć pieniędzy. - Zawiesił głós. - Nie mamy nic.

- Nie mamy pieniędzy na czynsz za sierpień, który musimy zapłacić za dziesięć dni, i zalegamy za dwa miesiące, a ty chcesz sprowadzić Cleo do naszego łóżka?

- Nie tylko Cleo. Barta też.

- Och, Kai - szepnęła. - Co się dzieje?

- Nic. I na tym polega problem.

Nie wiedziała jak, ale zasnął. Tak po prostu, leżąc na boku. Przykryła go i leżała ciężka i pusta - na ciele i w sercu - wpatrując się tępo w sufit w nadziei, że raz jeszcze znajdzie tam odpowiedzi, bo nie chciała ich szukać w ich wąskim podwójnym łóżku.

* * *

Następnego ranka wyszedł wcześniej. Larissa nie obudziła się. Spała do drugiej albo do drugiej czterdzieści. Co innego miała do roboty?

Wrócił wieczorem - z kolacją! Przywiózł jedzenie od Milly przy Lakeside, linguine z sosem z małży, ulubione danie Larissy, butelkę czerwonego wina, ciasto karmelowe z czekoladą i kwiaty.

- Wino i linguine?

- **Zgadza** się, maleńka! - Był w znakomitym nastroju.

Przygnębienie z wczorajszego wieczoru zniknęło. Szczęśliwsza i pełna nadziei Larissa zapaliła dwie świece.

- Znalazłem pracę - powiedział, gdy usiedli przy stole w kuchni. - Teraz chcę, żebyś wyzbyła się uprzedzeń, dobrze? Nie jest idealna ani stała, ale...

- Nie chcemy pracy na stałe - odparła. - Tylko takiej, która pomoże nam przetrwać do lata.

- No właśnie. Potrzebujemy się odbić i chyba nam się udało.

Patrzyła na niego, gdy otwierał wino. Wyglądał doskonale w wytartych lewisach i szarym podkoszulku. Miał ożywioną, pełną optymizmu twarz. Wzięła od niego kieliszek. Stuknęli się. Podniósł się na krzesło, pochylił przez stół, pocałował ją namiętnie.

- Kocham cię - powiedział. - Posłuchaj, jaki mam pomysł. Znasz Billy'ego-O, prawda? Kowboja z Mungo?

- Sporo o nim słyszałam. *Nie znam* Billy'ego-O.

- No tak. Potrzebuje kogoś, żeby zbudować większą stajnię i padok. Poprosił mnie, żebym mu pomógł.

- W czym?

- Zbudować stajnię. Razem ze swoim kumplem łapią dzikie konie, ale potrzebuje kogoś do pomocy w stajni, a potem przy sprzedaży koni.

- Ma pieniądze, żeby ci zapłacić?

- Tak. - Uśmiechnął się i napił wina. - Wziął mały kredyt.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Gdyby mieszkali tu legalnie, gdyby byli Australijczykami, może też dostaliby kredyt, kupili drugą terenówkę. Na tym polegał jeden z problemów z pracą. Mogli pracować z Kaiem tylko na czarno, konkurencja była spora, a możliwości ograniczone. Zmusiła się do uśmiechu, choć poczuła ukłucie zazdrości.

- I co o tym myślisz? - Kai był w euforii. Gdy jedli, trzymał ją za rękę.

- Gdzie jest to Mungo?

- Stajnie znajdują się na skraju Parku Narodowego Mungo, niedaleko Pooncarie, małego portu nad rzeką.

- Nigdy o nim nie słyszałam.
- Bo jest malutki.
- Jak daleko stąd?
- Nie tak blisko. Ale wiesz co? - Wyjął z kieszeni zwitek banknotów. - Zapłacił mi z góry...
- Już się zgodziłeś? - zapytała, marszcząc brwi.
- Larisso, co miałem zrobić?

Próbowała się odprężyć, pijąc kolejny łyk wina. Potem jeszcze jeden.

- Nie wiem - powiedziała w końcu. - Może najpierw ze mną porozmawiać.

- Nie byłem pod telefonem i nie miałem żadnych innych propozycji. Musieliśmy coś dzisiaj zjeść. I potrzebujemy planu, Larisso. Na przyszłość. Nie czujesz, że powoli zaczynają nam się kończyć możliwości?

Nie chciała skinąć głową.

- Może powinniśmy wyjechać - zasugerowała ostrożnie.

- Do Pooncarie?

- Nie. Po prostu... wyjechać. - Spojrzała na niego. - Ty i ja. Daleko stąd. Chyba masz rację. Być może nasz czas tutaj się kończy. - Nie chciała mu powiedzieć, jak bardzo jest jej smutno z tego powodu ani o okropnej rozmowie z Mejidą; chciała się skupić na wielkim nieznanym. - Kai, nie widzieliśmy Perth. Cairns. Ayers Rock, Adelajdy. Malutkiego kangura. Zostawmy to paskudne życie i wyruszmy w drogę.

- Larisso... - Teraz to on zmarszczył brwi. - Już jesteś rozczarowana nadziejami i marzeniami, które snułaś wczoraj?

- Ależ skąd - odparła szybko, a góry w oddali stały się przytłaczająco czarne i bliskie.

- Chcesz wyruszyć w drogę? Szukać dalej tego, co nam się stale wymyka?

Wyciągnęła do niego rękę, jękając się przy próbie odpowiedzi. O co ci chodzi, zdawało jej się, że powiedziała. Nic się nam nie wymyka. Jesteś przecież tutaj.

- Może masz rację - powiedział. - Może już pora. Ale po pierwsze... uwielbiam nasze lata tutaj. Leniwe, spokojne, ciche... wyschnięte

gaje pomarańczowe, kąpiele w jeziorze, kangury dookoła. Jeszcze nie jestem niczym zmęczony. Lubię mieć swój własny interes. Lubię to, co robimy. Chcę, żeby nam się udało.

- Wiem. Ale się nie udaje.

- I po drugie - ciągnął - nie mamy pieniędzy. Zapomniałaś o tym? Dokąd pojedziemy? Do Czerwonego Środka? Chcesz pojechać do Cairns? Do Darwin? Może mógłbym grać na ukulele na ulicach w Perth, a Aborygeni wrzucaliby mi drobne do kapelusza?

- Mogę być kelnerką - spróbowała. - Gdybyśmy nie mieszkali tak daleko od miasta, mogłabym to robić tutaj. Może powinniśmy się wyprowadzić z Rainbow Drive. - Bała się, że to nieuniknione, czuła, że coś się nieodwołalnie kończy.

- Spójrz na nasz mały bungalow - powiedział ze smutkiem. - Marzenia rodzą się z nas. Spójrz na nasz widok.

- Żaluzje są stale zaciągnięte - odparła. - Wolałabym ocalić to, co mamy, niż żeby całe marzenie rozplynęło się w powietrzu.

- To właśnie próbuję robić - powiedział - przyjmując pracę w tej stajni.

Straciła apetyt i siedziała, patrząc na niego w bladym świetle lampy i migających świec.

- Gdzie jest to Pooncarie? - zapytała, wzdychając z rezygnacją.

- Jest jeszcze jedno... - Odchrząknął.

Słuchała uważnie. Dlaczego zawsze było jeszcze jedno?

- To trochę daleko.

- Jak trochę?

- Nie wiem. Nie jestem pewny.

- Ile czasu zajęło Billy'emu-0, żeby tu dotrzeć?

- Nie był pewny.

- Kai! Unikasz odpowiedzi. To czterdzieści mil? Sto? Ile?

- N i e , wydaje mi się...

- Więcej niż sto mil?

- Nie jestem pewny.

Larissa postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i wyjęła mapę okolicy z kuchennej szuflady. Nie znalazła na niej Pooncarie. Wyjęła mapę

Australii i rozłożyła ją na podłodze. Poszukała Pooncarie, nie znalazła, poszukała Parku Narodowego Mungo, znalazła, spojrzała na legendę i zmierzyła odległość. W końcu podniosła wzrok.

- Kai - zaczęła zdumionym głosem - to ponad tysiąc dwieście kilometrów!

- Nie. Aż tyle?

- Tak! To ponad siedemset mil.

- Hmm. - Skulił się przy stole i przygryzł wargę.

- Naprawdę powiedziałeś Billy'emu-0, że przyjmiesz tę pracę?

- Wiedziałem, że to daleko, że nie można tam dojeżdżać. Wiem...

- Co więc proponujesz?

- Proponuję - powiedział z uśmiechem, starając się to opakować jak dobry sprzedawca w białej koszuli, czarnej kurtce i wyprasowanych dżinsach, który sprzedał jej jaguara z dodatkowymi rurami wydechowymi, byjeździła ze stacji benzynowej do supermarketu, z pralni do szkoły podstawowej, by odebrać najmłodszego syna, który mieścił się idealnie w małym dwuosobowym samochodzie. - Proponuję, że zamieszkać z Billym-O na kilka miesięcy, na zimę, pomogę mu wybudować stajnię i sprzedać konie, zarobię trochę kasy, a latem wrócę z pieniędzmi i ruszymy z naszymi wyprawami.

- A co ze mną?

Kai odchrząknął.

- I o to właśnie chodzi. Billy-O powiedział, że nie ma u niego miejsca dla nas dwojga. Ja mogę spać na kanapie, ale oboje się tam nie zmieścimy. Nie możemy go wyrzucić z łóżka, prawda?

- Proponujesz więc, że zostanę tutaj i będę płacić czynsz? - Zostać tutaj, obok Mejidy, bez samochodu, bez pracy i bez Kaia? Larissa spojrzała na niego z podłogi, wstrząśnięta, szeroko otwartymi oczami.

- Nie. Nie możemy płacić tu czynszu i próbować oszczędzać pieniądze na lato. Musimy mądrze to rozwiązać.

- Mądrze, tak.

- Pomyślałem więc... - urwał na chwilę, by się zastanowić, wziąć oddech, wymyślić taktykę - że mogłabyś pojechać odwiedzić swoją przyjaciółkę Che.

- Che? - spytała tępo Larissa, a coś w niej zamarło.
- Niezły pomysł, prawda?
- Wiesz, że Che mieszka w Manili?
- Wiem. Pamiętasz, jak często mi mówiłaś, że chcesz tam pojechać? Jeszcze w New Jersey stale o tym wspominałaś. To świetna pora, żeby się tam wybrać.

- Muszę się dostać do Sydney, żeby polecieć do Manili.
- Wiem. Dwa razy dziennie odjeżdża stąd autobus do Sydney.
- Kai, nie mamy pieniędzy na czynsz ani na jedzenie! Skąd weźmiemy tysiąc dolarów na bilet do Manili? Tam też będę potrzebowała pieniędzy. Nie mogę się zjawić ot tak i oczekiwać, że Che będzie mnie utrzymywać.

- Czemu nie? Wysyłałaś jej tyle pieniędzy, nie sądzisz, że powinna ci się odwdzińczyć? Takie małe quid pro quo?

- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam, była bez grosza. Ona nie zapłaciła za mnie kaucji, tylko ja za nią.

Nie odezwał się.

- Poza tym od wyjazdu nie miałam z nią kontaktu. A jeśli jej już tam nie ma?

- Mieszkała w tym samym miejscu od lat. Dlaczego miałoby jej nie być?

- Nie wiem. Ale ja też nie mieszkam już w Summit, prawda? Kiedy ostatni raz pisała, miała straszne problemy... - Larissa nie mogła sobie przypomnieć jakie. Coś z jej chłopakiem...? - Ja też mogłabym znaleźć pracę - zaproponowała lekko piskliwym głosem. - W Pooncarie. W miejscowym barze.

- Nie mamy gdzie mieszkać - powtórzył zniecierpliwiony Kai. - Tylko u Billy'ego, a on nie ma wolnego pokoju.

- To wynajmiemy pokój.

- I znów będziemy płacić czynsz. Pooncarie to małe miasteczko, być może jest tam tylko jeden bar. A jeśli przyjedziesz i nie będzie pracy? Co wtedy zrobimy? Nie zaoszczędzimy ani centa.

Czekała.

- Może nie będziemy się martwić na zapas? Znajdę pracę. Czemu nie mogę pomagać wam w stajni?

- W czym? W budowaniu szopy? Oswajaniu koni?

- W jednym albo drugim. W obu.

- Larisso, bądź poważna. Nie mamy gdzie mieszkać!

- Na tym więc polega twój wielki plan? Chcesz mnie wysłać do Manili, a sam zamieszkać w Pooncarie?

- Nie wysłać. Chcę, żebyś zrobiła to, o czym od dawna marzyłaś. I nie zamieszkać, ale przenieść się na jakiś czas. Muszę jechać tam, gdzie jest praca.

- A co z tym domem?

- Smutno mi na samą myśl o tym - powiedział, nie patrząc na nią - ale będziemy musieli z niego zrezygnować. Nic nie możemy zrobić. Nie możemy za niego płacić. Latem znajdziemy nowy. Ale bliżej miasta, żebyśmy nie mieli tych samych problemów.

- A co z naszą terenówką? I twoim motorem? - Nadal kucała na podłodze, opierając dłonie na kolanach. Próbowwała odnaleźć drogę, ale stale trafiała w ślepe zaułki. Pięć lat temu wydali ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów na mieszczący jedenaście osób terenowy bus. Ile jest teraz wart?

- Motocykl zatrzymam - powiedział - ale zastawimy terenówkę.

- Zastawimy terenówkę? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tylko na trzy miesiące. Będziemy mieli mnóstwo pieniędzy na bilet do Manili, aja zarobię dość, żeby ją wykupić w październiku. Co? Nie patrz tak. To tylko tymczasowe rozwiązanie.

- Wszystko jest tymczasowe - szepnęła.

- Nie wszystko.

Później, gdy leżeli w łóżku, powiedział:

- Muszę to rozwiązać, rozumiesz? Teraz nie ma tu dla mnie pracy. Cierpimy. I to nas rani.

Miał rację. Cierpieli. Otwarta rana, którą czuła w środku, dawała się jej teraz we znaki także i za dnia, stale czuła, jakby spadała, nawet kiedy chodziła, zwłaszcza kiedy chodziła, zawsze czuła, że leci w dół.

- Musimy jakoś przetrwać trudne miesiące. - Kai uspokajał ją głosem, długimi palcami, którymi delikatnie ją pieścił. - Uda nam się. Jesteśmy silni, a tak postępują silni ludzie, kiedy muszą. Przegrupujemy się tylko. - Pochylił się i pocałował ją. - Pamiętasz, jak się zastanawialiśmy, co zrobimy, gdy skończą się pieniądze? Teraz już wiemy.

- Chyba nie chodziło nam o pieniądze - szepnęła prosto w jego grdykę, beztroski oddech. - Raczej o szczęście.

- Mam nadzieję, że jeszcze trochę go mamy, maleńka.

Larissa poczuła się jak zamknięta, zabita deskami, potępiona, jak dziewczyna z Chico bez motocykla. Lecz Kai kochał się z nią tej nocy tak, jakby była komitetem powitalnym w pensjonacie. Wszyscy są zaproszeni, drzwi stoją otworem, a pokoje są za darmo.

2

Dziecko bez matki

I tak kilka dni później Larissa siedziała sama w autobusie do Sydney, a potem w samolocie do Manili.

Nie martw się, Larisso, uspokajał ją niedomyty i niechlujny Billy-O, dobrze zaopiekując się Kaiem. Świetnie. Bo *to* sprawiło, że odprężyła się wewnątrz. Zabrała ze sobą walizkę, w której zmieściło się wszystko, co posiadała. Niezwykłe, jak mało rzeczy zgromadziła w bungalowie, z którego uciekli.

Nie zapłacili Mejdzie. Kiedy Larissa przed wyjazdem zapytała Biancę, dlaczego rozmawiała z Mejidą o jej przeszłości, Bianca była przerażona i zdumiona.

- Nigdy nie rozmawiałam z nią o tobie - powiedziała. - Nigdy. - Zawiesiła głos. - Ale mąż Mejidy, Umar, powiedział Bartowi, że jakiś czas temu ktoś tu węszył i szukał ciebie, zadając mnóstwo pytań. Jakiś wielki facet. Amerykanin.

Krew ścięła się w żyłach Larissy. Częściowo dlatego tak szybko zdecydowała się wyjechać, dlatego tak słabo protestowała przeciwko związkom Kaia z Billym-O. Byli winni ponad tysiąc dolarów kobiecie, która wiedziała coś o Larissie. Jakiś Amerykanin przyjechał tu węszyć.

Nawet w tym pozornie prostym życiu działo się coś, nad czym nie panowała. Coś było nie tak w błękitnym wszechświecie, na zamrożonych polanach.

W Manili było gorąco i wilgotno. Jak kraj leżący tylko kilkaset mil na północ od miejsca jej zamieszkania mógł mieć tak zupełnie inny klimat? To nie ta sama półkula, wyjaśnił taksówkarz w Manili. Tam jest zima. Tutaj lato.

- A le dlaczego przyjechała tu pani w lipcu? To zdecydowanie najgorszy miesiąc.

- Naprawdę? - Rozsiadła się wygodnie w zniszczonej taksówce. - Myśli pan, że może być coś gorszego od zimy w lipcu? - Spojrzała przez okno na tłumy kłębiące się w upale w porannej godzinie szczytu. - Dla mnie może być.

- Naprawdę? To pora monsunowa. Codziennie mamy tajfun. A w Paranaque, gdzie się pani wybiera, wszystko jest zalane. Prawdziwe bagno. Życzę powodzenia.

Spojrzała na ruch uliczny, palmy, matki spacerujące z wózkami, pędzących na rowerach posłańców, taksówki.

- Kiedy kończą się deszcze?

- Pod koniec października.

Świetnie. Już jej tu nie będzie. Miała bilet powrotny na dwudziestego października.

Z lotniska do domu Che było tylko kilka kilometrów, ale przejazd zajął im ponad godzinę; autostrada stała.

- Na pewno jest gdzieś powódź w Las Pinas - powiedział taksówkarz. - Zawsze się tak dzieje. Ten cały pas od Manili do San Pedro leży dwa cale nad poziomem morza. Wystarczy jeden spory przypływ i nas zalewa. Zatoki po obu stronach. Kiedy wlewa się woda, drogi stają się nieprzejezdne.

- Hmm - odparła z twarzą przyciśniętą do brudnej szyby. - To

chyba dobrze dla upraw. - W Jindabyne pomarańczowe gaje wysychały podczas letnich upałów.

- Dla upraw może i tak - zgodził się taksówkarz - ale nie dla ludzi. - Zagwizdał i uśmiechnął się do niej w lusterku. - Ale godzimy się z tym. Wszystko jest dobrze. *Bahala la*. Jest tak, jak powinno być.

Czyżby? Na pewno? Kiedy kierowca w końcu zjechał z parkingu, którym stała się autostrada, i Larissa zaczęła spoglądać na znaki, była skonsternowana z powodu nazw ulic. Turcja. Teksas. Libia. Syria. Hawaje. Ta szczególnie ukłuła ją w serce. A potem, gdy minęli pola uprawne i publiczny park - Życzliwość. Uprzejmość. Dobroć. Im biedniejsza okolica, tym szlachetniejsze nazwy ulic. Łagodność i Pokora biegły obok Potulności.

Che mieszkała w jednej z grupek chat wplecionych pomiędzy San Pablo i Pokorę. Larissa poprosiła kierowcę, żeby poczekał, ale on miał następny kurs i odjechał. Została z bagażem w samym środku dzielnicy nędzy. Nie była przyzwyczajona do takiej wilgotności powietrza, ubranie przyklejało się jej do ciała, rzęsy sklejały się za każdym razem, gdy mrugała powiekami, tusz się rozpuścił, choć wcale nie płakała; czuła, że kiedykolwiek raz mrugnie, może już nie otworzyć oczu. Ciągnąc za sobą walizkę, szła piaszczystą drogą. Czy istnieje szansa, że w mieszkaniu Che będzie klimatyzacja? Może uda im się wyskrobać trochę gotówki i kupić używany klimatyzator, bo Larissa nie mogła tak żyć przez trzy miesiące. Po prostu nie mogła. Che pisała, że mieszka pod numerem trzydziestym siódmym, licząc od strony San Pablo, lub dwunastym, licząc od strony Pokory. Ale musisz dokładnie liczyć, Larisso, dodawała żartem. Domy nie są ponumerowane i łatwo wziąć dwa małe za jeden większy.

Larissa liczyła. Dla pewności wróciła na San Pablo i zaczęła od początku. Czy Che naprawdę mieszkała w chatce ze słomy i bambusa, połatanej kawałkami sklejk i kartonu, w domu dla lalek bez okien, tylko z otworami wychodzącymi na czyjeś miasto? Nie miała kogo zapytać i stała na środku drogi z walizką, torebką, czarną podręczną torbą, tą samą, w której niosła swoje dawne życie i dawną siebie. Był ranek. Dziesiąta? Może Che śpi. Albo jest w pracy. Czy naprawdę tutaj mieszka?

Z jednej z chat wyszedł mężczyzna w piżamie. Wyglądał, jakby dopiero co się obudził. Z uśmiechem zapytał Larissę, obcą osobę, czy ma ochotę wejść do środka.

- N i e , dziękuję - odparła. - Szukam mojej przyjaciółki, Che... Claire Cherengue. Jest tutaj?

- Bardzo mi przykro. Nie mieszka tu nikt o takim nazwisku.

- Na pewno?

- Na pewno? Proszę spojrzeć na mój dom. Myśli pani, że nie wiedziałbym, gdyby mieszkała tu kobieta o imieniu Che?

- Jak długo pan tu mieszka?

- Trzy lata. Przed moją rodziną mieszkała tu samotnie stara kobieta, ale umarła. Tak dostaliśmy ten dom. Ale nie było tu nikogo młodego. Może ma pani zły adres. - Oboje spojrzeli na drobne litery w notesie z adresami. Ale nie. Wszystkie się zgadzało. To był dom numer dwanaście, licząc od Pokory. - Nie mieszka tutaj. Przykro mi. Na pewno nie chce pani wejść? - zapytał z żalem, zanim zamknął kartonowe drzwi.

Larissa stała osłupiała na środku ulicy. I co teraz pocznie? Za chatami rozciągały się zalane wodą pola, a przy Dobroci rozłożono poranny targ. Czy tam Che sprzedawała owoce dla ojca Emilia? Cały kurz na drodze zamienił się w błoto, z którego unosiła się para, bo robiło się coraz bardziej gorąco. Kai dał jej dwieście dolarów uzyskanych z zastawienia terenówki i wydała już dwadzieścia; czy sto osiemdziesiąt wystarczy, by przeżyć trzy miesiące nawet w Paranaque? Gdzie była Che? Nie tutaj, przynajmniej przez ostatnie trzy lata. Larissa jeszcze raz spojrzała na dom. Jak jej przyjaciółka mogła tu mieszkać? Nigdy go tak nie opisywała w swoich listach. Pisała o Lorenzu, o ich uroczym prostym życiu, o kościele, księdzu, o pragnieniu zostania matką, sprzedawaniu owoców, demonstracjach na zamówienie. Nigdy nie pisała do niej o *tym*. Kiedyś, dawno temu, kiedy były dorastającymi panienkami w małym miasteczku i siedziały na huśtawkach w szortach, z włosami spiętymi w końskie ogony, czy nie miały takich samych marzeń?

Chcę mieć małą dziewczynkę, powiedziała wesoło Che, żebym mogła ją dręczyć jak mama dręczy mnie.

Aja chce podróżować po świecie, powiedziała Larissa. Uśmiechnęła się szeroko. Na białym koniu. Siedziały na huśtawce na zakurzonym placu zabaw w Piermont. Rok szkolny się skończył. Spędzały popołudnie, grając w klasy. O czwartej przyjechał samochód z lodami i zrzuciły się na wiśniową bombę z bananami. Huśtały się potem, liżąc loda na zmianę.

Che opowiedziała swój ulubiony dowcip. Dwie muffinki siedzą w piekarniku. Jedna mówi do drugiej: „Och, nie! Chyba zaraz nas upieką”. Na co odzywa się druga: „Och, nie! Gadająca muffinka!”.

Nie, nawet wtedy nie miały takich samych marzeń.

* * *

Kocie łby raniły Larissę w stopy, a od mocnego słońca bolały ją oczy. Kuśtykała przez Pokorę, Dobroć i Łagodność, kręte i wąskie, spowite smrodem gnijących owoców, niemytych ciał i wodorostów, zamarynowane w duszącej wilgoci, pośród rozkładu, okien powyrwanych z ram, wyszczerbionych futryn. Jednak nad wszystkim wznosiły się palmy, pod którymi rozkwitały czerwone kwiaty. Oddalała się od miejsca, które miała odnaleźć, ciągnąc ciężką walizkę, niosąc na bolącym ramieniu podręczną torbę; czuła się, jakby tonęła, powietrze było aż gęste od wilgoci, prawie nie mogła oddychać. Był słoneczny poranek gorący jak sauna, dookoła ćwierkały ptaki. Paranaque, przystań rolników i rybaków, leżało blisko morza, wciśnięte między Manilę i Laguna Bay i pachniało solą i rybami. Na targu na bezładnie ustawionych stołach leżały klapki, plecione koszyki, worki ryżu, banany, mango i żółte gruszki. Kupiłaby gruszkę od patrzącej na nią błagalnie kobiety w jasnoczerwonej szacie, z małym dzieckiem na kolanach, ale poczuła nagły ucisk w żołądku. Odwróciwszy wzrok od matki z dzieckiem, z trudem ciągnęła walizkę po wyboistej drodze.

Dokąd zmierza? Jaki ma plan? Czy powinna znaleźć jakiś pensjonat do jutra, a potem wrócić do Australii i dostać się do Pooncarie, do Kaia? Jakoś będą musieli wszystko ułożyć. Na miłość boską, przecież nie mogła zostać w Manili całkiem sama! Jednak wymiana biletu będzie

kosztowała mnóstwo pieniędzy, których nie miała. Może Kai je przyśle. Co teraz zrobi? Będzie musiała zadzwonić do niego, powiedzieć, że dotarła na miejsce, ale Che nigdzie nie...

Jak w transie usłyszała chropawy głos. Podniosła wzrok, zamruwała powiekami i zauważyła wysokiego, szpakowatego mężczyznę w czarnej sutannie. Miał stanowczą, pomarszczoną twarz i stał ze złożonymi dłońmi.

- *Wszyscy, co drogą zdaqżacie* - mówił z brytyjskim akcentem - *przyjrzyjcie się, patrzcie.*

Na dźwięk tych słów Larissa się zatrzymała.

- *Czy jest boleść podobna* - ciągnął mężczyzna, rozkładając ręce i przyzywając ją do siebie - *do tej, co mnie przytłacza.*

Stał na schodach małego białego kościoła z cegły suszonej na słońcu, wciśniętego między zielony ogród i trzy drewniane domy. Otaczała go aura spokoju, miał przenikliwe ciemne oczy, które wydawały się jeszcze bardziej uderzające w zestawieniu ze szpakowatymi włosami, i zdawał się żonglować zbyt wieloma myślami naraz. Jego umysł wydawał się zaprzątnięty sprawami ducha.

- Przepraszam, jaki to kościół? - zapytała Larissa.

- San Augustin w Paranaque.

San Augustin. To było jak cud!

Larissa przeszła kilka kroków w jego stronę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Jest tylko jeden kościół San Augustin?

- W Paranaque tak.

- Czy zna pan przypadkiem ojca Emilia?

- Ja jestem ojciec Emilio - odparł ubrany w czerń mężczyzna.

- Nie mogę w to uwierzyć! Dzięki Bogu! - Przyłożyła dłoń do serca i rozpłakała się. Ojciec Emilio podszedł i lekko poklepał ją po plecach. Wyrzeczony twarzą zmienił się, jakby odłożył kilka kul do żonglowania i skupił wyłączenie na Larissie.

- Ma pani rację. Powinniśmy dziękować Bogu za wszystkie łaski, duże i małe. Chce pani wejść do środka?

- Gdzie? Ojciec... - Wytarła twarz. - Nazywam się Larissa Connelly. Szukam mojej przyjaciółki Che. Kiedyś...

- Znam Che bardzo dobrze - odparł ojciec Emilio, przyglądając się jej uważnie.

- Czy kiedykolwiek o mnie wspominała?

- Mówiła o pani, Larisso. Czuję, jakbym panią dobrze znał. - Nie spuszczał z niej badawczego wzroku. - Ale myślałem, że nazywa się pani Stark?

Speszyła się. Podobnie jak podczas rozmowy z Mejidą poczuła się zażenowana, że ludzie oddaleni od niej o tysiące mil - dosłownie i metaforycznie - coś o niej wiedzą.

- Kiedyś, jestem pewna, mieszkała niedaleko San Pablo - podjęła urywanym głosem - ale...

- Nie mieszka tu już od dawna. Wyjechała jakieś pięć lat temu.

- Dokąd? Pisała do mnie, że... - urwała. Nie chciała powiedzieć, że nie pamięta.

- Jej chłopak jest w więzieniu i czeka na proces o morderstwo?

- Mniej więcej.

- Wpłacili kaucję. I uciekli. Zabrali wszystko i zniknęli na Mindanao.

- I nie wróciła?

Pokręcił głową.

- Wstąpili tam do Brygady Pokoju.

- Brygady Pokoju? Pisała, że zamieszkają z jakimś plemieniem w górach.

- Z żołnierzami Brygady Pokoju - powiedział ojciec Emilio. - Obiło mi się o uszy, że podczas jednej z potyczek z policją i Islamskim Frontem Wyzwolenia Moro Lorenzo został zabity, a Che aresztowana. A może to Che została zabita, a on aresztowany. Uprzedzam, to tylko pogłoski. Nikt nie był niczego pewny, a trudno śledzić losy ludzi, zwłaszcza na wyspach. Pomoc naszych parafii jest ograniczona. Czasami kontakty się zrywają. Ale rok później usłyszałem, że jeśli nie została zabita, być może trafiła do więzienia za pomaganie zabójcy policjanta i zbiegowi z więzienia.

- Więzienia! Ojciec Emilio... - Znów przyłożyła dłoń do serca. - Co ojciec mi mówi?

- Tylko prawdę, Larisso. Chce pani wejść?

- Chyba nie. Ale...

Dokąd miała pójść? Gdyby nie spotkała tego mężczyzny na stopniach kościoła, dokąd by się skierowała?

- Mam sporo problemów - powiedziała. - Chyba wpadłam w poważne tarapaty.

Otworzył boczne drzwi kościoła i czekał, by przeszła obok niego.

* * *

Zaprowadził ją do refektarza, dużego wygodnego pokoju z wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę. Larissa wciągnęła za sobą walizkę, rzuciła torbę i torebkę i z wielką ulgą usiadła w starym skórzanym fotelu. Ojciec Emilio usiadł na czerwonym, obitym skórą krześle naprzeciwko. Okna były otwarte, wiatrak mieszał wilgotne powietrze, ale i tak było lepiej niż na zewnątrz. W refektarzu unosił się delikatny zapach kadzidła i środka przeciwko komarom.

Siedziała tak przez wiele minut. Nie chciała rozmawiać, chciała się tylko wziąć w garść i być może poprosić go o pomoc. Ale w czym? Czy chciała, żeby dał jej pieniądze? Nie mogła na niego spojrzeć, na jego milczenie, spokojne brązowe oczy.

- Czy to prawda - zaczęła w końcu - że był ojciec chirurgiem urologiem?

- Dawno - odparł. - Ale to prawda.

- Został ojciec lekarzem tutaj?

- Nie, w Londynie. Przyjechałem tutaj po otrzymaniu grantu ze Szpitala Matki Boskiej Królowej Pokoju.

- Żeby przeszczepiać nerki?

- Zgadza się.

- Więc jak trafił ojciec stamtąd... - machnęła ręką w powietrze - ...tutaj?

Skinął głową i uśmiechnął się lekko.

- Teraz rozumiem. To dobre pytanie. Doszedłem do wniosku, że tutaj bardziej się przydam.

- Tak ojciec myśli? - zapytała sceptycznie. - Bardziej niż pomagając ludziom dostawać nowe nerki? - Przekrzywiła głowę. - Moja przyjaciółka była chora na nerki. Stale chodziła do kościoła, ale tak naprawdę potrzebowała przeszczepu.

- Moim zdaniem to fałszywy wybór - odparł ojciec Emilio. - Przecież można mieć jedno i drugie.

Czy powiedział „fałszywy wybór”? Jej stary przyjaciel Ezra często to powtarzał. Larissa przyjrzała się księdzu uważnie.

- Ojciec nie miał - zauważyła.

- Prawda. Ale teraz nie ograniczają mnie ani skalpel, ani umiejętności. Zarzucam sieć trochę szerzej. Jak już wspomniałem, w pożyteczniejszy sposób.

- Chyba tak. - Wzruszyła ramionami. - Biedna Che. Więc ojciec nie wie, co się z nią stało?

- N i e .

- Z tego, co pamiętam, miała urodzić dziecko.

- T a k .

Nie powiedział nic więcej, czekając, co powie ona. Ona czekała, co powie on, i też nic nie mówiła. Było coś niebywale kojącego w jego opanowanym, pozbawionym krytycyzmu milczeniu. I w tej ciszy Larissa zaczęła mówić, zupełnie jakby myślała na głos.

- Nie jestem pewna, ale chyba paskudnie schrzaniłam sobie życie - powiedziała, bo miał dobre oczy. - Nie uwierzy ojciec, co zrobiłam.

- Rozumiem. Spaprałaś sobie życie.

- Nie rozumie ojciec.

- To mi powiedz.

- To jest tak okropne, że nie mogę powiedzieć nawet ojcu. Byłam niegodziwa.

- W porządku. Byłaś niegodziwa.

- Niczego nie mogę zmienić. Ani naprawić. Co gorsza, boję się, że popełniłam fatalny błąd w ocenie sytuacji. Chyba podporządkowałam rozsądek...

Miłości? Pożądaniu cielesnemu? Czy jest jakaś różnica? Według niej - tak. Jej życie z Kaiem było cielesne, lecz sterylne.

- W porządku - powiedział. - To bardzo możliwe.
- Wie ojciec coś o mnie?
- Trochę, Larisso Stark, z domu Connelly. Ale powiedz mi to, czego nie wiem.

Opowiedziała mu urywanymi zdaniami. Siedział i słuchał.

- Nigdy tego nie wynagrodzę moim dzieciom - dokończyła. - I mężowi.

- A chcesz?

- Nie wiem. Proszę na mnie spojrzeć. Nie wiem, co robić. Przyjechałam do Manili, bo mieszka tutaj jedyna przyjaciółka, jaka mi została. Mam przy sobie niecałe dwieście dolarów, mój... chłopak przez trzy miesiące będzie spał u kogoś na kanapie. Nie mam pracy, pieniędzy... - Płakała, chowając twarz w dłoniach. Miała opuchnięte oczy, a ból jej łez niósł się echem przez puste sale. - Nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia, jak cokolwiek zacząć. Nie wiem, jak żyć.

Patrzył na nią spokojnie.

- Zostań z nami na jakiś czas - powiedział w końcu. - Zobaczysz, czy dasz radę to poukładać.

Przestała płakać.

- Zostać z wami? Co ojciec mówi?

- Możesz zostać jako gość w klasztorze.

- Myślałam, że to kościół, nie klasztor.

- Zanim podejmiesz decyzję, mogę cię oprowadzić po naszych włościach - powiedział sucho. - Mamy kościół dla parafian z Moonwalk, dzielnicy Paranaque. Ale mamy też niewielki żeński klasztor augustianek, to dwadzieścia dwie siostry i związany z nim sierotniew z sześćdziesięcioma łózkami. W tej chwili są pełne. No cóż... - Ojciec Emilio odchrząknął. - Pięćdziesiąt dziewięć jest pełnych. Mieliśmy półtorarocznego, głęboko upośledzonego chłopca, którego po urodzeniu porzucono na naszym progu. Zmarł trzy dni temu. Dziś go pochowamy. - Zawiesił głos. - Więc pięćdziesiąt dziewięć łózek jest zajętych.

- Tego ojciec ode mnie chce? Żeby zamieszkała z zakonnkami? Czy z sierotami?

- Wybór należy do ciebie - odparł. - Ale jak myślisz, kto zajmuje się sierotami?

- Czyli tak czy tak będę przebywać z dziećmi?

- Jak długo albo jak krótko zechcesz.

- Mówi mi ojciec, żebym tu została... - Urwała. - Ale boję się, że tracę Kaia, moje życie. On jest teraz całym moim życiem, nie rozumie ojciec?

- Siedzisz przede mną, prawda? - powiedział.

- A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- To też jest twoje życie.

- Nie. - Pokręciła głową. - To tylko przerwa w moim życiu.

- Wydaje ci się, że to przerwa? Nie masz pieniędzy, twoja najlepsza przyjaciółka siedzi w więzieniu albo nie żyje, a młody człowiek, dla którego porzuciłaś męża i dzieci, odesłał cię do innego kraju.

- N i e odesłał mnie! - wykrzyknęła przerażona. - On... my... Nie mieliśmy pieniędzy, on musi pracować. Nie, nie, nie. Myli się ojciec. Całkowicie. Zrobiliśmy to, żeby się ratować.

- Tak - powiedział, nie spuszczać z niej spokojnego wzroku. - Czasami aby ratować siebie, musimy robić najbardziej oburzające rzeczy.

- Proszę posłuchać - powiedziała szybko. Czy teraz może go jakoś poprosić o pieniądze, żeby mogła wrócić wcześniej do Australii? Chole-
ra! - N i e jestem w stanie pomagać przy dzieciach. Szczerze. Ja... chcia-
łabym zostać na kilka dni, żeby, no wie ojciec, ale... Jestem naprawdę
w kiepskim stanie. Nie tego się spodziewałam. - Przyjechała odwiedzić
Che! Co to wszystko jest, u licha?

Ojciec Emilio siedział bez ruchu ze złożonymi dłońmi i przyglądał się jej chłodno. Po kilku minutach spojrzała na niego badawczo, jakby chciała zapytać o powód przedłużającego się milczenia. Rozłożył dłoń.

- To jest dom Boży - powiedział. - Drzwi są zawsze otwarte. Można wejść bądź wyjść. - Pokazał dłonią drzwi. - Są otwarte. - Wstał z krzesła i wyciągnął do niej rękę. - Miło było cię poznać, Larisso. Jeśli Che kiedyś tu wróci, na pewno jej powiem, że przyjechałaś ją odwie-

dzić. A teraz wybacz mi, proszę. Muszę odprawić południową mszę, a potem przygotować się do pogrzebu.

- Nie, ojciec Emilio - powiedziała, wstając szybko. - Nie chodziło mi o to, że chcę odejść. Chciałabym zostać. Mówiłam tylko, że nie jestem przyzwyczajona do... I jestem tym wszystkim tak podenerwowana, na dodatek nie ma Che... Nie tak to planowałam. To wszystko.

- W porządku. Nie tak to planowałam. Prawdopodobnie życie nie wygląda w tej chwili dla ciebie zbyt pięknie. Ale chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Poszła za nim, choć była pewna, że nie chce tego oglądać.

- Ojciec, nie chcę oglądać martwego dziecka - szepnęła.

- Nie martw się. - Ścisnął ją za rękę. - Jego nie możesz już uratować. Ale chciałabym pokazać ci żywe.

Przeszli długim korytarzem prowadzącym z refektarza na tył kościoła, otworzyli przeszkłone drzwi i wyszli na niemal pusty ogrodzony dziedziniec z paprociami w donicach, zalany nieco przygaszonym słońcem. Przez zwieńczone łukiem przejście w murze Larissa dostrzegła zielony trawnik i drzewa, lecz ojciec Emilio wskazał na drewnianą ławkę w rogu, na której siedziała blada dziewczynka. Bawiła się konikami zrobionymi z patyków. Była drobna, z krótkimi, prostymi czarnymi włosami i głęboko osadzonymi oczami. Miała na sobie beżową sukienkę, za duży fartuszek i była bosa. Spojrzała na dwójkę dorosłych, jej oczy uśmiechnęły się do ojca Emilia, a potem nieufnie spoczęły na Larissie. Larissa zachnęła się i przyłożyła dłoń do serca.

- To jest Nalini - powiedział ojciec Emilio. - Córnka Che. Jest z nami od urodzenia. Che zostawiła ją u nas, kiedy razem z Lorenzem uciekła na Mindanao. Powiedziała, że po nią wróci. - Spuścił głowę. - Ale to było pięć lat temu.

- Nie martw się, papo Emilio - zawołała Nalini czystym wysokim głosem. - Mama wróci.

Larissa uklękła przed nią na kamiennym dziedzińcu. Mała wyglądała jak jej przyjaciółka, miała tylko oczy Lorenza. Larissa wzięła kilka głębokich oddechów, zanim zaufała swojemu głosowi. Chciała, by zabrzmiał wesoło.

- Cześć, Nalini. - Ledwo słyszalnie. Niedobrze. Musisz się bardziej postarać, Larisso. - Co robisz?

- Bawię się. - Dziewczynka spojrzała na ojca Emilia. - Już czas na lunch?

- Tak, dziecko - odparł. - Ale nie bądź nieuprzejma dla naszego gościa. To jest Larissa. Porozmawiaj z nią. Polubisz ją. Znała twoją mamę.

Nalini zeskoczyła z ławki z konikami w dłoniach.

- Naprawdę? Znałaś moją mamę?

- Bardzo dobrze. Była moją najlepszą przyjaciółką, kiedy byliśmy w twoim wieku i mieszkaliśmy w Ameryce.

- Mama mieszkała w Ameryce? - Nalini szeroko otworzyła oczy. Podniosła wzrok na ojca Emilia. - Papo, gdzie jest Ameryka?

- Bardzo daleko. A teraz chodź. Pokażesz Larissie kuchnię, a potem musisz pójść do kaplicy z innymi. Larisso, na pewno jesteś głodna.

Wolnym krokiem wyszli z dziedzińca, lecz Nalini wyprzedziła ich, podskakując na kamiennej posadzce korytarza prowadzącego do jadalni z długimi stołami i kuchnią w słonecznym końcu.

- Co lubisz jeść, Nalini?

- Nalini, nie wybiegaj naprzód - zawołał ojciec Emilio. - Larissa jest trochę zmęczona, nie może biec tak szybko jak ty.

Dziewczynka wróciła w podskokach.

- Kocham nutellę... - Urwała i spojrzała zmieszana na księdza. - Lubię nutellę, bardzo, bardzo lubię. Ale już jej nie mamy. Wiesz, co to jest?

- Wiem. Twoja mama ją uwielbiała. Przysyłałam jej nutellę.

Ojciec Emilio uśmiechnął się i skinął głową.

- Od czas do czasu Che dawała słoik czy dwa zakonnicom. Traktowały je jak relikwie. Jadły jeden przez cały rok.

Larissa żałowała, że nie może teraz kupić całego kartonu. W King's, dawno temu, ugięły się pod nią półki.

Kuchnia była wspaniała i prawie pusta; tylko dwie zakonnice przygotowywały coś o kwaśnym zapachu w wielkim garze na piecu w rogu. W kwadratowym jasnym pomieszczeniu znajdowały się trzy wysokie do sufitu okna, które wychodziły na południowy zachód, na zielone

tereny na tyłach kościoła. Larissa chciała spać w tej kuchni, budzić się rankiem na długim drewnianym stole przed zalanymi słońcem oknami.

- W Ameryce mają nutellę?

- O, tak - odparła. - Pływają w nutelli.

Chichocząc i powtarzając „Pływają w nutelli”, Nalini poszukała spojrzeniem aprobaty ojca Emilia, a potem wzięła Larissę za rękę i pociągnęła ją w stronę wielkiej lodówki ze stali.

- Czasami dostajemy na lunch pokrojone mango - powiedziała, wyjmując z lodówki dwa duże owoce. - Na małe kawałeczki, bo jest tu dużo dzieci.

- Pokroję je za ciebie. Pozwól - powiedziała Larissa, wyjmując jej owoce z rąk.

- Najpierw musisz zdezynfekować skórkę octem, Larisso - wyjaśniła Nalini. - Zanim zaczniesz obierać.

Skonfundowana Larissa pokręciła głową i ostrożnie odłożyła mango.

- To miło, że jest dużo dzieci - powiedziała. - I hałaśliwie. - Odwróciła się do ojca Emilia. - Znajdzie się dla mnie miejsce, ojcze? Sześćdziesięcioro dzieci, dwadzieścia zakonnice...

- Zawsze jest miejsce. Po mszy i lunchu Nalini zaprowadzi cię do twojej kwatery na drugim piętrze.

- Chodź, Larisso - powiedziała dziewczynka, ciągnąc ją za rękę. - Najpierw pokażę ci kaplicę. Musimy się pospieszyć, bo się spóźnimy. - Skinęła głową. - Dzieci są miłe. Ale strasznie hałasują. Małe to nawet w czasie mszy. - Uśmiechnęła się do Larissy. - Ty też jesteś mamą?

Odwracając się do ojca Emilia, Larissa odetchnęła głęboko, przez Australię, Amerykę, Mikronezję, Atlantyk i Pacyfik, Jindabyne i Madison, a teraz Moonwalk w Paranaque.

- Kiedyś byłam - powiedziała nieswoim, a jednak bardzo swoim głosem. - Ale już nie jestem.

3

Sztuka

Narzucona rutyna, choć czasem dusiła, była też kojąca. Co rano Larissa po prostu wstawała i robiła, co jej kazano. Codzienne rytuały zakonnice i sierot pocieszały ją, bo zdejmowały z jej barków konieczność podejmowania decyzji. Wstawała o szóstej, na wpół śpiąca siedziała na jutrzni. Gdyby tylko Maggie mogła ją zobaczyć! Pomagała siostrom Marii i Mirandzie; gotowała owsiankę lub robiła ciasteczka z brązowego ryżu dla dzieci, potem myła podłogi w kuchni i sypialni, szorowała je na kolanach i przypominała sobie inne odległe podłogi, trampki, gumowe piłki, ołówki i papierki po gumie do żucia, puste kubki, gazety, uchwyty do napojów, słomki i obrazki nagryzmołone na serwetce przez złotowłosego artystę. Jeden z nich przedstawiał kobietę trzymającą za rękę dziecko i dwie strzałki. Jedna: „Ja”. Druga: „Mama”.

Od pierwszej chwili Nalini bardzo jej pomagała. „Nie, Larisso - mówiła - dajesz za dużo cukru do ciasteczek ryżowych. Wiórków kokosowych nie wsypuje się do środka, lecz posypuje się nimi ciasteczka, kiedy wystygną”.

„Nie, Larisso, nie możesz zamrozić wody, najpierw musisz ją przygotować. Zamrożenie nie wyrzuci z niej zarazków”.

„Nie, w San Augustin nie jemy surowych ryb. Musimy je ugotować albo marynować w occie przez dwa dni. Pokażę ci, gdzie jest ocet. Możesz zrobić *sinigang* na lunch, jeśli chcesz. Kwaśną zupę z warzywami”.

„Dlaczego nie żegnasz się w czasie mszy, Larisso? Nie potrafisz?”.

Larissa też mogła co nieco pokazać Nalini, kiedy nie marynowała ryby w litrach octu.

- Potrafisz grać w klasy? - zapytała ją pewnego popołudnia, kiedy spacerowały po dziedzińcu. Nalini nigdy nie przepadała za obowiązkową drzemką po lunchu.

- Nie - odparła dziewczynka, podskakując. - Ale można w to *grać*, więc już mi się podoba.

- Bardzo dobrze. Trzeba tylko narysować linie. Gdzie jest moja kreda? - Wyjęła kredę z kieszeni dżinsów i narysowała sześć kwadratów, by wyjaśnić małej zasady gry. Znalazły kamyk, rzuciły go na kwadrat z numerem dwa i Larissa zaczęła przeskakiwać przez resztę kwadratów. Początkowo Nalini wskakiwała na wszystkie, ale bardzo szybko się nauczyła, więc Larissa musiała narysować kolejne dwa i jeszcze dwa. Grały przez całe popołudnie, dopóki nie spadła ulewa i nie zmyła linii. Następnego ranka, tuż pojutrzni, Nalini zapytała:

- Możemy pograć w klasy?

- Tak, ale najpierw musisz mi pokazać, jak zrobić *halo-halo*. - *Halo-halo* była filipińską sałatką owocową. - Nie dodaje się do niej warzyw, prawda?

- Nie mamy już chleba *pandesal*, Larisso - powiedziała Nalini. - Zjedliśmy cały. Najpierw musimy go upiec. Potem pogramy w klasy.

Ojciec Emilio zawsze przychodził rano do kuchni, żeby przywitać się z Larissą i wypić filiżankę kawy w jej towarzystwie, a po południowej mszy jadł lunch z nią i dziećmi w jadalni sierocińca. Podczas sjeisty odrywał się na kilka minut od pracy, by pospacerować z Larissą i Nalini. Czasami siadywał na ławce i patrzył, jak grają w klasy.

Gdyby tylko mogła, Larissa mieszkałaby w kuchni. Pokój, który jej przydzielono, był urządzony po spartańsku. Jediną lekturą była Biblia, a Larissa nie zabrała ze sobą żadnych książek. Spędzała więc całe dnie w ogromnej kuchni, marynując kurczaka na potrawkę, krojąc *pandesal* na pudding chlebowy, stale gotując i studząc wodę. Zaproponowała, że będzie chodzić na targ rano, kiedy dzieci mają lekcje, by kupować świeże owoce guawy, mango i banany od miejscowego handlarza. Dzięki temu czuła się bliżej Che, wspominając związki przyjaciółki z targiem. Żałowała, że nie może kupić Nalini sukienki w kwiatki. Smutno było jej oglądać małą stale w tej samej beżowej sukience.

Dwa dni po przybyciu Larissa zapytała ojca Emilia, czy może skorzystać z telefonu. Jedinny aparat znajdował się w refektarzu. Kiedy ksiądz stał za otwartymi drzwiami, by dać jej złudzenie prywatności,

Larissa wykręciła numer Billy'ego-O, który dal jej Kai. Telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie podnosił słuchawki. Która tam jest godzina? Dwie i pół godziny później? A może wcześniej? Był albo wczesny ranek, albo środek dnia. Pewnie pracowali. Spróbowała jeszcze raz. Poprosiła o papeterię i napisała do Kaia list. Potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Ojciec Emilio dał jej znaczki, przyszedł listonosz i zabrał pocztę. Po tygodniu zaczęła pytać listonosza, czy coś do niej nie przyszło na adres kościoła. Nie mogła skontaktować się z nikim w domu Billy'ego-O. Oczywiście Billy nie miał automatycznej sekretarki, jakby żył w średniowieczu. Co wieczór, ponieważ po komplecie nie było nic do roboty, Larissa pisała do Kaia długie listy o ich wspólnych latach, o zniknięciu Che, o tym, że chce wrócić wcześniej, co on na to? Może u Billy'ego-O jest więcej miejsca, niż początkowo sądził?

Niebawem jej listy przybrały błagalny ton. Kai, nie mam od ciebie żadnych wiadomości. I nie mogę się do ciebie dodzwonić. Proszę, napisz. Co rano czekała na listonosza przy wąskich bocznych drzwiach prowadzących na ulicę. Jest coś dzisiaj, Macario? Dziś nie, pani Larisso. Co to za dziecko? To Nalini, córka Che. Nalini stała razem z nią z konikami z patyków w dłoni, także czekając na list. Jest coś dzisiaj? Nie, pani Larisso. A dla mnie? - pytała pogodnie Nalini. Na co czekasz? - pytał listonosz. Na list od mojej mamy, odpowiadała. Dzisiaj nic nie ma, panienko Nalini. Uśmiechała się jak duża dziewczynka, a następnego dnia znów stała przy drzwiach, czekając na listonosza.

Che zaginęła, Lorenzo nie żył. Kai nie odbierał telefonu, nie odpowiadał na jej coraz bardziej rozpaczliwe listy. Została tylko dziewczynka. Chodziła za Larissą jak piesek. Myła z nią podłogi, przygotowywała lunch, podążała za nią jak cień, prawie nic nie mówiąc. Żegnała się i pokazywała Larissie, jak to się robi. To łatwe, mówiła, trzeba zrobić znak krzyża, o tak. Zanim wypita łyk czegokolwiek, zaglądała do kubka, jakby szukała tam odpowiedzi. Stała na schodach kościoła przed Larissą i teraz ona pierwsza pytała: Jest coś dzisiaj, Macario?

- Jest bardzo do ciebie przywiązana, Larisso - powiedział ojciec Emilio, trzymając Nalini za rękę, gdy wychodzili z kaplicy.

- Jest taka słodka - odparła Larissa, gładząc małą po czarnych wło-

sach. - Dokąd ją ojciec zabiera popołudniami? Zauważyłam, że znikacie na parę godzin?

- Chodzimy po okolicy - wyjaśnił ksiądz. - Kilka osób chciałoby przychodzić do kościoła, ale nie może, bo są zbyt stare lub chore, więc odwiedzamy je z Nalini. Codziennie zaglądamy do innego domu. Na zmianę. Zgadza się, Nalini?

- Tak, papo. Lubię tę piękną ślepą panią.

Uśmiechnął się.

- Dimagiba skończyła niedawno dziewięćdziesiąt siedem lat, jest przykuta do łóżka i nie widzi z powodu katarakty, ale za każdym razem, gdy przychodzi Nalini, jakoś ją widzi. - Zmierzwiał włosy dziewczynki. - Lubisz ją, bo daje ci czekoladę. - Mówił dalej do Larissy: - Odwiedzamy ich, przez kilka minut czytamy im Pismo Święte. Udzielam im komunii. Nalini mi pomaga. To moja mała pomocnica.

- Trzymam dla ojca Biblię - powiedziała, zmuszając patyczkowe koniki do galopu. - Niedługo będę mogła z papą czytać.

- Znasz już sporo fragmentów na pamięć.

- Tak! „Czy nieważne u ciebie Boże pociechy i łagodne z tobą rozmowy?”.

- Cytuje Księgę Hioba - wyjaśnił ojciec Emilio, z zadowoleniem kładąc dłoń na ramieniu dziewczynki.

To prawda. Larissa zauważyła, że mała potrafi powtórzyć wiele bardzo długich fragmentów codziennych nabożeństw. Nic dziwnego, skoro słyszy je pięć razy dziennie. Podczas prób do *Burzy* Larissa też prawie nauczyła się całej sztuki na pamięć.

- Dlaczego ją ojciec zabiera? - zapytała, krzywiąc się lekko. - Takie małe dziecko ogląda tyle nieprzyjemnych rzeczy, choroby... i bez tego jest jej trudno, nie sądzi ojciec?

Ojciec Emilio lekko potrząsnął dziewczynką za ramię.

- Jak odpowiadamy na takie pytanie, Nalini? Mówimy oczywiście, że nie jest to tak piękne jak ogród pełen kwiatów lub park z ptakami, ale...

- Może nie jest takie piękne - podjęła dziewczynka - ale jest bardziej święte.

Ojciec Emilio powiedział Larissie, że dzieci nigdy nie występowały na scenie.

- Zostaniesz do Bożego Narodzenia? Może coś przygotujemy? Che wspominała, że kochasz teatr. Może jakąś małą sztukę?

- *Wieczór Trzech Króli?*

Ojciec Emilio przyglądał się jej z łagodnym zaciekawieniem.

- Może *Burzę!* „Teraz zniknęły wszystkie czary moje, teraz o własnych tylko siłach stoję. Siły to słabe”*.

Larissa zastanowiła się, czy ocenia, jak dobre są jej nerki, rozważa, czy powinien ją poprosić, by oddała jedną albo trzy. Może stare nawyki pozostały. „Dziś od was zależy, czy nawa moja z wiatrami pobieży, czyli tu jeńcem samotnym zostanę”. Miała za dużo wolnego czasu, mimo licznych obowiązków. Cisza, liryczny śpiew zakonnic, powtarzanie psalmów, gotowanie wody, dezynfekowanie wszystkich świeżych owoców, przenikliwy zapach octu zmieszanego z zapachem liści tamaryndowca, kwiatów i ciężki słodki zapach brązowego cukru, szorowanie garnków po zupie, unoszący się w powietrzu zapach kadzidła, samotne godziny spędzane nie na modlitwie, lecz na wspomnieniach, gdy szukała w siatkach na oknach w sierocińcu dziur, przez które mogły się przedostać paskudne komary, i układała w głowie listy do Kaia.

- No cóż - zaczął po chwili zastanowienia ojciec Emilio. - *Burza* jest niezła. Ale myślałem raczej o jasełkach.

- O czym? „Ale od długiej i smutnej niewoli niechaj mnie pomoc rąk waszych wyzwoli”.

- Może mogłabyś je dla nas napisać i zaczęlibyśmy próby, by wszystko było gotowe do świąt?

- Nie zostanę do Bożego Narodzenia, ojciec - przypomniała mu szybko. - Wracam w październiku. I chyba nie wiem, co to takiego jasełka. - Wzruszyła ramionami. - Nigdy ich nie robiłam.

* Wszystkie cytaty z *Burzy* Williama Szekspira w tłumaczeniu Leona Ulricha.

- Dzieci nie wystawiają jasełek w Ameryce? - zapytał. - O ile pamiętam, były bardzo popularne w szkołach w Essex.

- Chodzi ojcowi o sztuki o narodzinach Jezusa?

- Tak. O narodzinach Jezusa.

„Przeciw wam w pomoc nie przyjdą mi duchy, na moje czary każdy z was jest głuchy”.

- Wie ojciec, że nie bardzo się na tym znam. Kiedy byłam mała, matka nigdy nie zabierała mnie na jasełka. Wierzyła, że sama do tego dojdę, podejmę decyzję, ale dopiero kiedy będę starsza. Nie mam więc żadnych wspomnień z tym związanych.

- I doszłaś do tego, kiedy byłaś starsza? - zapytał.

- Nie.

Jej dzieci też nie. Przekazała swoim dzieciom pustkę. „I rozpacz tylko czeka mnie wszędzie, jeśli modlitwa w pomoc nie przybędzie: Modlitwa bramy litości otwiera i błędów dawnych pamiętki zaciera”. Szeptła słowa Szekspira z przyzwyczajenia, nie z potrzeby.

Larissa chciała bronić matki tamtego deszczowego popołudnia w swoim ulubionym miejscu - kuchni z oknami wychodzącymi na trawnik. Nauczyła mnie mnóstwa innych rzeczy. Być grzeczną - dla obcych i rodziny. Nie być zbyt wylewną. Mam też bardzo dobre maniere. Dzięki matce nauczyłam się zachowywać spokój w sytuacjach kryzysowych, także i tej. Nie jestem histeryczką jak Che. Potrafię sobie poradzić ze wszystkim: obtartymi kolanami, złamanymi kośćmi, użądleniami pszczoł, ugryzieniami psa.

Najwyraźniej jest jednak coś, czego mi nie dała. Ale moja matka zawsze była bardzo liberalna i była z tego dumna! Jej motto brzmiało: „Żyj i pozwól żyć innym”. Wszyscy przyjaciele zazdrościli mi tej swobody, książek, które wolno mi było czytać, braku zakazów, dostępu do treści przeznaczonych tylko dla dorosłych. Znajdź swoją własną drogę. Ucz się. Graj na instrumencie albo nie. Czytaj albo nie. Wierz albo nie. Niczemu się nie sprzeciwiała.

Ale była jedna rzecz. Na samym końcu, kiedy ojciec odchodził, pierwszy raz ujrzałam rysę na zbroi matki. Usłyszałam, jak krzyczy na

niego na górze, a nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby krzyczała; ten gardłowy dźwięk działał mi na nerwy. Słyszałam to tylko przez chwilę, zanim zasłoniłam uszy poduszką. „Całe życie żyłam tylko dla ciebie!”. I parę innych rzeczy. Trwało to długo. Było nie do zniesienia. Zupełnie jakby ojciec zaatakował ją łomem.

Gorycz, która wypłynęła ze strasznego końca ich trzydziestosiedmioletniego związku, nigdy nie zniknęła. To jeden z powodów, dla których nie mogłam odwiedzać matki zbyt często, bo patrząc na nią, czułam ból. Tato niedługo potem umarł i nigdy nie otrzymałyśmy odpowiedzi na pytanie, które jak retoryczny cyjanek pozostawało w sercu mojej matki i moim: czego tak bardzo mu brakowało, że nie potrafił dostrzec wagi, na której wszystkich nas przeważała urocza nieznajoma dwadzieścia lat młodsza od niego?

Pomyślałam, że ten niechlujny chłopak z Maui, który wyciągnął do mnie rękę, oślepił mnie. A jeśli, jak mój ojciec, zawsze byłam ślepa, tylko o tym nie wiedziałam?

Larissa zamrugała powiekami, ocknęła się i uśmiechnęła blado do ojca Emilia.

- No, proszę - powiedział wesoło. - Zajmujesz się teatrem, zrobimy Jezusa. Przebrnijmy przez jasełka razem. Zupełnie jakby ślepy prowadził ślepego.

- Dobrze. - Larissa odwróciła wzrok, próbując oderwać się od wspomnień. - Czy Szekspir napisał jasełka?

Książ się roześmiał.

- Ty mi powiedz, Larisso. To ty jesteś ekspertem.

- Mogę skorzystać z telefonu, ojcze? Spróbuję raz jeszcze dodzwonić się dziś do Kaia.

Rano, wieczorem - dlaczego nigdy nie podnosił słuchawki? Choć musiała przyznać najego obronę, że refektarz zamykano po komplecie o wpół do dziewiątej. W Pooncarie była wtedy jedenasta, więc pewnie siedzieli w barze. Telefon dzwonił i dzwonił.

* * *

Nalini chciała być jednym z Trzech Króli.

- A l e nie jesteś chłopcem.

- Mogę być, kim zechcę. Dlaczego nie mogę być królem? Chcę przynieść mirrę.

- Może zanim ją przyniesiesz, pójdziemy na targ i kupimy materiał na kostiumy? Potrzebujemy peleryn dla pastuszków, szat dla Trzech Króli i sukni dla Marii. Przyda się też ozdobny sznur na paski i jedwabne bądź aksamitowe wstążki do włosów. Musimy też kupić gruby papier i farby, bo trzeba zrobić korony.

- Dla Jezusa? - pisnęła Nalini, podskakując z radości.

- Dla Trzech Króli. Jezus nie jest królem.

- Oczywiście, że jest - zaprotestowała dziewczynka. - Jest królem królów.

- Chodziło mi o to - poprawiła się Larissa - że jest tylko dzieckiem w żłóbku.

- Tak! Powinniśmy mu zrobić aureolę. Marii też. I Józefowi.

- Józef ma mieć aureolę? - Larissa nie wiedziała, czy sobie z tym wszystkim poradzi.

Nalini się roześmiała.

- A l e jesteś zabawna. Żartujesz, prawda?

- Jasne. Jeśli kupimy złotą folię, zrobimy aureole.

Wycięły z kartonu owce i kozy. Dzieci pomalowały je na wszystkie kolory tęczy. Ulepiły anioła z białej gliny. Ojciec Emilio zasugerował, żeby zbudowały jaskinię. Zdobyły drewno i gwoździe i razem zbijały deski. Zerwały trochę trawy, a kiedy wyschła, miały siano. Kupiły świąteczne lampki i zawiesiły je wokół drewnianej jaskini. Rozświetliły ją jak choinkę. Próby zaplanowane na popołudnia odbywały się również rano i wieczorem. Wszystkie dzieci, które umiały chodzić i mówić, chciały wziąć udział w jasełkach, cała trzydziestka. Larissa spełniła ich marzenie. Narrator, Józef, Maria, król Herod, Trzej Królowie, trzech pastuszków i dwadzieścia aniołów ubranych w białe prześcieradła ze srebrnymi aureolami nad głową. Jezusa grał Benji, trzymiesięczne niemowlę, które urodziło się z rozszczepionym podniebieniem i bez kończyn; leżał w żłóbku podczas prób.

Larissa stała przy drzwiach do wspólnego pokoju i obserwowała dzieci. Tak łatwo je uczyć, a jednak nauka przychodziła im z trudem. Najpierw musiała im pokazać, jak stać się kimś innym.

Może gdyby ona stała się kimś innym, pozostałaby bardziej sobą. Może gdyby odgrywała na scenie inne życie, mogłaby wracać do domu i żyć w domu z wysokimi dębami, pięknym widokiem i zimnymi oknami. Może mogłaby dotykać twarzy, które kochała, gdyby w ciągu dnia mogła wchodzić na drewnianą scenę i w ciemnym teatrze podnosić wzrok na jaskółkę, tak jak w blasku dnia podnosiła go Nalini na ojca Emilia, gdy uczyła się trudnych słów i starała się zapamiętać, kiedy przychodzi jej kolej.

Z tej Nalini to niezły numer. Chce wypowiadać tekst wszystkich, nie tylko swój. Chce żyć życiem wielu osób, nie tylko swoim, nie tylko swoją rolą Trzeciego Króla. „A ode mnie wonna mirra dla Ciebie zebrana, boś z wielkiego nieba zstąpił, aby cierpieć za nas”*.

Malutka uwielbia to śpiewać na cały głos, ale zaraz potem podnosi ręce i z błyskiem w czarnych oczach szepce razem z narratorem: „Chwała na wysokościach!”.

Nalini, uciszona, kiwa na Larissę stojącą po drugiej stronie sali, a siostra Martina, znakomicie radząca sobie przy pianinie, gra *Trzej Królowie monarchowie*. Nalini nie może się powstrzymać i zaczyna skakać.

- Jak mi idzie, Larisso? Jak mi idzie?

Choć niejest prorokiem, mówi razem z prorokami, a Larissa, mimo że przewraca oczami, czuje dumę i wzruszenie wywołane przez to bezbronne dziecko. Chce jej obiecać, przysiąc, że nigdy jej nie opuści, że już nigdy nie stanie się osobą, która zerwie tak mocną więź.

Ale Larissa nie jest tym kimś, za kim tęskni Nalini. Wszystkie przysięgi na świecie nie sprowadzą tu Che, by opiekowała się tym kochanym dzieckiem stojącym w starej sali z suszonej na słońcu cegły, które oznajmia razem z prorokami: „Odkupieni więc przez Pana powrócą, osiągną radość i szczęście; ustąpi smutek i wzdychanie. O, wszyscy

* Tekst jasełek Elżbieta Engler.

spragnieni, przyjdźcie do wody, choć nie macie pieniędzy. Kupujcie i spożywajcie!". Jak mi idzie, Larisso?

4

Szczęście

- Obserwuję cię - powiedział do niej ojciec Emilio we wrześniu. - Jesteś z nami ponad dwa miesiące i nadal nie rozumiem ani nie wiem, jak mogę ci pomóc.

- Co ojciec ma na myśli? Czuję się świetnie.

Larissa była w kuchni. Właśnie skończyła zagniatą ciasto na *pan-desal* i zrobiła sobie przerwę na herbatę. Na Filipinach herbata była bardzo dobra. Wcześniej za nią nie przepadała, ale tutaj parzyli ją z bardzo aromatycznych liści. Ulung z Chin? Zielona? Była kojąca i pyszna.

- Wcale nie czujesz się świetnie. Jesteś ponura. Spójrz tylko na siebie.

Kto nie byłby ponury? W ciągu tych dwóch miesięcy dostała jeden list od Kaia. Jeden! Nauczyła się go na pamięć. Nie było to trudne, bo był bardzo krótki. Piętnaście linijek. Włączając w to „Kochana Larisso”.

Kochana Larisso!

Ja też za Tobą tęsknię. Nigdy nie byłem dobry w pisaniu listów i przepraszam, ale stale myślę o Tobie i o naszych cudownych chwilach. Razem z Billym-O pracujemy od świtu do nocy. Stajnie prezentują się całkiem nieźle. Są prawie gotowe. Bardzo by Ci się spodobały; konie też są w dobrej formie. Billy-O jest niesamowitym kowbojem i świetnym facetem. Mamy wielkie plany. Opowiem Ci o nich, kiedy się zobaczymy. Kiedy to będzie? Nie dość szybko. Kiedy wracasz? Chciałbym, żebyś kiedyś do mnie zadzwoniła. Uwielbiam Twoje listy, zupełnie jakbyś była obok mnie. Choć nie całkiem :-). Proszę, pisz dalej. Nie mogę się już

ich doczekać. Z Twoich opisów wynika, że Nalini to świetny dzieciak. Twoja przyjaciółka Che byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że się nią tak dobrze opiekujesz. Muszę już kończyć, ale niedługo znów napiszę. Myślę o Tobie codziennie.

Całuję mocno

Kai

- N i c nie może ojciec zrobić - powiedziała Larissa. - Nie może ojciec tego naprawić. Niczego nie może.

Całuję mocno, Kai? Tylko tyle dostała? Napisała do niego trzydzieści, może nawet czterdzieści listów i taką otrzymała odpowiedź? Siedziała, wyglądając przez okno. Lało jak z cebra, strugi wody zmywały klasy, kredowe zarysy chwilowej radości. Nawet na trawie tworzyły się kałuże. Kiedy dzieci obudzą się z popołudniowej drzemki, największą radością będzie bieganie boso w tych płytkich stawach pełnych lilii.

- Larisso, rozejrzyj się - powiedział ksiądz. - Sześćdziesięcioro dzieci w naszym Sierocińcu Chrystusa Odkupiciela wychowuje się bez rodziców. Niektóre z nich są kalekami, niektóre niewidome, część nie potrafi chodzić, mają problemy z sercem, rozszczepione podniebienia. W zeszłym tygodniu jedna dziewczynka zachorowała na gorączkę bagienną i umarła. Wiem, że już wcześniej chorowała i była bardzo mała, ale mimo wszystko. Jednak jakoś sobie radzą. Także Nalini. Skaczą na skakance, grają w karty, wymyślają gry w kamyki, bawią się w chowanego. Twoje próby odmieniły je zupełnie. W łózkach, rano, na podwórku nie mówią o niczym innym. Codziennie odnajdują radość pomimo nieszczęścia, w jakim przyszło im żyć. Dlaczego siedzisz tutaj i płaczesz nad swoimi smutkami? Nawet kiedy pieczesz chleb, gotujesz pudding ryżowy, kroisz owoce na *halo-halo*, szyjesz kostiumy dla Marii i Trzech Króli, widzę, że w twoim życiu nie ma radości. Dlaczego?

- Nie wiem, jak one to robią - odparła Larissa. - Zupełnie ich nie rozumiem.

- Powinnaś postarać się poczuć święty podziw dla wszystkich zadziwiających rzeczy, których nie rozumiesz. Życie to wielka tajemnica,

dlatego stale modlimy się o pomoc i pociechę. - Skinął głową z powagą. - Lepiej nie traktuj ich z pogardą, którą wyczuwam w twoim głosie.

- Nie ma mowy o pogardzie, ojcze. Ale to są dzieci! Raczej nie będę brała z nich przykładu. Nie muszą żyć z tym co ja. Żyją bez bólu, żalu, bez niczego.

- Czyżby? - powiedział cicho ojciec Emilio. Złożył dłonie jak do modlitwy.

- Chodzi mi o to, że nie budzą się codziennie z przekonaniem, że zrobiłyby wszystko, by jeszcze raz przeżyć swoje życie.

Ojciec Emilio przyglądał się jej uważnie.

- Pewnie nie, choć mogę cię zapewnić, że budzące w środku nocy trudne do wyobrażenia koszmary. Ale z tobą tak właśnie jest? - zapytał. - Budzisz się rano i powtarzasz sobie, że zrobiłabyś wszystko, żeby jeszcze raz przeżyć życie?

- Tak - odparła szczerze.

Chciała tylko tego. Wstawać każdego ranka z radością, jeszcze raz zobaczyć, że w życiu można znaleźć szczęście, i biec w stronę swojego dnia, w stronę tej pełnej szczęścia godziny przy Albright Circle. Jednej godziny dziennie, by mogła poczuć się młoda, mogła znaleźć miłość. Ojciec Emilio chciał, żeby ją znalazła? Przecież tak było. A teraz? Wystarczy spojrzeć.

- Larisso, proszę. Nie możesz się tak zadrezczać, dusić się poczuciem winy i rozpaczą. Naucz się żyć z wyborami, których dokonałaś. Chciałabyś, żeby siostra Margarita nauczyła cię robić *macapuno*? - To gęsty słodki deser z kokosa.

- Nie dzisiaj. Proszę spojrzeć, co się ze mną dzieje - powiedziała. - Miłość znika. A jednak to jedyna rzecz, jaka mi została.

Wstał.

- Muszę wracać do moich obowiązków - powiedział zimno. - Larisso, miłość nie znika. Jest wszędzie, gdzie spojrzysz, w każdym miejscu na Ziemi. Nie możesz od niej uciec. I wszędzie tam, gdzie jest miłość, jest Bóg. Nie ma Go tylko tam, gdzie nie ma miłości. Otwórz oczy i spójrz na coś innego, nie tylko na siebie. A jeśli tego nie potrafisz,

zajrzyj do swojego serca. Kiedy byłeś najszczęśliwsza? Kiedy czułeś się najbardziej spełniona? Do jakiego miejsca wracasz wspomnieniami? Idź tam i sprawdź, czy znajdziesz sposób, by o sobie zadbać.

* * *

Po college'u i zanim związała się z Jaredem, który wyjechał szukać siebie w Himalajach, Larissa spędziła lato jako członek zespołu Grand Swamp Revue, wędrowniej trupy improwizujących aktorów, która jeździła autokarem od miasta do miasta w stanach New Jersey i Nowy Jork i występowała w teatrach od Woodstock na północy po Allentown na zachodzie. Ron Palais, ich kierownik trasy, zarezerwował im trzynaście występów w sobotnie wieczory i siedem niedzielnych popołudniówek. Trupa liczyła osiem osób. Jedną z nich była Evelyn. Inną Ezra.

Było to najszczęśliwsze lato jej życia.

Zatrzymywali się w tanich motelach i spali w autobusie w drodze na następne przedstawienie, rzadko brali prysznic, stale coś czytali, gadali i palili papierosa za papierosem, recytowali tragedie i komedie do pulsującego rytmu muzyki The Clash i The Ramones. Nie szukali spokoju, czuli, widzieli i słyszeli wszystko, jakby byli permanentnie pod działaniem ecstazy. Po każdym przedstawieniu szli pić, dalej odbywali próby, wykorzystywali nawzajem swoje pomysły, śpiewali. *Wspierałeś mnie? Wcale nie.* Tańczyli i łączyli się w dziwne pary. Larissa przestała się malować i nosić stanik. Evelyn grała na scenie Hioba - wygłaszała długi monolog. Rzuciła Larissę na kolana, ale kierownik zabronił jej więcej to grać.

- Ludzie tego nie kupią, Ev - powiedział rozczarowanej i pełnej niedowierzania dziewczynie. - Tego całego cierpienia. Nikt nie chce cierpieć.

Ezra oświadczył, że w pełni się z nim zgadza: cierpienie jest dla durniów.

- Cierpienie dla samego cierpienia nie ma sensu. To tylko głupie użalanie się nad sobą. - Wypowiadając te zdania, wypalił trzy papierosy. - Wiecie, dlaczego cierpimy? Żeby mogły się w nas objawić wyroki

Boga. To cały Hiob. Ev, potrafisz to przekazać w pięciominutowym monologu rodzinom w niedzielne popołudnie po kościele?

Ezra dokuczał jej, ale Evelyn się nie poddawała; upierała się przy swoim pomimo poleceń Rona, pomimo opinii Ezry, który też trochę się w niej podkochiwał. Zresztą kto by się nie podkochiwał? Larissa też była trochę zakochana w Evelyn i kiedy byli z Ezrą w łóżku, wilgotniały im oczy na wspomnienie jej uroczych ust, z których padały słowa: „Nie znam spokoju ni ciszy, nim spocznę, już wrzawa przychodzi”.

Podczas tamtego lata, kiedy Larissa nosiła włosy obcięte na chłopa i nie robiła makijażu, radość towarzyszyła jej każdego dnia i wiedziała o tym. Było jej ciasno, ale nie dbała o to, nie miała wygód, pieniędzy i wcale jej to nie przeszkadzało. Żyła, nie rozumiejąc, dlaczego żyje, i jeszcze mniej rozumiejąc, dlaczego w końcu będzie musiała umrzeć. Co wieczór wychodziła na scenę i próbowała naśladować niezrównaną Evelyn, recytując fragmenty *Romea i Julii* i monolog Prospera. „Sen i my z jednych złożeni pierwiastków”.

Nawet wtedy wiedziała, że to wszystko jest ulotne, ale wierzyła głęboko, że znów się pojawi, w innej formie, że znów będzie szczęśliwa, tak mocno poczuje, że żyje, jak w tamtym zatłoczonym autokarze, z całym dobytkiem w torbie pod nogami, skacowana, wędrująca od miasta do miasta, śpiewająca karaoke w zadymionych barach. *Wspierałeś mnie? Wcale nie.*

I pojawiło się znów niemal wszystko z wyjątkiem szczęścia.

* * *

- Nie wiem, co ojciec o mnie myśli. Na pewno mnie ojciec osądza. Jakże mogłoby być inaczej?

Po południu, po lunchu, a przed nieszporami, kiedy dzieci miały krótką drzemkę, razem z ojcem Emiliem i towarzyszącą im jak cień Nalini wybrali się na krótki spacer po klasztornych ogrodach, zanim znów spadł deszcz.

- Mam dla ciebie wyłącznie głębokie współczucie - odparł. - A ty osądzasz samą siebie?

- O dziwo dopiero odkąd się tu znalazłam.
- Wydaje ci się to dziwne? - Wzruszył ramionami.
- Trochę. W końcu to miejsce w niczym nie przypomina czegokolwiek, co znałam. Nie mam pojęcia, co porusza moje sumienie. Nic tutaj nie jest znajome, nic nie ożywia zmysłów ani nie przywołuje wspomnień.

- N i c ?

Zaśmiała się.

- Nie. I muszę przyznać, że nie jestem wielbicielką octu i marynowanej ryby. Choć lubię kokosy.

- A chrupiąca wieprzowina polana gęstym sosem z wątróbki nie porusza twojego sumienia? - Ojciec Emilio uśmiechnął się lekko.

- Nie. - Przygryzła wargę. - Wie ojciec... naprawdę nie chciałam, żeby to się wydarzyło. Ta sprawa z Kaiem.

- N i e ?

- Moje kieszenie nie były puste i nie tańcował w nich diabeł. Miałam dobre życie.

- Che bardzo ci zazdrościła, a przynajmniej tak mi mówiła. Powtarzałam jej, że walka też ma swoje dobre strony.

Larissa pokręciła głową.

- Poznałam jedno i drugie. Proszę mi uwierzyć, wygodne życie jest lepsze.

- Che też tak mówiła, a nie zaznała tego drugiego.

- Mimo to miała rację.

- Czyżby? Twoje życie było łatwe i puste, i twoja dusza zaczęła szukać wyjścia. Pytanie, które musisz sobie zadać, brzmi: Dlaczego? Larisso, wszystkie pokoje w twoim domu były pełne miłości. Dlaczego ci to nie wystarczało?

Zmarszczyła brwi. Nie podobało się jej to sformułowanie, to założenie, ukryta konkluzja.

- To nieprawda - powiedziała. - Wystarczało. To nie ma nic z tym wspólnego.

- Nie? To co ma?

- Mówiłam ojcu, nie byłam dość czujna.

- To prawda, czujność jest nieodłączną częścią cnoty.

- Tu nie chodzi o cnotę. - Larissa zmarszczyła brwi. - Tylko o to, co w głębi serca uważa się za słuszne. Ale na początku nie pilnowałam się dość mocno. Powinnam być bardziej ostrożna. Nie powinnam była ani przez moment udawać przed samą sobą, że to nic takiego. Teraz jest za późno, ale tak właśnie to się stało.

Ojciec Emilio pokiwał głową.

- Tak zawsze się dzieje. Powtarzałem Che, żeby była ostrożna z Lorenzem, żeby się strzegła jego destrukcyjnych pasji. Ona chciała tylko nie walczyć. Powiedziałem jej, że kiedy walczy, pozostaje w konflikcie, ulega panice, zawsze może zwrócić się do Boga, pomodlić, błagać Go o pomoc, a niewiele rzeczy sprawia naszymu Panu większą przyjemność niż ukojenie dusz, które się do niego zwracają.

- Hmm.

- Czy czujesz, że jesteś bliżej Boga, kiedy sprawy nie układają się najlepiej? - zapytał ostrożnie.

- Hmm - zastanowiła się. - Nieszczególnie. Chyba czuję się bardziej zła. Kiedy nic w życiu się nie układa, nie mogę uwierzyć, że to przydarza się właśnie mnie. Jakby było dowodem na przypadkową niesprawiedliwą naturę wszystkiego.

Ojciec Emilio patrzył z powagą przed siebie i lekko pokręcił głową.

- Nie sądzę, żeby Bóg miał dla mnie czas, ojcie - powiedziała Larissa.

- Nigdy czy teraz?

- Zwłaszcza teraz. Ale chyba próbuję powiedzieć, że nigdy.

- Myślisz, że On nie ma dla ciebie czasu? - zapytał ojciec Emilio. - A może to ty nie masz czasu dla Niego?

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Ma ojciec rację. To chyba wzajemne.

Pokręcił głową.

- Nie. - Larissa machnęła ręką. - On nie ma współczucia dla takich jak ja. Nie kiedy porówna się nas z Benjim i Bayani.

Bayani zaraziła się gorączką krwotoczną i trzeba ją było poddać kwarantannie. Benji był zdeformowanym niemowlęciem, które grało Dzieciątko Jezus; brakowało mu między innymi części szczęki pozwa-

lającej pić mleko z butelki. Trzeba je było wlewać po kropli do otwartej jamy, którą tworzyły jego usta.

- Masz rację, Benji i Bayani cieszą się szczególną łaską Boga. Ale pozwól, że zapytam: czytałaś Biblię? Czy otwierasz ją po wieczornej modlitwie?

Nie chciała przyznać, że nie, że zamiast tego gorączkowo pisze i pisze swój własny testament do wędrowca na ducati, poskramiacza koni, budowniczego stajen, złodzieja serc.

- Nie sądzę - powiedział ojciec Emilio. - Bo gdybyś to robiła, w historiach opisanych w Biblii, w Starym i w Nowym Testamencie zauważyłabyś jedną uderzającą rzecz: *nikt*, obojętne jak mało ważny, jak grzeszny, nie jest pozbawiony wiecznego i osobistego współczucia Boga. Ani kobieta przy studni, ani ślepy trędowaty, ani celnik, faryzeusz, Nikodem czy Hiob, Jozue czy Jonasz, ani dziewczynka, która umarła. Nikt nie został pozbawiony Bożej łaski. Gdybyś czytała Biblię, rzuciłoby ci się to od razu w oczy. Jak głęboko miłosierny jest Bóg dla wszystkich dusz. Obdarza łaską, zgoda, Benjiego i Bayani, ale także Nalini i ciebie, Larisso. Każda radość czy smutek, które cię dotykają, dotykają także Boga.

Spacerowali powoli dookoła ogrodu. Larissa nie chciała, by spadł deszcz. Lubiła rozmawiać z księdzem. Trzymała za rękę Nalini.

- W normalnym dniu pełnym nieważnych chwil - powiedziała, jakby cytowała swój własny Stary Testament - jedna nic niewarta doprowadziła do innej i nagle siedział w moim samochodzie, i nagle znalazł się w moim sercu.

- I nic niewarte stało się wszystkim.

- Tak. Ale on mnie kochał, ojczy! I ja go kochałam. Wiedziałam, że kiedyś kochałam mojego męża...

- Tylko swojego męża?

- Nie, ma ojciec rację. - Puściła rękę Nalini i splótła palce na brzuchu. - A l e nagle całe moje ja należało do innej osoby.

- N i e , Larisso. Wtedy, tak jak i teraz, całe twoje ja należy tylko do ciebie.

Nie rozumiała, co ma na myśli. Ale był księdzem. Nie wiedział, co to znaczy kochać. Nie chciała jednak powiedzieć tego na głos. Na po-

czątku łączył nas z Kaiem zapierający dech w piersiach ogień. Płonęliśmy i z nim byłam osiemnastolatką, jaką nigdy nie byłam. Był radością ponad wszystkie radości.

- Pytanie brzmi - zaczął ojciec Emilio - co pozostaje po takim niefortunnym początku?

Czy to ironia? Niefortunny? Złowieszczy? Czasami nie wiedziała, co oznacza to słowo.

- Zostaje miłość - odparła. - Ta miłość, o której ojciec stale mówi. Dlatego wiem, że to było prawdziwe.

- Czy on nadal cię kocha?

- Mam nadzieję. - Larissa spuściła głowę, podenerwowana i poruszona brakiem listów, niemożnością porozmawiania z Kaiem przez telefon. - Jesteśmy sobie bardzo oddani. Żyjemy jednym życiem.

- Zauważyłaś, jak często ludzie składają obietnice, których nie są w stanie dotrzymać? Czy mogę ci zadać hipotetyczne pytanie? Gdybyś wiedziała wtedy, że nigdy nie zobaczysz już swoich dzieci - nigdy! - czy mimo wszystko byś to zrobiła?

Nie patrzyła na niego. Nie skinęła nawet głową ani nie wzruszyła ramionami. Na szczęście zaczęło padać i weszli do środka.

Ajeśli odpowiedź brzmiała: „Tak”?

* * *

Larissa zbliżała się do kolejnej zimy, odliczała dni do dwudziestego października, do innych spadających liści, innych żonkili w innych opuszczonych miastach na innym kontynencie. A może do lata, zielonych drzew, kwitnących kwiatów, blasku towarzyszącego nowemu życiu?

Śniła, że je straciła; stale otwierała i zamykała szafki, otwierała i zamykała szuflady, wchodziła do domów obcych ludzi, wychodziła, szukała w samochodach, barach, lasach i krzakach. Wędrowała bezustannie, stale coś otwierając i zamykając. Czego szukasz? - zapytał ją raz ojciec Emilio. Moich dzieci, odparła. Gdzieś je położyłam i zapomniałam gdzie.

5

Jared Stark

- Co ona robi? - zapytała Larissa ojca Emilia pewnego popołudnia. - Dlaczego zawsze siedzi sama? Tutaj albo na schodach. Dlaczego nie bawi się z innymi dziećmi?

- Bawi się. Przez cały czas.

- Ale zawsze tutaj wraca.

- Wraca w chwilach samotności. Czeka.

- Samotności? Ma przecież pięć lat. Na co czeka?

- Wszyscy potrzebujemy usiąść i pomyśleć w ciszy. Ona siedzi i czeka na matkę.

- O mój Boże! - Larissa spojrzała na Nalini, która bawiła się na ławce konikami. - Naprawdę?

- Oczywiście. A co myślałaś?

Deszcz nie padał już codziennie. Nadal było gorąco i wilgotno, ale bez gwałtownych ulew.

- Nie wiem. Myślałam, że po prostu siedzi. - Zniżając głos niemal do szeptu, powiedziała: - Myśli ojciec, że to możliwe? Chodzi mi o to, czy nie lepiej by było, gdyby poznała prawdę?

- Próbowałem jej powiedzieć prawdę. - Ojciec Emilio uśmiechnął się ze smutkiem. - Ale Nalini widzi to inaczej. Mówi mi, że jej mama często przychodzi do niej we śnie i przysięga, że wróci, gdy tylko będzie mogła.

- Dlaczego pozwala jej ojciec wierzyć w te bzdury? To nie jest dobre. Powinien jej to ojciec wybić z głowy.

- Czemu? Nie mam pewności, że Che nie wróci.

- Skoro dotąd nie wróciła...

- Może siedzi w więzieniu.

- Napisałyby - powiedziała Larissa. - Che uwielbiała pisać listy. - W przeciwieństwie do kowboja z Pooncarie. - I wie ojciec, jak bardzo

pragnęła mieć dziecko. Gdyby była w więzieniu, gdyby żyła, na pewno napisałyby do swojej córki.

- Tak myślisz.

- A więc zgadza się ojciec ze mną. Proszę z nią porozmawiać. Niedobrze, że tak się zachowuje. To niezdrowe.

- Być może masz rację.

- Wiem, że mam rację.

- Jest jeden przykład, który skłania mnie, by wierzyć Nalini. - Postukał ją w ramię. - Ty.

- Ja? A co ja mam wspólnego z Nalini?

- Nie umarłaś - powiedział. - Nawet nie siedzisz w więzieniu. A jednak nie napisałaś do swoich dzieci.

Znów to uczucie, jakby spadała, jakby zaraz miał jej wylecieć żołądek.

- To co innego. Ja jestem inna. Nie wiem, co im powiedzieć... porównuje ojciec dwie zupełnie różne sytuacje... a nie można ich porównywać... Ja nawet nie wiem...

- Zgadzam się z tobą - przerwał jej. - Wolałbym, żeby Nalini miała kogoś, kto by się nią zajął. Ale nie mogę wystąpić o adopcję bez aktu zgonu matki, którego nie mam. A ona bardzo kogoś potrzebuje. - Oboje spojrzeli na dziewczynkę. - Jest taka bezbronna. Jak wszystkie dzieci - dodał.

- N a d a l nie rozumiem, skąd Che wzięła pieniądze na kaucję - powiedziała Larissa. - Zawsze była bez grosza. Trudno uwierzyć, by znalazł je Lorenzo. Sprzedał nerkę?

Ojciec Emilio nie odezwał się, ale przeniósł wzrok z Nalini na siedzącą obok niego Larisę.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, skąd Lorenzo wziął pieniądze?

- Oczywiście.

Wstał.

- Chodź ze mną. Nalini, zaraz wrócimy - zawołał do dziewczynki. - Zostań tutaj.

- Dobrze, papo. - Wstała z ławki i weszła za nimi do środka.

Westchnął.

- Posiedź jeszcze na zewnątrz. Muszę porozmawiać z Larissą na osobności.

- Dobrze, papo. - Usiadła na podłodze z dwoma brykającymi w dłoniach konikami z siodłami na grzbietach.

W refektarzu ojciec Emilio zamknął drzwi i odwrócił się do Larissy.

- To twój mąż przysłał Che pieniądze na kaucję dla Lorenza.

- C o ?

- Tak. Przysłał je na adres tego kościoła.

- To niemożliwe! - Podniosła rękę, by uspokoić walące serce. - Przecież nic nie wiedział o Che... Kiedy to zrobił?

- Pięć lat temu.

Zdumiona Larissa opadła na krzesło. To było złe i nie do pojęcia, to połączenie między tamtym światem a tym, jak nieudany seans spirytystyczny. Pomyślała, że jest duchem i nagle Jared dał o sobie znać w materialnej postaci, a z nim obecność tej drugiej rzeczy, która stale sprawiała, że Larissa spadała na oślep z nieba.

- Chcesz zobaczyć, co jeszcze przysłał?

- Ojcie! - wykrzyknęła, wyciągając rękę, by go powstrzymać. Była przerażona, że zaraz pokaże jej odciski pomalowanych dłoni i stóp dzieci z bezzadnymi słowami wypisanymi niewyrobinym charakterem pisma: *Mamusiu, gdzie jesteś? Tęsknimy za Tobą.* Były takie rzeczy, których Larissa nie mogła znieść. Ta była jedną z nich. - Proszę... ojcie... zlituj się nade mną... nie. - Mogła znieść wszystko, ale nie fizyczne o nich przypomnienie.

Z sejfu za swoim biurkiem ojciec Emilio wyjął dużą białą kopertę i podała ją Larissie.

- Nie będę oglądać zdjęć - powiedziała ochrypłym głosem.

- Nie martw się, nie ma tam żadnych fotografii. Zajrzyj do środka.

W kopercie znalazła studolarowe banknoty.

- Pieniądze?

- Cztery tysiące dolarów - powiedział ojciec Emilio - dla Che i dziecka, z twoim adresem i numerem telefonu w Summit. Che prosiła

o bilet lotniczy, by z tobą zamieszkać. Jared przysłał list wyjaśniający twoje milczenie i twoją nieobecność i przysłał pieniądze na bilety. - Wskazał na kopertę. - List jest w środku, jeśli chcesz go przeczytać.

- Nie jestem pewna - szepnęła bezgłośnie. - Nie jestem pewna, czy mogę. Na pewno nie mogę. I na pewno nie chcę.

Przez chwilę siedziała z nadzieją, że ukąsi ją komar i zapadnie na gorączkę krwotoczną; miażdżący kości ból, wysoka temperatura, wysypka, krwotoki, wszystko było lepsze od tego. Larissa rozłożyła kartkę papieru. Swoimi starannymi drukowanymi literami Jared napisał:

Che, Larissa zniknęła. Porzuciła nas bez pożegnania czy listu. Zostawiła mnie dla kogoś innego i, niestety, obawiam się, że na zawsze. Pieniądze, które Ci przesyłam, pochodzą ze sprzedaży jej samochodu, którego już nie potrzebuje. Jestem pewny, że chciałaby, żebyś to Ty je dostała. Proszę, nie sprzedawaj nerki, choć znam pewną cudowną kobietę, której bardzo by się przydała. Potrzebujesz obu nerek. Musisz teraz opiekować się dzieckiem. Kiedy tylko zechcesz, możesz do nas przyjechać i zostać. Zapraszam Cię z całego serca. Załączam gotówkę dla Ciebie i dziecka na dwa bilety pierwszej klasy.

Jared

PS. Jeśli przypadkiem ją zobaczysz, powiedz jej, że bez względu na wszystko, nadal jest i będzie matką moich dzieci.

Ze ściśniętym gardłem Larissa drżącymi palcami wsunęła list z powrotem do koperty. Miała rację. Wolałaby zachorować na gorączkę krwotoczną.

- Pieniądze nadal tu są - powiedziała tępo. Cztery tysiące dolarów gotówką!

- Oczywiście. Che nie wróciła.

Wyjrzała przez zasłonięte siatką okno na podwórze od frontu. Trzech małych chłopców grało w piłkę nożną. Późnym popołudniem na ulicy panował ruch - kobiety niosły zakupy, mężczyźni wracali z pracy, dzieci ze szkoły lub zajęć sportowych. Jednak tu w środku było jak w azylu.

Czterysta tysięcy ludzi w Paranaque, jednaście milionów w Manili, a jednak to wewnątrz przypominało klasztor na górze Athos w Grecji, cudowne w swojej izolacji.

- Nalini marzy o wyjeździe do Ameryki - powiedział ojciec Emilio. - Jest przekonana, że kiedy jej matka wróci, zamieszkają w miejscu, o którym opowiadają jej kochające zakonnice. Miejscu, w którym jest śnieg.

- Czy wie, co to takiego?

- N i e . Opowiadam jej, że jest zimny i biały, ale nie rozumie. Nie rozumie nawet, co to takiego zimno. Tutaj na równiku temperatura nie spada poniżej dwudziestu stopni.

Larissa trzymała mocno kopertę z pieniędzmi.

- A l e oboje wiemy, że Che nie wróci. Mogła zostać zwolniona z więzienia już dawno i umrzeć na Mindanao w drodze tutaj. Nigdy się nie dowiemy. - Urwała. - Proszę tak na mnie nie patrzeć, ojczu. Już o tym rozmawialiśmy. Che nie jest mną.

- Ty żyjesz. Zostałaś.

- T a k .

- Larisso - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Masz w kopercie pieniądze na dwa bilety do Stanów Zjednoczonych.

- T a k .

- Wróć do domu.

Zerwała się z krzesła.

Ojciec Emilio też i chwycił ją za ramiona.

- Wracaj do domu - powtórzył błagalnie. - I zabierz ze sobą Nalini.

- Proszę mnie puścić... proszę...

- T w ó j mąż nie jest nic winien Che ani jej córce, a jednak przysłał pieniądze, żeby im pomóc, zmienić ich życie. Takim jest człowiekiem. Nie był im nic winien, a jednak im pomógł. Nie sądzisz, że zrobi jeszcze więcej dla ciebie?

- N i e ! Zabije mnie.

Ojciec Emilio pokręcił głową.

- Człowiek, który przysyła na Filipiny pięćdziesiąt tysięcy dolarów

na kaucję, by pomóc aresztowanemu chłopakowi przyjaciółki swojej żony, nie jest człowiekiem, który zrobi coś takiego. Pomoże ci.

- Proszę - szepnęła. - Proszę mnie puścić...

Puścił jej rękę.

- Nie ma powrotu. Nie można przeżyć tego jeszcze raz. - Zakryła twarz dłońmi. - Kto by mnie teraz przyjął z powrotem?

- Twój mąż. Nalini cię uwielbia, Larisso. I rozpaczliwie cię potrzebuje. Nie powinna żyć w sierocińcu.

- Kochają ją tu.

- Wiesz, że potrzebuje prawdziwego domu.

- Ojciec... Che może wrócić lada chwila. A Nalini nie wyjedzie bez matki.

- Powtarzałaś wiele razy, że Che na pewno nie żyje. A Nalini wyjedzie z tobą bez zastanowienia. Do Ameryki? Do Nutelli? W jednej sekundzie.

Larissa gwałtownie pokręciła głową.

- Nie widzisz, jak bardzo pragnie być z tobą? - nie ustępował ojciec Emilio. - Chodzi za tobą jak cień, bo się boi, że ty też ją zostawisz.

- Proszę tak nie mówić.

- A jeśli Che wróci - ciągnął z pasją w głosie - zadbam o to, by dotarła do ciebie i Nalini, gdziekolwiek będziecie.

- Nie wystarczy pieniędzy.

- Masz moje słowo. Che dotrze do Ameryki. - Błagał ją spokojnym spojrzeniem, współczuciem, dobrocią.

- Jared nigdy mi nie wybaczy - powiedziała Larissa, odwracając wzrok.

- Wybaczy. Nie czytałaś jego listu?

- Ojciec, zrobiłam rzecz niewybaczalną...

- Nie ma takiej rzeczy.

- O czym ojciec mówi? Oczywiście, że jest.

- Nie ma - powtórzył stanowczo. - Myślisz, że jesteś ponad Boskim wybaczeniem? Tak myślał Judasz. Nikt nie jest ponad nim.

- Jestem ponad wybaczeniem Jareda.

Wzruszył ramionami.

- Nie twierdę, że twoje małżeństwo pozostało nietknięte. Nie twierdę nawet, że twój mąż mieszka tam gdzie dawniej. Nie chciałybyś chyba, żeby cię opłakiwał przez wszystkie te lata? Nie chciałybyś, żeby twoja rodzina cierpiała? Wolałybyś, żeby żyli dalej spokojnie, znaleźli pociechę?

- Oczywiście.

- W kontekście tego nowego życia człowiek, który przysłał pięćdziesiąt tysięcy dolarów obcej osobie, nie odwróci się od matki swoich dzieci. Małżonkowie są na zawsze związani Boskim prawem.

Larissa wypuściła powietrze.

- Jak można mi wybaczyć? - szepnęła.

- Musisz tego chcieć, musisz o to poprosić, najpierw trzeba odpokutować. Ale jak można ci nie wybaczyć? Jeśli Jared wybaczy tylko to, co można wybaczyć, cóż to będzie za wybaczenie? To nie będzie wybaczenie, lecz sprawiedliwość. A ty nie zostaniesz osądzona do końca swoich dni. Masz więc trochę czasu. Istotą wybaczenia jest to, że wybacza się niewybaczalne.

Larissa pokręciła głową; chciała podnieść ręce i zasłonić uszy w przerażeniu.

- Wiem, że jesteś zniechęcona. Widzę cię codziennie. Spędziłem z tobą sporo czasu i oglądałem twój smutek - powiedział, kładąc jej dłonie na ramionach. - Ale, Larisso, spójrz na siebie, spójrz na swoją odważną i silną duszę, na potrzebę odnowy! Nie jesteś potępiona, jesteś błogosławiona! Bóg wziął w posiadanie twoje serce i dał ci nowe. Otwórz oczy, a dostrzeżesz wszędzie łaskę, w sobie i dookoła. To pociecha, której szukasz. Przypomnij sobie, co powiedziała Nalini. „Czy nieważne u ciebie Boże pociechy i łagodne z tobą rozmowy?”. Jesteś dzieckiem Bożym. Masz duszę, świętą i nieśmiertelną, która jest twoją prawdziwą wartością. Będiesz żyła wiecznie.

- Przeraza mnie ojciec bardziej, niż zamierzał - powiedziała Larissa, przyciskając ręce do piersi. Krew napłynęła jej do twarzy, kolana zrobiły się miękkie.

- Jesteś najważniejszym brakującym kawałkiem w wirującym cen-

trum własnego życia, jesteś jego integralnym elementem! - wykrzyknął ojciec Emilio. - To nie przyjdzie do ciebie samo. Musisz wejść do swojego własnego zbawienia. Ale łaska zawsze spływa na dusze, które pragną wybawienia. Łaska czeka na ciebie. Wiem o tym. Musisz tylko powiedzieć „tak”.

- Czy mogę to przemyśleć? - szepnęła Larissa, z trudem poruszając wargami.

- Obiecujesz, że to zrobisz?

- Obiecuję.

- Posłuchaj - zaczął ojciec Emilio. - Wiem, że twój czas tutaj się kończy. Masz wyznaczoną datę wyjazdu. Twój mąż zaferował ci inne wyjście. Nie musisz wracać do Australii, gdzie sprawy mogły utknąć w martwym punkcie. Ale nawet jeśli nie skorzystasz z jego propozycji, masz jeszcze inne wyjście. Wszyscy cię tu kochają. Zakonnice, dzieci uwielbiają twój pudding chlebowy, twoje sztuki i grę w klasy. Stałaś się niezastąpioną częścią naszej małej społeczności. Masz uśmiech dla wszystkich - powiedziała - nawet gdy myjesz podłogę. - Spojrzył na nią ciepło. - Nie będę mówił, ile znaczysz dla Nalini. Bo wiesz. Nasze życie tutaj stało się lepsze dzięki twojej obecności. Podejrzewam, że tak samo było w Ameryce.

Spuściła głowę.

- Może. Dał mi ojciec wiele do przemyślenia. Obiecuję, że zastanowię się nad wszystkim. Wszystko poukładam.

- Mam nadzieję - odparł ojciec Emilio.

* * *

Minął tydzień.

- Ojciec - powiedziała Larissa, wchodząc do refektarza. Wykorzystywała całe swoje sceniczne doświadczenie, by uspokoić dłoń. - Zastanawiałam się bardzo głęboko nad wszystkim, co ojciec powiedział. Ma ojciec absolutną rację. Oczywiście zrobię, co ojciec sugeruje. Wrócę do New Jersey. To dobry pomysł. Wiem, że Nalini będzie szczęśliwa, mogąc tam ze mną pojechać, choć nie zostaniemy tam długo,

bo szczerze mówiąc, bardzo mi się tu w Moonwalk podoba, z ojcem, dziećmi i zakonnicami. Czuję się tu bardzo dobrze. Chciałabym więc ją ze sobą zabrać i zabiorę, jak ojciec proponuje.

Ojciec Emilio siedział bez słowa.

- Jest jednak jedno ale. - Odchrząknęła, uśmiechnęła się szeroko i utkwiała wzrok w jego nieruchomej twarzy. - Jutro Kai będzie na mnie czekał w Sydney. Ma mnie odebrać z lotniska. Wiem, że ostatnio nie układało się między nami najlepiej, pojawiło się napięcie, on nie pisał zbyt często i nie rozmawialiśmy ze sobą, ale tylko dlatego, że on ciężko pracował, by zarobić dla nas pieniądze, i przy różnicy czasu i mojej pracy trudno nam się było porozumieć. Ale szczerze mówiąc, nie czuję się dobrze z myślą, że miałyby stać na lotnisku po przejechaniu dwóch tysięcy kilometrów. Tak nie może być. Nie mogę naprawić jednego zła, dopuszczając się drugiego. - Pokręciła głową i uderzyła się w piersi. - Czuję tutaj, że to byłoby złe. Z aprobatą ojca chciałabym więc polecieć do Sydney, spotkać się z nim, porozmawiać i upewnić, że nadal nadajemy na tych samych falach i pragniemy tego samego. Ale ma ojciec absolutną rację, nie mogę z nim dalej być, jeśli nie będę wiedziała, że jesteśmy ze sobą szczerzy i chcemy razem iść przez życie. W każdym razie, jeśli to ma się skończyć, chcę, żeby skończyło się jak należy. Nie chcę mieć jeszcze jednej rzeczy na moim udręczonym sumieniu. Chcę, żebyśmy się spotkali, porozmawiali i zakończyli ten związek, jeśli będziemy musieli, z godnością. Jestem mu winna przynajmniej tyle, nie uważa ojciec? On zasługuje na zwykłą ludzką przyzwoitość. Potem zaraz wrócę, spakujemy się z Nalini i polecimy do Stanów. Przywiozę jej z Australii piękne letnie sukienki. W Sydney jest kilka świetnych sklepów z ubraniami dla dzieci.

Ojciec Emilio siedział bez słowa.

- Nie można tak uciec i zostawić kogoś na środku lotniska, żeby czekał bez końca. - Przełknęła ślinę i szybko mówiła dalej. - Jeszcze jedna rzecz... Jestem tutaj od trzech miesięcy, pracuję, oczywiście jako wolontariusz, ale jak ojciec wie, jestem bez grosza i pomyślałam o pieniądzach od Jareda... Nie musimy lecieć z Nalini pierwszą klasą, a Jared przysłał dość pieniędzy na takie bilety. Będzie nam bardzo wy-

godnie w turystycznej, w Qantas jest teraz mnóstwo miejsca na nogi, wyświetlają filmy, jedzenie jest bardzo dobre. Zastanawiałam się więc, czy nie mogłabym wziąć trochę pieniędzy od mojego męża, bo mamy z Kaiem trochę długów, a chcę mieć pewność, że wszystko zostanie uregulowane i zamknięte. Nie chcę być nikomu nic winna. Bo to byłoby złe. Myśli więc ojciec, że mogłabym wziąć kilkaset dolarów?

Ojciec Emilio wskazał otwarty sejf; był to jedyny gest, jaki wykonał od początku jej przemowy. Wstała szybko, wzięła kopertę, zajrzała do środka i wyjęła banknoty. Nie odwrócił się, by ją obserwować. Siedział dalej z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, z twarzą zwróconą do okien wychodzących na ulicę.

- Bardzo dziękuję - powiedziała, odkładając kopertę do sejfu. - Bardzo dziękuję za zrozumienie, ojczu. Wezmę... jeśli nie ma ojciec nic przeciwko temu, dwa tysiące i przywiozę z powrotem resztę, która nie będzie mi potrzebna. I tak zostaną dwa tysiące, o wiele za dużo na dwa bilety. - Zwinęła banknoty i wsunęła do kieszeni spodni. - Bardzo dziękuję za zrozumienie. Jeśli nie ma ojciec mi nic do powiedzenia, muszę pędzić, bo trzeba podgrzać rybę i włożyć chleb do pieca.

Powrót. Zwrot. Wyjechałaś, zmieniłaś statek, a teraz ponownie wpływasz do portu New Jersey, do miasta Summit. Rozglądasz się i nagle okazuje się, że miasto, które opuściłaś, ma w sobie godność, prostotę, wdzięk! To wszystko, czego potrzebujesz, czego pragniesz. Powrót do źródeł. Powrót syna marnotrawnego. Całujesz meble, kładziesz się na drewnianej podłodze, błagasz o to ulotne przebaczenie, szorujesz swoje życie własnymi rękami, mówiąc, że to wszystko, czego pragniesz, wszystko, czego pragniesz. Wyśpiewujesz z dachu dom dom dom.

A potem...

Jesteś w domu domu domu zaledwie od pół godziny, jedziesz po mleko i zdanie wypowiedziane przez bezbarwną kasjerkę uświadamia ci, że musisz *biec* na stację kolejową w Summit i nawet nie pytając, dokąd jedzie następny pociąg, czekasz, aż otworzą się drzwi, wskażesz do środka, przyciskasz twarz do szyby i dziękujesz wszystkim gwiazdom Krzyża Południa, że udało ci się w ostatniej chwili uciec przed mozolną harówką duszącego cię życia.

- Jeszcze jedno. - Już stojąc przy drzwiach, Larissa odwróciła się do ojca Emilia. - Nalini jest mi bardzo bliska i nie potrafię wytłumaczyć pięcioletce, co jako osoba dorosła muszę zrobić. Nie zrozumie i boję się, że się załamie, gdy powiem jej, że wyjeżdżam, choć tylko na kilka dni. Za nic nie chciałabym, żeby się zdenerwowała. Czy mógłby ojciec wyświadczyć mi przysługę i...

- N i e martw się. Zajmę się Nalini.

Porzucona miłość. Eros. Huragan dwóch dusz.

Idziemy przez życie, modląc się, by nigdy się nam to nie przydarzyło.

Idziemy przez życie, modląc się, by nas to spotkało.

6

Kraina wyschniętych jezior

Nawet go tam nie było! Nie czekał na nią na lotnisku. Obsesyjnie dzwoniła pod jedyny numer, jaki miała; dzwoniła raz po raz. Przyleciała do Sydney wczesnym popołudniem, a dopiero o piątej ktoś podniósł słuchawkę.

- Kaia nie ma - powiedział Billy-O. - Kto mówi?

- Larissa!

- O, Larissa. Cześć. - Wypowiedział jej imię, jakby nie miał pojęcia, kim jest.

- Co się z nim stało? Miał być na lotnisku.

- Na lotnisku. Na pewno wie, tak...

Poczuła ogarniającą ją ulgę.

- Kiedy wyjechał?

- Parę dni temu, może cztery, pięć.

Koniec z ulgą.

- O mój Boże - zachnęła się. - Coś musiało się stać.

- Nie, nie - powiedział szybko Billy-O. - Nie martw się. Miał wstać do Jindabyne. Na pewno niedługo się zjawi. Pewnie trochę źle ocenił, ile czasu zajmie mu droga. Często to robi. Źle ocenia.

Czy Kai rzeczywiście często to robił? To nie było małe spóźnienie, dwadzieścia minut, pół godziny. Jej samolot wylądował trzy godziny temu.

- Wiesz, czy znalazł dla nas nowy dom?

- Nie wiem, kochana. Nie mogę nic powiedzieć.

Jaki pomocny. I wkurzający.

Larissa kupiła frytki, chłodne panini, dietetyczną colę i siedziała razem z bagażem w hali przylotów linii Qantas. Obliczyła, że z Jindabyne na lotnisko w Sydney jedzie się jakieś pięć godzin, więc nawet jeśli wyjechał późnym rankiem, już powinien tu być. To było niewytłumaczalne. Włoski na karku zjeżyły się jej ze złości. Zadzwoiła do Barta i Bianki.

Bart był przyjazny, lecz trochę zdystansowany. Nie powiedział: „Larisso, kochanie, nie widziałem cię od trzech miesięcy. Jak się masz?“, tylko: „Cześć. Tak, Kai przyjechał parę dni temu, zatrzymał się u nas, żeby zająć się różnymi rzeczami“.

- Wiesz, czy znalazł dla nas dom? - zapytała.

- Nie wiem, czy szukał - odparł Bart. - Ale zaraz powinien tam być.

Wszystko ci opowie. Wyjechał po lunchu.

Po lunchu?! Kiedy wiedział, że jej samolot ląduje o drugiej! Co za tupet.

Westchnęła.

- Jak się miewacie z Bianką?

- Świetnie, wszystko jest super. Posłuchaj, właśnie wychodziliśmy, żeby spotkać się z przyjaciółmi, więc jeśli to wszystko...

- Tak, Bart. To wszystko.

Usłyszała głos Kaia wołający ją przez zatłoczony terminal.

- Larissa! - Biegł do niej z rozłożonymi ramionami, szerokim uśmiechem. Obciął włosy! Został tylko gęsty jasnobrązowy jezyk. Nie wyglądał na ani trochę zawstydzonego.

- Kai!

- Wiem. - Przesunął dłonią po ogolonej głowie. - Nie podoba ci się? Było mi cholernie gorąco. No, chodź tutaj.

Objęli się, Larissa ze zmarszczonymi brwiami, zdumiona.

- Jeszcze schudłaś? - zapytał, przesuwając dłońmi po jej plecach.

- Nie, chyba trochę utyłam. Jadłam tylko ryżowy pudding rano, w południe i wieczorem. - Odsunęła się, by na niego spojrzeć. Pocałowali się. Ona nadal marszczyła brwi, choć bardzo się cieszyła, że go widzi. - Kai, spóźniłeś się prawie pięć godzin. Mój samolot wylądował wczesnym popołudniem.

- N i e !

- Tak. Przed wyjazdem zapisałam ci to w twoim notesie, żebyś nie zapomniał.

- Lar, przepraszam. Myślałem, że przylecisz wieczorem.

- Zapisałam ci!

- Wiem, ale zostawiłem notes w Pooncarie. Myślałem, że dobrze pamiętam.

- Myślałeś, że pamiętasz? Dlaczego nie zadzwoniłeś do Billy'ego-O?

- Myślałem, że dobrze pamiętam - powtórzył z uporem, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Wyrzuciłeś moje listy? Bo w ostatnim napisałam, o której przylatuję.

- Ach tak - powiedział, wyciągając palec wskazujący jak nauczyciel i uśmiechając się szeroko. - Kiedy go wysłałaś? Bo nic nie dostałem. Poczta idzie do Pooncarie cztery miesiące. Zupełnie jak Pony Express. Pisałaś do mnie w sierpniu, a ja dostawałem listy pod koniec września.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Tak więc jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, całkiem nieźle sobie poradziłem. Hej, mogło być o wiele gorzej. Mogłem pomylić dni.

- To chyba byłoby trudne, zważywszy na to, że pisałam datę powrotu na górze każdego listu. Oznaczałoby to, że żadnego nie przeczytałaś.

- A to byłaby nieprawda. - Znów ją przytulił na zgodę. - Przepraszam - szepnęła w jej szyję.

- Och, Kai. Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Wtulony w jej szyję nie odpowiedział. Cofnęła się, by mu się przyrzec. Miał na sobie stare, podwinięte dżinsy, szeroki pas, znoszone robocze buty, czarny podkoszulek i dżinsową kurtkę. Bez włosów opadających na ramiona był zupełnie do siebie niepodobny, ale bez wątpienia był najprzystojniejszym facetem na lotnisku.

- Kai... - Nie była już zła. Była zmęczona i szczęśliwa, że znów go widzi. Stali, trzymając się za ręce na środku lotniska. Przynęła się na palcach i pocałowała go. - Zapomnijmy o tym. To tylko pomyłka. Nie martw się... - Miała łyzy na końcu nosa. - Nie mogę uwierzyć, że nie rozmawialiśmy od trzech miesięcy. Chciałabym, żebyś zrozumiał, jak bardzo...

- Wiem. Tyle czasu minęło. - Ucisnął jej dłoń.

- Dzwoniłam codziennie. Nigdy nie odbierałeś telefonu

Nie mogła uwierzyć, że wreszcie ma go dla siebie, że może go czuć. Miała na sobie dżinsy, bluzkę z surowego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. W samolocie zrobiła dla niego lekki makijaż, długo szczytkowała włosy, aż zaczęły lśnić. Spryskała się jego ulubionymi perfumami, Moon Sparkle, włożyła jego ulubione koronkowe stringi La Perla. Wszystko dla niego. Rozrzucone szczątki innych serc leżały u jego stóp.

- To prawda, nigdy nie było nas w domu - powiedział. - Gdybyś zobaczyła dom Billy'ego-O, wiedziałabyś dlaczego. Tylko żartuję. Ale byliśmy cholernie zajęci. I oczywiście Billy-O nie ma automatycznej sekretarki.

- Dlaczego? I dlaczego ty nie wysupłałeś dwudziestu dolarów, żeby ją kupić?

- To nie mój dom - odparł spokojnie. - Nie mówię Billy'emu-0, co ma robić. Poza tym w Pooncarie nie sprzedają elektroniki. Musiałbym jechać aż do Adelajdy.

- Och, Kai. - Oparła się o niego i zamknęła oczy. - Chodź. Nie ma sensu stać na środku lotniska. Na pewno jesteś głodny.

- Co zrobimy? Jest prawie ósma.

- Tak, za późno, żeby wracać - powiedziała. - Wynajmiemy pokój.

- Cała moja kasa poszła na wykupienie terenówki. Potrzebujemy pieniędzy. Nie chcę ich wyrzucać na pokój.

Z uśmiechem pokazała mu studolarowe banknoty w torebce.

- Mamy trochę kasy.

- J a k mi!o! A skąd? Zakonnice zorganizowały zrzutkę na twoją cześć?

- To zabawna historia. Poczekaj, aż ją usłyszysz. Ale zatrzymajmy się w jakimś ładnym miejscu. Przez trzy miesiące spałam praktycznie na pryczy pod szorstkim kocem, w strasznej wilgotności i bez klimatyzacji. - Pogładziła go po twarzy. - I jestem pewna, że kanapa u Billy'ego-O też jest daleka od luksusów.

- Bardziej, niż myślisz.

- To zaszalejmy. Co ty na to?

Zgodził się niechętnie.

- O co chodzi? Martwisz się o pieniądze? Są darowane, Kai.

- Wiem. Ale... zbyt dobrze pamiętam, jak nie mieliśmy ani grosza. Ciężko mi wydać parę setek na pokój w hotelu.

- Za ciężko pracowałeś. Widzę to po twojej twarzy. Ale jesteś opalony. Na pewno dużo przebywałeś na powietrzu. No, nie martw się. Za dwa tygodnie zaczynamy organizować wyprawę. Poradzimy sobie. Chodźmy na dobrą kolację.

- Nie mam się w co ubrać.

Zniżyła głos.

- Zamówimy kolację do pokoju.

- A c h .

- Zamówimy sushi - zagruchała, spoglądając mu w oczy, całując w brodę, gładząc po szorstkiej głowie. - Jak się tu dostałeś? Na motorze?

- Jak byśmy wsadzili na niego twoją walizkę? Nie, przyjechałem terenówką. - Pocałował ją i podniósł walizkę.

- A gdzie jest motor?

- Zastawiłem go.

Zatrzymała się.

- Zastawiłeś ducati? - zapytała z niedowierzaniem.

- Billy-O chciał kupić dwa piękne konie od miejscowego hodowcy - wyjaśnił. - Są naprawdę niesamowite. Obiecał, że odda mi pieniądze jak najszybciej.

- Nie rozumiem, dlaczego Billy-O miałby pożyczać pieniądze od ciebie - powiedziała powoli. - Nie płaci ci? I nie wziął kredytu?

- Wziął na stajnie, ale nie na drogie konie. Nigdy nie widzieliśmy takich klaczy. Cudowne, siwe. No, chodźmy.

Wyszli z terminalu i ruszyli w stronę parkingu.

- Billy-O powiedział, że przez kilka dni byłeś w Jindabyne - powiedziała Larissa. - Miałeś okazję poszukać nowego domu?

- Nie. Ale jeśli zechcemy, możemy zamieszkać w starym. Zapłaciłem Mejdzie.

- Zapłaciłeś? Dlaczego? - wykrzyknęła. - To wiedźma.

- Możliwe, ale to nie jej wina, że byliśmy jej winni pieniądze. Nie lubię pozostawiać długów. A jeśli znów będziemy z nią robić interesy? Bart i Bianca są od niej uzależnieni, a robiła im problemy, zagroziła, że przestanie wozić ich klientów. Za dużo złej krwi dookoła.

Larissa wzruszyła ramionami i przyspieszyła kroku, gdy zauważyła ich terenówkę. Cieszyła się, że znów ją widzi.

- Chyba tak. Ale znam wiele innych sposobów, by wykorzystać ten tysiąc.

- Tysiąc trzysta.

- Jak pięknie wygląda! Umyłeś ją? Podrasowałeś? Bardzo tego potrzebowała.

- Zrobiłem wszystko, Larisso.

Kai zawiózł ich do Sydney do hotelu Intercontinental przy Macquarie Street. Larissa już miała pobiec do recepcji, by sprawdzić, czy mogą dostać wielki pokój na wysokim piętrze z widokiem na Harbour Bridge, lecz zatrzymał ją portier, który powiedział, że absolutnie nie ma sposobu, by w garażu hotelowym zmieścić się samochód tych rozmiarów. Jest wielki jak czołg, powiedział. Wojskowy transporter opancerzony. Nigdzie się nie zmieści. Larissa spierała się z nim przez chwilę, a Kai stał obok i milczał.

Larissa była ogromnie rozczarowana.

- Kai, dlaczego nie jesteś zdenerwowany? Mogliśmy mieć wielkie miękkie łóżko i gorący prysznic. - Wyduła usta.

Podszedł do tego filozoficznie.

- Nic nie możemy zrobić - powiedział. - Nie lubię się wściekać, kiedy nic nie da się osiągnąć. Chciałbym jednak zrobić coś z moim głodem.

Wzięli jedzenie na wynos z odlotowej Cafe Opera w Intercontinentalu; Larissa zamówiła kałamarnicę z czarną fasolą, kraby w miękkich skorupkach i tuńczyka, zaniósła wszystko w eleganckiej białej torebce do samochodu i odjechali. Zaparkowali na płatnym miejscu w bocznej uliczce niedaleko opery, usiedli na ławce z widokiem na Harbour Bridge i jedli sushi, trzymając je na kolanach jak niegdyś. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy Kai był bardzo powściągliwy? Ale most wyglądał tak pięknie. Trochę jak Tappan Zee Bridge nad rzeką Hudson. Kiedy były z Che małe, siadywały tak w parku w Piermont i obserwowały białe żagłówki w gasnącym świetle dnia.

- Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę głodny - powiedział Kai. - A trudno mówić z pełnymi ustami.

- Chcesz, żebym opowiedziała ci o Paranaque?

- Chodzi ci o coś, o czym zapomniałaś napisać w liście?

Zaśmiała się.

- Były zbyt obszerne?

- Można tak powiedzieć.

- W przeciwieństwie do twojego. - Szturchnęła go. - Jaki był ten twój jedyny list? Jak telegram. Kochana Lar. Stop. Wszystko jest dobrze. Stop. Tęsknię. Stop. Miłego dnia. Stop.

Kai uśmiechnął się do kałamarnicy i zlizął z palców sos z fasoli.

- Nie masz pojęcia, jak ciężko pracowaliśmy. Wieczorem nie miałem siły podnieść widelca do ust. Za każdym razem, gdy próbowałem coś napisać, zasypiałem.

- Ale kiedy dzwoniłam, nigdy cię nie było. Gdzie spałeś?

- Po pierwsze telefon Billy'ego-O nie ma identyfikacji numerów, więc nie mieliśmy pojęcia, że dzwoniłaś. Po drugie jesteśmy facetami i nie gotujemy. Po pracy braliśmy szybki prysznic i szliśmy coś zjeść.

Pracowało z nami jeszcze kilku chłopaków, więc chodziliśmy razem. - Urwał, żeby dokończyć jedzenie.

Była prawie dziesiąta i ostatni blask zgasł na niebie. Światło nad portem zmieniło się z fioletowego na granatowe. Lariszę ogarnęło nierzeczywiste poczucie, jak ulotne znaczenie mają jej egzystencja. Pomyśleć tylko - dziewczynka z małego miasteczka niedaleko Nowego Jorku, która nigdy nie wyjeżdżała ze Stanów Zjednoczonych, siedzi w środku swojego życia z niezwykłym chłopcem z Hawajów i patrzy na Harbour Bridge w Sydney, w *Australii*, oddalona o całą półkulę, cztery oceany, sześć kontynentów od domu.

- Filipiny są fascynujące - powiedziała w końcu. - Chciałabym, żebyś je zobaczył.

- Naprawdę? Cały ten ocet i gotowaną wodę? Nie, dzięki. Wolę moje Pooncarie.

- Jak ci się tam podobało? Było okropnie?

- Podobało? - Pokręcił głową. - Larisso, nie ma nic podobnego w całym wszechświecie. Szczerze. Tam jest transcendentalnie.

- Hmm. - Spojrzała na niego w zamyśleniu. - Ale wracamy do Jindabyne, prawda? Nie zostawiłeś nic w Pooncarie?

- Nie - odparł bez emocji. Dlaczego odniosła wrażenie, że powstrzymywał się, by nie westchnąć? Zamiast tego pokazał zdziwiony na sushi, które pracownicy rozkładała, oddzielając tuńczyka od ryżu. - Co robisz?

- Nie jem ryżu. Powinam była zamówić sashimi. - Posmarowała ostatni kawałek surowego tuńczyka wasabi. - Mam dość ryżu do końca życia. Nie zmartwiłabym się, gdybym już nigdy nie miała go jeść. - Patrzyła, jak Kai wstaje, zbiera śmieci. - Opowiedz mi jeszcze o Pooncarie. Zarobiłeś u Billy'ego-O sporo pieniędzy?

- Tak, zajął się mną. Ale nie chodzi tylko o pieniądze. Chcesz już jechać? Wyjedziemy z miasta i znajdziemy kemping.

- Dobrze. Już jestem gotowa na kemping. - Przytuliła się do niego.

- Hej - powiedziała. - Jesteśmy w miejscu publicznym.

- I co z tego?

- Trochę się rozbrykałaś.

- Przez trzy miesiące mieszkałam z zakonnicami - odparła. - Rozbrykałam się? Jak najbardziej. Masz szczęście, że nie rzuciłam się na ciebie na ławce przed operą.

- Szczęście? No nie wiem. Byłoby co opowiadać dzieciakom.

Rozmowa urwała się jak ucięta przez gilotynę. Larissa w milczeniu wyrzuciła swoje śmieci i wsiadła do terenówki. Kai szczylił się tym, że jest niezwykle ostrożny, unikał takich gaf językowych, nie wypowiadał słowa „dzieciak” nawet w żartach. Ale może po trzech miesiącach wyszedł z wprawy.

Zawiózł ich na plażę Bondi, gdzie zaparkowali w ustronnym miejscu wśród pagórków i rozłożyli koc na porośniętych trawą wydmach pod gwiazdami. Rytmiczny szum fal oceanu brzmiał jak miłosna ścieżka dźwiękowa. Dała mu całą miłość, jaką miała.

Nie płacz, szeptał, poruszając się rytmicznie. Nie płacz.

Kai, masz pojęcie, jak za tobą tęskniłam?

Mniej więcej. Proszę, nie płacz.

Było coś delikatnego w ich kochaniu się, niepewnego, jakby magiczny rytuał tracił moc, jakby oboje musieli bardzo uważać, by pergaminy w ich starych księgach nie skruszył się i nie rozsypał jak popiół. Larissa nie bardzo wiedziała, co jest nie tak. Czy rytm się zmienił? Było mniej dyszenia? Jedno mniej *O mój Boże*, niż powinno być po trzech miesiącach rozłąki, trzech miesiącach milczenia?

Leżała potem wyciągnięta na wznak, z rozłożonymi na bok rękami, pytając, prosząc, lecz uzyskała niewiele odpowiedzi. Jest zmęczony, powiedział. Ciężko pracował, jeździł, i musiał zbijać cenę wykupu terenówki. Jest wykończony. Musi się przespać. I zaraz zasnął, a ona leżała pod rozgwieżdżonym niebem. Na plaży było ciemno i ciepło, ale sucho, nie lekko i wilgotno jak w Manili.

Coś się wymyka, pomyślała. Nie wiem co. Jest w nim jakiś drobny element, który nie pasuje do całości. W śpiącym obok niej mężczyźnie nie było pewności. Niepostrzeżenie mówił niewłaściwe rzeczy. Ale jakie? Patrzył na nią w niewłaściwy sposób. Ale jak? Nie była do końca pewna. Położyła mu palec na sercu. *Lecę lecę lecę*. Szum fal kołował nerwy, wypełniał dziurę wywołaną przez strach. Wszystko będzie

dobrze. Wróca do Jindabyne. Nie mogła się doczekać, by znów zobaczyć jezioro. Zbliżało się lato, najlepsza dla nich pora, najszcześniejsza. Będą chodzić na kolacje z Bartem i Biancą, pić z Patrickiem. Znajdą inny dom. Miała już dość mieszkania na szczycie wzgórza. Tym razem chciała zamieszkać na brzegu, wśród aromatycznie pachnących lasów eukaliptusowych w drodze do Thredbo. Nie za daleko od miasta. I może wynajmą dom nieumeblowany, żeby mogła kupić poduszki, bawełniane narzuty, wazony na świeże kwiaty. Wszystko będzie dobrze. Łączy nas fundamentalny związek. Ojciec Emilio powiedział jej, że nic nigdy nie jest idealne. Jesteśmy ludźmi i nie jesteśmy idealni.

Doszła do wniosku, że i tak jest lepiej niż przed jej wyjazdem, kiedy nie wiedzieli, co się wydarzy w następnej minucie. Przyszłość jest bardziej pewna, to wiadomo. Wrócimy na dawne tory.

A jednak... coś ją gnębiło, nie pozwalało zasnąć.

Wstała, włożyła podkoszulek i w ciemności wsiała do zaparkowanej w pobliżu terenówki, wyjęła ze schowka latarkę i otworzyła torbę Kaia leżącą za fotelem kierowcy. Znalazła tam jego dzinsy, podkoszulki, skarpetki, szczoteczkę do zębów, kilka dolarów, mały notes, w którym zapisywał rzeczy, o których nie chciał zapomnieć. Na przykład datę i godzinę jej przylotu, choć akurat tę kartkę wyrwano. Znalazła też wsuniętą do notesu niezaklejoną kopertę zaadresowaną do jego siostry Muriel.

Odłożyła kopertę na miejsce i już miała zapiąć torbę i wrócić do Kaia, lecz powstrzymała ją nagła ciekawość. Sama dostała od niego jeden krótki list, a jego siostra, z którą nie kontaktował się od Bóg wie ilu lat, miała dostać trzy złożone kartki, napisane mniej więcej w tym czasie, gdy - jak powiedział Larissie - był zbyt zmęczony, by pisać.

Wyjęła list.

Kochana Muriel!

Tak bardzo bym chciał, żebyś zrozumiała niewysłowioną tęsknotę, która mnie ogarnia, gdy jestem tutaj i na jednym z naszych koni jadę przez usłaną skałami pustynię. W swoim krótkim życiu mieszkałem w wielu miejscach i wiem, że będzie ich jeszcze więcej, ale szczerze

mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym bardziej czuć się częścią większego wszechświata, niż kiedy jestem na tym aborygeńskim pustkowiu. I kiedy mówię „pustkowiu”, Muriel, mam na myśli nieograniczoną przestrzeń, nieskończony horyzont, nie tylko niebo i ziemia jak okiem sięgnąć, siedzę na osiodłanym mustangu, a moje płuca nie mogą wziąć dość głębokiego oddechu, by wciągnąć wszystko, co czuję, by wypowiedzieć wszystkie rzeczy, które cisną mi się na usta.

Zjakiegoś powodu, kiedy jestem tutaj, wśród porośniętych niskimi krzewami piasków, czuję, jakbym znalazł sens wykraczający poza ludzkie życie. Kiedyś sądziłem, że muszę go wymyślić, nawet jeśli go tam nie było, nasycić rzeczy sensem, który sam stwarzałem. Ale tutaj coś zrozumiałem - sens to coś, co mi się objawia, jeśli tylko otworzę serce i zdołam go dojrzeć. Dlatego wcześniej chodziło tylko o chwilowe zaspokojenie. Tutaj chodzi o permanentny stan łaski. Moje smutki zniknęły, cierpienia odeszły. Cyprysy rosły tutaj na długo przed moim przybyciem, krzewy pozostaną długo po moim odejściu. A tymczasem towarzyszy mi pewność, która umykała mi przez długi czas, że naprawdę mogę zbudować życie, które będzie coś znaczyć. Może kiedy wszystko wyprostuję i osiadziemy gdzieś na stałe, odwiedzisz nas tutaj w krainie czerwonego piasku i różowych kakadu i sama zobaczysz niesamowitą suchą ziemię, ogrom pól, głębokie odosobnienie, gdy świat i wszystkie jego troski wydają się oddalone o milion mil. We wszystkim kryje się tajemnica.

Twój brat, Kai.

Ile czasu minęło, zanim Larissa zdołała zasnąć po przeczytaniu tego listu? Nie mogła przestać myśleć o liście do niej, który wyglądał, jakby Kai dopiero przed kilkoma tygodniami nauczył się pisać. W porządku, pomyślała wtedy, nigdy nie czytała niczego, co napisał, a nie każdy może być Nabokovem, nie każdy może wymyślić *światło mojego światła, ogień moich łądźwi*. Przyjęła do wiadomości fakt, że Kai ma wiele talentów, ale dar pisania nie jest jednym z nich. A jednak... w tym krótkim liście, który nosił ze sobą - napisanym akurat do siostry! - udało mu się wyrazić to, co fizyczne i liryczne, znaleźć poezję w wy-

schniętym krajobrazie i przelać na papier głębokie refleksje, połączyć naukę o ziemi, mity i legendy i zamknąć je w metafizycznym wyznaniu. Podczas gdy w liście do Larissy z trudem odnajdywał odpowiednie przymiotniki i przysłówki.

Jaki wniosek należało z tego wyciągnąć? I dlaczego tak bardzo to bolało?

I co ważniejsze - a może mniej ważne? - jak zrozumieć treść tego listu, jeśli mogłaby się zmusić, by zapomnieć o formie?

Co Pooncarie miało wspólnego z ich obecnym życiem?

I jak wspomnieć o tym śpiącym nagiemu mężczyźnie?

Larissie brakowało jakiegoś ważnego elementu, kluczowego kawałka układanki i nie wiedziała, co nim jest.

Wyruszyli wcześniej następnego ranka. Żałowała, że nie mogą oglądać szmaragdowego oceanu w jego porannej chwale, pospacerować wśród wzgórz, popływać, posiedzieć z ludźmi i wypić kawę... Marzyła o beztróskim poranku na plaży Bondi, a dostała tylko ciszę. Kiedy kupili kawę i kanapki z jajkiem, Kai spojrział na mapę i wyruszyli w drogę. Pięć godzin wlokło się niemiłosiernie. Larissa wspomniała raz, że jest bardzo gorąco.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy tu falę upałów. Ale bez względu na temperaturę w Sydney i Jindabyne w Pooncarie jest o dwadzieścia stopni cieplej.

- Co to ma wspólnego z naszym interesem? - zapytała Larissa. - Przecież nie jedziemy do Pooncarie. - Chciała rzucić mu wyzwanie, żeby w końcu przemówił.

- Chyba nie - rzucił przed siebie. - Ale bardzo bym chciał, żebyś je zobaczyła.

- Chciałbyś.

I potem ani słowa przez następne sto mil.

- Spodobałyby ci się konie - powiedział. - Siedziałas kiedyś na koniu, prawda?

- Tak, Kai, jeździliśmy razem na Maui. Do wulkanów, pamiętasz? Ale boję się koni. Są nieprzewidywalne.

- To potężne, silne zwierzęta. Ale są niesamowicie odporne. Świetnie sobie radzą na pustyni.

- Jak wielbłądy. Ale Jindabyne nie leży na pustyni.

Kolejne sto mil.

- Czy Nalini dobrze się czuła, gdy wyjeżdżałaś? Nie była zdenerwowana?

- Zdenerwowana? Nie - odparła. - Wszystko było w porządku.

- Naprawdę? Pisałaś, że szczotkuje ci włosy, zaplata w warkocze. Próbowала nauczyć cię, jak się modlić. Urocze.

- To słodki dzieciak. Ale to nie mnie chce mieć przy sobie. - Objęła się rękami za brzuch, by nie czuć, że znów spada.

- Zabawne - powiedział Kai. - Z twoich listów wywnioskowałem, że mogła bardziej przeżyć wasze rozstanie.

- Nie, podeszła do tego bardzo spokojnie. - Kłamała nawet jemu. Ale niby czemu nie? Czy on mówił jej prawdę?

Kolejne sto mil.

Dojechali do Jindabyne po lunchu. Kai zaproponował, żeby zatrzymali się u Barta i Bianki, co Larissa uznała za głupi pomysł, lecz rzuciła przebiegle:

- Nie widzieliśmy się od trzech miesięcy. Nie sądzisz, że przyda nam się odrobina prywatności?

Zgodził się, lecz wcześniej powiedział:

- Barta i Bianki też długo nie widziałem.

- Ale z nimi nie uprawiasz seksu - odparowała poirytowana.

- Zgoda. Ale co będziemy robić po dwudziestu minutach? Żartowałem - dodał, przewracając oczami, kiedy rzuciła mu mordercze spojrzenie.

Wynajęli pokój w Crackenback Inn, gdzie zatrzymali się zaraz po przyjeździe do Jindabyne, nad jeziorem położonym w dolinie otoczonej Alpami Australijskimi. Za kilkudolarową dopłatą dostali biały domek nad wodą, z tarasem i kominkiem. Larissa próbowała odtworzyć uczucie podziwu, które towarzyszyło im, kiedy wreszcie mieli

tylko siebie i byli sami. Ale podziw to zabawna rzecz: szacunek połączony z obawą i zachwytem. Tylko jedno z tych słów można było odnieść do obecnego stanu, w jakim znajdowała się Larissa - choć precyzyjnie można go było nazwać trwogą.

Rankiem zaproponowała, żeby wybrali się na przejażdżkę, porozmawiali z Darieniem, starym kumplem z agencji nieruchomości, który na pewno coś dla nich znajdzie. Była ubrana i cała w uśmiechach, lecz po godzinie Kai nadal leżał w łóżku.

- Ty idź - powiedział. - Nie czuję się najlepiej. Chyba coś mnie bierze. Za ciężko pracowałem. Jeśli zobaczysz coś, co ci się spodoba, obejrzę później.

- Mówisz poważnie? Chcesz, żebym pojechała sama?

Wydawało się, że tak, bo nadal leżał z twarzą ukrytą w poduszce.

- Tak - odparł stłumionym głosem. - Albo poczekajmy do jutra. Na pewno poczuje się lepiej.

Gdyby nie przeczytała jego listu do Muriel, nie wiedziałyby, co o tym wszystkim sądzić. Ale przeczytała. I nadal nie miała pojęcia. Nie chciała jednak wspominać o liście. Zadzwoiła do Dariena i poszła sama, pełna lęku, z nadzieją, że jeśli znajdzie urocze miejsce, wszystko się ułoży.

Znalazła cztery urocze mieszkania. Jedno miało bezpośredni dostęp do jeziora, a to przy Banjo Patterson Crescent było zupełnie nowe, z drewnianymi podłogami i kominkiem, tarasem i wysokimi oknami. Było nieumeblowane, a cena okazała się przystępna. Nie mogła uwierzyć, że nikt go dotąd nie wynajął.

- Trafiło na rynek wczoraj - wyjaśnił Darien. - Gwarantuję ci, że po weekendzie już będzie zajęte.

Po południu zaciągnęła tam nadal rozbitego Kaia. Nie spodobało mu się.

- Za dużo tu słońca. Wszystko wyblaknie.

- Co wyblaknie? - odparła. - Przecież nic nie mamy.

Pokręcił głową, mrugając powoli powiekami.

- Jest za nowe. Czuję się tu jak w szpitalu, wszystko jest takie białe i czyste. Nie podoba mi się. Masz coś innego?

- Nie w tej chwili - odparł Darien, spoglądając na Kaia z niechęcią. Larissa poprosiła go, by zostawił ich na kilka chwil.

- Możemy zostać sami na długo - powiedział Kai - ale i tak mi się nie spodoba.

- Kai, tylko spójrz na to miejsce! Jest większe, ładniejsze i dużo czystsze niż bungalow przy Rainbow Drive, o którym powiedziałeś, że to najlepsze miejsce, w jakim kiedykolwiek mieszkałeś.

- Najwyraźniej się myliłem.

- Czy to tylko wymówka? - dopytywała się. - Czy jest jakiś inny powód, dla którego nic ci się nie podoba?

- Dlaczego zawsze doszukujesz się jakichś wyższych motywów? Po prostu mi się nie podoba. Dlaczego nie możemy tego tak zostawić? - Był blady i zmęczony. Zacisnął usta. Z ogoloną głową wyglądał na wymizerowanego.

- Musimy niedługo znaleźć jakieś mieszkanie. Nie możemy zostać na zawsze w chatce nad jeziorem.

Nie wyglądał na przekonanego. Patrzył, jakby chciał zapytać: „Naprawdę?”. Jego sztywna i apatyczna postawa zdawała się mówić: „Wiem, że nie możemy, ale nie widzę żadnego innego rozwiązania”. Powiedziała Darienowi, że się nad tym zastanowią, ale kiedy zadzwoniła następnego dnia po południu, dowiedziała się, że dom został już wynajęty. Była ogromnie rozczarowana.

- Nie był nam przeznaczony - powiedział Kai, który siedział na tarasie i grał na ukulele. - Gdyby był, dostalibyśmy go.

- Nie dostaliśmy, bo ci się nie podobał!

Patrzył na góry i jezioro. Milczał. Grał coś smutnego w tonacji mollowej, a wszystkie nuty brzmiały głucho.

Próbowała go rozerwać. Może chciałby się wybrać w góry na wycieczkę rowerową? A może popływać? Basen jest podgrzewany. Może pograć w kręgle?

- Larisso, której części zdania „nie mam ochoty” nie rozumiesz?

- Tej części, w której nie chcesz mi wyjaśnić, co ci chodzi po głowie.

Minęły jeszcze dwa dni spędzone na siedzeniu i wpatrywaniu się

w jezioro. Co się z tobą dzieje? - chciała zapytać. Dlaczego tak się zachowujesz? Bądź mężczyzną, Kai.

Powtórzył, że złapał jakąś infekcję, choć nie miał gorączki ani żadnych objawów. Larissa bardzo żałowała, że przeczytała list do Muriel. Pragnęła, by Kai nie mówił, że nie chce tutaj zostać. Po Paranaque Jindabyne nabrało nagle mistycznego charakteru. Jezioro było piękne. Pogoda. Piękne były też ośnieżone góry otaczające Crackenback i Jindabyne. Drzewa, wzgórza, przyjaźni ludzie, wszystko było piękne. W nadziei, że rozproszy to jego zły nastrój, pytała go co wieczór, czy ma ochotę na kolację z Bartem i Biancą. Stale jednak odmawiał. Chcesz iść na drinka z Patrickiem? Nie. Chcesz iść posiedzieć trochę w barze Balcony?

Nie.

Co gorsza odmawiał też, kiedy prosiła go, żeby poszedł z nią na zakupy związane z ich firmą.

- Kai - powiedziała - potrzebujemy dwóch nowych namiotów; stare są podarte. Potrzebujemy ośmiu żyłek do wędek. Dwóch koców, czterech termosów, nowej lodówki turystycznej, jednorazowych aparatów i komórki.

- Mamy komórkę. - Machnął ręką. - Reaktywowałem ją w Pooncarie, bo wiedziałem, że będzie nam potrzebna.

Bo nikt nie szedł w górę strumienia, jeśli nie miał choćby słabego zasięgu w razie niebezpieczeństwa.

- Reaktywowałeś naszą komórkę w Pooncarie? - zapytała cicho, lecz ze zmarszczonymi brwiami.

- No i co?

- I nie powiedziałeś mi o tym, żebym mogła do ciebie zadzwonić?

- Dopiero co to zrobiłem! Nie zrobiłem tego dwa miesiące temu, lecz w zeszłym tygodniu, bo wiedziałem, że będzie nam potrzebna w Jindabyne. Jezu, Larisso. O co cały ten krzyk?

- Dobra, zapomnijmy o telefonie - powiedziała po kilku chwilach, gdy przetrawiła jego słowa. - Musimy też uzupełnić apteczkę. A sezon zaczyna się za tydzień.

- Wiem. - Westchnął.

- Chcesz, żebym sama wszystko kupiła?
- Nie. Tak. Nie wiem.
- Musimy coś zrobić - błagała go. - Pierwsza wyprawa już jest zaklepana. - Rezerwacje i zaliczki dostali przez stronę internetową Agencji Turystycznej Doliny Thredbo. Zawsze z niej korzystali, żeby reklamować swoje wycieczki po buszu, i mieli sporo międzynarodowych rezerwacji. - Co chcesz zrobić, odwołać ją? Będziemy musieli oddać wszystkie zaliczki.

- Nie, nie powinniśmy odwoływać. - Siedział, uderzając w struny; siedem molowych akordów zabrzmiało jak urywana bluesowa melodia.

Przysiadła obok niego na tarasie, opierając się dla równowagi o mały stolik.

- Wszystko w porządku, Kai?

- Oczywiście.

- Potrzebujemy namiotów. Inaczej czwórka naszych klientów będzie musiała spać na kamieniach nad rzeką Murray, z łososiami zamiast poduszek.

- Masz rację - powiedział w końcu, nie patrząc na nią, lecz na jezioro. - Musimy kupić sprzęt. Chcesz pierwsza wziąć prysznic?

Poszła do łazienki. Przynajmniej coś zaczęło się dziać.

Kiedy wyszła jeszcze mokra, Kai chodził nerwowo po pokoju. Nie był to ten sam Kai, który dwadzieścia minut wcześniej siedział na tarasie osowiały jak materia nieożywiona.

- Plany trochę się zmieniły - powiedział, drżąc lekko. - Przed chwilą dzwonił Billy-O.

- Och. - Wycierała włosy ręcznikiem. - Nie słyszałam telefonu.

Przystanął, by spojrzeć na nią ze złością.

- Brałaś prysznic - powiedział. - Dzwonek jest cichy. Jak mogłabyś go usłyszeć?

- Rzeczywiście. - Nie chciała się kłócić. - Czego chciał?

- Prosił mnie o wielką przysługę. - Kai znów zaczął chodzić po pokoju jak zwierzę w klatce. - Wyjechał po konie, wiesz, że łapie w buszu dzikie konie, układa je i sprzedaje albo zatrzymuje, ale za tydzień zaczyna nowy biznes wycieczkowy i uświadomił sobie, że nie

wytyczył szlaków, a niestety musi je przedstawić w Izbie Turystycznej Broken Hill, żeby mogli je zaakceptować i umieścić na swojej stronie internetowej. Ale wyjechał i nie może tego zrobić. Błagał mnie, żebym przyjechał i wytyczył te szlaki. Bo inaczej termin minie i nie będzie mógł organizować wycieczek do przyszłego roku, a liczy, że ten dochód będzie sporą częścią nowego przedsięwzięcia. - Dyszał ciężko.

- Myślałam, że to jedyna część jego nowego przedsięwzięcia - odparła Larissa.

- Opowiedziałem mu, co tutaj robimy - ciągnął Kai, nie przestając chodzić - i bardzo chce spróbować czegoś podobnego, ale na koniach.

- Wiem wszystko o jego zainteresowaniu wycieczkami po szlakach. - Larissa przestała wycierać włosy. - Kiedy chce, żebyś to zrobił?

- Zaraz.

- Jak to...

- Posłuchaj. Pojadę, jutro wyznaczę szlaki i wrócę we czwartek. W piątek pojedziemy razem na zakupy, będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu przed rozpoczęciem sezonu. - Rzucił jej promienny uśmiech, pierwszy od tygodnia. - Niezły plan?

- Kiepskawy - odparła. - Nie rozumiem twojego podniecenia. Wyjaśnij mi, dlaczego tak się ociągałeś przez ostatnie kilka dni? Nie wiedziałeś przecież, że Billy-O poprosi cię o nagłą przysługę.

- Nie ociągałem się. Naprawdę. - Nie dodał nic więcej.

- Poza tym - ciągnęła - co to znaczy, że ty pojedziesz? Pojedziesz sam na pustynię, żeby wyznaczyć szlak dla Billy'ego-O? Znasz pierwszą zasadę takich wypraw - nigdy nie wolno jechać samemu. Nawet nie wiem, o czym mówisz. - Wytarła się do końca, odrzuciła ręcznik i stanęła przed nim naga. - Pojadę z tobą. Razem wyznaczymy szlak. Będziesz mógł mi pokazać swoje cudowne Pooncarie. - Uśmiechnęła się.

Patrzył na nią, jakby oszalała. Może cały świat oszalał.

- Chcesz jechać ze mną? - zapytał wysokim głosem. Pocił się. - Ale po co? Nie będzie mnie tylko jeden dzień.

- Dlaczego miałabym tu zostać sama? W Crackenback, bez samochodu, a stąd jest jeszcze dalej do miasta niż z Rainbow Drive.

- A po co miałybyś się stąd ruszać? - zapytał. - Spójrz, jak tu pięknie. Domek stoi na palach wbitych w jezioro. To niesamowite. Nie będzie mnie tylko kilka dni.

- Co ty w ogóle mówisz? - Na jej twarzy malował się wyraz totalnego zdumienia. - Musisz mieć kogoś ze sobą. Wiesz, że nie możesz jechać sam. Bardzo dobrze wiesz. A ja nie chcę zostać tu sama. Oboje na tym skorzystamy. - Uśmiechnęła się pytająco. - W czym problem?

- Nie ma żadnego problemu.

- To świetnie. Nie chcesz mi pokazać Pooncarie?

- Chcę... ale u Billy'ego-O nie ma miejsca dla dwóch osób.

- Co z tego? Przecież jego tam nie będzie.

- A l e jego dom to chlew. Nie będziesz się tam dobrze czuła.

- Wiesz, dlaczego już nie czuję się dobrze? - powiedziała nagle. - Bo zachowujesz się tak, jakbyś nie chciał, żebym z tobą pojechała. A nie ma ani jednego powodu, dla którego nie powinnam. Dla twojego bezpieczeństwa jestem akurat niezbędna. Powiedz mi więc, o co tak naprawdę chodzi.

Czy się myliła? Czy nie chodziło o uczucia wyrażone w liście do Muriel?

- Dlaczego miałbym nie chcieć, żebyś jechała? - zapytał pośpiesznie, ocierając czoło. - Jasne, że chcę. Niemądra jesteś. Pomyślałem tylko, że będzie szybciej, jeśli pojedę sam. To długa podróż, trzynaście godzin.

- W porządku. Mogę się trochę przejechać. Chcesz coś zamówić do jedzenia czy pojechać do Thredbo na lunch?

- Lunch? - Pokręcił głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji. - Skoro mamy jechać, możemy wyruszyć zaraz. - Pochylił się, by wziąć ukulele ze stołu. - Jeśli się pośpieszymy, dotrzemy tam po zmroku. Bo żeby pojechać konno, musimy wyruszyć jutro o szóstej, najpóźniej o siódmej, bo po południu w Mungo robi się za gorąco.

- No to się pośpieszmy - odparła Larissa. - Nie chcemy przecież, żeby zrobiło się za gorąco.

* * *

W terenówce wypełnionej bagażem Kai był nadal bardzo ożywiony, trochę podenerwowany. Larissa uświadomiła sobie, że Pooncarie głęboko zapadło mu w serce i nie wiedział, jak jej o tym powiedzieć. Rzucił więc tylko urywki informacji.

Czy można tam łowić na muchę? Pływać kajakiem? Zadawała mu pytania, by zaczął mówić o radosnych rzeczach.

- Nie latem - powiedział - bo rzeki i strumienie wysychają. Ale poczekaj, aż zobaczysz kolory skał, głęboką czerwień wydmy. O tak, Larisso, na pustyni są wydmy. - Pokręcił głową w zdumieniu. - Nazywają je Wielkim Murem Chińskim. Kiedyś było tam jezioro i choć wyparowało, na jego dnie pozostały wydmy. Aborygeni łowili tam ryby dziesięć, dwadzieścia tysięcy lat temu, ale teraz rosną tam tylko niskie krzewy, a ziemię niszczy erozja spowodowana przez wiatr i wodę, piasek pustynny i glinę. - Oddychał nierówno, dając się porwać wspomnieniom. - Jeśli będziemy mieli szczęście, może uda nam się zobaczyć wielkiego wombata.

- Myślę, że szczęście nam nie dopisze, jeśli go zobaczymy.

Roześmiał się i mówił dalej o bezkresnym horyzoncie, od którego można się uzależnić. Wyjechali z Alp otaczających Jindabyne i zostawili za sobą ośnieżone szczyty i sosnowe lasy górskich dolin. Larissa musiała przyznać, że nie potrafi sobie wyobrazić miejsc, które opisywał. Tereny wokół Jindabyne były górzyste i gęsto zaludnione wokół rzek. Mungo przypominało jałową nieckę pełną pyłu, ale co mogła powiedzieć? Miała nadzieję, że się myli. Sądząc po jego zauroczeniu tymi okolicami, najwyraźniej się myliła.

Podróż po jednopasmowej wąskiej drodze wśród Gór Śnieżnych dłużyła się. Coraz mniej było zieleni, a jeśli już była, to coraz częściej wypalona, teren stał się płaski, potem znów się zazielenił i pofałdował, ale góry zniknęły. Okolica przypominała teraz bardziej amerykańską prerię. Aż w końcu zastąpiły ją niskie wzgórza i rzadkie lasy sosnowe i eukaliptusowe. Utknęli za wolno jadącym samochodem i jechali tak przez sto mil. Ich terenówka była solidna i mogła jechać po każdej nawierzchni, ale nie mogła wyprzedzić innego samochodu: zupełnie nie miała przyspieszenia.

Po stu czterdziestu milach Kai skręcił na Stuart Highway, a w Gum Creek Larissa powiedziała nagle:

- Kai, tutaj nic nie ma.

I rzeczywiście nie było. Ani drzew, ani ptaków, ani rzek. Nic. Tylko wąska droga i gruboziarnisty piasek jak okiem sięgnąć. Było dziwnie pochmurno.

- A l e wyobraź sobie, jak to wygląda, gdy świeci słońce - powiedział Kai.

- Nie muszę sobie wyobrażać. Mniej więcej tak samo. Nic nie ma. Tylko słońce wali z góry.

Krajobraz był upiorny, jak nie z tego świata. Nie mogła się do niego przekonać; pozbawiona roślinności okolica przytłaczała ją, dokładając jeszcze jeden ciężar do tych, które już dźwigała, i powiększając ucisk w żołądku. Tak chyba nie będzie w Pooncarie? Chciała zapytać Kaia, ale się powstrzymała. W końcu wystarczy zaledwie dziesięć mil, by płaski teren przeszedł w porośnięte lasami góry, a pełne winnic doliny - w eukaliptusowe dżungle. Wszystko może się zmienić na przestrzeni dziesięciu mil.

Ale Stuart Highway okazała się zupełnie inna. Jedyłą rzeczą, która uległa zmianie po dziesięciu, a potem po dwustu milach, było to, że tamto pustkowie było niczym, *niczym* w porównaniu z absolutną pustką, przez którą jechali teraz. Poczucie, że znajdują się na totalnym odludziu, było coraz bardziej duszące. A droga ciągnęła się dalej przez niezamieszkane, puste tereny.

- Jak długo będziemy jechać tą drogą? - zapytała Larissa zduszonym głosem. Jakby to było ważne. A przecież nie chodziło o drogę, lecz o to, dokąd ich prowadzi.

- Jeszcze pięćset mil.

Pięćset mil!

- Jak ktoś może tu mieszkać?

- Przecież widzisz, że nikt nie mieszka.

- A jeśli zepsuje się samochód?

- Lepiej, żeby się nie zepsuł.

- Nie żartuj. Jest tu zasięg?

Spojrzał na komórkę.

- N i e .

Oczywiście. Dlaczego miałby być?

- Ta okolica to pusta karta - powiedział Kai. - Musisz sobie wyobrazić rzeczy, które były tu tysiąc lat temu.

- Zanim wypaliło je słońce?

- Tak. Wyobraź sobie wodę wpływającą do jeziora Eyre, wiele mil stąd, największego jeziora w głębi lądu i najniższego punktu Australii. Kiedyś wypływające z niego rzeki były pełne wody i wiły się przez bujną okolicę.

- Czy jezioro jest teraz pełne?

- Zapełniło się tylko kilka razy w ciągu ostatnich dwustu lat - odparł Kai, pogwizdując *Zip-a-Dee-Doo-Dah*.

- Dobra, Kai - powiedziała, zamykając oczy, by nie widzieć pustki. - Wyobrażam sobie rejs po rzece, ptaki nieloty, wielkie torbacze. - Wyprowadzę przez busz. Jak daleko jeszcze? Maude... Yanga.

W Yandze pojawiło się trochę więcej roślinności i Larissa nabrała optymizmu, ale dziesięć mil dalej, w Benanee, znów powróciła pustka. Larissa spojrzała na Kaia, by sprawdzić, czy widzi to co ona. Ale on stukał palcami w kierownicę, nucąc *Give a Little Whistle*. Skupiony na drodze. Nic nie widział.

W Monak ziemia przybrała czerwoną barwę.

- To czerwony piasek - wykrzyknął Kai. - Piękny, prawda?

- Jasne. Można się gdzieś tu zatrzymać?

Kiedy wysiedli, by zatankować i zjeść wczesną kolację, zasypał ją opowieściami o zachodach słońca. Im goręcej, tym bardziej spektakularne. Zawsze trzeba coś poświęcić, by coś otrzymać. Larissie było straszliwie gorąco. Nie było ucieczki przed upałem. Czy teraz coś poświęcali? W takim razie co otrzymają? Och, proszę, niech to nie będzie - paskudnym wyrokiem boskim - mądrość.

- Myślisz, że w Pooncarie będzie chłodniej? - Wytarła spoconą twarz. Nic niejadła, nie miała apetytu.

- Dwadzieścia stopni więcej, mówiłem ci. Leży w niecce.

Ach tak, niecka. A jak nazwać to? Płaskowyżem czy panoramiczną trasą widokową przez Allegheny? Już tęskniła za popołudniową alpejską bryzą w Jindabyne. Tęskniła za letnimi liśćmi, które nie były brązowe. Tęskniła za hałasem i dobrą muzyką w wykonaniu młodych mężczyzn i śpiewem dziewcząt w przesyconej zapachem fermentującego chmielu ciemności. Tęskniła za rzeczami, których tutaj straszliwie brakowało. Bała się Pooncarie i nie wiedziała dlaczego. Nie bała się przecież Paranaque.

Czy to wspólna cecha wszystkich ludzi? Czy zawsze pragniesz tego, czego nie masz? Każdy krajobraz, każda pora roku, liście, widoki, białe stiuki, chłodne okna. Lód, śnieg, ocean. Słonorośla, pustynia, krzewinki, jałowe wydmy. Czuła się trochę jak te ostatnie.

Larissa podejrzewała, że nie zawsze wszystko zamienia się w nic, choć trudno było w to uwierzyć teraz, kiedy jechali przez totalną pustkę. Mglisto przypominała sobie rozmowę z ojcem Emiliem i cichy, pogrążony w półmroku pokój, gdzie siadywała z nim każdego popołudnia, gdy kojącym głosem mówił jej, że jest świadkiem swojego własnego życia, że Bóg pobłogosławi jej pustą duszę, jeśli będzie go potrzebowała, że nie wyśle kobiet do grobu, lecz sam zejdzie do biednego stworzenia siedzącego przed Nim w smutku, jeśli tylko poszuka ono pociechy. Każdą minutę swojego dnia ojciec Emilio poświęcał na to, by ulżyć nieco przygniecionym ciężarem sercom. Widziała to na twarzach sierot, które gładził po głowie, przechodząc. Dlatego on jest księdzem, a ja nie, pomyślała. Jest świętym. Powiedziała mu wtedy, że raczej nie potrzebuje pociechy. Tak naprawdę potrzebowała odpowiedzi.

A teraz nie miała ani tego, ani tego. *Jak mam najlepiej żyć?*

- Ile jeszcze pojedziemy? - zapytała Kaia. - Niedługo zrobi się ciemno.

Ale Kai ciągnął swoją opowieść i nie odpowiedział.

- Mówiłem Billy'emu-0, że powinien oferować inne wycieczki. Pół dnia, cały dzień, nawet cały tydzień aż do Cairns albo Uluru. To byłoby coś.

- Do Uluru na koniu?

- Nie. Terenówką. Jak ta.

- Właśnie - zauważyła znacząco Larissa - ale gdzie Billy-O zdobędzie taką terenówkę?

Kai nie chwycił przynęty.

- Powiedziałem mu, że mógłby wyjeżdżać z jeziora Mungo i jechać aż do jeziora Eyre w dziesięcioosobowej terenówce. Jasne, lepiej, jeśli będzie tam woda. Łowienie ryb na muchę, kajaki. Ale turyści kochają przygody. Mógłby robić to co my, rozbijać obóz. Palić ognisko, coś ugotować. Śpiewalibyśmy piosenki, opowiadali straszne historie z australijskiego buszu. Rytualne pochówki, wombaty pożerające dingo, takie rzeczy.

- My, Kai?

- C o ?

- Mówiłeś o Billym-O, a powiedziałaś my.

- Chodziło mi o niego. Przejęczyłem się. - Ale zaraz przestał się uśmiechać i zamilkł.

W upale Larissa była coraz bardziej rozdrażniona.

- Mówisz mi, że jezioro Mungo zupełnie wyschło, cała radość z łowienia ryb wyparowała w gorącym słońcu, nie ma deszczu, nie ma pstrągów tęczowych. Myślisz, że nieszczęśni turyści to kupią? Brzmi jak jedno wielkie rozczarowanie. - Zaśmiała się niewesoło. - Powinno się je nazwać jezioro Rozczarowanie.

- Nie. Na zachodzie już jest jedno jezioro Rozczarowanie.

- Chciałabym je zobaczyć.

- Jeśli tylko chcesz, Larisso - odparł. - Ale czy naprawdę musimy jechać aż tak daleko? - Był nieprzyjemny w tej suchej powściągliwości, jak rzeka, która przez siedem miesięcy lata była wyschnięta. Teraz ona nie chwyciła przynęty.

W Trentham Cliffs na piasku rosły kępy drzew, lecz Larissa była już tak oderwana od cywilizacji, że drzewa nie zrobiły na niej wrażenia. Wiedziała, że to tylko przykrywa maskująca pustkę. Pod drzewami i tak rozciągała się pustynia. Droga nazywała się Silver City Highway, co brzmiało romantycznie, niemal inspirująco! Srebro, wizja czegoś błyszczącego, dostępnego, a jednak tajemniczego. I miasto, oczywiście,

powinno lśnić na wzgórzu. Jednak... za Wentforth Silver City Highway straciła nazwę. Nie była nawet wlokącą się Stuart Highway. Tam, dokąd zmierzali, drogi nie miały nazw. Trzeba było mieć szczęście, żeby się nie zgubić. Czy można się było dziwić, że poczucie kłęski przesączało się przez pory jej skóry i osiadało w bolących kościach?

Larissa oderwała się od rzeczywistości, co wcale nie było trudne, bo rzeczywistość nie miała żadnego krajobrazu, *i wyobraziła sobie siebie w kuchni w San Augustin, piekła chleb pandesal, mleko skondensowane, jajka, cukier, sól, masło, drożdże, bułka tarta, a potem siedziała przy wysokim oknie i czekała, aż ciasto wyrośnie, obserwując, jak monsunowy potop zalewa trawnik, jakby klasztor był arką na wzburzonych wodach.*

Po popołudniowych deszczach wyobraziła sobie siebie w parku wodnym na Florydzie, kiedy mieli go tylko dla siebie i raz po raz wbiegali na schody, by zjechać rodzinną rurą, wbiegali w mokrych kostiumach na sto pięćdziesiąt stopni, Larissa, Jared, Emily, Asher i Michelangelo, krzyczeli i piszczeli, i wreszcie za piątym razem Michelangelo, który miał jakieś trzy lata, powiedział: „Idź, mamusiu, pospiesz się, jedź beze mnie, ratuj się. Bo ja nie mam stóp”. Larissa wzięła go na ręce i zniosła sto pięćdziesiąt stopni na górę.

Było ciemno, gdy Kai powiedział nagle:

- Zmierzamy donikąd.

Larissa otworzyła oczy. I zamknęła.

- Ale zmierzamy tam razem.

7

Pooncarie

O północy milę od Tarcoola Street skończyło im się paliwo. Kai myślał, że wystarczy. Oczywiście jego komórka nie miała zasięgu. Poza tym do kogo miałyby zadzwonić? Billy-O był w buszu.

- To jak do ciebie rano zadzwonił? - zapytała Larissa, ponieważ właśnie uświadomiwszy sobie ten logiczny błąd we współczesnej technice.

- Kto?

- Billy-O.

- O co ci chodzi? Dzwonił z komórki.

- Wiem. Ale jest na czerwonej pustyni, gdzie nie ma ani jednego przekaźnika. Wiemy coś o tym. Nie mieliśmy zasięgu przez siedemset mil. To gdzie on go znalazł, żeby do ciebie zadzwonić?

- Nie wiem, Larisso. Czy jestem operatorem sieci Telstra? - Zamknął terenówkę. - Chodź. Weź torebkę. Wrócimy po resztę rzeczy rano.

- Myślałam, że rano jedziemy do parku narodowego.

- Bo jedziemy. Będę musiał tu przyjść przed wyjazdem.

- Tak wcześnie otwierają tutaj stacje? - zapytała. - O szóstej rano jest aż tak wielkie zapotrzebowanie na benzynę?

Spojrzał na nią zimno.

- Idziesz?

Przeszli milę w milczeniu. Nocą ciągnęła się jak dwadzieścia. Jaki dystans dzielił jej dom przy Bellevue od stacji kolejowej w Summit? Też tylko jedna mila? Zadrzała.

Dom Billy'ego-O przy Tarcoola Street był zamknięty od frontu.

- Nie martw się - powiedział Kai. - Zwykle zostawia tylne drzwi otwarte. - Były jednak zamknięte.

- Co teraz? - zapytała. - Za pięć godzin musimy wstać. Możesz do niego zadzwonić? Może nam się poszczęści i znów złapie zasięg w buszu.

- Pewnie śpi.

- Wyświadczy mu przysługę - rzuciła ostro. - Możesz do niego zadzwonić? - Nie miała pojęcia, jak wygląda Pooncarie, bo w tej chwili było ciemno, choć oko wykol. Kai bez powodzenia próbował się dozwonić do Billy'ego.

Dwie przecznice dalej znajdowała się stacja benzynowa, która miała również hotel i ogródek piwny. Stacja była zamknięta na noc, a hotel był pełen. Dlaczego trudno jej było w to uwierzyć? Ale ogródek piwny

był otwarty do drugiej, a zatłoczony Poon Pub podskakiwał jak klub w Greenwich Village w sobotnią noc.

Kai nie chciał wejść, tłumacząc się nagłym zmęczeniem, lecz Larissie chciało się pić i poprosiła o zimne piwo. Weszli do środka.

Ponieważ nigdy nie jest tak źle, żeby natychmiast nie mogło być gorzej, pierwszą osobą, którą Larissa zauważyła przy jednym ze stolików, była Cleo Carew, blond kociak z baru Balcony, która rozmawiała z grupką innych biednie ubranych dziewczyn.

Najpierw pojawiła się ogromna dziura w brzuchu, a po niej rozpoznanie.

Larissa opadła na krzesło przy lepkiem stoliku i patrzyła na tył głowy Kaia stojącego przy barze. Przywołanie barmana i zamówienie dwóch piw zajęło mu kilka minut i kilka uderzeń pięści. Z otwartymi ustami Larissa patrzyła na twarz Cleo siedzącej kilka stolików od niej, która co prawda rozmawiała z przyjaciółkami, ale podniosła wzrok, gdy Kai odwrócił się z piwem w rękach. Skinęła mu głową i lekko się uśmiechnęła. Kai tylko do niej mrugnął.

Larissa nie wiedziała, co myśleć. Mieli za sobą ponad dwanaście godzin i tysiąc trzysta wyczerpujących kilometrów jazdy do jakiegoś zapyziałego miasteczka ze stu pięćdziesięcioma mieszkańcami w samym środku słonego pustkowia, gdzie mieli wykonać nagłą pracę dla Billy'ego-O, i tutaj, w barze bez nazwy - w Pooncarie! - siedziała dziewczyna, której imienia Larissa wolała nie wypowiadać, i kiwała głową Kaiowi, jakby chciała powiedzieć: „Cieszę się, że nareszcie tu dotarłeś”. Nie: „Co ty tutaj robisz?”. Nie: „Co za niespodzianka”. Nie: „Chyba skądś cię pamiętam”. Ale: „Nareszcie. Jesteś tutaj”. I w żaden sposób nie pokazała, że zauważyła obecność Larissy, ani się z nią nie przywitała.

Za to Kai nie zachował się tak, jak zachowują się ludzie, którzy dostrzegają mgliście znajomą twarz. *O, cześć, to ty... jak ci leci?* Nie udają, że nie znają osoby, której nalewali piwo do szklanki w innym barze, w innym mieście.

Kai wrócił i podał Larissie zimne piwo, którego nagle jej się odechciało, i zapytał, czy ma ochotę coś zjeść, ale też odmówiła, choć zaledwie pięć minut wcześniej narzekała, że jest strasznie głodna. Teraz

jednak miała wiele innych powodów, by narzekać. Dziewczyna, otoczona przez miejscowych, wyglądała absurdalnie młodo, prawie jak absolwentka szkoły średniej, lecz jednocześnie na tyle głupkowato, by można było uznać, że nigdy do niej nie chodziła. Albo że ją rzuciła. Śmiała się za głośno, jakby chciała, żeby wszyscy na nią patrzyli. Jej ubranie było nieco luźniejsze niż w barze Balcony, miała na sobie szerokie džinsy i top z wysokim stanem, który opadał z mocno odsłoniętych piersi.

Odwróciwszy lodowate spojrzenie od Cleo, Larissa utkwiała wzrok w pozbawionej wyrazu twarzy Kaia. Pił spokojnie piwo i uśmiechnął się do niej uprzejmie.

Wypiła piwo pięcioma łykami.

- Chodźmy.

- Dokąd?

- A co proponujesz? Będziemy siedzieć przez całą noc w barze aż do wyjazdu? Wrócmy do domu, może wejdziemy przez okno. Albo jeszcze raz zadzwonimy do Billy'ego-O. Może odbierze.

Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy.

- Zadzwonię jeszcze raz. Wyjdę na zewnątrz, żeby lepiej słyszeć. Ale umieram z głodu - dodał. - Kupię sobie kanapkę. Na pewno nic nie chcesz?

- Nie. Ale dziękuję.

Zawsze taki uprzejmy. Larissa nie mogła dłużej usiedzieć, więc wstała i oparła się o ścianę. Czekwała na niego, obserwując jego plecy, kształt jego głowy, ostrzyżone przy skórze włosy, bo było zbyt gorąco, by nosić długie. Teraz wyglądał jak smukły żołnierz. Jak inny człowiek. I na pewno tak się zachowywał.

Cleo wstała! Podeszła do baru długiego na dwadzieścia stóp, przy którym dziesięć stołków było wolnych, ale oczywiście musiała stanąć obok Kaia, i skinęła na barmana. Ich głowy nie pochyliły się jednak ku sobie. W pubie było głośno i duszno, a oni się nie poruszyli, nie przysunęli do siebie, w żaden sposób nie pokazali, że się znają. Kai opierał się o bar z piwem w dłoni, czekając na kanapkę, a ona stała wyprostowana i zamawiała następnego drinka. Gdyby Larissa nie była zdumiona jej

obecnością w tym prawie opustoszałym mieście, przysięgłaby uroczyście, że są z Kaiem obcymi ludźmi, którzy przypadkiem stanęli obok siebie, by zamówić jedzenie i drinki u tego samego barmana.

A jednak.

Niewątpliwie język ich ciał wyglądał znajomo. Nie stali obok siebie jak obcy. Stali, jakby rozmawiali ze sobą, nie poruszając głowami.

Kai dostał swoją kanapkę, zapłacił i wrócił do Larissy. Ich stolik był zajęty, więc stanęli przy ścianie. zaproponował jej kawałek, ale odmówiła i kiedy skończył jeść, wyszli. W całkowitym milczeniu poszli do domu Billy'ego, gdzie drzwi były nadal zamknięte i światła zgaszone.

Usiedli na schodach werandy i czekali w ciemności. Ale na co?

Kai zadzwonił do Billy'ego-O. Tym razem odebrał. Rozmawiali krótko, jak na mężczyzn przystało.

- Co jest, stary? Siedzę przed twoim domem i nie mogę wejść do środka. - Zakończył połączenie.

- Będzie tu za chwilę.

- Za chwilę? Przyjedzie z buszu?

- Wrócił z trzema końmi. Ale jutro rano znów wyjeżdża.

- Dlatego tu przyjechałeś? - rzuciła nagle Larissa. - Dla niej?

- O czym ty mówisz?

- Udajesz głupiego?

- Nie. Tylko nie wiem, o czym mówisz.

- K a i !

- Larisso!

Rozmawiali podniesionymi głosami, na czyjejs werandzie, na czymś podwórku. Larissa siedziała na betonowych schodach, opierając łokcie na kolanach. Nie patrzyła na Kaia, lecz na siebie, jakby opuściła swoje ciało i widziała drobinę prochu, którą była, siedząc tysiąc mil od najbliższego oceanu na południowej półkuli pod czystym niebem, tysiące mil od innych kontynentów, innych krajów, dziesięć tysięcy mil od autostrady, która prowadziła do Bellevue, ulicy w kształcie podkowy na szczęście. Wpatrywała się w pustkę, którą nosiła w sobie.

- Dlaczego nie możesz być ze mną szczerą? - zapytała cicho nie-swoim głosem. - Dlaczego zachowujesz się, jakbym była idiotką

i uwierzyła we wszystko, co mi powiesz? Wiem, że chcę uwierzyć. Nie chcę myśleć, że mnie okłamujesz, oszukujesz. Ale przejechaliśmy taki szmat drogi, a ty twierdzisz, że nie wiesz, o czym mówię, kiedy wpadamy na jedyną osobę, której mieliśmy już nigdy nie zobaczyć.

- Dlaczego ona jest jedyną osobą, której mieliśmy już nigdy nie zobaczyć?

- Kai, myślisz, że jestem aż tak głupia?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie - odparł zimno. - Ale czy ty uważasz mnie za aż takiego durnia? Myślisz, że przywiózłbym cię tutaj, gdybym przyjechał dla niej?

- Nie wiem. Przywiózłbyś?

- A jak myślisz?

- Dlaczego stale odpowiadasz pytaniem na pytanie?

- To dlaczego zadajesz tyle pieprzonych pytań?

- Dlaczego ona tu jest?

- Nie wiem! Jestem jej niańką?

- Nie wiem. Jesteś?

- Kurwa mać!

Nagle w sąsiednim domu otworzyło się okno i wściekły męski głos zawołał:

- Ciszej tam! Jest druga nad ranem! Cicho, do kurwy nędzy! Ludzie za dnia pracują.

Uciszyli się.

- Mieszka tutaj. W tym mieście - wycodził Kai przez zaciśnięte zęby. Patrzył w ziemię. - Wiedziałaś, że tu mieszka. Co to ma ze mną wspólnego?

- Dobra. Dzisiaj zobaczyłeś ją pierwszy raz od czasu Jindabyne?

- Co? Nie. W mieście jest tylko jeden bar. Widywałem ją. Przycho-
dzą tu z Bilyl-O, ona z przyjaciółmi.

- To dlaczego się z nią nie przywitałeś? Dlaczego się nie uśmiecha-
nałeś i nie powiedziałeś: „Cześć, Cleo”?

- Nie. Wiem. O. Czym. Mówisz. - Potarł twarz. - Dlaczego miał-
bym coś do niej mówić? Nie odezwałem się przecież do pozostałych
trzydziestu osób w barze.

- W porządku.

Kłamał? Mówił prawdę? A może było to kłamstwo, które brzmiało jak prawda? Czy prawda, która brzmiała jak kłamstwo?

Pięć minut później przed dom zajechał rozklekotany pikap.

- O Boże - powiedział Billy-O, wyskakując - a może wypadając - z samochodu. Przeskoczył przez niskie zardzewiałe ogrodzenie, brzęcząc kluczami. - Długo czekacie? Przepraszam. - Uścisnął dłoń Kaia, skinął głową Larissie. Był zalany.

- Dlaczego zamknąłeś te cholerne drzwi? - zapytał Kai. - Zawsze zostawiasz tylne otwarte.

- N i e wiedziałem... Zapomniałem. Przepraszam, stary.

Weszli do małego bungalowu ze zniszczonymi, zatechłymi meblami. Larissa nie miała pojęcia, dlaczego Billy w ogóle zamyka dom, bo nie było tam nic, co można by ukraść. Kai miał rację: nie było tu dla niej miejsca. Prawie nie było miejsca dla Billy'ego-O, bo na podłodze i krzesłach walały się ubrania, otwarte pojemniki ze starym jedzeniem, torebki po chipsach i puszki po piwie.

- Przepraszam za niewielki bałagan - powiedział Billy-O. - Oszczędzam na nową kanapę. - Jakby te dwie informacje były ze sobą w jakikolwiek sposób powiązane.

- Nie martw się, Larisso. - Beknął. - Mam dla was łóżko. Mnie będzie tutaj dobrze. - Opadł na kanapę i zaczął zwijać skręta. - Co planujecie? Ona jedzie z tobą? Wybierasz się do Mungo, Larisso? A byłeś kiedyś w buszu, kochana? - Młasnął językiem, zapalając skręta. - Tam jest piekielnie gorąco. Wiem. O mało co dziś nie umarłem. Nie zapomnij kapelusza. Bo masz kapelusz? Kai, nadal nie wiem, jak niczego niepodejrzewający turysta spędzi tam sześć godzin w siodle. Cały interes padnie po dwóch dniach. - Zacmokał. - No, Larissa może być naszym królikiem doświadczalnym. Jeśli wytrzyma, może być. Inaczej chyba powinieneś ograniczyć wycieczki do godziny lub dwóch. Miastowi tego nie wytrzymają. To nie ty i ja, brachu.

- Będzie dobrze. - Kai pokręcił głową, odmawiając skręta.

Ponieważ Larissa nie miała gdzie usiąść, snuła się niepewnie wśród bałaganu, próbując znaleźć miejsce, by przycupnąć. Kiedy mijała tele-

fon, zauważyła migające czerwone światełko. Przyjrzała się uważniej. Obok widniała cyfra siedem. Jak siedem wiadomości. Podniosła bezprzewodową słuchawkę i przyjrzała się guzikom. Na jednym z nich widniał napis IN. Przycisnęła go. Oczywiście jeden po drugim pojawiły się numery dzwoniących. Ostrożnie odłożyła słuchawkę na bazę i wyprostowała się, by lepiej usłyszeć Kaia i Billy'ego-O. Spierali się, czy można dojechać konno do świętego Graala parku narodowego, wydm tworzących Wielki Mur Chiński. Billy-O był sceptyczny. Ale był też pijany, więc nie mógł wygrać.

- Myślisz, że rozpieszczeni turyści usiedzą na koniu w tym piekielnym upale? Nie wiem, co ci chodzi po głowie, stary - powiedział. - Mówię ci, powinniśmy zorganizować wyprawę w stylu safari i zapomnieć o koniach. Ptaki jeszcze są. - Zamyślił się, wypalając skręta do końca. - Kakadu, ziarnojady, także kangury i zające. Panie mogą robić zdjęcia. Amerykanie uwielbiają kangury. Sezon polowań jeszcze się nie zaczął, więc na piasku nie będzie za dużo krwi. - Zaśmiał się.

- Konie przyciągną internetowych turystów, Bill - powiedział Kai. - Zaufaj mi. W wyprawach samochodami jest za duża konkurencja. A ty zaoferujesz coś innego.

Larissa wycofała się do maleńkiej kuchni we wnęce. Kai powtarzał jej, że konie to pomysł Billy'ego-O, tymczasem z urywków tej rozmowy wynikało, że było wręcz przeciwnie. Szukając wody, otworzyła lodówkę. Znalazła w niej coś paskudnego i zepsutego. Śmierdziało jak zdechły wąż. A chciała się tylko czegoś napić. Billy-O zawołał, żeby napiła się wody z kranu.

- Jutro kupimy wodę w butelkach na wyprawę. Musicie jej dużo wziąć.

Larissa wróciła do pokoju i przyglądała się siedzącym obok siebie mężczyznom. Billy-O, niski, bezpretensjonalny, pijany i lekko naćpany, mówił:

- Dlaczego tak się wam spieszy? Musicie jechać jutro? Ja umówiłem się z Kevinem na wyprawę po konie i już mi zapłacił, więc nie mogę zrezygnować. Jeśli zaczekacie, pojedziemy razem pojutrze.

Trzeźwy Kai wbił w niego spojrzenie i odparł:

- Musisz oddać jutro proponowane trasy do Izby Turystycznej, żebyś mógł je umieścić w sieci. Zapomniałeś?

Larissa, spocona, spragniona, wykończona, z milionami igiełek przebijającymi skórę, słuchała Kaia teraz, a jednak nadal słyszała jego głos *wtedy*, bo głośny i wyraźny mocno wrył się jej w pamięć. To nie była nawet przeszłość, lecz terażniejszość! Bo jeszcze dziś rano mówił jej, że Billy-O zadzwonił do niego z buszu i poprosił o przysługę. A jednak Billy-O siedział u siebie w domu i pałac skręta, mówił o trasach, jakby zapomniał o pośpiesznie uzgadnianych szczegółach - że w ogóle poprosił o przysługę.

Billy-O klepnął Kaia w ramię. Z zaszkłonymi oczami nawet siedział niepewnie. Larissa nadal stała w przejściu pomiędzy kuchnią a pokojem.

- Bill, o której otwierają stację benzynową? - zapytał Kai.

- O ósmej.

- Na pewno?

- To coś, co wiem na pewno. Często brakuje mi gorzały.

- Mogę gdzieś teraz kupić benzynę?

- Jest druga nad ranem. Co, u licha, będzie otwarte o tej porze?

- Dobra - odparł Kai. - Podrzucić mnie do terenówki. Muszę wziąć nasze rzeczy.

- Raczej nie mogę jechać, stary - odparł Billy-O, opadając na kanapę. - Nie jestem w stanie się ruszyć... - Oczywiście zaczęły mu się wywracać.

- Złapiesz jutro piękne konie - westchnął Kai. - Daj mi kluczyki. - Odwrócił się do Larissy. - Wrócę za pół godziny.

Czekała na niego do czwartej. Nieprzytomny Billy siedział na kanapie. Całe to miejsce było obrzydliwe. Nie mogła się położyć w czyimś łóżku. Przysiadła w rogu kanapy, daleko od zaprawionego gospodarza, i przechylona na bok bezmyślnie wpatrywała się w ciemność.

- Billy - szeptała. - Powiedz mi, co się dzieje. Powiedz mi. Billy, słyszysz mnie?

W pewnej chwili wydało się jej, że słyszy jego szept: *Larisso, wyjedź stąd zaraz, nie zostawaj...* Ale kiedy usiadła, by na niego spojrzeć, miał zamknięte oczy.

Obudziła się, gdy Kai potrząsnął ją za ramię.

- Wstawaj. Musimy jechać. Już siódma.

Jak podejrzewała, Billy-O nie chciał jechać. Zasnęła przeciągnęła się, by rozprostować bolące ciało, i spojrzała na Kaia nadal we wczorajszym ubraniu.

- Która godzina?

- Musimy jechać.

- Powiedziałaś, że wrócisz za pół godziny. - Podniosła się z trudem. Billy-O skulił się na drugim końcu kanapy.

- Wróciłem. Spałaś. Próbowiałem cię obudzić, ale bez skutku. - Skrzywił się z obrzydzeniem. - Billy-O nie zmienił pościeli i nie wiedziałem, gdzie jest czysta. Nie chciałem, żebyś spała w czymś takim.

- Zostawiłeś mnie na kanapie?

- Lepiej tam niż w tej pościeli.

Jednak z jakiegoś powodu nie wyglądał, jakby sam w niej spał. Chciała zapytać, czy przyniósł rzeczy, czy może wziąć prysznic, czy coś zjedzą, napiją się kawy. Ale nie miała siły. Nie miała siły, by zapytać go o cokolwiek.

8

Diabelski wyścig

Wyjechali o dziewiątej. Billy-O zaczął się niepokoić, że będzie za gorąco, że wyruszają za późno; powinni zostać jeszcze jeden dzień i pojechać jutro. Kai się nie zgodził. Muszą oddać plany tras w terminie, inaczej będą musieli czekać do następnego sezonu turystycznego. Larissa się zgodziła. Za nic nie zostanie w Pooncarie jeszcze jeden dzień.

Zaskoczyła ją stajnia **Billy'ego-O**. Fakt, że jego mieszkanie wyglądało jak kontener na śmieci, a stajnia przypominała hotel Ritz - Carlton, zakrawała na paradoks. A jednak stajnie były nieskazitelne, konie czyste,

siano w skrzyniach, świeża woda migotała w metalowych wiadrach, padok otaczał solidny płot. Wszystko wyglądało na świeżo pomalowane, naprawione i bardzo zadbane. Billy-O kochał swoje konie i było to widać.

- Gdzie są te słynne siwe klacze? - zapytała Larissa, rozglądając się po boksach.

Pokazał jej.

- I co myślisz? - zapytał. - Sądziysz, że dwa konie są warte tyle co ducati?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie, choć wielkie zwierzęta były naprawdę piękne. Ale piękny był także ogniście pomarańczowy motocykl. Kai szybko wyprowadził ich ze stajni.

- Kiedy wróciacie, zostawcie konie na padoku, nic im nie będzie - powiedział do niego Billy-O. - Nie zapomnij ich nakarmić po powrocie. Po wiaderku dla każdego, siewca i zboże. Możesz dać im marchewki. I nie zapomnij uzupełnić wody. Paruje w upale.

- Nie martw się, stary. Wiem. Robię to przecież od trzech miesięcy. Zajmę się wszystkim.

Billy-O pochylił się w stronę Larissy.

- Uwielbia jeździć konno - powiedział cicho. - Ale nie bardzo lubi zajmować się końmi.

Osiadł dwa ułożone walery: szarego lekkiego dla Larissy, średniego kasztana dla Kaia.

- Nie dla nas siwe klacze? - zapytała z uśmiechem.

- Nie. Kai mówi, że są tylko dla turystów...

- Musimy jechać, Billy - przerwał mu Kai. - Pospiesz się.

- Te są lepsze - powiedział Billy-O. - Oba są mieszańcami. Ponieważ rodzą się na wolności, nie znam ich rodowodu. Nazywam twojego Lekkim, Larisso, bo jest szybki, ale przekonasz się, że to wielkie zwierzę. - Czule poklepał konia po chrapach, poprawiając trochę uzdę. - To świetne konie na szlak. Twój jest wyjątkowo łagodny. To siedmioletnia klacz. Mógłbym na niej posadzić sześciolatka. Zgadza się, Shiloh? Prawda, malutka? - Pocałował konia, a potem pomógł Larissie usiąść

w siodle. - W porządku? A teraz pomyśl, co chcesz zabrać ze sobą, a co zostawić. Bo w tej kurtce za pół godziny umrzesz z gorąca.

- Jeśli będzie mi za gorąco, zdejmę ją.

Pokręcił głową.

- Musisz zostać w tym, co masz na sobie, bo ani na sekundę nie możesz wypuścić wodzy z rąk. Puścisz je, a stracisz kontrolę nad koniem.

Larissa doszła do wniosku, że to dobra rada. Zdjęła dżinsową kurtkę i została w przezroczystej białej bluzce.

- Jak Kai będzie opisywał szlak, jeśli nie może puścić wodzy?

- Nie martw się o mnie, Larisso. Trzymam wodze jedną ręką, a drugą piszę. No, kończmy. Naprawdę musimy już jechać - rzucił zniecierpliwiony z grzbietu swojego konia o imieniu Hal.

- Onajeszcze nie może jechać, stary, nie wie, jak radzić sobie z koniem. - Billy-O podniósł wzrok na Larissę. - Posłuchaj. Trzymasz wodze lewą ręką, a prawą przytrzymujesz się łątku.

- Dlaczego nie mogę trzymać wodzy obiema rękami?

- Możesz spróbować. Ale co zrobisz, jeśli będziesz musiała się przytrzymać? Teraz słuchaj. Kiedy chcesz jechać w lewo, pociągasz lewą wodzę i kopiesz konia prawą stopą, jeśli w prawo, pociągasz prawą i kopiesz lewą. Kiedy chcesz się zatrzymać, ściągasz wodze i krzyczysz „Łoa”. Kiedy masz kłopoty, krzyczysz „Jiha!”. Kapujesz?

- Tak. Nie wydaje się zbyt trudne.

- Bo nie jest. Nie zapominaj też, że siedzisz na zwierzęciu, które waży prawie pięćset kilo. Uszanuj to.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dzięki, Billy-O.

- Nie ma sprawy. Kai, nie zapomnij odłożyć map, kiedy wrócisz.

- Zrobi się. Gotowa?

- Macie wszystko? Trzymaj się siodła, Larisso.

- Mamy wszystko.

Billy nadal poklepywał czaprak na koniu Larissy.

- Woda.

- T a k .

- Dla was i dla koni?
- T a k .
- Długopis i notes do opisanie szlaku?
- Tak - zawołał Kai.
- Apteczka?
- N i e .
- O, stary. - Billy-O pokręcił głową z wyrzutem. - Tak nie może być.
- Nasza jest niekompletna.
- Nie macie zabierać waszej, ale tę przynależną do konia. - Zniknął w stajni i po chwili wrócił ze skórzaną medyczną torbą. - Zaufaj mi, to wasze ubezpieczenie. Jeden raz pojechałem bez apteczki, mój koń się spłoszył, spadłem, ale noga utknęła mi w strzemieniu. Ciągnął moją żalostną dupę przez pół mili po australijskiej równinie. - Zdjął kapelusz i pokazał Larissie sześciocalową bliznę w kształcie podkowy na czubku głowy.

Zbladła.

- Na miłość boską. I w czym pomogła ci apteczka?
- W niczym. - Billy-O się roześmiał. - Ale spadłem tylko dlatego, że jej nie miałem. Wszystkie inne wypadki, które miałem potem, to pikuś w porównaniu z tym. Bo teraz zawsze zabieram apteczkę.
- Dobra, panie przesądny - powiedział Kai, mocując torbę do łąku siodła. - Jest w niej wszystko czy to tylko talizman?
- Coś jest. Plastry. Aspiryna. Super-glue na duże rzeczy jak mój łeb i strzykawka z surowicą na te paskudne skurwysyny. - Uśmiechnął się do Larissy. - Wybacz język.
- Dobra. Możemy już jechać?
- Kai, masz telefon? - zapytała Larissa.
- Mam, ale się rozładował - odparł. - Zapomniałem go wczoraj podłączyć.
- Nie martw się, Larisso - pocieszył ją Billy-O. - Tam, dokąd jedziecie, i tak nie ma zasięgu. - Poklepał konia po szyi. - Bądź grzeczna dla pani. I pamiętajcie, droga powrotna zajmie wam pół godziny dłużej.
- Billy! Wiem - powiedział poirytowany Kai. - Jeździłem już

z pięćdziesiąt razy. Wiem co i jak. Potrzebujemy tylko zmierzyć czas na przerwy, przejazd i punkty widokowe. Znam się na tym.

- Wróćcie przed popołudniowym skwarem. Masz kompas?

- Nie potrzebuję. Wiem, dokąd jadę. Ruszamy, Larisso.

Billy-O z ociąganiem zdjął rękę z końskiej szyi.

- Larisso, bądź ostrożna - powiedział. - Mówiłem Kaiowi, że musi odprowadzić konie, ale nie wspomniałem o jeźdźcach. - Uśmiechnął się. - Już poważnie, zawsze trzymaj wodze, kiedy kierujesz koniem.

- Nie martw się, Billy. - Ściskając wodze jedną ręką, pochyliła się i poklepała go po ramieniu okrytym kraciastą koszulą. Zmieniała opinię na jego temat. Był przyzwoitym facetem.

- Bądź dla niej dobra - ciągnął. - Shiloh potrzebuje bardzo łagodnej ręki. Wiecie, jak używać strzykawki z surowicą?

- Bill, do kurwy nędzy! - wykrzyknął Kai. - Nie zsiądziemy z koni. Wrócimy za cztery godziny. Przestań gdać jak kwoka.

- Billy, odpuść tę wyprawę po konie. - Larissa uśmiechnęła się do niego. - Wskakuj na siodło i jedź z nami. Poczujesz się lepiej?

- Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Muszę iść na własną egzekucję. Kevin zabije mnie za trzy godziny spóźnienia. Nie zdejmujcie kapeluszy, bo dostaniecie udaru. - Dotknął ronda.

Kai już ruszył. Billy-O klepnął lekko Shiloh. Zakołysała się na boki, po czym ruszyła przed siebie.

* * *

Jazda konna, gdy jest się zmęczonym, jest straszna. Nogi muszą przez cały czas pracować, by panować nad koniem i rytmicznie unosić ciało nad siodłem. Prawa dłoń, którą Larissa ściskała łęk, była otarta, bolała ją lekko wyciągnięta lewa ręka, którą trzymała wodze. Po godzinie jazdy przez zapyloną równinę miała dość. Kai jechał przed nią i zaznaczał szlak. Widziała tylko jego plecy w koszulce z napisem „Riders on the Storm”, zupełnie jakby siedziała za nim na ducati. Teraz jednak oddzielało ich dziesięć stóp pustyni. Zatrzymywał się co jakiś czas, żeby zapisać coś w notesie, i ruszał dalej. Rzadko się oglądał, by

sprawdzić, jak Larissa sobie radzi. Cyprysy i eukaliptusy rosły rzadko i daleko. Bliżej znajdowała się trawa, skały, kamienie, nierówny teren, piasek, glina, żar słońca i bezchmurne niebo.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że Pooncarie to port nad rzeką.

- Mówiłem. Bo było portem.

- Było? Kiedy? Czterdzieści tysięcy lat temu, kiedy Aborygeni panowali nad mokradłami? Wiesz, w Jersey też kiedyś chodziły dinozaury. Ale nie mówię, że Summit jest prehistorycznym jurajskim miastem.

- Mogłabyś. Nie zrobiłoby to dla mnie różnicy.

- To mylące i tyle. - Nie zamierzała marnować cennego oddechu na dyskusje o jego skłonności do przemilczania pewnych rzeczy.

Za każdym razem, kiedy pochylała się, by sięgnąć po wodę, z trudem utrzymywała równowagę, wolała więc znosić pragnienie i siedzieć prosto w siodle. Shiloh ją przerażała. Teraz szła bardzo spokojnie, ale Larissa podejrzewała, że nie ma to nic wspólnego z nią, bo gdyby klacz nagle zdecydowała się ponieść, zachwiać z boku na bok lub z głośnym rżeniem wierzgnąć tylnymi nogami, ona nie mogłaby nic zrobić. Nasunawszy głęboko na czoło kapelusz Stylemaster i owinawszy wodze wokół nadgarstka, trzymała się mocno łęku. Nie ona kierowała koniem, lecz koń nią. Byli jeźdźcami na dwóch z czterech koni Apokalipsy. Co oznaczały kolory w Apokalipsie? Studiowała jej fragmenty do monologu dla Great Swamp Revue w tym samym czasie, kiedy Evelyn uczyła się Hioba. Kasztan Kaia był czym? Wojną? „I wyszedł inny koń barwy ognia, a siedzącemu na nim dano odebrać ziemi pokój, by się wzajemnie ludzie zabijali - i dano mu wielki miecz”. A jej koń, prawie biały? Nie chciała myśleć o tym ani sekundy dłużej. „Oto koń trupio blade, a imię siedzącego na nim Śmierć i Otchłań”.

Śmieszne. Spójrz na Kaia, weź z niego przykład, jest taki odprężony. Najwyraźniej po trzech miesiącach w buszu czuje się w siodle komfortowo. Miał na sobie buty do konnej jazdy i wielki kapelusz Akubra, który chronił go przed słońcem. A paliło straszliwie.

Larissa czuła, jakby siedziała na koniu trzy lata. Tak bardzo bolały ją nogi.

- Która godzina? - zawołała.

- Jedenasta.

Dopiero jedenasta!

- Chcesz się niedługo zatrzymać?

- Jeszcze nie. Przestań tyle pić. Nie będziesz się musiała zatrzymać. I trzymaj się mocno. - Kai obejrzał się. - Nie owijaj wodzy wokół nadgarstka. Jeśli coś się stanie...

- Co może się stać?

- Milion rzeczy, Larisso. Koń może zobaczyć węża. Boją się ich i może nagle ponieść. Słyszałaś Billy'ego-O. Jeśli spadniesz z konia i będziesz miała wodze owinięte wokół rąk, Shiloh będzie cię ciągnęła przez milę, zanim przestanie galopować. Wyświadczyć więc sobie przysługę i nie owijaj wodzy wokół nadgarstka.

Nieustanne kołysanie końskiego zadu niepokoiło Larissę. Czuła się jak surowe jajko na dachu samochodu, który zaraz miał zacząć wyścig polnym traktem.

- Jakie tu są węże?

- Mulgi, jak wszędzie - odparł Kai. - Ale w tej części Mungo na niewielkim terenie żyje też bardzo rzadki tajpan pustynny. Nawiasem mówiąc, to jedyne jego tereny na przestrzeni setek mil. Zdumiewające, prawda?

Kiedy przyjechali do Australii, byli z Kaiem zafascynowani bogactwem niebezpiecznych jadowitych stworzeń. Po jakimś czasie fascynacja minęła. Ale Larissa pamiętała bardzo dobrze tajpana pustynnego, kuzyna zachodniego tajpana, najbardziej jadowitego węża na świecie.

- Nie zsiądziemy z koni, więc przestań się martwić.

Ale na tym właśnie polegał cały problem. Larissa *się martwiła*. Musiała zsiąść z konia, by dać odpocząć rękom i nogom. Było jej coraz bardziej gorąco i wszystko ją bolało. Najbardziej stale wyciągnięte nogi. Podobnie jak serce, które nawet nie siedziało w siodle. Nic się jej tu nie podobało, nienawidziła tego miejsca. Tysiąc razy wołałaby mieszkać w rozwalającej się chacie Che, niż spędzić jeszcze jeden dzień na tym wypalonym pustkowiu.

Kopnęła lekko konia, by przyspieszyć i zrównać się z Kaiem. Jechali dalej w milczeniu.

- Niedługo zawrócimy - powiedział po chwili. - Bardzo chcę dotrzeć do wydm Wielkiego Muru Chińskiego. To byłaby prawdziwa atrakcja dla turystów.

- Żadna atrakcja - odparła. - Tortura. Jak dla mnie.

- To widać - odparował natychmiast.

- Tu jest potwornie. Chcę stąd wyjechać, jak tylko wrócimy.

- Możesz wyjechać, kiedy zechcesz - powiedział. - Zawsze mogłaś.

Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłaś.

- Bardzo lubię twój przyjaciela Billy'ego-O - odparła, ignorując jego uwagę. - Myślałam się co do niego. To porządny facet.

Kai nie odzywał się przez kilka minut. Rozciągali chwilę milczenia w otaczającej ich czasoprzestrzeni. Stukot kopyt, upał, cisza. Oboje patrzyli przed siebie.

- Larisso - powiedział w końcu. - Nie wracam do Jindabyne.

- C o ?

- Nie wracam. Nie chcę. Chcę zacząć nowe życie tutaj.

- Gdzie? - zachnęła się. - W domu Billy'ego-O?

- Nie... w moim własnym. Znalazłem mały dom niedaleko stajni. Chcę tu zostać. I prowadzić konne wycieczki.

- Konne wycieczki? - Larissa zacisnęła dłoń na wodzach. Gdyby łąk nie był zrobiony z bardzo wytrzymałej skóry, rozpadłby się pod naciskiem jej drugiej dłoni. - Powiedz mi, to Billy-O wpadł na ten pomysł czy ty?

- Ja - przyznał.

Spojrzała na niego ze złością, zastanawiając się, w czym jeszcze ją okłamał.

- Zastawienie motocyklu też było kłamstwem?

- Nie zastawiłem go. Sprzedałem, żeby zapłacić za te dwie niesamowite klacze.

Larissie odebrało mowę.

- Nie mogę uwierzyć, że sprzedałeś motor! - wykrzyknęła w końcu.

- Kocham konie, co więcej mogę powiedzieć?

- Jak New Jersey, swojego ducati, Jindabyne? Nie tak dawno mówiłeś mi, jak bardzo to wszystko kochasz.

- Owszem - odparł, kiwając głową. - Ale wtedy nie widziałem jeszcze tego.

- To jest odrażające.

- Dla ciebie. Dla mnie jest transcendentalne.

- O mój Boże. - Larissa puściła łęk i otarła twarz z potu. - Dlatego tak bardzo się ociągałeś i dręczyłeś mnie w Crackenback?

- Tak. Skończyłem już z Jindabyne i nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć. - Odłożył notes i długopis i trzymał wodze, nie patrząc na nią.

- A co się stanie, kiedy zobaczysz następną rzecz? Zajmiesz się łowieniem wielorybów? Uprawą ziemi? Łowieniem koralii? Polowaniem na krokodyle? Co wtedy zrobimy?

- Kiedy nie będę mógł dłużej tu zostać, wyjadę. Larisso, szukam nowych granic, odległych terenów, nie rozumiesz? W poszukiwaniu piękna szukam ucieczki w naturze. Nie potrzebuję pieniędzy. Nigdy ich nie potrzebowałem. Pragnę nieosiągalnego spełnienia.

- Zgoda - rzuciła. - Ale co ze mną? Tutaj jest okropnie. Czy to coś dla ciebie znaczy? Że będę nieszczęśliwa? - I wtedy przyszło jej do głowy coś, o czym nie chciała myśleć. Automatyczna sekretarka, której miało nie być. Telefon z identyfikacją numerów. Działająca komórka. Listy, których nie napisał. Wysłanie jej na Filipiny. O nie. Czy on...

- Wyruszyliśmy w cudowną podróż - powiedział cicho Kai. - Mieliśmy wspaniałe życie. Ale naprawdę uważam, że przyszedł czas na następny rozdział.

- Co ty wygadujesz? - wydusiła z trudem.

Było gorąco i zaschło jej w ustach. Od dawna nic nie piła. Ręka trzymająca wodze drżała i koń zaczął się dziwnie zachowywać. Nie wiedział, czego Larissa od niego chce. Zwalniał, potem biegł szybciej, odwracał głowę, rzucał zadem na boki. Nie czuł, że Larissa z nim współpracuje.

- Muszę ruszyć dalej - powiedział Kai. - To cała prawda.

- Ruszyć dalej skąd? - Jej głos zamienił się w ochrypły szept. -

Beze mnie? - zapytała z niedowierzaniem, jakby właśnie przyszła jej do głowy najbardziej szalona myśl i była pewna, że zaraz usłyszy zaprzeczenie.

On jednak nie odpowiedział, tylko ściągnął konia, by dotrzymać jej kroku. Hal przestępował z nogi na nogę, stukając kopytami na kamieniach. Kai nie chciał na nią patrzeć, nie chciał spojrzeć jej w twarz.

- Czy nic nie było prawdziwe? - szepnęła.

- Dlaczego celowo wypaczasz moje słowa? - Teraz Kai zatrzymał konia. Dopiero po chwili zorientowała się, że zrobił to dlatego, że zatrzymała się Shiloh, gdyż Larissa w rozpaczy ściągnęła wodze. Kai odwrócił Hala i konie stanęły blisko siebie, łbami przy zadach. Trzymając jedną ręką wodze, Kai przycisnął pięść do serca. Patrzyli na siebie.

- To, co mieliśmy, było prawdziwe i piękne - powiedział z naciskiem. - Wszystko było głębokie. Kochałem cię całym sercem, Larisso. Ale to się skończyło. Czas ruszyć dalej. Nie czujesz tego? Daj spokój! - wykrzyknął. - Nie łączy nas już ani odrobina tego, co mieliśmy kiedyś, i to od dobrych paru lat. Odsuwaliśmy się od siebie... - Zacmokał, jakby chciał powiedzieć *c'est la vie*. - *I* teraz jesteśmy na końcu drogi. Zanim wyjechałaś do Manili, staliśmy się tak prozaiczni. Na co masz ochotę na śniadanie, podaj mi gazetę, co chcesz robić po południu. Bla-bla-bla. Zostaliśmy udomowieni jak Hal i Shiloh. Pomyśl o dzikich zwierzętach, którymi kiedyś byliśmy. - Pokręcił głową i uniósł rondo kapelusza. - Nie chcesz tego odzyskać? Z kimś innym? Bo ja nie będę piekł ciast w kuchni, rozpakowywał zakupów. Nie chcę wpaść z tobą w rutynę. Spacerowałem z tobą. Jeździłem na wyprawy. Żeglowałem po morzach, jeździłem z tobą na motorze, dzieliłem z tobą łóżko i kochałem cię na więcej sposobów, niż wydawało mi się to możliwe. Wszystko już robiliśmy. I nie zostało nic, tylko ruszyć dalej.

Larissa nie mogła wydusić ani słowa. Puściła wodze, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. Jej posłuszny koń, mimo luźnych wodzy, nie wyrwał się, lecz stał dalej spokojnie obok towarzysza.

- Larisso, co robisz? - Stali na tyle blisko, że Kai mógł się pochylić i spróbować oderwać jej dłonie od twarzy. Wyrwała się, o mało co nie tracąc równowagi. Dysząc i płacząc, chwyciła się łęku.

- Nie wiem, czy to gra - powiedział Kai. - Odgrywasz przede mną przedstawienie? Dlaczego płaczesz? Nie mów, że tego nie wiedziałas.

- Wiedziałam, że mamy problemy, ale wszyscy je mają. Byliśmy razem, tak bardzo sobie oddani. Myślałam, że jesteśmy zakochani! Myślałam, że nie chodzi o to, żeby uciec, ale żyć razem...

- Problemy? - zaśmiał się cicho. - Nie mieliśmy problemów...

- Dlaczego przywiozłeś mnie aż tutaj! - wykrzyknęła. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym w Jindabyne?

- Próbowałem! Mówiłem ci w każdy możliwy sposób, tylko nie słowami.

- Próbowałeś mi powiedzieć? - Z trudem chwytła powietrze. - Jak? Dlaczego po prostu mi nie powiedziałeś?

- Bo nie chciałem takiej sceny jak ta! I nie chciałem cię zranić. Chciałem, żebyś sama dostrzegła prawdę, doszła do ewidentnie słusznego wniosku, zachowała trochę szacunku do samej siebie. Po co tak histeryzować? Nie znoszę scen.

- Dlatego wysłałeś mnie na Filipiny?

- Wysłałem cię na Filipiny, żeby dać nam tak bardzo potrzebny czas, byśmy mogli oczyścić głowy i serca. Naprawdę sądziłem, że być może zrozumiesz, co się dzieje. - Sfrustrowany przekrzywił głowę. - Że wyczujesz, jak się sprawy mają, i nie wrócisz.

- Pomyślałeś, że nie wrócę?

- Miałem taką nadzieję - przyznał szczerze. - To byłoby o wiele łatwiejsze niż to.

- Jak się sprawy mają?! - krzyknęła. Pozbawiony kontroli koń za-drżał. - Dlaczego do mnie nie napisałeś? Najwyraźniej niczego nie wyczułam. Dlaczego nie napisałeś, żebym nie wracała?

- Powinienem był napisać. Popełniłem błąd. Ale Bart, Bianca, Billy-O, wszyscy mówili mi, że na pewno nie wrócisz...

- Wszyscy wiedzieli? - Larissa nie mogła oddychać. Pochyliła się nad siodłem i oparła głowę na grzywie konia. Nie mogła usiedzieć, czuła się, jakby spadała. - Dlatego nie przyjechałeś po mnie na lotnisko? Pomyślałeś, że nie wrócę?

Kai skinął głową i przepaszająco wzruszył ramionami.

- Kiedy Billy-O zadzwonił do mnie i powiedział, że czekasz na lotnisku, przynajmniej, że byłem wstrząśnięty. - Uśmiechnął się lekko. - Ale zważywszy na okoliczności, dotarłem do Sydney w niezłym czasie.

Larissa poczuła, że zaraz zemdleje. Obojętny wyraz twarzy Kaia w zderzeniu z jej rozpaczą był nie do zniesienia.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - jęknęła. - Wiem, że byłoby mi ciężko, ale twoje oszustwa, kłamstwa, moja paranoja, pragnienie, by ci zaufać, bo przecież ludzie sobie ufają... Widziałaś, że niczego nie rozumiem! Dobra, byłam tępa, byłam idiotką, myślałam, że wszystko się ułoży, zważywszy na to, ile rzeczy musieliśmy poświęcić, by być razem. - Przycisnęła palce do oczu, żałując, że nie jest ślepa. - Nie sądziłam, że wszystko się skończy, bo ty nie chcesz dać się udomowić!

- Nie poniżaj mnie. Nie chodzi tylko o to.

- Ja cię poniżam? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Pomyślałem, że będzie ci trudniej.

- Nic nie może być trudniejsze od tego - szepnęła.

- Teraz już wiem. - Rozłożył ręce i zażenowany wzruszył ramionami. - A l e jestem jeszcze bardzo młody. Nadal się uczę.

- Przecież coś zostało - szepnęła przez duszące ją łzy.

- C o ?

- Miłość. - Głos znów odmówił jej posłuszeństwa. - Przecież ona została.

Milczał przez chwilę.

- Bardzo mi przykro, Larisso. Niewiele jej zostało. Nie jest już taka jak kiedyś.

- A czy w ogóle coś z niej zostało?

Pokręcił opuszczoną głową.

- Nie kochasz mnie już? - spytała z niedowierzaniem.

- Przykro mi. - Zasznurował usta. - Już cię nie kocham.

Shiloh żuła wyschniętą trawę. Słońce paliło jak ogień. Larissa nie odzywała się przez długą chwilę.

- Tu chodzi o nią, prawda? - powiedziała nagle bardzo głośno. - Udajesz, że chodzi o szlachetne poszukiwanie odpowiedzi, ale tak naprawdę chodzi o tę durną dziwkę Cleo.

Jego twarz stężała.

- Przestań. Nie mów o niej w ten sposób.

- Jak mam o niej nie mówić? Przecież zawsze o nią chodziło. Poznałeś ją w Jindabyne, poprosiłeś, żebyśmy się zabawili we trójkę, bo ona jest tego typu dziewczyną, a potem odesłałeś mnie jak tchórz, żebyś mógł przyjechać tutaj i być z nią. Powiedz mi, że to nieprawda.

Wykrzywił usta i pocierał siodło dłońmi. Nie patrzył na nią.

- Co się z tobą, kurwa, dzieje!? - wrzasnęła. - Po co przywoziłeś mnie do tej pieprzonej dziury, gdzie ona mieszka, żeby mi o tym powiedzieć? Dlaczego nie powiedziałeś mi w Crackenback?

- Próbowałem przyjechać tu bez ciebie, ale pamiętasz, jak nalegałaś? Pojadę z tobą, czemu nie mogę jechać, chcę jechać. No to jesteś!

- Przyjechać beze mnie? Co to w ogóle znaczy, ty draniu? Powiedz mi!

- Nie chciałem dopuścić do takiego wybuchu hysterii.

- Planowałeś uciec do Pooncarie jak mała dziewczynka, kiedy ja zostałam w hotelu, i po prostu nie wrócić?

- Nie wiedziałem, co robić. Byłem zdesperowany. Dla mnie to też jest bardzo trudne, Larisso.

- Naprawdę? Trudne? Nie mogę uwierzyć w to, co robisz - powiedziała, pochylając się w rozpaczy nad końską szyją. - Nie mogę uwierzyć, że doprowadziłeś nas do czegoś takiego.

- To nadciągało od dawna. Byłaś ślepa. Nie chciałaś tego dostrzec. A działo się tuż przed twoim nosem.

- N i e o t o m i c h o d z i . C h o d z i m i o n i ą . . . t ę p i e p r z o n ą b r z y d k ą w y w ł o k ę . . . O B o ż e !

- Nie mów tak o niej! Jesteś okrutna.

- J a ?

- Dla niej tak. Jesteś bardzo złośliwa. Ona wcale nie jest brzydka - rzucił w obronie Cleo. - Tak dla twojej informacji, w zeszłym roku wygrała konkurs piękności w Broken Hill. Została Miss Silver City.

- Miss Silver City! - Larissa roześmiała się przez łzy. - Konkurencja musiała być naprawdę ostra, skoro wygrała taka paskuda.

- Larisso! Nie będę tego dłużej słuchał. Przestań!

- Kai... - Wytarła twarz i próbowała przestać szlochać. - Ty i ja... tyle poświęciliśmy, żeby być razem... nie jesteś mi nic winien?

- Nie wiem, Larisso - odparł, zdejmując kapelusz i wycierając pot z twarzy. - Czy jestem ci coś winien? Tak jak ty byłaś coś winna mężowi i dzieciom?

Poczuła się, jakby wymierzył jej policzek.

- Nawiasem mówiąc - dodał - traktuję cię lepiej, niż ty potraktowałaś ich. Przynajmniej wyjaśniam ci, co się dzieje.

- Jak możesz mówić coś takiego? - Zakreśliło się jej w głowie, poczuła mdłości. Jej twarz, pomimo gorąca, była lepka i zimna. - Mój Boże, jak możesz tak nie mieć serca?

- Wszystko będzie dobrze - powiedział niemal wesoło. Nawet teraz sprzedawał jej samochód. - Po prostu wróć do domu.

- Niech dobry Bóg ci wybaczy, bo nie wiesz, co robisz, nie wiesz, co mówisz - wyszeptała. - Kto mnie przyjmie z powrotem?

- Daj spokój. Czemu nie? Przypomnij sobie, co mówiłaś o Nalini. Nadal czeka na matkę. Twoje dzieci też na ciebie czekają. Nigdy nie jest za późno. Wróć do domu. Powiedz im, że popełniłaś straszliwy błąd. Powiedz, że jest ci przykro.

- Mam im powiedzieć, że jest mi *przykro*

Wzruszył ramionami.

- Coś im powiedz. Możesz wrócić jutro autobusem.

- Wrócić jutro autobusem - powtórzyła jak automat. - A ty?

- Mówiłem ci, że zostaję tutaj. - Uśmiechnął się lekko. - Zauważyłaś wczoraj w barze? Luźne ubranie Cleo? - Kiwnął głową z podnieceniem. - Ona jest w ciąży!

Larissa przestała oddychać. Przyłożyła dłoń do gardła. Dusiała się.

Mówił dalej upiornie radosnym głosem.

- Wiem, że to trudne, ty... i ja, i wszystko, ale z mojego punktu widzenia czy to nie jest wspaniałe? No, nie możesz choć trochę cieszyć się ze względu na mnie? Wiesz o mnie wszystko, wiesz, jak było mi ciężko, z czym musiałem żyć. Po Simi i Eve już nigdy nie byłem taki sam. To moja druga szansa, by mieć dziecko, zostać ojcem. Wiesz, ile to dla mnie znaczy; nie muszę ci mówić. Jestem taki szczęśliwy. Wyna-

jąłem domek dla nas i dla dziecka. Zanim Cleo zrobi się bardzo gruba, chyba się pobierzemy...

Może sprawiła to jego twarz, tak obojętna, gdy mówił straszliwe słowa, tak upokarzająca. Równie dobrze mógł opowiadać jej o atomach, pieczeniu ciast lub nurkowaniu u wybrzeży Wailea. Tak łagodna. Larissa nie wiedziała, czy chodzi o jego twarz, brutalne słowa czy potworną obojętność w oczach w stosunku do tych lat, które spędzili razem. A może o przepaść dzielącą jego wielkie zadowolenie i jej bezdenną rozpacz. Może o wszystkie te rzeczy, może o żadną. Może nie chodziło o lata, a o dzieci. Wzmianka o jej rodzinie, po której nastąpiło radosne oświadczenie o ciąży. Nieważne. Ostatnie kilka miesięcy przed wyjazdem do Manili Larissa była tak bardzo samotna i nieszczęśliwa, kłóciła się z nim, wymuszała seks na zgodę i fałszywe obietnice i teraz doszła do krawędzi. Krawędzi siebie. To nie może trwać. Ja nie mogę tak trwać. Zaczęła krzyczeć. Nie wiedziała, jak to się stało, że go popchnęła. Ale zrobiła to. Rzuciła się na niego ze zwierzęcym wrzaskiem furii, nienawiści i rozpacz. Wiedziała, że człowiek wydaje z siebie taki krzyk tylko wtedy, gdy wścieka się na kochanych ludzi, którzy go zdradzili. Całą siłą swojego ciała i pięści popchnęła go tak mocno w pierś, twarz i szyję, że zsunął się z konia. Wzięła tak wielki zamach, że też zsunęła się na ziemię i znów poczuła, jakby spadała z nieba, leciała głową w dół. Ale spadła nie z nieba, lecz z konia, i uderzyła kolanami w kamienie.

Po chwili zorientowała się, że leży na ziemi, trzyma się za kolano i krzyczy z bólu, tym razem fizycznego, czując, że ma otwartą ranę. A jednak rana nie bolała tak bardzo, jak bolały jego słowa. Tymczasem ich dwa spokojne, znakomicie ułożone konie, których nie miał poruszyć nawet wybuch bomby, przerażone niezrozumiałym ludzkim bólem pogalopowały przed siebie, co w ich wydaniu było jak zasłonięcie uszu poduszką, by nie słyszeć jej krzyku. Skuliła się w pyle. Może zemdlała.

Kiedy się ocknęła i powoli otworzyła oczy, ból ogarnął ją ze zdwojoną siłą. Jęknęła, próbując się skupić, unieść lekko, znaleźć Kaia. Leżał pod niskimi krzakami. Jego ciałem wstrząsały drgawki.

Nie miała pojęcia, dlaczego leży tak nienaturalnie na boku, rzucając rękami i nogami. Na pewno uderzył się w głowę, coś sobie złamał. Nie stał jednak przy nim koń i nie skubał spokojnie trawy. Larissa znów jęknęła, lecz Kai nie wydał z siebie dźwięku. Oczy wyszły mu z orbit. Oddychał ciężko. Krew sączyła się z pokrytych pianą ust. Chciała być mniej zła, ale przerażała ją ból w kolanie. Żałowała, że nie może pogalopować jak Shiloh. Bała się, że jest poważnie ranna.

Kai leżał zaledwie kilka stóp od niej, być może dzieliła ich szerokość dwóch koni lub niegdyś wspólnego łóżka. Bała się, że skreślił sobie kark. Popchnęła go i spadli z koni; siedziała teraz, trzymając się za kolano, a on leżał na boku i nie mógł się ruszyć. Poruszał jednak oczami i ustami. Szeptał coś do niej. Nie słyszała go, bo ciężko dyszała i bała się do niego zbliżyć. Nie, nie bała się. Po prostu nie mogła.

Spójrz na mnie. Siedzę na ziemi i trzymam się za kolano, bo boję się na nie spojrzeć. Więc patrzę na niego, a on też wygląda na przerażonego. Bardzo przerażonego. Szeptce coś do mnie. *Pomóż mi, pomóż.* Brzmi, jakby mówił: *Ukaśił mnie.*

- Co? - Jej głos drży.

To niesprawiedliwe! W jednej sekundzie jesteście wściekli jak nigdy dotąd, a w następnej oboje leżycie na ziemi, ty nie możesz ruszyć nogą, a on szeptce do ciebie bezgłośnie coś, co brzmi jak: *Ukaśił mnie.*

Ale przed chwilą powiedział, że cię już nie kocha! Powiedział, że powinnaś wrócić autobusem do domu, do rodziny! Zabrał cię, zabrał ci serce, wziął od ciebie wszystko. Nadal dyszysz po jego zdradzie! Zabolało cię to tak bardzo, że chciałaś umrzeć. Chciałaś, żeby on umarł. Zepchnęłaś go z konia, pragnąc zadać ranę jego duszy, a teraz on błaga cię o pomoc. Błaga *ciebie* o pomoc.

Kilka minut temu to ty go błagałaś. I dokąd cię to zaprowadziło?

A jednak... to, co do niego czułaś, nadal tam jest. To, co sprawiło, że chciałaś, by umarł. To, co teraz sprawia, że próbujesz się do niego podczołgać. Ale Kai mógłby równie dobrze leżeć o milion mil od ciebie.

- Co się stało? - pytasz.

Ukaśił mnie, szeptce znów bezgłośnie. *Proszę. Pomóż mi.*

Kiedy zdejmujesz rękę z kolana, widzisz źródło swojego fizycznego

bólu. Nie widzisz, co wywołuje ból, bo to coś kryje się pod ziemią na wyschniętym pustkowiu, w krzakach tej transcendentalnej tajemniczej dziczy, którą on tak kocha, ale wreszcie widzisz, co boli ciebie. Twoje kolano jest rozdarte aż po białą rzepekę, płynie z niego osocze i krew. Wypadają białe lepkie kawałki.

Larissa zaczyna hiperwentylować. Ma otwarte kolano! A są na to- talnym pustkowiu. Co teraz zrobi?

Zaczyna szlochać.

Kai nie płacze. Widać, że jest sparaliżowany. Nie może się ruszyć. Leży, jakby przygwoździły go jego własne kości. Konwulsje rąk i nóg nasilają się. Strasznie jest na niego patrzeć, lecz jeszcze straszniej jest spojrzeć na siebie. Może tylko trzymać kolano obiema rękami, zasko- czona, że tak głęboka otwarta rana nie krwawi mocniej. Gdyby tylko konie wróciły. Koń Kaia odbiegł niedaleko w poszukiwaniu wody i je- dzenia. Jej też stoi blisko, ale nie tak blisko, by mogła go chwycić. Wstrząśnięta Larissa zapomniała, jak ma na imię.

- Może ktoś się tu zjawi - mówi, osłabiona przez strach. Oddycha płytko i spogląda ukradkiem na jego przerażone i błagające oczy.

- Larisso - szepce. - Weź surowicę. Jest na koniu.

- Jaką surowicę?

Słońce pali bezlitośnie. Wiele rzeczy jest bezlitosnych. Nagle rozu- mie. *Ukusił mnie.*

- Wąż?

Teraz zdecydowanie nie chce się do niego podczołgać. Odpełznął? A jeśli nadal jest gdzieś blisko?

- Na którym koniu? - pyta.

Mała skórzana torba przymocowana do siodła. Billy-O wiedział, co mówi, gdy kazał im zabrać strzykawkę z surowicą na ukąszenia, zwłaszcza przez gady.

Czy to był tajpan pustynny? Jad jednego węża potrafi zabić sto do- rosłych osób. Larissa pamięta to z czasów, gdy fascynował ich cały australijski świat.

Tik, tik, tik. Tykający oddech, cisza, przerywana tylko powolnym stukotem kopyt konia bez jeźdźca. Tajpan, paraliżujący jad. Uszko-

dzenie nerwów. Mięśni. Nerek. Larissa przyciska dłonie do otwartego kolana. Próbuje wstać, ale nie może. Nie może ruszyć nogą. Uszkodził nerek. Może to przydarzyło się jej przyjaciółce Maggie. Ukąsił ją tajpan i wcale o tym nie wiedziała. Co powiedziała jej kiedyś Maggie? *Dopóki ludzie wierzą, że Bóg istnieje, będą się do niego modlić długo po tym, gdy przestaną się modlić o zmianę wiatru.* Napisał to jakiś mądry człowiek. Kto?

Czy jest już za późno, by zaczęła się modlić o zmianę wiatru?

Koń Kaia, który nazywa się Hal, odbiegł daleko z surowicą. Do następnej stacji kolejowej. Ulice miasta. Może tak daleko, jak daleko leżało pole golfowe od jej czerwonych frontowych drzwi. Może tak daleko, jak daleko stało jego ducati od jej escalade'a w tamten pierwszy zimowy dzień. Idź dalej, Larisso. Jest zimno i musisz odebrać ze szkoły małego chłopca, musisz być na treningu, recitalu wiolonczelowym, Bo szuka nowego kochanka, a Maggie chce cię nauczyć malować. Ezra chce ci opowiedzieć o Epikurze, a Jared kupić stalowe cudo na kołach, które z rykiem silnika pędzi Glenside przez Great Swamp, Deserted Village, Albright Circle i Lillypond, gdzie zostawiłaś serce. Koń z surowicą jest aż tak daleko.

- Nie mogę wstać - mówi do niego, do nieba. - Zraniłam się w nogę. Nie wiem... coś jest nie tak.

- Larisso! - Poruszają się tylko jego zakrwawione usta, rozbiegane oczy. Sztuczne ciało drży. Widzi, że jego palce i szyja zaczynają puchnąć. Wargi nabrzmiewają, coraz trudniej go zrozumieć.

Ale koń! Koń należy już do przeszłości, do rzeki pamięci, i nieuchronnie płynie do morza, do którego wpadają wszystkie rzeki. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, ma się tylko jedną szansę. Koń zniknął.

- Boże, pomóż mi... Sprowadź konia!

Widzi, jak Kai próbuje wstać, usiąść. Czy to dzieje się naprawdę? Mruga powiekami, nie, on leży, nie rusza się, tylko patrzy na nią. Ale znów się rusza! Wyraźnie jak miłość Larissa widzi, jak Kai siada, odwraca się, patrzy na nią błagalnym wzrokiem. Czy to jego dusza siada? Larissa mruga powiekami. Kai znów leży.

Larissa nie rusza się z ziemi unieruchomiona niezgłębionym smutkiem.

Umierał całą wieczność.

9

Siedem wieków Larissy

O czym się myśli, gdy jest się samym na pustyni? To zależy. Przez pierwsze cztery części czasu? Czy przez dwie ostatnie? W palącym słońcu czy kiedy otacza cię tak straszna ciemność, że zaczynasz się modlić? Modlić! Błagasz Boga, do którego nigdy nie zwracałaś się o pomoc! Jakaż to hipokryzja. Drogi Boże. Przypomnij sobie o mnie. Pomóż mi.

Jej ojciec, którego kochała jak nikogo innego na świecie, zanim porzucił rodzinę, mawiał do niej:

- Larisso, życie to nie przejście przez pole.

Nigdy nie wiedziała, co to znaczy, ale lubił to powtarzać.

Teraz prawie już wie. Chce konia. Shiloh, Shiloh... Shiloh z Cyreny... pomóż mi przejść przez pole.

To przecież park narodowy! Jak Yellowstone, jak Wielki Kanion, jak Great Swamp w New Jersey niedaleko jej domu... gdzie są ludzie, choć jedna osoba, jeden człowiek...

Są tutaj skamieliny ludzi sprzed czterdziestu tysięcy lat. Kai nazywał to czasem przed historią. Chodzili po buszu wśród rzadko rosnących eukaliptusów, wśród cyprysów w nadziei, że zauważą kangura, orła australijskiego. Tak mówił jej Kai i może miał rację, ale ona widzi tylko kamienie, fragmenty skał. Nie widzi żadnych kwiatów wśród porostów, żadnych kolorowych liści. Nie widzi, by Kai nadal się poruszał, siadał, nawet kiedy mruga.

Co się dzieje? Bohaterowie w swoich własnych historiach nie umie-

rają. Miała dyplom z teatru i angielskiego. Wie. Nie można ich dotknąć śmiercią.

Ale to nie jest historia Kaia, lecz Larissy. A ona nie jest bohaterką. Poza trójką dzieci, które bohatersko urodziła - i proszę, do czego to ją doprowadziło. Dzieci, spójrzcie na matkę.

Odwraca się od jego ciała, bo nie może znieść, że jest martwy, gdy ona pozostaje tak niepewnie żywa.

Niepewnie żywy to dobry sposób, by opisać wszystkich. W jednej chwili na koniu, w następnej... Gdyby tylko mogła chodzić. Ale podczas upadku musiała zerwać ścięgno. Nie jest w stanie chodzić. Nie może wstać, obciążyć nogi, poruszyć się do przodu. Potrzebuje konia, ale koń to nie Riot. Nie przybiegnie na wołanie. Nie przyjdzie też z własnej woli, żeby poszukać przy niej trawy. Nie.

Czy konie uciekły przed jej rozpaczliwym krzykiem, czy przed węzłem? Czy to ma jakieś znaczenie?

Larissa siedzi na ziemi, a gdy nie może już dłużej siedzieć, kładzie się na piasku i poruszając biodrami, odsuwa się od Kaia. Czołga się powoli jak żołnierz piechoty, aż znajduje się pięćdziesiąt stóp od niego, sto. Aż on staje się tylko drobiną, iluzją w blasku słońca. Mirażem.

Żeby tylko dostać się do konia... Potem... wsiąść na niego. Nie musi wcale chodzić, żeby to zrobić, musi się tylko na niego podciągnąć.

Zerwane ścięgno to jak sparaliżowana noga. Bezużyteczna. Czy zerwała ścięgno rzepkowe? I czy trzeba to naprawić operacyjnie? Sama myśl o tych dwóch słowach: naprawić i operacyjnie, w sytuacji, w której się znalazła, brzmi komicznie. Na płaskim terenie, gdzie jak okiem sięgnąć widać tylko pył, krzewy, karłowate eukaliptusy. Nic więcej. Żadnego telefonu. Szpitala. Innych ludzi. Za to węże. Upał. Nie chodzi o to, że konie zniknęły. Chodzi o to, że nie ma się jak do nich dostać. Przeklęte zwierzęta!

Po college'u Jared grał w weekendy w futbol i zerwał ścięgno Achillesa. To było okropne. Musiał przejść operację i nie mógł się ruszać przez kilka tygodni. Larissa była na meczu, kiedy odniósł kontuzję, i gdy do niego podbiegła, widziała, jak bardzo go boli. „Możesz wstać?” - zapytał trener. Jared próbował. Stopa wisiła bezwładnie,

gdy dwóch mężczyzn podniosło go pod ramiona i położyło w końcu na noszach.

Czy ktoś mógłby ją podnieść i położyć na noszach?

Chodź tutaj, Shiloh, chodź tutaj, Ha! Butelka z wodą jest przymocowana do siodła. Obok strzykawki z surowicą. Larissa wzdyga się. Zdejmuje bluzkę, rwie ją na pasy i najlepiej, jak potrafi, obwiązuje kolano. Spuchło i każde dotknięcie straszliwie boli, Larissa przygryza wargę i krzyczy. Myślała, że z prowizorycznym bandażem będzie się mogła ruszyć, ale to złudzenie. Z bandażem czy bez noga jest do niczego. Zerwane ścięgno jest znacznie gorsze niż złamana kość. Ze złamaną kością można stać. Po złamaniu kostki u fryzjera Larissa mogła się podnieść z brudnego dywanu w holu przed salonem, pokuśtykać do samochodu, nawet prowadzić. Dopiero cztery godziny później Jared zawiózł ją do szpitala. Tutaj nie mogła zrobić nic, nawet gdy minął szok po zobaczeniu otwartej rany. Zastąpił go kolejny wstrząs: ucieczka koni, strach przed wężami, rozpacz po utraconej miłości, utracony mężczyzna, z którym się związała, a potem palące słońce i paraliż Kaia. Wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie, z wielką siłą, z irracjonalną gwałtownością. Nadal czuła pod dłońmi jego pierś i ramiona, nieogoloną twarz z wyrazem zdumienia, kiedy uderzała go obiema pięściami, a z jej gardła wydobywał się rozpaczliwy krzyk; on próbował ją chwycić i spadał, spadał, spadał. Konie wyrwały się do przodu, przez co jeźdźcy stracili równowagę. A co z jego śmiercią? Czy to też ich wina?

Jakim absurdem było myśleć, że to przetrwa! Że przetrwa dzięki swojemu wielkiemu poświęceniu, cenie, którą musiała zapłacić, by z nim być. Albo że kiedy wypali się ogień, zostanie coś głębszego. Miłość, jak z Jaredem. Ale tutaj po łyżeczkowaniu nie zostało nic w wyskrobanej, porzuconej jamie wspólnego cierpienia.

Koń, jego? Jej? Równie dobrze mógłby być trzy mile stąd. Nie może się do niego dostać. Próbuje. Czołga się.

Jak długo się czołgała? Czy już wieczór? Raczej nie, słońce nadal jest wysoko. Wydaje się jej, że nieźle ją spaliło, choć skóra nie jest zaczerwieniona. Nadgarstki pokryte bąblami. Nadal ma na głowie kape-lusz Akubra Stylemaster, ale szerokie rondo nie zakrywa ciała. Kolano pulsuje z każdym uderzeniem serca. Liczy. Sześćdziesiąt, pięćdziesiąt, czterdzieści uderzeń niegodziwości na minutę.

Tutaj, na otwartej przestrzeni, prawda i konsekwencje grają w jej sercu, gdy nie ma się gdzie przed nimi ukryć, kiedy nie ma o czym myśleć, a z każdym oddechem ból staje się coraz większy.

Trudno uwierzyć, że nie została obdarta ze skóry za swoje grzechy.

Musi się dostać do konia, zanim zajdzie słońce. To konieczność, nie ma wyboru. Nie może, nie spędzi nocy na pustyni.

Jared, przepraszam.

Przepraszam, dzieci, mama was przeprosza. Ale nawet kiedy to powiedziała, czuła się jak gnida, że skrucha ogarnia ją w ostatniej chwili. Kiedy od nich uciekła, nie pozwoliła sobie, by o nich myśleć. Jechała z nim na motocyklu, z wiatrem we włosach, wdychała górskie powietrze, była rozpalona i spragniona, była słona, była Miłością, żyła! Szybko przekonała samą siebie, że rodzina sobie poradzi. Ale czy sobie poradziła? Trudno to było stwierdzić z perspektywy prehistorycznej Australii, na ziemi jadowitych tajpanów, obojętnych koni, mężczyzn, którzy oszukują. Jak można zastąpić miłość wiedzą? Odwołać egoistyczne plany? Jak można zmienić to, czego zmienić się nie da?

Gdyby tylko mogła się dostać do konia. Zbliży się do niego, pełznąc po ziemi, czy to tylko miraż? A może on zbliży się do niej? Larissa mruga. Shiloh natychmiast znika, zastępuje ją kępa wysokich, mocno rozgałęzionych drzew i brama, i mężczyzna jadący powoli konno przez opadające pole golfowe. W Short Hills Country Club jeździec na białym koniu obwieszczał zimowe przesilenie. Larissa starała się nigdy tego nie przeoczyć. Z wyjątkiem dwóch ostatnich lat, kiedy nawet nie wiedziała, że coś takiego się odbyło.

Jak przywołuje się konia? Co zrobiłby Billy-O?

Tutaj, koniku, woła, a przynajmniej tak jej się wydaje.

Tutaj, tutaj, koniku.

Woła konia czy kota? Żaden nie przyjdzie. A Riot by przybiegła. Była posłusznym psem. Przybiegłaby. Ale nie może wyjechać na Riot z Apokalipsy. Nie może wsiąść na swojego labradora.

Co powiedział jej Billy-O? Nie pamięta. Powiedział... powiedział... nie mów do konia „łoa”, chyba że chcesz, żeby się zatrzymał. Jeśli chcesz, żeby zwolnił, powiedz „wolno”. Nie mów „łoa”.

Larissa woła. Zbiera wszystkie siły w płucach i krzyczy: „Łoa!”. I jeszcze raz. Problem polega na tym, że nie wie, czy koń się porusza, zwalnia czy zatrzymuje. W słońcu wszystko drży, powietrze i koń też. Larissa pełźnie w pyłe, ciągnąc za sobą nogę. Bola ją otarte do żywego mięsa łokcie, przedramię krwawi.

Łoa, Shiloh. Łoa.

Od konia dzieli ją całe pole.

Życie to nie przejście przez pole.

A jeśli konia tam nie ma? Jeśli to także miraż?

Wszystko jest mirażem. Nawet ona. Bo jest jej strasznie gorąco, wszystko ją boli, w środku i na zewnątrz.

Una palabra. Jakie jest to *jedno słowo*, którego nie mogę znaleźć, które przyniesie mi pociechę, zatrzyma mojego konia albo mnie ocali? Dlaczego nie znam tego *una palabra*?

Gdzie się podział czas?

Przyjaciele z bożej łaski. Teraz wiedziała, dlaczego Bart tak ją potraktował. Wiedzieli. Wszyscy wiedzieli, że kochał inną, a z nią skończył. I kłamali dla niego. Nie wiedziała tylko ona.

O Boże! Dlaczego mnie teraz opuszczasz? Pomóż mi... Chcę tylko pojechać do Manili i zobaczyć się z przyjacielem. Chcę się zobaczyć z ojcem Emiliem i powiedzieć jego dobrej twarzy, że miał rację, a ja byłam taka głupia. Zobaczyć Nalini.

Larissa płacze pochylona i wdycha pył, dusi się, kaszle, wypluwa, dyszy. Tak bardzo chce jej się pić. Poczularby się lepiej, gdyby nie była tak spragniona. Słońce dręczy ją z nieba. Potrzebuje wody. Krzyczy cicho. Pomocy, pomocy. Jiha, jiha.

Wszystkie historie kończą się śmiercią.

Tak, ale nie moja.

Jego.

Nie moja. Eve. Simi. Kaia. Nie moja. Ja jestem narratorką mojej własnej historii. Muszę tylko wsiąść na konia, a wszystko będzie dobrze. Znajdę drogę. Pojadę do Nalini. Razem wymyślimy, co robić. Nadal potrafię robić różne rzeczy. Będę prowadzić autobus. Łowić ryby. Sprzedawać owoce ojca Emilia.

Muszą być jakieś rzeczy, które zrobię, gdy wsiądę na konia. Jestem już tak blisko. Jest w moim zasięgu. Łoaa, szepcze. Łoaa.

Słyszysz dylanowski dźwięk jego harmonijki, rzewne nuty słabo znanej melodii... Gra, potem urywa i zaczyna śpiewać. Siedzą w jej samochodzie, jest pora lunchu. Wydarzyło się już wiele, ale jeszcze więcej się wydarzy. Nie ma jeszcze od czego wracać i dlatego wszystko wydaje się takie proste, radosne, że aż boli serce. Gra, a potem śpiewa.

„Piękna marzycielko... obudź się dla mnie... Światło gwiazd i krople rosy czekają na Ciebie...

Piękna marzycielko, królowo mej pieśni...”.

Śmieją się oboje, a on patrzy na nią jednocześnie czule i zabawnie i liczy się tylko teraz.

Jak mógł mi to zrobić? Tak bardzo mnie kochał, jak mógł...?

Co według Dantego było największym grzechem? Nie żeby Dante był wielkim autorytetem od grzechów. Larissa nie znała jego osobistej historii, ale wystawiła dość sztuk Szekspira i przeczytała wystarczająco dużo Greków, a co ważniejsze - obejrzała *Ojca chrzestnego* i zaliczyła w college'u kurs o rodzinie Corleone, by wiedzieć, że wszyscy pisarze i poeci, podrzędni i klasycy, rząd Stanów Zjednoczonych i sam Jezus wypowiadali się jednoznacznie na temat najgorszego z grzechów. Nie było to morderstwo ani napad z bronią. Nie obżarstwo ani krzywoprzysięstwo. Nie wróżbiarstwo ani lenistwo.

Była nim zdrada.

Och, Kai.

Właśnie tak. Konstytucja Stanów Zjednoczonych stwierdzała wyraźnie: „Prezydent Stanów Zjednoczonych zostanie pozbawiony urzędu za Zdradę”. I żeby wiedzieć, na czym się stoi, ojcowie założyciele za-

pisali zdradę wielką literą, na wypadek gdyby ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości.

Pean Marka Antoniusza na cześć Cezara był równie oskarżający.

„Brutus, jak wiecie, był istnym w oczach Cezara aniołem. Bogowie, wyście świadkami, jak bardzo, jak czule kochał go Cezar!... Ja, wy, wszyscyśmy padli jednocześnie; a krwawa zdrada nad naszym upadkiem wydała okrzyk radości”.

Ojciec Emilio. Człowiek nie ponosi kary za grzech. Karą jest sam grzech.

Skóra Larissy pokrywa się bąblami.

Kiedy znów się zobaczę z ojcem Emiliem, zadam mu pytanie: Dlaczego najważniejsze ze wszystkich przykazań jest tak trudne do wypełnienia? Dlaczego tak łatwo je złamać? Dlaczego największy z grzechów jest tak łatwy do popełnienia? Jeśli to jest takie straszne, dlaczego wszyscy to robimy?

Dlaczego tak wielu z nas nie wierzy?

Larissa niemal słyszy głos duchownego: Najpierw spójrz na siebie, Larisso Stark. Nie pytaj, dlaczego inni nie wierzą. Dlaczego ty nie wierzysz?

Wierzyłam! - spiera się. Może później się nad tym zastanowi. Teraz najważniejsze to dostać się do konia. Już go prawie dopadła! Koń stoi nieruchomo, a ona się porusza. Jej lewy bok od ramienia po kostkę szoruje po ziemi.

Wierzyłam! Kochałam ich. Nadal ich kocham. Nie pozwalałam sobie myśleć o paznokciach Emily, które stale łamie, grając w siatkówkę, ale zapuszcza je, bo chce, by były tak długie jak moje. Nie pozwalałam sobie myśleć o Asherze siedzącym na moim łóżku i grającym mi na gitarze piosenkę, której nauczył się wczoraj, ani o Michelangelo wybiegającym na werandę w Lillypond z wołaniem: „Mamo, chodź, złapałem całą rodzinę żab. Wsadziłem je do łódki. Chodź!”.

To nie dlatego, że ich nie kochałam. Chciałam tego, co chciałam. Ja byłam najważniejsza. Miałam nadzieję, że Jared sobie z tym poradzi. Że dzieci dojdą do siebie. Zresztą o co cały ten krzyk? Ludzie robią to stale.

To ostatnie stwierdzenie to prawda. Ludzie stale zdradzają tych, których kochają.

Dziewiąty krąg musi być już pełny i przelewa się przez brzegi Hadesu. Nie ma więcej miejsca w paszczy Lucyfera. Lodowate pokoje są pełne.

Ale dlaczego zostałam wyróżniona? - krzyknęła Larissa, czołgając się na boku - kiedy inni ludzie też to robią? Mówimy, że zdrada tak naprawdę jest aktem buntu przeciwko posiadaniu. Zobowiązania to wszystko, co jesteśmy winni drugiej osobie. To oddanie, przysięgi, składane obietnice. Buntujemy się więc. Nie lubimy, kiedy się nam mówi, co mamy robić. To jest nie tyle zdrada, ile asertywność. Ogłaszamy wszechświatowi, kim jesteśmy. Nie chcę, by mnie klasyfikowano. Ograniczano. Zobowiązania to kotwice u twojej szyi, a ty chcesz być wolna jak ptak.

Ale tu nie chodzi o innych ludzi. Nie chodzi o mężów. Ani nawet o dzieci. Chodzi o Larissę.

Larissa pragnęła Kaia. Pragnęła przygody. Pragnęła namiętności. Pragnęła, koniec kropka. I to okazało się ważniejsze niż cała reszta.

Nagła myśl na chwilę osłabiająca przekonanie o własnej nieomylności. Dlaczego zdrada Kaia tak ją zdruzgotała? On też czegoś pragnął. Dlaczego ona potrafi sobie wytłumaczyć wszystko, co dotyczy jej postępowania, ale uważa, że to niewybaczalne, kiedy chodzi o niego? Tak strasznie się zdenerwowała: straciła panowanie nad sobą, popchnęła go. Spadli z koni. A teraz on nie żyje.

Dlaczego musiał umrzeć za to, że nie chciał się dłużej wywiązywać ze zobowiązań w stosunku do niej?

Nie chciała go skrzywdzić. I na pewno nie chciała skrzywdzić siebie. Odebrało jej rozum. A teraz go odzyskała. Była taka wściekła. Nie chciała go zranić. To, co zrobił, było niewybaczalne. Wierzy w to całym sercem.

Nie może dotrzeć do sedna całej sprawy. Dlaczego konsekwencje jej czynów są jedynie pięknym odbiciem jej najszlachetniejszych instynktów i jednocześnie najgorszą rzeczą, którą zrobił on?

Ach! Zbliży się do prawdy w tej oślepiającej białej pustce. Zdrada

jest tylko wtedy, gdy twój kochanek odwraca się od ciebie. Kiedy ty odchodzisz od rodziny, jest to wyraz samookreślenia się, niezależności, osobowości. To wolność. Miłość. Wszystko, co wpisuje się w kategorię pozytywnych cech. Prawie jak cnota.

Przyszło jej do głowy, że po raz pierwszy tak określa swój postępek. Nazywała go na różne sposoby, uzasadniała. Nigdy nie nazywała go zdradą.

Bo zdrada jest tym, co ktoś robi tobie.

Tak wiele oczekujemy od innych ludzi, myśli Larissa. A tak niewiele od siebie. Czy to niesprawiedliwe? No cóż, stało się. Wiesz, co jest niesprawiedliwe? Że nie możesz poruszyć nogą! I że nie możesz znaleźć konia.

* * *

Cały czas sprzątam po dzieciach. To moje główne zajęcie. Chodziłam do szkoły, dorosłam, poszłam do college'u, ciężko pracowałam, miałam wielkie marzenia, krótko pracowałam, miałam wysokie мнение o sobie, swoich talentach, możliwościach intelektualnych. Słuchałam muzyki rockowej, pożerałam książki, piekłam, malowałam, tańczyłam, paliłam. Tyle się działo. A potem urodziłam trójkę dzieci, jedno po drugim. Teraz od rana do nocy wydaję im polecenia i myję miski po płatkach. Weź okulary. Weź teczkę. Przynieś mi list do podpisania. Idź po buty. Weź plecak, pieniądze na lunch, kurtkę, siostrę, klarnet. Albo: odłóż buty. Odstaw miskę. Odstaw pudełko z płatkami. Wyrzuć ten papierek. Zamknij drzwi do spiżarni. Podnieś słomkę z podłogi. Zamknij zmywarę. Ubrania wrzuca się do kosza, nie obok. Pościel łóżko. Złóż pled. Daj Riot wody. Zużyte chusteczki higieniczne mają leżeć na stole czy w koszu na śmieci? Puste kubki, papierowe kubeczki, puste pudełka, otwarty słoik z masłem orzechowym, kiedy, kiedy, kiedy, kiedy to się wreszcie skończy?

Evelyn uśmiechnęła się lekko. „Zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, Larisso. Jestem przygarbiona, bo na podłodze zawsze leży coś, co muszę podnieść. Byłam, jestem taka jak ty. Nie mogę uwierzyć, że

robię to wszystko, zamiast czytać, pisać lub grać na scenie. Pamiętasz, jak bardzo kochałam scenę? Była całym moim życiem! A teraz, kiedy dzieci wychodzą do przyjaciół, pochylam się coraz bardziej. - Evelyn pokiwała głową. - Larisso, wiem. Ale wiem też, że kiedy spędzasz każdy dzień bez wyjątku, sprzątając po innych, ale tymi innymi są twoje dzieci, z twojej krwi i ciała, pochylasz się, wzdychasz, podnosisz zabawkę, pokrywkę od mleka, pieniądze, które miały zabrać ze sobą na wycieczkę, ale zostawiły, kiedy robisz to wszystko dla nich dzień po dniu, odnajdujesz w sobie boskość. A wiesz dlaczego? Bo tylko ta boskość w tobie jest w stanie to robić. Wiesz, co mam na myśli? Robisz to, bo tak właśnie wygląda miłość, kiedy pochylasz się, by umyć im nogi".

Larissa pokiwała głową. „Masz rację, Ev - powiedziała. - To takie mądre. Właśnie tak czuję. Ale teraz powinnam już pędzić. Muszę iść do sklepu, bo inaczej te dzieci, które tak bardzo kocham, i głodny mąż nie będą mieli co jeść. Przepraszam. Spójrz, która godzina. Już prawie południe. Nie gniewasz się, prawda?“. Było tak późno! Kai czekał na nią od jedenastej!

Zbawieniem kobiet są dzieci, powiedziała jej Evelyn na pożegnanie.

Na początek, na koniec i przez cały czas pomiędzy.

Larissa teraz już wie, na czym polega kłamstwo: mówią, że słońce zawsze zachodzi. Nie tutaj. Nie to słońce. Tutaj nie zachodzi nigdy.

Jej oczy dostrzegają coś blisko, więc próbuje się skupić, ale przychodzi jej to z coraz większym trudem. Mruży oczy i patrzy przez mgłę na leżący przed nią kształt, tak dobrze znany, a jednak obcy, bliski, a jednak nienaturalnie odległy.

Kręci głową i mruga raz po raz.

Pod jej nic nierozumiejącym spojrzeniem kształt zamienia się w coś, co wygląda jak Kai!

Ale to niemożliwe! Odczołgiwała się od niego przez wiele godzin! Koń stoi niedaleko, kilka stóp od niej. A ona jest daleko od Kaia. To tylko złudzenie. To niemożliwe.

A jednak leży, jak go zostawiła. Tylko że jest spuchnięty, niemal nie do rozpoznania.

Ale skoro on tutaj jest, oznacza to, że ona także! To znaczy, że przez

cały ten czas nawet się nie poruszyła. Pęcherz na skórze pęka, zaczyna się z niego sączyć przezroczysty płyn, lepka jasnoczerwona krew. Pęka następny. I jeszcze jeden.

Jest tam, gdzie była. Dokładnie w tym samym miejscu.

Larissa pochyła głowę i kładzie się obok Kaia na piasku. Jest taka zmęczona. Odpocznie kilka minut, a potem znów ruszy.

Mijają minuty.

A może godziny?

Może czas w ogóle nie płynie, bo słońce się nie porusza.

Może czasu już nie ma.

Nagle przez głowę przebiega jej myśl. A jeśli się stąd nie wydoznam? Jeśli nikt się nie zjawi i nie będę mogła wsiąść na konia? Jeśli wszystko wymknęło się spod kontroli? Odsuwa tę myśl od siebie. Ezra miał rację. Materia nie potrafi zastanawiać się nad własną zagładą, nie może pojąć, że mogłaby przestać istnieć. Atomy nie mogą wirować i zastanawiać się nad unicestwieniem swoich ładunków elektrycznych, nie mogą zdradzać ani zostać zdradzone. Nie mogą porzucać ani zostać porzucone. Atomy nie mogą kochać... ani być kochane.

Dusza może. I jej dusza nadal szuka niewiernego konia w oślepiającej bieli. Gdyby tylko mogła na niego wsiąść, wszystko byłoby dobrze. Raj został utracony, ale można go odzyskać. Co powiedział ojciec Emilio? *Mamy w sobie siłę, by zacząć świat na nowo.* Mogłaby się dostać do szpitala, a wyzdrowiawszy, poleciałaby do Manili i wróciła do San Augustin. Pracowałaby w sierocińcu, wypełniała swoje obowiązki, odbyłaby pokutę i zajęłaby się Nalini. A jeśli Che jeszcze nie wróciła, wzięłyby resztę pieniędzy Jareda i poleciałyby do Stanów. Zatrzymałyby się na kilka dni w Hongkongu, bo nigdy tam nie była, a zawsze chciała go zobaczyć. Potem odwiedziłyby Summit. To takie miłe miasto, by mieszkać w nim z rodziną. Larissa mogłaby pokazać malutkiej, gdzie kiedyś mieszkała, przedstawiłaby ją mężowi i dzieciom, które kiedyś porzuciła.

EPILOG

Życzliwość, Dobroć, Uprzejmość, Litość, Pokora, jest, Pokora. Nie mogła uwierzyć, że tak dobrze pamięta rozkład ulic, nazwy. Szła coraz szybciej przez starą okolicę, mijając targ, na którym nadal na sąsiednich straganach sprzedawano gruszki i buty. Coraz szybciej, aż zaczęła biec, z małą torbą na plecach; tak niewiele jej zostało. Kiedy ją zwolnili, oddali jej te kilka rzeczy, które miała, mogła więc teraz biec, to jej nie zabije, była wreszcie wolna.

Moonwalk, jaka ładna nazwa dla miasta. Wszystko dookoła sprawiało jej dziś przyjemność, ściśnięte budynki, zapach ryb i dymu, słona zatoka. Nie mogła uwierzyć, że nareszcie wróciła. Przed czterema miesiącami napisała do ojca Emilia, gdy wiedziała już, że zwolnią ją wcześniej za dobre sprawowanie z więzienia o średnim rygorze na Mindanao, a on, jak zawsze dobry, odpisał. Przesłał jej nawet paczkę: krakersy i herbatniki, chipsy ziemniaczane, Biblię i zdjęcia jej niezwykłego dziecka. Przesłał jej też list od Jareda, o którym - wtedy i teraz - myślała z wielkim bólem, ale nie w chwili, kiedy pędziła, by zobaczyć się ze swoją córką. List z wiadomościami o Larissie, który złamał jej i tak już poranione serce. Choć dołączone zdjęcie jego rosnącej rodziny troszkę ją pocieszyło: żona Słowaczka w zaawansowanej ciąży, dzieci jego i Larissy - Emily, już dorosła, tak bardzo podobna do matki, gdy była młoda, Asher z burzą włosów i nieogolony i Michelangelo, nastolatek, niemal dorównujący ojcu wzrostem, lecz z mnóstwem jasnych

kręconych loków... Dziewczyny muszą za nim szaleć, pomyślała Che, opłakując swoją najdroższą biedną Larisę.

W zamyśleniu niemal minęła San Augustin.

- Che! - zawołał ojciec Emilio jak zawsze stojący na schodach kościoła i patrzący na mijających go ludzi. Rzuciła torbę i podbiegła do niego. Mocno ją objął. Była starsza i lekko posiwiiała; jego plecy też były bardziej przygarbione, niż zapamiętała, ale to dlatego że zawsze się pochylał, by pobłogosławić starszków leżących w łózkach i dłonie małych sierot.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Che.

- Nie tak jak ja, widząc ciebie, drogi ojczy - odparła, całując go w rękę i pochylając głowę, by ją pobłogosławił.

- Miałaś bezpieczną podróż?

Przewróciła oczami.

- Zachorowałam. Kilka tygodni temu złapałam jakiegoś paskudnego wyspowego wirusa.

- Rzeczywiście jesteś bardzo chuda.

- Teraz już jest dobrze. Trochę puddingu ryżowego, chleba *pandeval*, trochę *halo-halo* i będę jak nowa.

Gestem zaprosił ją do środka.

- Wejdz. Nie stójmy tutaj - powiedział - kiedy tam jest ktoś, kto czekał na ciebie tak długo.

- Boję się, ojczy - wyszeptwała nerwowo Che. - Nie będzie mnie pamiętać. Nie wie, kim jestem. Będzie zła. Wiem, że będzie. Nie zrozumie. Jest taka mała. Nie potrafię jej wyjaśnić... co robię. Tak długo mnie nie było... nie z wyboru, ale...

Podniósł jej torbę z ziemi.

- Chodź, Che. Nie stójmy tutaj, kiedy tam jest ktoś, kto czekał na ciebie tak długo.

Drżącymi rękami wzięła od niego torbę.

- Przywiozłam jej coś. Może najpierw dam jej prezent? Kupiłam jej sukienkę. Śliczną letnią sukienkę w kwiatki. Wiem, że tutaj chodzą w mundurkach...

- Dasz jej później. Chodź. - Ścisnął ją delikatnie za rękę. - Teraz nie będzie jej potrzebna.

Przeszli przez długi ciemny korytarz, który Che dobrze pamiętała, i przez oszklone drzwi wyszli na dziedziniec, na którym bawiła się grupka małych dzieci. Drobną dziewczynka pokazywała im, jak rzucić kamyk przy grze w klasy.

- Nie, źle to robisz, Sammy - mówiła z wyższością do lekko zamroczonego chłopca. - Czy chłopcy w ogóle potrafią w to grać? Patrz na mnie. Rzucasz kamyk na kwadrat, a kiedy skaczesz, nie możesz skoczyć na *ten* kwadrat. Na tym polega cała gra. Inaczej przegrasz. Spróbujmy jeszcze raz. Rzucę kamyk na trzeci kwadrat, a ty zaczniesz skakać. - Odwróciła ciemną głowę i zauważyła ojca Emilia i stojącą obok niego Che.

Na moment zamarła.

Kamyk wypadł jej z ręki.

- Mama! - wykrzyknęła. Rzuciła się biegiem przez dziedziniec i wpadła prosto w ramiona Che.

- Och, mamoo... - Objęła ją ramionami za szyję i mocno się do niej przytuliła. Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Słychać było tylko świergot ptaków. - Wiedziałam, że wrócisz - szepnęła Nalini. - Wiedziałam. Wszystkim mówiłam. Prawda, papo Emilio?

- Tak - odparł, poklepując ją po plecach. - Wszystkim.

Che obejmowała córkę, płacząc, i nie mogła wydusić ani słowa.

- Nie płacz, mamoo - powiedziała Nalini, zasypując jej twarz pocałunkami. - Jesteś taka piękna. - Dotknęła wilgotnej twarzy Che, jej krótkich włosów, otarła jej policzki i znów pocałowała.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś już taka duża, Nalini.

- Mam pięć lat i pięć miesięcy - powiedziała dziewczynka, uśmiechając się od ucha do ucha.

- I grasz w klasy.

- A h a . Wiesz, kto mnie nauczył? Twoja przyjaciółka, Larissa. Co? Nie płacz. Proszę. Długo z nami mieszkała, ale potem wyjechała, bo miała ważną sprawę, ale papa powiedział, że niedługo wróci... Co? Nie

płacz. Poczekaj, aż obejrzysz jasełka, które dla nas napisała. Nie uwierzysz. Jestem jednym z Trzech Króli. Tym, który przynosi mirrę, ale znam wszystkie role. Znam całą sztukę na pamięć. Chcesz posłuchać?

- Bardzo.

- Wystawiamy ją w przyszłym tygodniu podczas bożonarodzeniowego festiwalu w kościele i na placu Moonwalk. Papa Emilio mówi, że jeśli odniesiemy sukces, będziemy ją wystawiać co roku. Może w przyszłym będę mogła zostać Marią. Larissa byłaby taka dumna. Zrobiła dla nas jaskinię i uszyła kostiumy.

- Wygląda na to, że jesteś bardzo zajęta - powiedziała Che, głaszcząc małą po głowie i ramionach. - Kiedy masz czas na grę w klasy?

- Codziennie. Dużo ćwiczę. - Zachichotała. - Jestem bardzo dobra. Chcesz zobaczyć?

Che niechętnie postawiła ją na ziemi.

- Bardzo. Chcę zobaczyć wszystko.

Nalini wzięła ją za rękę i podniosła wzrok. Che zaprowadziła ją do ławki, usiadła i wzięła na kolana.

- Myślałam, że chcesz zobaczyć, jak gram?

- Tak. Za chwileczkę. - Che gładziła ją po włosach, ramionach, chudych nogach, wdychała jej zapach, patrzyła na nią z uwielbieniem. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka duża i piękna. Co jeszcze potrafisz?

- Czytać! Poczekaj, aż usłyszysz, jak czytam Psalm 136!

- Chwalcie Pana, bo jest dobry? - zapytała Che. - Potrafisz to zaśpiewać?

- No cóż - odparła lekko zażenowana Nalini. - Papa Emilio mówi, że nauczyłam się go na pamięć, no może trochę, ale potrafię go też przeczytać. Naprawdę. Łaska Pana trwa na wieki. To prawda, trwa na wieki, bo spójrz, przyprowadził cię do mnie. Och, mamó.

- Nalini.

Siedziały objęte ramionami.

- Nikt mi nie wierzył - szepnęła dziewczynka. - Mówiłam wszystkim dzieciom, mówiłam papie Emiliowi, mówiłam Larissie, ale nikt nie słuchał. Ja wierzyłam, że wrócisz.

- Było naprawdę trudno, Nalini. Tyle razy myślałam, że mi się nie uda. Kilka lat było ciężkich.

Nalini pogładziła ją po twarzy.

- Ale teraz jesteś tutaj. I wiesz, ten miły pan, wujek czy brat Larissy, zostawił nam pieniądze, żebyśmy mogły pojechać do Ameryki, jeśli zechcemy, i powiedział, że możemy u niego zamieszkać. Tak powiedział papa Emilio.

- Chcesz tego?

Nalini klasnęła w dłoń.

- Bardzo.

- Może pojedziemy go odwiedzić, gdy się trochę ustatkujemy. Najpierw musimy zadbać o kilka rzeczy. Zastanowić się, gdzie zamieszkamy. Mama musi poszukać pracy.

- A le potem pojedziemy odwiedzić tego miłego pana w jego wielkim domu?

- Tak, kochanie.

Na zewnątrz było gorąco, wilgotno, nie padał deszcz, świeciło słońce. Wstały z ławki. Che nadal trzymała Nalini w ramionach.

- A le ż jesteś duża. Prawie tak duża jak ja.

- Nie. Dalej jestem twoją małą córeczką. - Nalini pocałowała matkę i zeskoczyła na ziemię. - Co oznacza moje imię, mamó? Nie jest filipińskie. Przyjaciele stale mnie o to pytają.

- Jest hinduskie - odparła Che. - Znaczy: Najpiękniejsza.

Nalini się zaśmiała.

- Super. Poczekaj, aż im powiem. A teraz chodź, chcę cię wszystkim przedstawić. Chcesz pograć z nami w klasy? Nauczę cię.

- Chętnie. Grałyśmy w klasy z Larissą dawno temu... - Che spuściła głowę. - Gdy byłyśmy takie małe jak ty. Ale już zapomniałam.

- Chodź, mamó. - Nalini pociągnęła ją za rękę. - I nie martw się. Teraz, gdy jesteś tutaj, wszystko będzie dobrze. Wszyściutko.